

THRILLER

RALF ISAU

Szkarłatna
Partytura

Pierwszorzędny thriller fantastyczny o siłach ciemności związanych z najpotężniejszym utworem muzycznym wszech czasów...

● Wydawnictwo TELBIT

Szkarłatna Partytura

Ralf Isau

Książka, od której nie sposób się oderwać. Tajemnica opisana przez bestsellerowego autora, Ralfa Isaua. Pierwszorzędny thriller fantastyczny o siłach ciemności związanych z najpotężniejszym utworem muzycznym wszech czasów, który pozostawał w ukryciu przez wiele lat...

Słynna pianistka Sarah d'Albis posiada tajemniczy dar, który fascynuje naukowców – dar synestezji. To zaś oznacza, że widzi dźwięki jako barwy i kształty. Podczas premierowego wykonania nowo odkrytego utworu Franciszka Liszta w Weimarze jej oczom ukazuje się straszliwa wiadomość...

Sara stara się zgłębić tajemnicę – i wpada w śmiertelne niebezpieczeństwo. Okazuje się bowiem, że Związek Ciemnych poszukuje właśnie partytury, która zapewniłaby jej właścicielowi nieograniczoną władzę. Gdyby nuty te wpadły w niepowołane ręce, oznaczałoby to koniec naszego świata. Pianistka musi stanąć przeciw wrogowi, który nie zna współczucia ani skrupułów. Tak zaczyna się szaleńczy pościg przez całą Europę... Liczące sobie setki lat spiski i nieustające zwroty akcji – „wciągająca lektura na najwyższym poziomie”. (Passauer Neue Presse)

Przekład:
Bartłomiej Szymkowski

● **Wydawnictwo TELBIT**

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA==

Tytuł oryginału: *Die Dunklen*

Tytuł polskiego wydania: *Szkarłatna Partytura*

© 2007 by Piper Verlag GmbH, Munchen.

Ilustracje: © Piper Verlag

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Telbit 2011.

UWAGA. Zarówno całość, jak też żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana w jakiegokolwiek formie ani rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody Wydawcy.

Wydawnictwo TELBIT

ul. Jaworzyńska 7/7

00-634 Warszawa

tel.: (22) 331-03-05

e-mail: telbit@telbit.pl

www.telbit.pl

edu.info.pl

Przekład:

Bartłomiej Szymkowski

Redakcja:

Aleksandra Krasucka

Korekta:

Weronika Sygowska-Pietrzyk Elżbieta Sroczyńska

Projekt okładki, skład i łamanie:

Agnieszka Kielak-Dębowska

Dział Handlowy:

tel./fax: (22) 331-88-70

e-mail: handlowy@telbit.pl

ISBN: 978-83-62252-79-4

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o. virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Motto

Dedykacja

PRELUDIUM

Prolog

WSTĘP

Rozdział 1.

EKSPOZYCJA

Rozdział 2.

Rozdział 3.

Rozdział 4.

Rozdział 5.

Rozdział 6.

Rozdział 8.

PRZETWORZENIE NOTOS (POŁUDNIE)

Rozdział 9.

Rozdział 10.

Rozdział 11.

Rozdział 12.

+ (WSCHÓD)

Rozdział 13.

[Rozdział 14.](#)

[BOREASZ \(PÓŁNOC\)](#)

[Rozdział 15.](#)

[Rozdział 16.](#)

[Rozdział 17.](#)

[Rozdział 19.](#)

[APELIOTES \(POŁUDNIOWY WSCHÓD\)](#)

[Rozdział 20.](#)

[Rozdział 21.](#)

[Rozdział 22.](#)

[LIBS \(POŁUDNIOWY ZACHÓD\)](#)

[Rozdział 23.](#)

[Rozdział 24.](#)

[Rozdział 25.](#)

[Rozdział 26.](#)

[Rozdział 27.](#)

[Rozdział 28.](#)

[Rozdział 29.](#)

[Rozdział 30.](#)

[Rozdział 31.](#)

[ZEFIR \(ZACHÓD\)](#)

[Rozdział 32.](#)

[Rozdział 33.](#)

[Rozdział 34.](#)

[Rozdział 35.](#)

[Rozdział 36.](#)

[Rozdział 37.](#)

[APARCIAS \(PÓŁNOCNY ZACHÓD\)](#)

[Rozdział 38.](#)

[CORUS \(PÓŁNOCNY WSCHÓD\)](#)

[Rozdział 39.](#)

[Rozdział 40.](#)

[Rozdział 41.](#)

[REPRYZA](#)

[Rozdział 42.](#)

[Rozdział 43.](#)

[Rozdział 44.](#)

[Rozdział 45.](#)

[Rozdział 46.](#)

[Rozdział 47.](#)

[Rozdział 48.](#)

[CODA](#)

[Epilog](#)

[POSŁOWIE AUTORA](#)

[Przypisy](#)

Nigdy nie zmienia się styl w muzyce bez przewrotu w zasadniczych sprawach politycznych¹.

Platon

„Znalazłem ostatnio pośród gruzowiska historii muzyki fragmenty pewnej mozaiki. Poszczególne części były zbyt duże, aby można było mówić o przypadku, nie starczyły jednak do odtworzenia z jakąkolwiek pewnością pierwotnego obrazu. Dlatego też układałem je tak długo, aż wszystkie trafiły na swoje miejsce. Tak właśnie powstała ta książka. Jednakże wszystkie opisane w niej żyjące obecnie postaci są dziełem wyobraźni autora – choć niektórzy czytelnicy odnajdą zapewne wśród nich odbicie rzeczywistości”.

R. I.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

*Dla Ursuli i Manfreda,
dwojga niezwykłych muzyków*

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA==

PRELUDIUM

PARYŻ

Liszt... Wydawało się, że musiał jakiś czas spędzić w zakładzie ortopedycznym, gdzie go naprostowano. Miał w sobie bowiem coś z pająka, coś z demona, a kiedy siadał do fortepianu, blady i z gwałtowną pasją wypisaną na twarzy, zdawał mi się jakoby diabłem, który pragnie grą uwolnić własną duszę! Każdy dźwięk wypływał z jego krwi, Liszt wyglądał, jakby wzięto go na tortury... Jednak kiedy grał, do jego twarzy wracało życie. Wydawało się, że demon ujawnia wtedy swą boską naturę.

Hans Christian Andersen o Franciszku Liszcie, 1840

...poza tym nawet ci, którzy najmniejszą żywią sympatię do Liszta, dawno stwierdzili, że zdolny jest on do wszystkiego.

Hector Berlioz o Franciszku Liszcie, 1836

===fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA===

Prolog

Paryż, 15 marca 1866, 18:42

Kiedy Franciszek Liszt podszedł do pulpitu dla dyrygenta, w katedrze Saint-Eustache rozbrzmiały oklaski i wiwaty. Od dawna z niecierpliwością oczekiwano na paryską premierę jego *Missa Solemnis*. W gotyckiej katedrze zebrały się cztery tysiące ludzi. Słuchacze wywodzili się z niemal wszystkich warstw społecznych. Kompozytor, aby uciszyć tłum, wznosił w górę swoje długie ręce; wyglądał tak, jakby miał zamiar zaraz wzbić się w powietrze. Wielu z jego płomiennych wielbicieli wcale by to zresztą nie zdziwiło. Dla nich był bogiem. Jednak w zebranej ciżbie byli też inni. Ci, którzy uważali go za diabła.

Widok jego czarnej sutanny narzucił pobożnej publiczności pełne szacunku milczenie. Nawet najzatwardziały wolnomyśliciele odczuli moc, która otaczała tego uzdolnionego muzycznie abbego niczym elektryczna aura. W jego ptasiej twarzy, bujnej czuprynie przetykanej nitkami siwizny i pajęczej postaci było coś niemal magicznego. W mgnieniu oka w olbrzymim Domu Bożym zapanowała cisza.

- Mamy dziś pewną zmianę w programie - oznajmił Liszt, kiedy już w najoszczędniejszy możliwy sposób uklonił się zebranym.

Przez rzędy ludzi przeszedł jęk.

- Wbrew zapowiedziom - ciągnął - dzisiaj to moja skromna osoba będzie uczyć papieża moresu.

Nastąpił moment pełnej zdumienia ciszy. Potem jednak, mimo że niemieckie wyrażenie brzmiało po francusku cokolwiek dziwacznie, większość zgromadzonych zrozumiała, co kompozytor miał na myśli: organy katedry Saint-Eustache nazywano, z powodu niebywale wielkich rozmiarów *Le Pape* - „Papieżem”. Napięcie tłumy znalazło ujście w salwie gromkich oklasków i dźwięczącego śmiechu. Tylko arcykatolicka mniejszość spoglądała urażona.

Franciszek Liszt skłonił się ponownie, tym razem nawet dość głęboko, wiedząc dobrze, że nie wszyscy spośród zebranych widzą w tym wyraz wdzięczności skromnego artysty. Niektóre uśmiechnięte twarze były tylko maskami, za którymi kryły się mordercze intencje.

Kiedy powoli się prostował, rozejrzał się po całym kościele. Wszystkich wyjść pilnowali umundurowani strażnicy. W południowym transepcie stał nawet cały oddział żołnierzy z ekwipunkiem marszowym i pod bronią. Piechurzy wzięli ze sobą też instrumenty muzyczne, żeby wyglądać mniej groźnie. Powinien był zaufać przeczuciu i wiać, kiedy tylko zauważył między publicznością tego Niekrasowa!

Za najście wojska prawdopodobnie był odpowiedzialny ten właśnie Rosjanin. Pożądał tajemnicy, pożądał nut ukrytych w organowym stole gry. Ktoś zapewne zdradził i powiedział mu o wszystkim. Jeżeli bractwo z Aar tak daleko wyszło ze swoich nor, to znaczy, że są gotowi na wszystko. Lisztem targnął dreszcz. Istniał tylko jeden sposób, aby ujść stąd z życiem, nie zdradzając przy tym tajemnicy: musiał pokonać przeciwnika jego własną bronią.

Chwilę wcześniej pospiesznie omówił strategię ze swoim przyjacielem Adolphem i polecił mu zatkać uszy woskiem ze świec. Plan był desperacki, ale nieprzyjaciel nie zostawił im innego wyjścia.

Liszt rzucił lodowate spojrzenie na Rosjanina, który zajął skrajne miejsce w trzecim rzędzie, i ruszył miarowym krokiem w stronę stołu gry. Tutaj właśnie, na przecięciu transeptu i trzech naw domu bożego, kapelmistrz Saint-Eustache zebrał swoją osiemdziesięcioosobową orkiestrę. Dwukrotnie liczniejszy chór męski i chłopięcy stał we wschodnim skrzydle przed głównym ołtarzem.

Kapelmistrz sięgnął po batutę. Zapadła cisza. A potem rozpoczął się najbardziej niezwykły koncert, jaki kiedykolwiek słyszały mury Saint-Eustache.

Pierwsze takty były niezwykle spokojne. Mimo że Liszt znał na pamięć każdy dźwięk swojej *Graner Messe*, tego wieczora odkrywał ją na nowo, jako coś obcego, przerażającego. Kiedy odezwały się rogi, było to dla niego niczym ostrzegawcze „Kto idzie?“, rozbrzmiewające pośród ciemnego lasu.

Smyczki odpowiedziały: „Ciemni idą”.

Orkiestra wysłała to zapytanie pod wysokie sklepienie kościoła po trzykroć i po trzykroć otrzymała tę samą ponurą odpowiedź. Dopiero potem znad chóru podniosło się miarowe *Kyrie*.

W tym momencie sam kompozytor wkroczył do akcji – jego palce opadły na klawisze. Franciszek Liszt umiał wpleść w każdą melodię złotą nić, za sprawą której rzucał urok zarówno na mężczyzn, jak i na kobiety. Za pomocą tego jednego daru umiał wyczarowywać każde uczucie, do jakiego zdolni byli ludzie –

miłość i nienawiść, szczodrość i chciwość, podziw i odrazę.

Uprzedził wprawdzie kapelmistrza, że chce trochę „poimprowizować”, ten jednak szarpnął się gwałtownie, słysząc dysonans, jaki nagle wprowadziły szalejące piszczałki organów, kosząc głosy chóru niby salwa plutonu egzekucyjnego.

Liszt wycofał się trochę. Nie wolno mu było przesadzić. Z właściwą sobie zręcznością przez kilka taktów wspierał smyczki i rogi. Jego wzrok szukał Niekrasowa, nie znalazł go jednak wśród publiczności, skierował się więc w południowy transept... Liszt zadrżał.

Niekrasow pospieszył do dowódcy żołnierzy i wygrywał mu coś na fujarce. Skończyło się zatem pojedynkiem na to, czyje dźwięki będą miały większą moc. Żeby zawładnąć katedrą, Niekrasowowi potrzebny jest oficer i jego ludzie, a więc teraz próbuje zapanować nad jego podświadomością za pomocą dźwięków jak zaklinacz węży.

Organy rozbrzmiały głośnie. Już sama siła muzyki była potężną bronią. Liszt odwrócił się do manualów, żeby móc bez przeszkód korzystać ze swojego daru. Zaczął wyczarowywać na organach upajające dźwięki, których nigdy wcześniej nie zaznaczono na żadnej partyturze.

Kilka taktów później między niebotycznymi kolumnami kościoła zaczęły się dziać rzeczy niezwykle. W południowej nawie rozległ się głos werbla. Publiczność zaczęła szemrać. Nie dlatego bynajmniej, że orkiestra wojskowa bezceremonialnie mieszała się w dzieło wielkiego kompozytora, ale z powodu zupełnie niemożliwej do wyjaśnienia chęci rozmowy, która ogarnęła nagle wszystkich. Nawet szacowni panowie i damy z wyższych sfer zaczęli z ożywieniem konwersować między sobą. Niektórzy z dobroczyńców podnieśli się z honorowych miejsc, nie po to jednak, żeby położyć koniec niegodnemu zachowaniu, ale żeby zabrać żonom tace na ofiary i grać na nich jak na tamburynach.

Podczas gdy przewodnicy wspólnoty przechadzali się między rzędami, wystukując miarowo rytm, gości ogarnęła nagle nieodparta chęć dzielenia się z bliźnimi. Zewsząd wyciągano portmonetki. Monety, nawet banknoty, szybko wypełniły skrzynki ofiarne. Wszystko dla dobra potrzebujących dzieci.

Liszt uśmiechnął się zadowolony. To prawda, używał Dźwięków Władzy dla własnego dobra, ale najbiedniejsi z biednych też mogą na tym skorzystać. Odwrócił się do swojego przyjaciela.

Adolphe Sax siedział nieopodal na honorowym miejscu. Na jego wysokim czole perliły się krople potu. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego, nawet nieco wzburzonego. Wosk w uszach całkiem nieźle chronił go przed burzą dźwięków, które mieszały innym w głowach, ale nie przeszkadzał mu widzieć, co się dzieje dookoła. Mistrz skinął w jego stronę dla dodania otuchy.

Kyrie dobiegło końca i zaczęła się druga część mszy, *Gloria*. W nawie południowej kapitan rozpaczliwie starał się utrzymać dyscyplinę wśród swoich ludzi. Niektórych ciągnęło do skrzynek ofiarnych, inni głośno zastanawiali się, co należy zrobić. Nawet pośród orkiestry zapanował spory rozgardiasz, przy czym szerząca się chęć rozmowy wyrażała się na najrozmaitsze sposoby. Liczni muzycy po prostu odkładali instrumenty i zaczęli gadać między sobą, niektórzy nawet zdążyli się pokłócić. Inni wprowadzali do utworu własne wariacje, czasami w zupełnie innej tonacji. Ze względu na przewagę liczebną chóru, głos śpiewaków był jeszcze dość mocny, aby chwalić Boga. Ale to też miało się za chwilę zmienić.

Kiedy tenor zaintonował *Credo*, oficer wykrzyknął nagle: „Na ramię broń!”.

Piechurzy usłuchali, bardziej na zasadzie odruchu niż z jakąkolwiek świadomością tego, co robią. Marionetki przez moment próbowały buntować się przeciwko sznurkom, za które Liszt i Niekrasow ciągnęli jeden w jedną, drugi w drugą stronę. Jednakże apel do żołnierskiej podświadomości zadziałał tylko na krótko. Ruchy żołnierzy stawały się coraz bardziej niezborne. Kapitan zaczął wymachiwać szablą i wykrzyknął kolejny rozkaz, którego jednak prawie nikt nie usłyszał, a już na pewno nikt nie usłuchał.

Podczas *Sanctus* w katedrze wybuchł karnawał. Nawet krytycy muzyczni przestali przysłuchiwać się koncertowi, który dawno już przestał zresztą zasługiwać na tę nazwę. Ludzie wprawdzie cały czas sądzili, że słuchają mszy, w rzeczywistości byli jednak w transie, który odbierał im rozsądek. Śnili z otwartymi oczami.

Liszt z całego serca nienawidził używania mocy dźwięków w ten sposób, co mu jednak pozostało? Skinął głową w stronę Saxa.

Uodporniony woskiem ze świec wotywnych szef orkiestry podniósł swoje korpulentne ciało z krzesła i podreptał do stołu gry. Nieprzyjaźnie popatrzył na palce mistrza, które tańczyły po manualach jak derwisze.

Sanctus dobiegł końca. Liszt lewą ręką pospiesznie wyciągnął ze szczeliny

między górnym manuałem a pulpitem na nuty czarną teczkę. Zawierała ona kartki papieru, od których zależał los całego świata. Liszt rozpoczął upajającą wariację *Agnus Dei*, a Sax schował teczkę pod czarną marynarkę. Skinął mistrzowi głową i skierował się na zachód przez nawę główną, między setkami śniących na jawie ludzi, którzy nawet nie zarejestrowali jego istnienia.

Także dla pilnujących wyjść żołnierzy pozostał niewidoczny. Otworzył ciężkie drzwi środkowego portalu, odwrócił się raz jeszcze i pokręcił głową. Katedra Saint-Eustache zamieniła się w dom wariatów.

Adolphe Sax wybiegł, aby zanieść partyturę do wskazanych przez mistrza posłańców. Nagłące słowa Liszta były jednoznaczne:

„Musisz zabezpieczyć dla mnie różę wiatrów. Jest w Weimarze biblioteka...”

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

WSTĘP

Weimar

Teraz (...) pragnę myśleć przede wszystkim o Weimarze, mojej gwiazdzie przewodniej, której dobroczynne promienie oświetlają moją daleką drogę.

Franciszek Liszt, 1846

Ciągle zadajemy sobie pytanie, czy prawdą jest to, co słyszymy i widzimy; oba te zmysły nie wystarczają, aby przekonać nas o prawdziwości tego wielkiego niepokoju, tego skupienia masy. Dręczy nas to jak ujrzone we śnie postaci, a głęboki spokój odnajdujemy dopiero w świadomości, że nad formami tymi włada duch...

Ludwig Rellstab o Franciszku Liszcie, 1842

Rozdział 1.

Weimar, 13 stycznia 2005, 20:04

Po iluzjonistach to muzycy są najbliżsi sztuki czarodziejskiej. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż Sara d'Albis. Nawet w wąskim kręgu światowej klasy pianistów uchodziła za zjawisko wyjątkowe. Jej gra była niczym światło słońca ukazujące kolory tęczy. Kiedy ciemną materię instrumentu łączyła z niespokojnym duchem wspaniałej kompozycji, słuchacze doznawali gwałtownych uczuć, do których jeszcze przed chwilą nie byli, zdawałoby się, zdolni.

To szczególne wyczucie sugestywnej siły dźwięku Sara miała we krwi – chociaż tego wieczora nie mogła przecież wiedzieć, jak bardzo prawdziwe było to stwierdzenie. Miała jednak niewyraźne przeczucie, że w ciągu najbliższych paru minut przeżyje coś niezwykłego, być może nawet zupełnie wyjątkowego. Nie opuszczało jej ono, odkąd parę godzin temu rzuciła okiem na partyturę, według której właśnie miał być po raz pierwszy publicznie wykonany utwór. Następnie partytura miała zostać wystawiona w foyer. Sara całą swoją istotą pragnęła teraz wystąpić na scenie szacownego Niemieckiego Teatru Narodowego w Weimarze, ale akurat w tym utworze nie było nawet jednej nuty na fortepian. Czuła się tak, jakby ktoś odebrał jej magiczną różdżkę.

Zamiast tego siedziała więc w pierwszym rzędzie wtłoczona między chyba dwustukilogramowego ministra i chudą jak szczapa krytyczkę muzyczną o łokciach równie ostrych, jak jej niesławne pióro. Sara przyłapała się na tym, że zapadła głęboko w fotel i wyciągnęła daleko nogi, żeby przynajmniej czubki swych palców wystawić na działanie własnego żywiołu – światła sceny. Natknęła się przy tym na rozbawione spojrzenie felietonistki, w którym odczytała zaproszenie do wywiadu.

Sara natychmiast wyprostowała się i wyobraziła sobie, że jest rybą, która nasłuchuje szumu morza, tak bliskiego, a jednocześnie tak odległego, bo oddzielonego od niej ścianą wiadra wędkarza, które zmuszona jest dzielić z wielorybem i langustą. Aby nie okazać już więcej słabości i nie wysyłać żadnych fałszywych sygnałów w stronę nastawionych czułek sąsiadki, udała, że

nagle zaczęło ją niezmiernie interesować wyposażenie teatru.

Wysoka widownia nakryta była przypominającym plaster miodu sufitem z czasów NRD z lampami wyglądającymi jak kwadratowe świecące stalaktyty. Ponadto wyłożona jasną dębiną sala nieomylnie przywodziła na myśl urok późnych lat siedemdziesiątych. Kiedy Sara ponownie poczuła, że nikt jej nie obserwuje, raz jeszcze skierowała wzrok na scenę. Muzycy wciąż jeszcze grali jeden przez drugiego, strojąc jakoby swoje instrumenty;

Przed chwilą rozbrzmiał trzeci sygnał informujący o końcu przerwy; nie był to zwykły dzwonek, jakiego można by się spodziewać, ale prawdziwa fanfara poprzedniego weimarskiego kapelmistrza, Richarda Straussa. Ostatni spóźnialscy zajmowali miejsca na widowni. Gwar rozmów cichł. Wszyscy wyczekiwali *clou* tego wieczoru, czyli premiery odkrytego niedawno utworu.

Zapisane na papierze szalonymi pociągnięciami pióra nuty przeleżały za ścienną mapą Europy ponad sto dwadzieścia cztery lata. Nagłą pobudkę zgotował im gwałtowny pożar, który 2 września 2004 roku zniszczył salę rokokową biblioteki księżnej Anny Amalii. Ponad sześć tysięcy starych książek, rękopisów, map i zapisów nutowych doznało wtedy szkód bądź też zostało bezpowrotnie utraconych. Wspomniana mapa wyszła z tego jednak prawie bez szwanku. Kiedy wyjęto ją ram, światu ukazał się niezwykle widok – dwadzieścia cztery strony partytury autorstwa Franciszka Liszta!

Mistrz zatytułował swoje dzieło *Grande fantaisie symphonique sur „Devoirs de la vie” de Louis Henri Christian Hoelty - Wielka fantazja symfoniczna na temat „Obowiązków życia” Ludwiga Heinricha Christoph Holtfego*.

Tak zawile tytuły dzieł muzycznych nie były niczym dziwnym w XIX stuleciu. Zgodnie z życzeniem mistrza premiera odbyła się, mimo panującej zimy, na dziedzińcu zamku w Weimarze 13 stycznia 1881 roku, potem jednak z niewiadomych przyczyn nuty trafiły za mapę i zostały zapomniane. Dochód z premiery posłużył zresztą do sfinansowania budowy tego właśnie budynku, w którym dzieło owo znalazło schronienie na tyle lat.

Dłonie zamyślanej Sary dotknęły łańcuszka ukrytego pod miękką wełną swetra. Swoją obecność tutaj zawdzięczała w jakiś sposób temu klejnotowi, który, wedle słów jej matki, należał kiedyś do „naszego wielkiego przodka Franciszka Liszta”. Sara zawsze sceptycznie traktowała tę teorię, bo wydawała jej się ona jedynie wyrazem rozpaczliwych starań jeszcze bardziej zrozpaczonej kobiety, która pragnęła zostawić córce coś więcej niż tylko ból i rozczarowania.

Z tego też powodu Sara długo strzegła tajemnicy. Aż do chwili, w której parę miesięcy temu właśnie Hanna Landnal – langusta po jej prawej stronie, zwana też Chudą Hanną – wpadła na jej trop.

Sara sama była zresztą sobie winna. Podczas wywiadu dziennikarka napomknęła o „interesującym podobieństwie do XIX-wiecznego boga fortepianu”. Te same zmysłowe, ciemne oczy pod cienko zarysowanymi brwiami, ten sam cienki, arystokratyczny nos między dyskretnie wysuniętymi kośćmi policzkowymi, te same małe usta i wystający podbródek – wszystko to wyglądało, według Landnal, jak żeńska wersja Liszta. Szybko dodała zresztą, że „to przecież kompletny absurd. D’Albisowie i Franciszek Liszt spokrewnieni – kto oprócz mnie wpadłby na tak idiotyczny pomysł!”.

Na taką prowokację Sara miała tylko jedną odpowiedź: „Moja matka”.

Tą lekkomyślną uwagą puściła w ruch koło fortuny. Skoro diwa operowa tej klasy co Josephine d’Albis mówi coś takiego, to musi być prawda. Nikomu nie przeszkadzało, że świadek koronny w tej sprawie, czyli ona właśnie, nie może zeznawać, bo od prawie dwudziestu lat już nie żyje. Córka nosiła dowód na własnej twarzy. Niezliczeni biegli zabierali głos, żeby przydać teorii Hanny Landnal fachowych podstaw. I tak na przykład znany grafik komputerowy, Lilian F. Schwarz wyczarował za pomocą morfingu oblicze Sary z konterfektu Liszta. I w drugą stronę. Do woli! Wprawdzie w ten sposób każdy bulterier mógł udowodnić swoje pokrewieństwo z Winstonem Churchillem, ale media, kreując dobrą historię, nie zwracały sobie głowy takimi szczegółami. Po jakimś czasie nikt poza samą Sarą nie wątpił już w jej pochodzenie od słynnego mistrza i kompozytora. Można więc wyobrazić sobie, jak wielce uradowała się tego dnia, dowiedziawszy się, że jej honorowe miejsce przypadło tuż obok Chudej Hanny...

Nagle tok jej myśli się urwał. Do tej pory, zatopiona w rozmyślaniach, postrzegała orkiestrę jedynie jako wielki kakofoniczny organizm, teraz jednak zauważyła z tyłu, po swej prawej stronie, dwoje ciemnych oczu, które uporczywie się w nią wpatrywały. Odkąd w zeszłym roku stalker włamał się do jej paryskiego mieszkania, przetrząsnął jej szafki i dobrał się do jej bielizny, skłonna była reagować raczej histerycznie na mężczyzn, którzy tak na nią patrzyli.

Podczas publicznych wystąpień już wcześniej wyglądała raczej jak chłopczyca

niż wytworna dama, ale po tych traumatycznych przeżyciach kilku tygodni, kiedy prześladował ją stalker, postanowiła zostać niezauważalną. Z marnym skutkiem.

Po prostu posiadała w sobie to coś, co zwracało uwagę innych, jeśli tylko przebywali w tym samym pomieszczeniu. Nie była to kwestia wyglądu. Figurę miała wprawdzie nie najgorszą – szczupłą, choć nie koścista – ale mierząc metr siedemdziesiąt, daleka była od przepisowych wymiarów modelek. Jej atrakcyjność dla płci przeciwnej wynikała jednak nie ze standardów urody, ale z jej naturalnego blasku.

Tego wieczora spięła swoje proste, długie, jasnobrązowe włosy w skromny kucyk, włożyła popielaty golf z alpaki, jasnoszare spodnie i płytkie czółenka. A zatem nic, co mogłoby przyciągać uwagę, a mimo to perkusista zaczął się w nią wpatrywać jak drapieżnik w ofiarę.

Facet prezentował się niezwykle. Był łysy, miał sumiaste wąsy i postawę boksera. Frak opinał go tak ciasno, jakby był kombinezonem pilota – prawdopodobnie tylko go wypożyczył.

Obecność Walerija Tiomkina zaskoczyła ją już wtedy, kiedy muzycy wchodzili na scenę. Ten rosyjskiego pochodzenia Francuz grywał przecież zazwyczaj z Orchestre de l'Opera National de Paris, z którą Sara wielokrotnie współpracowała jako solistka. Prawie tak samo dobrze znała Weimarską Orkiestrę Państwową – zaledwie pięć dni temu na tej właśnie scenie dawała koncert charytatywny. W zespole było dwóch perkusistów. Nawet jeśli jeden z nich byłby niedysponowany, nie trzeba by było przecież szukać zastępstwa w zupełnie obcej orkiestrze, a już na pewno nie trzeba było ściągać muzyka aż z Paryża. Wszystko to było bardziej niż dziwne.

Sara demonstracyjnie skierowała wzrok na pierwszego skrzypka, jej myśli nadal krążyły jednak wokół spraw z przeszłości. Przeszył ją zimny dreszcz, kiedy uprzytomniła sobie, że stalker, który w zeszłym roku zamienił jej życie w piekło, też był Rosjaninem: Oleg Janin, profesor muzyki z Moskwy, który.

– Widzimy się na *Przebudzeniu Wiosny* w Amsterdamie? – Hanna Landnal bezceremonialnie przerwała niespokojne wspomnienia sąsiadki. Pytanie dotyczyło festiwalu muzyki klasycznej, który holenderska stolica organizowała co dwa lata w pierwszym tygodniu kwietnia.

– Nie, tym razem robię sobie przerwę – odpowiedziała Sara, przygotowując się jednocześnie na typowo dziennikarskie pytanie: „A na co?”, w sukurs przyszły jej jednak oklaski publiczności.

Jac van Steen, dyrektor muzyczny i naczelny dyrygent Weimarskiej Orkiestry Państwowej, wszedł właśnie na scenę. Tego szczególnego wieczora nie mógł nie poprowadzić wykonania osobiście. Wysoki Holender ukłonił się publiczności, światła na widowni zgasły; Odwrócił się i uniósł ramiona. Owacje ucichły. Sara zamknęła oczy Rozbrzmiała muzyka.

Cichutko. Dźwięk samotnego fletu poprzecznego popłynął, ciemny i bogaty, przez salę koncertową. Sara mimowolnie pomyślała o pierwszych taktach *Bolera* Maurice'a Ravela. W wyobraźni widziała melodię jako splot kolorowych pereł i tasiemek, rzuconych w górę przez kogoś z drugiego rzędu; kłębek dopiero pod sufitem rozwinął się miękko jak jedwab i spłynął łagodnie w dół.

Tego rodzaju przeżycia nie były dla niej niczym niezwykłym, widziała bowiem muzykę jako kolorowe kształty i figury;

Niektórzy uważali to za magię, inni za objaw choroby psychicznej, ale tak naprawdę nie było to ani jedno, ani drugie. Po prostu mózg Sary zamieniał jeden bodziec w dwa różne doznania zmysłowe. Nie musiała szeptać żadnych zaklęć, to działo się samo z siebie. Naukowcy określają to mianem synestezji, co dosłownie oznacza „postrzeganie równoczesne”, a osoby posiadające ten dar nazywa się synestetykami. Są ludzie, dla których litery i cyfry mają własne kolory. Sara знаła flecistkę, która czuła smak interwałów. A większość synestetyków tak jak ona, uznana pianistka, widziała kolory dźwięków. Dlatego właśnie ten rodzaj synestezji określano też mianem *audition colorée* – „barwnego słyszenia”.

Pod jednym względem synestezja Sary była jednak wyjątkowa – kiedy przed jej wewnętrznymi oczyma pojawiały się dźwiękowe obrazy, zawsze duży wpływ wywierała na nie barwa dźwięku. A zatem tę samą melodię widziała inaczej w zależności od tego, na jakim instrumencie ją grano i jakie były warunki akustyczne w pomieszczeniu. Występ ulicznego grajka na flecie piccolo był więc dla niej zaledwie rysunkiem malowanym kredkami, ale ta sama melodia wykonana na organach w wielkiej katedrze stawała się już bogatym obrazem olejnym. Swą wielokrotnie chwaloną umiejętność ekspresyjnej interpretacji dzieł wielkich mistrzów Sara zawdzięczała w dużej mierze tej niezwykłej właściwości swojego umysłu. Dźwięki, które słyszała w tej chwili, przypominały, zależnie od długości, aksamitne kule i wstęgi. Flet poprzeczny ze srebra niewątpliwie wywołałby wrażenie połyskujących szkliscie przedmiotów. Instrumentarium

Liszta było ekscentryczne, właściwie nawet anachroniczne. Sara zastanawiała się, czy przedkładał drewniany flet poprzeczny, uznawany za przestarzały już w jego czasach, nad nowoczesny metalowy instrument dlatego właśnie, że sam był synestetykiem.

Zapadła głębiej w fotel, zupełnie jak podłotek w kinie. Wczoraj wyczytała z partytury dosyć, by móc wyobrazić sobie z grubsza przebieg utworu. Idylliczny wstęp był zdradliwy. Lada chwila Teatr Narodowy eksploduje.

Nagle wszystkie instrumenty podniosły potężny zgiełk. Młoda pianistka nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Gwałtowne *forte fortissimo* orkiestry potrafiłoby obudzić nieboszczyka jeszcze parę pięter wyżej. A to było jedynie wrażenie akustyczne. Sara, słysząc grom, widziała też kolorowe kuliste pioruny i wstęgi, świecące niczym zorza polarna. Wszystko to w purpurowym deszczu.

Równie nagle jak wybuchło, przedstawienie przygasło. Pozostały tylko smyczki tkające czarodziejski dywan z dźwięków we wszystkich odcieniach zieleni w oczekiwaniu tego, co miało nadejść.

Wtedy jednak rozległ się dźwięk harfy.

Na ekranie w głowie Sary pojawiły się kolorowe krople, spływające jedna w drugą. Po pierwszych dźwiękach zmarszczyła ze zdziwieniem czoło. Jej mięśnie napięły się. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Kolorowe plamki nie miały tej przypadkowości, która cechowała do tej pory wszystkie doznania *audition colorée*. Zamiast tego obserwowała harmoniczne współgranie linii, jakby dźwięki harfy były szerokimi pociągnięciami pióra, kaligrafującego na arkuszu jej ducha. Sara otworzyła oczy.

Nie odeгнаło to jednak niepokojącego obrazu, dodało do niego jedynie kolejny: zobaczyła orkiestrę, a wśród muzyków łysego perkusistę, który wpatrywał się w nią, jakby chciał przewiercić ją wzrokiem na wylot.

Usiadła prosto jak świeca, wciągnęła łapczywie powietrze i przyłożyła dłoń do piersi. Głos obok niej zapytał, czy wszystko w porządku. Zignorowała go. Jej świadomość spychała wszystko, Hannę Landnal, perkusistę i całą salę teatralną gdzieś na margines, każąc im zblaknąć wobec obrazu złożonego ze światła i kolorów.

Widziała świecący symbol tak plastycznie, że niemal była w stanie uchwycić go w dłonie.



To, co dla niewtajemniczonych wyglądało jak wielkie „Ż”, rzeczywiście było złożeniem liter „F” i „L”. Sprawiało to trochę takie wrażenie, jakby ktoś wypalił w powietrzu pisane zamaszystymi posunięciami litery. Były one jednak, o czym Sara doskonale wiedziała, jedynie efektem burzy impulsów nerwowych w jej mózgu, niczym więcej niż obrazem dźwięku harfy;

A jednocześnie wiernym odbiciem rzeczywistości.

Lewa dłoń Sary zacisnęła się na łańcuszku pod swetrem, doskonałej miniaturowej kopii stworzonego przez harfę obrazu, klejnotu ze złota i szafirów, który nosiła jeszcze jej matka, aż jego blask zniknął w papierowej kopercie.

„Należysz do szóstego pokolenia potomków swojego wielkiego przodka, Franciszka Liszta. Otaczaj jego sygnet szacunkiem. Nie pokazuj go jednak nikomu aż do dnia objawienia!”

To tajemnicze ostrzeżenie, które matka zostawiła jej w liście pożegnalnym, zawsze stanowiło dla Sary zagadkę. Teraz jednak, podczas premiery tak długo zaginionej partytury, doczekała się w końcu swojego objawienia: utwór, który z pewnością wyszedł spod pióra Franciszka Liszta, ukazał jej się jako sygnet, który nosiła jako naszyjnik. Drżała z podniecenia.

Oprócz niej nikt na sali nie mógł dostrzec tego dowodu jej pochodzenia, bo wrażenia każdego synestetyka były tak różne jak odciski linii papilarnych. Jednak w takim razie – jak Lisztowi udało się stworzyć ten symbol?

Jakaś część świadomości Sary wciąż zmagala się z tym problemem, a w tym czasie inne jej obszary dostrzegły zmianę w grze harfy. Jedna struna, która przez kilka sekund tworzyła monogram Liszta przed jej wewnętrznymi oczyma, zginęła nagle pod szybką sekwencją akordów. Litery „FL” cofnęły się nagle jak w prostej animacji, wykonały pół obrotu i ponownie przyjęły pierwotny wygląd.

Niewiarygodne! Serce Sary biło jak szalone. Przepęłniała ją wszechogarniająca euforia. Ta harmonia dźwięków przewyższała wszystko, czego do tej pory dane było doświadczyć jej współpracującym zmysłom.

Już dziesięć lat wcześniej zwróciła uwagę na symetryczność sygnetu, który dostała od matki. Nieważne, czy patrzyła na niego od dołu, czy od góry, zawsze wyglądał tak samo. Pomyślała wtedy o słynnym monogramie, którym Johann

Sebastian Bach podpisywał swoje utwory. Każda z trzech liter-inicjałów była w nim widoczna podwójnie - raz w normalnej pozycji, raz odwrócona do góry nogami. Ten, kto wymyślił sygnet „FL”, osiągnął to wrażenie, operując dwoma zaledwie znakami.

Wraz z ostatnim dźwiękiem struny harfy symbol zniknął.

Sara sądziła, że na tym skończy się wielkie zaskoczenie tego wieczora, ale wizja sygnetu była jedynie wstępem do jeszcze bardziej poruszającego obrazu dźwiękowego. Barwy innych instrumentów wmieszały się pomiędzy smyczki - żółć drewnianych i blaszanych instrumentów dętych i głęboka czerwień perkusji - tworząc ruchomy fresk. Sara ledwo zdążyła nabrać powietrza, kiedy od nowego wrażenia zaparło jej dech w piersiach.

W wyobraźni ujrzała pismo, zupełnie jakby niewidzialna dłoń wypisywała swoje przerażające *Mane-Tekel-Fares* na szklanej ścianie, która powoli przesuwała się przed jej oczyma. Dźwięki były kolorowymi punktami, te zmieniały się w wielkie litery, z wersalików tworzyły się słowa, które po chwili ułożyły się w pozbawione kropek i przecinków wersy. W miarę przebiegu koncertu przed oczyma jej duszy pojawiał się przerażający wiersz!

NAKŁOŃ SŁYSZĄCY BARWY KU MNIE UCHA SWEGO WŁADZY MELODIA
CZARNA ZGUBĄ JEST WSZYSTKIEGO
NIEUCHRONNĄ ZAGŁADĘ TEN TYLKO ODSUNIE KTO NUTY
PURPUROWE ZNAJDZIE I ZROZUMIE
ABY ODSZUKAĆ MIEJSCE W KTÓRYM JE SCHOWANO WNET KRÓLA
WSZYSTKICH ŚLEPCÓW PRZYBIERZ DUMNE MIANO
TAK TYLKO POPROWADZI CIĘ INSTRUMENT MISTRZA OD AS TAM PRZEZ
N+BALZAC GDZIE WSZYSTKO SIĘ ZISZCZA
FRANZ SPIESZ SIĘ LUDU WOLA Z KWIATEM CIEMNYM PLECIE WIENIEC
DLA ALEKSANDRA W DWIE PEŁNIE GO ZMIECIE

Wraz z ostatnimi słowami wiersza koncert dobiegł końca, jakby mistrz chciał umieścić w utworze własne imię. Zszokowana i zlana potem Sara nie była w stanie się poruszyć.

Słuchacze zaczęli klaskać. Początkowo nieliczni. Śmiałe utwory Franciszka Liszta znów podzieliły publiczność. Jeszcze za życia jego ekstrawaganckie, ocierające się aż o atonalność kreacje muzyczne miały zarówno zaciekle wrogów, jak i żarliwych wielbicieli. Ówczesni i obecni historycy nie umieli w pełni zrozumieć jego życia, a jego dzieła pozostawały nieczytelne dla

teoretyków muzyki. Może to dlatego, że wszyscy ci eksperci nie mieli dostępu do bardzo ważnego elementu tej układanki, tego, który właśnie ukazał się Sarze?

Wśród słuchaczy zgromadzonych w Niemieckim Teatrze Narodowym poczucie obcowania z wielkością zwyciężyło w końcu irytację. Cała sala zaczęła wiwatować. Tylko pianistka w pierwszym rzędzie nie klaskała. Siedziała sparaliżowana zawartą w utworze wiadomością.

Najbardziej zaniepokoiła ją ostatnia strofa. Czy to naprawdę było ostrzeżenie przed morderstwem? Jak inaczej można to było zrozumieć, skoro Liszt mówił, że ten Aleksander umrze za dwa miesiące?

- ...się nie odezwie, dzwonię po lekarza!

Stanowczy głos Hanny Landnal w końcu dotarł do wyższych warstw świadomości Sary, która mrugnęła i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że na widowni już zapalono światło. Z tyłu przepychali się ci, którym zależało na zajęciu pierwszego miejsca w wyścigu do szatni. Na scenie niektórzy muzycy rozkładali instrumenty. Perkusista wcześniej gdzieś zniknął.

Sara zwróciła głowę w prawo i spojrzała prosto w wiśniowe usta, które cały czas się poruszały.

- W-wszystko w porządku - wyjąkała.

- Nie wydaje mi się, moja droga - sprzeciwiła się krytyczka.

- *Fantazja* mojego... to znaczy, utwór Liszta... ściął mnie z nóg. Tak to się u was mówi, prawda?

Sara doskonale wiedziała, jak to się tutaj mówi. Obok swojego ojczystego języka posługiwała się płynnie niemieckim i angielskim a także, odrobinę tylko gorzej, włoskim.

- Tak, tak to się mówi - odparła Landnal, patrząc na nią zwężonymi oczyma.

Sara zmusiła się do uśmiechu, podniosła się z przesadną werwą z malinowego siedzenia, objęła obiema dłońmi podwójny pasek czarnej torebki i zapewniła:

- Wszystko w porządku, naprawdę!

Nieufność odpłynęła z pomarszczonej twarzy krytyczki. Wstając, z elegancją prestidigitatorki wyczarowała z własnej torebki ołówki i notes.

- Poza tym zgadzam się z panią, madame d'Albis. Według mnie Liszt śmieje się teraz z za grobu, że udało mu się znów zamącić w muzycznym świecie. O tym dziele powstanie co najmniej sto rozpraw doktorskich. Czy może pani dodać coś

do swojej recenzji? Mam na myśli wrażenia po wysłuchaniu dzieła pani przodka.

- *Excuse me, madame d'Albis* - obcy głos odezwał się obok po angielsku, przebijając się przez ciżbę i niweczając śmiałą próbę Chudej Hanny, by przeprowadzić wywiad.

Sara, zadowolona, że może umknąć, nie robiąc dziennikarce afrontu, odwróciła się. Stał przed nią młody mężczyzna, który uśmiechał się w osobliwie natarczywy, ale jednocześnie wcale nie niemiły sposób. W dłoni trzymał pocztówkowego formatu zdjęcie przedstawiające samą Sarę. Takie zdjęcia rozdawano przed jej ostatnim koncertem. Trzydziestokilkuletni mężczyzna był od niej wyższy o pół głowy, miał gęste, czarne włosy i błękitne oczy. Ostro ciosane rysy twarzy zdawały się potwierdzać to, na co wskazywał już ciężki akcent, z jakim się odezwał.

„Kolejny Rosjanin” - pomyślała Sara i natychmiast się poprawiła: „Ale ten przynajmniej jest całkiem przystojny”.

Potem instynkty gwiazdy przejęły kontrolę nad ciałem. Posłała mu profesjonalny uśmiech, wyrwała z dłoni zdjęcie, odwróciła się i podwędziła ołówek zamienionej w słup soli i patrzącej ponuro przed siebie dziennikarce. Z wprawą nakreśliła na zdjęciu własne inicjały.

- Madame d'Albis, muszę coś pani koniecznie powiedzieć

- Rosjanin podjął kolejną próbę po angielsku.

Sara wyciągnęła w jego stronę zdjęcie i, mimo że nie wykazał chęci, żeby je zabrać, uśmiechnęła się i tak. Przyjazny dystans był najlepszą metodą ochrony własnej sfery osobistej. Trudno było odczepić się od fanów, którym raz udało się wciągnąć ją w rozmowę. Rosjanin nabrał głęboko powietrza, przygotowując się do wygłoszenia aforyzmu, nad którym zapewne myślał cały dzień, ale Sara - odzywając się też po angielsku - ubiegła go.

- Proszę nie mieć mi tego za złe, ale mam pilne obowiązki.

To nawet nie było kłamstwo. Dyrektor teatru zaprosił ją na drinka w swoim biurze, w tej chwili jednak nie miała najmniejszej ochoty na pogawędkę przy szampanie „Rotkappchen”. Jej myśli zaprzątnięte były wyłącznie tajemniczymi słowami zawartego w utworze przesłania. Chciała pobyć sama ze sobą, chciała w końcu na spokojnie zebrać myśli.

- Ale. - Rosjanin zaczął ponownie, ale kiedy Sara pytała właśnie, czemu nie weźmie od niej tego podpisanego zdjęcia, do rozmowy włączyła się Landnal.

- Przepraszam najmocniej, młody człowieku, ale jestem dziennikarką

i rozmawiałam właśnie z madame d'Albis, kiedy nam przerwał.

Ona też doskonale władała angielszczyzną. Chcąc podkreślić swoje słowa, przesunęła się na strategiczną pozycję pomiędzy Rosjaninem a pianistką. W ten sposób odkryła jednak flankę, dając kolejnemu wielbicielowi Sary d'Albis okazję do ataku.

- *Excusez-moi, madame d'Albis* - powiedział perkusista po francusku.

Sara miała ochotę wyć z wściekłości. „Czy oni wszyscy nauczyli się tego samego tekstu, żeby wyprowadzić mnie z równowagi?” Udała jednak mile zaskoczona.

- Monsieur Tiomkin!

Wszyscy obecni usłyszeli jednak zdenerwowanie w jej głosie. Wzrok perkusisty sprawiał nieprzyjemne wrażenie, Sarze wydawało się, że do jego twarzy przyklejono dwa bladoniebieskie cukierki. Kiedy zastanawiała się nad możliwościami ucieczki, łysy olbrzym opowiadał jej gawędziarskim tonem - wciąż po francusku - jak bardzo zdziwił się, dostrzegłszy wśród widzów tak znamienitą koleżankę po fachu. Jego głęboki, przyjemny głos brzmiał jak dźwięk nasmarowanego wazeliną kontrabas. W pewnym momencie jednak nagle zmienił barwę, stając się suchy, nieomal groźny.

- Jak podobał się pani koncert, madame?

Sara odwróciła głowę i spojrzała prosto w jego pytające oczy. Po chwili wahania odpowiedziała w ojczystym języku:

- Byłam pod wielkim wrażeniem.

- To dało się zauważyć.

Sara zadławiła się swoją własną śliną. Landnal gorliwie uderzyła ją po plecach.

Fan z Rosji odzyskał najwyraźniej odwagę i powiedział po angielsku:

- Madame d'Albis, to naprawdę ważne!

Ale krytyczka nalegała, że wywiad ma pierwszeństwo - teraz nawet w kilku językach.

- Jestem niezwykle ciekawy, jakie uczucia wzbudziła w pani *Fantazja* Liszta - doprecyzował niewzruszony rosyjsko-francuski perkusista.

Zimny dreszcz przebiegł Sarze po plecach. „Czyżby on wiedział?”

- Przepraszam, madame d'Albis - doskonale już znany refren podjął teraz przyjemny baryton mówiący po niemiecku ze szwajcarskim akcentem.

Sara odwróciła się ponownie i tym razem odetchnęła z ulgą. Pokryta trzydniowym zarostem twarz o przyjaznych oczach obiecywała tak jej teraz potrzebny ratunek.

- Panie Marki! Na pewno zastanawiał się pan już, gdzie się podziewam.

Stephan Marki był dyrektorem Niemieckiego Teatru Narodowego i Orkiestry Państwowej w Weimarze. Zmarszczył czoło. Widać było, że ma zamiar powiedzieć na przykład: „Aż tak bardzo to nas czas nie goni”, ale chwilę później zrozumiał, w jakich opałach znajduje się Sara, i stwierdził radośnie:

- W moim biurze czeka na panią niespodzianka, którą chciałbym wynagrodzić pani cierpliwość. Proszę za mną, madame, zaprowadzę panią na górę.

Sara obdarzyła swoich wielbicieli czarującym uśmiechem i po raz ostatni przywołała motyw wiodący tego wieczora, mówiąc:

- Przepraszam państwa bardzo.

A później, nareszcie wolna, oddaliła się.

W towarzystwie dyrektora opuściła salę. Marki poprowadził ją na drugie piętro klatką schodową o białych ścianach. Dopiero wtedy Sara zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze trzyma w dłoni podpisane zdjęcie, które dostała od Rosjanina. Na moment ogarnął ją żal, że rozczarowała fana. Nigdzie nie dostrzegła kosza na śmieci, otworzyła zatem torebkę, żeby schować zdjęcie. Wtedy jej wzrok padł na tylną stronę fotografii. Pod jej krótką biografią i datą charytatywnego koncertu widniała napisana po angielsku krótka wiadomość.

„Madame d’Albis!

Muszę Panią ostrzec. Grozi Pani wielkie niebezpieczeństwo! Ale może będę mógł pomóc.

O. Janin
ojanin@arts.msu.ru”

EKSPOZYCJA

WEIMAR

Ślady wielkich ludzi, którzy przebywając w Weimarze rozstawili to miasto, zataczają iście magiczne kręgi, nie wyrzeźbiły jednak jeszcze głębokich kolein (...). Obecnie Weimar jest jedynie punktem na mapie, azylem, wielbionym z powodu nadziei, która pragnie zastąpić pamięć; neutralnym gruntem.

Franciszek Liszt

Powinieneś znaleźć taki sposób zachowania cudów swoich osobistych występów, który pozwoliłby przechować je nawet po twojej śmierci.

Richard Wagner w liście do Franciszka Liszta

Rozdział 2.

Weimar, 13 stycznia 2005, 21:16

Ostry wiatr uderzył w jej twarz, kiedy wyszła spomiędzy kolumn. Podniosła kołnierz płaszcza i poprawiła trzymaną pod lewą ręką papierową tubę - „niespodziankę” dyrektora. Dziarsko pokonała kilka stopni prowadzących z głównego wejścia na Plac Teatralny. To będzie mroźna noc. Przynajmniej nie padało.

Postanowiła nie wracać od razu do hotelu. W „Russischer Hof” mieszkało się całkiem przyjemnie, ale w tym momencie potrzebowała czegoś zupełnie innego. Krótki spacer na mroźnym powietrzu, a może nawet lampka czerwonego wina w jakimś sympatycznym lokalu pomogą przepędzić ciemne chmury z jej myśli. Tego, co przeżyła tego wieczora, nie dało się łatwo przyswoić - najpierw wizjonerski pod każdym względem koncert, potem wiadomość od tego stalkera...

Nazywał się Oleg Janin, był rosyjskim profesorem muzyki. W zeszłym roku doprowadził ją na skraj załamania nerwowego. Najpierw listy, potem natarczywe telefony, w końcu włamanie do mieszkania. Wspólnie z przyjaciółką Helene przyłapały go na gorącym uczynku, kiedy szperał w jej bieliźnie. Z pomocą sąsiada udało się zatrzymać zboczeńca do czasu, kiedy policja łaskawie przybyła na miejsce i zechciała go zaarrestować. Ponieważ nie postawiono mu żadnych innych zarzutów, ku rozpaczy Sary skazano go tylko na słoną grzywnę i skierowano na terapię. Poza tym dostał też zakaz zbliżania się do Sary na bliżej niż trzysta metrów.

A teraz znów spróbował wyprowadzić ją z równowagi, tym razem tajemniczą wiadomością o niebezpieczeństwie. Całe szczęście z pomocą psychologa Sara nauczyła się już trochę radzić sobie z prześladowcami. Nie ona ponosiła tu winę, była jedynie ofiarą. Nieważne, czy stalker cierpiał z powodu nieodwzajemnionej miłości czy chęci zemsty, pod żadnym pozorem nie wolno go było ośmielać. „Jeśli napadnie panią w zamieszkałym miejscu, proszę krzyczeć tak głośno, jak tylko pani potrafi. Zazwyczaj jednak daje się zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń. Proszę po prostu nie reagować na jego zaczepki i unikać każdego z nim

kontakty - nakazała jej psycholog. - Proszę informować swoich sąsiadów, przyjaciół i znajomych. Przede wszystkim jednak należy prowadzić dokumentację każdego telefonu, przechowywać każdy list, nie kasować wiadomości z automatycznej sekretarki ani e-maili z komputera - wszystko to może być ważnym dowodem w sprawie”.

Mimo że tego rodzaju *corpus delicti* wzbudzał w Sarze odrazę, ukryła go głęboko w bocznej kieszeni torebki i postanowiła solennie jak najszybciej zapomnieć o nieprzyjemnym wydarzeniu. Niewiarygodne, że ten psychopata wykorzystywał teraz nawet swoich niczego nie podejrzewających rodaków do dostarczania listów. A może ten Rosjanin, którego lekkomyślnie wzięła za jednego z wielu fanów, sam tkwił po uszy w całej sprawie? Nieważne zresztą, niech no ten Oleg Janin spróbuje zaczepić ją choćby jeszcze raz, już ona się postara, żeby wylądował w więzieniu.

Weimar to małe miasteczko, a Plac Teatralny o tej porze sprawiał wrażenie wymarłego. Sara minęła pomnik Goethego i Schillera. Przedstawiał on obu wieszczów stojących obok siebie w zgodzie, która za życia, jeśli wierzyć licznym uczonym, nigdy nie była ich udziałem. Być może obraz Franciszka Liszta, wirtuoza fortepianu i wielkiego kompozytora, także był zafałszowany albo przynajmniej niepełny. Wiadomość ukryta w jego *Fantazji* dowodziła, że mistrz uwikłany był w sprawy, o których nie pisał żaden biograf.

Idąc w stronę leżącej po drugiej stronie placu uliczki, Sara powtarzała w pamięci cały koncert. Pamiętała nie tylko każdy dźwięk kompozycji, potrafiła też przywołać ponownie swoje synestetyczne doznania. W *Fantazji* Liszta pełno było symbolicznych aluzji. Kim był ten słyszący barwy, do którego skierowana była tak genialnie ukryta wiadomość? Czy byłby to długoletni weimarski pracodawca i protektor Liszta, wielki książę Carl Alexander? Jeśli tak, to ostrzeżenie dotarło do adresata, bo arystokrata przeżył wyznaczoną w niej datę śmierci o ponad dwadzieścia lat.

„Nie” - poprawiła się Sara i mocniej zacisnęła dłonie na papierowej tubie, którą dyrektor Niemieckiego Teatru Narodowego przekazał jej z prośbą o wyrozumiałość: „Proszę potraktować to jako małe zadośćuczynienie ze strony Fundacji Klasyki Weimarskiej za to, że tak długo nie dopuszczaliśmy pani do tego dzieła”. Obecni w biurze Markiego pracownicy Teatru i Orkiestry Państwowej zaczęli bić brawo, skończyło się na wznoszonych czerwonym szampanem toastach na cześć pianistki. Szwajcar posunął się nawet do

stwierdzenia, że d'Albis jak żadna inna potomkini Liszta uosabia sobą dziedzictwo tego wielkiego wirtuoza. Nienawykła do takich pochlebstw Sara wymigała się od dalszego uczestnictwa w spotkaniu, niezbyt zresztą zrećźnie.

Kiedy już się w końcu uspokoi, będzie mogła dogłębnie przestudiować partyturę swojego genialnego przodka. Wśród nut znajduje się też kilka niewykonanych tego dnia szkiców, a dyrektor teatru dołączył do prezentu jeszcze jedną perełkę – barwną kopię mapy Europy, za którą tak długo ukryte było dzieło. Sara wyobrażała sobie, jak setki słuchaczy premierowego koncertu przyciskają nosy do szkła, za którym w jasno oświetlonym klasycystycznym foyer na pierwszym piętrze Niemieckiego Teatru Narodowego wystawiono oryginał *Fantazji* Liszta.

W końcu Sara dotarła do bramy o dwóch kolumnach, przez którą wchodziło się na Zeughof, stromą uliczkę, której górna część dostępna była tylko dla pieszych. Po lewej miała Muzeum Bauhausu, po prawej żółty pałac Wittum, była siedzibę księżnej Anny Amalii. Obcasy Sary zastukały na kocich łbach, kiedy przechodziła przez kiepsko oświetlone zwężenie drogi.

Naraz usłyszała kroki. Odwróciła się, jednak w ciemnej alejce nie było żywej duszy. Szybko podbiegła do drugiej bramy, szczęśliwa, że zostawiła Zeughof za sobą.

Przez chwilę stała niezdecydowana na małym skrzyżowaniu, zastanawiając się, dokąd ma iść. Po lewej stronie widziała żółty budynek, przed którym na odgrodzonym od ulicy placu stała rzeźba z brązu: matka z dwójką dzieci, jednym niesionym na ramieniu, a drugim prowadzonym za rękę.

Widok ten przywołał w niej dwojakie wspomnienia. Sama nieczęsto mogła zaznać takiej bliskości własnej matki jak te dzieci. Josephine d'Albis zrobiła się pod koniec życia bardzo zamknięta w sobie.

Diwa operowa przerwała karierę, kiedy zaszła w ciążę i pod fałszywym nazwiskiem zamieszkała z nowo narodzonym dzieckiem na Małych Antylach. Sara nie potrafiła sobie przypomnieć, czy choć raz widziała, żeby jej matka była wesoła. Josephine wydawała się być pogrążona w niewytłumaczalnym smutku jak zamknięty w złotej klatce rajski ptak.

Poczucie winy z powodu depresji matki było zbyt ciężkie dla córki. Przez jakiś czas jedynym językiem, w którym potrafiła wyrazić swoje uczucia, były samookaleczenia. Nie przerwało to jednak powolnego umierania Josephine. Ta

uwielbiana niegdyś sopranistka zeszła ze sceny tego świata w zapomnieniu na St. Bartolome, mając zaledwie trzydzieści siedem lat.

Sara skończyła wtedy właśnie dziewiąty rok życia. Jak wyjaśnił jej zasuszony notariusz, dom przy plaży na St. Bartolome należał teraz tylko do niej. Maurice i Celine Frachet, bliscy przyjaciele Josephine, zabrali ją potem do siebie na Martynikę i krótko później adoptowali. Celine uczyła gry na fortepianie, a Maurice miał doktorat z astrofizyki. Zwykł mawiać, że zarówno on, jak i jego żona są muzykami, bo muzyka to przecież tylko inne słowo na określenie harmonii. Rozbudził tym nagłą ciekawość sieroty, która zdobyła się nawet na nieśmiałość: „Dlaczego?”. Odpowiedział wtedy: „To tajemnica. Każdy musi sam ją odkryć” i mrugnął porozumiewawczo.

Nie zostawił jej jednak samej z tą zagadką. Był z niego cierpliwy i mądry nauczyciel, znał niezliczone anegdoty z życia wielkich astronomów i potrafił opowiedzieć historię o każdej konstelacji. Obserwując razem z Sarą nocne niebo, mawiał czasami: „Ciii! Słyszysz ją?”. Ona uwielbiała tę grę, przytulała się wtedy do niego mocniej i pytała: „Co takiego, tato?”. A on odpowiadał z uśmiechem: „*Musi-ca mundana*, muzykę sfer”. Jeżeli nie była jeszcze zbyt zmęczona, mówił jej o pitagorejczykach, którzy uważali, że ruchy ciał niebieskich odbywają się według pewnych stałych stosunków liczbowych, tworząc w ten sposób „muzykę sfer”. Zwykli ludzie nie mogą jej usłyszeć, ale dziecko gwiazd, takie jak mała Sara, już tak.

Celine poświęcała sierocie równie wiele uwagi. Sara jej właśnie zawdzięcza miłość do fortepianu. Kiedy jej palce tańczyły po parkiecie z kości słoniowej i hebanu albo kiedy jej oczy przemierzały nocne niebo, zapominała o cierpieniu, które stało się jej udziałem. Zaburzenia zachowania szybko stały się jedynie cieniami przeszłości. Wspomnienie o Josephine też wkrótce zbladło w pamięci córki.

Dopiero kiedy zasuszony notariusz wręczył dorosłej już Sarze brązową kopertę, matka znów wdarła się do jej świadomości. Stało się to za sprawą tajemniczego listu, w którym znajdował się łańcuszek. Josephine pisała w nim, że klejnot pierwotnie ozdobił prawdopodobnie pierścień Franciszka Liszta. Świadczyły o tym ślady na tylnej stronie sygnetu. Mimo że w swoim liście pożegnalnym Josephine wielokrotnie wspominała nazwisko „wielkiego przodka”, Sara aż do tego wieczora nie była do końca przekonana, że litery „FL” naprawdę są inicjałami słynnego muzyka.

Skręciła w lewo w Geleitstrasse, dostrzegłszy u jej wylotu światła kilku restauracji. Brązowa rzeźba matki z dziećmi i wspomnienia pozostały z tyłu. A z nimi też światła latarni.

Z każdym krokiem ciemność gęstniała. W zasięgu wzroku nie było ani ludzi, ani samochodów. Sara przeszła z trotuaru na środek wąskiej wyłożonej kocimi łbami drogi. Prędko przebiegła obok starych domów o pięknie odrestaurowanych fasadach, byle tylko znaleźć się bliżej dodających odwagi świateł po drugiej stronie uliczki. Kiedy już prawie osiągnęła swój cel, uwagę jej przykuła komiczna rzeźba zdobiącą fasadę jednego z budynków. Przez chwilę zapomniała o swoim pośpiechu, przypatrując się postaci staruszki w długim fartuchu, która niosła przed sobą tacę z turyngeskimi kluskami.

Nagle z tyłu rozległo się wycie silnika.

Sara instynktownie skoczyła w lewo, żeby usunąć się z drogi. Dopiero stojąc na bezpiecznym chodniku, odwróciła się w stronę pędzącego w jej stronę pojazdu. Samochód jechał bez świateł. Zdziwiło ją to, nie wywołało jednak jeszcze żadnych podejrzeń. Potem jednak ciemna limuzyna nagle zahamowała i z piskiem opon zatrzymała się tuż obok niej. Sara, przerażona, cofnęła się pod ścianę budynku.

Barwiona szyba od strony kierowcy opuściła się z cichym szumem, ukazując w ciemnym wnętrzu twarz perkusisty.

- Tiomkin! Cóż to za gangsterskie numery! - ofuknęła go po francusku.

- Nie było już pani, kiedy dotarłem na przyjęcie po premierze.

- A więc?

- Szukałem pani. Chciałem poprosić panią o krótką rozmowę.

- Rozmowę? Coś się panu pomyliło, monsieur. Ani z pana skrzypce, ani ze mnie skrzypaczka. Proszę mnie zostawić w spokoju.

- Czy to koncert tak panią wstrząsnął?

Sara zadrżała.

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

- Chodzi mi o to, czego dowiedziała się pani, słysząc *Fantazję* Liszta.

Zagniewana Sara odwróciła się i ruszyła przed siebie, pragnąc schronić się w którejś z restauracji.

Samochód szarpnął do przodu i zagroził jej drogę. Perkusista, wychylając się ponownie z bocznego okna, zamruczał rozkosznie:

- Ależ nasza rozmowa dopiero się zaczęła. Proszę wsiadać, madame!

Zanim Sara zdobyła się na odpowiedź, usłyszała głośny brzęk dobiegający z końca ulicy. Bardzo, bardzo blisko.

- Nigdzie z panem nie jadę - powiedziała, zawróciła i pobiegła w stronę Zeughofu.

Perkusista zawrócił, objechał ją łukiem i ponownie zagroził jej drogę.

- Wsiadać! - warknął.

- Proszę przestać się wygłupiać, albo postawię na nogi całą okolicę! - zagroziła Sara. Mimo mrozu ze strachu zaczęła się pocić. Olbrzym na pewno był od niej dużo silniejszy;

- Powtórzę to tylko raz: Proszę natychmiast wsiąść! - rozkazał ostrym tonem.

Sara zauważyła odbicie światła w opuszczonej szybie. Rosjanin trzymał przy brzuchu coś prostego, ciemnego, zaokrąglonego. Zaparło jej dech w piersiach. Czy ten facet miał pistolet?

Chciała się obrócić, żeby znowu zacząć uciekać, ale jej obcas ugrzązł między kocimi łbami i kobieta upadła jak długa. „Teraz już cię ma!” - pomyślała, licząc się z tym, że lada chwila zostanie złapana za rękę albo też na miejscu podziurawiona kulami. Wtedy z lewej strony zauważyła cień. Była to potężna postać w kapeluszu i w długim czarnym płaszczu. Ogarnięta paniką Sara poderwała się z ziemi, podejrzewając, że perkusista wziął kogoś do pomocy, kiedy wydarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewała.

Nowo przybyły zadziwiająco lekko przyskoczył do drzwi kierowcy, w których rozbłysło białe światło. Sara zamarła. To, co uważała za broń, okazało się zwykłą latarką. Wiązka światła omiotła na mgnienie oka twarz nieznanego, na zbyt krótko jednak, żeby dało się ją wyraźnie zobaczyć. Mimo to jednak Sara zadrżała ze strachu, ponieważ ta postać przypominała jej kogoś. A potem - sama nie wierzyła własnym oczom - niezajomy nagle wy dobył spod płaszcza długi, połyskujący metalicznie przedmiot.

„Miecz!”

Ostrze wzniosło się w górę i opadło z impetem na przednią szybę samochodu. Ta pękła. Tysiąc małych rys zamieniło ją w pajęczą sieć.

- Szybko, proszę uciekać! - krzyknął człowiek z mieczem.

Sara czuła się jak w dziwnym śnie. Sparaliżowana strachem nie wiedziała

już, czy to nowoczesna inscenizacja jakiejś opery, czy rzeczywistość. „Grozi Pani wielkie niebezpieczeństwo!” Słowa z liściku na fotografii przemknęły jej przez głowę. W końcu ruszyła w jednym tylko bucie, bo obcas drugiego wciąż tkwił mocno między kamieniami bruku. Zrobiła dwa, trzy niepewne kroki.

- Biegiem! - ryknął bohater w płaszczu i z mieczem.

Spojrzała na niego oszołomiona. W końcu rozpoznała spowitą cieniem kapelusza brodatą twarz. Potem przeniosła wzrok na zdewastowany samochód, którego kierowca wrzucił wsteczny i mimo protestów skrzyni biegów zaczął się pospiesznie wycofywać. Wybawca Sary ruszył za nim z uniesionym mieczem. Ona sama dopiero wtedy odwróciła się i pokuśtykała w przeciwną stronę.

Po kilku krokach dotarła do końca alejki. Po jej prawej stronie miała gospodę „Scharfe Ecke”, a prosto przed sobą restaurację w stylu tex-mex. Porzuciła pierwotny plan schronienia się w którymś z lokali, zzuła drugi but i poszła w lewo. Cienkie nylonowe rajstopy ani trochę nie chroniły przed mrozem, ale do hotelu zostało jej przecież tylko kilkaset metrów.

Minąwszy róg ulicy, zauważyła naprzeciwko rozbite okno. Zwolniła zdziwiona. Sklep z bronią. Między odłamkami szkła leżały noże bojowe, pistolety i miecze. Tutaj więc jej czarny rycerz zdobył swoje połyskujące ostrze. Oszołomiona ruszyła w dalszą drogę.

Nie odeszła jednak daleko, usłyszała za sobą wołanie.

- Madame d'Albis! Proszę zaczekać!

Stała i odwróciła się. To był głos jej wybawcy, rycerza w czarnym płaszczu. Tym razem nie miał jednak miecza, zamiast niego w dłoni trzymał jej pantofel, którym machał, zbliżając się do niej. Widać było, że ledwo może złapać oddech. Kiedy był już całkiem blisko, krztusząc się, zdjął z głowy kapelusz.

Sarę sparaliżował strach. Ten niemal siedemdziesięcioletni mężczyzna, który mimo swojego wieku - jak to przed chwilą udowodnił - był jeszcze całkiem zwawy, to Oleg Janin we własnej osobie. Historyk muzyki z Moskwy, którego drugie mieszkanie mieściło się w Paryżu. Twórca i doręczyciel pilnego ostrzeżenia. Włamywacz i fetyszysta damskiej bielizny. Stalker z wyrokiem. Nic dziwnego, że jego twarz wydawała się jej znajoma.

- Pan? - wykrztusiła Sara przez zaciśnięte usta, wypływając przy tym kilka kropel śliny;

- Tak, ja - odparł Janin ze skruchą. Stał niepewnie mniej więcej trzy kroki od niej i powiedział:

- Powoli robię się za stary na takie eskapady.

Sara patrzyła na niego, zupełnie zbита z tropu nonszalancją, z jaką sprzeciwił się wyrokowi sądu. Tak, to bez wątpienia ten sam człowiek, którego przed dziesięcioma miesiącami nakryły z Helene *in flagranti*. Oleg Janin miał okrągłą twarz z płaskim, pooranym zmarszczkami czołem, bujne brwi i szeroki nos o wielkich nozdrzach. Ciemna, zakrywająca pół twarzy broda, poprzątykana nielicznymi tylko srebrnymi pasmami, była tym razem, w przeciwieństwie do ich poprzedniego spotkania, starannie przystrzyżona. Włosy na głowie również dzielnie opierały się siwiźnie, ale za to czoło sięgało mu prawie na potylicę. Miał dobre metr osiemdziesiąt wzrostu, postawną sylwetkę i w całym swoim zachowaniu był raczej flegmatyczny - o ile nie szarżował akurat z mieczem na samochody. Całą swoją postacią sprawiał wrażenie dobrotliwego wujka z bajki. Zupełnie nie pasował do potocznych wyobrażeń o stalkerach.

- Nie musi się mnie pani bać - powiedział, wykonując uspokajający gest dłonią, kiedy gniew w oczach Sary zrobił dla niego odrobinę zbyt intensywny.

„Proszę po prostu nie reagować na jego zaczepki i unikać wszelkiego kontaktu”. Wpojone przez psycholog zasady zachowania rozbrzmiewały w jej głowie jak dźwięki czelesty. Jak miała się zachować? Po prostu odwrócić się i zacząć uciekać?

- O czym pani teraz myśli? - zapytał Rosjanin.

- O czeleście.

- *Clavilame*? To dopiero oryginalne! - kąciki ust Janina uniosły się w rozbawieniu.

- Nikt pana nie poinstruował, monsieur Janin, ile to jest trzysta metrów?

Rosjanin rozłożył ręce.

- Przybywam w pokoju, madame. Mój terapeuta twierdzi, że jestem już zdrowy. Poza tym, gdybym trzymał się ściśle litery wyroku, to mogłaby pani teraz nie żyć.

Przez plecy Sary przebiegł zimny dreszcz. Do tej pory sądziła, że zaczepki perkusisty podpadają pod szczególnie prostą wersję tego, co niektórzy mężczyźni rozumieją jako „odrobinę zabawy”, ale nie.

- Nie powinna pani chodzić boso po nocy o tej porze roku - głos Janina przerwał jej chaotyczne myśli. Uśmiechając się, podszedł jeszcze dwa kroki do przodu i wyciągnął w jej stronę but.

- Nie jestem boso, mam rajstopy - odparła przekornie, wzięła od niego jednak swój pantofel.

Kiedy wkładała buty, Rosjanin powiedział:

- Madame d'Albis, najlepiej będzie jak stąd znikniemy. Słyszący Barwy może się jeszcze rozmyślić i wrócić. - Janin spróbował złapać ją pod ramię, ona jednak odwróciła się od niego.

- Nie sądzi pan chyba, że z panem dokądkolwiek pójdę.

Nagle zamilkła:

- Słyszący Barwy?

Janin źle zrozumiał jej zaskoczenie.

- Nigdy pani o nich nie słyszała? Jedno pytanie, madame. Wiem, że była dziś pani na premierze nowego utworu Liszta.

- Ha! - roześmiała się z satysfakcją. - Proszę nie udawać świętoszka. Widzę przecież czarno na białym, że mnie pan szpieguje. Pański Hermes nie omieszkał mnie znaleźć.

- Kto?

- No, ten chłopak, którego pan do mnie wysłał.

Gęste brwi profesora ściągnęły się niczym ciemne chmury;

- Chłopak?

- Monsieur Janin - powiedziała Sara zniecierpliwiona. - Co ma oznaczać to całe szalone przedstawienie, te wszystkie złowrogie ostrzeżenia, ta walka przed chwilą? I co to ma wspólnego z premierą?

- Czy może podczas dzisiejszej premiery zobaczyła pani coś szczególnego, madame d'Albis?

- Co? - Sara oniemiała. Zapomniała nagle, o co chciała zapytać. Najpierw perkusista, teraz Janin - skąd oni wszyscy wiedzieli, jakich niezwykłych doznań doświadczyła podczas dzisiejszego koncertu?

Profesor skinął znacząco głową.

- A więc tak. Przeczuwałem to. Właśnie dlatego, moje dziecko, chcę dostać cię w swoje ręce.

Sara zignorowała niespodziewaną poufałość w głosie rozmówcy.

- Oni? O kim pan w ogóle mówi?

- Dobry Boże, powiedziałem już przecież. O Słyszących Barwy!

- Janin gwałtownie odwrócił głowę. Niedaleko dało się słyszeć wycie silnika.

Zbliżał się jakiś samochód. Rosjanin znów zwrócił się do Sary. Słowa wystrzelały mu z ust z prędkością karabinu maszynowego.

- Perkusista na pewno ściągnął posiłki. Nadal pani szukają. Wejźmy do tamtego lokalu i przeczekajmy, aż zagrożenie minie.

Sara nie mogła zrozumieć, w co się tak naprawdę wpakowała. Zamknęła oczy i zagryzła wargi. „Proszę unikać każdego z nim kontaktu”. Miała wrażenie, że surowy głos terapeutki dla ofiar stalkingu dochodzi nie z wewnątrz jej głowy, ale skądś obok niej. Ale jaki miała wybór? Zrezygnowana potrząsnęła głową i popatrzyła w napięciu w twarz profesora.

- Z góry uprzedzam, monsieur Janin. Proszę nie robić sobie fałszywych nadziei.

Rosjanin roześmiał się z ulgą.

- Bez obaw, madame. To dla pani dobra.

Chciał ująć ją pod rękę, ale znowu się cofnęła. Poszła z nim jednak w stronę wejścia do oddalonej o kilka kroków restauracji. Jej nazwa brzmiała „Anno 1900”.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

Bez pozytywnej treści nie da się na tym świecie obudzić żadnych pasji – ani przyjaznych ani wrogich.
Heinrich Heine, 1837

Rozdział 3.

Weimar, 13 stycznia 2005, 21:28

Osoby obyte w świecie, stojąc w drzwiach wąskiego, długiego, parterowego pomieszczenia, pomyślałyby zapewne, że mają do czynienia z luksusową klasycystyczną wersją amerykańskiej przydrożnej restauracji. Wrażenie to potęgował zwłaszcza rząd dużych, półkoliście zwieńczonych, wieloczęściowych okien od strony ulicy. Kiedy już się jednak weszło do „Anno 1900”, złudzenie pryskało.

Atmosfera tego miejsca przypominała ukształtowany także przez Liszta wiek srebrny i lata pierwszej wojny światowej, która po nim nastąpiła: zestawione razem kolorowe meble z czasów prababci, zachlapanie woskiem świeczniki, lampy z kloszami w kolorze bursztynu, czarne tablice z wypisanymi kredą nazwami dań i bujnie wyrosnięte palmy. Teraz, wieczorem, pomieszczenie oświetlone było słabym światłem, w którym wszystko wyglądało jak za cienkim welonem, co przydawało zresztą lokalowi uroku. Z pobieżnej lektury karty napojów Sara dowiedziała się, że restauracja została otwarta w 1890 roku jako ogród zimowy jednego z hoteli. Wyjrzała sponad menu.

Oleg Janin przeszukiwał właśnie wewnętrzne kieszenie swojej marynarki w angielskim stylu z grubej żółtozielonej wełny. Ubranie to skojarzyło się Sarze z wojskowymi zdjęciami lotniczymi. Profesor zajął całą sofę po drugiej stronie stołu i sprawiał wrażenie lekko zagubionego.

Wszystkie inne stoły były zajęte, zostali więc skierowani do umieszczonego w przybudówce na tyłach po lewej „kącika konferencyjnego”, który właśnie się zwolnił. Jak objaśniła kelnerka o włosach koloru słomy, w każdy czwartkowy wieczór młodzi weimarscy artyści grywali tu na pianinie. Słyszeć ich było aż nazbyt dobrze.

Sara zajęła jeden z sześciu stołów konferencyjnych. Papierową tubę z nutami

położyła na blacie obok siebie, nie tyle w celu obrony przed potencjalnymi zaczepkami ze strony Rosjanina, ale raczej po to, żeby podkreślić, że nie powinien niczego sobie obiecywać po ich *tete-a-tete*.

Rozglądała się nerwowo po pomieszczeniu. Kiedy przez chwilę zatrzymała wzrok na rzędzie okien, zobaczyła przejeżdżający właśnie samochód. Czy perkusista ciągle jej szukał? Zniechęcona potrząsnęła głową. Musiała się uspokoić. Jeśli nie chciała ponownie wpaść w ręce Słyszących Barwy, powinna słuchać rad swojego czarnego rycerza. Skoro i tak już tu z nim siedziała, mogła równie dobrze wykorzystać okazję i wyjaśnić kilka palących kwestii.

Chcąc przekrzyczeć fortepian, pochyliła się nad owalnym stołem i zawołała:

- Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, monsieur Janin, dlaczego jest pan w Weimarze?

Siedzący na kanapie Rosjanin zawahał się, musiał dokładnie przemyśleć swoją odpowiedź. Potem jednak odezwał się głośnym, głębokim głosem:

- Wydaje mi się, że z tego samego powodu co pani, madame d'Albis.

W restauracji było wprawdzie duszno i gorąco, ale Sarę przeniknął zimny dreszcz. Miała wrażenie, że starzec przyjął za punkt honoru, żeby ją speszyć. Nie mógł przecież wiedzieć, dlaczego od prawie dwóch tygodni błąkała się po „turyńskich Atenach”. W końcu zapragnęła wpuścić trochę światła między splątane gałęzie drzewa genealogicznego swojej rodziny, a żadne miejsce na świecie nie nadawało się do tego lepiej niż Weimar. Franciszek Liszt piastował tutaj między rokiem 1842 a 1860 stanowisko arcyksiążęcego nadwornego kapelmistrza do specjalnych poruczeń, a również i potem często odwiedzał to miasto. W Archiwum Goethego i Schillera przechowywano jego pisma, Uniwersytet Muzyczny im. Franciszka Liszta miał niektóre stare partytury, a w głębinach archiwum biblioteki księżnej Anny Amalii zebrano jego osobistą kolekcję książek. Sara wiele dni strawiła na drażeniu własnych sztolni w tej kopalni wspomnień, niczego jednak nie odnalazła. Odpowiedziała wymijająco:

- Przyjechał pan na premierę?

Na brodatą twarz Janina wystąpił uśmiezek.

- Tak, na premierę. Poza tym byłem też na pani koncercie charytatywnym w sobotę. Naprawdę godne pochwały, że tak angażuje się pani w rekonstrukcję zniszczonych skarbów księżnej Anny Amalii. Pożar był tragedią o trudnych do wyobrażenia rozmiarach.

- Monsieur Janin - przerwała profesorowi Sara, z trudem zachowując panowanie nad sobą. - Mam wielką ochotę pójść teraz na policję i złożyć na pana doniesienie. Wbrew wyraźnemu wyrokowi sądu przyjeżdża pan za mną do Niemiec, przychodzi na mój koncert i wręcza mi złowieszcze ostrzeżenia.

Janin sprawiał wrażenie zdezorientowanego, kiedy Sara wspomniała o zdjęciu z wiadomością, ale zanim udało mu się coś odpowiedzieć, przyszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Sara poprosiła o lampkę bordeaux, a profesor zamówił ciemne piwo i akwawitę. Kiedy dziewczyna zniknęła, ucichła też muzyka. Pianista podarował słuchaczom chwilę przerwy. Sara odetchnęła. Przynajmniej nie musieli już krzyczeć.

Profesor wykorzystał przerwę, żeby nagryzmolić coś na szarej wizytówce, którą następnie w milczeniu przesunął po blacie stołu w stronę Sary.

- Co to ma znaczyć? - spytała poirytowana.

Wciąż się uśmiechał.

- Widzę wyraźnie, madame d'Albis, że mi pani nie ufa, mogę to zresztą doskonale zrozumieć. Najlepszym lekiem na napięcie w relacjach międzyludzkich jest, jak wiadomo, szczerłość.

Wskazał na leżącą przed Sarą wizytówkę, którą ta mierzyła wzrokiem jak jakiegoś jadowitego robaka.

- Na odwrocie zapisałem pani numer mojego pokoju w hotelu „Elephant”. Na wypadek gdyby chciała pani do mnie zadzwonić. A jeśli nie zastanie mnie pani w hotelu, proszę wysłać mi po prostu e-mail.

Sara wzięła wizytówkę i schowała do torebki - materiał dowodowy numer dwa. Dopiero wtedy odpowiedziała:

- A jeżeli wcale nie interesują mnie żadne relacje między nami?

Janin opadł na oparcie sofy, rozłożył ręce i roześmiał się jowialnie.

- Oczywiście może pani złożyć na mnie donos. Dobrze byłoby wspomnieć też przy okazji o perkusii. Proszę się tylko nie zdziwić, jeśli skończy się na tym, że to pani wyląduje w więzieniu. Słyszący Barwy dysponują większą władzą i rozleglejszymi wpływami, niż może to pani dziś chociażby podejrzewać. Tak czy siak nie dowie się pani nigdy, co wydarzyło się dziś wieczorem. Nie wydaje mi się, żeby o to właśnie pani chodziło.

Sara posłała profesorowi pełne nieufności spojrzenie swoich ciemnobrązowych oczu. Oczywiście ciekawiło ją, co oznaczały wydarzenia

ostatniej półtorej godziny. Przemogła niechęć wobec Rosjanina i spytała:

- Kim albo też czym są Słyszący Barwy?

Janin pochylił się głęboko do przodu i spojrzał po sąsiednich stołach, jakby szukając szpiegów. Potem odparł cicho:

- To tajna organizacja, która od zarania dziejów chroni Dźwięki Władzy, manipulując w ten sposób ludźmi.

Przez chwilę Sara nie wiedziała, co powiedzieć. Potem z trudem powstrzymała wybuch histerycznego śmiechu.

- To się robi coraz bardziej szalone! Najpierw zjawia się pan z mieczem jakby żywcem wyjęty z *Braveheart*, a potem opowiada mi bajki o tajnych stowarzyszeniach. Psycholog tłumaczyła mi, że ma pan problemy z postrzeganiem rzeczywistości, ale to już...

Bezradnie pokręciła głową.

Janin pozostał spokojny.

- Czy to mnie, czy panią próbowano przed chwilą porwać?

- Może perkusistę też interesowała tylko moja bielizna. Takie rzeczy się zdarzają.

- Jeśli to miała być aluzja pod moim adresem: nie włamywałem się do pani mieszkania po to, żeby szperać w pani bieliźnie, madame d'Albis - odparł chłodno Janin.

Z gardła Sary wyrwał się krótki śmiech.

- Doprawdy! Nie? A przed sądem właśnie to pan zeznał.

- Wolałaby pani, żebym powiedział przy wszystkich, że jest pani spadkobierczynią wielkiego mistrza Słyszących Barwy?

Sara patrzyła na Rosjanina z otwartymi ustami.

Ten skinął ciężko głową.

- Przyznaję, nie mam niepodważalnych dowodów, że to Liszt stał na czele bractwa, ale wskazują na to wszystkie poszlaki. Kiedy prasa podała, że jest pani jego potomkinią, zwietrzyłem swoją wielką szansę. Miałem nadzieję znaleźć u pani dokumenty albo cokolwiek innego, co potwierdziłoby moją teorię.

- A więc po prostu włamał się pan do mojego mieszkania.

- Całe tygodnie próbowałem się do pani zbliżyć, ale trwała pani w swoim paranoicznym uporze i uważała zawsze, że jestem po prostu stalkerem, który panią prześladowuje.

- Nie - odparła Sara, pomna tego, co wbijano jej do głowy przez niezliczone

godziny terapii. – To nie ja jestem tu winna, monsieur Janin, tylko pan. Dlaczego w żadnym z listów ani podczas żadnej z rozmów telefonicznych nie wyraził się pan jaśniej? Zawsze mówił pan tylko, że musi się ze mną koniecznie spotkać. Ma pan w ogóle pojęcie, jak wielu fanów próbuje tego każdego dnia?

– Tego, co wiem o Słyszających Barwy, nie mogę powierzyć ani poczcie, ani operatorom telefonicznym.

– A więc teraz byłby dobry moment, żeby mi o tym opowiedzieć.

I proszę nie wspominać ani słowem o żadnych Dźwiękach Władzy.

Janin spojrział na nią z politowaniem.

– Media bez końca piszą synestezji Sary d’Albis, a mimo to właśnie pani wątpi w siłę oddziaływania muzyki. Niedawno sam odkryłem, jaką moc roztacza pani nad publicznością. Możliwe, że nie jest pani świadoma swojego daru, moje dziecko, bo nie manipuluje pani ludźmi świadomie.

– Manipuluje? – odparła ostro Sara. – Między oczarowaniem słuchaczy a zmuszeniem ich do działania wbrew ich woli jest wielka różnica. Ludzie przychodzą na moje koncerty i kupują płyty po to, żeby posłuchać muzyki, odprężyć się i zapomnieć o codziennych problemach. Daję im tyle i nic więcej.

Profesor zachichotał bezgłośnie w brodę.

– Tak, tak, dobrze. Być może nie panuje pani świadomie nad swoimi zdolnościami, ale proszę zaufać ekspertowi: tak niezwykły dar, jak u pani, jest rzadkością nawet wśród Słyszających Barwy. To, co pani wyssała z mlekiem matki, jest podstawą sztuki, którą bractwo udoskonala od stuleci – sztuki podporządkowywania sobie ludzi za pomocą melodii i sekwencji dźwięków.

– Bzdury!

– Nie tak prędko, moje dziecko. Zazwyczaj to, co z góry odrzucamy jako bajkę, najbliższe jest prawdy. Nigdy nie czytała pani w Biblii, jak Dawid przynosił królowi Saulowi ulgę grą na harfie, tak że odstępował od niego zły duch? A mury Jerycha rozpadły się przecież od dźwięku trąb.

– A więc teraz te Dźwięki kruszą też kamienie?

– Jeśli przyjmiemy, że bastiony to metafora chęci oporu ludzi, to tak. Wiem, że wiele osób nie chce przyznać muzyce takiej mocy. Ale weźmy choćby legendę o fleciście z Hameln. Historycy stworzyli niezliczone teorie, aby wyjaśnić ten fenomen, bo nie mogło pomieścić im się w głowach, że wędrowiec potrafił, po prostu grając na flecie, sprawić, by dzieci dobrowolnie poszły za nim. Ale,

proszę mi wierzyć, dla Słyszącego Barwy nie byłoby to nic trudnego.

Sara milczała. Zupełnie nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Janin opisał jej zdolności lepiej, niż kiedykolwiek udałoby się to nawet komuś pokroju Hanny Landnal. Przykłady z dawnych legend brzmiały pozornie absurdalnie, ale im dłużej o nich myślała, tym więcej przypominała sobie opowieści o tych, jak je nazwał, Dźwiękach Władzy.

- O czym pani myśli? - zapytał profesor.

- Przyszła mi do głowy pitagorejska muzyka sfer. Ojczym mi o niej opowiadał. Janin skinął głową.

- Wydaje mi się, że stopniowo zaczynamy się rozumieć. Kiedy otworzy pani oczy, wszędzie dostrzeże pani echo Słyszących Barwy; że pozwolę sobie na takie synestetyczne sformułowanie: we wspomnianej już harmonii sfer, we wzorach Izaaka Newtona, które opisują związek między wibracjami dźwiękowymi a długością fali świetlnej, czy też w *Nauce o barwie* pióra prawdopodobnie najsłynniejszego synestetyka, Johanna Wolfganga Goethego.

Wtem wykład profesora zagłuszył sygnał przejeżdżającego ulicą radiowozu. Oboje odwrócili się w stronę okien. Pewnie ktoś w restauracji tex-mex wezwał policję. W końcu przyniesiono napoje. Sara natychmiast wypila potężny łyk czerwonego wina. Najchętniej natychmiast zakończyłaby tę absurdalną rozmowę, ale syrena policyjna uświadomiła jej wyraźnie całą powagę sytuacji.

- Jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie słyszałam o tych całych Słyszących Barwy? - zapytała, kiedy kelnerka odeszła.

Janin jednym haustem opróżnił kieliszek akwawity. W zamyśleniu spoglądał na biały krzyż maltański wytłoczony w czerwonym owalu na wysokim kieliszku, a potem odpowiedział spokojnie:

- Ponieważ są mistrzami kamuflażu. Można dostrzec ich tylko poprzez ślady, które za sobą zostawiają.

- Na przykład?

Pokazał znak na kieliszku.

- Ośmiokątny krzyż joannitów, późniejszych kawalerów maltańskich, jest jednym z ich ulubionych symboli. W ogóle cyfra osiem jest dla Słyszących Barwy bardzo ważna. Wystarczy, że rozejrzy się pani po świecie, a zadziwi panią, jak często natknie się pani na obrazy Słońca albo innych gwiazd z ośmioma promieniami. Do tej grupy należy też róża wiatrów.

- Moment, nie tak szybko - przerwała profesorowi Sara. - Co joannici mają

wspólnego z tajnym bractwem Słyszących Barwy?

- Słyszący od zarania dziejów byli niewielkim, bardzo elitarnym kręgiem. Zawsze wykorzystywali wpływowe organizacje do osiągnięcia własnych celów. Joannici są najstarszym zakonem rycerskim. Kiedyś dysponowali wielką władzą, tak samo jak biedni rycerze Chrystusa i świątyni Salomona.

- Templariusze. Wszyscy oni byli Słyszącymi Barwy?

Janin pokręcił głową.

- Jeszcze raz: Słyszący Barwy wykorzystywali jedynie infrastrukturę zakonną: środki finansowe, posłańców, zamki, system zachowywania poufności. W późniejszym okresie podporządkowali sobie różokrzyżowców, iluminatów i wolnomularzy. Ukrywali się w ich lożach i wykorzystywali je.

- Zadziwiające, jak wiele rozmaitych interpretacji da się dorobić do starych symboli - zadrwiła Sara.

Profesor ostrożnie odstawił kieliszek na bok, a potem odpowiedział:

- Nie powinna pani tak afiszować się ze swoją ignorancją, moje dziecko. Proszę uważnie popatrzeć na to, co teraz zrobię.

Zanim mogła mu przeszkodzić, chwycił jej papierową tubę i wydobył skądś długopis. Szybkimi pociągnięciami ręki namalował coś na naklejce z adresem i na koniec odwrócił rolkę, przedstawiając Sarze swoje dziełko.

- Co pani widzi?

Był to krzyż maltański, albo krzyż joannitów, zakreskowany na niebiesko dla lepszej ekspozycji. Tak właśnie powiedziała.

Janin skinął głową na potwierdzenie, ponownie odwrócił etykietę do siebie, zamienił dotychczasowe narzędzie kreślarskie na ołówek i znów zaczął rysować, mruczając pod nosem:

- Proszę bardzo dokładnie uważać! Nakreślę parę prostych linii wzdłuż zewnętrznych krawędzi... tu i tu... i *voilà*...

Tym razem położył tubę tuż przed jej nosem.

- Nigdy bym na to nie wpadła! - odparła zaskoczona. Krzyż na jej oczach zamienił się w ośmioramienną gwiazdę, która, przy odrobinie fantazji, mogłaby zostać uznana też za różę wiatrów.



Zaskoczenie Sary wyraźnie rozbawiło Janina.

- Jedno ukryte w drugim - powiedział sentencjonalnie. - Wystarczy się przyjrzeć, żeby dostrzec powiązania.

Zdumienie pozbawiło Sarę z wszelkiej przekory. Spytała, łagodnie raczej niż agresywnie:

- Moglibyśmy darować sobie dalsze dzieła sztuki i przejść od razu do miejsca, w którym wyjaśni mi pan te powiązania?

Profesor uśmiechnął się z ulgą.

- W tym celu właśnie przyjechałem do Weimaru.

Pochylił się do przodu i zaczął snuć cicho opowieść o Jubalu, założycielu i pierwszym wielkim mistrzu Słyszących Barwy. W Księdze Rodzaju, pierwszej księdze Biblii, w dwudziestym pierwszym wersie czwartego rozdziału napisano, że był to potomek Kaina, od którego „pochodzą wszyscy grający na cytrze i na flecie”². W symbolice bractwa oba te instrumenty od niepamiętnych czasów zajmowały bardzo wysokie miejsce, a oficjalny tytuł ich przełożonego brzmiał zresztą: mistrz harfy.

Jubal, chcąc przekazać swoim dzieciom wiedzę o potędze muzyki, zebrał ją w Nauce Dźwięków. Była to jedna wyjątkowa melodia, którą Słyszący Barwy określali także mianem Królowej Dźwięków. Przez całe eony kolejni mistrzowie harfy uczyli zaufanych adeptów tego dźwięcznego testamentu Jubala. Zawsze bezpośrednio. Zapisywanie nut zabronione było pod karą śmierci.

Była to chyba najstarsza melodia świata, a „czytać” ją mogli jedynie ludzie obdarzeni niezwykle rzadką formą *audition colorée*. Wybranych - zwykle adeptów obojga płci - nazywano mistrzami równymi Jubalowi. Ponieważ synestezja jest dziedziczna, a słyszenie barw występuje częściej u kobiet niż u mężczyzn, zakonowi często przez całe pokolenia przewodziły potomkinie jednego mistrza harfy;

Wśród Słyszających Barwy panuje ścisła hierarchia, zaczynająca się na stopniu neofity – niewtajemniczonego ucznia, a kończąca na adeptcie, członku ścisłego kręgu potencjalnych następców skupionych wokół aktualnego mistrza harfy. Ten uczy swoich braci określonego repertuaru Dźwięków Władzy zależnie od ich rangi. Istnieje na przykład melodia, która każe słuchaczom rzucić się do panicznej ucieczki. Inna nakazuje im zebrać się w określonym miejscu. Kolejne wzbudzają uczucia takie jak radość, smutek, nienawiść albo wywołują niepohamowaną chęć rozmowy. Jest nawet taka, która nakazuje zabić władcę.

– Wygląda więc na to, że ten cały Jubal i jego potomkowie byli idealnymi konspiratorami – przerwała Sara profesorowi.

– Kodeks wewnętrznego kręgu nakazywał chronienie narodów ziemi przed niszczycielskimi siłami i doprowadzenie ich w końcu do nowego, lepszego świata. Uważa pani, że to niski cel?

– Niekoniecznie. Powiedziałabym, że zależy to od środków przyjętych dla jego realizacji.

– Proszę mi uwierzyć, gdyby nie Słyszący Barwy, nasz świat wyglądałby dziś zupełnie inaczej. Zakon przez bardzo długi czas stosował się do własnych zasad i chronił ludzkość. Niestety, mimo ścisłych wymagań dotyczących charakteru neofitów, zdarzało się, że do bractwa przyjmowani też byli ludzie niewarci tego zaszczytu.

– Egotycy, upojeni afrodyzjakiem władzy?

– Tak. Jubal postąpił mądrze, zaklinając swoją naukę w formie, którą tylko nieliczni potrafili zgłębić. Przez wiele stuleci pozostała dzięki temu bezpieczna. Aż do XVII wieku, kiedy jeden z członków zakonu dopuścił się świętokradztwa.

– To znaczy?

Janin skinął głową.

– Sporządził zapis nutowy Nauki Dźwięków. To tak zwana Szkarłatna Partytura, zwana również Purpurowymi Nutami.

Sara poczuła się tak, jakby uderzył ją piorun. „Purpurowe Nuty?” Przecież ta sama nazwa pojawiła się w wiadomości od Liszta! Pod stołem uszczypnęła się w dłoń, żeby bólem zwalczyć wewnętrzne napięcie. Zapytała tak niewinnie, jak tylko umiała:

– Skąd akurat ten kolor?

– W nawiązaniu do kardynalskiej purpury – wyjaśnił Janin.

- Jeden z nich zawiązał spisek przeciwko Słyszącym Barwy i w końcu udało mu się nakłonić któregoś z adeptów mistrza harfy do zapisania nauki Jubala w formie nutowej. Ów książę Kościoła obiecywał sobie po tajemnej wiedzy bractwa nieograniczoną władzę, ale intryga wymknęła mu się spod kontroli i doprowadziła w końcu do wojny Słyszących, która właściwie unicestwiła zakon. Sam główny zainteresowany nigdy nie był w stanie wykorzystać Szkarłatnej Partytury, bo ani on sam, ani żaden z jego siepaczy nie dysponowali tym specjalnym rodzajem *audition colorée*.

- A potem Nauka przepadła na zawsze?

- Z tego, co wiem, sporządzono tylko jeden egzemplarz nut, który zaginął - co nie oznacza, że przepadł na zawsze. Nieliczni Słyszący Barwy, którzy przeżyli, odbudowali zakon, a ich duchowi spadkobiercy do dziś poszukują Królowej Dźwięków. Na całym świecie wynajdują dzieci ze szczególnym darem synestezji. Jednocześnie też sporządza się wariacje na temat znanych Dźwięków Władzy, tworząc w ten sposób nowe metody, aby okiełznać moce muzyki.

- Wie pan o nich zadziwiająco dużo.

- Całe dziesięciolecia poświęciłem badaniu tego stowarzyszenia. W końcu chodzi tu o jedną z największych tajemnic ludzkości. Powszechnie wiadomo, że muzyka ma na nas przemożny wpływ, ale nikt nie próbował do tej pory wyjaśnić przekonująco dlaczego.

- A kiedy już zrozumiemy rządzące tym zjawiskiem mechanizmy, będziemy mogli zacząć go używać. Służby specjalne i wojskowi będą zachwyceni.

Profesor potrząsnął zdecydowanie głową:

- Moja praca służy wyłącznie pokojowym celom, tak też widzi ją rada mojego wydziału na Uniwersytecie Moskiewskim imienia Łomonosowa. Zwolnili mnie z obowiązku prowadzenia zajęć, żebym mógł w spokoju prowadzić badania w Paryżu.

- Czemu akurat w Paryżu?

- Ponieważ to tajne stowarzyszenie zawsze najgłębsze piętno odciskało na ośrodkach władzy: w Babilonie, Rzymie, Bizancjum, a potem w państwie Franków. Badacz taki jak ja nigdzie nie zbliży się do nich bardziej. Większość pisemnych świadectw, które wskazują na ich istnienie, pochodzi z Francji po schizmie.

- Schizmie?

Janin zaczerpnął głęboki łyk ciemnego piwa.

- Ci, którzy przetrwali wojnę, podzielili się na dwie frakcje: Jasnych albo Białych, określających często samych siebie mianem Łabędzi, oraz Orłów, zwanych też w niektórych źródłach Ciemnymi albo Czarnymi. W symbolice koloru i zwierzęcia zawarte są też ich cele: Biali chcieli udostępnić światu swoje idee i oświecić go przez nowe rozumienie muzyki. Czarni natomiast reprezentowali tradycyjne podejście zakonu, wierzącego, że tylko tajne, działające w ukryciu stowarzyszenie dysponuje możliwościami rozwoju koniecznymi do zbudowania nowego świata. W odróżnieniu od raczej pasywnych Łabędzi skłaniali się też ku radykalnym środkom, byli gotowi nawet, że tak to ujmę, podpalić świat, wywołać apokalipsę i w ten sposób doprowadzić do przemiany ludzkości.

Janin zaczerpnął powietrza i odezwał się zaskakująco uprzejmie:

- A który sposób wybrałaby pani, madame d'Albis?

- Pyta pan poważnie? - parsknęła Sara.

Jednym haustem wypił piwo i otarł usta serwetką.

- Proszę mi wybaczyć brak taktu. Przeżyła pani właśnie szokujące wydarzenie, a ja zanudzam panią moimi badaniami.

Sara nie potrafiła rozszyfrować Rosjanina. Czasami prawie go lubiła. Bądź co bądź przed chwilą stanął w jej obronie, sporo przy tym ryzykując. Zapytała nieco przyjaźniej:

- Co stało się z dwiema grupami Słyszących? Czy perkusista należy do Orłów, czy do Łabędzi?

- Nie wiem, czy ci drudzy w ogóle jeszcze istnieją. Ciemni natomiast są równie aktywni co zawsze. O ile wiem, Tiomkin to prawa ręka obecnego mistrza harfy imieniem Siergiej Niekrasow, który zrobi wszystko, żeby wejść w posiadanie zaginionych Purpurowych Nut.

- Może dawno już zostały zniszczone?

Janin powoli pokręcił głową.

- Wydaje się, że Niekrasow wierzy plotkom z XIX stulecia, wedle których Biały mistrz harfy znał miejsce ukrycia Szkarłatnej Partytury i zapisał tę informację w pewnym dokumencie.

- Powiedział pan, że Franciszek Liszt był wielkim mistrzem Słyszących Barwy. Czy według pana to on sporządził tę... mapę skarbów?

- Przemawia za tym parę rzeczy. W każdym razie nigdy nie znaleziono takiego dokumentu. - Janin westchnął. - Może tak zresztą lepiej, bo Królowa Dźwięków w niepowołanych rękach zamieniłaby się w broń, wobec której wszystkie głowice atomowe tego świata wyglądałyby jak pudełko petard.

Sara nerwowo popijała z kieliszka. Wolałaby, żeby ta puszka Pandory pozostała zamknięta i żeby nakreślony przez Janina scenariusz okazał się tylko wytworem jego wybujałej wyobraźni. Ale jak wtedy miałaby wyjaśnić wizję, której doświadczyła podczas koncertu?

- Muszę panią na chwilę przeprosić - powiedział profesor, podnosząc się ociężale z sofy Sara spojrzała na niego pytająco.

Roześmiał się cierpko.

- Zew natury. Mężczyźni w moim wieku nie mogą mu się długo opierać.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

Zanim zniknął w sali po prawej, przez którą wiodła droga do toalety, odwrócił się raz jeszcze i powiedział:

- Kiedy wrócę, mam nadzieję usłyszeć o pani wrażeniach z dzisiejszego występu.

Na chwilę zastygła, a potem uśmiechnęła się łagodnie.

Oleg Janin zniknął.

Sara policzyła w myślach do dziesięciu, potem wstała zdecydowanie, wzięła płaszcz, torebkę i papierową tubę, umykając wcisnęła kelnerce dychę i wybiegła z lokalu. „Russischer Hof” był oddalony zaledwie o kilka kroków, znajdował się bowiem dokładnie po drugiej stronie Placu Goethego. Mogła mieć zatem uzasadnioną nadzieję, że tego wieczora nie będzie już przez nikogo napastowana.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Ze wszystkich sztuk pięknych to właśnie muzyka ma największy wpływ na emocje, to ją państwo powinno więc wspierać najbardziej.

Napoleon I

Rozdział 4.

Paryż, 13 stycznia 2005, 22:32

Ville Lumière - Miasto Świateł - co noc występuje w błyszczącym peniuarze, aby uwodzić zarówno mieszkańców, jak i odwiedzających, roztaczając przed nimi czar swojej urody i odbierając w zamian ich sen. W paryskiej centrali firmy Musilizer nie zwracano jednak na to uwagi - mrok spowijał wszystkie okna już półtorej godziny przed północą. Z jednym wyjątkiem. W gabinecie dyrektora za wielkim biurkiem siedział na wózku inwalidzkim bardzo stary człowiek o śnieżnobiałych włosach.

Musilizer SARL zarabiała głównie na muzyce. Konkretniej rzecz biorąc - na muzyce funkcjonalnej. Czy też, precyzując to jeszcze bardziej, na wszystkich tych zbitkach dźwięków, które sączą się z głośników na lotniskach, dworcach, w supermarketach oraz w windach. Wpływają one na podświadomość ludzi po to, żeby przedzierzgnąć ich w cierpliwych pasażerów, zachłannych kupujących czy też spokojniejszych użytkowników wind. Musilizer był, obok Muzak LLC, najbardziej znaczącą firmą tego rodzaju na całym świecie, działał jednak dużo dyskretniej.

Jeśli jakieś przedsiębiorstwo chciało zmotywować pracowników zatrudnionych w fabryce do większego wysiłku, zwracało się w pierwszej kolejności do Muzaka, ale jeśli jakiś polityk pragnął, żeby elektorat zapalał miłością właśnie do niego, przychodził do Musilizera. W dobrze poinformowanych kręgach można było dowiedzieć się, że ta mieszcząca się przy Avenue Pablo Picasso firma oferowała niektórym klientom całą paletę tak zwanych „subliminali”. Produkty te miały służyć podprogowej manipulacji ludźmi za pośrednictwem zmysłu słuchu lub wzroku. Musilizer miał prawie osiemdziesiąt z ponad stu patentów zarejestrowanych w USA w kategorii „Kontro - la Świadomości i Oddziaływanie Podprogowe”. Nie wszystko, czym

zajmowała się ta firma, było legalne.

Także z tego powodu wątpy staruszek na najwyższym piętrze budynku wysoko cenił sobie czas po zamknięciu biura. Kiedy nawet jego sekretarki od dawna były już w domu, a tętno dzielnicy finansowej La Defense zwalniało bardziej niż w innych częściach Paryża, mógł w końcu w pełni skupić się na pracy. Budynek centrali stał po zachodniej stronie ronda wśród nagich zimowych drzew. Było wiele lepszych miejsc, skąd można było podziwiać *Ville Lumiere* w negliżu.

Lampka w biurze dyrektora ledwie wystarczała do oświetlenia blatu szerokiego biurka, większa część gabinetu spowita była mrokiem. Z pozoru starzec nie robił nic. Jak zaklęty w kamień siedział na wózku inwalidzkim z zamkniętymi oczyma, z łokciami opartymi o stół, złożonymi opuszkami palców i brodą wspartą na wysuniętych kciukach. Jednak w jego umyśle szalała burza. Potrafił siedzieć tak nieruchomo całymi godzinami. Czasami, medytując, zapominał o opłakanym stanie własnego ciała i czuł się znowu młody.

Siergiej Niekrasow był najstarszym człowiekiem świata.

Nadzwyczajnej długowieczności nie zawdzięczał ani genom przodków, ani ożywczej sile muzyki. Ponad sto pięćdziesiąt lat temu przyjęto go do wewnętrznego kręgu organizacji nazywającej się Krzyżem Zmierzchu. Było w nim tylko dwunastu mężczyzn i trzynasty, który im przewodził: lord Belial. Posiadał wiedzę i zdolności, które znacznie przekraczały zwykłe ludzkie pojmowanie. Dzięki swojej wiedzy tajemnej stopił w jedno siły życiowe swoich najbardziej zaufanych uczniów, tworząc Wieży Milenijne przedłużające im życie, jak sam powiedział, dwunastokrotnie. Jednakże jego plan oczyszczenia ziemi z wszelkiego zła został w końcu zniweczony przez potężnego nieprzyjaciela. Wróg ten, Anglik imieniem David Camden, rozproszył ich tajne stowarzyszenie i zabił jego przywódcę. Wieży Milenijne także straciły wtedy swą moc. Tylko Siergiej Niekrasow pozostał przy życiu, mając przed sobą perspektywę równie rychłej śmierci.

Jako najmłodsza latorośl starej rosyjskiej rodziny cyrkowców już w dzieciństwie nauczył się nigdy nie pracować bez sieci zabezpieczającej i drugiego dna. Dlatego też wcześniej wstąpił do innych tajnych stowarzyszeń: spadkobierców iluminatów, Związku Niemieckiego, włoskich karbonariuszy, francuskich wolnomularzy, złoto - i różokrzyżowców, a także Bractwa z Aar.

Poetycko zwano ich Orłami. W tym bractwie Ciemnych Słyszących Barwy Niekrasow odnalazł bratnie dusze, które tak jak on pragnęły dać ludzkości nowy początek. Ponieważ dysponował darem *audition colorée*, nawet najwyższe stanowiska w bractwie Jubala stały przed nim otworem. Po krótkim czasie zaliczał się już do jego wewnętrznego kręgu. Odkąd znalazł się w najwyższej warstwie tego związku, minęło więcej niż jedno ludzkie życie. Teraz, po tylu latach, tylu walkach i tak wielu porażkach Siergieja Niekrasowa po raz pierwszy wypełniało coś na kształt niecierpliwego oczekiwania. Wkrótce będzie mógł zebrać owoce swojej cierplivej pracy

Zadzwonił telefon.

Niekrasow zmierzył aparat zielonymi oczyma. Czerwona dioda wskazywała, że dzwoniący korzysta z bezpiecznego połączenia. Podniósł słuchawkę, nie powiedział jednak ani słowa.

Po drugiej stronie Walerij Tiomkin zapytał:

- Jaki dźwięk rozbrzmiewa w niebie?
- Liry - odparł sucho Siergiej Niekrasow.
- Miał pan rację - stwierdził lakonicznie perkusista.
- A więc coś zobaczyła? - upewnił się starzec.
- Na tysiąc procent. D'Albis prawie wyszła z siebie, kiedy zobaczyła muzykę.
- A potem?

Perkusista opowiedział, jak pianistka wymknęła się z teatru i jak on czatował na nią w skradzionym samochodzie. Nie przemilczał też interwencji Olega Janina, który rozbił mu przednią szybę.

- Proszę się tym nie przejmować - powiedział Niekrasow. - Czy ściągnęło to czyjąś uwagę?

- Jak najbardziej. Policja węszy w całym centrum Weimaru, ale jeśli cokolwiek znajdą, to najwyżej zdewastowany samochód na fałszywych numerach.

- A róża wiatrów?

- Zaraz się nią zajmę.

- Wspaniale. Wiem, bracie, że ponosisz wielką ofiarę, ujawniając się w ten sposób, ale tak trzeba, żeby wykonać ostatni krok. Bractwo z Aar nigdy nie zapomni, co teraz robisz dla nas.

- To dla mnie wielki zaszczyt, że mogę w ten skromny sposób pomóc.

- Dobrze.

Przez chwilę na linii panowała cisza. Kiedy starzec nie dodał nic do swojej lapidarnej odpowiedzi, perkusista zapytał:

- Ma pan dla mnie jakieś nowe polecenia?

- Nie - odparł Niekrasow. - Madame d'Albis dostała od nas zaproszenie do tańca. Dalej działamy zgodnie z planem.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA==

Każda muzyka nam bliska, nawet ta kiepska, ma w sobie coś niesamowitego.

Dotyka rzeczy wręcz pradawnych.

Karl Schaffler

Rozdział 5.

Weimar, 13 stycznia 2005, 22:15

Grandhotel „Russischer Hof” miał bogatą tradycję i uważany był za najlepszy adres w mieście. W tej chwili Sara d’Albis oczekiwała od jego murów przede wszystkim bezpieczeństwa. Kiedy weszła przez szklane drzwi do eleganckiego foyer, ogarnęło ją uczucie ulgi. Jej wzrok powędrował do tabliczki z brązu wtopionej w lśniącą granitową podłogę. Okrągły, lekko wypukły medalion był rozmiarów patelni do paelli.



tekst: BON SOIR, KOCHANI

- *Bon soir*, dziadku - odwzajemniła szeptem pozdrowienie. Naraz wydało jej się, że ten kawałek metalu promieniuje własną szczególną aurą. Przeczytała wprawdzie w kronice hotelowej, że tablica ma upamiętniać spotkanie Franciszka Liszta z Robertem i Klarą Schumannami - w tym miejscu w 1841 przywitał on parę muzyków słowami: „*Bon soir*, kochani” - ale po wydarzeniach w Niemieckim Teatrze Narodowym czuła, że słowa adresowane są też do niej osobiście.

- Ma pani swoją kartę, madame d’Albis? - zapytał uprzejmie głos z prawej strony.

Kontemplacyjny bezruch rozmyślającej o tabliczce z brązu Sary skłonił do działania młodą recepcjonistkę. Sara, jako słynna pianistka, była w tym hotelu

doskonale znana. Uśmiechnęła się do portierki, wyciągnęła z torebki kartę kodową i trzymając ją w dwóch palcach, triumfalnie podała ją dziewczynie.

- Oto i ona!

- Czy mogę zrobić dla pani coś jeszcze, madame?

Sara już miała podziękować i odmówić, ale zapytała:

- Całą noc ktoś jest w recepcji, prawda?

- Oczywiście. Zawsze jesteśmy do państwa usług.

- To dobrze - mruknęła Sara i ruszyła dalej, nie zwracając już uwagi na życzenia dobrej nocy od recepcjonistki.

Mieszkała wprawdzie tylko na pierwszym piętrze, ale skierowała się w stronę wind. Po drodze musiała przejść obok kamiennej mozaiki. Był to dwugłowy rosyjski orzeł, którego Sara ominęła szerokim łukiem, jak gdyby wejście na niego mogło sprowadzić tutaj Ciemnych Słyszących Barwy.

Chwilę potem wysiadła z windy i skierowała się w lewo. Sara mieszkała w połączonych ze sobą apartamentach z numerami 129 i 130. Zle się czuła w ciasnych przestrzeniach, nie lubiła czuć się ograniczona. Często podczas tournée musiała udzielać wywiadów i nie znośiła przyjmować we własnej sypialni zupełnie obcych sobie ludzi. Kartą kodową otworzyła drzwi do swojej bezpiecznej przystani, weszła do środka i zamknęła je plecami. Dopiero teraz poczuła się naprawdę bezpieczna.

Od razu opadło ją ogromne zmęczenie. Ostatnie parę godzin było jak na jej gust nieco zbyt intensywne. Rzuciła na ziemię torebkę i papierową tubę i podniosła rękę do twarzy, żeby przyjrzeć się swoim długim wypielęgnowanym palcom. Drżały

„Bo i jakżeby inaczej?” - pomyślała. Wszystkie te godziny, które w zeszłym roku spędziła na terapii dla ofiar stalkingu, nie uczyniły przecież jej systemu nerwowego tak odpornym jak bojowy pancerz. W najlepszym razie pomogły nieco go wzmocnić. Po długiej chorobie we wrześniu i w październiku, za którą lekarze winili „osłabienie układu odpornościowego wywołane stresem”, postanowiła zafundować sobie sześciomiesięczną „kreatywną przerwę”, jak w kręgach artystycznych określano dłuższy urlop.

Charytatywny koncert w Teatrze Narodowym pięć dni wcześniej był wyjątkiem, bo i tak była już w Weimarze, gdzie zbierała materiały o Liszcie. Poza tym naprawdę zależało jej na odnowieniu zniszczonej biblioteki księżnej

Anny Amalii. Nie mogła przewidzieć, jak ta podróż, podjęta przecież dla odpoczynku i relaksu, przewróci jej życie do góry nogami.

Czy powinna zadzwonić na policję? Oleg Janin stanowczo jej to odradzał. Najdziwniejsze było to, że skazany stalker bardziej martwił się przy tym o nią niż o siebie samego. Gdyby doniosła na perkusistę, Słyszący Barwy mogliby użyć swoich wpływów, żeby napytać jej biedy. Wiadomość, którą ujrzała podczas koncertu, nie pozwalała jej potraktować historyka jak zwykłego wariata.

Ale czy ta dziwaczna historia, którą opowiedział, usprawiedliwiała włamanie do jej mieszkania w Paryżu? Bynajmniej. Nie byłby jednak pierwszym naukowcem, który chwycił się nielegalnych środków, żeby doprowadzić długoletnie badania do końca mimo wszelkich przeszkód. Ale przecież dzięki niemu nie wpadła w łapy jakiejś tajemniczej organizacji. Być może powinna zatem potraktować jego ostrzeżenie poważnie.

Abstrahując od tego wszystkiego, cała jej istota buntowała się przeciwko kolejnej wizycie na policji. Musiałaby wtedy po raz drugi w ciągu roku opowiadać o najintymniejszych szczegółach swojego życia, jakby to ona była zboczeńcem, a jej dręczyciele jedynie biednymi, zagubionymi mężczyznami. Horror ostatnich miesięcy na pewno by się powtórzył. Ale to przecież jeszcze nie wszystko! Jak niby miałyby opowiedzieć o tych cudach, które jej synestetyczna świadomość wyczyniała podczas koncertu? Z dotychczasowych doświadczeń wie, jak patrzyliby na nią urzędnicy – jak na czarownicę.

Sara potrząsnęła głową. Nie. Lepiej będzie, jak prześpi się z całą tą sprawą. W końcu doniesienie może złożyć również następnego ranka.

Odepchnęła się ramieniem od drzwi i przeszła przez pokój. Po drodze zdjęła płaszcz i rzuciła go na oparcie krzesła. W drugim końcu pokoju pod oknami stało pseudoklasycystyczne biurko z czerwonego drewna ze złotymi aplikacjami, a na nim – jawne złamanie stylu – najnowocześniejszy, płaski, srebrny, matowy laptop. Zakochała się w tym komputerze. Nigdzie się bez niego nie ruszała.

Korzystanie z Internetu było dla niej tak samo oczywiste jak ranne przeglądanie się w lustrze. Dzięki komputerowi mogła nie tylko używać bezprzewodowej sieci do surfowania po stronach www i wymiany e-maili z agentami, ale także dzwonić. Laptop był też dla niej swego rodzaju „akustycznym lustrem”, za pomocą którego kontrolowała własną pracę, nagrywając swoje wprawki mikrofonem albo podłączaną klawiaturą, by później móc je krytycznie odsłuchać. Poza tym traktowała go też jako swoją przenośną

bibliotekę. Miała na nim tysiące zdjęć cyfrowych, wielką kolekcję płyt CD z muzyką klasyczną i nowoczesną, a także niezliczone encyklopedie, słowniki i leksykony. To właśnie interesowało ją w tej chwili najbardziej: na twardym dysku zapisała wszystko, co znalazła o Franciszku Liszcie, w tym około sześciuset jego listów przetłumaczonych na angielski.

Korciło ją, żeby natychmiast otworzyć laptopa i zabrać się za odszyfrowanie tajnej wiadomości.

Przez chwilę jej dłoń błędziła po pokrywie komputera, wtedy jednak znowu dostrzegła drżenie rąk i pokręciła energicznie głową. Nie, była tak pobudzona, że i tak nie udałooby jej się zebrać myśli. Jutro też jest dzień. Weźmie tabletkę i pójdzie spać.

Obracając się zauważyła opartą o ścianę przy drzwiach papierową tubę. Podczas uroczystego wręczenia tylko pobieżnie zerknęła na nuty, aby uczynić zadość wymogom uprzejmości. Przez chwilę chciwie pożerała wzrokiem rulon, a potem skapitulowała przed rozpaloną na nowo ciekawością. Wzięła tubę i położyła ją na piaskowej sofie pod oknem, która razem z dwoma miękkimi krzesłami i wzruszająco filigranowym stolikiem ze szklanym blatem służyła za miejsce do przyjmowania gości.

Sara otworzyła tubę i rozłożyła jej zawartość na stoliku.

Polityczną mapę Europy omiotła tylko krótko wzrokiem. Kolorowany miedzioryt, za którym ukryty był nieznany utwór Liszta, był dla niej jedynie ładnym, ale niespecjalnie interesującym dokumentem epoki. Na odwrocie arkusza o wymiarach mniej więcej trzydzieści na dwadzieścia centymetrów znajdowało się wykonane czarnym tuszem *facsimile* odręcznej notatki:

„Przedruk ze:

Szkolnego atlasu wszystkich części świata i budowy ziemi Stielera.

Wydanie czterdzieste szóste, poprawione i uzupełnione przez Herm. Berghausa.

32 mapy wykonane w technice barwnego miedziorytu.

Wydano: Gotha: Justus Perthes. 1866”

Jedynym niezwykłym elementem adnotacji było podkreślone nazwisko Berghausa. Sara nie wiedziała, co ma o tym myśleć, odsunęła więc mapę na drugi koniec stołu.

Wreszcie mogła poświęcić całą uwagę nutom. Nawet studenci szkół muzycznych, widząc dzikie bazgroły Liszta, popadali w rozpacz. Kompozytor zwykł stale wprowadzać poprawki do partytur – w tym również tych już wydrukowanych. Nawet jego osobisty sekretarz musiał często dopytywać

mistrza, kiedy przepisywał na czysto zaaprobowaną już przez niego wersję. Odratowany z ognia rękopis też sprawiał dość chaotyczne wrażenie. Tutaj odręcznie - i krzywo - przedłużono pięciolinię, tam skreślono całe takty. Po użytych kolorach tuszu widać było rozmaite etapy poprawiania. Wkrótce Sara bez reszty dała się pochłonąć tym ekscytującym detalom.

Co ciekawe, kompozycja była datowana podwójnie - na rok 1866 i 1880. Główną jej część napisano wcześniej, w latach sześćdziesiątych istniał też już zarys końca *Fantazji*. Czternaście lat po pierwszej redakcji powstała wersja, w której ukryte było groźne przesłanie:

FRANZ SPIESZ SIĘ LUDU WOLA Z KWIATEM
CIEMNYM PLECIE
WIENIEC DLA ALEKSANDRA W DWIE PEŁNIE
GO ZMIECIE

Od „dialogu” z nutami zapisanymi ręką przodka Sarę przeszły dreszcze. Rzeczywiście widziała w wyobraźni ponure proroctwo, prawie tak samo wyraźnie jak wcześniej w teatrze.

Czytanie z nut było jednym z jej ulubionych przedmiotów w paryskim Conservatoire National de Musique, mogła bowiem w ten sposób dokładnie wyobrazić sobie dźwięk i barwę utworu. Czytała partytury tak, jak inne kobiety czytają magazyny o modzie, i nawet parę tygodni po takiej lekturze mogła bez trudu zagrać z pamięci trudne nawet utwory. Jeżeli oprócz tego miała też okazję usłyszeć melodię, ta odciskała się w jej pamięci już na zawsze. Co zaś najdziwniejsze: kiedy przypominała sobie utwory, dar *audition colorée* ukazywał jej te same obrazy, jakie widziała, kiedy słyszała je po raz pierwszy. Dlatego też zawarta w *Fantazji* Liszta wiadomość przesuwiała się jej przed oczyma także teraz, podczas lektury nut.

Rozumiała już przynajmniej, dlaczego była tak poruszona, kiedy wczoraj zaledwie pobieżnie rzuciła okiem na partyturę. Już podświadomie wyczuwała, że o śmiałości twórcy świadczył nie tylko impresjonistyczny i nowoczesny, delikatnie mówiąc, charakter dzieła. Liszt uchodził za prekursora muzycznej awangardy XX stulecia, ale *Fantazja na temat „Obowiązków życia” Holtjego* była polifonicznym fajerwerkiem, który natychmiast skierował jej myśli w stronę malarstwa Vincenta van Gogha.

Sara przestudiowała szczegółowo każdy z dwudziestu czterech arkuszy. Pełno było na nich małych kuriozalnych notatek, na przykład wyraźne zalecenie Liszta, żeby użyć „fletu poprzecznego (bukspan, J. D.)”. W zakończeniu

drewniany flet poprzeczny był nawet wykorzystany jako instrument wiodący, co prawda fragment ten istniał jedynie w formie niedokończonych szkiców. Sara obiecała sobie, że przy najbliższej okazji dowie się, co oznaczają inicjały „J. D.”

Pod przydługim tytułem dzieła przeczytała słowa *Ce vers ne S adressent qu'à un petit nombre*³. Cytat z poezji Alphonse'a de Lamartine'a, jak pamiętała. Już wcześniej natknęła się u Liszta na to zdanie - umieścił je przed swoimi *Harmoniami*. Pomyślała przy tym o tajemnym języku muzyki, w którym Liszt wyraził w swoich dziełach najgłębsze zrozumienie natury Nieograniczonego i ludzkich uczuć w zetknięciu z nim. W *Fantazji* na temat utworu Hölty'ego to tajemnicze piętno wyczuwalne było jeszcze wyraźniej, miało bowiem ukazywać wtajemniczonym ukryty za dźwiękami wiersz.

Co dziwne, na samym początku partytury występowało słowo „*balzante*”. Tego rodzaju wskazówki do gry pomagały orkiestrom wykonać utwór w sposób możliwie najbardziej zbliżony do intencji kompozytora. W połowie XVIII wieku we Francji i Włoszech powstał bogaty zbiór określeń pozwalających dokładnie opisać tempo, głośność, technikę gry i inne cechy charakterystyczne kompozycji. Sara nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, żeby kiedykolwiek spotkała się z określeniem *balzante*. Znała jednak włoski na tyle dobrze, żeby zrozumieć, że słowo to oznacza „w podskokach” albo „w podrygach”. Tak właśnie zresztą wykonała je orkiestra.

Możliwe, że były to jedynie dziwactwa ekscentrycznego kompozytora i nie należało doszukiwać się w nich głębszego sensu. Dużo bardziej zdumiewający był natomiast kunszt, z jakim Franciszek Liszt umieścił w utworze synestetyczną wiadomość. Być może, sądziła Sara, w szkicach da się znaleźć ciąg dalszy.

Z zachłanną ciekawością wczytywała się w każdy pasaż, który nie znalazł się w ostatecznej wersji. W umyśle słyszała każdą nutę. Wyobrażając sobie brzmienie obsadzonych przez Liszta instrumentów, niekiedy widziała przed oczyma niewyraźne wzory. Najchętniej wrzuciłaby odpowiednie dźwięki do programu muzycznego w komputerze, żeby dla lepszego efektu posłuchać ich przez słuchawki.

Kiedy podniosła wzrok znad nut, żeby włączyć laptopa, oczy jej rozbłysły. Z zewnątrz dochodziły dalekie dźwięki syreny policyjnej. Wciąż jeszcze szukano perkusisty? Sara spojrzała na zegarek. Pół godziny po północy. Pogrążona w studiowaniu nut zupełnie straciła poczucie czasu.

Postanowiła posłuchać głosu rozsądku i pójść w końcu spać. Zostawiła na

maleńkim stoliku kartki i przeszła do drugiego pokoju. Był węższy i służył jej za sypialnię. Niedługo potem leżała w łóżku w szarej jedwabnej piżamie, czekając, aż tabletki nasenna zaczną działać.

Minęło jakieś pół godziny.

Usłyszała dochodzące z oddali dźwięki fletu.

Przekonywała samą siebie, że nic w tym dziwnego, skoro znajduje się w hotelu. Często musiała znosić kaprysy sąsiadów, którzy późno w nocy puszczali w pokojach muzykę. Synestezji nie można wyłączyć tak jak lampki nocnej, tak samo jak nie da się zamknąć uszu. Przymknąwszy powieki, tym wyraźniej widziała barwne urojenia. Traktowanie cichej i przyjemnej melodii fletu jako poważnego zakłócenia ciszy nocnej byłoby jednak wielką przesadą.

Coś jednak się nie zgadzało.

Odkąd padła ofiarą brutalnych zaczepk perkusisty, jej nerwy były napięte jak postronki. Mięśnie stężały jej, kiedy zaczęła pilnie nasłuchiwać. Brzmiało to jak... pasterska fujarka? Aksamitne dźwięki kusily. Czy dochodziły z holu? Nie dało się tego dokładnie stwierdzić. Nagle melodia ucichła.

Sara nasłuchiwała dalej za zamkniętymi oczyma. Jej własne tętno tworzyło na ekranie jej ducha gęsty korowód mlecznoróżowych plamek, poza tym jednak jej uszy pozostawały ślepe. Aż nagle usłyszała kroki.

Serce zaczęło bić jej jak szalone. Ktoś wraca z imprezy? A może któryś z gości szuka automatu z papierosami? Ale przed niewyraźnymi brązowoczerwonymi plamkami nie widziała w wyobraźni zielonożółtych kropelek dzwonka windy. Nie trzasnęły też żadne drzwi. Ktoś musiał zakraść się na górę po schodach.

Nagle Sara usłyszała zgrzyt. Dźwięk dochodził zza uchylonych drzwi łączących oba apartamenty. W mgnieniu oka usiadła na łóżku. Ktoś próbował wtargnąć do jej pokoju. Serce zamieniło się jej w bęben, wysyłający do jej świadomości wielkie czerwone sygnały SOS. Co miała robić?

Zsunęła nogi z łóżka, stopy same znalazły stojące obok filcowe pantofle. Jej wzrok omiótł telefon stojący na okrągłym stoliku pod oknem. Czy miała jeszcze dość czasu, żeby zadzwonić po pomoc?

Kiedy usłyszała trzask pękającego drewna, porzuciła to pytanie. Zamiast tego prześlizgnęła się w stronę drzwi łącznikowych, żeby jak najszybciej zamknąć je na klucz. W połowie drogi zrezygnowała również z tego zamiaru.

W szparze poruszał się niespokojnie białożółty promień światła. Włamywacz miał latarkę i najwyraźniej kierował się w stronę przejścia do jej pokoju.

Sara miała ochotę krzyknąć, ale jakiś głos z tyłu głowy podszeptał jej, że będzie z tego więcej problemów niż korzyści.

Nagle usłyszała kilka dźwięków, jakie do tej pory знаła tylko z hollywoodzkich filmów, w których bohaterowie strzelają z pistoletów z tłumikami. Trzy, cztery razy po sobie. Coś brzęknęło. Ze strachu zakręciło jej się w głowie. To nie był zwykły włamywacz, to zabójca! Przez myśl przemknęło jej: „Uciekaj! Natychmiast!”.

Prześlizgnęła się w stronę wyjścia i tak cicho jak to tylko możliwe przekręciła zamek. Zdejmowany łańcuch zabrzączał lekko. Sara prawie umarła ze strachu. Ostrożnie otworzyła drzwi i, wymknąwszy się z pokoju, zamknęła je za sobą. Koło wind przez całą noc paliło się przytłumione światło. Miała nadzieję, że włamywacz nie zauważył jej przez półotwarte drzwi.

Rzuciła się w stronę szerokich schodów naprzeciwko wind. Kiedy podeszwy jej stóp dotknęły gładkiego, czarnego granitu stopni, podziękowała Bogu, że miała na nogach pantofle z filcu, który tłumiał tupot jej kroków. Ucieszyła się jednak odrobinę zbyt wcześnie.

Zanim jej głowa zniknęła pod poziomem podłogi, zobaczyła wychodzącą z jej własnego pokoju zamaskowaną postać. Zabójca ubrany był na czarno. Czerń to kolor obracania w nicość wszystkich dźwięków – i ludzkiego życia. Widoczne zza maski oczy utkwione były w Sarze. Ta wydała z siebie ostry okrzyk i popędziła przed siebie.

Kiedy piętro niżej weszła do jasno oświetlonego foyer, czekał ją kolejny szok. Miała nadzieję, że nocny portier, zaalarmowany krzykami, wyjdzie jej na spotkanie. Ten jednak stał nieruchomo na piersi dwugłowego orła. Młody, potężny mężczyzna wyglądał jak figura z wosku. Patrzył szklistym, niewidzącym wzrokiem. Sara, przerażona, rzuciła się do ucieczki.

Nie mając odwagi przebiec obok zahipnotyzowanego mężczyzny – jeżeli to właśnie go spotkało – skierowała się w drugą stronę, obok złotego stołu z kompozycją kwiatową do atrium, z którego można było wejść do jednej z kilku przybudówek. Znowu usłyszała za plecami przytłumiony strzał. Waza z kwiatami pękła w drobny mak. Sara skuliła się mimowolnie, ale kula i tak przeleciała dość daleko od niej.

Pobiegła pod szklanym dachem i przez niezadaszone skrzydło. W Zielonym Salonie rozejrzała się pospiesznie. Po lewej, w miejscu, w którym rano wystawiano bufet śniadaniowy, odkryła tylne wyjście, oświetlone słabo światłami ewakuacyjnymi.

Zabójca strzelił raz jeszcze. Pocisk trafił stół stojący kilka metrów od Sary. Krzyknęła na cały głos i rzuciła się do ucieczki.

Kilkoma susami przebiegła stołówkę i nacisnęła lewą dłonią klamkę, rzucając się jednocześnie ciężarem całego ciała na drewnianą plecionkę, którą pokryte były drzwi. Przeszkoda odchyliła się lekko. Sara runęła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Przez mgnienie oka patrzyła zdezorientowana na wąskie wejście do windy. Potem odzyskała orientację. Goście bardzo rzadko używali tego korytarza. W lewo szło się do centrum fitnessu, skręciła więc w prawo. Na białych drzwiach widniał złoty napis „Service”. Otworzyła je i wybiegła. W tej samej chwili otwarło się też wyjście ewakuacyjne z Zielonego Salonu.

Przez ułamek sekundy patrzyła w dwoje ciemnych oczu, ale potem zamykające się drzwi przerwały *intermezzo* spojrzeń. Przebiegła pustym korytarzem na tyły budynku. Przez szklane drzwi wpadało trochę światła z dziedzińca. Za Sarą skrzypnęły zawiasy. Nacisnęła na klamkę, wypchnęła drzwi i wybiegła na zewnątrz.

Skulona popędziła przez parking, przebiegając obok kilku samochodów w kierunku wyjazdu. Raz jeszcze usłyszała za sobą stłumiony wystrzał, znowu niecelny. Na szczęście zabójca był niedzielnym strzelcem.

W chwili, w której Sara wyszła na wąską ulicę, kolana się pod nią ugięły. Weimar nie różnił się niczym od wszystkich innych małych miasteczek – chodniki mogliby tu na noc zwijać. Nigdzie żywej duszy. Zamiast tego usłyszała za sobą ciężkie kroki prześladowcy.

- Pomocy! - krzyknęła co sił w płucach i rzuciła się w prawo. Może na placu Goethego zauważy ją chociaż jakiś taksówkarz. Kilkadziesiąt kroków później – po drodze jeszcze parę razy powtórzyła swój rozpaczliwy krzyk, a na domiar złego zgubiła też jeden pantofel – dotarła w końcu na rozległy plac.

Wyglądał jak wymarły.

Sara zrobiła jeszcze parę kroków, znowu skręciła w prawo, znów wychodząc przed fasadę hotelu „Russischer Hof”. Jej głośne krzyki przeszły w desperackie,

słabe jęki. Po policzkach spływały jej łzy Lodowaty wiatr bez trudu przenikał przez jej piżamę, a zimny bruk pod stopami był dla niej jak posypany szkłem. Miała ochotę się poddać. Czy ucieczka miała jeszcze jakikolwiek sens?

Dobiegła do głównego wejścia do hotelu i oparła się o nie. Obróciła się z niedowierzaniem w stronę prześladowcy. Gdzie on się podział? Już dawno powinien był wyjść z za budynku. „Jeśli napadnie panią w miejscu zamieszkałym przez ludzi, proszę krzyczeć tak głośno, jak tylko pani potrafi”. Najwyraźniej to, co działało na stalkerów, przydawało się też w spotkaniach z zabójcami.

Sara zwróciła głowę w lewo i zajrzała do foyer hotelu „Russischer Hof”. Zza szklanych drzwi patrzył na nią nocny portier. Wydawał się cokolwiek zaskoczony.

===fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA===

[...] *chce słuchać ładnych dźwięków, chce, żeby przelać w nie wszystko, co się ma, nie zatrzymując nic dla siebie...*

Auguste Boissier, o nauczycielu swojej córki, Franciszku Liszcie, 1832

Rozdział 6.

Weimar, 14 stycznia 2005, 2:22

Nocny portier spoglądał ze zdumieniem, jak Sara d'Albis kroczyła przez hotelowy hol w jedwabnej piżamie i jednym tylko pantoflu. Słynna pianistka sprawiała wrażenie zupełnie zdezorientowanej. Jej blada twarz nie zdziwiła go aż tak bardzo, na zewnątrz panowała w końcu zima. Natomiast słowa, jakimi go powitała, całkowicie zbiły go z pantofelku.

- Jak się pan miewa?

Skonsternowany potrząsnął głową.

- Pyta pani mnie, jak się miewam? To ja chciałem właśnie o to zapytać, madame d'Albis! Czego, na Boga, szuka pani o tej porze w nocy na ulicy? Lunatykowała pani?

Pianistka omiotła nieobecnym wzrokiem foyer, jak gdyby tam właśnie spodziewała się znaleźć odpowiedź. W końcu pokręciła głową, spojrzała na niego znowu i wyszeptała:

- Nie sądzę. Ktoś chciał mnie zabić. Musiałam... ratować się ucieczką.

Portier nie stracił zimnej krwi. Ważni goście hotelu przyzwyczaili go do różnych rzeczy - wielu z nich brakowało piątej klepki, niektórzy brali narkotyki. D'Albis nie sprawiała takiego wrażenia, ale może jednak zdarzało jej się lunatykować. Odpowiedział wyrozumiale:

- Stałem tutaj przez cały czas. Nie sądzi pani, że zauważyłbym coś takiego?

Posłała mu obłąkańczy uśmiech.

- Niby jak? Omamił pana dźwiękami fletu. Zahipnotyzował.

- Kto? - Młody portier stopniowo zaczął obawiać się o kondycję psychiczną gościa.

- Sądzę, że perkusista.

- A zatem perkusista zahipnotyzował mnie za pomocą fletu, a potem ścigał

panią po ulicy – portier cierpliwie podsumował to, czego się dowiedział. Wzrok miał utkwiony w bosą stopę Sary d’Albis.

Która spojrzała na niego wyzywająco, otworzyła usta, prawdopodobnie po to, żeby wydobyć z siebie kolejny stek bzdur, a potem nagle je zamknęła i zaczęła nasłuchiwać.

Portier pomyślał, że pianistka na pewno zaczęła słyszeć głosy. Potem i do jego uszu dotarł ten dźwięk. Zbliżał się pojazd na sygnale. Recepcjonista poczuł w żołądku nieprzyjemny ucisk. To już trzecie wezwanie tej nocy, a nawet czwarte, jeśli liczyć od wczorajszego poranka – podczas porannego spaceru w parku nad Ilm ktoś znalazł zwłoki.

– Proszę iść i zawołać policjantów – zażądała nagle pianistka.

– Co? Przecież nie mogę.

Wskazała na przestrzelony wazon w przejściu do atrium.

– A jak wyjaśni pan to? Zabójca zdemolował połowę hotelu, próbując mnie dopaść.

Palcem wskazującym zatoczyła półokrąg.

– Gliny na zewnątrz jadą tu przeze mnie. Wołałam o pomoc. Proszę już iść!

Wprawdzie roztrzaskany wazon w najmniejszym stopniu nie interesował portiera, którego uwaga w tym momencie skupiona była na stanie psychicznym młodej kobiety, nie potrafił jednak opierać się dłużej jej nagłacemu wzrokowi. Wybiegł na ulicę akurat na czas, żeby zamachać na kierowcę nadjeżdżającego radiowozu.

Białozielony pojazd zjechał z pasa i zatrzymał się przed hotelem. Policjant wychylił głowę z okna i spojrzał na portiera pytająco.

– Przyjechał pan do kobiety, która wzywała pomocy?

– Tak. To pan dzwonił? – odpowiedział policjant.

Portier przestał rozumieć cokolwiek z otaczającego go świata. Jak to możliwe, że on niczego nie zauważył? Potrząsnął głową, pokazał na szklane drzwi i odpowiedział:

– Nie. Ale ta kobieta jest gościem naszego hotelu. Wróciła właśnie z dworu w piżamie i w jednym bucie.

Kierowca zmarszczył czoło.

– W jednym bucie?

Mimo obaw Sary nie powtórzyło się to, co spotkało ją przed paroma

miesiącami na posterunku policji we Francji. Odpowiadając na pytania funkcjonariuszy po tym, jak Oleg Janin włamał się do jej mieszkania, czuła się tak, jakby to ją przesłuchiowano. Tym razem natomiast początkowy sceptycyzm stróżów prawa ulotnił się natychmiast, kiedy tylko weszli do jej pokojów. Wyłamane drzwi, podziurawione kulami łóżko i przestrzelony żyrandol dodały wagi jej słowom.

Tymczasem powiadomiono też kierownika zmiany, który zapewnił będącą wciąż w szoku pianistkę, że hotel zrobi wszystko, co mogłoby pomóc załagodzić doznane niewygody. Sara przyjęła z wdzięcznością propozycję przeniesienia do luksusowego Carskiego Apartamentu na najwyższym piętrze.

Tam zaraz dostała od lekarza z pogotowia „głupiego Jasia”, który natychmiast odsunął od niej wszelkie problemy. Środek uspokajający połączył się z resztkami bordeaux i tabletki nasennej, tworząc ciekawy koktajl, od którego Sarze zmiękły kolana, a siła jej woli nabrała konsystencji galaretki.

Przybyła również funkcjonariuszka weimarskiej policji kryminalnej, która przedstawiła się jako „prowadząca to dochodzenie”. Na dowód swoich umiejętności postępowania z kobietami, które padły ofiarą przestępstwa, przyszła w dresie, co rozweseliło nieco Sarę. Pani komisarz powiedziała na powitanie, że może trochę potrwać, zanim zespół dokonujący oględzin zwolni „miejsce przestępstwa”. Miała blond włosy, czterdzieści kilka lat i nazywała się Monika Bach. Bach, tak jak ten kompozytor. Sara – przez „głupiego Jasia” – uznała ten zbieg okoliczności za niezwykle zabawny.

Policjanci, chcąc zapewnić ofierze jak największy komfort psychiczny, przepytali ją w salonie Carskiego Apartamentu. Sara usiadła w fotelu w jasno – i ciemnoczerwone paski, pani Bach z kolegą usadowili się na pasującej kolorystycznie sofie. Wertując czarny notatnik, policjantka obiecała ograniczyć się tylko do najpotrzebniejszych informacji. Poszukiwanie sprawcy musiała zacząć od ustalenia kilku faktów: jak wyglądał i co dokładnie robił.

– Najbardziej interesuje mnie to, żebyście złapali tego zabójcę

– Sara zwalczyła sztywność języka. Uwierzyła już, że Słyszący Barwy naprawdę chcą ją dopaść. Wiedziała również, że ta porażka skłoni ich raczej do podjęcia bardziej brutalnych metod niż do poddania się. Kiedy policjantka spytała ją, czy Sara ma jakichś wrogów albo czy podejrzewa kogoś o to, że chciał ją zabić, wypaliła bez namysłu:

– To był perkusista.

Kolejne zeznania zataczały coraz szersze kręgi, w miarę jak wysyłane z otchłani uległości ostrzeżenia walczyły w niej o lepsze ze znieczulonym miejscowo rozsądkiem: może gliniarze byli tak naprawdę szpiegami Słyszających, a lekarz naszprycował ją w rzeczywistości eliksirem prawdy? Bądź ostrożna, Saro! Nie zdradź Ciemnym niczego, czego już i tak by nie wiedzieli! Jej zalany środkami psychoaktywnymi mózg nie radził już sobie zbyt dobrze z odróżnianiem prawdy od fałszu.

Najpierw powoli opowiedziała o napaści Walerija Tiomkina w Geleitstrasse. Funkcjonariusze wymienili długie spojrzenie, które nie umknęło Sarze nawet mimo odurzenia.

- Co? - spytała.

- Mówi pani o tym Waleriju Tiomkinie, muzyku Opery Paryskiej, który dziś wieczorem grał z Orkiestrą Państwową jako perkusista? - upewniła się policjantka.

Sara potwierdziła.

- Czy wie pani, madame d'Albis, dlaczego musiał odbyć tu wczoraj gościnny występ?

- Nie.

- Ciało głównego perkusisty orkiestry zostało znalezione dziś... nie, wczoraj rano w parku nad Ilm. Leżał w rzece twarzą do dołu.

Sara czuła się, co prawda, jakby była przykryta ciepłą pierzyną, lecz mimo to przeszedł ją zimny dreszcz.

- On... utonął?

Pani Bach pokręciła głową.

- Raczej nie, chociaż nie mamy jeszcze wyników sekcji. Przepraszam na chwilę.

Policjantka odeszła parę kroków dalej, wyjęła komórkę i zadzwoniła gdzieś. Sara zaczerpnęła łyk wody mineralnej i zaczęła nasłuchiwać. Docierały do niej tylko urywki słów, parę razy wyraźnie usłyszała jednak nazwisko Tiomkina. Perkusista znalazł się zatem na liście podejrzanych. I dobrze.

Zakończywszy rozmowę, prowadząca dochodzenie powróciła do siedzących i ponownie zwróciła się do Sary.

- Proszę opowiedzieć mi więcej o napaści Tiomkina. Jak udało się pani mu uciec?

Sara opisała teatralne wejście Olega Janina z mieczem.

Policjanci znów spojrzeli na siebie wymownie.

- A więc znacie też profesora? - zdziwiła się Sara.

- Nie - odpowiedziała funkcjonariuszka Bach. - Ale kiedy nasi ludzie dotarli na miejsce, o którym pani mówi, znaleźli rozbitą witrynę sklepu z bronią.

Sara zachichotała.

- Też ją widziałam.

- Normalnie tego typu sklepy mają obowiązek zabezpieczać na noc wystawione towary. W tym też zainstalowano pancerną kratę, jednak tej nocy pozostała podniesiona.

- I co pani o tym sądzi?

- Ja? - na twarz policjantki wpełzł grymas. - Na razie zupełnie nic. Włamanie zajmuje się mój kolega, a przez to ciało w parku od wczoraj nie mieliśmy jeszcze okazji pogadać. Na komisariacie rozpętało się piekło.

- Mogę to sobie wyobrazić - powiedziała Sara odruchowo, jakby rozmowa dotyczyła się tego, co się dzieje w godzinach szczytu w kolekturze lotto. - Najpierw napaść przy restauracji, potem kolejny alarm w pół do pierwszej. A teraz próba zabójstwa. Co w zasadzie wydarzyło się tuż po północy?

- O tym dowie się pani w swoim czasie, madame d'Albis. Skupmy się teraz na Waleriju Tiomkinie. Jak pani sądzi, jego zainteresowanie panią jest natury...?

- Seksualnej? - dokończyła Sara. Zadziwiło ją, jak łatwo te słowa spłynęły z jej ust i pokręciła głową. Do tej pory nie wspomniała ani słowem o rozmowie z Janinem, nie widziała jednak powodu, dla których miałyby dłużej chronić stalkera. Może zresztą to on stał za próbą zabójstwa. Było już jej wszystko jedno.

Tylko jego ostrzeżenie przed potężnymi Słyszącymi Barwy zachowała dla siebie.

Potem jednak zdecydowała się na frontalny atak na wszystkich Rosjan, którzy w ostatnim czasie utrudniali jej życie i opisała funkcjonariuszom niemieckiej policji kryminalnej rozmowę w „Anno 1900”. Co jakiś czas przerywała jej komisarz Bach, która albo nie mogła zrozumieć słów odurzonej nieco Sary, albo też gubiła się w niezrozumiałej treści jej relacji. Im dłużej pianistka snuła historię o bractwie Jubala, tym częściej policjanci wymieniali znaczące spojrzenia.

Sara wiedziała doskonale, jak niewiarygodnie musiało to wszystko brzmieć z punktu widzenia policjantów. Dlatego też postanowiła zrezygnować z opisu synestetycznych doznań podczas koncertu – poza tym nikomu nie był on do niczego potrzebny. Jej opowieść była jednak nadal konstrukcją na glinianych nogach, chciała więc przynajmniej zasygnalizować motywy, jakie mogły kierować tajnym bractwem.

– Perkusista pytał mnie o wrażenia z wczorajszej premiery. Zakładam, że zainteresowanie Słyszących Barwy *Fantazją* Liszta nie jest czysto koneserskie.

Pani Bach, oparta dotychczas o poręcz kanapy i bazgrząca coś w notesiku, natychmiast się wyprostowała.

– Ma pani na myśli dzieło, które wystawiono wczoraj w nocy w Teatrze Narodowym?

Sara skinęła głową. Czy zdradziła zbyt dużo?

Policjantka przekartkowała notatki.

– Czytałam o pani pochodzeniu. Czy właśnie dlatego Tiomkin chce panią dopaść?

– Skąd mam wiedzieć! – odparła Sara, nagle zła na własną gadatliwość. – W świecie mediów każde smakowite kłamstwo rozchodzi się lotem błyskawicy, ale niesmaczna prawda wlecze się jak ślimak. Prasa zamieniła mgliste domysły mojej matki w prawdziwą legendę. Ale nikt nie udowodnił, że naprawdę pochodzę od Liszta.

– Nawet kłamstwo może dostarczyć motywu, trzeba tylko w nie uwierzyć. Czego chce od pani to tajne bractwo?

Kurs, który przybrało przepytywanie, coraz mniej przypadła Sarze do gustu. Gdyby tylko nie czuła się tak, jakby mózg miała z waty!

– Odnoszę wrażenie – odpowiedziała wymijająco – że Słyszący Barwy szukają w utworze Liszta jakiegoś tajemnego przesłania. Być może sądzą, że potrafiłabym wskazać im tę wiadomość i rozszyfrować ją dla nich.

– Tajemne przesłanie? – powtórzyła policjantka jak echo.

– W utworze muzycznym? Jak sobie to pani wyobraża?

Sara najchętniej odgryzłaby sobie język. Plotła androny i duby smalone, a wszystko to przez tego „głupiego Jasia”. Co by się stało, gdyby naprawdę siedziała przed szpiegami Słyszących Barwy?

– Madame d’Albis? – dopytywała się policjantka.

Sara wzięła głęboki oddech. Walczyła z watą we własnej głowie, próbując sobie cokolwiek przypomnieć. Musiała improwizować. W konserwatorium przecież... nagle wyrzuciła z siebie:

- *Der Leiermann!*

Niezwykłe zachowanie pianistki sprawiło, że policjantka raz jeszcze zmarszczyła czoło.

- Mogłaby wyrażać się pani nieco jaśniej, madame d'Albis?

- To pieśń Franza Schuberta, z cyklu *Podróż Zimowa*. W nutach do niej kompozytor ukrył imię i nazwisko swojego przyjaciela, Franza Schobera. Ten Schober pracował potem jako prywatny sekretarz pewnego kompozytora, który zaadaptował wszystkie dwanaście pieśni cyklu na fortepian.

- A tym muzykiem był?

- Franciszek Liszt.

Komisarz Bach podrapała się czubkiem długopisu w tył głowy.

- Jeśli dobrze rozumiem, to sekretarz mógł zainspirować Liszta do użycia czegoś w rodzaju muzycznego kodu, a wykonane wczoraj dzieło może okazać się kluczem umożliwiającym jego odszyfrowanie.

- To możliwe.

- Hmm... - stwierdziła policjantka i ponownie wdała się w niemy dialog ze swoim kolegą.

- Mogę polecić wam dobrego analityka, który pomoże w rozszyfrowaniu wiadomości - zaproponowała Sara, także dlatego że dawno już przestała rozumieć język spojrzeń, jakim porozumiewali się policjanci.

- Nie na tym polega problem - odpowiedziała komisarz Bach.

- Spytała pani przed chwilą, dlaczego policja pojawiła się w tej okolicy o wpół do pierwszej. Wezwano nas z powodu kompozycji Liszta, o której właśnie mówimy. Skradziono ją z Teatru Narodowego.

W Sarę jakby uderzył grom. „Głupi Jaś” nagle przestał działać.

- Skradziono?- wyszeptała.

Policjantka skinęła głową.

- Mogę sobie wyobrazić, że jest pani w szoku. Rozmawiałam z dyrektorem, który powiedział, że nie mogła się pani doczekać dnia, kiedy pozwoli pani zbadać partyturę.

Sara z niedowierzaniem kręciła.

- Jak to się stało? Pan Marki mówił, że specjalnie do pilnowania eksponatu wynajął firmę ochroniarską.

- Zgadza się. Złodziej postąpił bardzo zmyślnie. Zakładamy, że wmieszał się między gości premiery i ukrył się nieopodal głównego foyer pod koniec występu. Kiedy ostatni odwiedzający opuszczali gmach, przystąpił do działania. Uciekł ze zdobyczą Schodami Fuhrera.

- Czym?

Komisarz Bach skrzywiła się.

- Z tyłu budynku znajduje się wejście, którego używał Adolf Hitler, żeby dostać się do swojej łoży po kręconych schodach. Złodziej wyłamał drzwi i mógł w ten sposób wydostać się niepostrzeżenie.

Sara ponownie potrząsnęła głową. W co ona się wpakowała!

Komisarz Bach roześmiała się cierpko.

- No, na szczęście pan Marki wręczył pani dziś wieczorem reprodukcje nut. Wspomniał zresztą, że Fundacja Klasyki Weimarskiej poprosi panią wkrótce o pozwolenie ponownego skopiowania utworu.

- Jakże to? Przecież nie jestem jedyną osobą, która posiada duplikat partytury

- Wydaje się, że tak właśnie jest. Dyrektor wyjaśnił nam, że po pożarze w bibliotece księżnej Anny Amalii w mediach pojawiło się sporo nieprzychylnych komentarzy, na skutek których władze miejskie stały się trochę przewrażliwione. Chcąc uniknąć dalszych przecieków, kompletną kopię nowo odkrytego utworu Liszta wysłano tylko na Uniwersytet Muzyczny

- To po co komu akurat moja kopia?

Funkcjonariuszka Bach zacisnęła usta.

- Na uniwersytet także się włamano. Z tego, co wiemy w tej chwili, wydarzyło się to wczoraj. Ale dopiero dziś zauważono kradzież.

Sara spojrzała wielkimi oczyma.

- Chyba nie...?

Policjantka skinęła głową.

- Niestety właśnie tak: złodziej zabrał wyłącznie wspomniane tutaj nuty. Gdzie trzyma pani swoją kopię, madame d'Albis?

Pytanie było dla Sary jak wiadro zimnej wody

- Sądzę, że widzieliście mój zdewastowany pokój. Wszystkie kopie leżą na

stoliku.

Wskazała na identyczny mebel, który stał między nią a dwojgiem policjantów.

- Jest pani pewna, że ostatnio widziała je pani właśnie tam?

Sara domyślała się, co oznaczało to pytanie i nawet „głupi Jaś” nie wystarczył, żeby pohamować jej bezsilną wściekłość. Miała wrażenie, że zaraz wyjdzie z siebie. Odpowiedziała zdławionym głosem:

- Oczywiście, że jestem pewna. Czy próbujecie mi powiedzieć, że partytura zniknęła?

Zesztywniała twarz komisarz Bach wskazywała dobitnie, że taki splot wydarzeń ją również wytrącił z równowagi. Skinęła głową.

- Obawiam się, że tak, madame d'Albis. Nie znaleźliśmy ani jednego arkusza - ani na szklanym blacie stołu, ani gdziekolwiek indziej w pani pokoju.

Wczesnym popołudniem Sara obudziła się z głębokiego snu bez marzeń. Nie wiedziała, jak ani kiedy znalazła się w łóżku. Głowę wciąż miała pełną waty, ale myślała już dużo jaśniej niż poprzedniej nocy. Jej organizm strawił już najwyraźniej alkohol i barbiturany i zaczął znowu normalnie funkcjonować. Natomiast zastrzyk, który dostała od lekarza, wciąż działał. Sara przebywała w stanie biochemicznie ustabilizowanej obojętności, co jednak w obecnej sytuacji nie przeszkadzało jej w najmniejszym stopniu.

Wcale dynamicznie zsunęła z nogi z łóżka i ugasiła palące pragnienie wodą mineralną z butelki, którą jakaś przyjazna dusza zostawiła jej na nocnym stoliku. Następnie postanowiła odwiedzić toaletę. Kiedy opuściła w tym celu sypialnię, nagle stanęła oko w oko z nieznajomą blondynką w mniej więcej swoim wieku.

Sara wrzasnęła, jakby obdzierano ją ze skóry

Momentalnie drzwi do jej apartamentu stanęły otworem i wpadł przez nie olbrzym, który wyglądał tak, jakby w czasie wolnym trenował w niemieckiej reprezentacji wioślarskiej. Teraz jednak w dłoniach trzymał pistolet. Oczyma poszukiwał ukrytych strzelców.

Młoda kobieta też musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć wrzaski pianistki.

- Wszystko w porządku, madame d'Albis. To tylko my, pani ochrona.

Sara przypomniała sobie. I zamilkła. Racja! Komisarz przydzieliła jej ochronę osobistą na wypadek, gdyby zdecydowała się pozostać jeszcze jakiś czas w Weimarze. Mogłoby to bardzo ułatwić dochodzenie, gdyby ona, główny świadek, pozostała jakiś czas w zasięgu policji. Sara prosiła, żeby pozwolili jej

spokojnie podjąć tę decyzję rano.

- Przepraszam bardzo - zaczęła policjantka. - Myślałam, że pani.

- Już w porządku - odpowiedziała Sara uspokojona. - Zapomniałam po prostu.

Rzuciła promienne spojrzenie funkcjonariuszowi, dwumetrowemu olbrzymowi o czarnych, kręconych włosach, i poczłapała do toalety.

Jakąś godzinę później miała już za sobą prysznic i śniadanie, a jej ogólny stan wykazywał tendencję wzrastającą. Hotel kazał dostarczyć jej z pobliskiego butików trochę ubrań, żeby pozbawiona swojej garderoby pianistka nie musiała chodzić w dresie dłużej, niż to było konieczne. Kierownik zmiany najwyraźniej odrobił pracę domową, gdyż ubrania pasowały nie tylko rozmiarem - wszystkie utrzymane były w ulubionym sportowym stylu Sary. Wybrała pięć czy sześć sztuk, które dawały się ze sobą połączyć. Czarne bawełniane spodnie i błękitny kaszmirowy sweter z dekoltem w szpic założyła od razu.

Znowu nadawała się do pokazania światu, nie potrafiła jednak zebrać się w sobie na tyle, żeby opuścić pokój. Strach przed kolejnym zamachem Słyszających Barwy osadził się w niej zbyt głęboko.

Poza tym koniecznie musiała skoncentrować się na rekonstrukcji zawartej w utworze wiadomości swojego protoplasty.

Po telefonie do komisarz Bach zespół przeprowadzający oględziny oddał jej komputer. O czwartej Sara siedziała już przy biurku, wpisując nuty do programu muzycznego. Aby zapewnić sobie spokój, wysłała Maikę Hampel - swoją ochronę - z biografią Franciszka Liszta w ręku do najdalszego kąta apartamentu. Mario Palme, kolega funkcjonariuszki Hampel, trzymał straż przed drzwiami.

Nieczęsto zdarzało się, by niemal doskonała pamięć muzyczna Sary oddała jej tak ważną przysługę jak teraz. Aż do wieczora pianistka pracowicie odtwarzała partyturę - dźwięk za dźwiękiem, takt za taktem, głos za głosem. Kiedy odsłuchiwała przez słuchawki kolejne pasażę, bardzo rzadko musiała poprawiać którąś z nut. Oczywiście mogła też poprosić o egzemplarz partytury, z którego korzystała orkiestra, świadomie zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Drukowane wydania często nie były wierne oryginałom.

Dodatków w rodzaju opisu tempa - *balzante* - albo wpisanych przez Liszta dat było niewiele, łatwo było je więc zrekonstruować. Prawdziwym wyzwaniem

były dla niej te części kompozycji, które nie zostały wykonane wczorajszego wieczoru, a które знаła zatem wyłącznie z lektury wielokrotnie poprawianego rękopisu. Każdy etap poprawek mógł zawierać ukrytą wiadomość, musiała więc uwzględniać je wszystkie.

Odtworzenie partytury oznaczało dla niej ogromny i trwający wiele dni wysiłek. W sobotę wieczorem pracę przerwała jej wizyta komisarz Bach, która przyszła zadać kolejne pytania dotyczące Tiomkina i Janina. Poza tym całym sercem poświęciła się nowemu projektowi. Od przeczytania zagadkowego listu pożegnalnego Josephiny d'Albis minęło dziesięć lat. Przez ten czas próbowała odnaleźć własną tożsamość, ukrytą za wizerunkiem genialnej pianistki. Skąd przybywała? Z każdą godziną czuła, że coraz bardziej zbliża się do odpowiedzi.

Wciąż pozostawała też kwestia Szkarłatnej Partytury. Czy miała poważnie potraktować gadaninę Rosjanina o Dźwiękach Władzy? Nauka Dźwięków Jubala prześladowała ją nawet w snach.

W nocy z soboty na niedzielę obudziła się nagle zlana potem. Przyśniły jej się odziane w czerń postaci, które stały wokół niej. Wszystkie nosiły długie, sięgające aż do ziemi habity i spiczaste nakrycia głowy z otworami na oczy; spod stożkowatych kapeluszy wyglądały tylko usta i brody. Poza tym mieli skrzydła orłów, które wyrastały z ich ramion i tworzyły zamknięty krąg. Sara przyciskała do piersi plik purpurowych arkuszy nutowych. Postaci wyciągały w ich stronę dłonie. Krąg zaciskał się powoli, chociaż zarówno odstęp między nimi, jak i liczba osób pozostawały takie same. Ze strachu Sara zaczęła kasłać, miała wrażenie, że się udusi. Krótco przed tym, jak dłonie ludzi-orłów dotknęły nut, usiadła na łóżku z szeroko otwartymi oczyma.

Nieopodal niej stał cień – równie ciemny, jak postaci z jej snu. Znowu zaczęła krzyczeć z przerażenia, aż Maike Hampel zaczęła ją uspokajać.

Potem Sara przez jakieś dwie godziny ślęczała nad tekstem zawartej w utworze Liszta wiadomości, ale ani o włos nie zbliżyła się do rozwiązania zagadki. O piątej piekące oczy zagnały ją z powrotem do łóżka, w którym spała aż do świtu.

Po śniadaniu znowu poświęciła się odtwarzaniu partytury. Kiedy dzwony kościoła św. Jakuba wybiły południe, dzieło było skończone, a Sara wykończona. Wyczerpana rozparła się na krześle i ponownie wysłuchiwała odtworzonej z pamięci *Grande fantaisie symphonique sur „Devoirs de la vie” de Louis Henri Christian Hoelty*.

Dźwięk generowany przez komputer był jedynie bardzo nędzną namiastką brzmienia Weimarskiej Orkiestry Państwowej, toteż przed wewnętrznymi oczyma Sary ukazały się jedynie rozmyte smugi. To jednak wystarczyło. Słowa mrocznego wiersza dawno już wryły się jej głęboko w pamięć. Po bezowocnych wysiłkach zeszłej nocy zaczęła się zresztą zastanawiać, czy odczytanie „mapy skarbów” przodka nie leży poza zasięgiem jej możliwości.

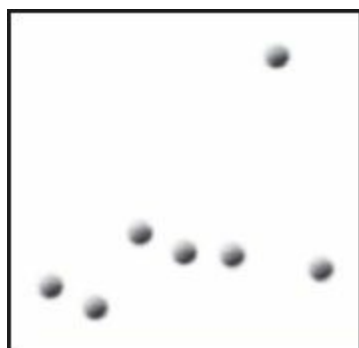
Oleg Janin. Nagle znów ujrzała brodatą twarz profesora. Przez ostatnie godziny starała się nie myśleć o Rosjaninie - z wyjątkiem chwil, kiedy opowiadała o nim wczoraj śledczej. Teraz jednak ogarnęło ją coś na kształt żalu. Komisarz Bach powiedziała, że zamaskowanym zabójcą nie mógł być Janin. Został on przesłuchany i zwolniony po szczegółowym sprawdzeniu alibi.

Jakby nie było, w czwartkowy wieczór wystąpił on jako czarny rycerz, ratując ją przed Tiomkinem. Na szczęście w „Anno 1900” po prostu mu uciekła. Im dłużej o tym myślała, tym więcej znajdowała argumentów przemawiających za pogodzeniem się z Janinem. Jeśli ktokolwiek wiedział coś o Słyszących Barwy, był to właśnie on. Mimo że osobliwe było nawet to, jak dokładnie znał się na sprawach tego tajnego, bądź co bądź, związku.

Poza tym wysondowanie go raz jeszcze nie mogło przecież zaszkodzić. Możliwe przecież, że bez jego pomocy nie uda jej się rozszyfrować złowieszczej wiadomości Liszta.

Sara wciąż wiedziała dobrze, gdzie ma go szukać, zachowała przecież wizytówkę. Podniosła słuchawkę telefonu i kazała połączyć się z hotelem „Elephant”. Po drugiej stronie odezwał się znudzony głos telefonistki, która połączyła ją z pokojem profesora. Nikt nie odebrał.

Sara odwróciła wizytówkę. Nie zastanawiając się długo, odłożyła słuchawkę i wzięła komórkę, chcąc wybrać drugi numer Rosjanina. Kiedy wciskała na klawiaturze cyfry, z telefonu dobywały się dźwięki, tworząc przed jej oczami barwny wzór. Położenie świetlistych punktów coś jej przypominało.



Zanim jednak przypomniała sobie, gdzie widziała wcześniej ten obraz, po drugiej stronie odezwał się głęboki głos Janina.

- Tak?

- Przebaczy mi pan? - zapytała Sara bez słowa powitania.

- Sara? - krzyknął profesor zaskoczony.

Po raz kolejny zignorowała grubiańską poufałość.

- Poinformowano mnie, że spędził pan wczorajszy dzień w towarzystwie kilkorga policjantów. Jest w tym trochę mojej winy Przepraszam.

- Nie mówmy już o tym. Do pierwszej w nocy siedziałem w barze hotelu „Elephant” z pewnym profesorem muzyki. Potem przenieśliśmy się z drinkami do holu hotelowego, gdzie pod karcącym spojrzeniem portiera przegadaliśmy jeszcze pół nocy. Proszę sobie wyobrazić: ten człowiek to flecista, który przyjechał tu specjalnie z Munsteru, żeby podczas premiery grać na swoim historycznym instrumencie.

Bez troska profesora dobrze podziałała na zbolące sumienie Sary

- Ma pan czas dziś po południu?

- Kiedy tylko pani chce. Może fajka pokoju we „Frauentor-Cafe”?

- Mam lepszy pomysł - odparła Sara chłodno. - Będę czekała na pana przy fortepianie w salonie hotelu „Russischer Hof” o wpół do trzeciej.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Rozdział 7.

Oświadczam także, iż (...) nie jestem związany żadnymi tajnymi zobowiązaniami, które mogłyby powstrzymać mnie przed wypełnieniem obowiązków, które związek wolnomularski mógłby na mnie nałożyć. (...) Ponadto przysięgam na moje sumienie i honor, że (...) o wszystkim, czego dowiem się od wolnomularzy teraz i w przyszłości (...) zachowam najwyższą dyskrecję.

Franciszek Liszt, przysięga złożona przed frankfurcką lożą masońską Zur Einigkeit podczas przyjęcia kompozytora w dniu 18 września 1841 roku

Weimar, 16 stycznia 2005, 14:34

W salonie Lionela Feiningera poza Sarą i jej dwójkiem ochroniarzy nie było nikogo. Właśnie minęło wpół do trzeciej. Historyk muzyki Oleg Janin okazał się członkiem partii zwolenników akademickiego kwadransa.

Dwoje policjantów zajęło miejsca na czerwonych wyściełanych krzesłach w najdalszym kącie salonu, a Sara przykucnęła na taborecie przy fortepianie. Trzy nogi czarnego instrumentu stały na wpuszczonej w jasny parkiet rozecie przedstawiającej różę wiatrów z ośmioma „płatkami”. Na prośbę Sary zarząd hotelu nakazał personelowi zdjąć narzutkę przykrywającą instrument i otworzyć klapę. Klawiatura była odsłonięta.

Czubkami palców Sara pieściła klawisze. Dobrzy soliści przypominali trochę linskoczków - musieli poświęcać codziennie po kilka godzin na ćwiczenia. W ostatnim czasie Sara haniebnie je zaniedbała. Czuła wielką chęć zagrania jakiegokolwiek utworu, czegoś delikatnego, umiarkowanego, co pomogłoby jej przygotować się do mającego nastąpić spotkania z Janinem, które mogło wszak okazać się wielkim wyzwaniem dla jej skołatanych nerwów. Na przykład *Berceuse Des-dur opus 57* Chopina.

Palce jej zaczęły tańczyć na czarno-białej scenie jak stopy baleriny, lekko jak piórka, nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku. Mimo to w umyśle Sary rozległy się dźwięki Chopinowskiej kołysanki. Czuła, jak się uspokaja. Jednocześnie narastała w niej jednak chęć, by uwolnić uwięzione w jej głowie dźwięki...

Nagle zdjęła ręce z klawiszy. „Może później” – upomniała samą siebie. Jej wzrok powędrował do góry, skąd słabe zimowe słońce posyłało przez szklany dach matowe światło. Około sześćdziesięciu godzin temu w tym właśnie miejscu uciekała przed śmiercią. Obsługa hotelu dawno już usunęła wszelkie ślady strzelaniny.

Sara spojrzała w dół, ominęła rząd luster i trafiła wzrokiem na galerię portretów wielkich osobistości związanych z Weimarem albo z hotelem „Russischer Hof”. Jedna z mosiężnych tablic ukazywała młodego Franciszka Liszta.

Kącikiem oka zauważyła ruch. Oleg Janin. Zbliżał się do salonu w kapeluszu i czarnym płaszczu. Sara dała znać swoim ochroniarzom, by przepuścili Rosjanina.

Zaprowadziła go w stronę krzeseł stojących przed gobelinem przedstawiającym różne postaci i konia. Jej laptop – przenośna biblioteka – leżał już na blacie. Janin zdjął płaszcz i kapelusz. Znowu miał na sobie marynarkę w angielskim stylu, do tego włożył szerokie sztruksowe spodnie. Stękając lekko, jakby wymagało to od niego niezwykłego wysiłku, opadł na fotel w kształcie sześcianu o czarnym korpusie i piaskowych obiciach.

Ochroniarze Sary nie mówili po francusku, mimo tego jednak zniżyła głos, dziękując profesorowi za przybycie.

Janin roześmiał się dobrotliwie.

– Nasza ostatnia rozmowa urwała się dość, jakby to ująć, niespodziewanie.

– Byłam tego wieczora nieco oszołomiona – usprawiedliwiła się Sara z uśmiechem.

– Zrozumiałe.

Pojawił się mężczyzna w długim białym fartuchu i zapytał o życzenia gości. Pianistka zamówiła czarną herbatę, a profesor zdecydował się na espresso i akwawitę.

Kiedy znowu zostali sami, Sara odezwała się:

– W czwartek powiedział mi pan, że Liszt był prawdopodobnie wielkim mistrzem Słyszających Barwy i stworzył coś w rodzaju mapy wskazującej drogę do Purpurowych Nut. Skąd te wnioski?

– Z intensywnych badań nad jego życiem.

– No i? Też je przeprowadziłam.

- I jak wyjaśnia pani liczne sprzeczności?

- Żadnych nie zauważyłam - Sara ponownie opadła na oparcie fotela. - Ale nie próbowałam tak jak pan osadzić go na czele tajnego związku. Zajmowałam się nim tylko w ramach badań nad historią rodziny.

Janin roześmiał się krótko, a potem odchrząknął i odparł z powagą:

- Proszę mi wybaczyć, ale niemożliwe, żeby rozbieżności te tak po prostu pani umknęły.

- To może poda mi pan jakiś przykład? - odparła Sara sztywno.

- Kiepski byłby ze mnie nauczyciel, gdybym tak bardzo ułatwił pani sprawę. Uczniowie przyjmują do wiadomości tylko to, co sami odkrywają. Jak dobrze zna pani biografię Liszta?

Zanim mogła odpowiedzieć, ponownie pojawił się mężczyzna w fartuchu. Podał im zamówione napoje i natychmiast odszedł.

Sara dodała do herbaty trochę cytryny i zamieszała ją w zamyśleniu. Oczywiście pamiętała niezliczone szczegóły z życia muzyka, od urodzin 22 października 1811 roku w należącej wtedy jeszcze do Węgier miejscowości Raiding aż do śmierci w Bayreuth 25 lipca 1886 roku. Wzruszyła ramionami z wyraźną obojętnością.

- Dobrze. Był to największy wirtuoz fortepianu swoich czasów, potem zaś właśnie w Weimarze został uznanym kompozytorem, a pod koniec życia nieustannie podróżował między Weimarem, Budapesztem i Rzymem. Nie znajduję jednak w jego życiorysie niczego zagadkowego.

Profesor przechylił kieliszek akwawity, oblizał wargi i roześmiał się wyrozumiale.

- Czasami mozaikę trzeba rozebrać i złożyć ponownie, żeby móc zobaczyć właściwy obraz.

- A kto decyduje, co jest właściwe?

- Nasz intelekt. Czy zajmowała się pani światopoglądem Liszta? Swoje imię zawdzięcza świętemu Franciszkowi z Paoli.

- Określiłabym go jako katolika, który wystrzegał się wszelkiego dogmatyzmu, tęsknił natomiast za porządkiem świata. W tym sensie uważał, że *Mater Ecclesia* - jednocząca wszystko Matka-Kościół - jest potrzebna.

- To jak mógł być jednocześnie wolnomularzem?

- Jakie to ma znaczenie? - spytała Sara podchwytliwie.

Profesor roześmiał się.

- To w najwyższym stopniu interesujące, gdyż między rokiem 1739 a 1884 aż sześciu papieży potępiło ruch masoński. Skończyło się nawet na określeniu ich mianem „synagogi Szatana”. Mimo wszystko jednak Liszt nigdy formalnie nie wystąpił z żadnej z licznych łóż, których był członkiem. Uważa pani, że to normalne?

- Był typowym nonkonformistą - odparła Sara wymijająco.

Na twarz Janina wpełzł uśmiezek zadowolenia.

- To jest to proste wyjaśnienie. Proszę w końcu otworzyć oczy moje dziecko. Liszt w głębi serca nie miał w sobie nic z pobożnego katolika. Drzemał w nim rewolucjonista. Prawdopodobnie sam nigdy nie trzymał w ręku nawet bagnetu, jednak muzyka była dla niego bombą, którą mógł rozsadzić stary porządek świata.

- Przesadza pan trochę!

- Och, nie, madame. Proszę jeszcze raz przyjrzeć się ludziom, którymi się otaczał. Zdeklarowani wolnomyśliciele. Liszt systematycznie wykorzystywał własną reputację wśród wysokiej socjety w celu osiągnięcia celów związku.

- Wolnomularzy?

- Ależ nie! Już w czwartek próbowałem to pani wyjaśnić: wolnomularze stanowili dla Słyszących Barwy jedynie środek do osiągnięcia celu. Liszt wykorzystywał struktury masonerii, by nawiązać międzynarodowe kontakty; podczas tournée często zatrzymywał się w domach loży masońskich - Janin pociągnął łyk espresso, skrzywił się i dodał: - Jednocześnie utrzymywał kontakty z papieżem Piusem IX, przez jakiś czas mieszkał nawet w Watykanie. Świetlista postać podziwianego „boga fortepianu” podobna była jednak raczej Lucyferowi. Tylko w ten sposób daje się wyjaśnić sprzeczności. Był mistrzem harfy i manipulował wszystkimi wokół, gdy jego małe stadko Białych Słyszących Barwy zanadto zdane było na pomoc z zewnątrz.

- Jest pan szalony! - wyrwało się Sarze. Przerazona własnym wybuchem spojrzała w stronę ochroniarzy. Hampel czujnie podniosła głowę i spojrzała na nią pytająco. Sara uspokoiła ją gestem dłoni i ponownie zwróciła się przyciszonym głosem do profesora.

- Nie był on tego rodzaju człowiekiem. W ciągu swojego życia dał przecież mnóstwo koncertów dobroczynnych.

Profesor roześmiał się.

- Pani percepcja oparta jest na zasadzie, że to, co niemożliwe, nie istnieje.

Proszę się w końcu zbudzić, moje dziecko!

- Nie jestem pana dzieckiem. Proszę to zapamiętać raz na zawsze.

Wydawało się, że dotknęła tym Janina. Przez chwilę sprawiał wrażenie zmęczonego, rozczarowanego życiem człowieka, jednak już w następnej chwili odnalazł się w roli skruszzonego pokutnika, rozłożył szeroko ramiona i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć, madame. Jeśli badacz przez całe dziesięciolecia poświęca się swojej teorii, każdy sprzeciw może go łatwo wyprowadzić z równowagi. Nie zamierzam kłócić się z panią o to, czy Liszt działał z niskich pobudek, czy z powodu szlachetnego misjonarskiego zapału. W końcu Słyszący Barwy zawsze pragnęli chronić ludzkość. Poza tym do uleczenia świata potrzeba nieco więcej niż kilku symfonii.

- Nie mówi pan tutaj aby o Purpurowych Nutach?

- We właściwych rękach okazałyby się zapewne panaceum na wszelki upadek moralny. Jeśli jednak dostanie je w swoje ręce ten człowiek, będę się spodziewał najgorszego - to mówiąc, Janin wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki zdjęcie, które położył przed Sarą na blacie stołu.

Pochyliła się do przodu, odstawiła filiżankę i przyjrzała się fotografii. Była nieostra, a do tego czarno-biała. Nieuchronnie przywodziła na myśl zdjęcia paparazzich, robione z oddalonych kryjówek za pomocą wielkich teleobiektywów. Sama widniała na sporej liczbie takich zdjęć. To, które pokazał jej Janin, przedstawiało starego mężczyznę z burzą białych włosów. Mimo wieku w jego twarzy było coś szelmowskiego.

- Czy to ten. Niekrasow? - spytała.

Profesor skinął głową.

- Siergiej Niekrasow, urodzony w Rosji. Prowadzi firmę Musilizer, jedno z najważniejszych na świecie, obok Muzaka, przedsiębiorstw zajmujących się muzyką funkcjonalną. Zna pani ten termin?

- Całe to plumkanie typu „kup mnie, nie kradnij mnie”, które puszczają z głośników w supermarketach.

- Można to i tak określić. W kilku produktach tej firmy odkryłem podprogowe informacje, które mają manipulować podświadomością ludzi. Niekrasow ma cały

arsenał tych tak zwanych „subliminali”. Przydały się zresztą podczas kampanii Putina.

Sara otworzyła szeroko oczy

- Żartuje pan sobie!

- Niestety nie. Siergiej Niekrasow dawno już zaczął urządzać świat na swoją modłę. Proszę teraz wyobrazić sobie, że ten człowiek wchodzi w posiadanie Szkarłatnej Partytury. W ten sposób mógłby wpływać na ludzi dużo efektywniej niż za sprawą jakichś tam „subliminali”. Nauka Dźwięków Jubala dałaby mu nieograniczoną władzę i moc, dzięki której mógłby przerobić świat po swojemu i rządzić nim.

- I pan chce temu zapobiec - powiedziała Sara cicho.

Janin posłał jej wymuszony uśmiech.

- Przyznaję, że moja historia przekracza nieco możliwości pojmowania polityków. Jestem jednak pewien, że pani mnie rozumie, madame d’Albis. Jest pani Francuzką, musi więc pani wiedzieć, że sukces wielkiej rewolucji w pani kraju przypisywany jest częściowo *Marsyliance*, prawda?

Żuchwa Sary opadła w dół.

- Nie sądzi pan chyba...?

Rosjanin skinął głową.

- Dysponuję dokumentami, z których jasno wynika, że francuski hymn narodowy jest dziełem Słyszącego Barwy

- To... niewiarygodne.

- Och nie, to niestety jedynie niedoskonały produkt, który powstał w czasie, kiedy wojna Słyszących nie była jeszcze zakończona. Dziś ten tajny związek jest, pod przewodnictwem Siergieja Niekrasowa, znacznie bardziej potężny i obawiam się, że wyłącznie pani ma jakąś szansę, by pokrzyżować jego plany. Chyba że woli pani patrzeć beczynn timer, jak ludzkość pogrąża się w chaosie, ponieważ ten konkretny mistrz harfy i jego poplecznicy gwałcą muzykę i podporządkowują sobie królestwo dźwięków, którego to pani, madame d’Albis, jest władczynią?

Sara nie wiedziała, co odpowiedzieć. Władczyni? Królestwa? Chaos? Niepewna siebie ujęła filiżankę, a wtedy Janin pochylił się głęboko do przodu i złapał ją za nadgarstek. Głos miał teraz błagalny.

- Musimy odnaleźć Szkarłatną Partyturę przed Tiomkinem i Niekrasowem, Saro! Tylko tak możemy ich zatrzymać!

Na chwilę zastygła, sparaliżowana utkwionym w niej wzrokiem Rosjanina, potem jednak uwolniła się z jego uchwytu, cofnęła się gwałtownie, padając na oparcie fotela, i zapytała:

- My?

Skinął znacząco głową.

- Tak. Dlatego właśnie muszę w końcu otrzymać od pani kilka jasnych odpowiedzi, madame d'Albis. Co tak naprawdę wydarzyło się w czwartkowy wieczór podczas premiery *Fantazji* Liszta?

Sara zatrzęsała się. Janin właściwie odebrał jej możliwość wyboru. Wiedziała, że nie podoba jej się wizja przyszłości, którą przed nią roztoczył. W ciągu ostatnich paru dni przeżyła zaś zbyt dużo, żeby móc zbyć go jako pomysłowego wyznawcę teorii spiskowej. Musiała go wtajemniczyć. Przynajmniej częściowo.

- Widziałam wiadomość - powiedziała cicho.

Przez chwilę Rosjanin po prostu patrzył na nią przenikliwie. Potem powoli przytaknął.

- A więc jednak! Jak wyglądała?

Sara wzruszyła ramionami.

- Zbudowana była z kolorowych plamek i wstążek, które razem układały się w litery. Tylko słowa i spacje, żadnych znaków przestankowych.

- Fascynujące! Wszystko to ukryte w dźwiękach *Fantazji*?

- Tak, z tym że moja *audition colorée* bierze też pod uwagę barwę dźwięku.

- Rozumiem. To bardzo rzadkie przy synestezji. Dlatego też Tiomkin sam nie widział zbyt wiele.

- Mówi pan, że on też jest synestetykiem? - Sara była zaskoczona.

- Z całą pewnością. Nikt, kto nie posiada daru, nie zajdzie tak wysoko w hierarchii bractwa. Zaś w kwestii Liszta pani opowieść rozwiała moje ostatnie wątpliwości. Wie pani, co to oznacza?

- Nie. Ale na pewno zaraz mnie pan oświeci.

- Do swojej *Fantazji* włączył Dźwięki Władzy. Coś takiego potrafiłby zrobić jedynie mistrz równy Jubalowi. Wobec tego Franciszek Liszt musiał studiować Purpurowe Nuty i zastosować zawartą w nich wiedzę. O czym w ogóle mówi ta jego tajna wiadomość?

Wtrącając to pytanie mimochodem, Rosjanin wzbudził nieufność Sary. Pomyślała, że może być przecież pajakiem, tkającym sieć z półprawd, aby

wydobyć z niej tajemnicę zaklętej w dźwiękach wiadomości. Postanowiła mieć się na baczności i dać Rosjaninowi tylko mały palec, a nie od razu całą dłoń.

Odpowiedziała:

- O ostrzeżeniu przed morderstwem.

Profesor wydawał się skonsternowany.

- Że co proszę? Jest pani pewna?

- „Franz, spiesz się, Ludu Wola z kwiatem ciemnym plecie wieniec dla Aleksandra - w dwie pełnie go zmiecie”. Tak właśnie brzmi ta wiadomość.

Wczoraj wieczorem znalazłam w Internecie wiersz *Obowiązki życia* Hölty'ego.

Druga strofa brzmi:

„Płasa dziś w tańcu wiosennym Młodzian z twarzą hożą

Jutro wieniec z kwiatem ciemnym

Na grobie mu złożą⁴”

Zwrócił pan uwagę na podobny dobór słów? Powiedział pan przedtem, że mozaikę trzeba czasami rozłożyć i złożyć ponownie, żeby zobaczyć właściwy obraz. Co sądzi pan o tym nagrobnym wieńcu?

- To naprawdę brzmi jak zapowiedź zamachu. Wiedziała pani, że Ludwig Hölty sam też był wolnomularzem?

- Nie. Czy to znaczy, że należał też do Słyszących Barwy?

- Tego nie jestem pewien.

- Zresztą to dobrze pasuje, że Liszt włączył w swoją wiadomość wiersz jednego z członków bractwa.

- I nawet dla podkreślenia zamieścił tam własne imię.

Sara pokręciła głową.

- Też tak na początku myślałam, ale nie jestem już taka pewna. Imię Franz może oznaczać też adresata ostrzeżenia.

- Podoba mi się sposób, w jaki podchodzi pani do tego problemu - pochwalił ją profesor. - Imię to jest nawet dziś dość popularne. Do kogo mogła być skierowana ta wiadomość?

- Może dowiemy się tego, kiedy odkryjemy tożsamość tego Aleksandra, którego Liszt pragnie najwyraźniej uratować.

- To imię w XIX stuleciu cieszyło się równie wielką popularnością.

Sara mimowolnie posłała profesorowi gniewne spojrzenie. Obiecywała sobie po jego pomocy czegoś więcej niż potoku coraz to nowych banałów. W zamyśleniu rozejrzała się po salonie. Kiedy jej wzrok spoczął na galerii

z podobiznami znanych osobistości, wyrwało jej się nagle: „Russischer Hof!”.

Janin przechylił się w jej stronę:

- Co proszę?

Sara odwróciła się w jego stronę i spytała podniecona:

- Wiedział pan, że w pożarze biblioteki księżny Anny Amalii spłonęło też siedemset arkuszy nutowych pisanych ręką carówny Marii Pawłowny?

- Jaki ma to związek z tym hotelem?

- W kronice hotelowej napisano, że pierwotnie „Russischer Hof”, „Rosyjski Dwór”, nazwano „Dworem Aleksandra” na cześć cara Aleksandra, brata Marii Pawłowny. Wielki książę Saksonii-Weimaru-Eisenach poślubił ją na początku XIX stulecia w Petersburgu.

- Jeśli się nie mylę, Aleksander I Pawłowicz umarł w roku 1825.

Sara skinęła głową w zamyśleniu. Otworzyła laptopa, włączyła encyklopedię i wpisała hasło wyszukiwawcze „Aleksander”. Lista artykułów, która się wyświetliła, liczyła kilka stron. Zmarszczyła nos. Aby ograniczyć liczbę wyników dopisała do hasła ciąg cyfr: 1881. Lista zmniejszyła się dramatycznie. Na samej górze widniało imię przyszłego cara. Kliknęła odnośnik i przebiegła wzrokiem tekst. Roześmiała się odruchowo, podniosła wzrok znad ekranu i powiedziała:

- Aleksander II Nikołajewicz.

- Zgadza się! - przypomniał sobie Janin. - Umarł w 1881 roku!

- Tak, anarchiści zabili go na Newskim Prospekcie w Petersburgu.

- Nie chciałbym tutaj afiszować się ze swoją wiedzą historyczną, ale z tego, co wiem, car zginął dokładnie i marca. Liszt natomiast wyraźnie wskazywał na środek miesiąca jako datę śmierci. Musiało chodzić mu o innego Aleksandra.

- I mówi to właśnie pan, samozwańczy koryfeusz historii Rosji! - palec Sary wskazał na miejsce przy dolnej krawędzi ekranu. - Napisali tu, że pańska ojczyzna aż do rewolucji październikowej w 1917 stosowała kalendarz juliański. Wedle kalendarza gregoriańskiego cara zamordowano dokładnie 13 marca.

- Przeoczyłem to - zgrzytnął zębami Janin.

- A robi się coraz lepiej: podziemna organizacja, która wysadziła monarchę w powietrze, nazywała się Narodnaja Wola - obdarzyła profesora uroczym uśmiechem. - Jestem pewna, że może mi pan to przetłumaczyć.

- Wola Ludu - burknął Janin.

Skinęła głową i ponownie zacytowała - podkreślając właściwe miejsca - wers

zawartej w utworze wiadomości:

- „Franz, spiesz się, Ludu Wola z kwiatem ciemnym plecie wieniec dla Aleksandra”! Liszt musiał dowiedzieć się o planach zamachu anarchistów.

- Nic w tym dziwnego, skoro całymi latami przebywał wśród ludzi blisko związanych z carskim dworem.

- Zamach doskonale pasuje do opisaney przez pana intrygi - odezwała się Sara.

- Nie do końca rozumiem.

- Powiedział pan przed chwilą, że Orły skłaniały się ku radykalnym metodom, gotowe były nawet podpalić świat, oraz że używały do swoich celów innych - czemu nie miałyby więc wykorzystać anarchistycznej grupy, na przykład tej Narodnej Woli?

Na surową twarz Janina wpełził uśmiezek.

- Podoba mi się pani inteligencja. Słyszący Barwy wykorzystywali już swoje Dźwięki Władzy do niszczenia państw, wywoływania rewolucji i podżegania do politycznych morderstw w celu przywrócenia równowagi sił. Tego wymaga ich pradawny kodeks.

- Równowagi? - Sara zmarszczyła nos i wskazała na ekran. - Zamach na Aleksandra II wprowadził w ruch proces, który w końcu doprowadził do wybuchu rewolucji październikowej. Czy Słyszący tak wyobrażali sobie ten nowy porządek świata? Chcieli zastąpić imperium cara dyktaturą proletariatu czy może tak po prostu wyszło?

- To był chyba największy wypadek przy pracy w dziejach ludzkości. Niestety tak to już jest, że jeśli zapłodni się jakąś ideą umysły dostatecznie wielkiej liczby osób, ta energia może osiągnąć masę krytyczną i wywołać niemożliwą do opanowania lawinę. Bardzo możliwe, że Orły naprawiły zresztą już swój błąd: z nawy komunizmu, płynącej niegdyś dumnie po morzu narodów świata, zostały dziś tylko marne szczątki.

- I sądzi pan, że to zasługa Słyszących Barwy? - spytała Sara z niedowierzaniem.

Janin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Proszę udowodnić, że tak nie było.

Pokręciła głową.

- To jest chore.

- Prawdopodobnie tak samo chore jak ostrzeżenie Liszta o zamachu na

Aleksandra II. Czy w jego wiadomości było też coś więcej, coś, co dotychczas ukrywała pani przede mną?

Zupełnie zaskoczył ją tak bezpośrednim pytaniem. Demonstracyjnie zamknęła laptopa.

- Ależ pan uparty!

- Nauczyłem się tego aż nazbyt dobrze przez ponad czterdzieści lat poszukiwań.

Sara poczuła się zagoniona w kozi róg. Czy mogła mu zaufać? Może ją tylko wykorzystywał? Dało się to ustalić. Powiedziała:

- *Quid, pro quo.*

- Słucham?

- To po łacinie. Znaczy.

- „Coś za coś”. Wiem, co to znaczy. Nie mam jednak pojęcia, czego oczekuje pani ode mnie.

- Niespecjalnie przydał się pan przy ustalaniu tożsamości cara. Skoro jest pan jednak tak wielkim lisztoznawcą, chciałabym wiedzieć, kto według pana mógł być adresatem zawartej w utworze wiadomości.

- Ma pani na myśli tego tajemniczego Franza? - Janin zagłębił dłoń w brodzie, wypił resztę wystygłej już kawy i znów zaczął skubać zarost. Nagle twarz mu się rozjaśniła. - Mógł mieć na myśli Franza von Liszta, swojego dużo młodszego kuzyna. Wiadomo, że kompozytor był nawet ojcem chrzestnym młodego Franza, który potem został słynnym profesorem prawa i politykiem.

- Polityk? Jak niby miałyby odczytać zawartą w utworze wiadomość?

- Nie trzeba być muzykiem, żeby należeć do Słyszących Barwy. Obaj Lisztowie byli spokrewnieni, mogli więc dysponować tym samym darem synestezji.

- A dlaczego kompozytor po prostu nie wysłał carowi depeszy?

- Ponieważ nie ufał ani urzędowi telegraficznemu, ani kurierom. Prawdopodobnie obawiał się, że Orły zdemaskują go jako wielkiego mistrza Łabędzi.

- Możliwe, ale czy chcąc ocalić głowę państwa, trzeba tak głęboko ukrywać wiadomość?

- Może myślał, że wystarczy, kiedy młodszy Liszt raz posłucha wykonania *Fantazji*, żeby odczytać ostrzeżenie. Jako umiarkowany liberał i reformator na

pewno młodszy Liszt posiadał kontakty zarówno na dworze, jak i wśród przeciwników cara. Możliwe, że z katedry uniwersyteckiej w Hesji mógł oddziaływać i na jednych, i na drugich, nawet głęboko w Rosji.

- Co czyniło z niego idealnego posłańca do przekazania ostrzeżenia carowi - Sara przygryzła dolną wargę. Wyjaśnienie Janina wydawało się wiarygodne. Nadszedł czas, by otworzyć przed nim kolejne drzwi w zamku jej zaufania. - Chce pan wiedzieć, czy w utworze zawarte były też inne wiadomości?

Przez ciało Janina przeszedł widoczny dreszcz.

- Tak.

- Sądzę, że stary Liszt, przeczuwając zbliżającą się śmierć, chciał przekazać wiedzę o Purpurowych Nutach następnemu pokoleniu albo nawet powołać młodego Franza na nowego mistrza harfy

- Czy to oznacza... że wiadomość podaje miejsce, gdzie można znaleźć Szkarłatną Partyturę?

Sara mierzyła zwężonymi oczyma Rosjanina, który wyglądał jak naelektryzowany. Na ile powinna mu zaufać? Odpowiedziała mu wymijająco.

- Tego nie mogę powiedzieć. Wiersz pozostaje dla mnie zagadką.

Podniosła się, podeszła do fortepianu i zagrała melodię towarzyszącą trzeciej strofie tajemnej wiadomości. W jej umyśle powstał przy tym obraz, którego w żaden sposób nie dało się porównać z tym, który wymalowałaby cała orkiestra. Grała na instrumencie Kawai, a już dźwięk Steinwaya albo Bechsteina ukazałyby jej coś innego. Poza paroma kolorowymi plamami nie widziała nic, co choć w zarysach przypominałoby litery, które ukazały się jej w Teatrze Narodowym.

- Co to ma znaczyć? - Janin przerwał tok jej myśli.

- Ach... to jedna z tych pytyjskich wskazówek. Liszt, wspomniawszy o Purpurowych Nutach, mówi, że „aby odszukać miejsce, w którym je schowano, wnet króla wszystkich ślepców przybierz dumne miano”.

Janin roześmiał się.

- To akurat łatwo zrozumieć. Oznacza to mniej więcej: „nie zwracaj uwagi na to, co widzisz oczyma, obserwuj świat wyłącznie za pomocą *audition colorée*”. Słyszenie barw wskaże ci drogę do Purpurowych Nut. Ale dlaczego nie zaczniemy od początku? Jak zaczyna się wiadomość?

- Pierwsze dwie strofy służą jedynie za wstęp. Mają zwrócić uwagę odbiorcy na Purpurowe Nuty - odpowiedziała Sara niepewnie. Kiedy zdała sobie sprawę,

że jej lewa dłoń spoczęła na ukrytym sygnecie z literami „FL”, gwałtownie opuściła rękę. Oczy profesora zwięzły się. „Łańcuszek jest ukryty pod swetrem, nie mógł go zobaczyć” – uspokajała się.

Twarz Janina znowu była rozluźniona.

- No dobrze. A dalej?

- To trochę jak wiersz. W kolejnej strofie napisano, żeby dać się poprowadzić „od AS tam przez N+Balzac gdzie wszystko się ziszcza”. Brzmi jak szyfr, prawda? A dlaczego nazwisko Balzaka poprzedzone jest literą „N” a nie „H”? W końcu to był Honore de Balzac.

- To naprawdę osobliwe – wymamrotał profesor i znów zaczął skubać swoją brodę. - Liszt, mieszkając w Paryżu, spotykał też wielu innych artystów: Hectora Berlioza, Fryderyka Chopina, Niccolo Paganiniego, Heinricha Heinego, Victora Hugo. Poproszę moich studentów, żeby się tym zajęli. Może dowiedzą się czegoś więcej. Co jeszcze było w wiadomości?

- Nic. Ostrzeżenie na końcu już pan zna.

- Niemożliwe! – odparł Rosjanin poruszony

- A jednak – Sarze znudziło się już to odpytywanie i zabawa w kotka i myszkę.

Twarz Janina przybrała znękaną wyraz. Z niedowierzaniem kręcił głową.

- W takim razie wróćmy do początku, do tego, jak to pani nazwała, wstępu.

- Jest nieistotny – odparowała Sara bezczelnie.

Profesor oburzony podskoczył na fotelu i krzyknął:

- Pani coś wie, Saro! Proszę to z siebie wyrzucić!

Jego gest wydawał się dostatecznie groźny, żeby skłonić jej ochronę do działania. W ciągu paru sekund oboje przemknęli przez salon i stanęli przy niej z rękami na kaburach.

- Potrzebuje pani pomocy, madame d’Albis? – zapytała policjantka.

- Dziękuję, pani Hampel, ale – tu zwróciła się z godnością w stronę Janina – mieliśmy tylko małe nieporozumienie.

Policjanci wycofali się z powrotem do swojego kąta.

Sara obrzuciła Rosjanina gniewnym spojrzeniem. Tym wybuchem zniszczył wszelkie szanse zdobycia jej zaufania. Dlaczego tak bardzo zależało mu na Purpurowych Nutach? Czy naprawdę chodziło tu tylko o dobro nauki? A może chciał użyć Dźwięków Władzy do własnych celów?

Profesor odsapnął i ponownie opadł na fotel.

- Proszę mi wybaczyć, madame, po prostu.

- Powtarza się pan - opryskliwie przerwała mu Sara. - Jeśli przyjechał pan do Weimaru, żeby przekonać mnie do swoich teorii spiskowych, to proszę nie zbywać mnie półprawdami. Czas zagrać w otwarte karty, monsieur Janin.

- No więc - wydusił z siebie w końcu profesor - tak naprawdę nie jest pani jedynym powodem, dla którego tu jestem.

Oczy Sary zmieniły się w wąskie szparki.

- Ale?

- Przyjechałem do miasta pod koniec lata zeszłego roku, żeby poszperać w tutejszym archiwum w poszukiwaniu wskazówek dotyczących Szkarłatnej Partytury. Wtedy - w końcu! - w starej części biblioteki księżnej Anny Amalii natknąłem się na wielce obiecujące dokumenty. Musiałem jednak przerwać poszukiwania, bo bibliotekę zamykali z powodu późnej pory. Następnego ranka na miejscu Sali Rokokowej znalazłem ruiny i zgliszcza.

Janinowi znów udało się zaskoczyć Sarę.

- Był pan w bibliotece przed pożarem?

Łagodnie skinął głową.

- Próbuje mi pan powiedzieć, że Słyszący Barwy obserwowali pana i podłożyli w końcu ogień?

- Może pani wierzyć w przypadek, jeśli pani woli.

- Ale jak...? - zamknęła usta i potrząsnęła głową, zirytowana własną naiwnością. - Skoro Słyszący Barwy to tak ściśle tajne bractwo, skąd wie pan o nich tak dużo? I niech nie sądzi, że tym razem uda się panu wykręcić sianem!

Janin spojrzał markotnie na pusty kieliszek z białym krzyżem maltańskim. W końcu jego ramiona podniosły się i opadły z ciężkim westchnieniem.

- Dobrze zatem - zaczął tak cicho, że Hampel i Palme nie zrozumieliby go, nawet gdyby dysponowali perfekcyjną znajomością francuskiego. - Musi mi jednak pani przysiąc, że nikomu pani nie powie.

- Ja niczego od pana nie chcę, to pan chce czegoś ode mnie - odparła Sara bezwzględnie.

- Tak, tak, zgadza się - powiedział Janin, wykonując uspokajające gesty. - A więc wygląda to tak: mój ojciec był Orłem.

Oczy Sary rozszerzyły się.

- Czyli?

- Słyszającym Barwy - potwierdził profesor. - I to nie byle jakim, ale pierwszym adeptem wielkiego mistrza. Siergiej Niekrasow już wtedy stał na czele związku - ten człowiek jest prastary. Mój ojciec był czymś w rodzaju następcy tronu, potem jednak doszło między nimi do sporu na temat celów bractwa, a Niekrasow natychmiast zabił swojego następcę. I. - Rosjanin podrapał się w brodę.

- I?

Profesor pochylił się do przodu i powiedział jeszcze ciszej:

- Ojciec zostawił mi teczkę z różnymi pismami: były tam nazwiska ówczesnych Słyszących; dokumenty historycznych wydarzeń, w jakie byli zamieszani; utwory muzyczne w które wplekli swoje Dźwięki Władzy i wiele innych ściśle poufnych informacji.

Sara mierzyła podejrzliwym wzrokiem człowieka, którego fizyczna obecność w tej chwili była wręcz przytłaczająca. Nie zapomniała jednak o tym drugim Olegu Janinie, stalkerze, który był odpowiedzialny za wiele jej nieprzespanych nocy i który terroryzował ją listami, telefonami, a w końcu nawet włamaniem do mieszkania. Pokręciła głową. Jego historia jej nie przekonała.

Pochyliła się niespodziewanie do przodu, wzięła ze stołu komputer i podniosła się.

Janin także wstał.

- Idzie pani?

- Tak - odpowiedziała krótko.

- Ale jak to...?

- Coś pan przede mną ukrywa, monsieur Janin.

Rozłożył ramiona w geście niewinności.

- Skąd pani to przyszło do głowy?

Sara wytrzymała jego niewinne spojrzenie z żelazną determinacją.

- Skąd mi to przyszło do głowy? Odpowiedzi na to pytanie oczekuję od pana, monsieur. Proszę do mnie zadzwonić, kiedy coś pan wymyśli.

Odwróciła się od niego bez *adieu* i opuściła salon.

Ten młody człowiek dużo marzy i myśli, wszystko usprawiedliwia. Jego umysł jest równie niezwykły jak jego palce i tak samo dobrze wyszkolony. Gdyby nie był genialnym muzykiem, zostałby słynnym filozofem i literatem.
Auguste Boissier, 1832, o nauczycielu swej córki, Franciszku Liszcie

Rozdział 8.

Weimar, 16 stycznia 2005, 15:44

Bruk weimarskiej starówki rzucał wyzwanie kostkom kobiecych nóg. Chwila nieuwagi mogła skończyć się zerwaniem ścięgna. Sara nie zwalniała jednak dziarskiego kroku. Dwoje ochroniarzy cały czas trzymało się tuż za nią. Na szczęście byli dobrze wyszkoleni.

Kiedy Oleg Janin, warcząc jak syberyjski wilk, opuścił hotel „Russischer Hof”, Sara zaskoczyła oboje funkcjonariuszy, oznajmiając: „Idę się przejść”. Ochroniarze zaczęli roztrząsać argumenty przemawiające za i przeciw temu projektowi, ale determinacja Sary okazała się niezachwiana. Trzy dni siedzenia w pokoju wystarczały jej w zupełności. Potrzebowała ruchu i świeżego powietrza.

Tak naprawdę nie chodziło jej wcale o ćwiczenia fizyczne. Weimarskie Muzeum Zamkowe zimą było czynne tylko do czwartej po południu. Sara zamierzała znaleźć w byłej rezydencji wielkiego księcia odpowiedź na kilka pytań, nie miała jednak wiele czasu. Stąd pośpiech.

W towarzystwie ochroniarzy przeszła przez Herderplatz i wzdłuż Mostgasse, dochodząc przed zachodni fronton imponującego czteroskrzydłowego kompleksu. Przez bramę weszli na dziedziniec zamku, a więc znaleźli się w dokładnie tym punkcie, który Franciszek Liszt wybrał na miejsce premiery swojego tajemniczego dzieła. Promienie kamiennej gwiazdy wmurowanej w śliski, mokry bruk dzieliły podwórzec na trójkątne części jak pokrojony tort. Sara zadrżała, kiedy zimowy chłód wcisnął się pod jej płaszcz. Przynajmniej nie padał śnieg. Ale czy sto dwadzieścia cztery lata temu było tak samo?

Raz jeszcze zastanowiła się, jak kompozytor wpadł na pomysł zorganizowania premiery pod gołym niebem w środku stycznia. Na europejskich

dworach książęcych używano już wprawdzie wygodnych namiotów ogrzewanych żelaznymi piecykami, ale mimo wszystko...

Niespodziewanie Sara stanęła w miejscu. Patrzyła jak urzeczona na sam środek placu. Widniał tam symbol stworzony poprzez wpuszczenie ciemnych kamieni w jasny bruk. Z powodu wilgoci prawie nie było go widać, ale tam był. Róża wiatrów.

Znowu. W myślach Sary pojawił się most łączący tę różę z rozetą w parkiecie hotelu „Russischer Hof” i prowadzący dalej do rozmowy z Olegiem Janinem w „Anno 1900”: Słyszących Barwy można poznać wyłącznie po śladach, jakie zostawiają, po ich symbolach. Liczba osiem odgrywa u nich centralną rolę. „Do tej grupy należy też róża wiatrów.”

- Wszystko w porządku? - głos funkcjonariuszki Hampel przerwał wątek wspomnień.

Sara odwróciła się w stronę policjantki i wskazała na gwiazdę na ziemi.

- Czy ten bruk jest w oryginalnym stanie?

Funkcjonariusze wymienili bezradne spojrzenia, Palme wysunął dolną wargę i rozłożył ręce. Jego towarzyszka odparła:

- Nie jestem stąd, ale słyszałam kiedyś, że wieża jest najstarszą częścią zamku. Zbudowano ją w średniowieczu.

- Dziękuję - przerwała jej Sara i zwróciła się w stronę wejścia do muzeum.

Chwilę później wkroczyli wszyscy troje do foyer. Drogę zastąpiła im energiczna przewodniczka w ciemnoniebieskiej spódnicy i białej bluzie. Krępa niewiasta wyciągnęła w stronę Sary dłoń tak, jakby trzymała lizak policyjny, i zawołała:

- Stać! Zamykamy za parę minut!

- Wiem o tym.

- Tym lepiej. We wtorek może pani znowu.

- Nie mogę czekać.

- Przykro mi, ale.

- Potrzebuję tylko paru odpowiedzi.

Hoża strażniczka muzeum westchnęła:

- Zupełnie jak my wszyscy, prawda?

- Bruk na wewnętrznym dziedzińcu. Z jakiego okresu pochodzi? - zapytała

Sara niewzruszona.

Na czole kobiety pojawiły się głębokie bruzdy. Najwyraźniej nieczęsto zadawano jej to pytanie.

- No więc, stary zamek spalił się w 1774 roku. Odbudowano go piętnaście lat później. Początkowo miał jedynie trzy skrzydła.

- A róża wiatrów na dziedzińcu?

- Sądzę, że jest tak samo stara.

Sara czuła się tak, jakby jej myśli były placem paradnym, nad którymi właśnie wzeszła jasna gwiazda.

- Dziękuję! - krzyknęła uradowana i wybiegła na zewnątrz a z nią dwójka policyjnych cieni.

Przewodniczka została z tyłu, potrząsając głową.

Sara, obserwowana podejrzliwie przez swoich ochroniarzy, obróciła się w wewnętrznym kręgu wokół własnej osi i stanęła zadziwiona. Kiedy wcześniej znalazła różę wiatrów, zupełnie nie zwróciła na to uwagi: w okręgu z szarych kamieni znajdował się krzyż złożony z czterech ciemnych, stykających się ze sobą kamieni. Symbol kawalerów maltańskich albo joannitów wielokrotnie przedstawiano, jak dowiedziała się ostatnio, w tej uproszczonej formie. Czy mógł to być tylko przypadek?

Sara przypomniała sobie słowa, które przeczytała w jednym z listów Franciszka Liszta. Napisał je wkrótce po otrzymaniu nominacji na nadwornego kapelmistrza, a ich adresatem był wielki książę Carl Alexander.

„Teraz... pragnę myśleć przede wszystkim o Weimarze, mojej gwiazdzie przewodniej, której dobroczynne promienie oświetlają moją daleką drogę”.

Im dłużej przyglądała się krzyżowi u swych stóp, tym bardziej utwierdzała się w niej pewność, że ta wypowiedź jest wskazówką pomocną w odszyfrowywaniu wiadomości. Nie miała już wątpliwości, że Liszt skomponował „mapę skarbów”. Teraz należało tylko, jak określił to Oleg Janin, właściwie odczytać wskazówki i ślady: róża wiatrów oznaczała osiem stron świata. Była kompasem służącym do wyznaczania tras i położenia miejsc.

Stąd właśnie miały rozpocząć się poszukiwania.

Kiedy Sara podniosła oczy, jej wzrok przesunął się po szerokim balkonie wschodniego skrzydła zamku. Słońce jeszcze nie zaszło, ale w znajdującej się za nim sali balowej już paliło się światło. W jednym z okiem stał łysy mężczyzna o wąsach jak u morsa i postawie bokserkiego mistrza. Sara natychmiast go

rozpoznała.

Perkusista.

Sara zamieniła się w sopel lodu albo przynajmniej tak się czuła. Nie mogła oderwać oczu od Rosjanina, wydawało jej się też, że czuje na swojej skórze jego spojrzenie jak wilgotne palce. Ze strachu nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Policjanci natychmiast zauważyli, że coś było nie tak.

- Czy to nie. Tiomkin? - zapytała kobieta.

Sara z wielkim trudem skinęła głową.

Ochroniarze w mgnieniu oka zasłonili sobą linię strzału i pociągnęli swoją podopieczną do wschodniego wyjścia. Wszystko stało się niesamowicie szybko. Ukrywszy się w bramie, funkcjonariuszka zadzwoniła na komisariat. Jej partner spojrzał z gotową do strzału bronią w stronę sali balowej i zaklął.

- Cholera! Nie widzę go już.

- Uciekł? - zapytała Sara. Głos drżał jej z gniewu.

- Proszę się nie martwić, ochronimy panią.

Ta odpowiedź niezbyt ją uspokoiła. Na pewno uczyli tego na pierwszych zajęciach w szkole dla ochroniarzy. Czy Tiomkin śledził ją po to, żeby zastrzelić ją z ukrycia? A może przyszedł tutaj z tego samego powodu co...?

- Najbliższy posterunek jest przy rynku, rzut kamieniem stąd - funkcjonariuszka Hampel przerwała trwożne rozmyślenia podopiecznej.

Rzeczywiście - po kilku sekundach rozbrzmiała syrena, a w chwilę później opony zielonobiałego radiowozu zapiszczały na bruku drogi dojazdowej do zamku. Samochód stanął w bramie i wyskoczył z niego policjant, który miał koordynować ewakuację budynku. Palme zajął zwolnione przez niego miejsce pasażera.

Maike Hampel wepchnęła Sarę na tylne siedzenie i powtórzyła:

- Proszę się nie martwić, ochronimy panią.

Ochroniarze pouczyli ją delikatnie, że powinna trzymać się z daleka od okien, bo ani w Carskim Apartamencie ani gdziekolwiek indziej w hotelu „Russischer Hof” nie mieli kuloodpornych szyb. Sara była zachwycona.

- Nie możemy wykluczyć, że ktoś naprawdę próbuje panią zabić - komisarz Bach w rozmowie telefonicznej uzasadniała zaostrożenie środków ostrożności. Została powiadomiona o zajściu natychmiast po powrocie do hotelu.

- Nie możecie wykluczyć? - powtórzyła Sara zdziwiona. - A co to ma znaczyć? Tiomkin z tym swoim pistoletem zamienił mój pokój w tartak.

- W tej chwili nie wiemy, ani czy rzeczywiście to on był włamywaczem, ani jakie były jego prawdziwe intencje - tłumaczyła cierpliwie pani Bach. - Powiedziała nam pani, że miał ze sobą latarkę. Nie strzelał więc na ślepo. Mimo to podziurawił kulami zasłane łóżko, a kilka kolejnych pocisków zostawił w ścianach. Nie uważa pani, że to trochę dziwne?

- Może jest krótkowidzem?

- Albo wcale nie chciał pani zabić.

- Tylko?

Śledcza westchnęła głośno.

- Napędzić pani stracha. Albo odwrócić uwagę od kradzieży nut. Nie wiem.

- Jeżeli próbuje mnie pani w ten sposób uspokoić, powinna się pani trochę bardziej postarać.

- Jak wyglądał pistolet, którym Tiomkin groził pani wcześniej z samochodu?

Sara przełknęła ślinę.

- Mówiłam już pani, nie miał żadnego pistoletu. To była.

- Latarka?

Sara powoli nabierała wątpliwości. Po dłuższej chwili milczenia policjantka odezwała się ponownie.

- Często wszystko jest prostsze, niż się wydaje, madame d'Albis, ale czasami okazuje się bez porównania bardziej skomplikowane. Mamy na przykład ten sklep z bronią, z którego pani wybawca wziął miecz. O kracie w oknach już pani mówiłam. Dowiedzieliśmy się tymczasem, że jest ona połączona z zamkiem, który opuszcza ją automatycznie po zamknięciu sklepu. W czwartkowy wieczór jednakże cała ta elektronika zawiodła. Zabawne, prawda?

- W zasadzie powinno mnie to cieszyć.

W głosie policjantki dała się słyszeć delikatna drwina.

- Tak. W zasadzie. Ale jakoś nie podoba mi się ten fatalizm. Wolę już zdać się na intuicję.

- A co podpowiada ona pani w tym przypadku?

- To, że do tej pory poznaliśmy tylko wierzchołek góry lodowej. Chciałabym odwiedzić panią jutro w hotelu i zadać jeszcze kilka pytań. Może do tego czasu przypomni sobie pani coś, co zechce mi pani opowiedzieć.

Sara bywała już w lepszym nastroju. Siedziała teraz skulona na sofie w luksusowym apartamencie, obejmując ramionami podkulone kolana,

i rozmyślała. Informacja, którą komisarz Bach przekazała jej przez telefon, pozbawiła ją resztek nadziei. Była śmiertelnie przerażona. Dokądkolwiek by poszła, Słyszący Barwy pójdą za nią.

Czy miała w ogóle jakiejkolwiek szanse, żeby uciec przed tym tajnym klubem szaleńców? Kto decydował, czy miała być wolna, czy miała w ogóle pozostać przy życiu? Oczyma wyobraźni widziała już, jak resztę życia trawi w zapomnianym przez Boga i ludzi bunkrze przeciwartomowym, żeby uchronić się przed porwaniem albo nawet śmiercią z rąk bractwa.

Po policzkach spłynęły jej łzy. Stłumiła szloch, żeby nie ściągać na siebie uwagi ochrony. Czy miała siedzieć tu beczynnie, czekając, aż policja dopadnie Tiomkina?

„Nie!” Okrzyk niezgody wydała z siebie bezgłośnie, poruszyły się tylko jej wargi. Może wszystkie te godziny na terapii dla ofiar stalkingu na coś się jednak przydały. Przynajmniej odnalazła w sobie w końcu dość woli, żeby znowu patrzeć do przodu i nie pozwolić odebrać sobie kontroli nad własnym życiem. Jednemu Rosjaninowi pozwoliła rozstroić sobie nerwy, ale teraz nie da już nikomu drugiej okazji.

Kiedy poczuła, że przełamała strach, jej ciałem targnął dreszcz. Z werwą podniosła się z kanapy. Policjanci przestawili jej biurko do sypialni, żeby przebywała z daleka od hipotetycznej linii strzału. Sara włączyła laptopa. „Czasami atak jest najlepszą obroną” – dodawała sobie otuchy. – Musisz wziąć sprawy w swoje ręce, rozwinąć jakąś strategię”. Jej palce spoczęły na klawiszach i zaczęły tańczyć prawie tak samo zręcznie jak na fortepianie.

Szybko przeanalizowała sytuację wyjściową. Najpierw skradziono oryginały oraz kopie nut Liszta, a teraz Tiomkin szwendał się po Muzeum Zamkowym. To mogło oznaczać tylko jedno: Siergiej Niekrasow i jego Ciemni Słyszący Barwy znów podjęli poszukiwania Szkarłatnej Partytury.

Wprawdzie Sara wciąż nie była przekonana do rewelacji Janina o zagrożeniu, jakie tkwiło w Purpurowych Nutach, ale za to kwestia jej własnego pochodzenia wydawała się już zupełnie jasna. Zawarte w utworze Liszta przesłanie było niczym sygnał radiowy z przeszłości. Przesłać go można było tylko, jeżeli nadawca i odbiorca byli kompatybilni, jeśli dysponowali tym samym specjalnym rodzajem *audition colorée*. Wszystkie dotychczasowe badania wykluczały wprawdzie możliwość identycznych wrażeń u kilku synestetyków, ale jeżeli w ogóle było to możliwe, to najprawdopodobniej właśnie wśród krewnych.

Sara znów poczuła, że musi dokładniej zbadać niedokończone szkice *Fantazji na temat „Obowiązków życia” Höltzy’ego*. Być może w pierwotnej wersji zakończenia utworu podana jest nazwa miejscowości, z której należy rozpocząć poszukiwania Nauki Dźwięków Jubala. Dlaczego bowiem Ciemni Słyszący Barwy ukradli oryginalne partytury oraz ich kopie, nie zwrócili natomiast zupełnie uwagi na wydruki przeznaczone dla orkiestry? Niekrasowowi mogło chodzić po prostu o to, żeby wymazać wszelkie wzmianki o Purpurowych Nutach. Jeśli to by mu się udało, prawdopodobnie zechciałby przerwać także linię dziedziczenia niezwykłego daru Liszta.

Sara podłączyła się do Internetu. O co mogło chodzić Lisztowi, gdy wspomniał o „instrumencie mistrza”? Miała powody, żeby nie wtajemniczać Janina w tę część zawartą w dźwiękach wiadomości. Była prawie pewna, że właśnie ona kryje w sobie klucz do rozszyfrowania wiersza.

Instrument mistrza? I tuż za nim: „AS”. Czy ten skrót miał oznaczać tonację As-dur? A może były inicjały Antonia Stradivariiego, który jak mało kto zasłużył sobie na tytuł mistrza? Ten pomysł spodobał się Sarze. Czytała, że z tysiąca skrzypiec zbudowanych przez Stradivariiego do naszych czasów dotrwało około sześciuset.

Nagle spłynęło na nią olśnienie, kiedy przypomniała sobie fragment rozmowy, którą odbyła z Olegiem Janinem w „Anno 1900”. Profesor powiedział jej że Jubal to ojciec wszystkich grających na cytrze i na flecie. Sara palnęła się w czoło – i zdała sobie sprawę, że nie jest sama.

Posłała promienny uśmiech funkcjonariuszce Hampel, swojemu aniołowi stróżowi.

- Wszystko w porządku.

Policjantka znów zatopiła się w lekturze biografii Liszta.

Sara wpisała w wyszukiwarce skrót „AS” oraz niemieckie słowa *Entdeckung* – „odkrycie” – oraz *Flote* – flet. W sekundę później otrzymała wyniki: ponad pięćdziesiąt tysięcy trafień! Jednakże już pierwsza strona miała wielce obiecujący tytuł: *Furioso*. Sara weszła na nią, przeczytała opis – i usiadła jak naelektryzowana.

„Najwspanialszy flet poprzeczny na świecie – flet Dennera”.

Denner? Liszt wyraźnie zaznaczył w swojej partyturze: „Flet poprzeczny (bukspan, J. D.)”. Gorączkowo przejrzała tekst. Rzeczywiście! Opisywany

w nim instrument był dziełem Jacoba Dennera. Te same inicjały! To nie mógł być przypadek.

Z artykułu na stronie wynikało, że Denner żył w latach 1681-1735, mieszkał w Norymberdze i w swoich czasach uchodził za najsłynniejszego twórcę drewnianych instrumentów dętych. W XVIII wieku jego flety poprzeczne ceniono przede wszystkim ze względu na zrównoważone brzmienie i doskonały strój. Do dziś na całym świecie zostały się, niestety, tylko cztery sztuki. Dopiero w 1991 roku pod Norymbergą odnaleziono wyjątkowe i wciąż sprawne *opus magnum* Dennera. Wieko drewnianej skrzynki, w której przechowywano instrument, ozdobione było motywem dwóch splecionych ze sobą ośmioramiennych gwiazd. Kiedy Sara zobaczyła zdjęcie pudełka, zaparło jej dech w piersi.

„Róża wiatrów!” – wyszeptała. Gorączkowo czytała dalej.

W artykule pisano, że na owijających pudełko łańcuszkach powtarzały się litery „AS”, co mogło oznaczać, że inicjały wskazywały na historię fletu. Germańskie Muzeum Narodowe w Norymberdze posiadało kilka fletów Dennera.

Norymberga? Czyżby pierwsza litera „N+BALZAC” oznaczała nie imię, ale nazwę miejscowości? Może „A.S.” oraz „N+BALZAC” to akronimy?

„Szyfr literowy!” – szepnęła Sara.

Robiła się coraz bardziej podniecona. Szybko załadowała na komputerze listy przodka i wpisała hasło wyszukiwawcze „Norymberga”. Wyświetliło się sześć listów. Dwa pisane do Adelheidy von Schorn, córki pisarki Henrietty von Schorn. Była ona, jak szybko przekonała się Sara, uczennicą Liszta. Także zgodności jej inicjałów z opasującym pudełko z fletem monogramem „AS” natychmiast rzucała się w oczy.

Drugi list napisano 20 listopada 1882 w „pięknej Wenecji”. Rok po zamachu na cara Aleksandra II. Liszt wyrażał w nim ulgę, że w dobrym zdrowiu dotarł do Włoch. „Bogu niech będą dzięki!” – pisał z przesadą. Zupełnie jakby musiał przed kimś uciekać i tylko o mały włos uszedł z życiem. A potem – co doprawdy było osobliwe – zaczął z podziwem opisywać „metodę wista” Adelheidy.

Sara ze słownika dowiedziała się, że „wist” jest nazwą gry w karty. Pierwotnie słowo to znaczyło również: „milczenie” – zwłaszcza takie, które należy zachować podczas gry

Z podniecenia Sarę zaczęły swędzieć całe plecy. Czy Liszt naprawdę po kilkudniowej, pełnej przeszkód podróży nie miał nic ważniejszego do

powiedzenia w liście do przyjaciółki niż pochwała jej umiejętności gry w karty? „Nade wszystko cudownie jest pozbyć się wszystkich asów” – ostatnie zdanie aż się prosiło, aby uznać je za zakonspirowaną wiadomość. Być może krył się za nim uzgodniony wcześniej kod. Możliwe, że Liszt próbował w ten sposób powiedzieć sojusznikom, że wyeliminowali asy jego przeciwników. „Bogu niech będą dzięki!”

Norymberga. Usta Sary bezgłośnie wymówiły nazwę miasta Durera. Była prawie pewna, że poszukiwania Purpurowych Nut powinna rozpocząć w miejscu, gdzie zawsze było najwięcej fletów Jacoba Dennera. Jej wzrok powędrował niecierpliwie w stronę telefonu. Był sobotni wieczór. Teraz nie dodzwoni się już do żadnego eksperta z Germańskiego Muzeum Narodowego.

- Zaraz, chwileczkę! - powstrzymała się. Na czwartkowej premierze występował przecież też flecista, którego instrument brzmiał dokładnie tak, jak życzył sobie tego Liszt. Ponownie zagłębiła się w lekturze artykułu, tym razem czytała go jeszcze dokładniej.

- Konrad Hünteler! - wyrwało jej się nagle. Znalazła! Flet poprzeczny, który odnaleziono w 1991 roku, został wypożyczony munsterskiemu profesorowi muzyki oraz fleciście Konradowi Hüntelerowi, żeby mógł zostać użyty zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem, to znaczy jako instrument muzyczny. Czy Janin nie wspomniał, że noc z czwartku na piątek przegadał z jakimś flecistą?

Od tego czasu minęły już trzy dni. Czy miało w ogóle sens?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - wymruczała pod nosem Sara motto przybranej matki. Sięgnęła po słuchawkę, wybrała numer recepcji i kazała połączyć się z hotelem „Elephant”.

Odezwał się obojętny głos.

- Proszę z profesorem Konradem Hüntelerem - zażądała Sara z całą pewnością siebie, do jakiej była zdolna.

Cisza. Potem kobieta po drugiej stronie powiedziała: - Chwileczkę, już łączę.

PRZETWORZENIE NOTOS (POŁUDNIE)

NORYMBERGA

Poniedziałek, 20 listopada 1882

Venezia la bella: Palazzo Vendramin

Droga przyjaciółko!

Nie chciałbym, żeby kto inny doniósł Ci o moim bezpiecznym przybyciu tutaj. Bogu niech będą dzięki! (...) Twój brat napisał Ci z Norymbergi, że metoda wista, przez Ciebie, że tak powiem, wymyślona i bez wątpienia udoskonalona, zdobyła sobie popularność u L. Ramanna [w szkole fortepianu] przy Placu Durera, także pod Twoim imieniem. Nade wszystko cudownie jest pozbyć się wszystkich asów.

F. Liszt

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

To kwestia tego, jak Liszt uczy. Przedstawia ci pewną ideę, ta wnika do twojej duszy i zakorzenia się tam. Muzyka jest dla niego czymś tak rzeczywistym, tak widzialnym, że cały czas bez trudu znajduje, także w świecie fizycznym, porównania oraz znaki pozwalające mu wyrazić swoje idee.
Amy Fay, 1873, o swoim nauczycielu Franciszku Liszcie

Rozdział 9.

Weimar, 17 stycznia 2005, 12:05

Wizyta w miejscu, gdzie kiedyś mieszkał Franciszek Liszt, została zakwalifikowana przez ochroniarzy z policji kryminalnej jako „poważne ryzyko” – najchętniej zamknęliby oni swoją podopieczną w hotelu i wyrzucili klucze. Sara jednak opuszczenie kryjówki traktowała jak preludium do kontrofensywy.

Flecista podczas sobotniej rozmowy powiedział:

- Wkrótce wybieram się na kolację z profesorem Schmidtem z Towarzystwa Lisztowskiego, a jutro przed południem kończę seminarium w Altenburgu. Mam ze sobą flet Dennera. Jeśli zechciałaby mnie pani tam odwiedzić, chętnie pomogę.

- W miłosnym gniazdku Franciszka i Carlyne? Bardzo chętnie – odparła Sara z nadzieją, kiedy jednak zobaczyła, że Maike Hampel energicznie przecząco kręci głową, spytała posłusznie: - Z drugiej strony, czy moglibyśmy zjeść razem obiad w hotelu „Russischer Hof”?

- Zrobiłbym to z najwyższą przyjemnością, madame d’Albis, bardzo podziwiam pani sztukę. Niestety, jestem później umówiony na Jeanner Strafe, a potem będę musiał się spręzać, żeby zdążyć na pociąg do Munster o czwartej dwanaście. Mogę więc zaoferować pani tylko krótką chwilę między dwunastą i mniej więcej drugą.

- Zgoda – odparła Sara, starając się zignorować oskarżycielskie spojrzenia strażników.

Mniej więcej osiemnaście godzin później – w poniedziałkowy poranek – podjechała nierzucającym się w oczy jasnoblękitnym volkswagenem passatem przed budynek, w którym Liszt i Carlyne von Sayn-Wittgenstein żyli przez

dwanaście lat, oburzając tym związkiem na kocią łapę konserwatywne kręgi weimarskiej socjety. Najpierw z samochodu wysiedli policjanci. Palme zadzwonił do drzwi. Hampel przepatrywała okolicę z dłonią na pistolecie.

Sara oglądała z tylnego siedzenia fasadę dwupiętrowego budynku. Ludzie, którzy zajmowali się życiem Franciszka Liszta, musieli zawsze natknąć się na Altenburg. Kiedy piastował on godność nadwornego kapelmistrza, przewinęły się przez to miejsce niezliczone zastępy wielkich muzyków, literatów i malarzy. Z gości tego domu można by ułożyć cały słownik – od Hansa Christiana Andersena do Richarda Wagnera, od Clary Schumann do Bettiny von Arnim.

Domostwo Liszta nie miało w sobie nic z fortecy, którą przywodziła na myśl nazwa „Altenburg”. Był to raczej prosty dom o imponujących rozmiarach. Sara tylko na frontowej fasadzie naliczyła trzydzieści okien, których ramy pomalowane były na czerwono-brunatno. Na zewnątrz budynek prezentował się tak samo barwnie jak życie, które toczyło się w jego murach. Parter pociągnięto brudnym różem, a oba piętra powyżej pomalowano na jasnozielono; piaskowe pasy pomiędzy nimi podkreślały kompozycję.

Otworzyły się drzwi pod łukowym oknem. Palme porozmawiał krótko z osobą, której Sara nie była w stanie dostrzec, a potem skinął do koleżanki.

Policjantka otworzyła drzwiczki.

- Szybko do budynku! Jestem tuż za panią! Proszę się nie martwić.

- Ochronicie mnie – Sara dokończyła mantrę ochroniarzy. Złapała czarną nylonową torbę z laptopem i wysiadła. Chwilę później stała w półmroku sieni, ściskając dłoń Konrada Hüntelera.

Flecista nosił spodnie o ostrych jak brzytwa kantach i starannie wykrochmaloną koszulę – wszystko na czarno. Mógł liczyć sobie czterdzieści kilka albo pięćdziesiąt lat, miał przyjazną, okrągłą twarz, w której świeciło dwoje ciemnych, żywych oczu. Najbardziej zwracała jednak uwagę jego czupryna. Sara pomyślała: „Gdyby posypać makiem watę cukrową, tak by to właśnie wyglądało”.

- Przyproceedziła pani imponujący oddział policji – powiedział jeszcze w przedpokoju na powitanie. Jego głos szorstki jak suche kamienie na plaży głos był jakby stworzony do kołysania do snu – słuchało się go niezwykle przyjemnie.

Uśmiechnęła się cierpko.

- Ostrzegałam pana. Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas, profesorze.

- Proszę mówić mi Konrad. My, muzyczne dusze, jesteśmy w końcu jedną wielką rodziną.

- Chętnie, jeśli pan będzie do mnie mówił Saro - już podczas sobotniej rozmowy telefonicznej nabrała zaufania do Hüntelera. Był muzykiem całym sercem, nie było w nim przy tym ani trochę egzaltacji. Miał miły sposób bycia, co utwierdziło Sarę w postanowieniu, że nie będzie go okłamywała, choć nie ujawni przed nim więcej prawdy niż to absolutnie konieczne.

Hünteler zaprowadził gościa do dużego salonu obitego ciemnoczerwoną tapetą, gdzie stało kilka krzeseł. Dominującym elementem wystroju wnętrza był fortepian koncertowy.

- Wcześniej mieściła się tu biblioteka i pokój muzyczny Liszta - wyjaśnił flecista, wykonując nieokreślony ruch ręką.

Sara skinęła głową, męcząc się z plastikowym zamknięciem torby. Jej zdenerwowanie wzbudziło ciekawość flecisty.

- Jak mogę pani pomóc?

- Ja... - niesforny zamek nagle się otworzył. - Chciałabym prosić, żeby towarzyszył mi pan podczas wirtualnej podróży do Norymbergi.

- Wirtualnej... czym?

- Udamy się w wyobraźni tam, gdzie mieszkał pierwszy właściciel pańskiego fletu.

- Ostatni mieszkał chyba w Windsbach, dobre czterdzieści kilometrów na południowy zachód od Norymbergi. Tam w każdym razie znaleziono flet, kiedy uprzątno z gratów poddasze pewnego starego domu.

- Co musiało być sporym zaskoczeniem.

- Wcale nie. Kobieta, która go znalazła, uznała go za bezwartościowy rupieć i oddała za darmo. Nowi właściciele sprzedali go później razem z pudełkiem za dwadzieścia tysięcy marek człowiekowi, który handlował instrumentami muzycznymi. Sądził chyba, że zrobili interes życia. Kolejny właściciel odsprzedał go potem pięciokrotnie drożej.

Sara gwizdnęła przez zęby.

- No to ktoś naprawdę zbił niezłe - jak to się tutaj mówi?

- Kokosy.

- Tak, właśnie o to mi chodziło - Sara wyjęła z torby na laptopa wydruk i podała go Hüntelerowi. - To pomoże tchnąć trochę życia w naszą wirtualną

wyprawę. Odtworzyłam pierwotne zakończenie *Grande fantaisie symphonique sur „Devoirs de la vie” de Louis Henri Christian Hoelty*.

Profesor wyjął jej z ręki arkusze z nutami i przyjrzał im się z należnym podziwem.

- Fascynujące! Ja miałem przyjemność zobaczyć tylko tę partyturę, którą oddano mi na premierę i seminarium. Wszystko to odtworzyła pani z pamięci?

Sara rozłożyła ręce.

- Niektórzy dysponują niezwykłą pamięcią do liczb albo nazwisk, moja pozwala mi zapamiętywać nuty. Proszę spojrzeć - wskazała na nuty dla fletu poprzecznego. - Tak jak w głównej części swojej *Fantazji*, tak i w pierwotnym zakończeniu Liszt zażądał użycia fletu poprzecznego z bukszpanu, dzieła J. D.

- Mój flet Dennera jest wykonany właśnie z tego drzewa.

- Podejrzewam nawet, że Liszt miał na myśli właśnie pański flet, kiedy układał utwór.

- Mówi pani poważnie?

- Całkowicie. W *Fantazji* zawarta jest zaszyfrowana wiadomość. Właśnie ona zwróciła moją uwagę na pański flet. Proszę oszczędzić mi tych trochę obłąkańczych wyjaśnień. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że Liszt chciał wykorzystać ten utwór do przekazania spadku.

- A pani uważa się za prawowitą spadkobierczynię, ponieważ był pani przodkiem. A inne gałęzie rodu? Wie pani przecież.

- Nie zamierzam nikogo wygryzać, Konradzie, ale nie dam się też wykluczyć tylko dlatego, że inni mogą mieć starsze prawa. Wiadomość Liszta jest bardzo zagadkowa i każdy, kto chce, może spróbować ją rozszyfrować.

- A jaką rolę przewidziała pani dla mnie?

- W wiadomości powiedziano, że żeby dotrzeć do spadku, należy zacząć „od AS” i potem „przez N+BALZAC, gdzie wszystko się ziszcza”.

Na twarzy Hüntelera odmalowało się zdziwienie.

- Już trochę rozumiem. Na pudełku od fletu, który znaleziono w Windsbach, wielokrotnie pojawiały się inicjały „AS”.

Sara skinęła głową, pominęła nawiązanie do Adelheidy von Schorn i przeszła do rzeczy:

- Liszt najwyraźniej należał do stowarzyszenia, którego historia, według legend, sięga biblijnego Jubala, ojca wszystkich „grających na cytrze i na flecie”. Jego członkowie używali też między innymi symbolu róży wiatrów, który także

widnieje zresztą na pudełku.

- Zgadza się. Poza tym dobrze znam przywoływany przez panią fragment Biblii. Wiedziała pani, że Luter, przekładając ten ustęp, pisał o skrzypcach? Inne niemieckie tłumaczenia wspominają w tym miejscu o lutni. Wspominam o tym, ponieważ na denku pudełka widnieje wizerunek nie flecisty, ale lutnisty.

- Naprawdę? - odparła Sara zdziwiona nowymi elementami mozaiki, które płynnie komponowały się w całość. Ponownie wskazała na nuty. - Mógłby pan to dla mnie zagrać?

- Czego się pani spodziewa?

- Jestem synestetyczką, widzę dźwięki. Pomaga mi to odczytywać zaszyfrowane wiadomości.

- Raczy pani żartować.

- Nie, to prawda. Tak właśnie odkryłam zagadkowy akronim „N+BALZAC”. Przypuszczam, że może chodzić o początkowe litery nazw miejscowości. „N” może oznaczać Norymbergę.

- Gdybym poznał panią dopiero dziś, wziąłbym panią pewnie za wariatkę - stwierdził Hünteler otwarcie.

- W Niemczech spotykam się z tego rodzaju reakcjami częściej, niż pan przypuszcza. Ponure echo przeszłości. Za czasów Hitlera synestetycy tacy jak ja zamykani byli w szpitalach dla umysłowo chorych, gdzie poddawano ich przymusowej sterylizacji. - Flecista nie mógł nie zauważyć, jak bardzo Sara była na tym punkcie przewrażliwiona. Dodał, nadzwyczaj pojednawczo:

- To, co powiedziałem, dotyczyło bardziej zaszyfrowanych wiadomości, o jakich pani wspomniała.

Odchrząknęła zmieszana.

- Proszę mi wybaczyć. Ktoś, kto tak często jak ja określany jest mianem „chorej”, „stukniętej”, „porąbanej” albo po prostu nienormalnej, robi się nieco nadwrażliwy.

- Zrozumiałe. Sam też mogłem wyrazić się nieco taktowniej. Jeśli zaś chodzi o pani fragment partytury - niektóre pasaży są dość trudne. Proszę dać mi chwilę, bym mógł się przygotować.

- Oczywiście. Zaczekam.

Sara usiadła w pierwszym rzędzie obok swoich ochroniarzy i patrzyła, jak profesor otworzył czarne, wyłożone czerwonym aksamitem pudełko w kształcie

trapezu, w którym znajdował się rozłożony na części flet. Części były czerwono-brunatne, a niektóre prawie czarne.

Hünteler najpierw wziął do ręki główkę, rzucił okiem w partyturę i powiedział:

- Dziwne. Liszt zmienił tu tonację. Muszę przetransponować flet o małą tercję w dół, zrobić z niego *flute d'amour*.

- Ma pan odpowiedni korpus?

Profesor skinął.

- Żaden inny flet Dennera nie ma tylu co ten, a tylko ten jeden ma korpus odpowiednio długi, żeby przerobić go na *flute d'amour*.

Sara uśmiechnęła się z triumfem.

- Wciąż ma pan wątpliwości, że Liszt, pisząc ten utwór, miał na myśli właśnie ten flet poprzeczny, a nie żaden inny?

Hünteler oglądał rozłożone w pudełku części fletu.

- Muszę przyznać, że zaczynam się nad tym zastanawiać. Proszę dać mi jeszcze kilka minut.

- Chętnie. Ma pan coś przeciwko temu, że nagram pańskie wykonanie?

- Nie, jeśli to tylko do pani osobistego użytku.

Sara obiecała, a Hünteler ponownie skupił swą uwagę na flecie. Sprawnymi ruchami złożył główkę, długi korpus, klucz i stopkę. Na końcu podniósł go do ust i zadał umiejętnie w ustnik. Rozległ się ciepły, miękki dźwięk. Profesor, zadowolony ze stroju, przystąpił do ćwiczeń.

Podczas gdy flet Dennera wydobywał z siebie sekwencje szybkich dźwięków, Sara przygotowała do nagrywania komputer. Użyła w tym celu profesjonalnego mikrofonu, który wykorzystywała normalnie do sprawdzania własnej gry. Kiedy wszystko już było gotowe, wzięła jeszcze jedną kopię partytury i zagłębiła się w lekturze. Hünteler był prawdziwym wirtuozem swojego instrumentu, nie trwało więc długo, kiedy uznał, że może płynnie zagrać fragment, o który go prosiła.

Wziął głęboki oddech i tchnął, w najgłębszym znaczeniu tego słowa, życie w dzieło wielkiego kompozytora. Sarę znowu oczarował głęboki tembr prawie trzechsetletniego instrumentu. Pełne, soczyste, ciemne i zróżnicowane brzmienie wywołało w niej obraz ciężkiego wina w dębowej beczce. Bez wątplenia słyszała dźwięki króla fletów poprzecznych, nieskazitelnie czyste w intonacji i bez trudu sięgające najwyższych tonów nawet w *piano*. Kiedy

zabrzmiały pierwsze takty zakończenia, Sara była już pewna, że znalazła instrument mistrza.

Dar *audition colorée* zamieniał krótkie dźwięki w aksamitne kule, długie natomiast w pasma surowego jedwabiu mieniające się wszystkimi odcieniami żółci. To jednak dla Sary było normalnym sposobem odbioru muzyki. Prawie odurzył ją jednak widok większych kształtów, które tworzyły się z małych. Przed jej oczyma znów przewiął się napis:

SZUKAJ ODPOWIEDZI W GŁOWIE REWOLUCJI
RÓŻA WIATRÓW WSKAŻE CI DROGĘ

- I co? Widziała pani coś? - zapytał żartobliwie flecista, kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki.

- A jakże! - odparła Sara bez tchu. Dostała gęziej skórki i natychmiast ukryła wzrok w leżących na jej kolanie nutach. Dla Hüntelera mogło to wyglądać tak, jakby próbowała odszyfrować ukryty w nich tajny kod, ale tak naprawdę potrzebowała po prostu chwili na uspokojenie. Kiedy poczuła się już lepiej, wyjawiała mu treść wiadomości.

- To się robi coraz lepsze! - ucieszył się profesor.

Sara skrzywiła się. Jej zapotrzebowanie na zagadki zostało zaspokojone już przez pierwszą wiadomość.

- Ma pan jakiś pomysł? - zapytała niemrawo.

Hünteler popatrzył w zamyśleniu na swój flet.

- Dla mnie słowa Liszta brzmią jak apel o zastanowienie się nad ideami Oświecenia oraz prądami rewolucyjnymi jego czasów.

Sara z trudem opanowała podniecenie. Zinterpretowała to tak samo, myśląc przy tym o słowach Olega Janina na temat Liszta: „Prawdopodobnie sam nigdy nie trzymał w ręku nawet bagnetu, jednak muzyka była dla niego bombą, którą mógł rozsadzić stary porządek świata”. Czyżby Rosjanin miał jednak rację?

Zniechęcona pokręciła głową.

- Liszt za młodu zachwycał się reformatorami społecznymi w rodzaju Saint-Simona i Lamennais'go, ale sam na pewno nie był rewolucjonistą. W późniejszych latach trzymał się z dala od wszelkiej aktywności politycznej.

- A co powie pani o jego transkrypcjach utworów takich jak *Marsylianka*, *Hussitenlied* Žižki czy też niedokończona symfonia rewolucyjna ku czci paryskiej rewolucji lipcowej? - Czy chce pan powiedzieć, że prowadził swoją

działalność wywrotową poprzez muzykę?

- Można to też tak wyrazić. Jeśli chce pani znać moje zdanie, to pani przodek był dość postępowy nie tylko jako wirtuoz i kompozytor. Może właśnie na tym zasadza się ten tajemniczy testament, którego pani poszukuje.

Sara najchętniej opowiedziałaby fleciście o Purpurowych Nutach, ale nie chciała wtajemniczać go w całą sprawę tak głęboko. Westchnęła.

- Pytanie tylko, jak mogę go znaleźć?

Hünteler rozłożył ręce.

- Liszt mówi: „Róża wiatrów wskaże ci drogę”. Najwyraźniej zaprasza do podchodów we wszystkich kierunkach świata.

- Mniej więcej tyle wymyśliłam sama. Zakładam, że Norymberga to pierwsza stacja - ale dokąd dalej? To znaczy, wysyłając mnie „od AS tam przez N+BALZAC, gdzie wszystko się ziszcza”, dziadek Franciszek nie postąpił zbyt pięknie. Czy „B” ma tutaj oznaczać Berlin, Budapeszt, Brukselę, a może jakąś inną zapadłą dziurę, o której nikt nigdy nie słyszał? - W zdenerwowaniu zrzuciła nuty z kolan.

W czerwonym salonie zaległa nieprzyjemna cisza. Sara spojrzała błagalnie w stronę dwojga policjantów, którzy jednak sprawiali wrażenie nieobecnych, jakby wcale jej nie słuchali. Nagle Hünteler wskazał ręką na laptopa leżącego na krześle koło Sary.

- Może pani wejść do Internetu?

- Teraz? Mogę to zrobić przez komórkę. Czego mam szukać?

- *Notos*.

- Ma pan na myśli notes?

- Nie, *Notos*, grecka nazwa wiatru południowego. Już długo nie zajmowałem się starożytnymi Hellenami, dlatego nie pamiętam już wszystkich *anemoi*.

- Kogo?

- Bogów wiatru. Plus oznacza tutaj chrześcijański krzyż, którym na starych mapach zaznaczano kierunek świętego miasta Jeruzalem.

Sara wyprostowała się.

- Ma pan na myśli wschód?

- Tak. Proszę szukać po słowach „róza wiatrów”, „Notus” i „Boreasz”, tyle musi wystarczyć.

Sara w kilka sekund podłączyła się do sieci, weszła na stronę wyszukiwarki i wpisała podane przez profesora terminy. Pojawiło się tylko nieco ponad

dwadzieścia wyników. Kliknęła na pierwszy i powiedziała:

- Bingo! Skąd pan wiedział?

Hünteler uśmiechnął się półgębkiem.

- Humanistyczne wykształcenie.

Trwało chwilę, zanim Sara uświadomiła sobie całą doniosłość odkrycia.

Otworzyła edytor tekstu, wpisała osiem znaków zawartego w przesłaniu akronimu i przyporządkowała im klasyczne nazwy wiatrów:

N	<i>Notos</i>	Południe
+	<i>Eurus</i>	Wschód
B	Boreasz	Północ
A	<i>Apeliotes/Aparctias</i>	Południowy wschód / północny zachód
L	<i>Libs</i>	Południowy zachód
Z	Zefir	Zachód
A	<i>Aparctias/Apeliotes</i>	Północny zachód / południowy wschód
C	<i>Corus/Caecias</i>	Północny zachód / północny wschód

- Mamy mały zgrzyt w trzech miejscach - zauważył Hünteler, który tymczasem usiadł obok Sary i obserwował, jak układa listę. Jego uwaga odnosiła się do liter, którym można było przyporządkować więcej niż jeden wiatr.

Skinęła głową.

- Tak, niestety.

Wypiął pierś.

- Więcej optymizmu, Saro! Zakładam, że Liszt orientował się z Weimaru - tutaj znajduje się punkt, z którego należy rozpocząć wędrówkę tropem róży wiatrów Liszta.

- Tropem róży wiatrów?

- Nie podoba się pani to określenie? Według mnie doskonale pasuje do podchodów we wszystkich kierunkach świata. Mówi się też czasem o „róży kompasowej”, co wzięło się z włoskiego *compassare*, oznaczającego.

- „Wymierzyć dookoła” - Sara skrzywiła się. - Wolałabym jednak, żeby mój drogi przodek wyraził się nieco jaśniej, zwłaszcza w kwestii liter „A” i „C”.

- Uda się pani. Miasto na południu - czy chodzi o Norymbergę, czy Windsbach - już pani przecież znalazła dzięki wskazówkom. Kolejna stacja znajduje się gdzieś na wschodzie.

Sara parsknęła.

- Cudownie! W takim razie najlepiej przejadę się koleją transsyberyjską!

Hünteler roześmiał się.

- Wydaje mi się, że w zupełności wystarczy ograniczenie się do obszaru, po którym podróżował pani przodek.

- *Pas de problème* - jęknęła Sara - żaden problem - i wzniosła ręce w górę. -

A zatem „tylko” Europa? No, to dopiero dobra wiadomość.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Prawa wirtuoza-poety, wirtuoza natchnionego, są szersze, niż zepsuta przez władających nią uzurpatorów i ignorantów publika może choćby podejrzewać.

Franciszek Liszt

Rozdział 10.

Weimar, 18 stycznia 2005, 15:34

Wschód to jednak przerażająco rozległy obszar poszukiwań. Gdzie się w ogóle zaczynał, a gdzie kończył? Sara zadawała sobie to pytanie przez całą drogę do hotelu. Róża wiatrów musiała stanowić klucz.

Kiedy tylko dotarła do hotelu wzięła kopię mapy ze *Szkolnego Atlasu* Stielera, skierowała się do recepcji i zeskanowała ją, żeby załadować później do komputera. Po powrocie do pokoju razem z depczącą jej po piętach funkcjonariuszką Hampel zobaczyła Palmego z pilotem w ręku. Stał przed telewizorem, w którym leciały właśnie wiadomości. Dziennikarka donosiła, że dzień wcześniej zmarł chiński reformator Zhao Ziyang, a Partię Komunistyczną ogarnęła panika, ponieważ w przeszłości uroczystości żałobne zawsze były okazją do zamieszek. Po śmierci Hu Yaobanga w 1989 roku doszło do masakry na placu Tiananmen.

Sara zazwyczaj nie zwracała uwagi na codzienną porcję hiobowych wieści z mediów – było ich po prostu zbyt dużo – ale tego popołudnia wystarczyła wzmianka o potencjalnej katastrofie, żeby się zdenerwowała. Mimowolnie wspomniała słowa Janina o ludzkiej „masie krytycznej”. Tego samego sformułowania używa się zresztą, kiedy mówi się o głowicach atomowych. Mniej przyjaźnie, niż zamierzała, poleciła ochroniarzowi natychmiast wyłączyć telewizor.

Kiedy już się trochę uspokoiła, usiadła do komputera i włączyła program graficzny. Kilkoma kliknięciami myszy nałożyła na zeskanowany miedzioryt półprzezroczystą, błękitną różę wiatrów. Jej promienie na północy sięgały daleko za norweską Christianię – dzisiejsze Oslo – a na południu docierały aż do Neapolu; na zachodzie kończyły się na krótko przed francuskim Brestem, a wschodni koniec wskazywał na – wtedy jeszcze rosyjski – Kijów.

Sara spoglądała w zamyśleniu na ekran. Widziała całkiem wyraźnie, że wyznaczenie kierunków świata samo w sobie nic jej nie daje. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Znowu sięgnęła do wirtualnego stołu kreślarskiego i wytyczyła na mapie kolejne linie.



Wychodzące z Weimaru promienie podzieliły obszar poszukiwań na osiem równych części. Dla lepszego rozeznania pomalowała na jasnoczerwono fragmenty odpowiadające kardynalnym kierunkom i nieźle się zdziwiła, kiedy znowu wyszedł jej z tego uproszczony maltański krzyż. Ten sam, który zwrócił jej uwagę już na dziedzińcu zamku w Weimarze.

Europa pod znakiem Słyszących Barwy.

Sara była przekonana, że intuicyjnie zrobiła to, co należy. Z ciężkim sercem popatrzyła na olbrzymi obszar na wschodzie.

Westchnąwszy ciężko, zastanowiła się nad miejscowościami, jakie wchodziły

w grę. Zaczynały się od Jeny, oddalonej tylko o dwadzieścia kilometrów, a kończyły na Kijowie, gdzie Liszt w 1847 poznał Jeanne Elisabeth Carolyne, księżną von Sayn-Wittgenstein.

O szóstej zmuszona była na chwilę przerwać, ponieważ w hotelu zjawiała się komisarz Bach. Oznajmiła, że po Tiomkinie zaginął wszelki ślad. Pojawiał się i znikał, zupełnie jakby umiał stawać się niewidzialny. Policjanci postanowili więc zastawić pułapkę. Kiedy Sara poznała szczegóły planu, nie była specjalnie zachwycona.

- Właściwie chciałam wkrótce wyjechać.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. Czy mogę spytać dokąd?

- Na wschód.

- Jest pani dzisiaj szalenie rozmowna. Dobrze, wypuszczę panią, jeśli jeszcze raz nam pani pomoże.

Sara zawahała się. Czy niemiecka policja mogła wbrew woli zatrzymać w Weimarze ją, ofiarę, w przypadku gdy sprawcą był Walerij Tiomkin? Pewnie nie. Z drugiej strony jednak pani Bach miała dobrego nosa do świadków, którzy coś przed nią ukrywali.

- Wchodzę w to - zgodziła się Sara po gruntownym namyśle.

Kiedy znowu została sama ze swoimi myślami, musiała odczekać chwilę, zanim udało jej się uspokoić. Rozmowa ze śledczą wytrąciła ją z równowagi bardziej, niż była skłonna się przyznać. Potem jednak ponownie zagłębiła się w źródła opisujące życie i działalność Liszta na wschodzie. Pograżona w lekturze listów i dokumentów zupełnie straciła poczucie czasu i przestrzeni. Strawiła na tym zajęciu pół nocy i większą część kolejnego dnia.

Tymczasem trzy albo cztery razy odezwała się recepcja: niejaki profesor Janin chciał rozmawiać z madame. Mówił, że to bardzo pilne. Za każdym razem jej odpowiedź jednak brzmiała tak: „Ale ja z nim nie chcę mówić”.

We wtorek - zaraz po wpół do czwartej - Sara opadła na oparcie krzesła, przeciągnęła się mocno i powiedziała:

- Po co szukać daleko, gdy szczęście jest tak blisko?

Maiko Hampel podniosła wzrok znad biografii Liszta.

- Słucham?

Sara spojrzała w stronę policjantki.

- Co przychodzi pani do głowy na hasła „Liszt” i „Jena”?

Blondynka roześmiała się.

- Pyta pani mnie? Został honorowym obywatelem miasta, kiedy. Chwileczkę!
- pospiesznie przekartkowała książkę. - O, jest! Kiedy „ten uznany artysta dał znakomity koncert dobroczynny dla heskiej ochronki dziecięcej w Rösensalen”.
Tak piszą w kronice miejskiej. W roku 1842.

- A słyszała pani o baronie von Dornis?

Policjantka pokręciła głową.

- Nigdy Sara skinęła głową.

- Dziękuję.

Wróciła do tekstu, który złożyła w jeden dokument z różnych źródeł. Baron von Dornis mieszkał w Jenie i był rzeźbiarzem. 6 marca 1848 roku Liszt zwrócił się do niego z prośbą: chciał zamówić u niego dzieło. Uwagę Sary zwróciła data. W marcu 1848 Niemcy i Austrię ogarnęła rewolucja. A czego domagał się Liszt w swojej wiadomości?

„Szukaj odpowiedzi w głowie rewolucji”.

Sarze znów przypomniały się słowa Janina o intrygach Słyszących Barwy: wykorzystywali już swoje Dźwięki Władzy do niszczenia państw, wywoływania rewolucji i podżegania do politycznych morderstw. Czyżby Rosjanin mówił jednak prawdę? Na pewno nie w kwestii Franciszka Liszta, uspokoiła się. To prawda, utrzymywał bliskie kontakty z politycznymi nowinkarzami, a jego monumentalny marsz żałobny *Funerailles* to pomnik dla poległych z węgierskiego ruchu wyzwolenieckiego. Ale może ten utwór nie był jedynym sposobem, w jaki Liszt chciał upamiętnić rewolucjonistów?

Sara spojrzała na zegarek. Z doświadczenia wiedziała, że w Niemczech punktualnie o czwartej zamykają się drzwi milionów urzędów. Nie zostało jej dużo czasu. Sięgnęła po telefon i kazała łączyć się z Biurem Turystycznym miasta Jeny. Po kilku próbach poradzono jej, by spróbowała na Uniwersytecie Fryderyka Schillera. Początkowo wydawało się, że tam też nikt nigdy nie słyszał o baronie von Dornisie, ale potem znaleźli kogoś na wydziale teologicznym. Chwilę później rozmawiała z samym dziekanem, Karlem-Wilhelmem Niebuhrem.

- Mówi pani, że jak nazywa się ta rzeźba? - zapytał profesor.

- Sama nie wiem dokładnie, ale domyślam się, że jest jakoś powiązana tematycznie z rewolucją.

- *La Révolution*? - strzelił profesor.

- To musi być to! Co pan o niej wie?

- To popiersie z brązu, które Dornis wykonał niedługo po 1848 roku. Stoi w ogrodzie domku górskiego, który pod koniec XIX wieku rozbudowano w rozległą posiadłość, prawdziwy berghauz. Często.

- Berghauz? - Sara weszła dziekanowi w słowo. To nazwisko widziała przecież na odwrocie mapy podkreślone ołówkiem. To nie mógł być przypadek. Odchrząknęła. - Przepraszam bardzo, profesorze Niebuhr. Po prostu przyszło mi coś do głowy. Co chciał pan właśnie powiedzieć o tym popiersiu?

- Ach... że często mu się przyglądam. Pokazuje twarz Joanny d'Arc, Dziewicy Orleańskiej - wyjątkowo uroczą twarz, jeśli mogę się tak wyrazić.

Sara w ekscytacji zaczęła szukać w Internecie.

- Więc *Rewolucja* wciąż istnieje? Może podać mi pan adres tej... posiadłości?

- Berghauzu? Znajduje się tutaj w Jenie, przy Philosophenweg, otoczona zielenią. Nie jestem teraz w stanie przypomnieć sobie dokładnego adresu, ale nie sposób go przegapić: to wielka reprezentacyjna willa w neoklasycystycznym stylu, przed którą stoi jońska świątynia. Z ogrodu rozciąga się cudowny widok na dolinę Saale. Należała do Karla Augusta von Hasego, teologa, którego sława wykraczała daleko poza Turyngię.

- Czytałam o nim. Przyjaźnił się z Lisztem - odpowiedziała i dodała w duchu: „I obaj należeli do wolnomularzy”.

- Czy w tym berghauzie ktoś mieszka, czy mieści się tam muzeum, czy...?

- Potomkowie von Hasego musieli go sprzedać, ale od ćwierćwiecza na parterze mieszka pewien zabawny dziwak. Wcześniej prowadził antykwariat. Stary piernik jest trochę cudaczny, ale całkiem miły. Nazywa się Koreander, Karl Konrad Koreander. Proszę poczekać, dam pani jego numer.

Sara usłyszała szelest. Po chwili profesor Niebuhr dyktował jej przez telefon cyfry i mówił, że niewiele więcej może dla niej zrobić. Sara podziękowała serdecznie i zakończyła rozmowę. W kilka sekund później wybrała numer „zabawnego dziwaka”.

- Tak? - ze słuchawki dobył się mrukliwy głos.

Sara przedstawiła się i zapytała uprzejmie, czy mogłaby zobaczyć *La Révolution*.

- Przyjść to se może każdy - odpowiedział staruch. Nie zadał sobie najmniejszego trudu, by być uprzejmym.

Sara zamknęła oczy, po chwili odzyskała wewnętrzną równowagę

i odpowiedziała:

- Ale ja nie jestem każdy.
- Tak? Każdy tak może powiedzieć - odrzekł Koreander.
- Jestem Sara d'Albis - powtórzyła majestatycznie.
- Kimkolwiek pani jest, proszę mi nie zabierać czasu.
- Franciszek Liszt był moim przodkiem. - Chciała poczynić delikatną aluzję

do bliskich związków kompozytora z poprzednim lokatorem domu, ale staruch wszedł jej w słowo.

- Czy to prawda?

Położyła rękę w miejscu, w którym pod pulowerem nosiła łańcuszek.

- Jak Boga kocham.
- Teraz już trochę pani przesadza, dziecinko. Kiedy chce pani przyjechać?
- Jeszcze dziś? - spróbowała nieśmiało.
- Wcześniej chodzę spać. Powiedzmy, jutro o dziesiątej rano. Philosophenweg

46. Domu nie da się przegapić. Dobrej nocy

W słuchawce zatrzeszczało.

Sara wzięła głęboki wdech i rzuciła swojej strażniczce ukradkowe spojrzenie. Najwyraźniej w szkole ochroniarzy uczyli je zauważać również. Policjantka podniosła wzrok znad książki.

- Udało się?

- Na to wygląda. Proszę mi powiedzieć, Maiko, zwróciła pani uwagę, że mamy właściwie taką samą figurę? Gdyby nie pani kolor włosów, mogłybyśmy uchodzić za bliźniaczki.

Poufały ton podopiecznej wzbudził obawy policjantki, co łatwo było poznać po głębokich zmarszczkach, które pojawiły się na jej czole.

- Do czego pani zmierza, madame d'Albis?
- Proszę mówić mi: Saro.
- Do czego pani zmierza, Saro?

Sara roześmiała się najniewinniej jak umiała.

- Zastanawiałam się właśnie, czy byłoby pani do twarzy z brązowymi włosami.

Utwory Liszta nie robią na mnie wrażenia; więcej w nich poetyckich zamiarów niż prawdziwej mocy twórczej, więcej barwy niż formy, więcej blasku na zewnątrz niż treści wewnątrz.
Piotr Czajkowski, 1881, o Franciszku Liszcie

Rozdział 11.

Paryż, 19 stycznia 2005, 10:00

Siergiej Niekrasow był stworzeniem nocnym. Rankiem nigdy nie przychodził do biura przed dziesiątą, zazwyczaj zjawiał się w kiepskim nastroju, a współpracownicy schodzili mu z drogi przynajmniej do dwunastej. Odkąd wydarzenia w Weimarze nabrały tempa, zaczął jednak zmieniać swoje przyzwyczajenia. Kiedy punktualnie o dziesiątej zadzwonił telefon z tajnej linii, podskoczyłby pewnie aż pod sufit, gdyby nie był przykuty do wózka.

Podniósł słuchawkę, nic jednak nie powiedział.

- Jaki dźwięk rozbrzmiewa w niebie? - zapytał mężczyzna po drugiej stronie.

- Liry - odpowiedział mechanicznie Niekrasow. - Problemy?

- Tylko wyzwania. Wymknęła się.

- Należało się tego spodziewać. Domyśla się pan już, gdzie może się podziewać?

- Nie, ale dowiemy się. Nie zna zasad gry, popełni zatem błąd.

- Zajmę się tym.

- Proszę tak zrobić. Czas nam ucieka.

- Zawsze mamy jeszcze plan B.

- Wolałbym z niego zrezygnować.

- Jeśli życzy pan sobie lekkiego menueta, będziemy potrzebowali Nauki Dźwięków. W przeciwnym wypadku dostaniemy *Symfonię z uderzeniem w kocioł*.

- Haydna proszę do tego nie mieszać. Nie był Słyszającym Barwy.

- Niekrasow zachichotał. - A przynajmniej nie Orłem. Wie pan, o co mi chodzi. Czasami trzeba wypalić pole, żeby znowu zaczęło rodzić. Ta sama zasada dotyczy też świata jako całości.

- Odezwe się później.

Dzwoniący odłożył słuchawkę bez pożegnania.

===f0xhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

Potężna siła natury, grzmiąca dźwiękami niczym huragan, obezwładniła słuchaczy.

August Stradal, sekretarz Franciszka Liszta, o swoim mistrzu

Rozdział 12.

Weimar, 19 stycznia 2005, 07:41

Taksówka stała przed hotelem tylko kilka sekund. Szklane drzwi rozwarły się, po czym z hotelu wyszła kobieta w okularach przeciwsłonecznych i płaszczu Sary d'Albis. Włosy miała ciemne - spod nasuniętego głęboko na czoło kapelusza wystawał tylko kucyk. Drzwi samochodu otworzyły się, kobieta wsiadła. Taksówka odjechała.

Wkrótce potem furgonetka z pralni wjechała do podziemnego garażu hotelu, gdzie Mario Palme tłumaczył barytonem prawdziwej Sarze d'Albis:

- Wciąż uważam, że z tym planem wiąże się niepotrzebne ryzyko. Jeśli Maïke wchodzi już w pani rolę, lepiej byłoby, gdybyśmy jechali z panią aż do celu podróży.

- Tak jak w niedzielę?

- Spacer po zamku to był pani pomysł.

- Tak samo jak dzisiejsza wycieczka - poza środkami, które podjęła pani Bach. Sądzę, że nieprędko wrócę do Weimaru, Mario. Od dziś będzie pan mógł już poświęcić się swoim zwykłym obowiązkom.

- Szkoda - odpowiedział policjant z twarzą bez wyrazu. - Zacząłem już się do pani przyzwyczajać.

Uścisnęli sobie dłonie i Sara wraz ze swoją walizką wsiadła do ciemnej budy furgonetki. Słyszała jeszcze, jak Palme instruował kierowcę, żeby zachowywał się zwyczajnie i dostarczył tajny „ładunek” pod wschodnie skrzydło dworca głównego. Potem motor zawył i wehikuł ruszył.

Według Sary człowiek za kierownicą zachowywał się stanowczo zbyt zwyczajnie. Jechał tak, jakby wioził pojemnik z ludzkimi organami, które trzeba błyskawicznie dostarczyć do kliniki transplantacyjnej. Przynajmniej brudne pranie chroniło Sarę przed bolesnymi uderzeniami. Dziękowała niebiosom, że

droga na dworzec trwała tylko kilka minut.

Wykradanie się z Weimaru w taki sposób było dla niej trudne do zniesienia. Komisarz Bach jednak nalegała. Mówiła, że wolności nie dostaje się za darmo. Sara pocieszała się, że po ostatnich przykrych wydarzeniach w końcu weźmie sprawy we własne ręce i odzyska kontrolę. A potem?

Przez ostatnie lata często dokuczała jej świadomość, że jest tylko owocem nieszczęśliwej miłości. Nie знаła nawet imienia swojego ojca, wiedziała tylko, że porzucił jej matkę, kiedy zaszła w ciążę. W ten sposób Josephine d'Albis straciła wszystko: miłość, godność, radość życia. Córce powiedziano potem, że jej matka nie mogła żyć ze złamanym sercem, ale nie dowiedziała się nigdy, jak bardzo ona sama pomogła śmierci.

Kierując się intelektem, Sara wiedziała, że poświadczony notarialnie dokument udowadniający jej pochodzenie nie uczyniłby jej szczęśliwszą, ale tak samo jasne było dla niej też to, że niepewność i brak poczucia własnej wartości sęczyły się w jej duszę jak trucizna. Wkrótce miało się to zmienić.

Furgonetka skręciła ostro w prawo, a Sara znów wylądowała na praniu. Dziwnym trafem pianistka pomyślała o fetyszyście Olegu Janinie. Kiedy wstała, poczuła wyrzuty sumienia z jego powodu. Mimo wszystkich zastrzeżeń, które do niego żywiła, zawdzięczała mu wolność, a być może nawet życie.

Dlatego też postanowiła napisać do niego pożegnalny list. Choć, prawdę mówiąc, była w tej decyzji też nutka złośliwości. Nie mogąc znaleźć wizytówki, wysłała e-mail na adres z notatki młodego Rosjanina, który zaczął ją po koncercie.

„Od: Sara d'Albis pianiste@aol.fr

Data: 19 stycznia 2005, 06:24:21 MESZ

Do: Prof. Janin ojanin@arts.msu.ru

Temat: Adieu!

Profesorze!

Postanowiłam wyjechać z Weimaru. Proszę więc nie dzwonić już do mnie do hotelu »Russischer Hof« i nie oczekiwać kolejnego spotkania. Nie chciałabym pozostawić pomocy, jakiej udzielił mi pan w nocy 13 stycznia, bez podziękowania. Niestety, nie będzie mi pan mógł pomóc w badaniach nad Franciszkiem Lisztem i Słyszącymi Barwy. Proszę też o zrozumienie dla tego, że w przyszłości również pragnę sama kroczyć śladami mojego przodka.

Pozdrawiam,
Sara d'Albis”

Furgonetka zatrzymała się gwałtownie. Ledwo Sara wygramoliła się spomiędzy toreb z praniem, kiedy otworzyły się boczne drzwi, w których ukazała się uśmiechnięta łobuzersko twarz kierowcy.

- Wszystko w porządku, madame?

Wydostała się na wolność bez słowa i poprawiła krótki, dopasowany w talii płaszcz. Doskonale zastępował ten, który dała funkcjonariuszce Hampel: był brązowy, wykonany z najdelikatniejszej skóry jelenia i podszyty miękką skórą jagnięcą. Kiedy doprowadziła się już do porządku, wyciągnęła z samochodu walizkę na kółkach. Kierowca obserwował ją przez cały czas. Jęknęła:

- Po drodze wyprasowałam niechcący pańskie pranie, ale chyba nie ma mi pan tego za złe, prawda?

Wyszczrzył zęby

- Naprawdę nie było trzeba, ale i tak dziękuję.

- Proszę nie dziękować mnie, tylko swoim umiejętnościom.

- Przemknąłem tak szybko jak zawsze. Pani ochroniarz powiedział, żeby w niczym nie zmieniać przyzwyczajęń.

Sara stłumiła chęć, by wręczyć mu napiwek, pożegnała się i podziękowała półgębkiem, a następnie ruszyła w swoją stronę.

Było krótko po ósmej. Za ołowianymi chmurami wschodziło gdzieś słońce. Olbrzymi hol weimarskiego dworca otaczały dwa niskie boczne skrzydła. Czerwona dachówka nadawała fasadzie z jasnego piaskowca sympatyczny charakter nawet mimo zachmurzonego nieba. Przez trzy olbrzymie półkoliste okna holu na dziedziniec wpadało żółte światło.

Pianistka przeszła przez drzwi prowadzące do wschodniego skrzydła budynku i chwilę później znowu wkroczyła do wysokiego holu. Kobięcy głos oznajmił z rzeczową uprzejmością, że pociąg do Jeny o ósmej dziewiętnaście jest opóźniony mniej więcej dziesięć minut.

„Akurat teraz!” - jęknęła Sara.

Niby mimochodem omiotła wzrokiem salę. Starła się ukryć napięcie. W holu panował typowy dla godzin szczytu rozgardiasz - ludzie przychodzili, wychodzili, nawoływali się, rozmawiali, przechodzili, ciągnąc za sobą walizki na kółkach, które głośno terkotały. Z głośników sączyła się uspokajająca muzyka, która

miała pomóc podróżnym znieść oczekiwanie na spóźniony pociąg. Niektórzy drzemali na ławkach, inni czytali gazety albo rozmawiali. W sklepach można było zaopatrzyć się w najświeższe gazety albo obowiązkowe dworcowe pamiątki. Jakaś kobieta w podeszłym wieku z laską w ręku wkroczyła z zadziwiającym wigorem do małego supermarketu, prawdopodobnie żeby kupić coś na drogę. Tego rodzaju sceny Sara widziała już tysiące razy na dworcach i lotniskach.

Przyciągnęła walizkę do wolnej ławki, z której mogła obserwować rozkład jazdy. Bagaż ustawiła przed sobą jak barykadę. Okopawszy się w ten sposób, zagłębiła się we własnych myślach.

Najpierw powtórzyła instrukcje, jakich udzieliła jej zeszłego wieczoru komisarz Bach, jednak ciekawość, co przyniesie przyszłość, była silniejsza. Wirtualna podróż do Norymbergi był tylko preludium. Miała teraz dalej podążać „tropem róży wiatrów”, jak trafnie ujął to Konrad Hünteler. Co czeka ją w Jenie? Stary Koreander wyglądał na twardy orzech do zgryzienia.

Myśli Sary gwałtownie się urwały. Zaczęła nasłuchiwać. W grającej w tle muzyce coś się zmieniło. W monotonną jeszcze przed chwilą brzdąkaninę wplotła się hipnotyzująca nuta, podświadomy rozkaz, który krzyczał bez ustanku: „Jesteś w niebezpieczeństwie – uciekaj!”.

Głośniki natychmiast zmieniły się dla niej w maszynki do mięsa, z których natarczywa wiadomość sączyła się nieustannie jak obrzydliwa, śmierdząca szara breja. Jednak nikt w holu, jak się wydawało, nie dostrzegał tego co ona. Ludzie wciąż drzemali, czytali, rozmawiali i kupowali.

Potem jednak nastrój gwałtownie się zmienił. W poczekalni nagle zrobiło się głośno. Śpiący budzili się i rozglądali dookoła poirytowani. Inni goście odkładali gazety lub też coś innego, co akurat trzymali w rękach, i biegli prosto do wyjść. Gdzieś krzyknęła kobieta. Potknęła się i nie mogła wstać, bo tratowali ją inni uciekający.

Sara, sparaliżowana strachem, siedziała po prostu i patrzyła. Ruchliwość momentalnie przerodziła się w panikę. Ludzie dookoła uciekali przed czymś, co istniało jedynie w ich podświadomości. Każdy, kogo nie wdeptano w ziemię, ostatkiem woli pędził na zewnątrz, w ogłuszającą ciszę cywilizacji.

Kiedy w holu nie pozostał już prawie nikt, Sara ocknęła się z otępienia. Z wszechobecnych maszynek do mięsa wciąż jeszcze kapało syntetyczne dźwiękowe ragout. Sarze zbierało się na wymioty i żałowała, że pozbyła się

Olega Janina. Rosjanin wcale nie przesadził w swoich tajemniczych ostrzeżeniach. Słyszący Barwy rzeczywiście dysponowali większą władzą i rozleglejszymi wpływami, niż mogła podejrzewać.

Naraz po swojej prawej usłyszała cienki, zachrypnięty krzyk. Dochodził z toczącego się nieopodal porzuconego wózka. Świadomość grożącego dziecku niebezpieczeństwa w końcu przywróciła Sarę do rzeczywistości. Wstała z ławki, chcąc chwycić wózek, ale właśnie wtedy, kiedy chciała wybiec zza swojego szańca, zauważyła zbliżającego się do niej długimi krokami olbrzyma. Odwróciła się przerażona.

To był Tiomkin.

Mając uwagę skupioną na płaczu dziecka, nie zauważyła, jak nadchodził. Spróbowała mu uciec, zaczepiła jednak stopą o walizkę i potknęła się. Rosjanin złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie brutalnie. Poczowała jego nieświeży oddech, kiedy powiedział z udawaną serdecznością:

- Czyżby znowu chciała mi pani dać kosza, madame d'Albis?

- Sprawia mi pan ból! Proszę mnie natychmiast puścić! - fuknęła i spróbowała wyrwać się z jego uścisku. Daremnie.

Opierając się, rozbawiła go tylko. Roześmiał się:

- Wyłącznie od pani zależy, madame, ile bólu będzie pani jeszcze musiała znieść. Jeśli pójdzie pani ze mną teraz bez oporu, to nie spotka pani.

Perkusista nagle zamilkł, kiedy zwarty twór złożony z kości, ścięgien i mięśni uderzył z impetem w jego twarz. Sara tylko kątem oka spostrzegła rozpędzoną pięść. Tiomkin puścił i zatoczył się wstecz, z rozbitym nosem.

Mario Palme natychmiast na niego ruszył.

Z uwagi na chaos, jaki zapanował w ciągu ostatnich kilku minut, Sara w ogóle nie przeczuwała, że może mieć za plecami policjanta. Miał zatkałe uszy. Sara nie wiedziała, czy przed Dźwiękami Władzy ochroniły go słuchawki walkmana czy może krótkofalówka, przez którą kontaktował się z dowódcą. Komisarz Bach nie poinformowała jej o szczegółach operacji „Uderzenie w kocioł”, udzieliła jej jedynie podstawowych informacji, do których należało też lapidarne stwierdzenie, że „im bardziej naturalnie zachowuje się przynęta, tym lepiej”.

Palme obalił Rosjanina na ziemię, ten jednak bronił się przed doświadczonym w walce wręcz policjantem sprawniej, niż można byłoby się spodziewać po muzyku. Sara bezradnie obserwowała zmagania obu olbrzymów.

- Proszę uciekać! - wyrzucił Palme pomiędzy zaciśniętych zębów.

Powinien był skupić się raczej na przeciwniku, który wykorzystał chwilę nieuwagi policjanta i zadał mu cios w głowę. W chaosie walki uderzenie nie zostało wyprowadzone dokładnie, nie mogło więc poważnie zaszkodzić Palmemu, wyrwało mu jednak słuchawki z uszu.

Przerażona Sara spojrzała na maszynki do mięsa na górze i krzyknęła:

- Mario, musi pan chronić słuch!

Krzyk bólu ściągnął jej uwagę na powrót do walczących. Palmemu udało się założyć dźwignię i przerzucić ciężkiego przeciwnika, któremu z kieszeni płaszcza wypadło plastikowe pudełeczko, niewiele większe od komórki, i potoczyło się po betonowej posadzce. Sara spoglądała nieufnie na owalny głośnik zajmujący prawie całe wieczko. Zza srebrnej siatki dochodziły trzaski.

- To byłoby na tyle - stęknął Palme, zakładając Tiomkinowi kajdanki. Perkusista nie stawiał oporu. Prawdopodobnie był nieprzytomny.

Sara pokazała palcem na sufit.

- Słyszysz pan tę muzykę? Jeśli natychmiast nie zatka pan sobie uszu, to.

- Ze mną wszystko w porządku - przerwał jej Palme. - Za to pani powinna w końcu zabrać walizkę i opuścić dworzec. Nasi ludzie na zewnątrz zajmą się panią.

- Ale.

- Proszę, madame d'Albis! - Palme znów nie dał jej dojść do głosu.

Parsknęła oburzona, złapała jednak rączkę walizki i pobiegła z nią w kierunku wyjścia. Jednak na chwilę zanim dotarła do drzwi, raz jeszcze usłyszała głośny trzask.

A potem odezwała się fujarka.

Odwróciła się przerażona. Muzyka dobiegała z małego czarnego pudełka. Musiało uszkodzić się przy upadku, dlatego przestało na chwilę grać, teraz jednak znowu wydobywała się zeń okropnej jakości hipnotyczna sekwencja dźwięków, którą Sara знаła aż nadto dobrze. Słyszała już tę melodię w hotelu tuż przed włamaniem. Wtedy grała cicho i ledwo słyszalnie, Sara nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że to ten sam utwór. W dźwiękach fletu też kryła się podprogowa wiadomość bez słów, Sara odbierała ją jednak tak wyraźnie, jakby ktoś szeptał jej do ucha.

„Słuchaj i czekaj. Kiedy się odezwę, wypełnisz moje polecenie”.

Zacząła trząść się ze strachu. Chciała ostrzec Palmego, kiedy jednak na niego spojrzała, odebrało jej głos. Było już za późno. Stał koło Tiomkina bez ruchu i wyglądał jak figura woskowa, nie, raczej jak nocny portier wtedy w hotelu, i patrzył na nią szklistymi oczyma. Perkusista odzyskał przytomność. Ocieżale przekręcił się na plecy i powiedział coś szybko do policjanta.

Palme przez chwilę stał nieruchomo jak rzeźba. Potem jednak mrugnął. Sara zauważyła ze zgrozą, że wcześniej nigdy tego nie robił. Sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął pęk kluczy i pochylił się ku kajdankom Tiomkina.

Sara czuła, jak obezwładnia ją przerażenie. Jej ochroniarz stał się marionetką Słyszących Barwy. Nie miała już wiele czasu, żeby umknąć siepaczom. Rzuciła się do ucieczki. A chór maszynek do mięsa znowu śpiewał.

„Jesteś w niebezpieczeństwie - uciekaj!”

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

+ (WSCHÓD)

JENA

*Z powodu niesprzyjającej pogody niemiecka rewolucja dokonała się
w muzyce.*

Kurt Tucholsky

===fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA===

*Pieśni w każdej rzeczy drzemią,
Snów i marzeń cichy gwar
Śpiewem wzlata świat nad ziemią,
Byłeś znalazł słowa czar*

Joseph von Eichendorff, *Czarodziejska różdżka*⁵

Rozdział 13.

Jena, 19 stycznia 2005 10:06

Niebo nad Jeną było równie ponure jak nastrój Sary. Rzut oka na zegarek zapowiadał zaś dalsze trudności. Była już dziesięć minut spóźniona. Pan Koreander sprawiał wrażenie bardzo niecierpliwego, możliwe więc, że w ogóle jej nie otworzy, jeśli zapuka do jego drzwi niepunktualnie. Jej mentalny system odpornościowy nie zniósłby kolejnego ciosu po katastrofie w Weimarze.

Wszystko wydawało się jej tak niewiarygodne. Dziwniejsze od czarnego rycerza z długim mieczem, który ruszył jej na ratunek w premierową noc, były wydarzenia dzisiejszego poranka. Po ucieczce z dworca znalazła taksówkę, z której dochodziły dźwięki *Czterech pór roku* Vivaldiego. Muzyczne zaklęcia Słyszących Dźwięki odbijały się od tej akustycznej tarczy, a kierowca ucieszył się z kursu aż do Jeny.

Kiedy taksówka skręciła w końcu w idylliczną Philosophenweg, Sara raz jeszcze wspomniała wszystkie katastrofy ostatnich dni. Wydawało się, że Tiomkin miał doskonałe rozeznanie w jej poczynaniach. Po incydencie w zamku komisarz Bach wyraziła podejrzenie, że Słyszący Barwy mogą mieć w policji swojego szpiega. „Teraz będzie przynajmniej dwóch” – pomyślała Sara w związku z tym, co Tiomkin zrobił Palmemu na dworcu. Może popełniła błąd, lekceważąc ostrzeżenia Olega Janina.

– ...euro, młoda damo.

Głos kierowcy wyrwał ją z zamyślenia. Zupełnie nie zauważyła, że samochód już się zatrzymał. Taksówka stała przed ciężką, czarną, okratowaną bramą, która sprawiała wrażenie, jakby wybudowano ją w celu obrony przed czołgami. Oba skrzydła z kutego żelaza wisiały na potężnych słupach z porfiru.

W czerwonym „saskim marmurze” kolumny po prawej wyryto dwie cyfry: 46. Poza tym wejście urzekło prostą anonimowością – nigdzie nie było widać tabliczki z nazwiskiem. Karl Konrad Koreander najwyraźniej żył we własnym świecie i nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano.

Sara uiściła należność, pożegnała się z taksówkarzem, życząc mu wszystkiego najlepszego, i wyszła z samochodu z bagażem. Przez chwilę stała niezdecydowana przed bramą. Oprócz tabliczki z nazwiskiem brakowało też dzwonka. Spojrzała wzdłuż wysokiego muru z kamienia polnego rozciągającego się na co najmniej trzydzieści metrów w obie strony. Nie widziała innego wejścia. Nieśmiało naparła na prawe skrzydło drzwi. Nie poruszyło się. Za drugim razem włożyła w to trochę więcej siły i tym razem drzwi odchyliły się ze skrzypem. Sara weszła na teren posesji.

Za bramą ścieżka rozwidlała się. Kolistą drogą dojazdową. Sara poprawiła torbę z laptopem na ramieniu, podniosła walizkę na kółkach i skierowała się w lewo. Żwir skrzypiący pod jej stopami był wilgotny i poprzetykany chwastami. Droga omijała szerokim łukiem kilka jodeł i wiodła wzdłuż żywopłotu z wiecznie zielonych roślin i nagich o tej porze roku krzewów różanych. Sara wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby zza krzaków wypadła sfora dobermanów i zagryzła ją na miejscu, nic takiego się jednak nie stało. Wkoło panowała prawie złowroga cisza. Czowała się jak w zaczarowanym ogrodzie.

„Wielkiej, reprezentacyjnej willi w neoklasycystycznym stylu” prawie nie było widać. Dziekan Niebuhr, kiedy ją opisywał, miał zapewne przed oczyma widoki z lepszych czasów. Teraz te obrazy zupełnie wyblakły. Jedynie gdzieś tam pomiędzy wierzchołków drzew wyglądało belkowanie dachu, które przywodziło na myśl renesansowe budowle Florencji lub Rzymu.

Sara wchodziła coraz dalej w głąb zaczarowanego ogrodu. Droga biegła lekko, w dół, co przypomniało jej, że dziekan Niebuhr określił willę mianem „berghauzu”. Z ponurego nieba na nos Sary spadła kropla deszczu. Zapach butwiejących liści utrzymywał się w powietrzu. Gdzieś skrzeczały wrony, ich zachrypłe krzyki niosły się z lodowatym wiatrem. Dopiero kiedy Sara dotarła już prawie do końca drogi, oczom jej ukazało się byłe domostwo Karla Augusta von Hasego.

Dopiero teraz naprawdę zrozumiała opis dziekana. Rzeczywiście zbliżała się do małego greckiego prostylosu, miniaturowej świątynki, której trójkątny szczyt

wspierał się na czterech jońskich kolumnach. Wchodziło się przez nią do otwartego przedsionka dawnego domku górskiego. Za nim wznosił się właściwy „berghauz”, jakby dając oparcie mniejszemu koledze.

Oba skrzydła reprezentacyjnego budynku otaczały niby troskliwe dłonie ten mały Erechtejon⁶. Parter dwupiętrowej willi zdobiły następne kolumny, pierwsze piętro – kamienne balkonowe balustrady, a na gzymsie widniały reliefy z motywami zaczerpniętymi z mitów greckich. Sara przeszła trzy kroki, chcąc wejść przez rząd kolumn do przedsionka świątyni. Jej odwaga wyczerpała się przed ciężkimi drzwiami z ciemnobrązowego drewna.

Zasapana odstawiła walizkę i spojrzała niezdecydowanie na potężną mosiężną kołatkę. Kiedy jej użyje, może się zdarzyć wiele różnych rzeczy. W myślach rozważała kolejne scenariusze. Stary Koreander porządnie ją nastraszył. Jak zareaguje na jej spóźnienie? Niepewnie sięgnęła ręką w stronę żółtego metalu, drzwi otworzyły się jednak do środka, zanim udało jej się go dotknąć.

Przed Sarą stał starszy mężczyzna, poważny i krępy, o grubych palcach, czerwonej twarzy buldoga i bulwiastym nosie. Dziwaczne kępkę włosów nad uszami otaczały mu łysinę jak zasypane śnieżną lśniąca skałą. Na wielkim nochalu siedziały małe złote okulary, a między zębami tkwiła wygięta fajka z pianki morskiej, która jednak się nie paliła.

Stary najwyraźniej postanowił wystroić się na wizytę damy, włożył bowiem białą koszulę i wymięty czarny garnitur, po którym widać było, że swoje najlepsze dni ma już dawno za sobą. W prawej ręce mężczyzna trzymał książkę w obwolutie koloru miedzi, tak wyświechtaną, jakby czytał ją już setki razy

To musiał być on, ten „dziwak”, jak określił go dziekan. Sara czuła, że starzec taksuje ją niebieskimi oczyma. W jego spojrzeniu kryło się wszystko to, czego jej teraz brakowało: pewność siebie, siła, odwaga i.

Zaskoczenie?

Zaczerpnęła tchu i miała już zacząć się usprawiedliwiać za spóźnienie, kiedy starzec ją ubiegł.

– Jestem królem głupców! Jak mogłem myśleć, że przez dziewięćdziesiąt jeden lat zobaczyłem już wszystkie cuda wszechświata?

– Jego wzrok spoczął na brązowej książce.

Zmieszana Sara zamrugnęła powiekami. Niezwykły okrzyk starca nie brzmiał szczególnie groźnie, sprawiał raczej wrażenie słów osoby nie w pełni władz

umysłowych.

- Karl Konrad Koreander?

- A kogo się pani spodziewała? - odparł naburmuszony.

- Ach... ja.

- Już dobrze. Proszę wejść w końcu do środka.

Aż do tej chwili mówił z fajką w zębach. Wyjął ją teraz i podreptał na bok.

Sara przeciągnęła walizkę przez próg. Zaryzykowała kolejną próbę przeprosin.

- Niestety, spóźniłam się odrobinę.

- Odrobinę? - odparł starzec rozbawiony, jakby powiedziała właśnie wyśmienity dowcip. - Ujmę to tak: sto pięćdziesiąt lat to nie bagatela.

Sara doszła do wniosku, że Koreandrowi naprawdę brakuje piątej klepki. Ale przynajmniej, jak się wydaje, jest nieszkodliwy.

- Prowadzę badania genealogiczne i rzeźba. - zaczęła ponownie, ale starzec raz jeszcze jej przerwał.

- *La Révolution* czeka na panią na zewnątrz. Czemu jeszcze pani tu stoi? Proszę już iść - wysforował się już trochę do przodu i machał w jej kierunku.

Zostawiła bagaż przy wejściu i podbiegła. Dogoniła go w trzech susach.

To najwyraźniej również nie przypadło mu do gustu, bo znowu zaczął marudzić: - Nie musi pani też tak pędzić. Stary człowiek to nie InterCity.

- Och, *pardon!* - odparła Sara i dostosowała się do rytmu jego kroków.

Koreander człapał po podłodze w czarno-białą kratę. W ciągu ostatnich dni Sara dowiedziała się, że tego typu wzór często występował w świątyniach wolnomularskich. Jej wzrok spoczął na inskrypcji nad wejściem na krańcu świątynki.

„W boską opiekę wzięty dom ten

do czterech wiatrów stoi frontem

i wszystkim pokazuje wkoło

w dolinie Saale piękne sioło.

Ku niemu prosi wszystkich gości

duch praniemieckiej gościnności.

Spełniając tu swój obowiązek,

łączy nas w harmonijny związek.

Błogostawieństwa też udziela:

niech szczęście wždy nas rozwesela!

Franciszek Liszt, 26 lipca 1855”

Kiedy starzec zauważył, że jego towarzyszka została z tyłu, obrócił się w jej kierunku.

- Niezbyt udane literacko, prawda?

Sara spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

Wskazał na wiersz.

- Ten epigram. Liszt napisał to na otwarcie domu. Partacka robota, prawda?

Na muzyce znał się dużo lepiej niż na poezji.

Sara natychmiast pomyślała o zawartej w dźwiękach *Fantazji* wiadomości, powstrzymała się jednak od odpowiedzi.

Przechodząc Koreander wskazał na ściany.

- Proszę lepiej przyjrzeć się freskom. Przedstawiają rzymskie Penaty, bóstwa opiekuńcze domu i rodziny.

Sarze dotychczas Penaty kojarzyły się wyłącznie z petersburskim muzeum. Bez słowa podążyła za starcem do kolejnego, o wiele bardziej reprezentacyjnego pomieszczenia. Dwoma ciągami schodów można było wejść stamtąd na wyższe piętra. Koreander konsekwentnie kierował się jednak na wschód, cały czas przyciskając zniszczoną książkę do swego korpulentnego ciała jak cenny skarb. Fajka wróciła na swoje miejsce w jego ustach.

Tak oto przez kolejne drzwi dotarli do dużego salonu wyłożonego ciemnozieloną materią. Meble przykryte były białymi prześcieradłami. Przez przeszklone drzwi wychodziło się na taras, za którym rozpościerał się rozległy ogród.

Koreander wysapał, wskazując na siebie: - Teraz zorientuje się już pani sama. Proszę wyjść przez drzwi, a w ogrodzie cały czas iść prosto. Tak odnajdzie pani piękne oblicze Rewolucji - odwrócił się i odszedł chichocząc.

Sara odczekała, aż zabawny dziwak skręci do holu po prawej i zniknie jej z oczu, a potem szybko przeszła przez salon i wybiegła na zewnątrz. Przez chwilę stała na tarasie, wspominając słowa z „partackiego” wiersza Liszta: „i wszystkim pokazuje w koło w dolinie Saale piękne sioło”. Widok i po stu pięćdziesięciu latach pozostał malowniczy. Niebo jednak utraciło dużą część swojego piękna - zaszło chmurami i roniło z rzadka łzy.

Chcąc ustrzec się przed ewentualnym zmoknięciem, Sara rozglądała się po ogrodzie, szukając schronienia. Postępowała przy tym zgodnie ze wskazówkami

starca i szła po prostej linii w dół zbocza.

Co jakiś czas musiała omijać krzaki albo drzewa. Wkrótce całe buty miała oblepione mokrymi liśćmi. Zaniedbany park wypełniała aura śmierci, która wywierała na niej tak samo fascynujące wrażenie, jak łuszczące się fasady domów weneckich patrycjuszy albo szare nagrobki paryskiego Cimetiere de Montmartre. Kiedy minęła dużą tuję, spotkała ją nie lada niespodzianka.

Na krótko skoszonej łączce stała *La Révolution*

Sara doznała szoku. Metalowa głowa nadziana na pręt. Już sam ten makabryczny szczegół mógł wzbudzić nieufność każdego, kto choć trochę obeznany był z historią – bezpańskie, albo właśnie pańskie, głowy nabite na kije były częstym widokiem podczas rewolucji francuskiej, ale Joanna d'Arc, córka lotaryńskiego rolnika okrzyknięta francuską bohaterką narodową, została przecież spalona na stosie. Baron von Dornis mógł nabierać wszystkich, którzy przez ostatnie półtora stulecia oglądali jego dzieło, Sarze wystarczył jednak jeden rzut oka, żeby zorientować się, kim naprawdę była ta fałszywa Dziewica Orleańska.

Albowiem oblicze rewolucji wyglądało dokładnie tak jak jej własna twarz. Sara miała wrażenie, że patrzy w lustro.

Gdyby miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy Liszt rzeczywiście jest jej przodkiem, właśnie teraz wyzbyła by się ich do reszty. Za model rzeźbiarzowi posłużyła najwyraźniej córka kompozytora. Piękna twarz o charakterystycznej dla Liszta linii nosa dobitniej niż jakikolwiek dokument świadczyła o pokrewieństwie, o którym świat aż do teraz nic nie wiedział. Niestety, na popiersiu nie widniało niczyje nazwisko, a jedynie nic nie mówiące słowa *La Révolution*.

Od niespodziewanego zetknięcia się z dziełem, które dotknęło samego rdzenia jej istoty, Sarze zaczęło kręcić się w głowie. Wszystkie próby ustalenia własnego pochodzenia, jakie dotychczas podjęła, nie powiodły się. Początkowo zakładała, że spokrewniona jest z Lisztem po mieczu, jednakże w liście pożegnalnym matki nie znalazła nawet nazwiska ojca. Jediną wskazówką dotyczącą jego tożsamości był zbiór wycinków prasowych: Josephine d'Albis zebrała zadziwiająco dużo artykułów wychwalających rosyjsko-francuskiego dyrygenta imieniem Anatol Akulin. Przed kilkoma laty Sara podjęła ten trop, ale szybko się on urwał – zupełnie, jakby ten uznany muzyk nigdy nie istniał.

Tiomkin i Janin też byli Rosjanami mieszkającymi we Francji. Czy był między

nimi jakiś związek?

- Powiedz mi - wyszeptała, ale jej podobizna z brązu milczała.

W odróżnieniu od widma, któremu zawdzięczała życie, linia rodowa matki okazała się łatwa do identyfikacji. Począwszy od dziadka Adolphe'a, jego ojca Antoine'a, aż do praprababki Françoise d'Albis, *de domo* Colbert, poznała gałęzie tego drzewa genealogicznego aż do połowy XIX wieku. A teraz - nie mogło być inaczej - patrzyła na twarz własnej praprababki.

- Jak się nazywasz? - wyszeptała, tym razem natarczywiej niż przedtem.

Nagle, niby w odpowiedzi, deszcz przybrał na sile. Mżawka przerodziła się w ciężkie sznury wielkich kropli, spadających pionowo z nieba.

Sarę ogarnęła rozpacz. Czy to już wszystko? Pewność, że pochodzi od Liszta, bez wątpienia była cenna, ale jeżeli nic innego nie znajdzie, to trop róży wiatrów urwie się przedwcześnie w tym zapuszczonym ogrodzie.

Sara zignorowała deszcz i zimno, podniosła podszyty skórą kołnierz płaszcza i powoli obeszła popiersie. Dumna twarz o arystokratycznym nosie spoglądała na północ. „Szukaj odpowiedzi w głowie rewolucji”. O co tu Lisztowi chodziło? Obejrzała uważnie każdy centymetr kwadratowy popiersia, nigdzie nie znalazła jednak najmniejszej wskazówki.

Aż do chwili, w której deszcz nie zaczął bębnić jeszcze mocniej.

Tak, „bębnić” na głowie popiersia. Które było puste w środku. Jak dzwon. Niezliczone uderzenia ciężkich kropli sprawiały, że zaczął wydobywać się z niego dźwięk. Sara stwierdziła ze zdumieniem, że słucha Dźwięków Władzy.

Najwyraźniej twórca tego szczególnego dzieła sztuki najstaranniej pracował nad czaszką Rewolucji. Sara doskonale znała zasadę, na jakiej to działało, w końcu jako dziecko na karaibskiej wyspie St. Bartolome często słuchała tubylczych *steelbandów*, które w grały na metalowych pokrywach beczek. Nazywały je po prostu *pans*

- „patelniami”, bądź też, kiedy trafiali na bardziej wymagającą publiczność, *steeldrums* - „stalowymi bębnami”. Z wklęsłego denka od beczki potrafili wydobyć prawie trzydzieści różnych dźwięków. Tutaj było podobnie. Z tym tylko, że efekt końcowy przeszedł wszystko, co Sarze dane było dotychczas przeżyć.

Wielobarwna brzdąkanina stworzyła w jej duszy obraz. Tym razem nie pismo - na to krople deszczu uderzały w popiersie zbyt chaotycznie - ale niewyraźny

zarys ciała. Sara wstrzymała oddech, kiedy udało jej się rozpoznać drżące kontury migoczącej postaci.

To była syrena.

Przezroczyste ciało płynnie dołączyło się do głowy. Od ramion przez nagie piersi aż do pępka było ludzkie, potem, aż do końca ogona, rybnie. Kiedy deszcz przycichał, zjawisko blakło, a kiedy bębnienie kropel przybierało na sile, stawało się bardziej wyraziste.

- Pięknie śpiewa, prawda? - odezwał się nagle głos za Sarą.

Obróciła się przestraszona. Przed nią z wielkim parasolem w ręku stał właściciel zaczarowanego ogrodu.

W bibliotece berghauzu było ciepło i przytulnie. Na sięgających drewnianego kasetonowego stropu regałach, w zwartych, zgodnych szeregach stali filozofowie i przyrodnicy, mężowie stanu i stratedzy, poeci i powieściopisarze, wielcy każdej dziedziny ludzkiego ducha. Światło wpadało do gabinetu wiedzy przez dwoje krzyżowych okien. Na wytartym perskim dywanie wśród starych książek stał wytłuszczony, skórzany fotel o wysokim oparciu, a w nim siedział Karl Konrad Koreander. Na okrągłym stoliku obok niego leżała fajka i zaczytana książka w obwolucie koloru miedzi. Przez komicznie małe okulary gospodarz obserwował młodą kobietę, która zajęła miejsce naprzeciwko niego na szeszlunku.

Zgrabiałe dłonie Sary zaciskały się na kubku herbaty.

- Tego mi właśnie było trzeba! - pochwaliła gościnnosć staruszka.

- Zapewne była pani tak zaskoczona, że nie zwróciła pani uwagi na deszcz.

Kiedy wcześniej ujrzałem pani twarz, osłupiałem dokładnie tak samo - przyznał Koreander.

- Wygląda na to, że Franciszek Liszt naprawdę jest moim przodkiem.

- Podczas rozmowy przez telefon odniosłem wrażenie, że nie ma pani w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

- Chciałam wywrzeć wrażenie.

Roześmiał się.

- Podoba mi się pani szczerosć.

Sara spuściła wzrok pod badawczym spojrzeniem starca. Do tej pory nie opowiedziała mu o syrenie, nie wspomniała też o Purpurowych Nutach. Tyle w kwestii szczerosći. Chcąc uspokoić własne sumienie, tłumaczyła sobie, że robi to, by chronić go przed Słyszającymi Barwy. Powiedziała z naciskiem:

- Panie Koreander, jestem przekonana, że popiersie w ogrodzie skrywa w sobie tajemnicę, którą mogą odkryć jedynie potomkowie Liszta. Może domyśla się pan, dlaczego nosi akurat nazwę *La Révolution*...? Może von Hase był członkiem tajnego stowarzyszenia o wywrotowych celach?

Koreander wetknął sobie do ust fajkę do ust i zastanowił się solennie. Potem pokręcił głową.

- Nasz krnąbrny profesor był wolnomularzem, jeżeli się nie mylę. Już za młodych lat głosił takie poglądy na temat prawa i wolności, że zwróciło to uwagę przedstawicieli starego porządku. Podczas studiów spędził nawet jedenaście miesięcy w twierdzy w Hohenaspergu. Przypuszczam - i jest to szczerą odpowiedź na pani pierwsze pytanie - że ideały rewolucji były bardzo bliskie Franciszkowi Lisztowi. On i von Hase to były z pewnością pokrewne dusze.

- Wie pan o nich obu bardzo dużo.

- Strzegę jedynie tego, co inaczej popadłoby w zapomnienie: tego domu, wspomnienia o każdym, kogo los związał z tą posiadłością i oczywiście ksiązek i dokumentów.

- Jest w nich może też coś o rzeźbie?

- Ależ oczywiście! - odpowiedział Koreander bezzwłocznie.

- Zaczynałem już się obawiać, że nigdy mnie pani o to nie zapyta. Proszę zaczekać.

Stęknąwszy podniósł się z fotela, podreptał do jednego z regałów i powrócił z owiniętą w szare płótno skrzynką na dokumenty. Kiedy ponownie usiadł, wyciągnął z niej jedną z szuflad, poszperał w schowanych w niej pismach i rzekł w końcu:

- Oto i on!

Sara podskoczyła, żeby odebrać od Koreandra wyciągniętą w jej stronę kartkę. List! Widziała już wcześniej to koślawe pismo: w weimarskim Archiwum Goethego i Schillera wielokrotnie wpędzało ją w rozpacz. Liszt zazwyczaj dyktował swoje listy sekretarzom, jednakże ten dokument bez wątpienia został skreślony jego własną ręką.

- Mógłby mi pan to przeczytać? - zapytała.

- Ho, ho, wnuczę nie umie odcyfrować bazgraniny własnego dziadunia? - zakpił Koreander.

Sara oddała mu list.

- Mnie zajmie to po prostu znacznie więcej czasu. Wydaje mi się, że pan doskonale zna już treść.

Były antykwariusz bez trudu odczytał rękopis. List napisano w Weimarze 2 sierpnia 1861 roku do Karla Augusta von Hasego. Po krótkim pozdrowieniu muzyk resztę listu poświęcił *La Révolution*. Liszt nie zdradził imienia „pięknej niewiasty” nawet swojemu bratu w wolnomularstwie, jednakże wskazówki na temat, jak należy umieścić rzeźbę w ogrodzie, były niezwykle szczegółowe. Domagał się, żeby czubek nosa posągu skierowany był na północ i uzupełnił to żądanie ciągiem nic dla Sary nie znaczących cyfr.

- Rozumie pan coś z tego? - zapytała zdeorientowana.

- No jasne! - odparł Koreander rozdrażniony. - To wartość kątowna w odniesieniu do pozycji geograficznej berghauzu. Według ówczesnych współrzędnych, oczywiście.

- Jak to? Ktoś przesunął świątynkę?

Starzec zachichotał cicho.

- Co w tym takiego śmiesznego? - spytała Sara obrażona.

- Nic - odparł antykwariusz. Potem wskazał na jeden z regałów.

- Proszę podać mi atlas. To ten duży brązowy foliał na najniższej półce.

Podczas gdy Sara przemierzała bibliotekę, Koreander wyjaśniał

- Villa Paulina, jak mój imiennik lubił nazywać swój górski domek, zawsze stała tam, gdzie stoi dzisiaj. Jednak od czasu, w którym napisano ten list, zmieniło się położenie południka zerowego. Właściwie przed 1884 rokiem, kiedy ustalono go na stałe w Greenwich, było ich kilka. Żeby prawidłowo zinterpretować wskazówki Liszta, należy więc udać się w przeszłość. Maestro orientował się według południka, który pani rodak imieniem Arago przeprowadził przez środek paryskiego Obserwatorium.

Sarze znów przypomniały się słowa Olega Janina w „Anno 1900”: „Badacz taki jak ja nigdzie nie zbliży się do nich bardziej niż w Paryżu”. Podała gospodarzowi atlas.

- Chyba nie mylę się, zakładając, że sprawdził już pan podane współrzędne?

- Ba! Zaczynam przyzwyczajając się do bystrości pani umysłu - odpowiedział Koreander z zadowoleniem i zaczął kartkować atlas.

Sara przyjęła tę uwagę jako komplement. Uklękła obok i przypatrywała się w napięciu poszukiwaniom.

- Musi pani wiedzieć - podjął gawędziarskim tonem antykwariusz - że nasza uroczą *Rewolucja* w ogrodzie zawsze mnie zachwycała. Kiedy przysłuchiwałem się jej dźwięcznemu śpiewowi, miałem zawsze te same odczucia, co pani: czułem, że skrywa wielką tajemnicę. Dlatego pewnego dnia zrobiłem to - tymczasem udało mu się znaleźć stronę, której szukał: mapę Europy Północnej, przez którą ołówkiem poprowadzono z grubsza pionową kreskę. Koreander wskazał na papier: - My jesteśmy tutaj, to berghauz w Jenie. Jeśli pod podanym przez Liszta kątem nakreślić tutaj linię, będzie ona prowadziła prawie dokładnie na północ. Odchylenie na wschód wynosi mniej niż dwa stopnie.

- Czy mogę? - spytała Sara i zdjęła Koreandrowi atlas z kolan. Usiadła obok po turecku na dywanie i przeciągnęła palcem po grafitowej linii na północ. Naraz zastygła i popatrzyła na niego wielkimi oczyma.

- Jest pan czytany człowiekiem. Co przychodzi panu do głowy, gdy słyszy słowo „syrena”?

- Syrena? Skąd ten pomysł?

Sara zdobyła się na odwagę i powiedziała: - Widzę dźwięki. Bębnienie kropel deszczu na głowie *La Révolution* ukazało mi postać syreny.

- Do kroćset! - wyrwało się Koreandrowi. - A zatem, tak od razu kojarzy mi się z tym tylko jedno: *Mała syrena* Hansa Christiana Andersena.

Sara skinęła głową. Pomyślała dokładnie o tym samym.

- Wiedział pan, że Liszt znał się z Andersenem? Jako kapelmistrz podejmował go w Altenburgu w Weimarze.

Koreander skinął głową.

- Czytałem. Czemu tak to panią ekscytuje?

- Ponieważ, sądzę, że czubek nosa *Rewolucji* to drogowskaz. Wskazuje na inną rzeźbę z brązu, mianowicie na kopenhaską małą syrenkę.

- Nie chciałbym rozwiewać pani złudzeń, dziecko, ale Liszt nie mógł wiedzieć o syrenie przy Langelinie-Kai. Jeśli się nie mylę, zbudowano ją dopiero w 1913. Wtedy pani przodka dawno nie było już wśród żywych.

Encyklopedyczna wiedza starca wprawiała Sarę w podziw. Jego umysł okazywał się równie lotny, jak jego ciało było ociążałe.

- Wie pan może, kiedy Andersen napisał swoją *Małą syrenę*?

Koreander wepchnął sobie ustnik fajki między zęby, pociągnął z niej dwa lub trzy razy i odpowiedział:

- To musiało być około roku 1840.

- Ponad dziesięć lat przed tym, jak spotkał Liszta - mruknęła Sara i kontynuowała ten wątek: Liszt musiał stać na czele Słyszających Barwy i jako mistrz harfy poszukiwać ludzi o podobnych poglądach podczas swoich tournée w całej Europie. Oleg Janin był zdania, że to tajemne bractwo nie było złożone tylko z muzyków. Dlaczego więc Liszt nie miałby pozyskać dla Łabędzi także Hansa Christiana Andersena? Być może powierzył nawet pisarzowi część róży wiatrów, która prowadziła do miejsca ukrycia Purpurowych Nut. W przeciwnym wypadku czemu miałby ustawiać *La Révolution* tak, żeby wskazywała akurat na Kopenhagę?

Podekscytowana położyła dłoń na ramieniu Koreandra.

- Jak najszybciej mogę dostać się stąd do Danii?

Do wejścia szła już sama. Koreander wspomniał o swoich „ciężkich stopach”, wezwał jej taksówkę i pożegnał się jeszcze w bibliotece. Była w euforii. Nawet widok bagażu przy drzwiach nie mógł popsuć jej promiennego nastroju. Zawiesiła na ramieniu torbę z komputerem, podniosła walizkę na kółkach i opuściła Villę Paulina. Lekko przeszła przedsionek świątynki. Kiedy osiągnęła stopnie, za jedną z kolumn pojawiła się nagle postać.

To był Oleg Janin.

- Madame d'Albis! - przywitał ją Rosjanin z wielką ulgą w głosie. - Nie domyśla się pani nawet, jaki jestem szczęśliwy. Obawiałem się już, że straciłem panią na zawsze.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA==

Thalberg gra z zaskakującą łatwością, jest niezwykle spokojny, wydaje się sam nie poświęcać temu uwagi, nie był tak oryginalny jak Liszt, żaden z nich nie przemówił do moich uczuć; Thalberg zanadto odwołuje się do rozsądku, Liszt do fantazji.

Hans Christian Andersen, wpis w dzienniku z 21 listopada 1840, po koncercie w Monachium

Rozdział 14.

Jena, 19 stycznia 2005, 12:18

- Jak mnie pan znalazł? - zapytała podejrzliwie Sara.

Oleg Janin wzruszył ramionami.

- Dzięki łapówkom.

Oboje szli podjazdem prowadzącym do Philosophenweg. Profesor chciał wziąć od damy walizkę, spotkało się to jednak z zawziętym oporem Sary. Teraz postawiła ją twardo na ziemi i spojrzała na Rosjanina z rozchyłonymi ustami, pałając oburzeniem.

Jego usta wykrzywiły się w uśmiešku.

- A co mam powiedzieć? Jestem Rosjaninem. U mnie w kraju bez *wziątki* nic się nie da załatwić. Kobieta w weimarskiej centrali taksówek nie była wyjątkiem.

Sara przypomniała sobie radio, przez które jej kierowca kontaktował się z centralą. Myśl, że uda jej się umknąć przed prześladowcami taksówką, okazała się bardzo naiwna. Gniewnie pokręciła głową.

- Mówi pan o ludziach tak, jakby byli maszynami.

Roześmiał się.

- Proszę otworzyć oczy, moje dziecko! Większość nam współczesnych używa głowy jako modnego dodatku do stroju. Myślenie wolą pozostawiać innym - trendsetterom, opiniotwórcom, wizjonerom czy też jakkolwiek inaczej zechcą nazwać mądre głowy, którym nasz świat zawdzięcza wojny, głód i zanieczyszczenie środowiska.

- Jest pan cyniczny.

- Nie, jestem jedynie realistą. Nie sądzi pani może, że w większości problemów ludzkość sama jest sobie winna?

- Być może, ale.

- Powinna pani przestać w końcu idealizować świat, Saro, to w końcu z pewnością doprowadzi panią do zguby

Wzniosła ręce ku niebu i zawołała:

- To czego pan ode mnie chce? Mam powstrzymać topnienie lodowców? A może sabotować program atomowy Korei Północnej i Iraku?

Pokręcił głową.

- Na początek zupełnie wystarczy, jeśli wyprowadzi pani w pole Słyszących Barwy. W tym mogę pomóc.

Sara parsknęła gniewnie.

- Panu chodzi przecież tylko o Purpurowe Nuty

- Nigdy nie zaprzeczałem, że Nauka Dźwięków Jubala jest dla mnie bardzo ważna, ale niezależnie, czy uwierzy mi pani, czy nie, pani również.

Przewróciła oczami.

- Proszę, nie!

Zanim mogła zaprotestować, Janin zagarnął jej walizkę i podjął marsz ku ulicy. Pojedynawczym tonem dodał:

- Proszę zapomnieć teraz o stalkerze, którego najwyraźniej wciąż pani we mnie widzi. Jest pani wprawdzie niezmiernie atrakcyjną kobietą, ale przysięgam na wszystko, co dla mnie święte, że nie mam do w stosunku do pani żadnych romantycznych planów.

Sara dogoniła Rosjanina i obserwowała go teraz z boku.

- Tylko?

Skrzywił się i pokręcił ciężką głową w lewo i w prawo.

- Jak mam to wyjaśnić? Miałem w życiu pod opieką wielu młodych ludzi. Za każdego z nich czułem się odpowiedzialny. Nie chcę jednak udawać, że moja troska o panią jest czysto odruchowa. Ma pani w sobie coś szczególnego, Saro. Jest pani dla mnie czymś w rodzaju drogocennego naczynia. Nic z tego, co pani w sobie ma, nie powinno zostać roztrwonione ani utracone. Dlatego chciałbym ochronić panią przed wrogami. Proszę uznać to za ojcowską troskę.

- Miałabym w to uwierzyć?

- Proszę panią o to.

W głosie Janina brzmiała szczerłość, która głęboko poruszyła Sarę. Nagle sama sobie wydała się niezwykle arogancka. Zapatrzona w siebie. A przy tym pilnie potrzebowała pomocy. Wbrew własnej woli zaplątała się w pajęczą sieć, z której nie będzie mogła się wydostać wyłącznie o własnych siłach. Profesor natomiast dobrze znał jej myśliwych, przez całe życie studiował przecież te zagadnienia. Może i był z niego cwaniak, ale przeciwko tak możliwym wrogom to mogło okazać się zaletą.

Sara wzięła głęboki oddech i powiedziała cicho:

- Czy jest w ogóle szansa, żeby umknąć Słyszającym Barwy?

Tymczasem przeszli przez bramę i wyszli na ulicę. Tam skierowali się w stronę zarośli, gdzie profesor ukrył swój własny bagaż - ciemnozieloną walizkę na kółkach oklejoną niezliczonymi nalepkami. Wyglądała, jakby odbyła kilka podróży dookoła świata. Taksówka, którą wezwał Koreander, jeszcze nie nadjechała. Profesor postawił walizkę na ziemię. Odpowiedział z wzrokiem utkwionym w drogę:

- Wewnętrzny krąg Orłów jest nieliczny, ale bractwo ma wielu donosicieli. Nie sposób ich uniknąć - zawsze i wszędzie któryś czai się w pobliżu. Jednakże pchłom czasami udaje się ukryć na samym nosie niedźwiedzia.

- Co to, rosyjskie przysłowie ludowe?

Odwrócił się w stronę Sary z uśmiechem.

- Jak pani sobie życzy. Chciałem przez to powiedzieć tyle: Słyszący Barwy zawsze najswobodniej czuli się w świecie muzyki. Tutaj nikomu nie możemy ufać, tutaj mamy jednak też największe szanse na osiągnięcie celu, wszak stróż Szkarłatnej Partytury sam był artystą muzykiem. Na szczęście poznałem organizację Niekrasowa dość dobrze, żeby nas ukryć. Proszę mi zaufać.

Sieć kolejowa Niemiec wschodnich pamiętała jeszcze poprzednie stulecie. Dlatego pociąg Intercity jechał na zachód z prędkością jedynie 160 kilometrów na godzinę. Sara wykorzystała ten czas, aby przejrzeć swoją przenośną bibliotekę.

W przedziale pierwszej klasy byli sami. Siedzieli naprzeciwko siebie. Chcąc przyspieszyć podróż, bilety do Frankfurtu nad Menem kupili dopiero w pociągu. Z tego miasta, które było przecież wielkim węzłem komunikacyjnym, mogli w razie potrzeby wyruszyć do Kopenhagi nawet kolejnego ranka, Sara nie chciała jednak przesadzać.

W skrócie N+BALZAC na trzecim miejscu znajdował się Boreasz, wiatr północny. Następnie trop róży wiatrów wiódł na południowy wschód, do *Apeliotesa*. A może na północny zachód, skąd wiał *Aparctias*? „Nie rozdrabniaj się” – napomniała się Sara. Ostatecznie żyjemy w epoce informacji. Podróż do Norymbergi odbyła wirtualnie, może uda jej się to też w przypadku pozostałych kierunków świata.

Najpierw musiała dowiedzieć się, gdzie dokładnie Liszt ukrył kolejną wskazówkę. Miała graniczące z pewnością podejrzenie, że kluczem okaże się tutaj Hans Christian Andersen. Janin obserwował w milczeniu, jak majstrowała przy komputerze. Nie udało jej się jednak znaleźć zbyt wielu informacji na temat Duńczyka. Sławę przyniosły mu głównie baśnie – *Nowe szaty cesarza*, *Księżniczka na ziarnku grochu*, *Brzydkie kaczątko*, *Dzielny ołowiany żołnierz* i, oczywiście, *Mała syrena*. Spod jego pióra wyszły też powieści i sprawozdania z podróży. Sarę zaskoczyła data urodzin Andersena.

– Przyszedł na świat 2 kwietnia 1805 w Odense – wyszeptała. Wcześniej opowiedziała profesorowi o swojej wizji w ogrodzie.

Jego krzaczaste brwi uniosły się.

– Interesujące. W takim razie za kilka tygodni skończyłby dokładnie dwieście lat.

– Zmarł zresztą w Kopenhadze 4 sierpnia 1875 roku, jedenaście lat przed Lisztem. Nic nie wskazuje, na to, żeby ich coś łączyło – wskazała odpowiedni fragment na monitorze.

– Naprawdę spodziewa się pani znaleźć coś o Słyszających Barwy w encyklopedii?

Sara puściła przytyk mimo uszu i znów skoncentrowała się na zawartości komputera. Najpierw przejrzała korespondencję Liszta, a na koniec kilka źródeł w Internecie. Jej uwagę zwrócił wpis w dzienniku duńskiego pisarza. Około 1832 Liszt chciał wystawić jego operę *Ravnen*; muzykę napisał Johan Peter Emilius Hartmann. Przedsięwzięcie spaliło na panewce. Kiedy jednak pojawiła się niemiecka wersja opery Hartmanna *Liden Kirsten*, weimarski kapelmistrz wystawił na scenie to dzieło Andersena. Premiera odbyła się 17 stycznia 1857 roku.

– Czy w którejś operze mogłaby być zawarta wskazówka? – spytała Sara profesora.

- Słyszała pani *Kruka* albo *Małą Karin*?

- Tak.

- Co pokazało pani *audition colorée*?

- To co zawsze: kolorowe plamy, kropki i wstążki.

Janin rozłożył ramiona: - No, to ma pani odpowiedź.

Sara przez chwilę zastanawiała się nad jego pragmatyczną oceną. Z jakiegoś powodu wydała się jej zbyt prosta. Nagle wpadła na pewien pomysł.

- Kiedy zajmowałam się dziełami Liszta, zawsze zwracało moją uwagę to, że do wielu utworów wprowadzał odręczne poprawki.

- Tak, ale muzykę do oper Andersena napisał J. P. E. Hartmann.

- To Lisztowi nigdy nie przeszkadzało. Pojęcie oryginału w potocznym rozumieniu tego słowa było mu zupełnie obce. Muzyka całego świata była dla niego wyłącznie kamieniołomem, z którego wydobywał kolejne fragmenty, szlifował je, polerował i z dzieł dobrych tworzył jeszcze lepsze.

- Jeśli dobrze panią rozumiem, jest pani zdania, że Liszt wprowadził zmiany w którejś partyturze, ukrywając w niej wskazówkę, która pozwoli pójść dalej tym - jak to pani określiła? - tropem róży wiatrów.

Sara skinęła głową.

- Gdzieś zresztą musimy zacząć poszukiwania. A może ma pan lepszą propozycję?

- Nie. Pani teoria mi się podoba. Jednakże tak zmienionych partytur mogą być dziesiątki.

- Być może. Jednakże wzrok *La Révolution* skierowany jest na Kopenhagę, a źródła podają tylko dwa dzieła Andersena, które Liszt chciał wystawić. W końcu udało mu się to tylko z *Małą Karin*. Proszę zaczekać, mam pewien pomysł.

Sara wyjęła z torebki komórkę.

- Co pani zamierza? - zapytał Janin.

- Zadzwonię do Giordana Bellincampiego. A może on też widnieje na pańskiej czarnej liście?

- Nazwisko nic mi nie mówi. Włoch?

- Półkrwi - w drugiej połowie jest Duńczykiem. To generalny dyrektor muzycznym Opery Narodowej w Aarhus. Może będzie mógł nam pomóc.

- Ufa mu pani?

- Przyjaźnimy się od dziesięciu lat.

Janin ściągnął wargi.

- Dobrze więc. Proszę dzwonić.

Sara wybrała numer komórki dyrygenta, mężczyzny, dla którego gotowa była porzucić swoje wędrowne życie. Giordano nic o tym nie wiedział. Dla niego była tylko koleżanką, a jego wielkie serce należało do kogo innego - żony i trójki dzieci. „Tak pewnie jest lepiej” - myślała Sara, czekając na dzwonek. Nie chciała skończyć jak własna matka.

Przynajmniej teraz miała szczęście. Po zaledwie dwóch sygnałach odezwał się dźwięczny głos Bellincampiego. W telegraficznym skrócie nakreśliła mu swój zamiar. Rozmawiali po angielsku.

- Niezwykły zbieg okoliczności, że pytasz mnie właśnie o *Liden Kirsten* - powiedział. - 2 kwietnia zaczyna się rok Hansa Christiana Andersena. Odbędą się setki koncertów, przedstawień, odczytów, uroczystości ku czci i czort jeden wie czego jeszcze. Moja orkiestra też weźmie w tym udział, a poza tym będę gościnnie dyrygował w Operze Królewskiej. Teraz siedzę na próbach od rana do wieczora. Zgadnij tylko, jakiego utworu.

- *Liden Kirsten*?

- Bingo. Mamy grać przed rodziną królewską.

- Gratulacje, Giordano. Doskonały punkt w życiorysie. Co powiesz o moim małym projekcie badawczym?

- Partytura Hartmanna z odręcznymi poprawkami Liszta? - powtórzył Bellincampi. - Na ten temat nie mogę powiedzieć nic konkretnego.

- Czy to znaczy, że widziałeś już wydane drukiem nuty z odręcznymi poprawkami?

- Tak. Ale nie pytaj mnie gdzie. To mogło być w Statens Arkiver. Możliwe też, że w Kongelige Bibliotek.

- A Centrum Andersena w Odense?

- Nie, pamiętałbym. To na pewno było gdzieś w Kopenhadze.

- Mógłbyś to dla mnie sprawdzić?

Ze słuchawki dobiegł śmiech.

- Doskonały żart, Saro! Jestem teraz tak zajęty, że nie mam nie mam kiedy oddychać!

- A jeśli osobiście pojedę do Kopenhagi, będziesz mógł zapewnić mi wstęp do

archiwów?

- Bez problemu. Niektóre zresztą otwarte są dla wszystkich. Kiedy zamierzasz się pojawić?

Sara przywołała w pamięci plan lotów Scandinavian Airlines.

- Na przykład jutro rano?

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA==

BOREASZ (PÓŁNOC)

KOPENHAGA

Wiem dobrze, czego chcesz! – powiedziała czarownica. (...)

– Chciałabyś się pozbyć rybiego ogona, zamiast tego mieć dwie podpory, na których mogłabyś chodzić jak ludzie, aby księżę się w tobie zakochał (...).

Przygotuję ci napój (...). Ale pomyśl – powiedziała czarownica – kiedy otrzymasz ludzką postać, nigdy już nie będziesz mogła zamienić się z powrotem w syrenę. (...)

– Tak chcę – powiedziała mała syrena i zbladła jak trup.

– Ale mnie musisz także zapłacić! – powiedziała czarownica.

– A żądam nie byle czego. Masz najpiękniejszy głos ze wszystkich tu na dnie morskim, sądzisz, że tym mogłabyś oczarować księcia, ale oddasz mi twój głos. To, co masz najwartościowszego, oddasz mi za mój drogocenny napój. (...)

– Niech się stanie – powiedziała syrenka, a czarownica postawiła kocioł, aby zagotować czarodziejski napój.

Hans Christian Andersen, *Mała syrena*⁷

Rozdział 15.

Kopenhaga, 20 stycznia 2005, 9:24

Statki na granatowych wodach Øresundu były maleńkie jak chrząszcze. Sara zerknęła ponad końcem skrzydła samolotu na Bałtyk i znowu zamknęła oczy. Czuła się jak komiwojażerka. Wycieczka do Kopenhagi dawno już straciła dla niej wszelki urok.

Już we Frankfurcie straciła ochotę na rozmowę. Zdobyła miejsce przy oknie, dla Olega Janina zostało tylko niewdzięczne środkowe siedzenie. Aby zdusić w zarodku wszelkie próby nawiązania konwersacji, pograżyła się w lekturze gazety, którą mechanicznie uśmiechnięta stewardessa dosłownie wepchnęła jej do rąk, kiedy wchodzili na pokład samolotu. Przeglądała właściwie jedynie tytuły większości artykułów, kilka postanowiła jednak przeczytać w całości.

Mimo że George W. Bush miał zostać ponownie zaprzysiężony na prezydenta Stanów Zjednoczonych dopiero w środę, gazeta już snuła spekulacje dotyczące przebiegu jego drugiej kadencji. Podczas dalszej lektury dziennika Sara zastanawiała się, czy nowego-sta-rego władcę *God 'sown land* dręczy fakt, że oczy świata skierowane były tego dnia nie na Waszyngton, lecz na Rzym. Drugim najważniejszym tematem był dramatycznie pogarszający się stan zdrowia Jana Pawła II. Dziennikarz porównywał wieloletnie zmagania papieża z chorobą Parkinsona do walki świętego Michała ze smokiem. „Co się stanie – zapytywał autor artykułu – jeżeli tym razem Michał przegra walkę z bestią?”.

Nagle Sara usłyszała ciche pochrapywanie. Janin zasnął. Ostrożnie złożyła gazetę, odchyliła głowę w tył i zamknęła oczy. Nie po to, żeby podążyć w ślad za profesorem do krainy snów, ale dlatego że chciała w spokoju pomyśleć o *Małej syrenie*.

Wciąż pamiętała o fałszywej Dziewicy Orleańskiej. Dlatego też poprzedniego wieczora wyszukała w Internecie baśń Andersena o syrenie. W pewnej chwili usnęła jednak podczas lektury z szumiącym laptopem na kolanach.

Teraz, krótko przed lądowaniem w Kopenhadze, poddała się wzruszeniu, czytając czarowną historię pióra wielkiego pisarza. Była ona hymnem na cześć bezinteresownej miłości: syrena rezygnuje z głosu, żeby zdobyć miłość księcia, do którego należy jej serce. Cóż za poświęcenie!

„Ludzie na ziemi nie mają tak pięknego głosu. Mała syrena śpiewała najpiękniej, wszyscy oklaskiwali jej śpiew; i przez chwilę syrena czuła radość w sercu, bo wiedziała, że ma najpiękniejszy głos ze wszystkich na ziemi i w morzu”⁸.

Opis Andersena poruszył Sarę do głębi. Nie dlatego, że sentymentalnie przejęła się zakończeniem baśni – księżę poślubił inną, a mała syrena zmieniła się w pianę – ale dlatego że przeczuwała, iż Liszt mógł widzieć w swojej rzeźbie więcej niż tylko drogowskaz wskazujący Kopenhagę. Do przechowania dla potomności oblicza własnej córki nie potrzebowałby zresztą syreny. „Może klucz krył się jednak w nazwie – *La Révolution?*” – pomyślała Sara i zastanowiła się, czy Liszt nie miał na myśli przede wszystkim Słyszących Barwy. Czy miejsce Dźwięków Władzy miała zająć właśnie bezinteresowna miłość, taka jak ta opisana w baśni?

Nagle z głośników dobiegły zwyczajowe instrukcje dotyczące zasad bezpieczeństwa podczas lądowania. Przez iluminator widać było ogromny most nad Sundem, łączący Danię ze Szwecją.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał zaspany głos koło Sary. Janin obudził się. Wydawał się zdezorientowany.

– Nad królestwem małej syreny – odparła.

Airbus prawie punktualnie opadł na mokry od deszczu pas startowy kopenhaskiego lotniska Kastrup. Nie chcąc zostawiać śladów, Sara i Janin pojechali do centrum duńskiej stolicy pociągiem. Podróż trwała zaledwie dwanaście minut.

Dworzec główny znajdował się naprzeciwko Tivoli, znanego kopenhaskiego lunaparku. Sara, jako słynna na cały świat solistka, przywykła do komitetów powitalnych i limuzyn, ale profesor zarządził, że z tym na razie koniec. Wybrał hotel, do którego mogli dotrzeć na piechotę.

Ciągnąc za sobą swe walizki na kółkach, zanim skręcili w Vester Farimagsgade, minęli bulwar noszący imię właśnie Hansa Christiana Andersena. Po drodze musieli co jakiś czas lawirować między zaspami śniegu, ale Sara

skłonna była przyznać Duńczykom znacznie większe zdolności w obchodzeniu się z wodą w formie stałej niż swoim rodakom w Paryżu - chodniki były przykładnie oczyszczone. Chwilę później dotarli do hotelu „Imperial”.

Sara zadzwoniła do Giordana Bellincampiego, ale nie uzyskała połączenia. Sekretarka poinformowała ją, że maestro jest chwilowo zajęty. Sara zostawiła numer swojej komórki i wiadomość.

O jedenastej spotkała się z Janinem w foyer - była to utrzymana w duńskim stylu lodówka, do wystroju której posłużyły wyłącznie błyszczący chrom, drewno i kamień.

- Gdzie zaczniemy? - zapytał profesor.

- Proponowałabym w archiwum państwowym. Otwarte do czwartej.

Janin nalegał, żeby półtora kilometra do Statens Arkiver pokonać bez pomocy maszyn. Mijając rzędy domów z czerwonej cegły, przeszli w stronę wyspy Slotsholmen - Wyspy Zamkowej - z trzech stron oddzielonej od miasta wąskim kanałem. W byłej siedzibie dworu królewskiego wciąż jeszcze mieściły się najważniejsze dla kraju instytucje.

Na szczęście dyrektor Duńskiej Opery Narodowej zapowiedział już gości i zażądał, by przydano im do pomocy mówiącą po angielsku archiwistkę. Okazało się, że to mądra decyzja, ponieważ zarówno Sara, jak i profesor potrafili wyczytać z napisanych głównie po duńsku katalogów i indeksów mniej więcej tyle, co z egipskich hieroglifów.

Żadnemu innemu Duńczykowi na całym świecie nie poświęcono tyle uwagi, co Hansowi Christianowi Andersenowi. Urósł on do rangi narodowej ikony. Pod sygnaturą „HCA” w Statens Arkiver piętrzyły się prawdziwe góry dokumentów, od kościelnych aktów poświadczających jego narodziny i konfirmację, przez niezliczone listy, aż po testament. Odszukanie wśród nich śladów Liszta równało się poszukiwaniu skarbów w Himalajach. Archiwistka, żująca gumę blondynka, robiła jednak co w jej mocy, żeby spełnić oczekiwania zagranicznych gości. Tu i tam przewijało się nazwisko Liszta, im dłużej trwały jednak poszukiwania, tym wyraźniej okazywało się, że kopia w niewłaściwym paśmie górskim.

- Korespondencja jest naprawdę bardzo interesująca, ale gdzie są nuty? - jęknęła w pewnej chwili Sara.

- Nuty? - powtórzyła zdziwiona archiwistka.

- Przyjechałam tutaj dla oper - przypomniała Sara młodej kobiecie.

- I trochę na ich temat pani znalazłam.

- Tak, ale nie było tu nut.

Archiwistka przesunęła gumę do zucia spod jednego policzka pod drugi.

- Nie mamy ich tutaj. Artystyczne dzieła Andersena znajdzie pani w Bibliotece Narodowej, tuż za rogiem.

Det Kongelige Bibliotek leżała, tak jak i archiwum państwowe, na Slotsholmen, rzut kamieniem od Christiansborgu, dawnej rezydencji królewskiej, w której obradował teraz duński parlament. Biblioteka Narodowa dawno już rozrosła się poza swoją historyczną siedzibę, zespół budowli łączących elementy północnowłoskiego średniowiecza i wczesnego renesansu, i rozciągnęła się aż nad wodę. Nad samym brzegiem leżał Den Sorte Diamant - „Czarny Diament” - romboidalny kloc, w którego fasadzie z czarnego marmuru odbijały się zacumowane w zatoce statki.

Pianistka i historyk muzyki dotarli do informacji biblioteki około dwadzieścia minut po czwartej, zakłócając znudzonej blondynce robienie manikiuru. Kobieta знаła już nazwiska gości - Giordano Bellincampi naprawdę się spisał. Sara wyjaśniła po angielsku, o co jej chodzi, kładąc przy tym szczególny nacisk na słowo „nuty”.

- Zamykamy o piątej - odparła obojętnie kobieta.

Rosjanin pokręcił głową, mrużąc coś pod nosem.

Sara rzuciła mu wściekłe spojrzenie, wobec pracownicy królewskiej biblioteki zachowała jednak opanowanie.

- To jeszcze ponad trzydzieści minut.

- Od dziesiątej rano znowu będziemy do państwa dyspozycji - odparła dama jak automat informacyjny.

- Znowu? - wyburczała Sara.

- Pani Jensen została przydzielona do opieki nad panią. Jej też już jednak dziś nie ma. Jutro rano od dziesiątej.

- Dziękuję bardzo - przerwała Sara automatowi o blond włosach, złapała Janina za rękaw i wyciągnęła ze sobą na zewnątrz.

- Nie każdy może być tak w to zaangażowany jak pani - powiedział profesor. Westchnęła. Miał w końcu rację.

- Co teraz zrobimy?

- Może zjemy razem kolację?

Jak na zawołanie zaburczało jej w brzuchu.

- Dobry pomysł. Poza batonikiem z musli od śniadania nic nie jadłam. Proszę jednak nie robić sobie nadziei na romantyczną kolację przy świecach.

Rosjanin wznosił oczy ku niebu.

- Znowu pani zaczyna? Jeśli zechcę robić pani awanse, dowie się pani o tym dostatecznie szybko. Na razie w pełni zadowolony mnie krwisty stek w hotelowej restauracji.

- Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeżeli przedtem trochę się odświeżę?

- Proszę uprzejmie.

Spacer przez zimową Kopenhagę z powrotem do hotelu byłby prawie uroczy, gdyby tylko Sara poświęciła choć trochę uwagi przysypanym śniegiem drzewom i krzewom. Jednakże, tak jak podczas porannego lotu, szła zatopiona we własnych myślach. Janin człapał obok niej jak rosyjski niedźwiedź na łańcuchu, co chwila rzucając w jej stronę ukradkowe spojrzenia. Mimo początkowego buntu swych urażonych uczuć, Sara powoli zaczynała się przyzwyczajać do towarzystwa gburowatego profesora. Prawdopodobnie ta ojcowska poza dobrze sprawdzała się w kontaktach ze studentami. Będzie musiała mieć się na baczności, żeby nie dać mu się owinąć wokół palca.

Kiedy Sara zapytała w recepcji hotelu „Imperial” o możliwości dostępu do Internetu, oprócz odpowiedzi przekazano jej też wiadomość. Jak powiedziała recepcjonistka, zostawioną ją ledwie kilka minut wcześniej.

- Od kogo? - zapytała zaskoczona Sara.

- Przywiozła ją taksówka.

Sara odwróciła się do swojego towarzysza.

- Prawdopodobnie od Giordana. Ale dlaczego do mnie nie zadzwonił?

Profesor chwycił ją za łokieć, odciągnął na stronę i wysyczał.

- Powiedziała mu pani, w jakim hotelu się zatrzymujemy?

- Nie, powiedziałam to sekretarce. Był pan zdania przecież, że nie ma sprawy, skoro mu.

Janin bez ceregieli wszedł jej w słowo:

- Dzwonienie do przyjaciela na komórkę to jedno, a trąbienie wszem i wobec, gdzie się zatrzymujemy, to zupełnie co innego. Sądziłem, że wyjaśniłem wczoraj pani jasno i wyraźnie, jak działają szpiedzy Słyszących Barwy. Najwyraźniej nie słuchała pani uważnie - głośno fuknął przez nos i dodał już spokojniej: - Co

napisał w wiadomości?

Sara posłała mu rozgniewane spojrzenie. Od czasów konserwatorium nikt nią tak nie pomiatał. Jednakże nieufność Janina nie była wcale bezpodstawna. Przełknęła złość i rozłożyła kartkę.

Był to wydruk z komputera. Kiedy go czytała, po plecach przebiegł jej dreszcz.

„Droga Saro!

Zasięgnąłem języka i chyba znalazłem to, czego szukasz. Najwyraźniej inni ludzie też podzielają Twoją fascynację Lisztem. Zadzwoił dziś do mnie jakiś facet i groził mi „nieprzyjemnymi rzeczami”, jeżeli Ci pomogę. W co Ty mnie wciągnęłaś? Przyjdź dziś wieczorem do Tivoli. Wejście do sali koncertowej będzie otwarte. Spotkajmy się o dziewiątej przy Rutschebanen.

G. B.”

Sara podała kartkę Janinowi.

Ten przebiegł wzrokiem po krótkiej treści, która najwyraźniej zaskoczyła go tak samo jak ją.

- W Tivoli?

Skinęła głową.

- Zastanawiające, prawda? Byłam już w sali koncertowej kilka razy, zarówno jako solistka, jak i widz. Zimą można używać tylko wejścia przez Tietgensgade, bo park rozrywki jest wtedy nieczynny - otwierają go tylko na parę dni w czasie świąt Bożego Narodzenia.

- Może właśnie dlatego pani przyjaciel zaproponował to miejsce. Prawdopodobnie czuje się zagrożony, może nawet obserwowany. W Tivoli, jeśli zgubi wcześniej swoich prześladowców, będzie mógł porozmawiać z panią spokojnie.

To brzmiało logicznie. Mimo wszystko Sarze nie podobał się pomysł nocnej wędrówki po pustym i zapewne ciemnym lunaparku. Najchętniej zadzwoniłaby do Giordana. Czy to byłoby jednak rozsądne? Gdyby jego telefon ciągle był godny zaufania, nie wysyłałby jej przecież wiadomości do hotelu. Sara wróciła do kontuaru.

Recepcjonistka rzuciła jej uprzejme: „W czym mogę pomóc?”.

Sara czuła się z tym jak idiotka, powiedziała jednak:

- Przydałaby mi się latarka.

Kiedy w towarzystwie Janina Sara zbliżała się do sali koncertowej, miała

mętlik w głowie. Otwarte w 1843 roku Tivoli nazwano mianem pewnego miasta we Włoszech. Tam, na północ od Rzymu, znajduje się Villa d'Este. Franciszek Liszt odnalazł w byłym klasztorze benedyktyńskim luksus, którego odmówiono mu jako mnichowi na Monte Mario. Tam też, będąc w gościnie u swojego protektora, kardynała Gustawa Adolfa, księcia zu Hohenlohe-Schillingsfurst, skomponował *Giochi d'acqua*, dał też w 1879 roku ostatnie koncerty. Było to półtora roku przed zabójstwem cara Aleksandra II.

- Powoli zaczynam we wszystkim doszukiwać się ukrytych wiadomości - westchnęła Sara, kiedy opowiedziała towarzyszowi o akrobacjach, jakie wyczyniał jej umysł. Jego odpowiedź ją zaskoczyła.

- Jeśli chce pani do końca podążyć tropem róży wiatrów, może to się niestety przydać. Poza tym Bellincampi wie dobrze o pani - jak on to ujął? - fascynają Lisztem. Może te same skojarzenia naprowadziły go na pomysł, by umówić się z panią w Tivoli.

Sara stanęła przed drewnianym ogrodzeniem placu budowy. Ozdobiono je kolorowymi malunkami, które najwyraźniej przedstawiały park rozrywki takim, jakim był w XIX stuleciu. Profesor spojrział na towarzyszkę pytająco.

- Tu powinno znajdować się wejście - wyjaśniła.

- Do sali koncertowej? - Rosjanin zajrzał za ogrodzenie. - Tak, najwyraźniej właśnie jest remontowana. Jeśli się nie mylę, plac budowy jeszcze lepiej nadaje się, żeby przemknąć niepostrzeżenie na teren budynku. Proszę zaczekać.

Przebiegł kawałek wzdłuż ogrodzenia, zatrzymał się, rozejrzał wokoło i przeszedł przez ścianę - tak przynajmniej wyglądało to w oczach Sary.

Zmarszczyła czoło. Obserwując otoczenie, podbiegła do miejsca, w którym Janin zniknął jej z oczu, znalazła tam furtkę i przecisnęła się na drugą stronę. Tam czekał już na nią zadowolony z siebie Oleg Janin, który szeptem wyjaśnił jej, że ich postępek ma wszelkie znamiona naruszenia miru domowego.

Sara wyciągnęła latarkę z kieszeni płaszcza i włączyła ją.

- Czy w Moskwie należy to do repertuaru zwykłych wieczornych rozrywek ludności?

- W pewnych kręgach, tak. Ale nie na uniwersytecie. Wydaje mi się, że musimy iść tam.

Profesor wskazał na ocynkowane drzwi, które zupełnie nie przypominały wejścia, jakie Sara знаła z poprzednich wizyt. W miejscu „portalu zimowego”

wznosił się teraz budynek w stanie surowym.

Odkryte przez Janina stalowe drzwi były otwarte. Weszli do budynku. O ile na zewnątrz rozproszone światło z ulicy zapewniało jako takie oświetlenie, tutaj panowała niczym niezmacona ciemność. Za pomocą hotelowej latarki znaleźli li drogę wśród piętrzących się stosów materiałów budowlanych i narzędzi. Kiedy dotarli do starszej części budynku, Sara zaczęła lepiej orientować się w otoczeniu. Szybko znaleźli główne wejście prowadzące do lunaparku. Te drzwi także były otwarte.

Janin ukrył ręce w kieszeniach płaszcza.

- Wygląda na to, że pani przyjaciel już na nas czeka.

- Do Rutschebanen tędy - powiedziała Sara z szybkim gestem i przejęła prowadzenie. Po wyjściu pod portyk sali koncertowej skierowała się w lewo. Droga do Rutschebanen, najstarszej na świecie drewnianej kolejki górskiej, nie była długa - przed stu sześćdziesięciu laty budowano jeszcze takie wesołe miasteczka, które dawało się objąć wzrokiem.

- Proszę wyłączyć latarkę. Śnieg odbija dostatecznie dużo światła - polecił Janin po kilku krokach.

Sara zrobiła to mimo dyskomfortu. Znała Tivoli jedynie jasno oświetlone, kiedy setki tysięcy lamp tworzyły w nim po zachodzie słońca radosną atmosferę wabiącą gości z całego świata. Teraz jednak w parku panowała cisza i ciemność. Śpiąca kraina czarów. Dziwnie upiorna.

Dwoje intruzów zakłócało jej spokój. Tak przynajmniej wydawało się Sarze, kiedy maszerowała w towarzystwie Janina przez opuszczony lunapark po skrzypiącym pod ich stopami śniegu. W pobliżu sali koncertowej robotnicy rozdeptali białe przybranie na błoto, tutaj jednak na ziemi zostawał tylko ich własny trop.

Janin wskazał ślady stóp - Miałem rację. Pani przyjaciel już na nas czeka.

Bezlistne drzewa ciągnęły się wzdłuż drogi, zastygłe olbrzymy, których członkami nieprzerwanie kołysał zimny wiatr. Zaraz potem przed dwojgiem towarzyszy z półmroku wyłonił się dziwny kształt. Zbudowany był z niezliczonych drewnianych podpór. Tu i tam filary oraz podłużne i poprzeczne belki znikwały pod sztucznymi górami.

- To Rutschenbanen - szepnęła Sara.

- Ciekawe, gdzie jest Bellincampi - odparł Janin. Jego oczy lustrowały baczenie otoczenie.

- Prawdopodobnie z przodu, koło wejścia - wskazała na ślady stóp prowadzące wokół krańca drewnianego kolosa.

W milczeniu obeszli kręte zwoje Rutschenbanen jak badacze oglądający pradawnego jaszczura, którego przed pokazaniem publiczności przybito do drewnianego rusztowania. Z każdym skrzypnięciem śniegu pod stopą Sara czuła się coraz bardziej nieswojo. Przecież Giordano dawno musiał ich zauważyć. Dlaczego się nie pokazywał?

W końcu zatrzymała się, chwyciła Janina mocno za rękaw i szepnęła:

- Myślę, że powinniśmy wracać.

- A pani przyjaciel? Czeka na panią.

- Ta cała sprawa wydaje mi się mocno podejrzana. Wydrukować wiadomość może każdy. Dlaczego Giordano się nie podpisał?

- A zwykł to robić?

- Nie. Tak jak i ja woli używać komputera niż długopisu. Mimo wszystko nie podoba mi się ta cała konspiracja. To może być pułapka. Co wtedy?

- Wtedy ma pani jeszcze mnie. Pamięta pani jeszcze premierową noc w Weimarze? - profesor uśmiechnął się szeroko.

Sara pozostała jednak poważna.

- Zapomniał pan miecza, czarny rycerzu.

- Dużego tak, ale mały towarzyszy mi na każdym kroku - Janin wyciągnął prawą rękę z kieszeni płaszcza, coś stuknęło i w jego dłoni zabłysło cienkie ostrze.

Sara cofnęła się o krok.

- Bez obaw, mój Ekskalibur zabija tylko złych ludzi - Janin złożył nóż i schował go z powrotem do kieszeni.

Niepokój Sary wcale przez to nie zniknął. Cała ta scena - ukradkowe spotkanie w zamkniętym Tivoli - wydała się jej w jakiś sposób równie nieprawdopodobna, jak szarża Janina z mieczem tydzień wcześniej w Weimarze. Pokręciła głową.

- Coś tu jest nie tak.

- Co ma pani na myśli? - zapytał profesor.

- Czuję się trochę jak w programie telewizyjnym, gdzie nabierają ludzi przed ukrytą kamerą.

Janin potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- No, o wszystkich dziwacznych wydarzeniach ostatnich dni. Weimarscy policjanci powiedzieli mi, że witryna sklepu z bronią, w którym mój czarny rycerz znalazł magiczny miecz, zwykle chroniona jest przez automatycznie opuszczaną kratę pancerną. W ostatni czwartek technika jednak zawiodła. Zabawny przypadek, nie sądzi pan?

- Co? - sapnął Janin. - Chce pani powiedzieć, że to ja zablokowałem kratę pancerną, żeby ułatwić sobie spektakularne wejście?

Sara już miała odpowiedzieć, nagle jednak poczuła się tak, jakby spuszczone z niej powietrze i jęknęła tylko:

- Och, nie wiem sama, co mam myśleć.

Odwróciła się i brnąc w śniegu, ruszyła w stronę sali koncertowej.

Janin doszłusował do niej i powiedział uspokajająco:

- Doskonale rozumiem pani nieufność, Saro. Ten, kto wchodzi w drogę Słyszących Barwy, musi przygotować się na wiele niespodzianek. Nie powinna jednak pani gryźć po rękach albo wysyłać do diabła każdej życzliwej duszy.

- Każdej?

- Tutaj wystawia pani swojego przyjaciela, a w Weimarze cały czas uciekała pani przede mną. Trzy razy kazała mnie pani odprawić z kwitkiem, kiedy dzwoniłem.

- Trzy razy? - Sara parsknęła rozbawiona. - Próbował pan się do mnie dodzwonić co najmniej sześciokrotnie.

Profesor uśmiechnął się.

- Przesadza pani.

- Wiem dobrze. - Sara weszła mu w słowo, natychmiast jednak znowu zamilkła, zauważywszy ruch po prawej stronie. Kiedy jej wzrok przeniknął już cienie pod kolejką górską, zauważyła niewyraźną postać.

- Ktoś tam jest - szepnęła i wskazała na Rutschebanen.

Janin natychmiast zasłonił ją sobą i krzyknął nazwisko Bellincampiego. Z ciemności nie nadeszła żadna odpowiedź.

- Jest pani pewna, że coś pani widziała?

- Wzrok mam doskonały - odparła Sara ostro i pociągnęła Rosjanina ze sobą za płaszcz. - Znikajmy stąd, zanim coś się stanie.

Ich powrót przypominał ukradkowe skradanie się, zupełnie jakby z każdej

chwili mógł nastąpić atak z ciemności; nic takiego jednak się nie stało. Nie niepokojeni doszli do krańca Rutschebanen. Stąd do sali koncertowej mieli już tylko kilka kroków. W Sarę znów wstąpiła nadzieja. Może udało im się uniknąć zasadzki nieznajomego, a może był on tylko włóczęgą szukającym w parku osłony przed mrozem.

Kiedy przechodzili obok grubego pnia drzewa, Sara nagle usłyszała trzask. Wzdrygnęła się przerażona. Potem zauważyła ciężką postać, która biegła w jej stronę. W trzech-czterech krokach znalazła się koło niej, odepchnęła Janina na bok, wycelowała w niego lufę pistoletu i odezwała się do Sary.

- Mógłbym zrobić pani przyjacielowi wiele nieprzyjemnych rzeczy, madame d'Albis. Od pani zależy, czy tak się stanie.

Mimo przerażenia nie umknęło Sarze, że ten człowiek użył dokładnie tego samego wyrażenia, które pojawiło się w wiadomości rzekomo od Bellincampiego - tym razem jednak po francusku. Poza tym mówił głosem perkusisty.

- Tiomkin? - wysapała.

Ten zaśmiał się ochryple.

- Naprawdę sądziła pani, że uda się pani mnie zgubić? Nie ma pani pojęcia, do czego jesteśmy zdolni.

- Ma pan na myśli Słyszących Barwy? A może powinnam powiedzieć raczej - Ciemnych?

Oburzenie Sary wygrało z jej zdziwieniem. Gorączkowo zastanawiała się, co może zrobić dla profesora.

- Wie pani to od tego tu? - Tiomkin zamachał lufą pistoletu przed twarzą Janina.

- To bez znaczenia. Czego pan od nas chce, Tiomkin?

- Wyjaśniłem już to pani kilkakrotnie. Chciałem poprosić panią, żeby zechciała mi towarzyszyć.

- Madame d'Albis nigdzie z panem nie pójdzie - warknął profesor.

- Czyżby? Pan zamierza w tym przeszkodzić? - odpowiedział drwiąco Słyszący Barwy. Kiedy zrobił krok w stronę rodaka, na twarz Tiomkina padł promień światła. Nos miał obandażowany. „Prawdopodobnie ostatni czyn Maria Palmego jako wolnego człowieka” - pomyślała Sara.

Janin nie ruszył się wprawdzie z miejsca, nadrabiał to jednak ożywioną gestykulacją.

- Pańskie stowarzyszenie potrzebuje jej przecież tylko po to, żeby znaleźć

Szkarłatną Partyturę. Potem pozbędziecie się jej z zimną krwią.

Tiomkin wyciągnął z kieszeni płaszcz coś czarnego i odparł rozbawiony.

- Zobaczymy, czy za kilka minut nie pan zacznie myśleć dokładnie tak samo.

Kiedy Sara zauważyła metaliczny odblask, po plecach przeszły ją ciarki.

- Monsieur Janin - krzyknęła zdenerwowana - to jedno z tych pudełek,

o których panu opowiadałam!

Zanim profesor był w stanie zareagować, Tiomkin nacisnął przycisk i z głośnika dobieły się - tym razem bez opóźnień ani zakłóceń

- Dźwięki Władzy wplecione w urzekające brzmienie piszczałki.

- Proszę nacieszyć słuch tym utworem - polecił swojemu rodakowi, groźnie potrząsając bronią.

„Słuchaj i czekaj. Kiedy cię zawołam, wypełnisz moje polecenie”.

To była ta sama podprogowa wiadomość, którą perkusista posłużył się na weimarskim dworcu. Sara musiała patrzeć bezradnie, jak dźwięki fletu, podobnie jak wcześniej policjanta, mamią teraz Olega Janina. Było zbyt ciemno, żeby wyraźnie widzieć wyraz jego oczu, ale już po kilku taktach sylwetka profesora przestała być agresywna, raczej stała się niepewna, jak u pijanego.

- Proszę przestać! - błagała Sara. Po policzkach spływały jej łzy bezradnej rozpacz.

Tiomkin tylko się roześmiał.

- Proszę zachować ciszę, madame d'Albis. Panią zajmiemy się za chwilę.

Pomyślała, że powiedział „zajmiemy” zamiast „zajmę”. Rozgorzał w niej płomienny gniew.

Tymczasem profesor zamknął oczy

- Olegu Janinie, słyszysz mnie? - zapytał perkusista, jakby odprawiał uroczysty rytuał.

Sara zadrżała, kiedy profesor nie odpowiedział.

„Słuchaj i czekaj.”. Z czarnego pudełka wciąż dobiewały się dźwięki fletu.

Tiomkin zbliżył się do Sary o krok i skierował pistolet w stronę jej głowy. Jego twarz wciąż zwrócona była w stronę historyka.

- Słyszysz muzykę, Olegu Janinie? Nie broń się już przed nią. Wpuść ją do środka. Poczuj, jak cię przepelnia i oczyszcza z wszystkich wątpliwości. Zaufaj mi, bracie. Dla naszego wspólnego dobra musimy zabrać stąd tę kobietę. Nie może spotkać jej żadna krzywda - jeśli da się tego uniknąć. Po wszystkim

wrócisz do domu i będziesz czekał na nowe instrukcje mistrza harfy Janin ani nie potwierdził przyjęcia polecenia, ani się przed nim nie bronił. Stał po prostu w miejscu, sztywny jak figura woskowa.

Dźwięki fletu urwały się gwałtownie i rozległ się głos Tiomkina:

- Słyszysz mnie, bracie Janin?

Profesor otworzył oczy i zamrugał powiekami. Wzrok wciąż miał utkwiony w miejsce, w którym przed chwilą stał jego przeciwnik. Powoli odwrócił głowę i spojrzał prosto na Sarę. Zastygł na chwilę w tej postawie.

Sara zadrżała ze strachu, doskonale świadoma, że nie ma szans przeciw dwóm silnym mężczyznom.

Mimowolnie wzdrygnęła się, gdyż Janin postąpił o krok w jej stronę. Potem jeszcze dwa. Kiedy był tuż przy niej, odwrócił się błyskawicznie w stronę perkusisty i wybił mu broń z ręki. Kolejne uderzenie trafiło go w brzuch. Tiomkin wypuścił na ziemię pudełko emitujące dźwięki i skulił się.

- Proszę ukryć się pod kolejką górską! - krzyknął Janin.

Tym razem Sara wykazała się większą przytomnością umysłu niż na weimarskim dworcu. Obiema nogami skoczyła na czarne pudełko, miażdżąc je na bruku - dźwięki fletu ucichły. Dopiero potem usłuchała polecenia Janina i uciekła.

Kiedy biegła w stronę kolejki, za nią rozlegały się jęki, stęknienia i dźwięki uderzeń świadczące o zaciętej walce. Kiedy dotarła do drewnianej konstrukcji, padł pierwszy strzał. Ukryła się za grubym filarem i wyjrzała ostrożnie. Rozległy się kolejne dwa strzały. Jeden trafił w belkowanie ponad nią. Odruchowo cofnęła głowę.

Zupełnie nie widziała, co działo się na drodze. Najwyraźniej Tiomkin odzyskał pistolet. Teraz obaj przeciwnicy walczyli o broń, strzelając wokoło w sposób mniej lub bardziej niekontrolowany.

W parku rozbrzmiał kolejny wystrzał.

Janin uderzył raz i drugi w dłoń Tiomkina. Pistolet znów wypadł perkusście z ręki. W następnej chwili obaj przewrócili się w śnieg.

Sara zadrżała od bezsilnej rozpacz. Ledwie przed chwilą podejrzewała Janina o nieczystą grę, a teraz widziała, jak ryzykował życiem, żeby ocalić ją przed tym potworem. Musiała mu pomóc. Ale jak? Włączyć się do walki? Przez chwilę wahała się, potem jednak wyjęła z kieszeni płaszcza komórkę.

Spojrzała na nią bezradnie. Znała wprawdzie *numero d'appel d'urgence*,

numer alarmowy na pogotowie we Francji, ale jak miała zawiadomić policję w Kopenhadze? Z alejki dobiegł krzyk bólu, który wyrwał ją z zamyślenia. Wybrała po prostu dobrze sobie znany numer 112.

Z drugiej strony odezwała się po duńsku kobieta.

- *Do you speak English?* - wyrzuciła z siebie Sara.

- *Yes, no problem* - usłyszała natychmiast w odpowiedzi.

Naprawdę nakreśliła sytuację: strzelanina na terenie Tivoli, pilnie potrzebują pomocy, to sprawa życia i śmierci. Potem rozłączyła się.

Tymczasem walczący zapaśnicy znaleźli się w klinczu. Dwaj Rosjanie przypominali dwa buldogi, które wgryzły się w siebie zębami i nie potrafią się już od siebie oderwać. Prawie nie wymieniali już ciosów, trzymali się po prostu w uścisku. Pistolet leżał obok ich głów, prawie na wyciągnięcie ręki. Nietrudno było zgadnąć, jak skończy się ta walka.

Nagle przez oba ciała przebiegł dreszcz. Tiomkinowi udało się wyzwolić na chwilę rękę. Końce jego palców dotknęły broni, nie zdołał jednak jej złapać. Zamiast tego odepchnął ją od siebie odrobinę i musiał znowu się wyciągnąć. Profesor krzyknął z wysiłku, kiedy próbował powstrzymać przeciwnika.

Mimo że Sara ze strachu ledwo trzymała się na nogach, nie zamierzała porzucić swego partnera na łasce losu. Do chwili kiedy przyjedzie policja, walka dawno już się zakończy, a w tej chwili Tiomkin miał wyraźną przewagę. Musiała jakoś pomóc Janinowi.

Niechętnie wyszła spod drewnianego rusztowania, wyjęła latarkę i skierowała snop światła na broń. Musiała tylko wziąć pistolet i.

Nagle spomiędzy splątanych ciał walczących wzniosło się pionowo ramię. Coś błysnęło w dłoni. Potem spadło w dół jak śmiertelna błyskawica.

Nagle zapadła cisza. Obaj przeciwnicy znieruchomieli. Także Sara ze strachu nie mogła się poruszyć. Nie usłyszała żadnego krzyku, co początkowo ją zirytowało. Pistolet wciąż leżał w śniegu. Co się wydarzyło? Potem usłyszała jedno jedyne słowo.

- *Почему?*

Było to dla niej tak samo niezrozumiałe jak cyrylica. Brzmiało to trochę jak „*pokemon*”, ale to nie mogło być to. Od strony walczących dobiegło ją westchnienie, od którego przebiegł ją dreszcz.

Dopiero potem złączone ciała poruszyły się. To na górze stoczyło się ciężko

z tego na dole, odwróciło na brzuch i podniosło, stękając, ze śniegu. W jego prawej dłoni błyszczała zakrwawiona klinga.

Oleg Janin zwrócił się w stronę kolejki górskiej. Ramiona podnosiły mu się i opadały, kiedy ciężko dyszał.

Sara przypomniała sobie o latarce i poświeciła w jego stronę.

Pomachał w jej stronę sztyletem i zawołał:

- Proszę podejść. Już po wszystkim. Lepiej stąd znikajmy, zanim ściągnie tu policja.

Ocalona wahała się między przerażeniem i ulgą. Snop światła z latarki wymacał nieruchome ciało leżące na śniegu.

- Czy on nie żyje?

Wzrok profesora przesunął się szybko po perkusicielu.

- Na to wygląda.

Wyszła znowu na drogę, starając się nie zbliżyć się do ciała Tiomkina.

- Zabił go pan - wyszeptała zdziwiona.

- Wolałaby pani, żeby to on zabił mnie? - wysapał Janin.

To pytanie wstrząsnęło nią do głębi. „Nie! - pomyślała przerażona - to byłoby jeszcze gorsze”. Nie dożyła z siebie jednak nawet słowa, krtań miała jak zasznurowaną. W milczeniu skierowała się w stronę sali koncertowej.

Profesor wbił sztylet kilka razy w śnieg, wytarł klingę o nogawkę spodni trupa i złożył nóż. Dopiero potem podążył za Sarą.

Kiedy już ją dogonił, powiedział:

- To była obrona konieczna.

Założyła ręce na wysokości piersi i skinęła głową.

- Wszystko w porządku?

Sara pokręciła głową.

Janin westchnął.

- Przykro mi. Powinienem być pani posłuchać.

- Tak, powinien pan być... Mimo wszystko dziękuję, że mnie pan ocalił.

- Jeśli chce mi pani podziękować, to proszę w końcu mi zaufać. Przez swoje niedowierzanie osłabia pani tylko swoją i moją pozycję na korzyść naszych wrogów.

- Proszę mi wybaczyć. Jestem po prostu.

- W porządku. Nie musi mi się pani tłumaczyć - przerwał jej Janin.

Najwyraźniej sentymentalizm nie leżał w jego naturze.

- Może pan mi mówić Saro - wymamrotała z poczucia obowiązku, chcąc okazać wdzięczność.

Odpowiedział po chwili ciszy:

- Nie ma pani pojęcia, jaką sprawia mi pani w ten sposób radość. Moi studenci mówią do mnie zazwyczaj Oleg, pani też, oczywiście, może.

- Dziękuję. Oleg. Proszę nie wyciągać żadnych pochopnych wniosków.

- Tak, tak, zrozumiałem. Nasza relacja pozostaje platoniczna. Ma pani moje słowo honoru.

- Dlaczego Tiomkinowi nie udało się zmanipulować pana swoimi nagraniami?

- Żeby dać się omotać, trzeba chcieć być omotanym, Saro. Przeciwno Dźwiękom Władzy można się obronić. Pani też nie mógł nic zrobić.

- Tak, ale w moim przypadku jest to raczej wrodzona odporność.

- A ja już dawno temu nauczyłem się, jak można im się oprzeć. W rosyjskiej telewizji pewien hipnotyzer chciał kiedyś przerobić mnie na szympansa, a skończyło się na tym, że sam zrobił z siebie małpę.

Sara nie była w nastroju, by zgłębiać ten temat. Uszczypnęła się w przedramię, żeby zwalczyć zamęt w głowie. Z mizernym skutkiem. Kiedy tępo stawiała krok za krokiem, w wyobraźni zaczęły ją straszyć przeżyte właśnie sceny. Wszystko było tak skomplikowane, tak trudne! Tak okropne!

W jej życiu do tej pory nie pojawiały się trupy. Kiedy była dzieckiem, nie pokazano jej nawet ciała zmarłej matki, widziała jedynie cedrową trumnę, czyli pięknie udekorowany mebel. W ciemnej sali koncertowej jak automat wyjęła z kieszeni latarkę i przejęła prowadzenie. Dopiero tuż przed wyjściem odzyskała mowę.

- Proszę nie zrozumieć mnie źle, Oleg, ale czy zabił pan już kiedyś człowieka?

- Pyta pani dlatego, że noszę przy sobie nóż sprężynowy?

- Tak. To znaczy, w zasadzie z powodu sposobu, w jaki wytarł pan go o spodnie Tiomkina. Zrobił to pan tak. - rozpaczliwie szukała słowa, które brzmiałoby mniej obraźliwie niż „profesjonalnie”.

- Odruchowo? - zaproponował Janin.

- Tak - wyszeptała.

Zapadła cisza. Sara miała wrażenie, że właśnie wetknęła kij w mrowisko, nie miała jednak odwagi nalegać. W milczeniu dotarli do ocynkowanych drzwi wyjściowych. Kiedy Sara już miała je otworzyć, powstrzymała ją dłoń Janina.

- Proszę zaczekać!

Sara wzdrygnęła się.

- Co?

W słabym świetle latarki twarz Janina wydawała się twarda, nieomal upiorna.

- Ma pani rację - powiedział głosem bez wyrazu. - Tiomkin nie był pierwszym człowiekiem, którego zabiłem.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Ale jest pan przecież historykiem muzyki?

- Proszę pozwolić mi dokończyć, Saro, bo nie będę tego opowiadał po raz drugi - przerwał jej.

Skinęła głową.

Nabrał głęboko powietrza.

- Urodziłem się w Związku Radzieckim 11 stycznia 1947 roku, to jest w czasie, kiedy Stalin pracowicie starał się wymordować czterdzieści trzy miliony ludzi. Zupełnie jakby koszmar drugiej wojny światowej nigdy się nie zdarzył. Dopiero kiedy miałem sześć lat, Stalin umarł. Ale mój ojciec darzył głęboką nienawiścią „czerwonych morderców” - tak ich nazywał. Dzięki Słyszającym Barwy dysponował szerokimi kontaktami na Zachodzie i miał wiedzę, którą można było w ówczesnym Związku Radzieckim przyplacić głową. Dopiero dużo później dowiedziałem się, z jakiego źródła czerpał informacje - w Weimarze opowiadałem już pani o znalezionych dokumentach. Jego odraza wobec czerwonych oprawców bardzo wcześnie wywarła na mnie wpływ. Po śmierci Stalina jatki wcale nie ustały. Mao to największy rzeźnik wszechczasów. Ma na sumieniu siedemdziesiąt milionów ludzi, a w chwili kiedy ja zaczynałem zastanawiać się nad swoją rolą na świecie, jeszcze żył. Koniecznie chciałem zrobić coś, żeby powstrzymać ten nieustanny i bezsensowny rozlew krwi i przystąpiłem do ruchu oporu.

- I nagle zaczął pan sam zabijać.

Skinął głową.

- To byli sami masowi mordercy, Saro. Ludzie, których nawet po śmierci Stalina czczono jako bohaterów. Mimo wszystko nie zamierzam jednak upiększać swoich czynów. Kiedy zacząłem badać Słyszących Barwy i zająłem się muzyką, ujrzałem jednak jasno, że był inny sposób.

- Inny sposób na co?

- Na uwolnienie świata od całej tej zarazy, która szpeci jego oblicze. Czy nie zrobiłaby pani tego, gdyby dano pani taką możliwość?

- Oczywiście. Każdy by to zrobił. Ale nie jestem Bogiem. Pan też nie, Olegu.

- Bóg to tylko tytuł. Jest nim ten, kto ma moc.

Sara mierzyła wzrokiem oświetloną od dołu, nieruchomą niczym maska twarz Rosjanina. Niektóre z jego wypowiedzi rozumiała już lepiej, ale wcale nie czuła ulgi z tego powodu. Aby zamknąć temat powiedziała:

- Być może ma pan rację. Ale jestem tylko pianistką. Posiadam moc uszczęśliwiania ludzi na godzinę lub dwie. To mi wystarcza.

Janin wytrzymał jej badawcze spojrzenie i odpowiedział z rozwagą:

- Przemawia przez panią skromność, Saro. Ale czy będzie pani wciąż myślała tak samo, trzymając w dłoniach Szkarłatną Partyturę?

Zaskoczył ją tą nagłą woltą myślową. Przez chwilę zabrakło jej słów. Dostatecznie długą chwilę, żeby Janin zdążył otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz.

Zanim Sara mogła ruszyć za nim, została złapana w krąg ostrego światła i usłyszała skrzekliwy głos, który jak flamaster odmalował się w jej świadomości jaskrawą żółcią. Nie rozumiała wprawdzie po duńsku, ale słowo „*politi*” pozwoliło jej się domyślać, kto mówił do niej przez megafon. Zupełnie zapomniała o tym, że sama przez telefon wezwała pomocy.

Z podniesionymi rękoma - tak jak widziała na filmach - wyszła na zewnątrz i stanęła koło Janina, który tkwił już w tej samej pozie przed niezliczonymi lufami kopenhaskich policjantów.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Chociaż się urodziło pomiędzy kaczkami, lecz z łabędziego jaja, więc i ono także łabędziem stać się musiało koniecznie.
Hans Christian Andersen, *Brzydkie kaczątko*⁹

Rozdział 16.

Kopenhaga, 21 stycznia 2005, 1:35

Sara miała po dziurki w nosie policyjnych przesłuchań. Tym razem było szczególnie źle. Zespół złożony z dwojga funkcjonariuszy – małego, spoconego rudzielca i chłodnej blondynki – zarzuciło jej ni mniej, ni więcej, tylko współudział w ciężkim przestępstwie. Jasnowłosa królowa śniegu stwierdziła, że Sara mogła specjalnie zadzwonić na policję, żeby po zamordowaniu Walerija Tiomkina pozować na niewinną ofiarę.

Sara wyczerpała swój cały arsenał środków obronnych: fałszywą wiadomość od Giordana Bellincampiego, historię o próbie uprowadzenia w Weimarze i informację o tym, że Walerij Tiomkin jest w Niemczech głównym podejrzanym o morderstwo swojego kolegi muzyka. Ostatnią deską ratunku miał być numer telefonu do Moniki Bach, weimarskiej koleżanki po fachu duńskich śledczych.

Po kilku telefonach do różnych europejskich krajów atmosfera trochę się rozluźniła. Komisarz Bach – niemiecka policjantka najwyraźniej pracowała całą dobę – potwierdziła zeznania Sary i kazała przekazać jej pozdrowienia: jeżeli nie sprawiłoby to pianistce zbyt wielkiego kłopotu, chciałyby z nią porozmawiać o zdumiewających wydarzeniach na weimarskim Dworcu Głównym. W końcu sam Giordano Bellincampi, który we własnej osobie pojawił się na komisariacie, poręczył za nią swoją reputacją i o wpół do drugiej zabrał ją taksówką do hotelu „Imperial”.

Oleg Janin nie miał tyle szczęścia. Ostrze znalezionego w kieszeni jego płaszcza noża pasowało po prostu zbyt dobrze do rany w piersi Tiomkina. Spocony rudzielec powiedział Sarze, że muszą ustalić jeszcze parę faktów, zanim wypuszczą jej towarzysza. Poza tym należy sprawdzić też, jak mają traktować ich nieuprawnione wtargnięcie do parku Tivoli. Kiedy odebrano Sarze paszport – tylko do czasu ostatecznego wyjaśnienia kwestii obrony koniecznej,

jak wyjaśnił duński śledczy – pozwolono jej odejść.

– Chciałem właściwie przyjechać po ciebie moim ferrari, ale żona wybiła mi to z głowy – zażartował Giordano Bellincampi, kiedy Sara wysiadła z taksówki przed hotelem.

Wiedziała, że nie miał nawet prawa jazdy, bardzo za to lubił jeździć rowerem.

– No to nie miałam dziś szczęścia. Nie zapomnij pozdrowić jej ode mnie.

– Nie omieszkam. Odezwij się, jeśli będziesz potrzebowała pomocy

Pochyliła się do bocznej szyby volvo.

– To właśnie niedawno zrobiłam.

– Tak. Britta przekazała mi też wiadomość, ale.

– Znowu nie mogłeś wyrwać się z prób.

– Tak to już jest.

Sara zwalczyła w sobie poczucie, że została zostawiona na lodzie. Giordano naprawdę nie mógł nic poradzić na jej kłopoty. Uśmiechnęła się do mężczyzny, w którego towarzystwie serce zawsze biło jej mocniej, pocałowała go w policzek i powiedziała.

– Możliwe, że będę potrzebowała cię wcześniej, niż sądzisz.

Po prawie bezsennej nocy pozbawiona towarzystwa Rosjanina Sara kroczyła w stronę wyspy Slotsholmen. Nie mogła opędzić się od myśli o wydarzeniach poprzedniego wieczora. Wstrząsnęły nią, bez dwóch zdań, nie zachwiały jednak decyzją, którą podjęła jeszcze w Weimarze. Nie, nie da się zastraszyć. Bierność to najlepszy sposób na utratę kontroli. Tak właśnie motywowała samą siebie do tego, żeby się nie poddawać.

Śmierć perkusisty była okropna, to prawda, dawała jednak pewną szansę: zapewniała chwilę oddechu, zanim Słyszący Barwy od nowa się zorganizują. Siergiej Niekrasow powierzył sprawę Sary d’Albis nie byle komu, ale swojemu namiestnikowi, Walerijowi Tiomkinowi. Teraz ta prawa ręka została ucięta.

Punktualnie o dziesiątej Sara przerwała recepcjonistce Biblioteki Narodowej lekturę horoskopu na dziś, chcąc się widzieć z Bente Jensen. Tym razem skutecznie. W ciągu kilku minut przybyła zorganizowana przez Bellincampiego asystentka – młoda, ruchliwa, nad wyraz radosna bibliotekarka o brązowych włosach i w krótkiej spódnicy, dzierganych rajstopach oraz w staromodnych okularach, które nadawały jej ładnej twarzyczce osobliwie surowego wyrazu.

Jak się szybko okazało, umiała zręcznie używać tego rekwizytu w celu stworzenia napięcia, które nadawało bardziej przekonujący charakter jej dziwacznemu poczuciu humoru.

- Cieszę się, że mogę osobiście panią poznać, madame d'Albis - powitała Francuzkę tym swobodnym, zdumiewająco dobrym angielskim, którego Skandynawowie uczą się od dziecka, oglądając w telewizji amerykańskie filmy i programy w oryginale.

- Bardzo to miło z pani strony - odparła Sara i uścisnęła małą dłoń bibliotekarki.

- To dla mnie wielki zaszczyt stać obok tak słynnej saksofonistki.

Sarze opadła szczęka. „Saksofonistki?”

Jensen nagle uśmiechnęła się szeroko.

- Żartowałam tylko. Wiem przecież, że gra pani na fortepianie. Według mnie jest pani najlepsza, poza Katrine Gislinge oczywiście.

- Mówiąc to, Jensen okazała patriotyczną lojalność wobec duńskich gwiazd kultury i nauki, która miała jeszcze nie raz zirytować Sarę. W tej chwili jednak d'Albis poczuła się po prostu zdeklasowana. Duńska pianistka Katrine Gislinge była dobra. Nie, w zasadzie to była bardzo dobra. Ale.

- Idziemy? - zapytała panna Jensen i wskazała drogę.

Sara przywołała na twarz uśmiech i ruszyła za rezolutną bibliotekarką.

Krótko po nieprzyjemnym powitaniu obeznana z tematyką andersenowską szczebiocząca urzędniczka wprowadziła podopieczną do zachodniego skrzydła historycznego budynku. Znalazły się tam w małej czytelnicy o skrzypiącej posadzce, wąskich i wysokich oknach, gdzie było jakieś trzydzieści biurków przeznaczonych dla korzystających. Kobiety zajęły miejsce za wolnym komputerem i Sara musiała przez kilka minut prowadzić niezobowiązującą rozmowę na swój własny temat, zanim mogła powiedzieć, czego szuka.

- Więc szuka pani nut? - upewniła się Bente Jensen.

- Nie byle jakich - doprecyzowała Sara. - Szukam muzyki napisanej do dzieł Hansa Christiana Andersena. Przede wszystkim interesuje mnie *Liden Kirsten* Hartmanna, najlepiej po niemiecku i duńsku.

- Trochę tego będzie. W XIX wieku była to najczęściej wystawiana opera w Danii.

- Mam czas. Mój partner siedzi w więzieniu.

Jensen zmierzyła Sarę pełnym irytacji spojrzeniem zza okularów retro. Nagle

dźwięcznie się roześmiała.

- Podoba mi się pani poczucie humoru, madame d'Albis. Zatem czego szukamy? Rękopisów czy wydruków?

- Tego i tego. Szukam odręcznych poprawek, uczynionych prawdopodobnie przez Liszta.

- A to ci rarytas!

- Wcale nie! - Sara zmusiła się do uśmiechu mimo zmęczenia.

- Coś poza tym?

- Na razie nie.

Panna Jensen klasnęła w dłonie.

- No, to zaczynamy.

Następnie opuściła palce na klawiaturę. Przygryzała przy tym ołówek, którego używała też czasami do notowania wyników wyszukiwania. W krótkim czasie stworzyła imponującą listę sygnatur i podsumowała z dumą:

- Mamy nawet oryginał rękopisu J. P. E Hartmanna, a także pierwsze wydanie z 1846 roku, nakładem C. C. Lose & Delbanco, kolejne z 1870 roku z tego samego wydawnictwa oraz.

- Chciałabym obejrzeć wszystkie - przerwała tę wyliczankę Sara.

Kilka rolek mikrofilmu później była bliska rozpaczy. To prawda, na partyturach znalazła kilka odręcznych dopisków, ale w większości przypadków były to jedynie uwagi na marginesach. Nie było ani jednej poprawki tak charakterystycznej dla Liszta. Kiedy jej opiekunka pożegnała się i poszła na lunch, Sara zyskała pewność, że w *Liden Kirsten* nie znajdzie tajemnicy, której szuka. A przynajmniej nie w zbiorach duńskiej Biblioteki Narodowej.

Musiała się zdecydować, czy zająć się innymi utworami, czy jeszcze raz gruntownie przemyśleć strategię. Rozsądek opowiadał się za tym drugim wyjściem, ale intuicja wzdragała się przed porzuceniem *Liden Kirsten*. Dlatego też kiedy panna Jensen wróciła po przerwie, Sara zaskoczyła ją nowym pomysłem.

- Andersen napisał przecież też libretto do *Liden Kirsten*. Macie tutaj też oryginalny rękopis?

- Ciii! - syknęła bibliotekarka, pokazując na salę, która tymczasem zapełniła się niemal w całości. Szeptem potwierdziła, dodając przy tym: - Ale to nie są nuty

- Nie szkodzi.
- Przecież szukała pani nut.
- Zmieniłam zdanie.

Jensen pokręciła głową chichocząc i powiedziała, że zaraz wróci. Pięć minut później przyniosła kolejną rolkę mikrofilmu i założyła ją na czytnik.

Sara kilkakrotnie zamrugła oczyma, jakby miała wadę wzroku. Pismo Andersena było jeszcze gorsze niż gryzmoły Liszta. A może to kwestia tego, że tekst był po duńsku? W każdym razie nie była w stanie przeczytać w zasadzie nic. Mimo wszystko zabrała się do gruntownego badania dzieła. Strona po stronie, linijka po linijce, kleks po kleksie. Jak gdyby w oczy miała wbudowany skaner ustawiony na najwyższą rozdzielczość, szukała nawet maleńkich szczegółików.

Rękopis wyraźnie ukazywał właściwe znaczenie słowa *libretto* - książeczka - ponieważ Andersen umieścił go w notesie. Na czarno-białych obrazkach widzianych w czytniku wyraźnie odznaczało się zszywanie. Rozstrzelone, zamaszyste pismo bajkopisarza rozlewało się po stosunkowo ograniczonej powierzchni poszczególnych kartek. Na większości stron znajdowało się po kilka akapitów, które autor ponumerował. Jensen wskazała wziętą w kółko cyfrę.

- Ten zakrętas tutaj dołożył później, jeśli się nie mylę, niebieską kredką.

Sara wyszeptała: „Pewnie podpatrzył to u Liszta” i przewinęła mikrofilm do następnej strony. Tutaj na marginesach pojawiły się uwagi, szersze niż pociągnięcia piórem, ale też mniej wyraźne. W większości zawierały tylko jedno słowo, czasami tylko literę. Mimo to Sara praktycznie nic nie potrafiła z nich odczytać. Przeglądała dalej.

I nagle zatrzymała się zdumiona. Czy to nie było aby...?

Szybko zakręciła korbą w przeciwnym kierunku i podeszła bliźutko do szklanego ekranu czytnika.

- Co to jest? - zapytała, wskazując na linię przy dolnej krawędzi kartki.

Bente Jensen wyjęła z ust ołówek i odpowiedziała:

- Prawdopodobnie musze odchodzi Sara pokręciła głową.

- Nie. Coś tu napisano. Widzi pani to? Pierwszy znak? Wygląda jak... gwiazda.

- Proszę pokazać - bibliotekarka przesunęła obraz do oporu w górę

i pokręciła kółkiem, znacząco powiększając fotografię.

- Zupełnie nieostre - jęknęła Sara.

- Zaraz się tym zajmiemy - Jensen wyregulowała ostrość innym pokrętelem.

Ołówek między jej zębami trzasnął. Potem obraz zupełnie się wyostrzył, a ona powiedziała:

- Wow!

Na szklanym ekranie pojawiła się róża wiatrów i napis. Niemieckie słowa, na które Sara patrzyła jak naelektryzowana.

Kirsten śpiewa z łabędziem na Gwiaździstym Zamku”

Bibliotekarka cofnęła się i skinęła Sarze z uznaniem.

- Jestem pod wielkim wrażeniem.

- Ja także! - przyznała Sara. Róża wiatrów i łabędź, godło Jasnych Słyszących Barwy, wyraźnie wskazywały na konieczność lisztowskiej interpretacji.

Bente Jensen poprawiła okulary.

- Wygląda na didaskalia. Albo nie, raczej jak objawienie, którego stary dobry Andersen doznał jakiś czas potem. Znam tę operę. Kirsten nie śpiewa z żadnym łabędziem, a już na pewno nie na Gwiaździstym Zamku.

Sara pokręciła głową.

- Notatka jest po niemiecku.

- No i? I tak mógł ją napisać Andersen. Jako uczeń czytywał w oryginale E. T. A. Hoffmana, a potem często bywał na niemieckich przedstawieniach w teatrze w Odense. Osobiście autoryzował nawet tekst *Klein Karin*.

- Pani Jensen - przerwała Sara podnieconej młodej damie. - Nie zamierzam umniejszać przymiotów umysłu pani narodowego bohatera, jednakże.

Bibliotekarka roześmiała się egzaltowanie, ściągając na siebie gniewne spojrzenia z pobliskich stolików.

- Mogę panią zapewnić, madame d'Albis, Hans Christian Andersen miał lekkiego fioła. Jeśli ktoś spędza większość życia w hotelach, może sporządzać notatki po niemiecku. Leonardo da Vinci prowadził przecież nawet zapiski w piśmie lustrzanym.

Było oczywiste, że Bente Jensen należy do zagorzałych wielbicieli wielkiego Andersena. Ponieważ jednak Sara sama niewiele mogła zdziałać z zagadkową wiadomością z libretta, postanowiła spróbować tego, co Francuzom wychodzi najlepiej: dyplomacji.

- Chciałam jedynie wskazać, że Andersen miał najwyraźniej wielu wielbicieli także daleko poza granicami Danii. Jak się wydaje, nawet bardzo wpływowi ludzie proponowali mu przysługi.

- Przysługi? - powtórzyła panna Jensen podejrzliwie.

Sara skinęła głową.

- O ile można tak określić pracę sekretarza - wskazała na fragment tekstu, który mógł zostać poczytany za musze odchody. - Być może chciała mnie pani wystawić na próbę, a ja również z powodu malutkich literek nie od razu to zauważyłam, teraz jednak rozpoznaję to pismo. W Weimarze miałam okazję czytać wiele pism Franciszka Liszta.

- Liszt miałby być skrybą Andersena?

- Wyświadczył mu tylko przyjacielską przysługę, zapewne tylko jednorazową. Panna Jensen skrzywiła się z powątpiewaniem.

- Dlaczego Andersen miałby się na to zgodzić?

„Być może dlatego, że był Słyszającym Barwy i nie mógł odmówić swojemu mistrzowi harfy - pomyślała Sara. - Albo dlatego że obaj wiedzieli, że trop róży wiatrów przetrwa całe pokolenia na rękopisie dzieła Duńczyka”. Tego nie mogła jednak oczywiście powiedzieć głośno.

Bente Jensen na swój sposób zinterpretowała milczenie gościa.

- Tak myślałam, że nic rozsądnego pani nie wymyśli.

Przez wzgląd na wrażliwość bibliotekarki Sara porzuciła zagadnienie autorstwa notatki i zapytała:

- Mówiła pani, że Kirsten nie śpiewa ani z łabędziem, ani na Gwiazdzistym Zamku. Dlaczego wydaje mi się, że chodziło pani o konkretny Gwiazdzisty Zamek?

- Bo chodziło. Sądzę, że Andersen miał na myśli Stjerneborg na wyspie Ven. Zaprojektował go Tycho Brahe, wielki astronom z czasów sprzed wynalezienia teleskopu, który poza tym mówił doskonale po niemiecku i cieszył się wielkim uznaniem Johannesesa Keplera.

- Johannes Kepler był faktycznie asystentem Brahego - bezdźwięcznie powiedziała Sara. Naraz jakby łuski opadły jej z oczu. Stjerneborg! Oczywiście, słyszała zarówno o tym obserwatorium, jak i o duńskim astronomie, który je zbudował.

- Tego nie wiedziałam - stwierdziła zaskoczona panna Jensen.

- Skąd pianistka zna się na historii astronomii?

- Mój ojczym miał doktorat z astrofizyki.

- Ojej!

- Nie chciałabym poddawać pani stwierdzenia w wątpliwość, ale czy pod pojęciem Gwiazdzistego Zamku nie mogło kryć się też coś innego? Nazwa brzmi według mnie jak z bajki, co zresztą u Andersena zupełnie by mnie nie dziwiło.

Panna Jensen zdecydowanie pokręciła głową.

- Przyznałabym pani rację - postukała zaślinioną gumką ołówka w ekran - gdyby nie chodziło o Kirsten. Tak nazywała się nadobna wybranka Tychona Brahego.

Nagle do Sary powróciły wspomnienia. Kiedy miała dwanaście lat, Maurice, jej ojczym, opowiedział jej poruszającą historię miłosną, która mówiła o równości wszystkich ludzi. Występował w niej Tycho, młody szlachcic, który zakochał się w Kirsten, córce prostego chłopca, i pojął ją za żonę, a jego rodzina się go wyrzekła. Młoda para przeniosła się na małą wysepkę na cieśninie Sund. Tam, na Hven - zwanej też Hveen - ich miłość mogła rosnąć aż do nieba, które zresztą nie miało tajemnic przed Tychonem Brahe. Sara końcem języka zwilżyła wargi. Była niezwykle poruszona, ale dlatego też, kiedy zadawała Jensen pytanie, ważyła każde słowo:

- Załóżmy, że Andersen użył sformułowania „Kirsten śpiewa z łabędziem” metaforycznie. Co, według pani, mógł mieć na myśli?

Bibliotekarka postukała kilkakrotnie gumką w szkła okularów, wysunęła dolną wargę i powiedziała:

- Może we Francji znaczenie wyrażenia „łabędzi śpiew” zniknęło razem ze srogimi zimami, ale tutaj na północy słyszy się je częściej, niż życzyliby sobie tego niektórzy miłośnicy zwierząt.

- Nie do końca rozumiem.

- Czasami zdarza się, że łapy śpiącego łabędzia przymarzną do ziemi. Podobno wtedy, w obliczu śmierci, ptak ten wykonuje swą ostatnią, przepiękną pieśń - chociaż tak naprawdę pewnie woła po prostu o pomoc. W każdym razie ostatni publiczny występ wielkiego śpiewaka albo diwy operowej określa się mianem „łabędziego śpiewu”.

- Podobnie jak ostatnie, być może najważniejsze, dzieło artysty - dodała pogrążona w myślach Sara. - Tak właśnie wydawca nazwał ostatnie trzynaście

pieśni Franciszka Schuberta. Liszt potem je przetranskrybował.

- Czy to właśnie tego rodzaju metafory pani szukała?

- Żeby to ja wiedziała! - wyszeptała Sara. Wciąż szukała wiarygodnego związku z Jasnymi Słyszącymi Barwy, z Łabędziami.

Jensen zatoczyła półkole ołówkiem.

- W naszej bibliotece znajdzie pani mnóstwo materiałów na ten temat. To, co jedynie w tej chwili przychodzi mi do głowy, wystarczyłoby na kilkudniowe studia: łabędzie służą bogom, zarówno jako posłańcy, jak i zwierzęta ciągnące ich rydwany. Zeus przybrał postać łabędzia, kiedy zbliżał się do Ledy, żeby począć Helenę. Łabędź jest symbolem dojrzewania i kończenia, ale też czystości Dziewicy Maryi.

- Także łódź Lohengrina ciągnął łabędź - kontynuowała wyliczankę Sara. - Skrzydła anielskie także określano często mianem łabędzich, zaczarowana księżniczka Odetta z *Jeziora łabędziego* Czajkowskiego także przyjmowała za dnia postać łabędzia, i tak dalej, i tak dalej.

Wyrzuciła ręce w górę.

- Tak do niczego nie dojdziemy.

- Całkowicie pochłonęły panią te... badania - stwierdziła panna Jensen, przypatrując się jej krytycznie.

- Proszę mi wybaczyć - Sara wskazała na czytnik. - Sporo w moim życiu zależy od tego, czy uda mi się rozwiązać tę zagadkę.

- Nie komplikowałabym tego aż tak bardzo, madame d'Albis. Mamy tu przecież do czynienia z rękopisem Andersena, autora bajki o brzydkim kaczątku, które na końcu przemienia się przecież w pięknego łabędzia.

Sara skupiła wzrok na plamce na okularach swojej pomocnicy i myślała intensywnie. Bente Jensen powiedziała coś, co brzmiało całkiem rozsądnie. Metamorfoza.

- Jak najszybciej dostanę się na wyspę Ven?

Pytanie było tak niespodziewane, że bibliotekarka cofnęła się przerażona.

- Na Ven? To całkiem niedaleko, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów w linii prostej. W lecie radziłabym pani wsiąść na pierwszy prom z przystani, ale zimą promy nie kursują.

- A to znaczy, że...?

- Nie pozostaje pani nic innego, jak przejechać przez most nad Sundem do Szwecji i przeprowić się z Landskrony. Ta droga jest czterokrotnie dłuższa.

- Nie ma innego połączenia?

Bibliotekarka pokręciła głową.

- Nie. Chyba że umie pani latać jak łabędź.

Przez twarz Sary przemknął cień uśmiechu.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Rozdział 17.

Kopenhaga, 22 stycznia 2005, 9:40

Hałas silnika helikoptera zasypywał wyczulone zmysły Sary brunatnym, miękkim gradem. Siedziała obok krępego, ostrzyżonego na jeża weterana ubranego w lotniczą kurtkę. Pragnąc stworzyć poczucie bezpieczeństwa i koleżeństwa, przedstawił się jej jako były żołnierz wojsk ONZ i nalegał, żeby mówić na niego Olle. Mimo że poranne niebo było szare, ten czterdziestolatek o płowych włosach nosił okulary przeciwsłoneczne – prawdopodobnie po to, żeby nie zawieść oczekiwań płacącego klienta. A Sara zapłaciła wcale niemało: dwa tysiące dolarów z góry za pierwszą godzinę. Dzięki temu oszczędzała mnóstwo czasu i, jak miała nadzieję, kłopotów ze szwedzkimi władzami. Jej paszport ciągle znajdował się na komisariacie duńskiej policji. Podobnie jak jej partner.

Poprzedniego dnia Olega Janina odwiedziła prawniczka, która oznajmiła, że jego tymczasowe zatrzymanie zostało zamienione na osadzenie w areszcie śledczym. W ten sposób w ramach ostatniej czynności urzędowej przed weekendem wyłączono profesora z gry na co najmniej sześćdziesiąt godzin.

A zatem Sara musiała odbyć lot samotnie. Mniej więcej dziesięć minut po starcie ujrzała cel podróży. Wyspa Ven wyglądała jak posypana cukrem pudrem, bo względnie ciepłe morze nie pozwalało osadzić się grubszej warstwie śniegu. Kontury wysepki przypominały obróconą w prawo miniaturę kontynentu australijskiego.

– Wyspa ma mniej więcej cztery i pół na dwa i cztery dziesiąte kilometra powierzchni, to płaskowyż o stromych brzegach – głos Ollego przedarł się przez trzaski w nausznikach ochronnych, które służyły też za system komunikacji. Rutyna w głosie pilota kazało przypuszczać, że służył już za przewodnika wielu nadzianym gościom. Pokazał przed siebie.

– Ruiny obu obserwatoriów leżą dokładnie w środku, w najwyższym punkcie,

mniej więcej czterdzieści pięć metrów nad poziomem morza.

Niebawem helikopter unosił się już nad centralną częścią wyspy. Ciągąca z południowego wschodu ulica skręcała tu na północny północny wschód. Do tego „kolanka” przytuliło się kilka zabudowań, w tym kościół i park, gdzie dało się jeszcze dostrzec zarysy starego Uraniborgu. Niewiele ponad sto metrów dalej na południe znajdowała się jeszcze jedna, znacznie mniejsza konstrukcja, której widok zelektryzował Sarę.

- Róża wiatrów! - szepnęła.

- Słucham, ma'am?

Pokazała na dół.

- Tamta budowla wygląda jak wielka róża wiatrów.

- No, proszę! Nigdy tak o tym nie myślałem. Ale to prawda. Przy odrobinie fantazji naprawdę można dopatrzeć się w Stjerneborgu zarysów róży kompasowej.

- To jest Gwiazdzisty Zamek? - Sara przelotnie spojrzała na pilota, a potem ponownie skupiła się widoku z okna. Teren obserwatorium przypominał raczej wielki kwadrat o półkolistych wybrzuszeniach na każdej krawędzi. Gdyby wyobrazić je sobie jako zaokrąglone końce róży wiatrów, wskazywałyby wtedy na główne, a rogi czworokąta na pośrednie strony świata.

- Tam jest pole, na którym możemy wylądować - powiedział pilot, wskazując na dół. Na wyspie były wprawdzie same pola, Olle poważnie traktował jednak swoją rolę.

Kilkaset obrotów rotora później Bell 206 Jetranger opadł leciutko na południe od ulicy. Pilot wyłączył turbinę. Sara poprosiła, żeby poczekał przy maszynie, nie chciała bowiem przedłużyć pobytu bardziej, niż to będzie konieczne.

Olle uśmiechnął się

- W porządku. Może uda się w ten sposób uniknąć mandatu za nielegalne parkowanie. Mogłem właściwie wylądować w Sankt Ibb...

Więcej już Sara nie usłyszała, zniknęła bowiem wśród zamieci płatków śniegu, skierowawszy się w stronę obserwatorium.

Niejasno pamiętała rozmowę z Maurice'em sprzed ponad piętnastu lat. Odwrotnie niż starszy, większy Uraniborg, Tycho Brahe zbudował Stjerneborg pod poziomem gruntu, żeby wyeliminować jak najwięcej przyczyn błędów

w pomiarach.

Krótką drogą na Gwiaździsty Zamek doprowadziła ją przed drewniany płot sięgający jej mniej więcej do pasa. Za nim wśród nawierzchni z polnych kamieni wznosiło się kilka okrągłych wież. Tak przynajmniej te małe budynki wyglądały. Jeden z pokrytych grynspanem miedzianych dachów zwieńczony był kopułą, kształt innego przypominał chatkę chińskiego rolnika pracującego na polu ryżowym. Nigdzie nie widziała turystów, co nie dziwiło jej jednak, gdyż.

- Zamknięte - odezwał się nagle głos nieopodal.

Sara obróciła się zaskoczona. Od strony ulicy szedł w jej kierunku mężczyzna o skołtunionych blond włosach. Nie mógł mieć więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, a ubrany był w szerokie brązowe sztruksowe spodnie i błękitną pikowaną kurtkę, w której wyglądał jak ludzik Michelina. Sądząc z chrzęszczenia, jakie jego buty trekkingowe wydawały w kontakcie ze zmarzniętym gruntem, można by dojść do wniosku, że w rzeczywistości jest potężnym olbrzymem. Lustrował Sarę wzrokiem zza okularów o cienkich srebrnych oprawkach, jakby był Szeryfem z Nottingham ścigającym Robin Hooda. Nawet mówił po angielsku.

- Skąd pan wie, że nie jestem Szwedką? - odkrzyknęła Sara.

- Po pierwsze, dlatego że na pani helikopterze widnieje godło Danii, po drugie, dlatego że tylko Amerykanom może przyjść do głowy tak szalony pomysł jak.

Nagle zamilkł. Odległość między nimi zmniejszyła się do około trzech metrów.

Sara przeczuwała, co miało oznaczać to spojrzenie. Znała je aż nazbyt dobrze. Uśmiechnęła się życzliwie i wyjaśniła już niepotrzebnie:

- Jestem Francuzką.

- Ale... ale... ale to już wiem - wyjąkał rozradowany Szeryf z Nottingham. - Tak słynna pianistka. Jestem pani wielkim wielbicielem, madame Grimaud.

Sarze zaschło w ustach. Zanotowała w myślach, żeby przy najbliższej okazji zadzwonić do swojego agenta i zażądać tournée promocyjnego po Skandynawii. Potem jednak zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

- Podziwiam Helene Grimaud co najmniej tak samo jak pan.

Twarz Szeryfa spowiło zakłopotanie.

- Więc nie jest pani pianistką?

- Jestem. Nazywam się jednak Sara d'Albis.

- Ach, oczywiście - przerwał jej i klepnął się w udo. - Jestem zrozpaczony, madame, że przydarzyła mi się tak przykra pomyłka. To już zresztą nie pierwszy raz. Jednakże podtrzymuję to, co powiedziałem o podziwiew dla pani gry.

Sara nie była już tego taka pewna, powstrzymała się jednak przed dalszym rozwijaniem tego tematu.

- Jest pan tutaj kimś w rodzaju szeryfa? - zapytała celowo niefrasobliwym tonem.

- Ja? - mężczyzna roześmiał się. - Tak, można to tak określić.

Zbliżył się do Sary na długość ramienia i wyciągnął w jej stronę rękę.

- Miło mi panią poznać, madame d'Albis. Doktor Knud Lundstrøm, kierownik Instytutu Pamięci Tychona Brahego, który jednak, jak już powiedziałem, chwilowo jest zamknięty.

- A kiedy ponownie otwieracie?

- W połowie kwietnia.

- Nie mogę tak długo czekać.

Lundstrøm w zakłopotaniu zatarł ręce. Ten gest Sara też dobrze знаła. Zasadniczo dzieliła mężczyzn na dwie kategorie: twardzieli typu macho i „rudzielców”. Ci drudzy w towarzystwie atrakcyjnych kobiet cierpią na zaburzenia ruchu i zachowują się jak fajtlapy. Kierownik Instytutu Pamięci Tychona Brahego najwyraźniej zaliczał się właśnie do tej grupy. - Zupełnie przypadkiem - powiedział po długim wahaniu - nie mam teraz nic ważnego do roboty. Wyświadczyłaby mi pani zatem wielki zaszczyt, gdyby pozwoliła się oprowadzić.

- Jest pan naprawdę uroczy, doktorze. To naprawdę miło z pana strony.

Lundstrøm spiekł raka.

- Proszę mówić mi Knud. To mniej... oficjalne.

- Chętnie, Knud. Jestem Sara.

- A nie Helene - wzruszył ramionami, przybierając szelmowski wyraz twarzy.

Sara uznała, że już czas skierować rozmowę na konkretniejsze tory.

- Knud, jestem tutaj w bardzo... specjalnej sprawie. Z tego, co wiem, jedna z pięciu krypt Stjerneborgu służyła nie tyle do obserwacji nieba, co jako studio i pokój mieszkalny.

- Zgadza się. Mówi pani o tak zwanym hipokauście, kwadratowym pomieszczeniu w środku kompleksu. Jak wskazuje nazwa, był nawet ogrzewany.

Tycho Brahe przygotowywał się tam do obserwacji, studiował i przeczekiwał duże zachmurzenia.

- Czy znajdowała się tam też mapa nieba? Taka, na której widać gwiazdozbiór Łabędzia? - Sara wstrzymała oddech.

Lundstram spojrział na nią zadziwiony.

- Jestem pod wielkim wrażeniem, Saro! Tego nie ma nawet w naszym przewodniku po muzeum! Skąd wie pani o tym?

Wypuściła głośno powietrze. Najchętniej wydałaby okrzyk triumfu, opanowała się jednak i odpowiedziała po prostu:

- Czytałam o tym gdzieś. Czy mogłabym obejrzeć tę mapę, Knud?

Twarz doktora rozpromieniła się.

- Oczywiście. Proszę za mną. Wisi w muzeum.

Knud Lundstram miał na myśli teren Uraniborgu. Kiedy przechodzili przez ulicę, kierując się w stronę muzeum, Sara opowiedziała o swoim ojczymie, zdobywając kolejne punkty u szwedzkiego wielbiciela.

Zażartował, pokazując na helikopter za plecami:

- Mając nosa, na muzyce też można czasem nieźle zarobić, prawda?

- Nie narzekam.

Rzucił jej z boku figlarne spojrzenie.

- Używam tego sformułowania zawsze na początku wycieczki po muzeum.

„Mieć nosa” - te słowa doskonale pasują do Tychona Brahego. Za młodu stracił fragment nosa w pojedynku. Dlatego też zawsze nosił protezę ze srebra albo mosiądzu. Na szczególne okazje wkładał jednak złoty nos.

Sara udała, że jej to zaimponowało.

- Jest pan naprawdę uczonym człowiekiem, Knud.

Ponownie spiekł raka i odparł z lekceważącym gestem:

- Och, to naprawdę nic takiego.

Przeszli przez plac. Wkrótce potem kierownik Instytutu Pamięci otworzył wejście do kościoła, który Sara zauważyła jeszcze z helikoptera.

- Wcześniej był tu kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych, a teraz mieści się nasze muzeum - wyjaśnił Lundstram i przepuścił Sarę przodem.

Tym razem nie musiała nawet udawać przejęcia. To było jak podróż w piękne dni dzieciństwa. Poczowała przejmujący smutek, kiedy ujrzała zgromadzone w nawie niegdysiejszego kościoła kopie instrumentów astronomicznych i wynalazki Brahego. Chodziła między ostrołukowymi oknami, gdzie

umieszczono gabloty, z ciekawością i bezobaw, jak mała dziewczynka.

Nagle przystanęła jak rażona gromem. Na jednej z tablic ustawionych na chórze wśród innych eksponatów wisiała oprawiona w ramy mapa nieba, której szukała.

„. zdarza się, że łapy śpiącego łabędzia przymarzną do ziemi.”

Po głowie chodziły jej fragmenty rozmowy z pracownicą Biblioteki Narodowej. Szklana szyba wydawała się taka sama jak zamarznęta woda. Czy Kirsten, która śpiewała z łabędziem, złapano w ten „lód”?

Sara zbliżyła się do mapy i spróbowała spojrzeć przez nią na wskroś. Bez skutku. Wykonano ją z grubego pergaminu.

Lundstram źle zinterpretował ciekawość gościa.

- Tytuł, *Hemispherium Coeli Boreale* oznacza tyle co „półkula północna”.

Do tego Sara doszła i sama. Mimo wszystko podziękowała jednak uśmiechem za podpowiedź i dalej studiowała mapę. Był to miedzioryt przedstawiający letnie niebo na planie koła. W lewym górnym i prawym dolnym rogu zaznaczone były obserwatoria Brahego: Uraniborg i Stjerneborg, a w pozostałych dwóch widniały wizerunki instrumentów, które teraz stały na wystawie. Gwiazdozbiory zaznaczone były schematycznie, między innymi też Łabędź, po prawo od niego Herkules i Lutnia, nieco niżej Orzeł.

Sara zadrżała, kiedy zdała sobie sprawę, jak blisko oba poróżnione odłamy Słyszających Barwy znajdowały się na niebie. Obserwując konstelacje, czuła narastający prawie nieznośny niepokój. Miała poczucie, że oto studiuje niewyraźną wiadomość, która ciągle nie daje odczytać się do końca, mimo że rozwiązanie jest tuż obok. Jej dłoń mimowolnie powędrowała ku Łabędziowi.

- Proszę nie dotykać! - wyrzucił z siebie Lundstrøm.

Cofnęła się pospiesznie.

- Przepraszam.

Uśmiechnął się łaskawie.

- Nic się nie stało. To, na co pani teraz patrzy, to Trójkąt Letni, w pewnym sensie niebiański model wielu znanych symboli, na przykład złożonej z dwóch trójkątów Gwiazdy Dawida albo chrześcijańskiego symbolu Trójcy. Nawet wolnomularze używali skierowanego ku górze trójkąta, który często łączyli z wszystkowiedzącym okiem.

- Wolnomularze?

Lundstrøm skinął poważnie głową, wyraźnie dumny, że może popisać się wiedzą przed tak pięknym i ważnym gościem.

- Dokładnie tak. Jedna z najważniejszych reguł alchemicznych głosi, za Hermesem Trismegistosem, legendarnym ojcem wszystkich magów: „jako w górze, tak i na dole”. Odpowiadało to też sposobowi, w jaki Brahe postrzegał wszechświat. Proszę spojrzeć tutaj - mówiąc to, doktor wskazał na cytatę z astronoma wpisany pod mapą nieba:

„Należy wiedzieć, że siedem planet na niebiesiach odpowiada siedmiu metalom ziemi i siedmiu najważniejszym organom człowieka. Razem tworzą harmonię i piękno, tak że wydaje się, że wszystkie razem i każde z osobna posiadają jedną i tę samą funkcję, istotę i naturę”.

- Jako w górze, tak i na dole - powtórzył Lundstrøm. - Bądźmy szczerzy: wielcy prekursorzy nowoczesnych nauk przyrodniczych w swoich czasach zyskiwali sławę głównie jako ezoterycy i okultyści. Kopernik, Galileusz, Brahe, Keppler - wszyscy oni zarabiali na chleb stawianiem horoskopów. A Paracelsus był alchemikiem pierwszej wody.

Wzrok Sary ponownie skierował się ku gwiazdozbiorom Łabędzia i Orła. „Kirsten śpiewa.”

- A może by tak zajrzeć. - zaczęła, ale zaraz ugryzła się w język. Bzdury. Jej pedantyczny przewodnik nie pozwalał nawet na dotknięcie ram obrazu. Musiała znaleźć inną drogę.

- Zajrzeć. Zajrzeć za kulisy muzeum? - podpowiedział cokolwiek figlarnie Lundstrøm.

Wtedy jednak na podziwiana przez niego pianistka zaczęła się dusić w tak okropnym ataku kaszlu, jakby miała wypluć z siebie wszystkie wnętrzności..

- Mój Boże, Saro! Co się stało? - zapytał zatroskany Lundstrøm.

- Muszę się napić, Knud! - wyrzęziła.

- Oczywiście. Proszę za mną.

Znowu omal nie wykrztusiła z siebie duszy, padając przy tym na kolana. Wyraźnie niezdolna, by wypowiedzieć choćby jedno słowo więcej, pokręciła tylko głową i przekazała doktorowi za pomocą gestów prośbę, żeby jak najszybciej przyniósł jej dobroczynną wodę. Lundstrøm pobiegł.

Kiedy tylko opuścił pokój, atak kaszlu cudownie ustąpił. Sara wyprostowała się, podeszła do ściany i wyjęła mapę nieba z ram.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze Lundstram.

Rozgrzeszywszy się w ten sposób, rzuciła ramy na podłogę. Odgłos pękającego szkła sprawił, że przeszły ją dreszcze. Jeśli ten miedzioryt był oryginałem, to właśnie popełniała świętokradztwo. Na szczęście mapa na pierwszy rzut oka nie odniosła podczas upadku żadnych szkód.

Sara spojrzała zatroskana w stronę drzwi. Miała nadzieję, że Lundstrøm nie usłyszał brzęku. Teraz miała tylko sekundy. Obróciła ramy, żeby pozbyć się odłamków, koniuszkami palców usunęła kilka dużych kawałków, które się zaklinowały, boleśnie się przy tym zacinając. W końcu wyjęła pergamin z ram. Wtedy zakręciło się jej w głowie.

Naprawdę tam były! Nuty uwertury do *Liden Kirsten*! I, co napełniło ją największym ożywieniem: drukowana partytura pełna była odręcznych poprawek!

- Bądź pozdrowiony, prapraprapradziadku - wyszeptała.

Szybko wyjęła z ram kartki, zwinęła je i schowała w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Potem wydobyła z torebki studolarowy banknot, położyła go na miedziorycie, wreszcie własną krwią napisała na kamiennej posadzce wiadomość dla Lundstrøma, po czym wstała i pobięła do wyjścia.

Ciężkie drzwi zamknęły się z hukiem, zostawiając opuszczoną nawę kościoła. O odwiedzinach Sary d'Albis świadczyły tylko strzaskane ramy obrazu, stara mapa nieba, odłamki szkła, banknot oraz krwistoczerwony napis:

Sorry!

Ledwo Sara wybiegła na ulicę, kiedy rozległ się za nią głos Lundstrøma.

- Stać!

Pobiegła prędzej.

Stylowe obcasy jej butów nadawały się doskonale do spacerów po deptakach wielkich miast, ale kierownik Instytutu Pamięci wyposażony był dużo lepiej, by forsować pole. W butach trekkingowych biegł pewnie po zmarzniętej ziemi. Przewaga Sary zmniejszała się z każdym krokiem. Kiedy w polu jej widzenia znalazł się helikopter, zaczęła kręcić dłonią nad głową kółka, dając pilotowi znak, żeby zapalił silnik.

Olle zareagował tak spokojnie, jak sugerowały to jego okulary przeciwsłoneczne, i natychmiast odpalił turbinę.

- Proszę zaczekać, Saro! Świat się od tego nie skończy! - zaskrzeczał za nią

naukowiec. Prawie ją już dogonił.

Odwróciła się do niego.

- *Adieu*, Knud! Jeśli sto dolarów nie wystarczy, przyślę więcej!

I pobiegła dalej.

- Ale nie może pani tak po prostu. - Lundstram przełknął resztę zdania i natychmiast zwiększył tempo.

Sara musiała szybko coś wymyślić. Nawet gdyby udało jej się mu umknąć, helikopter nie wystartowałby na czas. Zmieniła plan.

I niezauważalnie zwolniła.

Reszta dystansu natychmiast zniknęła. Kiedy Knud Lundstram chwycił ją z tyłu za płaszcz, byli już prawie przy helikopterze. Olle właśnie zdjął okulary przeciwsłoneczne, żeby mieć lepszy widok na rozgrywający się przed jego oczyma wyścig. „Tym lepiej” - pomyślała Sara.

Pozwoliła doktorowi widowiskowo obalić się na ziemię, krzycząc przy tym co sił w płucach.

- Proszę się uspokoić - krzyknął, nie mając jednak zamiaru wypuszczać jej z rąk.

- Proszę trzymać łapy z dala ode mnie! Nie jestem jedną z takich dziewcząt! - warknęła Sara, zadając mniej lub bardziej wymierzony cios. Ponad ramieniem Lundstrama zauważyła, że Olle otworzył drzwi.

- Proszę już nie wariować - odparł kierownik muzeum, usiłując uniknąć jej razów.

- Nie dam się panu zgwałcić! - krzyknęła Sara.

- Co? Zle mnie pani zrozumiała. Chciałem po prostu.

Więcej nic nie udało mu się powiedzieć, ponieważ nagle pojawił się obok niego pilot i wymierzył mu cios w podbródek. Naukowiec pokazał białka oczu i przewrócił się na bok jak mokry worek.

Sara odeszła dwa, trzy kroki do tyłu i odkaszlnęła.

- Musiał pan bić tak mocno?

Olle zamrugnął skołowany.

- Myślałem, że chciał panią zgwałcić.

- To była przerośnia.

- Nie kapuję.

Sara kucnęła obok nieprzytomnego Szweda.

- Mam nadzieję, że nie złamał mu pan szczęki.

- Proszę się nie martwić - uspokoił ją Olle. - Na szkoleniach uczymy się kontrolować własną siłę.

Dotknęła podbródka naukowca. Na pewno nie był strzaskany. Zamrugał powiekami.

- Wydaje mi się, że dochodzi do siebie.

- Mam go jeszcze?...

- Proszę się nawet nie ważyć! - Sara pogłaskała znokautowanego naukowca i powiedziała pojednawczym tonem: - Przebaczam panu, Knud, i nawet zrezygnuję ze złożenia doniesienia, jeżeli pan też zapomni o dzisiejszym wypadku. Z pewnością sam trafi pan z powrotem do muzeum.

Otworzył szeroko oczy, wydawało się jednak, że jej nie rozpoznaje.

Sara podniosła się i powiedziała do pilota:

- Znikajmy stąd jak najszybciej.

Olle pokręcił głową i roześmiał się.

- Wszyscy klienci są tacy sami. Najpierw chcą przygód, a na końcu spieszą się, żeby nie dopłacać za lot powrotny.

Oboje zawrócili i wsiedli do helikoptera. Zaryczał silnik. Doktor Lundstrøm dźwigał się z ziemi, trzymając się za zboląły podbródek, ale szybko zasłonił go welon śniegu i kurzu. Statek powietrzny wzniósł się w górę i zniknął mu sprzed półprzymkniętych oczu.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA==

Rozdział 18.

Muzyki jednak nie da się (...) przybliżyć zwykłymi słowami. Uczył jej tak, jak robił to Chrystus, używając czasami przypowieści i ilustracji.

Carl Valentine Lachmund, 1882, o swoim nauczycielu Franciszku Liszcie
Kopenhaga, 23 stycznia 2005, 16:00

- Odnoszę wrażenie, że łatwiej byłoby złapać pstrąga w strumieniu niż ciebie - powiedziała Sara. Spędziła już całą niedzielę na próbach dodzwonienia się do Bellincampiego.

Głos z komórki brzmiał iście po włosku beztrosko.

- Piję właśnie espresso. Ty też powinnaś co jakiś czas zrobić sobie przerwę na kawę.

- Może w przyszłym miesiącu. Muszę poprosić cię o przysługę.

- Dziś wieczorem mam występ, Saro.

- Wysłuchaj mnie najpierw, zanim znowu odmówisz. Znalazłam fragment partytury J. P. E. Hartmanna. *Liden Kirsten*. Z odręcznymi poprawkami Franciszka Liszta. Zupełnie zmienił sekcję instrumentów dętych. I tak przecież masz próby w operze. Nie mógłbyś zagrać tego dla mnie z orkiestrą? Tylko jeden raz?

- Znalazłaś? - powtórzył dyrygent podejrzliwie.

Sara zaczerpnęła głęboko powietrza i upomniała samą siebie: „To twój przyjaciel, komuś przecież musisz zaufać”. Potem opowiedziała Bellincampiemu o wypadku na Ven. Oszczędziła mu wprawdzie szczegółów godnych filmów akcji, on i tak jednak zareagował z prawdziwie południowym temperamentem.

- Bóg cię opuścił, Saro? Wyjeżdżasz sobie za granicę mimo oficjalnego zakazu i kradniesz nuty! Zastanawiam się, kiedy zjawi się u ciebie policja. Lundstram na pewno złożył już zawiadomienie.

- Nie sądzę.

- Aha, a dlaczego?

- Jest moim... wielbicielem.

- Ja także, ale.

- Poza tym nie wie nic o nutach. Wszystko wyglądało tak, jakbym miała po

prostu wielkiego pecha. Zostawiłam mu też pieniądze na naprawę ram.

- Jesteś niemożliwa.

Uśmiechnęła się do telefonu.

- Nieprawda! Maurice też tak zawsze mówił.

Dyrygent wyburczał.

- Niech no się tylko twój ojczym o tym dowie, niechybnie przetrzepie ci tyłek.

- Nigdy mnie nie uderzył. Zrobisz to, Giordano?

- Co zrobię? Przełożę cię przez kolano?

- Zagrasz zmienione fragmenty z orkiestrą. Wpisałam je do mojego programu nutowego, mogę zrobić tyle kopii, ile tylko potrzebujesz.

Przez chwilę Sara słyszała tylko oddech dyrygenta. Potem odpowiedział:

- No, niech i tak będzie. Próby mamy na starej scenie przy Kongens Nytorv.

Zapowiem cię na jutro na dziesiątą. Przyjdź, proszę, punktualnie.

Zorientowany w sprawie funkcjonariusz kopenhaskiej policji kryminalnej powiedział, że wszystko rokuje dobrze, kiedy Sara w poniedziałek rano dowiadywała się o swojego rosyjskiego partnera. Oleg Janin najprawdopodobniej do wieczora odzyska wolność.

Z tą optymistyczną myślą krótko po wpół do dziesiątej wzięła taksówkę na Kongens Nytorv, Królewski Nowy Rynek. Z hotelu „Imperial” mogła równie dobrze pójść na piechotę, uznała jednak, że środki bezpieczeństwa, na których zachowanie nalegał profesor, są już *passee*. Niekrasow stracił swojego zastępcę. Zanim znajdzie kogoś na miejsce Tiomkina, oni dawno już znikną za siedmioma górami - jeżeli w ciągu najbliższej godziny czy dwóch wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Kopenhaga pozwoliła sobie ostatnio na luksus utrzymywania licznych scen operowych. Szacowny, prawie dwustupięćdziesięcioletni Teatr Królewski, w którym Bellincampi odbywał próby, znajdował się przy największym i najważniejszym placu w mieście. Sara wysiadła tuż przed budynkiem, w którym jej samej także zdarzało się koncertować. Była to eklektyczna mieszanka klasycyzmu i renesansu z płaską kopułą przypominającą żydowskie jarmułki. Zaszczytne miejsce nad wejściem zajmowała grupa czarujących dziewczycych postaci w antycznych strojach. Środkowa muza trzymała w dłoni lirę. „Niezwykłe odpowiednie” - pomyślała Sara, wspominając niespokojnie gwiazdozbiór Lira oraz mapę nieba, dzięki której składała tę wizytę.

Sędziwy portier od razu rozpoznał d’Albis. Dziwacznie gardłową

angielszczyzną powiedział:

- Proszę dalej, madame. Maestro już czeka.

Drogę na scenę Sara przebyła samotnie. Oszczędziła sobie smutnego widoku zascenia i pewnie przeszła przez foyer. Stamtąd musiała przebyć kawałek pod żyrandolami i wzdłuż ścian, na których wisiały rzędy olejnych obrazów, aż do jednego z bocznych wyjść, które prowadziły na widownię. Ta wyglądała jak marzenie nawet dla artystki, którą niewiele łączyło z operą. W „Det Kongelige Teater” czas stanął w miejscu. Cztery piętra balkonów otaczały scenę jak wielkie podkowy z białego stiuku i złota. Krzesła na parterze były obite czerwonym welurem, a na suficie widniała wielka rozeta z antycznymi postaciami.

Muzyka ucichła i głos Bellincampiego rozbrzmiał na widowni, jakby należał do tenora:

- Saro, naprawdę jesteś punktualna.

Z serdecznym uśmiechem podeszła bliżej. Ponieważ muzycy w Teatrze Królewskim zajmowali miejsce położone nieco wyżej niż zazwyczaj w operach, Bellincampi przeskoczył lekko przez balustradę i wyszedł jej naprzeciw sprężystym krokiem - Włoch z krwi i kości.

Serce Sary zadrżało. Resztki zauroczenia dyrygentem. Jak zawsze wyglądał dobrze: szczupły, czarne włosy, ogniste ciemne oczy i szlachetny nos, który świadczył o szczególnej sile charakteru, jak się jej zawsze wydawało. Kiedy ją obejmował i całował dwa razy w policzek, paru muzyków gwizdnęło z uznaniem.

- Z tego co słyszę, ćwiczysz już uwerturę - powiedziała Sara na zakończenie powitania, do którego przyłączyli się też inni koledzy. W ich właśnie stronę pianistka i dyrygent kroczyli teraz ramię w ramię.

Bellincampi uśmiechnął się.

- Tak, ale tylko wersję klasyczną. Muzycy wiedzą już o twoim eksperymencie - tak im to przedstawiłem. Sam jestem ciekaw, co z tego wyniknie.

Sara przekazała przyjacielowi paczkę nut, które rano wydrukowała w hotelu i podzieliła na zestawy dla każdego muzyka za pomocą spinaczy biurowych.

- Mam prośbę, Giordano. To dziecinne, wiem, ale czy mogę słuchać was z łoża królewskiej?

Uśmiechnął się.

- Zawsze wróżka z gwiazd pragnąca korony? Dla mnie od dawna jesteś już

królową pianistek.

- Niechby to tylko usłyszała Katrine Gislunge.

Zmarszczył czoło w irytacji.

Teraz ona musiała się roześmiać.

- To zupełnie inna historia, którą usłyszysz innym razem. Teraz znikam.

Podczas gdy Sara szła w stronę pierwszego rzędu balkonów, muzycy czytali nuty i próbowali trudniejsze fragmenty. Zwykła rozgrzewka przed występem.

Dotarłszy do łoża królewskiej, Sara zajęła miejsce na barokowym krześle z obitymi poręczami. Majestatycznie skinęła dłonią w stronę Bellincampiego.

Dyrygent pozwolił muzykom po raz ostatni sprawdzić strój instrumentów. Rytuał ten w większości klasycznych orkiestr świata przebiegał tak samo: kiedy obój podawał dźwięk A, przejmował go pierwszy skrzypek i przekazywał dalej pozostałym muzykom. Wystarczyło podnieść batutę, żeby zapadła cisza. Sara zamknęła oczy, żeby pozwolić działać darowi *audition colorée*. Potem rozpoczęła się taka uwertura do *Liden Kirsten*, jakiej prawdopodobnie nigdy nie słyszało ludzkie ucho.

Pierwsze ciche takty należały do smyczków. Wygrywały one melancholię zielonych mgieł unoszących się w cichy wiosenny poranek nad Sundem. Potem dołączyły flety, wyskakujące z morza jak żwawe żółte rybki, najpierw bezładnie, ale im głośniej rywalizowały ze sobą poszczególne instrumenty, tym wyraźniej kreski i kropki łączyły się przed Sarą w określony kształt. Puls jej przyspieszył.

Naraz zdumiała się. Już podczas przepisywania nut zorientowała się, że ta wskazówka musiała zostać zapisana inaczej niż wiadomość z Weimaru. Liczyła jednak raczej na „telegram” od swojego przodka, na krótką wiadomość, podobną do tej, jaką Liszt stworzył za pomocą bukszpanowego fletu Jacoba Dennera. Nic z tych rzeczy jednak. Przed jej wewnętrznymi oczyma pojawiła się.

Korona?

Była to królewska korona zamknięta. Na zwieńczeniu znajdował się krzyż, przechylający się niebezpiecznie na stronę, jakby w każdej chwili miał się przewrócić. Sara pomyślała, że ten przechył mógł być koniecznym kompromisem przodka, który nie chciał zniekształcić *Liden Kirsten* zbyt wieloma dysonansami.

W napięciu czekała, czy nie pojawi się nic więcej. W Weimarze przecież też najpierw pojawił się symbol - monogram „FL” - a potem tekst. Jednakże kiedy

w utworze znowu wygrały zielone dźwięki smyczków, pojęła, że tym razem obraz jest wszystkim, czego może się spodziewać.

Skołowana opadła na barokowe krzesło i pokręciła głową. I siedziała - wróżka w królewskiej łoży, mając jedynie koronę.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Wygląd zewnętrzny Liszta (...) robił niezwykle wrażenie: długa, szczelnie zapięta szata, którą nosił jako abbe, bujne białe włosy, jego zachwycająca postać – wszystko to dawało mu pozór istoty nadprzyrodzonej, nie z tej ziemi; wydawał się nie tyle olbrzymem, co raczej sprawiał wrażenie, że unosił się nad innymi, nad całą salą.

Aleksander Siloti, 1884, o Franciszku Liszcie

Rozdział 19.

Kopenhaga. 24 stycznia 2005, 11:38

Vi ses i ;København -, „Widzimy się w Kopenhadze”. Tymi słowami Giordano Bellincampi pożegnał się z przyjaciółką. Niełatwo było jej ukryć przed nim rozczarowanie. Wracając do hotelu, zrezygnowała z taksówki. Musiała pomyśleć.

Kiedy wchodziła do duńskiej designerskiej lodówki nastrój odrobinę się jej poprawił. W holu spotkała Olega Janina. Siedział w fotelu z białej skóry z lodowatymi chromowanymi poręczami, których każdy kontakt ze skórą zapewniał potworne przeżycia. Kiedy Janin zobaczył wchodzącą pianistkę, poderwał się z miejsca, wyraźnie szczęśliwy, że może w końcu wyrwać się z objęć mebla.

– Saro, jak miło panią widzieć! – zawołał, idąc w jej stronę.

Zaczekała, aż do niej dotrze, i uścisnęła jego potężną dłoń.

– Serdecznie witamy na wolności, Olegu. W końcu pana wypuścili.

– Tak. Miałem pecha, bo był akurat weekend. Dopiero dziś rano ktoś w końcu przeczytał faks z Weimaru i sprawdził fakty. Nie mają już wątpliwości, że działałem w obronie koniecznej. Jeśli zaś chodzi o nasze nieuprawnione wtargnięcie do Tivoli, to też nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Z uwagi na okoliczności skończy się na upomnieniu.

– A paszporty?

– Swój już dostałem. Niestety nie chcieli dać mi pani. Prawdopodobnie musi pani osobiście odebrać na posterunku naganę. Co pani jest? Sądziłem, że z radości podskoczy pani pod sufit.

Sama sobie wydała się bez serca, gdyż nie udało jej się wykrzesać z siebie więcej radości z powodu zwolnienia Janina. Odparła z westchnieniem:

- Rzeczywiście nie jestem w szampańskim nastroju. Kolejna wskazówka Liszta... udało mi się ją wysledzić. I, mówiąc łagodnie, nie wiem, co o tym myśleć.

- To może usiądziemy w atrium i opowie mi pani całą tę historię przy filiżance herbaty?

Sara zgodziła się i jakiś czas później Janin znowu był na bieżąco. Obserwowała go znad parującej filiżanki.

- Co pan o tym myśli?

- Proszę raz jeszcze opisać koronę - poprosił, gładząc w zamyśleniu brodę.

Wzruszyła ramionami.

- Błyszcząca złota obręcz, nad nią dwa krzyżujące się kabłąki.

- Wygląda jak korona łacińska. Były jeszcze jakieś elementy?

- Tak, krzyż.

Janin wyprostował się.

- Jaki krzyż?

- No, po prostu krzyż. Nie mam nic do wielkiego mistrza Liszta, ale mógł postarać się trochę bardziej. Wykrzywił go jak wieżę w Pizie.

Krzaczaste brwi profesora zbiegły się.

- Krzyż był przechylony?

- Można to i tak wyrazić.

Triumfalny uśmiech rozświetlił oblicze Janina.

- Liszt nie spartaczył roboty, moja droga. Muszę to przyznać mistrzowi harfy, naprawdę umie się posługiwać Dźwiękami Władzy. W uwerturę do *Liden Kirsten* wplótł nie jakąś tam sobie królewską koronę, ale koronę świętego Stefana, najświętszą relikwię narodową Węgier.

Na czoło Sary wystąpiły głębokie zmarszczki.

- Zastanawiające.

- Nie podoba się pani moje wyjaśnienie?

- Nie. To znaczy, tak, nic mu nie można zarzucić. Zastanawia mnie tylko... chwiejność Liszta. Wydawało mi się, że chciał użyć tropu róży wiatrów nie tylko jako drogowskazu, ale też wskazać za jego pomocą nowy kierunek myślenia. Mamy zatem przypominającą o wolności i równości *La Révolution*. Dalej baśń

Andersena o małej syrenie – historię bezinteresownej miłości. A teraz symbol monarchistyczny? – Pokręciła głową. – Jakoś mi to nie pasuje.

– Ależ tylko dlatego, Saro, że za bardzo ograniczają panią dotychczasowe doświadczenia. W kontekście tych wskazówek, które otrzymaliśmy do tej pory, to co widziała pani dziś, nabiera zupełnie nowego znaczenia. Proszę nie zapominać: Franciszek Liszt był Węgrem. Kochał swoją ojczyznę. A korona świętego Stefana jest, było nie było, najważniejszym symbolem węgierskiej jedności. Istnieje wiele legend na temat pochyłego krzyża. Według jednej z nich zgięli go Habsburgowie, chcąc złamać magiczną moc korony

– Zastanawiam się tylko, jak ma to nam pomóc w znalezieniu następnej wskazówki.

– Możemy teraz w zasadzie wykluczyć, że Liszt pod czwartym znakiem w N+BALZAC miał na myśli północno-zachodni wiatr, Aparctias. Z południowego wschodu wieje Apeliotes.

– Pewnie. Chciałabym jednak mieć nieco ściślejsze informacje. Nie mając bardziej konkretnych wskazówek, pozostanie nam tylko pojechać do węgierskiej stolicy i sprawdzać pod każdym kamieniem. W późniejszych latach życia Liszt regularnie zatrzymywał się na kilka tygodnie w Peszcie.

– Wiedziała pani, że ten pobożny abbe w 1870 roku został honorowym członkiem wolnomularskiej loży Zur Einigkeit w Budapeszcie?

Sara skwitowała zadane z wyniosłym uśmiechem pytanie ponurym spojrzeniem.

– Czy w czymkolwiek nam to pomaga?

– Oczywiście, moja droga. Przypomina nam to o tajemnej stronie jakże ukochanego węgierskiego bohatera, Franciszka Liszta. Czuł się bardzo związany z dążeniami narodowowyzwoleńczymi Madziarów. Jak musiał się czuć, kiedy ich święta korona przypadła akurat Habsburgowi? Mówię tutaj o Franciszku Józefie I, cesarzu Austro-Węgier.

Sara gwałtownie odstawiła filiżankę, z której nie zaczerpnęła jeszcze nawet łyka.

– Chwileczkę! Liszt skomponował mszę na ceremonię koronacyjną!

Profesor uśmiechnął się pod nosem.

– Co więcej: zaczął ją pisać, zanim go o to poproszono.

– Słucham? – Sara zamrugnęła oczyma w irytacji.

Janin skinął głową.

- Wszystko wskazuje na to, że ten zaszczyt miał przypaść w udziale wiedeńskiemu kapelmistrzowi. Mimo tego jednak Liszt zabrał się do pracy już na rok przed koronacją. A potem - co za cud! - rzeczywiście otrzymał zamówienie.

- Kiedy w dniu koronacji przechodził ulicami Budy, ludność miasta wiwatowała na jego cześć, jakby to on był ich nowym królem - wyszeptała Sara ze szklistym spojrzeniem.

- Nie uważa pani tego za dziwne? Nie był nawet zaproszony. A mimo tego wykrada serca ludzi tuż sprzed nosa cesarza, który zamierza właśnie sprofanować koronę świętego Stefana - Janin sięgnął w stronę ekspresu do kawy z uśmiechem samozadowolenia. - No i ma pani swój konkretny punkt zaczepienia.

Wykrzywiła twarz.

- Nie mogę pozbyć się poczucia, że próbuje pan coś imputować Lisztowi, Olegu.

- Imputować? - Profesor roześmiał się. - Bądźmy ze sobą szczerzy: pani drogi pradziadek był mistrzem harfy. Wiedział, jak manipulować ludźmi. W ten właśnie sposób zagarnął dla siebie zlecenie na utwór koronacyjny i dokładnie w ten sposób wkradł się w łaski ludzi.

- Czy nie każdy muzyk próbuje tego dokonać?

- Nie myśli pani przypadkiem o sobie?

Sara umknęła przed dociekliwym wzrokiem profesora.

- Liszt zawsze słynął ze skromności.

- Nie traćmy czasu na spekulacje dotyczące jego pobudek, Saro. Powinniśmy zastanawiać się raczej, jakie przekonania kazały mu ustawić w Jenie popiersie nazwane *La Révolution*. Czy nie chciał w ten sposób przekazać tej samej wiadomości, którą się dzisiaj zajmujemy? Niczego nie pragnął bardziej niż wyzwolenia ludzkości z nierówności i poddaństwa, w jakim utrzymywali ją możni w rodzaju Franciszka Józefa. Sądzę, że kiedy podczas ceremonii w kościele Macieja rozbrzmiały dźwięki *Węgierskiej mszy koronacyjnej*, tak naprawdę wychwalały nie cesarza, ale wolność.

- Kościele Macieja? - zamyślona Sara weszła Rosjaninowi w słowo.

Janin rozłożył ramiona.

- Węgrzy nazywają go albo *Matyas templom*, albo kościołem NMP czyli

mariackim. Właśnie w tym miejscu Franciszkowi Józefowi I włożono na głowę koronę świętego Stefana.

- A gdzie znajduje się ona dzisiaj?

- Z tego co wiem... ciągle jest w kościele Macieja.

Spojrzeni po sobie rozszerzonymi oczyma.

- Myśli pan teraz o tym co ja? - zapytała Sara cicho.

Skinął głową.

- Prawdopodobnie tak. Powinniśmy dokładniej przyjrzeć się miejscu, gdzie odbyło się to pamiętne wydarzenie.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA==

APELIOTES (POŁUDNIOWY WSCHÓD)

BUDAPESZT

Cóż za wspaniały spokój! Cóż za podniosłość ducha! Wydawało się, że coś unosi się majestatycznie w powietrzu, coś, czego nie widzieliśmy, co mogliśmy jedynie poczuć. Zdawało się, że owiewa nas święty powiew. Głowa mistrza wzniesiona, jego wzrok utkwiony w nieznannej dali, jego dusza w innym świecie. Siedzieliśmy jak oczarowani, jakby wezwał do nas anioła z samego nieba.

Carl Valentine Lachmund, 1882, o swoim nauczycielu, Franciszku Liszcie

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Gdy gram, zawsze gram dla widzów na galerii, tak aby ludzie, którzy za wstęp zapłacili tylko pięć groszy, też mogli coś usłyszeć.

Franciszek Liszt

Rozdział 20.

Budapeszt, 25 stycznia 2005, 11:56

Kręty zielony Dunaj błyszczał w promieniach słońca. Nieliczne chmury jedynie nieznacznie zasłaniały widok. Sara miała wrażenie, że czuje oddech historii, kiedy drugi pilot poleciał pasażerom wyrzucić przez okno, bo przelatywali właśnie nad miastem Esztergom, którego historyczne niemieckie miano brzmiało Gran. Upłynęło dokładnie sto pięćdziesiąt lat od chwili, w której Franciszek Liszt skomponował swój utwór *Missa solemnis zur Einweihung der Basilika in Gran*, mszę na uroczyste otwarcie bazyliki w tym mieście. A w roku 1000 właśnie w tym miejscu na południowym brzegu Dunaju koronowano Stefana I na pierwszego króla Węgier. Tą samą koroną, której synestetyczny obraz widziała wczoraj w kopenhaskim teatrze.

Dwusilnikowy fokker 70 węgierskich linii lotniczych Malev obniżył lot. Parę minut po dwunastej wylądowali na budapeszteńskim lotniku Ferihegy. Trzy kwadranse później Sara i Janin siedzieli stłoczeni razem z dziewięcioma innymi pasażerami i ich bagażami w mikrobusie, który wiozł ich do centrum.

Profesor nalegał, by zatrzymać się w niepozornym hoteliku. Słyszący Barwy, jeżeli uda im się podążyć tropem „pielgrzymów róży wiatrów” aż na Węgry, na pewno w pierwszej kolejności przeszukają pięciogwiazdkowe hotele. Sara sprzeciwiła się, mówiąc, że „niepozorny hotelik” jest ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę. Z uwagi na nędzne wyniki strategii unikania rozgłosu, jaką obrali w Kopenhadze, udało jej się namówić go w końcu na cztery gwiazdki. Tak oto dotarli do hotelu „Beke”.

Znajdował się on przy Terez Korut, obwodnicy biegnącej niedaleko od dworca, skąd można też było łatwo przejść pieszo do kościoła Macieja, co – jak co chwila podkreślał Janin – leżało w ich własnym interesie. Profesor nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pójdą do świątyni. Gdy tylko odstawili bagaże do

pokojów, ruszyli w drogę.

Chociaż podczas wędrówki po historycznym centrum Pesztu Sara myślała przede wszystkim o śladzie róży wiatrów, nie pozostała zupełnie nieczuła na urok naddunajskiej metropolii. Na wszechobecnych reliktach CK Monarchii widniało piętno czasu. Właśnie tej patynie na wielu klasycystycznych i secesyjnych budynkach starzejąca się Królowa Dunaju zawdzięczała swój czar, aurę złotej epoki.

Pielgrzymi róży wiatrów przeszli mostem łańcuchowym na drugą stronę rzeki. Spacer z hotelu okazał się dłuższy, niż się spodziewali. Mieli za sobą całe trzy kilometry, kiedy wyrósł przed nimi w końcu kościół Macieja. Stał w dzielnicy zamkowej. Ta stara część miasta pełna była historycznych budowli. Stąd właśnie rozrastało się miasto Ofen, znane lepiej pod swoją węgierską nazwą Buda.

Sara i Janin wspinali się na stare wzgórze zamkowe od strony Baszty Rybackiej. Najpierw ich oczom ukazał się szczyt wieży i pokryty różnokolorowymi dachówkami dach, lśniący w słońcu jak skóra kolorowego smoka. Po przejściu przez dawną bramę zamkową dotarli w końcu na plac kościelny.

Sara lubiła wesołych i praktycznie nastawionych do życia Madziarów, lecz miała ambiwalentny stosunek do ich języka. *Szenthdromsdg ter* – już sama nazwa wielkiego kompleksu w kształcie litery „U”, w który wtuliła się bazylika, wydawała jej się niemożliwe do wymówienia. Nawet *Mdtyds templom* nastęrczało trudności.

Neogotycka świątynia Macieja była w opłakanym stanie. Aby ochronić zwiedzających przed odpadającymi gargulcami i innymi niespodziankami, została ogrodzona wzniesionym w pewnej odległości płotem. Z tego samego powodu zadaszono też wejścia. Kiedy Janin i Sara szli wzdłuż budynku w kierunku zachodnim, profesor szturchnął pianistkę w bok.

– Czy coś w tym gotyckim olbrzymie przed nami zwraca pani uwagę? – Wskazał przy tym na osiemdziesięciometrową białą główną wieżę o ostrołukowych oknach.

Wysunęła odrobinę dolną wargę.

– A powinno?

– Jest ośmiokątna.

- Liczba róży wiatrów? - szepnęła Sara.

Janin skinął głową.

- Jeszcze jeden element układanki.

Przez południowo-zachodni portal weszli do bazyliki. W przedsionku Janin wymienił tysiąc dwieście forintów na dwa bilety. Przez kamienną bramę, ozdobioną figurami, którym brakowało głów, weszli do środka kościoła. Mimo że wewnątrz było jasno oświetlone, wywarło jednak na Sarze wrażenie mrocznego i tylko trochę mniej zrujnowanego od fasady. Tu i tam kolorowa rozeta albo barwny witraż wpuszczały odrobinę blasku. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny.

Przez kilka chwil Sara oglądała na chybił trafił liczne ornamenty i ozdoby prawie osiemsetletniego Domu Bożego. W trzech nawach świątyni NMP rozbrzmiewał wielogłosowy gwar. Nikt nie ośmielił się wprowadzić zakłócić spokoju świętego miejsca głośną rozmową, odnosiło się jednak wrażenie, że wokół odbywa się narada wojenna skrzatów.

- Zdziwiająca akustyka, prawda? - szepnął Janin.

Sara oderwała się od widoku przybrudzonych i wyblakłych fresków, żeby na niego spojrzeć.

- Ten kościół z tego słynie. Odbywa się tutaj wiele koncertów. Obejrzymy koronę świętego Stefana? Może odkryjemy przy tym coś, co pomoże w poszukiwaniu kolejnej wskazówki.

- Koniecznie! Nie mogę się doczekać.

Wytartymi stopniami weszli na pierwsze piętro północnego traktu, gdzie znajdowało się królewskie oratorium. Tutaj, w szklanych witrynach, wystawiono różne pamiątki z cesarskiej koronacji. Można było podziwiać nawet fragment sukni Sissi, wybranki Franciszka Józefa. Klejnotem kolekcji były insygnia: jabłko z podwójnym krzyżem bizantyjskim, berło ze staroegipską kryształową kulą oraz korona świętego Stefana. Kiedy Sara przeczytała angielski opis eksponatu, zbladła.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Janin z troską.

- To tylko kopia! Prawdziwa korona znajduje się w budynku parlamentu!

Profesor zbliżył nos do szkła, oczy zwęziły mu się w szparki. Kiedy się dostatecznie napatrzył, wymruczał:

- Sądzi pani, że to ma znaczenie?

Spojrzała na niego z konsternacją.

- Co ma pan na myśli?

- Ważne jest przecież to, co korona ma nam do powiedzenia. Do tego zaś celu kopia - oczywiście, jeżeli jest wierna oryginałowi - powinna nadać się tak samo dobrze jak historyczny pierwowzór.

Oboje zbliżyli więc twarze do szyby

Nawet kopia korony świętego Stefana robiła wrażenie. Złotnicy wprawili w jej konstrukcję dziesiątki pereł i kamieni szlachetnych. Wśród nich znajdowały się obrazy przedstawiające Chrystusa, aniołów, świętych i apostołów, których układ przywiódł Sarze na myśl staroruskie ikony. Przy dolnej krawędzi obręczy z obu stron przymocowano cztery łańcuszki, każdy kończący się listkiem z trzech klejnocików. Całość wieńczył przekrzywiony złoty krzyż.

Leciwy strażnik muzeum przerwał nagle zamyślenie obojga potokiem węgierskich słów. Sara i Janin odruchowo cofnęli się o krok.

- Ma pan jakiś pomysł? - zapytała.

- Jeżeli wskazówka ukryta jest w koronie, będziemy potrzebowali kilku dni albo nawet tygodni na sprawdzenie każdego szczegółu i jego symboliki.

Skinęła głową.

- Mam wrażenie, że w ten sposób stracilibyśmy tylko czas. Załóżmy, że to nie w koronie zawarta jest informacja, że jest ona tylko wizualną wskazówką, tak jak syrena w ogrodzie berghauzu.

- Tyle wiedzieliśmy już w Kopenhadze. A może domyśla się pani znaczenia symbolu korony?

- Co powie pan na to: „Ludzkimi sercami władają nie władcy, a piękno sztuki - iskry bożej”. Dokładnie to zademonstrował Liszt 8 czerwca 1867, kradnąc Franciszkowi Józefowi występ.

Janin mruknął.

- Naprawdę, przesadza pani z idealizowaniem swojego przodka, Saro.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczyma.

- Wczoraj mówił pan, że trzymam w ręku elementy układanki i muszę je tylko złożyć.

- Proszę się nie krępować, jestem otwarty na każdą hipotezę, byle była logiczna.

Sara przygryzła dolną wargę. Rozwiązanie wydawało się na wyciągnięcie

ręki. Powiedziała powoli:

- Mapa skarbów, którą odkryłam w Weimarze, powstała w tym samym roku, w którym Liszt zaczął komponować *Mszę koronacyjną* - najpierw bez zamówienia z Wiednia. Wydaje mi się, że wcale go nie potrzebował, żeby osiągnąć to, na czym mu naprawdę zależało.

- W pełni podzielam pani zdanie. Przede wszystkim chodziło mu zapewne o stworzenie miejsca, gdzie mógł ukryć wiadomość przypadającą na wiatr Apeliotes, coś w rodzaju muzycznego sejfu.

Wzrok Sary stał się szklisty. Wydawało się, że patrzy przez ściany, do nawy głównej, kiedy wymamrotała:

- Widzę już rozwiązanie zagadki, ale jeszcze niedokładnie.

- Nagle rzuciła rozkazująco: - Proszę za mną!

Długimi susami przebiegła obok mrukliwego strażnika, schodami w dół i do nawy głównej. Janin ledwo za nią nadązał. W nawie północnej zatrzymała się nagle, nie po to jednak, żeby dać mu okazję do zaczerpnięcia oddechu, ale dlatego, że rzuciła się jej w oko wielojęzyczna tablica informacyjna, którą wcześniej przegapiła.

- Kaplica kawalerów maltańskich? - wymamrotała.

Profesor dogonił ją, ujrzał zadziwiony wyraz jej twarzy i zapytał:

- Nie słyszała pani o niej? Znajduje się dokładnie w miejscu, z którego przyszliśmy, na końcu Schodów Królewskich.

- Nie - odparła Sara cicho, przygryzając dolną wargę. Kawalerowie maltańscy przez stulecia służyli bractwu Jubala za przykrywkę.

- Proszę mi powiedzieć, Oleg, czy Słyszący Barwy mieszkali albo mieszkają święte miejsca?

- Chodzi pani o coś w rodzaju Mekki, do której podróżowali? Nie, wiedziałbym o czymś takim. Zawsze jednak mieli coś w rodzaju duchowego centrum, wokół którego wszystko się obracało. Miejsca, gdzie nauczali ich najwięksi mistrzowie i gdzie ukryte były ich najważniejsze skarby.

- A gdzie znajdowało się to centrum?

- Sam chciałbym to wiedzieć.

- Czy to mogłoby być tutaj? - Sara wskazała na całe wnętrze kościoła.

Janin zawahał się. W końcu wrzucił ciężkimi ramionami i odpowiedział:

- Być może. Nie jestem w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Sara zastanawiała się jeszcze przez chwilę, a potem oznajmiła

zdecydowanie.

- Kaplica kawalerów maltańskich nie ucieknie. Najpierw chciałabym dowiedzieć się czegoś innego.

Kilka chwil później oboje stanęli w chórze i Sara zakrzyknęła: „Ha!”. To było krótkie, ale naprawdę głośne „Ha”. Okazało się zaraz, że, po pierwsze, ludzie nie lubią, kiedy podnosi się głos w Domu Bożym – chyba żeby chwalić Pana – i po drugie, kościół Macieja ma naprawdę niezrównane właściwości akustyczne. Echo jej okrzyku rozbrzmiewało przez kilka sekund.

Sara skinęła głową upewniona o prawdziwości swoich podejrzeń.

- To musi być to.

Janin nerwowo skubał się po brodzie.

- Zupełnie straciła pani rozum?

- Nie, zyskałam natomiast nieco optymizmu. Postawiłam się właśnie na miejscu Liszta. To, co widzę, kiedy słucham utworu muzycznego, w dużej mierze zależy od barwy dźwięku: od instrumentów oraz akustyki pomieszczenia. Czasami różnica między salami nie ma znaczenia dla mojego postrzegania, ale tutaj – mówiąc to rozłożyła ręce i obróciła się wokół własnej osi – to tutaj jest niewiarygodne.

Ostatnie słowo wypowiedziała dość głośno. Szybko z echem wróciło wielogłosowe „Ciii!”. Jeden z wszechobecnych strażników zasyczał w ich stronę.

- I co zrobimy teraz z tym objawieniem? – zapytał Janin ostentacyjnym szeptem. – Mamy stanąć tutaj i odśpiewać *Wigierską mszę koronacyjną* – Nawiązywał najwyraźniej do tego, że było to dzieło na chór.

- Liszt przetranskrybował części mszy. Są wersje na orkiestrę, na pianino. – Sara zamilkła nagle, dojrawszy arsenał piszczałek nad zachodnim głównym portalem. – I Ofiarowanie na organy.

- Jednakże z tego, co wiem, wszystkie przeróbki powstały po koronacji – zauważył Janin.

- Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co piszą w katalogach dzieł. Na temat spuścizny Liszta jest ich kilka, częściowo są zresztą wzajemnie sprzeczne. Kto ma więc rację? – Sara posłała towarzyszowi słodki uśmiech i, zanim mógł odpowiedzieć, skierowała się w stronę organów. Z rękami założonymi na plecach i z wysoko podniesioną głową przeszła przez kościół. Ochrona odetchnęła.

Neogotycka szafa organowa ze stołem gry znajdowała się na chórze. Sara próbowała oszacować liczbę piszczałek, szybko porzuciła jednak ten zamysł, ponieważ i tak widoczna była tylko pewna ich część. Przypomniała sobie, że nazwa urządzenia w wielu językach oznaczała także narządy ludzkiego ciała. Wielki instrument rzeczywiście przypominał skomplikowany organizm. Zwiedzającym ukazywał zazwyczaj tylko zewnętrzną powłokę – „prospekt” – prawdziwe życie toczyło się jednak wewnątrz.

Sara dotarła tymczasem do miejsca, którego perspektywa zmusiła ją do zatrzymania się, nie chciała bowiem stracić z oczu szczegółów bogato zdobionej szafy. Nagle znieruchomiała i wydała z siebie zdławiony okrzyk.

– Co się stało? – spytał Janin z tyłu.

Wskazała na prospekt.

– Anioł.

Profesor zerknął w górę na drewnianą figurę i twarz mu stężała.

– Rozpoznaje pan? – spytała Sara.

– Tego długiego nosa nie da się z niczym pomylić.

Anioł miał twarz Franciszka Liszta.

Sara skinęła dłonią na jednego z ochroniarzy i spytała, czy jej się zdaje, czy na górze naprawdę widzi znanego kompozytora.

Ochroniarz, leciwy Węgier z potężnym brzuszyskiem, spojrział na nią tak, jakby spytała, czy na niebie naprawdę widać słońce.

– Oczywiście, to Ferenc Liszt – odparł łamanym angielskim.

– Kiedy więc powstał prospekt organów?

– Druga połowa dziewiętnasty wiek.

– Nie wie pan przypadkiem, w którym roku?

– Rok nieważne. Bilety ludzie kupować i tak.

Sara zmarszczyła czoło. Pytanie widocznie przerosło opryskliwego starca.

– Czy kościół ma organistę?

Strażnik spojrział na nią z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

– Może spróbuję po rosyjsku? – chciał zaproponować Janin, Sara weszła mu jednak w słowo.

– Na Boga, nie! Jeszcze zarzuci nam zdławienie powstania węgierskiego.

Powtórzyła więc pytanie na migi, wygrywając przed jego nosem kilka pasaży.

Na to starzec zareagował natychmiast. Skinął gorliwie głową i odezwał się,

kalecząc język:

- Laszlo Lotz. Przyjść czwartek wieczór. Wtedy chór ćwiczyć.

To oznaczało stratę całego dnia. Poza tym trudno było oczekiwać, że organista przeznaczy całą próbę chóru na osobisty koncert życzeń Sary. Przyłożyła sobie do policzka rękę z wyciągniętym małym palcem i kciukiem.

- Można zadzwonić do pana Lotza?

Strażnik zerknął na nią nieufnie. Najwyraźniej mógł, ale nie chciał.

- Proszę! - błagała Sara, wkładając w to cały swój urok. Raz jeszcze zagrała rękami w powietrzu i wyjaśniła. - Ja pianistka. Koleżanka Laszlo Lotza.

Z gardła strażnika wydobył się głęboki pomruk.

- Dobrze. Ja zadzwonić on. Za mną.

Poczłapał pod bezgłowymi figurami do przedsionka, gdzie Janin wcześniej kupował bilety. Tam porozmawiał chwilę z kasjerką, która siedziała szklaną szybą i słuchała go z grobową miną. Kilka razy spojrzała przy tym na Sarę i Janina. W końcu podała przez okienko słuchawkę telefonu, wybrała numer, a strażnik rozpoczął kolejną gorączkową rozmowę.

Mniej więcej pięć minut później powiedział gościom, że Laszlo nie mówi po angielsku.

- Czy poza węgierskim zna jakiś inny język? - zapytała zrezygnowana Sara.

- Matka Niemka.

Sara odetchnęła i sięgnęła po słuchawkę.

- Mogę z nim porozmawiać?

Strażnik jeszcze przez chwilę mówił do mikrofonu, zanim spełnił jej prośbę.

- Dzień dobry, panie Lotz, nazywam się Sara d'Albis - zaczęła się witać, jednak rozmówca natychmiast jej przerwał.

- Do diaska! Chyba nie ta Sara d'Albis, słynna wirtuozka?

Sara przez chwilę przysłuchiwała się z pewnym niepokojem jego słowom, jednak organista nie próbował sugerować, że oklaskiwał jej grę na saksofonie czy innym poza fortepianem instrumencie. Szczerze zakłopotana odparła: „Jestem zaszczyczona, że organista w tak znamienitym kościele zna moje nazwisko. Panie Lotz, miałabym wielką prośbę, która w tej chwili może wydać się panu dziwna”.

„W euforii” byłoby zbyt łagodnym wyrażeniem na określenie nastroju Sary. Kiedy wracała z Janinem do hotelu, miała wrażenie, jakby wyrosły jej skrzydła, co nie było jedynie zasługą strzegącego olbrzymich organów anioła o twarzy

wielkiego kompozytora. Jeżeli kiedykolwiek czuła, że intuicja jej nie zawiodła, to właśnie w tej chwili. Ten instrument i niezwykła akustyka musiały tworzyć razem pudło rezonansowe, w którym Ofiarowanie z *Węgierskiej mszy koronacyjnej* Liszta będzie mogło wypełnić swoje prawdziwe przeznaczenie.

Laszlo Lotz obiecał już, że jutro rano odda organy w ręce Sary na pół godziny, żeby mogła tchnąć życie w dzieło swojego przodka. Zakładając oczywiście, że zgodzi się na to proboszcz parafii NMP „Proszę być w portalu zachodnim dokładnie o szóstej” – powiedział organista przez telefon. Wczesna godzina to cena za możliwość wyłącznego korzystania z organów, gdyż od siódmej podwoje kościoła otwierały się dla zwiedzających.

Na pytanie Sary o wiek Anioła-Liszta, Lotz wyjaśnił, że szafę organową przebudowano według projektu Frigyesa Schulka w ramach wielkiego remontu kościoła i oddano do użytku razem z odnowionym domem bożym w 1893 roku.

A zatem siedem lat po śmierci Liszta.

Sara sądziła przez chwilę, że jej wspaniała teoria rozsypie się jak domek z kart, potem jednak przyszło jej do głowy kilka przekonujących wyjaśnień tego pozornego paradoksu. Schulek mógł być Słyszającym Barwy. Bądź też – jak sądził Janin – Liszt mógł wpłynąć na niego za pomocą Dźwięków Władzy, żeby samemu sobie wystawić pomnik. Możliwe też, że adresat wiadomości z weimarskiego utworu – prawdopodobnie kuzyn kompozytora – użył swoich wpływów, żeby zachować trop róży wiatrów dla potomności.

Ta ostatnia wersja wydała się najbardziej prawdopodobna, kiedy Sara po powrocie do niemiłosiernie gorącego pokoju hotelowego poszukała w Internecie informacji o kościele Macieja i jego organach. Ten dom modlitwy był świadkiem burzliwej historii. Dwa razy wpadał w ręce Turków, którzy przebudowywali go na meczet. W czasie drugiej wojny światowej doznał poważnych szkód. Spłonął dach, sklepienie runęło i organy zamilkły. Kto chciał wtedy dostać się do wnętrza bazyliki, ryzykował życiem.

„Do dziś pozostaje zagadką, komu należy zawdzięczać fakt, że pod rządami komunistów kościoła nie rozebrano” – przeczytała Sara na jednej ze stron. Czyżby Jasny odłam Słyszących Barw strzegł tropu róży wiatrów? Jeśli tak, to Oleg Janin mylił się, sądząc że Bractwo Łabędzi przestało istnieć.

Rzut oka na prawy górny róg ekranu nappełnił ją niepokojem. Umówiła się z profesorem na kolację o siódmej. Była szósta trzydzieści dwie, a zamierzała

wziąć jeszcze prysznic. W mgnieniu oka zrzuciła ubranie i pobiegła do łazienki. Kiedy dwadzieścia minut później owinięta ręcznikiem wyłączała suszarkę, usłyszała znajomą melodię.

Liebestraum Liszta.

Muzyka sprawiała wrażenie dziwnie przytłumionej. Czyżby dochodziła z jakiegoś sąsiedniego pokoju? Byłby to zadziwiający zbieg okoliczności. Utwory Liszta nie należały do tych przebojów, które słyszy się na każdym kroku – chociaż *Liebestraum* najlepiej pasowałby jeszcze do tej kategorii. Mimo tego przez plecy Sary przebiegł zimny dreszcz. Nie wierzyła w takie rzeczy, jednak spotkanie z duchem Tiomkina wcale by ją w tej chwili nie zaskoczyło.

Powoli wyszła z łazienki i rozejrzała dookoła. Wchodząc do pokoju, zamknęła za sobą drzwi i założyła łańcuch. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Poza dźwiękami *Liebestraum*, które nie chciały umilknąć. Sara zrozumiała, że nie było to nagranie koncertowe, tylko, dzwonek telefonu?

Namierzyła wreszcie źródło kiepskiej jakości wykonania: poduszkę. Zirytowana spojrzała w stronę nocnego stolika, na którym leżała jej własna komórka. Milcząca jak grób.

Poczuła narastającą panikę. Ostrożnie, jakby obcy telefon miał w każdej chwili na nią skoczyć, podeszła do łóżka, zebrała się w sobie i odsunęła poduszkę na bok.

Jej podejrzenie okazało się słuszne. Na białym prześcieradle leżał lśniący czarny telefon, wygrywający już nieprzytłumione *Liebestraum*, najwyraźniej z maksymalną głośnością. Na wyświetlaczu pojawiło się francuskie słowo *maitre* – mistrz.

Sara zadrżała. Ostrożnie sięgnęła po telefon. Ten zamilkł, na chwilę zanim dotknęła go palcami.

Przez moment stała jak zaklęta w kamień i obserwowała urządzenie, jakby było jadowitym insektem. Potem je chwyciła.

W tym samym momencie znowu nagle zbudziło się do życia.

Sara wydała z siebie przenikliwy krzyk i z przestachu wypuściła wibrującą komórkę. Ta, upadłszy na łóżko, dalej wygrywała radośnie *Liebestraum*. Sara zdecydowanie sięgnęła po nią po raz drugi i wcisnęła przycisk odbioru.

– Halo?

Dzwoniący zawahał się. Słyszała tylko jego świszczący oddech. Potem powiedział cicho, prawie szeptem:

- Dlaczego cały czas od nas uciekasz, Saro?

Dostała dreszczy, mimo że w pokoju panował prawie tropikalny upał. Głos z całą pewnością należał do mężczyzny. Wrażliwe zmysły Sary zaklasyfikowały go do tej samej kategorii, co dźwięk rozrzucanych swawolnymi stopami suchych liści. Dzwoniący mówił po francusku. Z rosyjskim akcentem.

- Kim pan jest? - zapytała, choć przeczuwała odpowiedź.

- Nazywam się Siergiej Niekrasow.

Sara opadła na łóżko. Kolana jej zmiękły.

- Prezes Musilizera i wielki mistrz Orłów?

Ze słuchawki dobył się cichy śmiech, niezwykły, bo brzmiący jak szeptany

- Profesor ci to...

- Dla pana cały czas pozostaję madame d'Albis - przerwała mu ostro.

Niekrasow zamilkł na chwilę, jakby musiał najpierw opanować własny gniew.

Potem kontynuował niewzruszenie:

- Nie dzwonię do ciebie, żeby rozmawiać o gospodinie Janinie.

- Jak w ogóle udało się panu tak szybko ustalić miejsce mojego pobytu i jeszcze podrzucić mi do pokoju komórkę? - przerwała mu po raz wtóry.

Tym razem Słyszający Barwy zamilkł na dłużej niż przedtem, a kiedy znowu się odezwał, jego lodowaty głos sprawił, że Sara dostała gęsiej skórki.

- Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką, Saro. Tiomkin powinien był nauczyć cię, że moi bracia zajmują się czymś więcej niż tylko dostarczaniem telefonów. Jeżeli komórka wydaje ci się zbyt bezosobowa, to - ufając jej wyobraźni, zadowolił się jedynie sugestią groźby.

Krtań Sary była jak zasznurowana. „Jeśli ten człowiek dysponuje darem *audition colorée*, to bez wątpienia będzie w stanie ujrzeć strach lśniący w twoim głosie”. Wzięła się w garść i odparła:

- Proszę mi po prostu powiedzieć, czego pan ode mnie chce.

Jego oddech zaświszczał.

- Już od dłuższego czasu z wielkim zainteresowaniem śledzimy twoją karierę. Twój dar synestezji i przypuszczalne pokrewieństwo z Lisztem sprawiło, że zaczęliśmy żywić bardzo duże nadzieje. A to, jak zachowywałaś się podczas premiery w Weimarze, rozwiało nasze ostatnie wątpliwości: jesteś dla nas odpowiednia. Dlatego chcielibyśmy pozyskać cię do naszego... przedsięwzięcia.

- Dziękuję za ofertę, ale kalendarz mam wypełniony na najbliższe cztery lata.

- Dość tych gier, Saro! Nie waż się teraz odłożyć słuchawki! - głos Niekrasowa przeszedł w syk zimny niczym ciekły azot.

- A może chcesz skończyć tak jak weimarski perkusista?

Zadrżała. A więc to morderstwo też należy zapisać na konto Słyszących Barwy. Odparła monotonnym głosem.

- Szantażem może mnie pan co najwyżej zrazić, panie Niekrasow. Nie jestem zainteresowana.

Najwyraźniej Słyszący rzeczywiście ujrzał w jej głosie stłumiony strach, co go chyba rozbawiło.

- Czemu tak kategorycznie, moje dziecko? Możemy w pełni rozwinąć drzemiący w tobie potencjał. Ja i moi najbliżsi współpracownicy jesteśmy zgodni co do jednego: jesteś mistrzynią, zdolną, by odnaleźć Królową Dźwięków i stworzyć nowe melodie dla dobra całej ludzkości. Mogą to być melodie o wiele potężniejsze od wszystkiego, co udało nam się osiągnąć podczas całej naszej chwalebnej historii.

- Nie wierzę w ten rodzaj władzy.

Roześmiał się w sposób, od którego Sarę przeszły ciarki.

- No dobrze. Szczerze mówiąc, liczyłem się z tym, że nie zgodzisz się tak od razu, wystarczy spojrzeć, jak potraktowałaś mojego posłańca, biednego Walerija. A co powiedziałaabyś, jeśli dałbym ci dowód naszej potęgi?

- Proszę robić, co pan chce - powiedziała Sara z całą obojętnością, na jaką potrafiła się zdobyć.

- Dobrze zatem. Podczas pełni obalimy dla ciebie boginię. Śledź wiadomości. Do tego czasu wypożyczę ci mój telefon. W twoim własnym interesie radzę ci go nie zgubić. Odezwę się jeszcze, Saro, a wtedy chciałbym poznać twoją decyzję.

Trzasnęło na linii. Niekrasow odłożył słuchawkę.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA==

Wolałbym być na tym świecie kimkolwiek innym niż muzykiem na żołdzie wielkich panów, otaczanym opieką i opłacanym jak jakiś żongler...

Franciszek Liszt

Rozdział 21.

Budapeszt, 26 stycznia 2005, 5:57

Było wciąż ciemno, kiedy taksówka zatrzymała się przed głównym wejściem do kościoła Macieja. Kiedy Oleg Janin płacił za kurs, Sara wysiadła z samochodu z laptopem na ramieniu i nieprzyjemnym uczuciem w żołądku. Nad dziedzińcem bazyliki wiał lodowaty wiatr. Wzrok pianistki poszukiwał już złowrogich postaci czających się w cieniu, jednak Słyszący Barwy potrafili być niewidoczni, kiedy tylko chcieli, i ujawniać się tylko wtedy, kiedy im to odpowiadało.

O tej barbarzyńskiej godzinie zauważyła przy zachodniej bramie jedynie mężczyznę, który zaintrygowany przyglądał się samochodowi z żółtą tablicą rejestracyjną. Sara nie zgodziła się, by trzykilometrową drogę z hotelu przebyć na piechotę. Orły i tak krążyły nad nimi i zdawały się obserwować każdy ich krok.

Odkąd znalazła pod poduszką telefon, czuła się jak marionetka w rękach Siergieja Niekrasowa. Niepohamowane pragnienie, by utopić czarne urządzenie w spłuczce toaletowej stłumiła w sobie wyłącznie ze względu na groźbę Niekrasowa, który ostrzegał, że naśle na nią kolejnego Tiomkina. Lepiej już nosić ze sobą telefon z prawie rozładowaną baterią.

Jak wyjaśniła Olegowi Janinowi przy kolacji, najlepszym wyjściem mogłoby okazać się zarzucenie wszelkich dalszych poszukiwań na czas nieokreślony. Rozwiązanie zagadki własnego pochodzenia wymagało od niej bowiem podążania tropem róży wiatrów. W ten sposób z całą pewnością doprowadziłaby Orły do Purpurowych Nut. Czy tego właśnie sobie życzył?

- Nie poddawajmy się tak szybko. Akronim N+BALZAC składa się z ośmiu znaków, a my szukamy teraz dopiero „A”, czyli czwartego z kamieni milowych - powiedział Janin, próbując ją uspokoić.

- Jeżeli siepacze Niekrasowa będą nadal deptali nam po piętach na szóstym

albo siódmym etapie, rozważymy inne opcje. Może do tego czasu uda nam się ich zgubić.

- Prawdę mówiąc, Niekrasow napędził mi potężnego stracha. Po co ryzykować?

- Ponieważ każda zwłoka może przynieść jeszcze bardziej opłakane skutki. Mnie niepokoją raczej słowa mistrza harfy o tej bogini.

- Tej, którą ma obalić podczas pełni? Chyba nie bierze pan tych bzdur poważnie, prawda?

Janin wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały, oprawiony w czarną skórę kalendarz i podsunął jej stronę pod nos.

- Pełnia wypada 26 stycznia. A zatem, Saro, dzisiaj! Nie zostało więc pani zbyt wiele czasu do namysłu i obawiam się, że Niekrasow nie zaaranżował tego w ten sposób tylko po to, żeby nie wyładowała się bateria w telefonie.

- Ale?

- Chodziło mu o godzinę Słyszących Barwy, decydujący dzień, ostateczną rozgrywkę. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że Orły mogą uderzyć wcześniej, niż się dotychczas obawiałem.

- Bez Purpurowych Nut?

- Myślałem, że już to pani wyjaśniłem. Głównym celem Ciemnych jest wyzwolenie ludzkości z mocy zła i stworzenie nowego porządku świata. Nauka Dźwięków Jubala byłaby iście królewskim środkiem do jego osiągnięcia, ale da się to zrobić i bez niej. Ciemni Słyszący prędzej zniszczą Szkarłatną Partyturę, niż pozwolą, żeby wpadła w ręce ich wrogów.

- Puszczanie z dymem najcenniejszych skarbów to chyba stara rosyjska tradycja. Wystarczy, że pomyślę o Moskwie.

- Strategia spalonej ziemi nie jest wcale typowo rosyjskim wynalazkiem - przerwał jej Janin z miną grabarza - ale wielokrotnie dowiodła swojej użyteczności. Takich wrzodów jak napoleońska *Grande Armée* czy niemiecki Wehrmacht można się było pozbyć wyłącznie za pomocą ognia. Mieszkańcy Moskwy podpalili własne domy, ponieważ cenili wolność wyżej niż miasto. Tym razem gra toczy się o jeszcze wyższą stawkę, Saro. Jeśli znowu zignoruje pani zagrożenie, cały świat może stanąć w płomieniach.

- W godzinie Słyszących Barwy?

- Tak właśnie.

Sara, co prawda, cały czas uważała informacje o tak potwornym spisku za przesadę ze strony profesora, w końcu dała się jednak przekonać, by kontynuować poszukiwania. Teraz ramię w ramię szli w stronę jasno oświetlonego zachodniego portalu kościoła Macieja, gdzie oczekiwał już na nich Laszlo Lotz.

Organista *Mátyás templom* ubrany był w obszerny płaszcz z lodenu, sprawiał jednak wrażenie chudego. Musiał mieć już około siedemdziesięciu lat. Jego pomarszczona, upstrzona brodawkami twarz przypominała Sarze legwana, o ile można wyobrazić sobie jaszczurkę ze strzechą siwych włosów – fryzury Lotza nie powstydziliby się nawet Beethoven. Kiedy organista wypowiedział po niemiecku słowa powitania, z górnej szczęki błysnęły mu dwa złote siekacze. W zasadzie powitał tylko Sarę.

– Madame d’Albis! Poznanie pani to dla mnie wielki zaszczyt – Lotz pochylił się nad wyciągniętą dłonią Sary i złożył na niej delikatny pocałunek. Olega Janina zignorował zupełnie.

Sara zastanawiała się przez chwilę, czy telefoniczne przedstawienie towarzysza jako rosyjskiego historyka muzyki nie było błędem. „Historyk muzyki” w zupełności by pewnie wystarczył. Chcąc zatuszować nieprzyjemną sytuację, posłała organiście uroczy uśmiech i odparła:

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie Lotz. Dziękuję bardzo, że zechciał mi pan wyświadczyć tę przysługę i zagrać dla mnie na tych potężnych organach. Twarz starca, jeszcze przed chwilą promienną, spowił nagle cień.

– Coś nie tak? – spytała Sara.

Węgier zatarł swe szczupłe dłonie, jakby chciał obmyć je z wszelkiej winy. Z zakłopotaniem odpowiedział:

– Mamy mały problem, madame. Proboszcz nie był zachwycony pani pomysłem.

Janin syknął, czym natychmiast ściągnął na siebie gniewny wzrok organisty.

– Proszę nie mówić, że przybyliśmy na darmo – jęknęła Sara.

– Cóż, w zasadzie to.

– Ale przecież pan.

– Z drugiej strony – powiedział nagle Lotz z galanterią i zdecydowaniem – nie mogę pozwolić, żeby tak piękna i utalentowana pianistka jak pani doznała rozczarowania. Pani życzenie zostanie spełnione.

- Nie chciałabym, żeby miał pan przeze mnie kłopoty.

Organista roześmiał się cicho.

- Proszę się nie martwić, madame. Już ponad pięćdziesiąt lat zrastam się z tymi organami. Będą potrzebowali piły łańcuchowej, żeby mnie od nich odczepić.

- Nie wie pan nawet, jak bardzo jestem szczęśliwa - oznajmiła Sara.

Lotz wyciągnął z kieszeni płaszcz ciężki klucz i, udając się z nim w stronę bramy, mrugnął konspiracyjnie. - Ale niech to zostanie między nami.

Spojrzał nieufnie na Janina.

- Mój towarzysz jest równie dyskretny jak ja - zapewniła Sara.

Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypieniem, jakby opierały się intruzom. Kilka minut później cała trójka była już na chórze. W bazylice panował mglisty półmrok, który rozpraszał jedynie sączący przez wielkie okna blask latarni i mdłe światło oświetlenia awaryjnego. Janin oparł się o wewnętrzną stronę balustrady, stając poza zasięgiem wzroku nieufnego starca. Lotz w starej czerwonej kurtce z dzianiny, załataną skórą na obu łokciach, usiadł na rozkładanym stołku koło Sary. Ona sama zajęła miejsce przy oświetlonym lampką nocną stole gry i słuchała instrukcji, których udzielał jej Lotz. Co prawda na organach kościelnych, wyposażonych w różne pedały, nie grała tak dobrze jak na fortepianie koncertowym, dysponowała jednak umiejętnościami, które wystarczały, by swobodnie wykonywać nawet trudne utwory. Organy w kościele Macieja miały jednak pięć manualów i co najmniej siedem tysięcy piszczałek. Nic więc dziwnego, że Laszlo Lotz był dumny ze swojej „diwy”, jak nazywał ten imponujący instrument.

Wziął ze sobą nuty *Ofiarowania z Węgierskiej mszy koronacyjnej* Liszta. Było to pierwsze wydanie partytury. Jako młodziutki organista odnalazł je podczas porządkowania pozostałości po swoim poprzedniku. Lotz stwierdził, mrugając okiem, że sam kompozytor mógł mieć je w rękę.

- Czy Liszt kiedykolwiek sam dotknął tych klawiszy? - Sara wskazała na manualy.

Lotz wysunął dolną wargę.

- Nie wiem. Ale to byłoby możliwe. W końcu ten katolicki abbe grał nawet na organach w żydowskiej synagodze w Budapeszcie - starzec pogładził Sarę po dłoni. - Pani jednak, madame, skłoni moją diwę do śpiewu głosami anielskimi.

Proszę zaczekać. - włączył rząd rejestrów, które według niego najlepiej oddawały pierwotne wyobrażenie mistrza o brzmieniu utworu.

Sara ostrożnie położyła dłonie na klawiszach. Przez jej głowę przelatywały tysiące myśli. Czy gdzieś w kościele, między bezgłowymi figurami i wyblakłymi freskami, kryły się oczy, które ją obserwowały, i uszy wyczekujące kolejnej wskazówki na tropie róży wiatrów? Czy ktoś czyhał, aby porwać ją w swe szpony niczym orzeł i ponieść w dal jako łup? Palce jej zadrżały. Kiedy na próbę wcisnęła klawisz, piszczałki zagrzmiały jak chór aniołów zemsty. Cofnęła się mimowolnie. Długo trwało, zanim w kościele znów zapanowała cisza.

Lotz zachichotał.

- Ma głos moja diwa, naprawdę potrafi zwalić z nóg, prawda?

Sara skinęła głową.

- I co za akustyka!

Pokazał za siebie w nawę główną.

- Kiedy puszczam akord końcowy ze wszystkich rejestrów, to trwa to mniej więcej siedem sekund, zanim przebrzmi. Przy utworach polifonicznych i szybszych tempach trzeba bardzo uważać na akcenty, inaczej można łatwo zamienić kompozycję w niestrawną kakofonię.

- Chciałabym zagrać *Missa Coronationalis*, a nie boogie-woogie - powiedziała Sara, nawiązując do wolnego tempa kompozycji. Ofiarowanie, czwarta z pieśni wchodzących w skład mszy katolickiej, towarzyszy przygotowywaniu darów. Według wierzących, w tym czasie chleb i wino zmieniają się w ciało i krew Chrystusa. Szybkie tempo jest w takiej chwili, rzecz jasna, wykluczone.

Sara sądziła, że szczególna akustyka tego kościoła stanowi cechę, którą Liszt włączył do swojej kompozycji. Zamazujące się dźwięki pozwalały łatwo łączyć linie melodyczne i raz jeszcze stworzyć litery albo inne kształty. Musiała tylko sprawić, żeby kolejny kamień milowy na tropie róży wiatrów zyskał widzialną formę.

Skupiwszy się, zaczęła grać. Pierwsze akordy *Ofiarowania* nie stanowiłyby wyzwania nawet dla początkującego pianisty. Rejestry potężnych organów rozbrzmiały cicho, dostojnie i podniośle. Dom Boży wypełnił się sferycznymi dźwiękami.

Nuta za nutą partytura zmieniała się w migoczące dźwięki. Po pierwszej stronie Sarę ogarnął niepokój. Potężny chór piszczałek okrył ją gęsto tkaną

peleryną we wszystkich kolorach tęczy. Nie widziała w tym jednak żadnego porządku. Dwie minuty trwożnego słuchania wystarczyły, żeby zachwiać jej ufnością. Kiedy przebrzmiał ostatni akord, znieruchomiła z zamkniętymi oczyma na krześle jak nakręcana lalka, w której właśnie rozwinęła się sprężyna.

Obok niej klaskały dwie kościste dłonie.

- Cudownie! - chwalił Lotz.

- Wszystko w porządku? - od strony balustrady dobiegł głos Janina.

Pokręciła głową.

- Nic nie widziałam.

- Widziałam? - zdziwił się organista.

W końcu podniosła powieki, spojrzała na starca i opowiedziała mu o swoim darze słyszenia barw. Lotz zapytał, czy synestezja jest zaraźliwa, i Sara musiała wyjaśnić mu, czego właściwie spodziewała się po tym utworze. Wspomniała o testamencie przodka, przemilczała jednak sprawę Purpurowych Nut.

- To, co widzę, w wielkim stopniu zależy od barwy dźwięków - wyjaśniła na końcu. - Może powinniśmy zmienić rejestry?

Starzec ściągnął usta.

- Chętnie. Proszę powiedzieć mi, czego sobie pani życzy, a ja włączę odpowiednie piszczałki. Proszę tylko zwrócić uwagę na czas. Za dwadzieścia minut będę musiał, mimo że sprawia mi to wielką przykrość, wyprosić panią.

Zmarszczyła czoło.

- Ile rejestrów mają te organy?

- Sto trzy Sara jęknęła.

- Za dużo, żeby sprawdzić je wszystkie.

- Ma pani rację. Moglibyśmy siedzieć tu i eksperymentować aż do świętego nigdy. Zanim jednak zmarnujemy pani cenny czas na błądzenie po omacku, spróbujmy sprawdzić kilka rejestrów, które najlepiej pasują do charakteru tej kompozycji.

Sara zwróciła się w stronę Janina. Ten skinął głową. Ponownie skierowała wzrok na organistę, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Doskonała propozycja, panie Lotz. Zaczynamy.

Laszlo Lotz doskonale znał mocne i słabe strony swojej diwy. Wybierał różne barwy, pasujące zarówno do epoki, jak i twórczego dorobku Liszta, zwłaszcza jego kompozycji organowych. Za każdym razem zmieniała się lśniaca kurtyna,

która otaczała Sarę podczas gry. Ani razu nie dostrzegła jednak nic ponad przypadkowe barwy i kształty. Czas błyskawicznie uciekał.

Nagle, kiedy zostało im już niewiele ponad pięć minut, Sara przerwała kolejną próbę i krzyknęła:

- Dość! To nie ma sensu. Możemy tak szukać całą wieczność i nie znaleźć właściwej barwy.

- Aż do świętego nigdy - powtórzył Lotz.

- Jestem pewna, że Liszt pozostawił wskazówkę, jakich rejestrów należy użyć. Po prostu nie potrafimy jej dostrzec.

- Naszym jedynym punktem zaczepienia jest korona świętego Stefana - przypomniał jej niepotrzebnie Janin.

Spojrzała organiście prosto w oczy.

- Czy istnieje coś takiego jak rejestr królewski, panie Lotz? Albo taki, w którego nazwie byłaby korona?

Pokręcił głową.

- Jeśli chcę uzyskać majestatyczny dźwięk, otwieram z reguły jeden albo kilka pryncypałów. Ale tego już próbowaliśmy.

Sarze zaszklily się oczy. Wyciągnięty palec wskazujący wznosił się jej i opadał, kiedy mruzczała pod nosem:

- Tak, ale tylko w połączeniu z innymi. Powiedział pan wcześniej, że akustyka tego kościoła wymaga bardzo uważnego akcentowania podczas grania polifonicznych fragmentów. - Zwróciła się do Janina: - Przypomniało mi się właśnie, co przeczytałam w pewnej książce o późnym okresie Liszta: zerwał z, jak zostało to tam określone, „polifoniczną otyłością” wcześniejszych lat.

- To jest to! - wyrwało się profesorowi. - Kto wie, może nawet myślał wtedy właśnie o kościele Macieja. Proszę wyłączyć pozostałe rejestry, tak żebyśmy słyszeli tylko pryncypały.

Lotz nastroszył się.

- Moja diwa to nie jakieś tam organy Hammonda. Tam może pan sobie wyłączać rejestry do woli. Tutaj się je zamyka!

- Proszę być tak dobrym! - poprosiła Sara. Jej pół godziny prawie dobiegło końca.

Organista ustawił wszystkie cugi w pozycji wyjściowej, pozostawiając otwarte tylko rejestry główne.

Sara raz jeszcze zaczęła grać *Ofiarowanie*. Mniej więcej w połowie

przerwała jednak i znowu pokręciła głową.

- Nie widzę nic, co choć trochę przypominałoby sensowny obraz.

Lotz skrzywił się.

- Nie chcę nalegać, ale wkrótce będzie tu gwar jak w gołębniku. Powinniśmy już kończyć.

Sara spojrzała na anioła o obliczu Franciszka Liszta, który obserwował jej bezowocne wysiłki. Strzeliła palcami.

- Nie ma przypadkiem rejestru, który nazywałby się „niebiański głos”?

- Chodzi pani o *vox coelestis*.

- Tak! Proszę, panie Lotz...

- Dobrze, dobrze - organista przerwał kolejną serię błagań, zamknął pryncypały i otworzył „niebiański głos”.

Sara ponownie rozpoczęła grę - i tak jak poprzednio przerwała przed końcem.

- To też nie to - jęknęła.

- Obawiam się zatem, że nie mogę pani pomóc, madame.

W poszukiwaniu pomocy spojrzała na Janina, ten jednak wzruszył tylko bezradnie ramionami.

- Czy zatem w pańskich organach nie ma nic majestatycznego? - ponownie zwróciła się do starca.

- Cała diwa jest majestatyczna - odparł Lotz urażony.

- Przepraszam, nie o to mi chodziło. Chciałam tylko.

- Madame d'Albis - Lotz przerwał jej zdecydowanie. - Jest pani niezwykle utalentowaną pianistką i darzę panią wielkim podziwem. Nie żałuję też, że wypożyczyłem pani na pół godziny moje organy, ale teraz już naprawdę koniec. Jeśli kościelny mnie tutaj znajdzie, zlecą się wszyscy diabli.

- No to naprawdę musi być sługusem Belzebuba - mruknął Janin.

Lotz rzucił profesorowi jadowite spojrzenie.

- Jest może coś takiego jak piszczałka cesarska? - zapytała Sara; chodziło jej o coś więcej niż tylko odwrócenie uwagi.

- Nie - burknął organista.

- A rejestr koronny?

- Też nie. Pani czas dobiegł. Proszę zaczekać! Coś przyszło mi do głowy Sara odruchowo pochyliła się jego w stronę.

- Tak?

Ten uśmiechnął się, błyskając złotymi zębami, i palnął się dłonią w czoło.

- Że też wcześniej o tym nie pomyślałem. Kilka lat temu mieliśmy gości z parafii w andaluzyjskiej Marchenie. Był wśród nich też organista. Studiował muzykę w Niemczech, dzięki czemu mogliśmy pogadać na tematy zawodowe. Oczywiście, mówiliśmy również o możliwościach naszych instrumentów. Powiedział mi wtedy: „Wie pan, panie Lotz, co jest naprawdę zabawne? Trąbka hiszpańska w Hiszpanii nazywa się zupełnie inaczej, a mianowicie *trompeta real*”. To znaczy.

- Trąbka królewska - wyszeptała Sara, patrząc na organistę wielkimi oczyma.

- Nie - odparł ten zdecydowanie, zanim ubrała swoją prośbę w słowa.

- Proszę dać mi jeszcze jedną szansę. Proszę otworzyć trąbkę hiszpańską - błagała Sara.

Starzec wił się jak piskorz.

- Zrobiłbym to z najwyższą chęcią, ale.

Od strony wejścia dało się słyszeć skrzypienie.

- Ale słyszy pani sama, madame d'Albis. Ktoś idzie. O wiele za wcześnie, to prawda, ale dla pani już jest za późno.

Sara usłyszała czyjś głos wołający z dołu „Laszlo?”, a potem potok niezrozumiałych słów.

Organista odpowiedział coś po węgiersku, a potem zwrócił się znowu szeptem do Sary.

- To ojciec Gink. Usłyszał grę i prosi, żebym przestał ćwiczyć.

Ogarnięta wewnętrznym impulsem Sara wstała z za stołu, ucałowała starca w oba policzki i wyszeptała:

- No dobrze. Nie chciałabym przysparzać panu dodatkowych kłopotów. Dziękuję za pomoc.

Trzeci pocałunek złożyła na czole organisty, a potem wypuściła go z objęć.

Westchnął.

- To nie fair, madame.

- Proszę mi wybaczyć. Nie chciałam sprawiać panu. - zamilkła, ponieważ Lotz właśnie zamknął *vox coelestis* i, nie bez widocznych oporów, włączył hiszpańską trąbkę.

W nawach kościoła rozbrzmiał gwar. Najwyraźniej ksiądz zaprosił już pierwszych zwiedzających.

Lotz wskazał na manualy.

- A ojciec Gink? - szepnęła Sara.

- Będzie zachwycony moimi nowymi umiejętnościami. Kiedy pani będzie grała, ja zastanowię się, jakie mam ostatnie życzenie. A teraz proszę w końcu zacząć grać.

Tego nie trzeba było Sarze powtarzać dwa razy. Partyturę знаła już na pamięć, zamknęła więc oczy i zagrała.

Trąbka hiszpańska była horyzontalnie umieszczonym rejestrem, który brzmiał tak, jakby szpaler średniowiecznych muzyków stanął na murach miejskich i zapowiadał przybycie króla. Nosowy tembr głosu nie licował z powagą Ofiarowania, ale przynajmniej tym razem Sary nie spotkało rozczarowanie. Już po kilku taktach dzieło Liszta i splekane wewnątrz kościoła Macieja połączyły się w niepowtarzalną konstrukcję dźwiękową, a przed oczyma duszy Sary powstała kolejna wiadomość:

W DOLINĘ PIEKIEŁ SKIERUJ KROK
W CZARNEGO KSIĘCIA TWARZ TAM SPÓJRZ
KU WIATRÓW HARFIE ZWRÓĆ SWÓJ WZROK
Z LICZBĄ JEJ CZEKA PIERWSZY STRÓŻ
INTRYGĘ PURPUROWYCH NUT
UKAŻE TWOIM OCZOM CRUX
W FINALE ZAŚ SŁYSZĄCYCH LUD
PONIESIE POST TENEBRAS LUX

Kiedy przebrzmiały ostatnie takty, Sara jak oparzona oderwała palce od klawiszy. Spojrzała z oburzeniem na drewnianego anioła w górze i krzyknęła:

- To jakiś obłąd! Mam może naprawdę zejść do piekła i uciąć sobie pogawędkę z diabłem?

Gwar w nawach kościoła wzmógł się. Niektórzy ze zwiedzających zaczęli klaskać. Rozległ się podniesiony głos ojca Ginka. Niósł w sobie pytanie. I gniew.

Organista złapał Sarę za ramię.

- Szybko, proszę za mną! Wyprowadzę panią stąd!

Niemniej pozwolę sobie na śmiałość zaoferowania moich obu rąk w koncercie na rzecz ofiar powodzi (...). W roku 1838, kiedy po raz pierwszy wróciłem do Wiednia, dałem tam koncert na rzecz ofiar powodzi w Peszcie (...).

Będzie to dla mnie pociechą, jeśli będę mógł zamknąć swoją długą karierę wirtuoza, wypełniając podobny obowiązek. Aż do śmierci pozostaję wiernym i wdzięcznym synem Węgier.

Franciszek Liszt, w liście z 1 marca 1876 do Augusta von Treforta, węgierskiego ministra edukacji

Rozdział 22.

Budapeszt, 22 stycznia 2005, 7:11

Gwałtowna reakcja Sary na najnowszą wiadomość dźwiękową od przodka wprawiła w konsternację raczej Lotza niż Janina. Zakłopotanie organisty jeszcze się zwiększyło, kiedy nastąpiły po nim bezładne przeprosiny. Chcąc uciec surowemu ojcu Ginkowi, cała trójka wymknęła się na wolność krętymi ścieżkami, oszczędzając już sobie dalszych wyjaśnień. Kiedy Sara zaproponowała Węgrowi na pożegnanie sto dolarów za jego trud, ten szczerze się oburzył, wziął jednak pieniądze, żeby przeznaczyć je na konserwację swojej diwy

Następnie Sara i Janin przeszli pod Basztą Rybacką w kierunku Dunaju. Pianistka orzekła, że spacer pomoże jej myśleć. Prawdziwym powodem jej zaskakującego pragnienia ruchu byli jednak Słyszący Barwy, przeczuwała bowiem, co ją czeka. Niczym psy myśliwskie zwietrzą jej ślad i będą czyhać na nią przy kolejnej stacji tropu róży wiatrów. Co mogła zrobić, żeby umknąć prześladowcom? Najchętniej stałaby się niewidzialna.

- Co pani ujrzała, Saro? - zapytał Janin, kiedy przechadzali się wzdłuż brzegu rzeki po stronie Budy. Aż do tej chwili profesor zachowywał taktowne milczenie.

Sara poprawiła na ramieniu pasek torby na laptopa i powiedziała cicho:

- Kolejną wiadomość.
- Do tego doszedłem już sam. Nie sądzi pani, że powinniśmy o tym porozmawiać?

- Oczywiście, że powinniśmy. Poza tym muszę szybko znaleźć kilka informacji w Internecie. Ale nie w hotelu, w którym podrzucają do pokoiów telefony. Tam nie jesteśmy bezpieczni.

Kolejne pytania profesora zbyła milczeniem. Szli więc dalej w ciszy, jak bezradny ojciec z dorastającą córką, która przechodzi właśnie fazę buntu. Przez Most Łańcuchowy wrócili do Pesztu. Tam znaleźli kawiarnię, która była już otwarta. Nosła nazwę „Farger”. Wywieszka na oknie głosiła, że jest w niej hotspot, co przesądziło o wyborze. Nie pytając towarzysza o zdanie, Sara weszła do środka.

Wnętrze powitało gości chłodną rzeczowością: okrągła lada z błękitnego szkła, dookoła stołki, których niskie oparcia sprawiały wrażenie tyleż stylowych, co niewygodnych, poza tym zarzucone magazynami i gazetami półki, plakaty z filiżankami kawy (pełnymi i pustymi), rozgałęziony kaktus (prawdopodobnie meksykański) i uśmiechnięta młoda kobieta, która sprawiała wrażenie, że jeszcze niezupełnie się obudziła. Zapytana o spokojne miejsce natychmiast poleciła sąsiedni pokój.

Usiedli więc na cienko, iście po spartańsku wyściełanych ławeczkach po obu stronach stołu i rozgrzali się, pijąc ciepłe napoje. Sara otworzyła laptopa. Szybko wpisała kilka terminów i sprawdzała w sieci wyniki.

Janin objął wzrokiem kawiarnię. „Farger” była lustrzanym odbiciem miasta: nowoczesna, a jednocześnie uwięziona w przeszłości. Parkiet i proste meble z jasnego drewna spodobałyby się nawet wyczulonym na styl mieszkańcom Kopenhagi, zaś rozstawione tu i ówdzie czarne skórzane sofy i perskie dywany były daniną złożoną raczej tradycyjnemu węgierskiemu wyczuciu smaku.

Naraz Sara roześmiała się zjadliwie.

- Może potęga Słyszących Barwy nie sięga wcale tak daleko. Siedem i pół godziny po pełni księżyca nikt w sieci nie słyszał jeszcze o obalonej bogini.

Janin właśnie oparzył sobie język, pijąc mokkę, skrzywił się więc i zapytał:

- Ma pani przy sobie może telefon od Niekrasowa?

- Zostawiłam go w pokoju hotelowym. Może jego ludzie wezmą go sobie stamtąd i cała ta hucpa się skończy.

- Sama pani w to przecież nie wierzy.

Pokręciła głową.

- Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewna, czy w ogóle powinniśmy

rozwiązywać zagadkę z najnowszej wiadomości.

- Wydaje mi się, że to już wczoraj ustaliliśmy. Jeśli podda się pani teraz, nie odsunie pani godziny Słyszących Barwy, lecz przyczyni się, że nastąpi dużo szybciej. Poza tym wtedy przestałaby już pani być Orłom potrzebna. Byłaby tylko niebezpieczna.

Sara przełknęła ślinę. Czuła się tak, jakby za gardło ścisnęła ją zimna dłoń.

- Mówi pan, że ostrzeżenia Niekrasowa są.

Skinął głową.

- Pani dar umożliwił pani dostęp do wiedzy, która czyni z pani zagrożenie dla Bractwa. Tylko jeżeli będziemy nadal o krok wyprzedzać Ciemnych, w końcu zwyciężymy.

Patrzyła na ekran komputera, nie widząc żadnej z wyświetlonych na nim liter. W co ona się wpakowała!

- Saro? - odezwał się Janin delikatnie.

Oderwała wzrok od monitora.

- Tak?

- W kościele sprawiała pani wrażenie tak... rozbitej. Co ukazały pani organy?

Sara powtórzyła treść najnowszej wiadomości i zdziwiła się reakcją rozmówcy. Najpierw zbladł, potem spojrzał na nią zaskoczony, a w końcu pochylił się do przodu, żeby dać gwałtowne ujście złości.

- Wciąż jeszcze uważa pani Liszta za anioła światłości?

Wybuch Janina spadł na Sarę jak grom z jasnego nieba. Posłała profesorowi wściekłe spojrzenie. Jego skłonność do przypisywania kompozytorowi mrocznych machinacji stopniowo zaczynała działać jej na nerwy. Oburzona odparła:

- Liszt nie mógł być demonem, którego usiłuje pan z niego zrobić. Dał niezliczone koncerty dobroczynne, w tym także wiele na rzecz ofiar powodzi na Węgrzech.

Profesor wytrzymał przez chwilę jej pałający wzrok, a potem nagle machnął ręką.

- Nie ma sensu się o to kłócić. Powinniśmy raczej skupić się na rozwiązaniu najnowszej zagadki.

W tym punkcie, co prawda, byli zgodni, jednak Sara nie potrafiła tak po prostu przełączyć się na dobry nastrój. Kiedy jej gniew osłabł, na pierwszy plan ponownie zaczęła wysuwać się odczuta już w kościele Macieja niepewność.

Pokręciła głową.

- Treść najnowszej wiadomości wydaje mi się dużo bardziej zawiła niż wszystko to, czym Liszt raczył pobłogosławić nas do tej pory. Ostatni wers nie mówi mi absolutnie nic.

- *Post tenebras lux?* To po łacinie, oznacza „po ciemności światło”.

Sara wpisała te słowa w wyszukiwarkę, wcisnęła przycisk enter - i gwizdnęła przez zęby

- Dziesiątki tysięcy trafień! - kliknęła pierwszy link i przebiegła wzrokiem tekst. - To zdanie jest dewizą miasta Genewy. Ma najwyraźniej coś wspólnego z reformacją.

Profesor ziewnął.

- Niestety ani światło protestantyzmu, ani mroki katolicyzmu nie przyniosły ludzkości szczęścia i pokoju. Poza tym, podróż ku światłu przez ciemność odgrywa też ważną rolę w symbolice wolnomularskiej. Ten obraz ma korzenie alchemiczne: dopiero dzięki mistycznej śmierci i rozkładowi materia zyskuje tę doskonałość, która pozwala przemienić ją w kamień filozoficzny.

Sara patrzyła z ponurą miną na cyfry przy górnej krawędzi ekranu: czterdzieści tysięcy siedemset wyników dotyczących łacińskiej dewizy.

- Liszt mieszkał w Genewie z Marią d'Agoult, swoją pierwszą towarzyszką życia - wspomniała niemrawo.

- Co może znaczyć wszystko i nic. Jak Genewa pasuje do pozostałych wskazówek, do „doliny piekieł” i „czarnego księcia”? Spróbujmy to jakoś połączyć.

- Ma pan rację. To powinno zmniejszyć liczbę wyników - Sara wpisała w wyszukiwarkę dodatkowe terminy. Dwie sekundy później na ekranie pojawił się rozczarowujący komunikat. - Błąd. Ani jednego trafienia.

- Zastanawiające - zdziwił się Janin.

Sara ze zmrużonymi oczyma pociągnęła łyk herbaty. Nagle, poruszona, odstawiła filiżankę. Znowu zastukotała klawiatura.

- Olśnienie? - zapytał Janin.

- Tak. Wpisałam zapytania w ojczystym języku Liszta: po niemiecku. Teraz spróbuję po francusku, *Val d'Enfer* i *prince noir*. - Jej palec wskazujący opadł z impetem na klawisz enter.

- Wow! - szepnęła, kiedy na ekranie wyświetliła się odpowiedź. Janin

podniósł się z ławki, żeby stanąć koło niej. Kiedy jego wzrok padł na ekran, zmarszczył czoło.

- Tylko jeden wynik?

Sara kliknęła link, otwierając stronę z obszernym opisem, który pospiesznie przeczytała.

- To o ruinach, które noszą nazwę „Post Tenebras Lux”. A „Le Prince Noir” to mały hotelik w starej cytadeli Les Baux de Provence.

- Południowa Francja? Brzmi obiecująco. Liszt zapewne doskonale znał okolicę. Jeśli mnie pamięć nie myli, odbył tam tournée jeszcze jako piętnastolatek. Poza tym doskonale wpisuje się to w trop róży wiatrów. Kolejną literą w N+BALZAC jest „L”, oznaczające tutaj *Libs*, wiatr wiejący z południowego zachodu.

- To pasuje też do Genewy, która leży zresztą dokładnie na linii między Weimarem i Les Baux.

Janin znów usiadł naprzeciwko Sary i uśmiechnął się z satysfakcją.

- Z geografii miała pani na pewno same piątki.

Sara wzruszyła ramionami. Oczy wciąż miała utkwione w monitorze. Kiedy dalej przeglądała wyniki, wyjaśniła.

- Po prostu ciągle jestem w rozjazdach. Poza tym niedawno odwiedziłam Château d'Arpaillargues w miejscowości Uzes. To niedaleko Les Baux. Mieszkała tam Marie de Flavigny.

- Kto?

- Późniejsza hrabina Marie d'Agoult, którą Liszt obdarzył trójką dzieci.

- Doprawdy! Sądziła pani może, że wywodzi się od jej córki Cosimy?

- Dlatego że poślubiła Ryszarda Wagnera, a ja dzięki temu miałabym należeć do jednej z najszynniejszych rodzin muzyków? Nie. Drzewo rodowe Cosimy jest doskonale udokumentowane. Myślałam raczej o pozostałej dwójce: Danielu i Blandine. Niemożliwe! - wyrwało się nagle Sarze.

Janin wysunął podbródek i spojrzał ponad własnym nosem w stronę komputera.

- Proszę powiedzieć, że pani szaleńcza klikanina się opłaciła.

- Jeszcze jak! - Sara podniosła wzrok znad monitora i spojrzała prosto w ciemne oczy Janina. - Kiedy opowiadał mi pan w Weimarze o wielkiej schizmie wśród Słyszających Barwy, wspomniał pan, że wszystkiemu winne były machinacje opętanego żądzą władzy duchownego.

Skinął głową.

- Tak. Nuty zawierające zapis Nauki Dźwięków Jubala nazwano Purpurowymi w nawiązaniu do kardynalskiej purpury.

- Czy to możliwe, że tym intrygantem był kardynał Richelieu, pierwszy minister Francji za Ludwika XIII i jego następcy, Króla-Słońce? - Obróciła komputer w stronę Janina, tak żeby mógł sam przeczytać, jaki los był udziałem Les Baux de Provence.

Ancien regime, który przez powszechną nierówność i wyzysk człowieka napełniał Liszta głęboką odrazą, rozkwitł w pełni dopiero dzięki bezkompromisowej polityce mocarstwowej kardynała Richelieu. Duchowny ten, pragnąc za wszelką cenę wzmocnić władzę absolutną, bynajmniej nie robił sobie ceregieli z przeciwnikami. Szczególną nienawiścią darzył hugenotów - francuskich kalwinistów. Po oblężeniu i zdobyciu La Rochelle zwrócił uwagę na Les Baux de Provence, drugie centrum protestantyzmu we Francji.

Feudalny pan Les Baux Jean-Baptiste Gaston, książę Orleanu, spiskował przeciwko własnemu bratu, którego był lennikiem. Bratem tym był właśnie Ludwik XIII, król Francji. Richelieu dostrzegł w tym spisku dobry powód do rozpoczęcia oblężenia cytadeli Les Baux w roku 1632. Po dwudziestu siedmiu dniach w obrońcach załamała się wola oporu. Zmęczeni wojną mieszkańcy własnoręcznie zburzyli zamek, żeby udobruchać nieubłaganego kardynała.

- Z grubsza znam tę historię - powiedział Janin, zakończywszy lekturę.

Sara znów odwróciła komputer w swoją stronę. Wszystko się w niej gotowało. Nie po raz pierwszy raz czuła się tak, jakby Janin trzymał ją na krótkiej smyczy. Powiedziała zimno:

- Oczekuję od pana szczerzej odpowiedzi, Olegu. Wiedział pan, że Szkarłatna Partytura zawdzięcza nazwę właśnie kardynałowi Richelieu?

Profesor zawahał się.

Trudności w doborze słów Sara odebrała jako przyznanie się do winy i dopiero teraz wpadła w gniew.

- Nie uważa pan, że trzeba było podzielić się ze mną tym szczegółem? Jeśli rzuci pan dowolnemu Francuzowi słowo „kardynał”, ten natychmiast dopowie sobie „Richelieu”. Dlatego chciał pan ukryć przede mną jego tożsamość?

- Ponieważ nie chciałem kierować pani podejrzeń w stronę, która mogła okazać się błędna. Jestem historykiem, Saro. W nauce liczą się fakty, nie

domysły.

Mierzyła go wzrokiem oczu zwężonych w szparki.

- Nie prowadzi pan ze mną podwójnej gry, prawda?

- Znowu zaczynamy?

- Oboje wiemy doskonale, jak bardzo opanowała pana myśl o odnalezieniu Purpurowych Nut. Szczerze mówiąc, nie zdziwiłoby mnie zbytnio, gdyby spróbował się mnie pan w pewnej chwili pozbyć.

Janin rozłożył ręce na stole.

- Złe mnie pani ocenia, Saro. Przyznaję, w poszukiwaniu Królowej Dźwięków przekroczyłem już wiele granic, ale wyprowadzić w pole panią? - Pokręcił zdecydowanie głową. - Jak niby miałbym tego dokonać? Tylko pani dysponuje tym specjalnym rodzajem *audition colorée*, który umożliwia odnalezienie Nauki Dźwięków.

To była prawda. Bez niej nigdy tak daleko by nie dotarł. Może po prostu nie potrafił łatwo zrzucić belferskiej skóry, która kazała mu stawiać przed uczniami zadania i nie obciążać ich dodatkowymi informacjami. Głośno odetchnęła i ponownie wskazała na monitor.

- Przynajmniej posunęliśmy się trochę z wyjaśnianiem najnowszej zagadki. Mówiąc o „intrydze Purpurowych Nut” Liszt mógł mieć na myśli spisek kardynała Richelieu. Wspomniany przezeń Crux może być krzyżem rozłamu, który od tamtej pory muszą nieść Słyszący Barwy. Domyśla się pan może, o kogo może chodzić z pierwszym stróżem Harfy Wiatrów?

- Nie mam pojęcia.

Odpowiedź Janina nadeszła tak szybko, że nieufność Sary rozgorzała na nowo.

- Na pewno nie?

Profesor westchnął.

- Mogło chodzić mu o harfę Eola, czyli instrument, nad którym człowiek nie ma władzy, a który słucha tylko wiatru.

- Harfa wietrzna? Ależ oczywiście! Aż dziw, że sama na to nie wpadłam, ale ten wiersz jest strasznie zawiły. Sprawdzę, co mówi na ten temat moja przenośna biblioteka.

Znowu zaczęła stukać w klawisze. Najpierw przeszukała encyklopedie na twardym dysku, a potem znowu Internet. Harfa Eola występowała w zatrważająco wielkiej liczbie artykułów i ofert sprzedaży, ale kiedy chciała

powiązać nazwę instrumentu z miejscowością Les Baux de Provence albo innymi terminami z wiadomości, na ekranie nic się nie pojawiało. Sara zawzięcie próbowała innych połączeń, ale im dłużej krążyła po oceanie informacji, tym bardziej czuła się zagubiona. W końcu zatrzęsnęła gniewnie klapę laptopa i spojrzała wściekle na prowokatorsko radosną twarz profesora.

- Z czego się pan tak cieszy?

Jego tors zadrżał od wstrzymywanego śmiechu.

- Proszę nie brać mi tego za złe, ale podoba mi się myśl, że pani i pani Internet nie znacie odpowiedzi na wszystkie pytania.

- To wcale nie jest mój Internet - odburknęła.

- Jednak wydaje się, że Lisztowi udało się wywieść nas w pole. Nie chcę uchodzić za jasnowidza, ale odnoszę wrażenie, że za tak wyszukany zamkiem musi kryć się coś szczególnego.

- Zastanawiam się tylko, jak mamy go otworzyć.

- Czy to nie jest jasne jak na dłoni? Proszę spakować komputer. Lecimy do Les Baux de Provence!

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA==

LIBS (POŁUDNIOWY ZACHÓD)

LES BAUX DE PROVENCE

*Naklonię mego ucha ku przypowieści, przy dźwięku liry wyjaśnię mią
zagadkę.*

Psalm 49, 5^{[10](#)}

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA==

Rozdział 23.

Les Baux de Provence, 26 stycznia 2005, godzina 22:19

Wąska wapienna skała płynęła przez noc jak napadnięty przez piratów statek. Cały płaskowyż był poryty bliznami, jak po wielogodzinnym ostrzale. Niektóre budynki legły w gruzach, inne natomiast stały nietknięte i wciąż zapewniały schronienie mieszkańcom. Tu i tam błyskały światła pozycyjne jakiegoś samochodu. Stara łajba o nazwie Les Baux de Provence podczas swojej żeglugi po wzburzonych morzach historii przetrwała już niejeden sztorm, nigdy jednak nie zatonęła. Wciąż krnąbrnie rzucała wyzwanie rozgwieżdżonemu niebu.

Księżyc obojętnym okiem cyklopa patrzył na rozsypującego się ze starości peugeota, który zmierzał w kierunku największych w całej Francji ruin. Na tylnym siedzeniu samochodu w milczeniu siedzieli Sara d'Albis oraz Oleg Janin. Kobieta mniej więcej czternaście godzin temu wzniosła między sobą a towarzyszem mur milczenia, aby pokazać, co sądzi o całej jego tajemniczości.

Les Baux de Provence wyznaczało tymczasowy koniec ich małej odysei. Próbując zgubić siepaczy Niekrasowa, wyruszyli z Budapesztu najpierw pociągiem do Wiednia. Tam wsiedli do samolotu Air France lecącego do Lyonu, a przed ósmą ruszyli dalej do Marsylii. W porównaniu z innymi postojami podczas ich tułaczki, Sara czuła się w tej portowej miejscowości nadzwyczaj dobrze. Aby zostawić za sobą jak najmniej śladów, zapłaciła horrendalną sumę byłemu członkowi Legii Cudzoziemskiej z Uzbekistanu, żeby zawiózł ją swoją „półlegalną” taksówką na miejsce przeznaczenia, leżące na południowych stokach masywu Alpilles.

Uzbek pędził peugeotem na złamanie karku, zupełnie jakby nigdy nie zakończył służby w *Legion etrangere* i wciąż należał do tajnej grupy szybkiego reagowania. Dotarł jednak do miejsca oznaczonego na mapie w znakomitym czasie pięćdziesięciu jeden minut, bez kontaktu z wrogiem i wartych

wzmiankowania strat cywilnych (szczur, który odważył się stanąć na drodze samochodu, został rozwałkowany). Wyraźnie zadowolony z własnego wyniku wysadził oboje podróżnych w wąskim labiryncie uliczek Les Baux na Grande Rue Frederic Mistral.

- To wasze kwatery. Pensjonat nazywa się „Hotel Bautezar”. Tak jak sobie życzyliście: żadne wielkie luksusy, ale ma trzy gwiazdki, więc jest jeszcze znośnie. O tej porze roku zazwyczaj ma wolne miejsca.

Teraz Sarę ogarnęły wątpliwości. Przez okno samochodu podejrzliwie mierzyła wzrokiem renesansową willę. Nie mogło się tam zmieścić więcej niż tuzin pokoi. Może jednak nie będą musieli spędzić nocy pod gołym niebem. Wyplącała legioniście żołąd i odesłała go z powrotem do bazy Janin przed wejściem do hotelu zwrócił się pojednawczo do swojej partnerki.

- Gdyby nawet Ciemni zdołali dotrzeć naszym śladem aż do tego chłopaka, nas już tu wtedy dawno nie będzie.

Sara udawała, że nie słyszy. Śledziła wzrokiem tylne reflektory taksówki, aż zniknęły w labiryncie małych uliczek. W końcu zaczęła wodzić spojrzeniem w górę piaskowcowej fasady budynku - i nagle zatrzymała je na herbie nad wejściem. Była jak naelektryzowana.

Obramowane prostokątem godło zwieńczone było popiersiem Murzyna w koronie. Na głowicy poniżej widniała róża wiatrów. Pod herbem zaś, w miejscu dewizy, napisano - na pierwszy rzut oka z błędem - nazwę lokalu.

BAVTEZAR

- „Bavtezar”? - wyszeptał Janin zdziwiony. Zainteresowanie Sary herbem bynajmniej nie uszło jego uwadze.

- „Bautezar” zamiast „Bafftezara”. To po prowansalsku - wyjaśniła. - Pewnie zna go pan jako króla Baltazara.

- Króla?

Sara miała na myśli francuski termin *roi mages* - królowie-magowie.

- Jednego z Trzech Króli. Nie wiem, jak mówi się na nich po rosyjsku. W każdym razie ewangelie ani słowem nie wspominają o ich królewskim pochodzeniu. Mowa w nich wyłącznie o mędrkach.

Janin skinął głową.

- *Tri caria* - tak zazwyczaj nazywa się ich w Rosji. Trzej Królowie.

- A Baltazar, jeśli wierzyć przekazom, był z nich najstarszy. Starzy władcy

Les Baux de Provence wywodzili od niego swoje pochodzenie.

- Na pewno wyczytała to pani w Internecie.

- Tak to już jest. Czy coś w tym Baltazarze na górze zwraca pana uwagę? - mówiąc to, Sara wskazała na relief nad drzwiami.

Janin wzruszył ramionami.

- A powinno?

- Głowa nad godłem. Widzi pan te wydatne wargi? To twarz o cechach negroidalnych.

- No i? Z tego, co wiem, Baltazar był Murzynem.

- W katolickiej hagiografii orientuje się pan profesor najwyraźniej nieco gorzej - zadrwiła Sara. - Według legend czarną skórę miał najmłodszy Kacper, a nie stary Baltazar. Bardzo chętnie dowiedziałabym się, jak mogło dojść do tej zamiany.

- Czy ma to jakieś znaczenie? Liszt chciał na pewno po prostu zawrzeć w swojej ostatniej wiadomości nazwę miejscowości, której nie można byłoby pomylić z żadną inną: „W Dolinę Piekieł skieruj krok, w Czarnego Księcia twarz w niej spójrz”. Val d’Enfer leży tuż pod tą miejscowością, a tu oto mamy Negra w koronie - Janin wskazał relief z herbem.

Wyjaśnienie profesora brzmiało rozsądnie, ale Sara nie czuła się zupełnie przekonana. Wszystkie poprzednie wiadomości Liszta były wieloznaczne, wskazywały drogę zarówno w świecie rzeczywistym, jak i w jego myślach.

„Nie każdy jest tym, za kogo się podaje” - czy napis na fałszywym Baltazarze był ukrytym ostrzeżeniem?

- O czym pani myśli? - zapytał Janin obok.

Sara zamrugała zamyślona i spojrzała w jego stronę.

- O niczym. Staram się po prostu zrozumieć.

- Co powie pani na to, żebyśmy udali się do ogrzewanej izby? Wiatr tu na zewnątrz nie jest zbyt przyjemny;

- W porządku. Powinien pan jednak przyzwyczaić się do mistralu. Tutaj często wieje cały dzień.

Podeszli do hotelu. Kilka stopni prowadziło do dużej sali jadalnej z piwnicznym sklepieniem. W „Bautezarze” panował staromodny nastrój: surowe ściany z jasnego kamienia, na których gdzieniegdzie wisiały szmaragdowe gobeliny, szacowne stare meble, świeczniki, schody z ciemnobrązowego drewna - dekoracje do sztuki Szekspira nie mogłyby

wyglądać lepiej. Zarówno w restauracji, jak i we wciśniętej w niszę po prawej stronie maleńkiej recepcji nie było żywego ducha.

Na kontuarze stała grawerowana tabliczka z nazwiskiem „Albert-Bernard Cornée” oraz dzwonek. Janin podniósł go, aby przywołać recepcjonistę. Wskazując na szafkę przy ścianie za kontuarem, rzekł:

- Nie brakuje ani jednego klucza. Sądzę, że nie będziemy musieli spać dziś pod mostem.

Z głębin starego domostwa dobiegł głos.

Sara naliczyła jedenaście kluczy. Przy okazji zauważyła obok półki drewnianą tabliczkę z wypisanym cynowymi literami cytatem.

„Rasa orląt, niczyich poddanych”.

Frédéric Mistral

Szturchnęła profesora w bok i wskazała na deskę.

- Czyżby poeta miał na myśli Ciemnych Słyszących Barwy?

Zanim Janin zdołał udzielić odpowiedzi, na scenę wkroczył niezgrabny recepcjonista z rozczochraną czarną grzywą. Sara sądziła, że musiał pełnić podwójną rolę i być też właścicielem hotelu. Wydawało jej się nie do pomyślenia, żeby zwykły pracownik pozwolił sobie na tak niedbały wygląd. Mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna miał na sobie rozciągnięte czarne bawełniane spodnie i koszulę w tym samym kolorze. Spomiędzy jej trzech górnych guzików wyzierało bujne owłosienie klatki piersiowej portiera. Ten mroczny zestaw ożywiała mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy kamizelka. Na stopach recepcjonista miał szare pantofle z filcu.

- Dobry wieczór, madame i monsieur. Moje nazwisko Cornee. Jak mogę pomóc? - tymi słowami przywitał gości, posyłając im też uśmiech z niepokojąco szerokich ust. Cała jego twarz wydawała się przekrzywiona: wspomniany już uśmiech, długi nos, nawet oczy różniły się rozmiarem.

Podczas gdy Janin zajął się formalnościami, Sara dalej patrzyła na cytat z utworu prowansalskiego poety, który nazywał się tak samo jak suchy północny wiatr wiejący akurat na zewnątrz. „Rasa orląt”, która nie chciała być niczymi poddanymi - te słowa, napisane ponad dwieście lat po wielkiej schizmie Słyszących Barwy, zaskakująco dobrze komponowały się z obrazem upartego neofity, który nie pozwolił wodzić się na postronku ani purpuratom, ani miękkim braciom - Łabędziom. Przypadek? A może poeta sam był potomkiem tego...?

- Podoba się pani poezja Mistrala? - rozmyślenia Sary zostały nagle przerwane przez nosowy głos właściciela hotelu.

Oderwała wzrok od tablicy i uśmiechnęła się uprzejmie.

- Zastanawiałam się właśnie, dlaczego pisze tutaj właśnie o orłach.

- Orzeł uchodzi za króla wszystkich ptaków. Występuje w herbie wielu państw. Od dawien dawna służy też za symbol władzy boskiej i cesarskiej, a także duchowego poznania, nowych narodzin i wolności - odparł Janin machinalnie.

W asymetrycznej twarzy monsieur Corneego odbił się najpierw podziw, a potem coś szelmowskiego.

- Nie można też zapominać o młodym Napoleonie Bonapartem. Jego też nazywano *aiglon*, orłęciem - wyjaśnił, wskazując kciukiem za siebie. - Frederic Mistral mógł mieć jednak na myśli raczej niezłomnych mieszkańców tej miejscowości. Les Baux de Provence przypomina orle gniazdo strzegące drogi przez Alpy, które służyło też za schronienie wszystkim niepokornym.

- Czy słyszał pan kiedyś może o bractwie, które nazywałoby się Orłami? - spytała Sara wprost. Usłyszała, jak obok profesor gwałtownie wciąga powietrze.

Czarne oczy właściciela hotelu parzyły uważnie na oboje gości. Ich zachowanie wydawało mu się w najwyższym stopniu niezwykle. Potem odpowiedział.

- Aż tak dobrze nie orientuję się w historii hugenotów.

- A czy mówi coś panu nazwa Słyszący Barwy?

Janin sapnął.

- Przykro mi, madame.

- A stowarzyszenie Białych albo Ciemnych, albo.

- Mamy tutaj kaplicę białych pokutników, gdzie czci się statuę świętej Stelli, patronki ruchu pokutniczego.

- Penitents blancs to zakon religijny. Nie sądzę, żeby to nam pomogło. - wmieszał się nagle jej rosyjski towarzysz, ale Sara powstrzymała go ruchem ręki.

- Panie Cornee, od kiedy wejście do pana hotelu zdobi czarna księżę z różą wiatrów?

- To nie żadna róża wiatrów tylko gwiazda betlejemska.

„Ależ oczywiście” – pomyślała Sara. Z Baltazara robi się Murzyn, z róży wiatrów – gwiazda betlejemka. Czy widzą to, co chcą.

– Czy ten herb ma więcej niż sto pięćdziesiąt lat?

– Nie. Wykonano go w 1953 roku, kiedy otwarto tu restaurację. Ale podobne motywy znajdzie pani w całej miejscowości.

– Rozumiem. Mam jeszcze jedno pytanie: Czy mieszka tu może ktoś, kogo określa się mianem stróża harfy, albo może ten tytuł coś panu mówi?

Tym razem Cornee zastanowił się nad odpowiedzią nieco dłużej. Potem pokręcił powoli głową i odparł: „Nie.” i natychmiast dodał:

– Ale może pomoże państwu madame Le Mouel. Wcześniej grała w Orchestre Philharmonique de Marseille. Jako harfistka.

Walizka podejrzanie głęboko zapadła się w materacu. Kiedy Sara wypakowywała ubrania, wyobrażała sobie, jak łóżko odkształca się pod jej ciężarem. Prawdopodobnie czekało ją przebudzenie z okropnym bólem pleców.

Pokój hotelowy utrzymano w stylu Ludwika XVI, nie dlatego jednak, żeby monarcha odczuwał jakiś specjalny wstręt do luksusu (nawet stojąc w cieniu gilotyny, zwracał uwagę na schludność), ale z powodu starych mebli: łoża z baldachimem o bogatym kwiatowym wzorze, spaczony szafy, której nie dawało się zamknąć, oraz maleńkiej łazienki z prehistoryczną armaturą – Sara już dawno nie mieszkała w tak nędznych warunkach.

Poza tym tej muzealnej noclegowni najwyraźniej też od dłuższego czasu nie wietrzono. Pierwsze kroki pianistka skierowała więc w stronę okna. Otworzyła oba skrzydła i wzięła głęboki oddech. Przynajmniej w Les Baux de Provence nie panował ani kopenhaski mróz, ani wilgotny chłód Budapesztu. Teraz, kiedy monsieur Cornee opisał jej już drogę do domu Florence Le Mouel, była zresztą zbyt podniecona, żeby marznąć. Dopiero kiedy mistral wdarł się do środka pomieszczenia zbyt gwałtownym powiewem, muskając ją po plecach rozwianymi zasłonami, zatrzęsa się z zimna. Gdzieś zaszczekały psy.

Kiedy chciała odwiesić do szafy wyjęty stamtąd wieszak, jej wzrok spoczął na czarnej torbie na laptopa. Było to jak poruszenie pierwszej kostki domina, wyzwalające cały ciąg rozważań, na którego końcu znajdowało się mętne wspomnienie.

„Powalona bogini”.

Sara spojrzała na okrągły księżyc świecący za oknem. Zdecydowanym

gestem zamknęła walizkę i zajęła z laptopem miejsce przy meblu, który z powodu swych mizernych rozmiarów z trudem tylko zasługiwał na miano stołu. Połączyła się z Internetem przez komórkę i powtórzyła wyszukiwanie, które przeprowadziła rano w budapeszteńskiej kawiarni „Farger”. W głębi duszy miała nadzieję, że złowroga zapowiedź Niekrasowa okaże się bez znaczenia, coś jednak udało jej się znaleźć.

Tragedia księżycowych pielgrzymów

Taki właśnie tytuł widniał na stronie londyńskiego „Timesa”. Lektura artykułu przyprawiła Sarę o gęsią skórkę. Właśnie w środę – w dniu pełni księżyca – w indyjskiej miejscowości Wai ponad trzysta osób straciło życie w ataku zbiorowej paniki. Wcześniej dziesiątki tysięcy pielgrzymowało do świątyni Mandher Devi, żeby oddać hołd opiekunce miejscowości, bogini Kalubai.

„Obalimy dla ciebie boginię”.

Zgodnie z zapowiedzią Niekrasowa, rzekoma opiekunka okazała się bezradna, kiedy na ruchliwej ulicy wybuchł pożar i kilka osób stanęło w płomieniach. Inni zostali stratowani na śmierć przez uciekający w panice tłum. Tak wynikało przynajmniej z artykułu. Większość ofiar stanowiły kobiety i dzieci.

Nie było zgody co do przyczyny katastrofy. Jedne portale pisały o zwarciu, inne o mokrych stopniach – większość doniesień przytaczała jedynie spekulacje. Niektórzy sprawozdawcy przyznawali, że przyczyna nieszczęścia pozostaje dotychczas nieznana.

Żaden dziennikarz nie wspomniał o Dźwiękach Władzy.

Religijne święta i rytuały bez muzyki są w zasadzie nie do pomyślenia. Bez wątplenia pielgrzymi zebrani wokół świątyni Mandher Devi mogli słuchać jej do woli. Czy w tych melodiach ukryto podprogowe przekazy?

Sarę wstrząsnął dreszcz przerażenia, kiedy usłyszała nagle *Liebesträum* Franciszka Liszta. Dźwięki fletu dochodziły z jej walizki. Całkiem zapomniała o komórce, którą dostała od Niekrasowa – a może po prostu starała się o niej nie myśleć? Na miękkich nogach podeszła do łóżka, otworzyła torbę, wyciągnęła telefon i wcisnęła przycisk odbioru.

– Tak?

– Teraz mi wierzysz? – zapytał Siergiej Niekrasow bez powitania. Mimo że, a może właśnie dlatego że ani słowem nie wspomniał o tragedii w Indiach, Sara wybuchła gniewem.

- Czy to pan odpowiada za zbiorową panikę w Mandher Devi?

- Obiecałem dać ci dowód naszej potęgi.

Sara zaczerpnęła tchu.

- I dlatego zabija pan trzysta osób? Naprawdę jest pan szalony!

- Ależ my nikogo nie zabiliśmy, jedynie wyzwoliliśmy reakcję łańcuchową.

Czuła, jak nienawiść i odraza nie pozwalają jej mówić.

- To najnędniejsza wymówka, jaką w życiu słyszałam. Na pewno byliście też w stanie powstrzymać panikę.

- Oczywiście. Nic tak nie studzi głów jak spokojna melodia. Ale co by się stało, gdyby pełnia przebiegła bez spektakularnych wydarzeń? Czy nie zaczęłabyś uważać mnie wtedy za szarlatana, Saro?

- Myśli pan, że w roli diabła wcielonego robi pan lepsze wrażenie?

- Ależ spokojnie, Saro. Porównania tego rodzaju są naprawdę niestosowne.

Pomyśl o Josephine. Ona zawsze nad sobą panowała.

Sarą targnął dreszcz. Nie dość, że Niekrasow cały czas ją tykał, teraz jeszcze zaczął kreować się na bliskiego przyjaciela jej matki. Wycedziła w odpowiedzi:

- Proszę nie zmieniać tematu, wciąż mówimy o pana zbrodni. Nic nie usprawiedliwia tego, co pan zrobił. To odrażające, diaboliczne.

- Bądź cicho, zanim zaczniesz żałować własnych słów! - przerwał jej Niekrasow. Jego głos brzmiał jak szelest zmarzniętych liści. - Od ciebie zależy, czy droga do szczęścia ludzkości będzie biec po grudzie, czy okaże się szerokim i wygodnym traktem.

- Szczęścia? - Sara uśmiechnęła się z goryczą. - Ma pan na myśli rozkosz, którą można znaleźć na przykład w LSD?

- Mogę cię zapewnić, drogie dziecko, że dźwięki, które stworzymy z pomocą Purpurowych Nut działają o wiele delikatniej niż jakikolwiek narkotyki. Mężczyźni, kobiety i dzieci całej ziemi zaczną postępować w zgodzie z rozsądkiem, ponieważ taka będzie ich wola.

Parsknęła z pogardą.

- Proszę powiedzieć raczej: ponieważ zakazi pan ludzi swoim rodzajem rozsądku. I choćbym miała nawet zgnić za życia, nie chcę mieć nic wspólnego z pana machinacjami.

Lodowaty głos Niekrasowa stał się przerażająco spokojny

- Radzę ci z całego serca, dziecko, jeszcze raz przemyśl moją propozycję.

- O tym może pan zapomnieć!

- Zgódźże się w końcu, Saro! Wiesz już, do czego jesteśmy zdolni, więc nie możesz dłużej stawiać nam oporu. Tylko ty dysponujesz mocą, która pozwoli łagodnie uleczyć nasz świat. W przeciwnym wypadku.

Sara uniosła przekornie podbródek.

- W przeciwnym wypadku?

- Jeśli dalej będziesz opierać się własnemu przeznaczeniu, pozostanie nam tylko *ultima ratio* - oczyszczenie rodzaju ludzkiego w ognistym tyglu.

Sara zaczęła chwytać rozpaczliwie powietrze, rozgniewana potrząsnęła głową. Długo szukała właściwej odpowiedzi, w końcu zadowolila się dość grubiańską ripostą:

- Jest pan niebezpiecznym psychopata, Niekrasow, a kiedy przypomnę sobie pańskiego rzeźnika Tiomkina, dochodzę do wniosku, że reszta pańskich tak zwanych braci nie jest ani trochę lepsza.

- Walerij miał za zadanie jedynie doprowadzić cię w odosobnione miejsce, gdzie moglibyśmy bez przeszkód wyjaśnić ci istotę naszej misji.

- Kiedy wpadł do mojego pokoju w „Russischer Hof” i zaczął strzelać wokoło jak szalony, nie wyglądało to jak zaproszenie.

- Wszystko to tylko teatralne sztuczki, odrobina dramatyzmu, która miała cię skłonić do pójścia z nami.

- Tak z ciekawości: jaki dostałby rozkaz na wypadek, gdybym potem odesłała was do wszystkich diabłów? - głos Sary ociekał pogardą.

- Nie zastanawialiśmy się jeszcze, co będzie potem. Walerij Tiomkin miał cię tylko przekonać, żebyś z nim poszła. Poza tym to twój partner, Saro, odesłał go na tamten świat.

- Zmienia pan temat, Niekrasow. Załóżmy na chwilę, że zgodziłabym się na współpracę. Pan dostałby wtedy swoją Szkarłatną Partyturę i być może udałoby się stworzyć dzięki niej nowe Dźwięki

Władzy. Co stałoby się ze mną potem? Czy byłoby jak w tym powiedzeniu - „Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść”?

- Dla nas, Saro, jesteś mistrzynią dźwięków równą Jubalowi. Gdybyś do nas przystąpiła, nawet ja skłoniłbym przed tobą głowę.

Uroczyście zapewnienia ze słuchawki odbijały się od uszu Sary jak groch od

ściany.

- Bez tego potrafię się obejść. Może i jesteście w stanie rozpętać masową panikę, ale zorganizowanie świata według nowych reguł to numer zbyt dużego kalibru nawet dla Słyszających Barwy

Przez długą chwilę, kiedy słyszała tylko świszczący oddech Niekrasowa, miała nadzieję, że w końcu przekonała mistrza harfy, że jego żądania są beznadziejne. Potem jednak szeleszczący głos znów zabrzmiał zimnym zdecydowaniem.

- Dobrze więc. Mimo wszystko po raz ostatni pokażę ci, do czego już dzisiaj jesteśmy zdolni. W Kopenhadze, gdzie nasz brat zginął z ręki twojego partnera, zaufałaś przewodnictwu Hansa Christiana Andersena. Zamienimy tę świetlistą postać w proroka zła. Jesteś przesądna, Saro?

Przełknęła ślinę.

- Nie. A czemu?

- Ponieważ za motto będzie służył nam tutaj trzynasty poemat symfoniczny Franciszka Liszta. Nosi nazwę.

- *Od kołyski do grobu* - szepnęła Sara tknięta przecuciem.

- Mądre dziecko. Ale żebyś się tylko nie odważyła mi przeszkodzić. To, co teraz mówię, ma posłużyć, byś przejrzała na oczy w odpowiednim czasie: brat Andersen z Łabędzi urodził się 2 kwietnia 1805 roku. Nie zapomnij tej daty! Kiedy za dwa miesiące będą fetować małego Hansa Christiana w kołysce, dla kogoś innego otworzy się grób. Jego śmierć poruszy wszystkich. Wyłącznie od ciebie zależy, jaki będzie późniejszy los świata.

Dłoń Sary ścisnęła komórkę jak cytrynę. Powtarzane jak mantra twierdzenie, jakoby to ona miała być odpowiedzialna za wszelkie przyszłe nieszczęścia ludzkości, wyczerpywało już pokłady jej wytrzymałości. Straciła panowanie nad sobą i krzyknęła:

- Cóż to za głupie, idiotyczne wręcz gadanie! Pana i pańskich Słyszających należałoby natychmiast zamknąć w celi i wyrzucić klucz! Nieważne, kogo we mnie widzicie, nie jestem nim i nigdy nie będę. Prędzej umrę, niż wezmę udział w pańskiej obłudnej misji.

Zapadła krótka cisza. Potem Niekrasow zapytał tylko:

- Czy to twoje ostatnie słowo?

Po plecach Sary przeszły ciarki. Bez słowa odjęła telefon od ucha i z rozmachem wyrzuciła go przez okno.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

Harfa Eola, harfa wietrzna. Tą nazwą określa się instrument strunowy, który zaczyna brzmieć wystawiony na działanie wiatru (...). Najniższe dźwięki brzmią unisono, kiedy jednak wiatr nasila się, powstaje rozmaitość tonów przekraczająca możliwość wszelkiego opisu. Trudno wyjaśnić, w jaki sposób jedna struna może wytwarzać tyle harmoniczných dźwięków, siedem do ośmiu, i dlatego czasami może wydawać kilka jednocześnie.

Johann Samuel Traugott Gehler, *Physicalischer Wörterbuch (Słownik fizyczny)*, 1787

Rozdział 24.

Les Baux de Provence, 27 stycznia 2005, 8:48

Restaurację „Bautezara” wypełniały dźwięki. Wylewały się one z brązowego pianina, które wydawało z siebie liczne nieczyste tony. Jednakże dłonie, które je teraz głąskały, zamieniały niewielkie usterki w osobliwości nadające utworowi jeszcze bardziej magiczny charakter. Co prawda w ostatnich dniach tym czarodziejskim palcom jedynie z rzadka pozwalano tańczyć, na krawędzi stołu albo na niskiej szafce, jednak tego czwartkowego poranka dało się słyszeć, że w żadnym razie nie wyszły z wprawy. Sara grała *Nokturn cis-moll* Fryderyka Chopina z wdziękiem i melancholią, której nie oparłoby się żadne ludzkie serce.

Znowu miała za sobą prawie bezsenną noc. Poruszyły ją nie tyle ostatnie słowa Siergieja Niekrasowa, co zimne zdecydowanie, z jakim zostały wypowiedziane. O ich niepokojący kontekst postarała się sama. „Prędzej umrę, niż wezmę udział w pańskiej obłądnej misji”. Zapewne mogła wyrazić swoją odrazę nieco bardziej dyplomatycznie.

Chopin pomagał jej odzyskać równowagę. Janin, wbrew umowie, nie pojawił się o wpół do dziewiątej przy śniadaniu, Sara poddała się więc pokusie i usiadła przy pianinie. Kiedy teraz w średniowiecznej jadalni przebrzmiewały ostatnie dźwięki „nocnego utworu”, za plecami Sary rozległy się burzliwe oklaski. Odwróciła się zaskoczona.

Cornee i Janin podkradli się niepostrzeżenie i przysłuchiwali się jej grze. Potrafili ją też docenić. Janin klaskał bardzo powściągliwie. Za to owacje

i okrzyki podziwu ze strony właściciela hotelu wystarczyłyby dla całego tuzina słuchaczy.

- Brawo, madame d'Albis! - zawołał po raz któryś. - Od wczoraj cały czas zastanawiałem się, skąd panią kojarzę. Teraz już wiem. Pani gra jest boska.

Nagle zaliczenie w poczet bóstw wprowadziło Sarę w niejaką konsternację. Podziękowała grzecznie i poprosiła o herbatę. Niezgrabna postać Corneego zniknęła. Kiedy Sara została sam na sam z profesorem, podzieliła się z nim wiadomościami z poprzedniego wieczoru.

Twarz Janina jakby skamieniała.

- Powinna mi pani od razu powiedzieć o telefonie - pouczył ją.

- Czemu? Wyjechałby pan ze mną?

- Przynajmniej złożyłbym taką propozycję. Do tej pory powinna już pani mieć pojęcie, jak potężni i niebezpieczni są Słyszący Barwy - nazwę bractwa profesor wymówił specjalnie cicho. Tym głośniej zabrzmiała odpowiedź Sary.

- Och, proszę już przestać, Olegu! Przemilczał pan przede mną tożsamość kardynała, żeby zdobyć przewagę. Będzie pan zadowolony jedynie wówczas, gdy nadal będziemy poszukiwać Szkarłatnej Partytury

- Ale nie za każdą cenę, Saro. Niekrasow prawdopodobnie dawno już wysłał za nami kolejnego najemnika. Wczoraj dało się chyba zauważyć, że uważam pani gadatliwość wobec tego monsieur Corneego za wielką nieostrożność. Proszę się być bardziej powściągliwą, aż stąd znikniemy.

Raczej z przekory niż przekonania odparła:

- Znikniemy? Nie ma mowy dopóki nie rozwiążę zagadki Liszta. Muszę się przekonać, coż to za *crux*, który ma nam ukazać intrygę Purpurowych Nut i zaprowadzić nas do finału. Może madame Le Mouel będzie w stanie nam w tym pomóc.

- A jeżeli należy do rasy Orląt? Wie pani, kogo mam na myśli.

Sara nie rozumiała nagłej chwiejności Janina. Jeszcze w Budapeszcie zachęcał ją, żeby się nie poddawała, a teraz nie przestawał przemawiać głosem rozwagi. Energicznie potrząsnęła głową.

- Jeśli nie spotkamy się z harfistką, nigdy nie dowiemy się, czy mogła nam pomóc, czy zaszkodzić. Jeśli chodzi o mnie, postanowiłam. Pańskiej decyzji pozostawiam, czy zechce pan mi towarzyszyć.

Jak wyjaśnił właściciel „Bautezara”, dom Florence Le Mouel tulił się do

skalnej ściany dokładnie pod ruinami zamku. Nietrudno było go znaleźć. Kiedy Sara z Janinem wyszli na ulicę, sama sobie wydała się ruchomą tarczą strzelniczą. Mroczne groźby Niekrasowa nie dawały o sobie zapomnieć. Czy wysłał już za nią swoich najemników?

Idąc przez malowniczą miejscowość, ciągle rozglądała się dookoła. W przeciwieństwie do jej ponurego nastroju, pogoda była wspaniała. Suchy północny wiatr rozpędził wszystkie chmury. Wkrótce Sara rozpięła kurtkę, ponieważ jasno świecące słońce sprawiało, że w osłoniętych miejscach panowały temperatury prawie wiosenne.

Nie sposób było zabłądzić w Les Baux de Provence. Przeszłość i teraźniejszość tłoczyły się na skale o wymiarach sześćset na dwieście metrów. Na tym terenie mieszkało zaledwie czterystu pięćdziesięciu ludzi i cały pułk bezpańskich psów, które patrolowały miejscowość, ścigały się z miejsca na miejsce albo towarzyszyły wędrującym uliczkami turystom. Wychodząc z hotelu, Sara nieopatrznie podarowała jednemu z czworonożnych przewodników kawałek ciasta. Od tamtej pory, ku oburzeniu Janina, cicerone w czarno-białe łaty nie odstępował Sary ani na krok i nieustannie ujadał, kiedy konkurenci starali się odbić mu klientelę.

Cel ich spaceru po nierównym bruku oddalony był od hotelu o rzut beretem. Czuli się jednak tak, jakby odbywali podróż w przeszłość. Na Grande Rue Frederic Mistral, głównej ulicy miasteczka, minęli rząd pięknie odrestaurowanych renesansowych kamieniczek, niegdyś siedzib bogatych rodzin szlacheckich i mieszczańskich.

Kiedy Sara odwróciła się po raz kolejny, zauważyła krępego mężczyznę w czarnym płaszczu, okularach przeciwsłonecznych i kapeluszu. Wydawało się, że ją obserwuje. Po chwili ponownie odwróciła się w jego stronę. Nieznajomy zniknął.

- Coś nie tak? - zapytał Janin.

- Nie wiem - wymamrotała. - Wydaje mi się, że. - Pokręciła głową. - Pewnie zaczynam widzieć duchy

Profesor roześmiał się.

- W tej przeklętej dziurze znajdzie ich pani pewnie pod dostatkiem. Musimy pójść tam - wskazał na jedną z bocznych uliczek.

Sara raz jeszcze spróbowała odnaleźć wzrokiem ciemną postać. Kiedy jednak nie odkryła nic podejrzanego, razem z Janinem i czworonożnym

towarzyszem skręciła z głównej drogi.

Ciasna alejka przez chwilę wiodła pod górę. Wkrótce dotarli do Rue de Lorme Cite Haute, gdzie, jak ich poinformowano, znajdował się dom harfistki. Z Janinem za plecami Sara wspięła się po schodach, na które cień rzucały cień wysokie sosny. Pies pozostał z tyłu.

Po lewej stronie wznosił się mur z grubo ciosanych kamieni, po prawej przerdzewiała żelazna balustrada apelowała do zmysłu równowagi gości. Budynek, w którym mieszkała madame Le Mouel, zrósł się ze skałą Les Baux jak jaskółcze gniazdo. Sara szybko porzuciła próby ogarnięcia wzrokiem rozmiarów budowli.

Przez łukową bramę weszła na mały dziedziniec, niewiele większy od skalnego komina, z którego do domu przez kilka okien i nieoszlonych otworów w galerii wpadało światło. Podróż w czasie przez Les Baux dobiegła przedwczesnego końca przed dębowymi drzwiami, których żelazne okucia sprawiały wrażenie, jakby były wrotami twierdzy. Przy wejściu na żeliwnym uchwycie wisiał dzwonek.

Sara kilkakrotnie pociągnęła za przymocowany do serca dzwonu sznurek. *Audition colorée* wymalowało przed oczyma jej duszy żółtozielone ogony komet. Potem nastąpiła ciemna cisza. Jedyne mistral hulał beztrąsko wśród szczytów sosen. Wymieniła spojrzenia z Janinem. Ten zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „Może nie ma jej w domu”. Ponownie sięgnęła po linkę, zanim jednak zdążyła zadzwonić, nad jej głową rozwarło się jedno z łukowych okien.

Stała w nim kobieta w ciemnoniebieskiej sukni, tak otyła, że jej obfity biust przelewał się nieomal nad krawędzią okna. Siwe włosy miała zaczesane do tyłu i spięte w warkocz wijący się wokół jej szyi i dalej wzdłuż krągłości ciała. Patrzyła bacznie ciemnobrązowymi oczami, miała krótki, zadarty nos i zaokrąglony podbródek. W owalnej, prawie pozbawionej zmarszczek twarzy odbijała się godność, zdecydowanie i niezłomna wola. Sara oceniła ją na sześćdziesiąt pięć – siedemdziesiąt lat.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc? - zapytała z okna. Jej głęboki głos nie brzmiał wrogo, był za to zadziwiająco władczy.

Wyczuwalna siła rozmówczyni zmusiła Sarę do przyjęcia postawy obronnej. Mimowolnie położyła dłoń na piersi, zupełnie jakby łańcuszek pod szarym pulowerem mógł dodać jej sił.

- Dzień dobry. Madame Le Mouel, jak sądzę. Ten pan to profesor Oleg Janin, historyk muzyki z Paryża, a ja nazywam się.

- Sara d'Albis, wiem - przerwała jej niecierpliwie Florence Le Mouel. - Już wprawdzie nie występuję, ale nieznanostwo tak utalentowanej koleżanki nie świadczyłaby o mnie najlepiej, a tego z całego serca pragnęłabym uniknąć. Proszę poczekać, zejdzę do państwa na dół.

Przesunęła wzrokiem po dachach, jakby spodziewała się, że za tak znaną pianistką będzie ciągnąć całe stado paparazzich. „A może wypatruje innych prześladowców? - zastanowiła się Sara. - Na przykład mężczyzny w czarnym płaszczu, okularach przeciwsłonecznych i kapeluszu?” Mimowolnie zwróciła się w stronę wejścia na dziedziniec. Kiedy ponownie spojrzała w stronę okna, było ono już zamknięte, a harfistka zniknęła.

Wkrótce potem madame Le Mouel otworzyła wejściowe drzwi. Teraz miała czarne, wysadzone brylantami okulary na złotym łańcuszku. W dłoni trzymała czarne etui, prawdopodobnie część kompletu. Kiedy gruntownie zlustrowała odwiedzających, zapytała, co ich sprowadza.

- Prawdopodobnie dotarły do pani plotki o tym, że moim przodkiem jest Franciszek Liszt - zaczęła Sara.

- Ha! - roześmiała się harfistka w sposób przywodzący na myśl raczej suchy kaszel. - Śledziłam wiadomości. Ani jeden artykuł mnie nie przekonał. To był chwyt czysto marketingowy, prawda?

- Cóż, ze strony mediów, które chciały dzięki temu zwiększyć nakład albo poprawić oglądalność. Ja zawsze podkreślałam, że moje drzewo genealogiczne nie jest bynajmniej dobrze udokumentowane - zapewniła Sara zaskoczona. Bardzo dawno nie spotykała już osób, które nie dawały się nabrać na medialne doniesienia. Jej rozmówczyni była rzadkim wyjątkiem.

- Nie chciałabym być nieuprzejma, madame d'Albis, ale do czego pani zmierza?

- Zależy mi na tym, żeby w końcu dociec prawdy o moim pochodzeniu. Ostatnio natrafiłam na kilka... pamiątek po Franciszku Liszcie, które wydają się potwierdzać nasze pokrewieństwo. Jednakże kompozytor postanowił zabawić się, formułując objaśnienia w formie zagadek.

- To mnie wcale nie dziwi. Artyści często bywają ekscentryczni. Zawsze muszą się popisywać.

Sara była wyczulona na mowę ciała innych ludzi, i mimo że madame Le Mouel pozornie wydawała się zupełnie obojętna, mimowolnie wysyłała jednak sygnały wskazujące na coś wręcz przeciwnego. Co dziwne, harfistka nie patrzyła Sarze prosto w twarz, ale na... piersi?

Sara zauważyła ze zdziwieniem, że jej palce znowu powędrowały do łańcuszka pod swetrem. Szybko opuściła dłoń i upomniała się w duchu. Potrzebowała wreszcie jasnych odpowiedzi. Pospieszna wymiana spojrzeń z Janinem zdradziła jej, że towarzysz przewidział jej następny ruch i bynajmniej go nie pochwalał. Mimo wszystko powiedziała:

- W jednej ze swoich zagadkowych wiadomości Liszt wspomniał o harfie wiatrów i jej pierwszym stróżu.

Twarz Florence Le Mouel stężała. W jej czarnych oczach natomiast jakby rozpalił się ogień. Cokolwiek się w niej rozgrywało, było bardzo gwałtowne. I krótkie. W następnej chwili jedynie chłodny ton głosu zdradzał wewnętrzny wybuch, który widzieli przed chwilą.

- Obawiam się, że będę musiała panią rozczarować, madame d'Albis. Mój instrument gra to, co ja mu nakazę. Natomiast harfa Eola słucha jedynie wiatru. Proszę poszukać w książce telefonicznej, jeśli będzie pani potrzebowała eksperta.

Próbowała ich zbyć! Sara musiała nabrać głęboko powietrza, żeby móc odpowiedzieć z odpowiednią obojętnością.

- Z całą pewnością pani także byłaby w stanie odczuć moc bijącą od tej wiadomości, gdyby usłyszała pani dwie pierwsze strofy jako całość. Liszt pisał: „W Dolinę Piekieł skieruj krok, w czarnego księcia twarz w niej spójrz. Ku wiatrów harfie skieruj wzrok, z liczbą jej czeka pierwszy stróż”. W Les Baux de Provence znajduje się Val d'Enfer i można tu odnaleźć liczne odwołania do *prince noir* - brakuje nam jednak pierwszego stróża harfy wiatrów - Sara uśmiechnęła się uprzejmie. - Nie domyśla się pani, o kogo może tutaj chodzić?

Twarz pani Le Mouel pozostała bez wyrazu, jedynie w jej ciemnych oczach ponownie rozgorzał ten sam ogień, rozniecony zapewne przez niezwykle ciekawe myśli i skojarzenia. Czy Janin też to zauważył?

Harfistka, ostrożna w gestach i słowach, odpowiedziała:

- Madame d'Albis, proszę mi wybaczyć, ale pani wywody wprawiają mnie w niejakie zakłopotanie. Liszt nie żyje już od stu dwudziestu lat. Osoba, o której

myślał, pisząc ten wiersz, na pewno też już dawno obróciła się w proch. Obawiam się, że nie mogę pani pomóc. Poza tym. Och!

Kiedy pani Le Mouel podkreślała swój wywód gestami dłoni, wysunęło się z nich jej etui na okulary, które upadło tuż koło stóp pianistki. Jeszcze zanim Janin był w stanie wypełnić obowiązek gentlemana i podnieść pudełeczko z czarnej skóry, Sara odruchowo pochyliła się do przodu. Kiedy wyciągała dłoń po upuszczony przedmiot, zdarzyło się coś, co całkowicie ją zmieszało. Łańcuszek wysunął się jej z dekoltu.

Jej konsternacja trwała dwa, trzy uderzenia serca. Sara szybko podniosła z ziemi etui. Ujrzała przy tym wzrok madame Le Mouel, który utkwiał w połyskującym klejnocie i oderwał się od niego dopiero wtedy, kiedy znowu został ukryty pod pulowerem. Wtedy pani domu z tą samą uwagą zaczęła wpatrywać się w oczy gościa. Sara czuła się jak zahipnotyzowana wzrokiem węża.

Etui wróciło do właścicielki.

- Dziękuję - powiedziała harfistka. - Bardzo to miło z pani strony, madame d'Albis. Nie zechciałaby pani wejść? Czy mogłabym zaproponować państwu kawę albo herbatę?

Sara usłyszała, jak Janin najpierw się zadławił, a potem próbował zwalczyć atak kaszlu. Prawdopodobnie nie zauważył nawet łańcuszka, a zatem nagła zmiana w nastawieniu madame Le Mouel musiała zaskoczyć go bardziej niż jego partnerkę. Skwapliwie przyjęli zaproszenie.

Wszyscy troje usadowili się w czarnych fotelach, równie potężnych jak bawoły, które darowały na nie swoje skóry i wypasały się już nie na zielonych błoniach, ale na błękitno-czerwonym perskim dywanie. Zmieniona w meble rogaczna baraszkowała w istic niewiarygodnym salonie.

Wnętrze budynku kryło dużo więcej, niż można było przeczuwać na pierwszy rzut oka. W skale wykuto kilka pięter pokoi. Lampy ukryte w zgrubsza jedynie wygładzonych ścianach nadawały przestrzeni mieszkalnej niezwykle nastrój, który sprawiał wrażenie zarazem dzikiego i zadbanego. Najrozmaitsze instrumenty strunowe oraz obrazy impresjonistów i abstrakcjonistów, na oko przeważnie oryginały, zdobiły mury. Ponadto Sara dostrzegła liczne rzeźby. Wśród stada bawołów stała zaś złota harfa koncertowa.

Cały czas dawało się, co prawda, odczuć siłę osobowości Florence Le Mouel, wydawało się jednak, że ona sama także z ulgą przyjęła rolę niespodziewanie

uprzejmej gospodyni. Kiedy zaparzyła dla gości herbatę i mokkę, rozpoczęła swobodną rozmowę, aby rozluźnić atmosferę. Ze swadą opowiadała o swojej karierze harfistki, wspomniała też o wadzie serca, która zmusiła ją do przedwczesnego przejścia w stan spoczynku.

W pewnym momencie rozmowa zeszła na Sarę i jej badania genealogiczne. Janin chrząknięciami i za pomocą ożywionej mimiki posyłał Sarze ukradkowe ostrzeżenia, ta jednak prawie nie zwracała na nie uwagi. Czuła się w jaskółczym gnieździe madame Le Mouel bez - pieczna, mimo że gospodyni nie odpowiedziała jeszcze na pytanie o stróża harfy wiatrów.

- Wśród rozlicznych chordofonów¹¹, które posiadam, rzeczywiście znajduje się także harfa Eola - wspomniała przy okazji.

- Och? - zdziwiła się Sara. - Pani poprzednia wypowiedź brzmiała tak, jakby tego rodzaju instrumenty napełniały panią wyłącznie pogardą.

- Pogardą? Nie. Jak mogę gardzić czymś, co w tak pełnych zachwyty słowach opisali Goethe, Schiller, Jean Paul, E. T. A Hoffman i Mörike? Chciałam jedynie wyrazić uczucie, które jest z pewnością wspólne dla wszystkich solistów: chęć samodzielnej interpretacji muzyki. Harfy Eola nie poddają się temu. Są jak koty: krnąbrne, a do tego niekiedy niemiłosiernie jęczą - pani Le Mouel obrzuciła towarzysza Sary uśmiechem. - Pański rodak, Nikołaj Leskow, narzekał przed stu laty, że kiedy wiatr wieje między strunami „tego samowolnego instrumentu”, wydaje on z siebie „niezwykłe dźwięki, przechodzące od cichego, niskiego pomruku do niespokojnego i nieharmonicznego jęku, zamieniając się szybko w nieznośny hałas”. Czy pańskie odczucia są podobne, monsieur Janin?

Obie kobiety do tej pory poświęcały profesorowi bardzo niewiele uwagi, dlatego też teraz wybąkał zaskoczony.

- Ja? Ach... Mówiąc szczerze, do tej pory nie miałem zbyt wielu okazji, aby posłuchać dźwięku harfy Eola.

Wzrok Sary przeskakiwał z jednego na drugie. Czyżby madame Le Mouel próbowała właśnie wysondować Janina? Ciemnymi oczyma harfistka ukradkowo obserwowała każdy ruch swoich gości, głos jednak miała nadal uprzejmie obojętny, nie dało się jednak przegapić w nim podejrzliwej nutki.

- Jaka szkoda! Żaden inny instrument nie dzieli umysłów na światło i ciemność tak jak harfa Eolska. Mówi się, że kiedy Hector Berlioz słuchał *harpe éolienne*, ujrzał siebie w innym życiu i od tej pory z trudem opierał się swoim

samobójczym skłonnościom.

- Może po prostu nie potrafił znieść, że odmówiono mu uznania, którego pragnął przez całe życie.

Parada Janina rozwiała ostatnie wątpliwości Sary: profesor i harfistka skrzyżowali ostrza. Madame Le Mouel także nie kazała długo czekać na ripostę.

- Niespecjalnie lubi pan Berlioza, prawda?

- Jest mi najzupełniej obojętny. Zajmowałem się nim tylko w ramach jednego projektu badawczego, podobnie jak jego protektorem Lisztem oraz Rimskim-Korsakowem, Aleksandrem Nikołajewiczem Skriabinem, Wasylem Kandyńskim i wieloma innymi.

- Interesujące. Jeśli się nie mylę, wszyscy oni byli synestetykami.

- Pani wiedza jest zadziwiająca, madame.

- To część wykształcenia ogólnego artystki, która poważnie traktuje swoją pracę, monsieur Janin. Czy pan także słyszy kolory, a może posiada pan synestetyczny dar innego rodzaju?

Sara wstrzymała oddech. O co chodziło tym dwojgu?

- Według mnie każdy człowiek ma mniejsze lub większe zdolności synestetyczne - odparł profesor.

Czy to była kolejna parada, czy może finta?

Pani domu w każdym razie skontrowała wypadem.

- Chciałby pan może posłuchać, jak mistral gra na mojej harfie Eola, monsieur Janin?

Ten spojrział zirytowany na Sarę.

- A co z madame d'Albis? Ona także na pewno nie może się doczekać, kiedy ją usłyszy.

Madame Le Mouel uśmiechnęła się tajemniczo.

- Pana młodej towarzysze także dane będzie jej posłuchać. Jednakże - nazwijmy to testem waszego naturalnego daru *audition colorée* - chciałabym, żeby każde mogło z osobna odczuć czar instrumentu. Przejdźmy na taras na dachu. Tam jego brzmienie prezentuje się najkorzystniej.

Harfistka podniosła się z fotela.

Janin z grzeczności wstał także. Jego twarz zdradzała nieufność i gniew. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że harfistka przełamała jego osłonę. Jeśli nie chciał ośmieszyć się przed obiema kobietami, musiał poddać się testowi.

*Oparta o bluszczową ścianę
Starego tego tarasu,
O ty, napowietrznej Muzy
Tajemna gro strun,
Zaczynaj,
Zaczynij znów
Melodyjną twą skargę!
...Lecz nagle
Gdy wiatr potężniej uderza,
Cudowny harfy głos
Ponawia, i słodko się trwożę,
Duszy gwałtowny wstrząs¹²”*
Eduard Morike, *Do harfy Eola*, 1837

Rozdział 25.

Les Baux de Provence, 27 stycznia 2005, 10:24

Sarze wydawało się, że czas zgęstniał jak miód prowansalski, wystawiając jej cierpliwość na straszliwą próbę - bezustannie krążyła między fotelami-bawołami. Nic nie było jasne. Dlaczego madame Le Mouel tak dziwnie zachowała się wobec Janina? Czy na tarasie rzeczywiście miała zamiar jedynie sprawdzić dar synestetyczny gościa? I dlaczego widok sygnetu z literami „FL” odwrócił jej początkową niechęć? Sara była niemal pewna, że niezwykła lokatorka „jaskółczego gniazda” rozpoznała wisiorek.

Skrzypienie drewnianych schodów kazało się jej obrócić. Rzut oka na zegarek wyjaśnił, że to, co wydawało jej się wiecznością, trwało dokładnie dwadzieścia minut. Po schodach schodził tylko Janin. Jego ponura mina mówiła sama za siebie. Na górze musiało zdarzyć się coś, co całkowicie zepsuło mu humor. Sara wyszła mu naprzeciw. Z bliska twarz profesora miała barwę popiołu.

- Nie spodobało się panu brzmienie harfy, Oleg?

- Nie - burknął.

- Dlaczego nie?

Pokazał w górę schodów.

- Staruszcze brakuje piątej klepki. Proszę przekonać się na własne oczy.

Madame Le Mouel oczekuje na tarasie. Szklane drzwi na końcu korytarza.

Janin odwrócił się i poczłapał w stronę foteli.

Sara pokręciła głową. „Jaskółcze gniazdo” zdawało się sprzyjać nagłym zmianom nastroju. Czekala w napięciu, żeby przekonać się, jaką metamorfozę przygotowało dla niej.

Długimi krokami wspięła się po skrzypiących stopniach. Schody kończyły się w wąskim korytarzu. Po prawej stronie zaczynała się kolejna kondygnacja, która prowadziła jeszcze wyżej. Oczy Sary musiały najpierw przywyknąć do półmroku. Potem ujrzała biały tynk, kolejne obrazy i długi, ciemnoczerwony chodnik.

Szła w stronę światła i, obszedłszy występ muru, znalazła drzwi na końcu korytarza, przez które przenikał blask. Szkło chroniła kratka z kutego żelaza. Zdobilo ją sześć czy osiem lir, antycznych kuzynek harfy.

Drzwi rozwarły się, ukazując sylwetkę madame Le Mouel. W błyszczącym świetle dnia wyglądała jak z wycinanki. Wyciągnęła ręce w zapraszającym geście i zawołała:

- Proszę podejść!

Sara przeszła przez korytarz i razem z panią domu weszła na taras. Wyłożony był czerwonymi płytkami, na których stało kilka opierających się żywiołom rzeźb z brązu. Za otynkowaną na biało balustradą zaczynała się, tak to przynajmniej wyglądało, nieskończoność.

- To, co pani widzi w dali, to Val d'Enfer, Dolina Piekieł - wyjaśniła harfistka. Pokazała na osłoniętą przed wiatrem niszę po prawej stronie. - A oto moje *machinamentum*.

Stało ono na płaskim wózku i wyglądało jak wąska skrzynia zegara z dwudzielnymi drzwiami. Otwarte szeroko skrzydła były zbyt duże, żeby można je było zamknąć. Było to w rzeczywistości urządzenie do łapania wiatru. W samej skrzyni znajdował się szereg naciągniętych strun.

Sara, pochylona do przodu ze złożonymi na plecach rękami, zbliżyła się do instrumentu. Wyglądał na bardzo stary. Nie odwracając się od harfy Eola, spytała:

- Dlaczego nazwała to pani *machi*... Jak to właściwie brzmiało?

- *Machinamentum No. 10*. Tak nazwał ją jej twórca, Athanasius Kircher - odparła pani Le Mouel.

Sara, zaskoczona, podniosła wzrok.

- Ten Athanasius Kircher, wynalazca latarni czarnoksięskiej?

- Oraz wielu innych dziwów - potwierdziła harfistka. - Był prawdziwym człowiekiem renesansu. Oraz współczesnym Armanda-Jeana du Plessis de Richelieu, pogromcy hugenotów, który zburzył ten zamek. - Podniosła rękę w górę, jakby przemawiała przed całym niebem.

- Mogę posłuchać pani harfy?

- Po to tu jesteśmy. Poprosiłam pani towarzysza, żeby ją przesunął, żeby mogła pani najpierw na nią spojrzeć.

- Monsieur Janin nie zdał pani testu, prawda? Wydał mi się nieco... przybity

- Sądzę, że harfa nie pokazała mu tego, co miał nadzieję ujrzeć.

Sara poczuła, jak rzednie jej mina, nie mogła jednak nic na to poradzić.

- Wygląda pani na zaskoczoną - stwierdziła madame Le Mouel.

- Czy to oznacza. Oleg Janin... słyszy kolory?

Madame Le Mouel skinęła głową.

- Domyślałam się, że nie powiedział pani o tym. Ale o pani partnerze porozmawiamy później. Proszę pomóc mi ustawić harfę we właściwej pozycji. Przed chwilą cudownie grała tutaj - pokazała brodą na wyeksponowane miejsce obok balustrady.

Razem przeciągnęły *machinamentum* przez taras.

- Powietrze nie powinno przepływać przez harfę duchów ani zbyt szybko, ani zbyt wolno - wspomniała mimochodem jej właścicielka.

- Harfę duchów? - powtórzyła Sara oszołomiona; po rewelacji o synestetycznych talentach Janina czuła ucisk w żołądku.

- Ma wiele imion. To akurat pasuje doskonale, jako że nie widać grającego, który dobywa dźwięki ze strun. No, to musi wystarczyć. Teraz proszę nadstawić uszu, czy też tego, czego używa pani do słuchania, madame d'Albis - pani Le Mouel zablokowała kółka podwozia końcem stopy i odsunęła się, żeby umożliwić wiatrowi swobodny przepływ między rozłożonymi skrzydłami pudła rezonansowego harfy.

Sara odsunęła na bok liczne pytania, które kłębiły się w jej głowie, żeby w pełni skupić się na instrumencie.

Już po chwili jej uszu doleciał sferyczny dźwięk. Raz nabrzmiwał, raz tęchł, potem znowu puchł, zależnie od kaprysów wiatru. Przypominał ozywający i zamierający śpiew dalekiego chóru i więcej miał w sobie ze sztuczek eterycznych stworzeń niż z dzieła ludzkiego talentu. Kiedy czar harfy Eola obejmował Sarę drzeniem błękitnym jak lapis-lazuli i miękkim jak świeży mech, z pozornego chaosu dźwięków zaczął wyłaniać się obraz. Jak otoczony pasmami mgły, bardzo niechętnie ukazywał swoje kontury. To ujawniał się, to znowu krył się w błękitnych falach.

Sara zamknęła oczy, aby skupić całą uwagę. Kontury ukazywały pewien symbol. Natychmiast przyszedł jej do głowy krzyż kawalerów maltańskich, a to z powodu ostro zbiegających się wewnątrz krawędzi i rozszerzających się na zewnątrz ramion. Te jednak kończyły się łagodnie, powstała figura przypominała więc raczej czterolistną koniczynę. Albo.

- Ile pani widzi? - głos madame Le Mouel zakłócił percepcję Sary.

Ile? Początkowo nie zrozumiała i chciała dopytać, o co dokładnie chodziło harfistce, ale nagle przypomniała sobie słowa z ostatniej wiadomości Liszta.

„Ku Wiatrów Harfie zwróć swój wzrok, z liczbą jej czeka pierwszy stróż”.

Sarę przeszedł dreszcz. Nie dlatego jednak, że powiew mistralu przeniknął przez jej pulower, ale dlatego, że naraz zdała sobie sprawę, iż bierze udział w odwiecznym rytuale. Florence Le Mouel musiała być strażniczką harfy wiatrów i chciała, żeby Sara podała jej teraz liczbę.

- Osiem i osiem - odpowiedziała spontanicznie.

Pani Le Mouel milczała.

Sara znów zadrżała. Jej wewnętrzne oko dostrzegło najbardziej bezdźwięczną z wszystkich barw, czarną nicość. Ciszę zawiedzionego oczekiwania? Otworzyła powieki, ujrzała twarz, na której zamarł pytający wyraz, i od razu wiedziała, że ma tylko kilka przyspieszonych uderzeń serca, żeby poprawić błędną najwyraźniej odpowiedź.

Szybki powiew wydobył pisk z harfy Eola, który posłał przez duszę Sary deszcz błękitnych iskier. Kiedy oślepiający błysk minął, przyszło wspomnienie. Nad wejściem do „Bautezara” widziała różę wiatrów - uchodzącą tutaj za gwiazdę betlejemską - która miała dwukrotnie więcej ramion niż ta na weimarskim zamku.

- Szesnaście - powiedziała Sara i śmiało spojrzała w badawcze oczy patrzące

z surowego oblicza pani Le Mouel.

Machinamentum akompaniowało temu cichemu pojedynkowi obu kobiet falującym dźwiękiem strun.

- Liczba harfy Eola - rzekła w końcu jej strażniczka. Jej twarz rozluźniła się, a ona sama wyciągnęła w stronę Sary obie dłonie.

- Witaj, siostrze, wśród Słyszających Barwy

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

*O strun tajemne drganie,
śpiew napowietrznych duchów!
Nie ludzkich dłoni granie,
wiatru tylko podmuchów!
W głębinach twoich tkwi
melodia nieboskłonu.
Tak dziecię, łkając, śni
o matce, że znów w domu.
Samotnych ukojenie!
Nad wodą klucz łabędzi.
Sen błogi, serca drżenie,
łza spływa, ból odpędzi¹³.*

Hermann von Lingg, *Harfa Eolska*

Rozdział 26.

Les Baux de Provence, 27 stycznia 2005, 20:45

Sara czuła się jak klarnet – mistral przenikał przez wszystkie otwory w jej ubraniu. Wraz z zapadnięciem zmroku do miejscowości powrócił zimowy mróz, natomiast słońce i ostatnie autobusy z turystami zniknęły trzy godziny temu. Les Baux de Provence na powrót znalazło się we władaniu stałych mieszkańców. I psów.

Mały kundel w biało-czarne łaty znowu podreptał za Sarą. Nie bez powodu. Wbrew własnemu rozsądkowi podczas kolacji wykradła kawałek kiełbasy i rzuciła go krótkonogiemu przewodnikowi oczekującemu przed „Bautezarem”. Kiedy odwracała się w jego stronę, zawsze patrzył na nią wyczekująco. Prawe ucho sterczało mu przy tym czujnie w górę, lewe jednak pozostawało wiecznie opuszczone. Nie wiedziała, jak naprawdę się wabi, nazwała go zatem Kapitanem Nemo.

Przynajmniej nie musiała iść ulicą sama. Nocny spacer i tak przyczyniał się do przyspieszenia jej tętna bardziej niż solowy występ w Carnegie Hall. Co chwila odwracała się z obawą, że znowu zobaczy mężczyznę w czarnym

płaszczu, nikogo jednak nie widziała.

Uliczki wydawały się wymarłe. Ona i Kapitan Nemo byli jedynymi żywymi istotami.

Na ramieniu pianistki ciążyła torba na laptopa. Niewykluczone, że przenośna biblioteka przyda się jej jeszcze dziś wieczorem. Sara owinęła sobie szalem szyję, zapięła wszystkie guziki kurtki i postawiła kołnierz, a mimo to marzła. Być może dreszcze przechodziły ją nie z powodu wiatru. Chłód mógł pochodzić z głębin jej podświadomości, gdzie zamknęła wspomnienie ostatnich słów Niekrasowa. Do tego dochodziła świadomość, że wkrótce będzie musiała stanąć twarzą w twarz z prawdą, której prawdopodobnie wcale nie chce poznawać.

„Łabędzie nie umarły, śpią tylko” - tymi słowami Florence Le Mouel wywróciła rano światopogląd Sary do góry nogami. Aż do tamtej pory historia o Ciemnych Słyszących Barwy brzmiała dla niej jak ponura rosyjska baśń. Wmawiała sobie, że Bractwo Orłów to tylko mała grupka szalonych wielbicieli muzyki. Teraz jednak odezwała się druga strona. Łabędzie. W ten sposób wszystko nabrało głębszego wymiaru, jak dźwięk pianina, któremu nagle zaczyna towarzyszyć cała orkiestra symfoniczna.

Florence Le Mouel rzeczywiście była pierwszą strażniczką harfy wiatrów i, jak wiarygodnie zapewniała, bardzo zależało jej, by wprowadzić nową siostrę w wiele tajemnic. Wprawdzie Sara wylegitymowała się sygnetem „FL”, ale to do Zgromadzenia Strażników należała decyzja, czy jej zaufać. Mianem Stróżów albo Strażników Harfy Wiatrów harfistka określiła tajemny krąg wybrańców, któremu przewodziła.

- Twój towarzysz nie może się o tym dowiedzieć - podkreśliła jeszcze na tarasie.

Słyszając te słowa, Sara nieomal straciła nad sobą kontrolę. „Kilkakrotnie przyłapałam już Olega na ukrywaniu przede mną ważnych informacji. Ale jego *audition colorée* to już szczyt wszystkiego!”

Madame Le Mouel poważnie skinęła głową.

- Gra nieczysto, to zupełnie jasne. Niestety, nie mogę jeszcze powiedzieć, co próbuje przez to osiągnąć.

- Zależy mu na Szkarłatnej Partyturze jak diabłu na niewinnej duszy

Pierwsza strażniczka oparła się przerażona na ramieniu Sary.

- Szkarłatnej Partyturze? Wie o niej?

- Tak. W zagadkach Liszta, które przywiodły nas aż tutaj, chodzi właśnie o nią. Schronienie.

- Cii! Ani słowa więcej! Les Baux ma tysiąc uszu. Skontaktuję się z pozostałymi strażnikami, tak żebyś dziś wieczorem mogła dokładnie nam wszystko opowiedzieć, kiedy będziemy w bezpiecznym miejscu. Ale przede wszystkim musisz udawać przed Janinem, że odwiedziny u mnie zakończyły się fiaskiem. Pochodźcie trochę po mieście, jakbyście szukali jakiegoś innego strażnika Harfy Wiatrów.

O dziewiątej spotkamy się przy Porte Mage.

Głośne ujadanie wyrwało Sarę z zamyślenia. Kapitan Nemo zmusił właśnie do odwrotu nastroszonego rywala. Spojrzała na zegarek. Do godziny prawdy pozostało parę minut.

Właśnie przeszła przez Rue Porte Mage, która łagodnym łukiem prowadziła w prawo do Bramy Magów - czarny ksiączę był tutaj wszechobecny. Czyżby wielka schizma Słyszających Barwy rozpoczęła się właśnie tutaj, w Les Baux de Provence? W miejscowości co krok spotykało się ślady zawierające nazwy i symbole związane z rozbitym bractwem - orlęta Frederica Mistrala, czarnego księcia, białych pokutników, gwiazdę betlejemską - nawet na pokrywach szybów kanalizacyjnych widniały wizerunki ośmioramiennych gwiazd.

- Co pani widziała? - zapytał Janin nerwowo, kiedy Sara wróciła z harfistką do wnętrza „jaskółczego gniazda”.

- Błękitną nieskończoność - odparła wieloznacznie.

Potem, jak zaleciła jej madame Le Mouel, razem z profesorem schodzili Les Baux de Provence wzdłuż i wszerz, cały czas wypatrując ukrywających się prześladowców. Nadziwili się kiczowatym freskiem w kaplicy białych pokutników, odwiedzili ponad czterystuletni „Hotel de Manville”, który tymczasem został ratuszem, wstąpili do dwóch muzeów i przetrząsnęli każdy kąt w ruinach przy Grande Rue Frederic Mistral, gdzie nad renesansowym oknem widniał napis „*Post Tenebras Lux*”.

Na koniec sprawdzili pozostałości cytadeli, gdzie Janin po raz kolejny próbował wypytać towarzyszkę o to, co wydarzyło się na tarasie u madame Le Mouel. Sara udawała, że nie rozumie aluzji, i zbywała go błahostkami. W końcu późnym popołudniem wrócili do „Bautezara”. Na pozór od rozwiązania zagadki Liszta byli dalej niż kiedykolwiek. Dlatego też Sara początkowo niczego nie

podejrzewała, kiedy profesor stwierdził z rezygnacją, że zabrnęli w ślepy zaułek.

- Po tylu latach i tak wielu niepowodzeniach to pewnie dla pana nic nowego - odparła bez namysłu, wchodząc po stopniach do średniowiecznej sali jadalnej hotelu.

- Oczywiście - odparł Janin. - Ale w pewnym momencie dochodzi się do miejsca, w którym nie da się już zagłuszać głosu rozsądku. Chciałem dać nam obojgu jeszcze jedną szansę. Dlatego właśnie aż do dziś zwlekałem z daniem pani tego. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął z niej cienką białą kopertę i wyciągnął ją w stronę Sary.

Ta spojrzała na nią nieufnie i zapytała:

- Co w niej jest?

- Wycinki gazet. Zleciłem dwojgu moich studentów pewien projekt badawczy i poprosiłem, żeby przysłali mi wyniki. Faks dotarł dopiero wczoraj rano, kiedy wróciliśmy z kościoła Macieja. Uznałem ten moment za nie najlepszy, żeby to pani dać, bo była pani na mnie zła. Poza tym, jeśli dobrze panią oceniam, i tak odbyłaby pani podróż do Les Baux de Provence, choćby z czystej przekory.

- Ja? To pan chciał tutaj koniecznie przyjechać!

- Być może. Ale tymczasem doszedłem do wniosku, że lepiej będzie porzucić nasze podchody i znów poświęcić się poważnym badaniom naukowym. Mogę pani jedynie szczerze doradzić, aby zajęła się własną karierą. Proszę potraktować tę kopertę jako mój prezent pożegnalny.

Sara nie wierzyła własnym uszom. Czy „prezent pożegnalny” Janina miał być jeszcze jednym manewrem zmierzającym do wykluczenia jej z gry? Otworzyła kopertę i wyjęła ze środka kilka kartek.

Był to czteroczęściowy reportaż z „Thuringischen Landeszeitung”. Pierwsza część została opublikowana 24 grudnia 1991 roku, a ostatnia 11 stycznia 1992. Artykuł był poświęcony, z tego, co udało się Sarze ustalić po pobieżnej lekturze, Ilonie Friedzie Hohnel z domu Kovatsis (lub Kovacsics), domniemanej córce Franciszka Liszta.

Janin wykorzystał to, że Sara nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, i dodał:

- Chciała pani wiedzieć, od którego z jego dzieci pani pochodzi. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten reportaż pomógł zapełnić luki w pani drzewie genealogicznym. Zawarte w nim informacje są dużo bardziej konkretne niż jakiś

podejrzany ślad róży wiatrów.

- J-ja... nigdy nie słyszałam o tej Ilonie Hohnel - wydukała skonsternowana Sara.

- Nic dziwnego. Historycy też do niedawna nic o niej nie wiedzieli. Jej babka, Marie, była zresztą uczennicą znanego włoskiego harfisty Antonia Zamarę i piastowała później stanowisko nadwornej harfistki wielkiego księcia w Weimarze.

- Co? - Sara pokręciła bezradnie głową.

- Zastanawiający przypadek, prawda? W końcu Jubal jest ojcem wszystkich „grających na cytrze i na flecie” - profesor wskazał z wszystko wiedzącym uśmiechem na kartki w dłoni Sary. - Niedługo przed śmiercią w 1963 roku Ilona otrzymała nawet honorową emeryturę od miasta. Kiedy spojrzysz pani na jej zdjęcia, od razu będzie pani wiedziała dlaczego. Jest podobna do Liszta jak dwie krople wody. Nie dało się jej tak po prostu zignorować.

Natychmiast po przeczytaniu artykułów Sara zadzwoniła do weimarskiego Archiwum Goethego i Schillera. Tam mogli wiedzieć o rzekomej córce Liszta trochę więcej. Niestety było już późne popołudnie i nikt nie odbierał. Będzie musiała spróbować ponownie jutro rano.

Niespodziewana wolta Janina wytrąciła ją z równowagi. Po wczesnej, krótkiej kolacji, którą zjedli razem, znowu uciekła do pokoju. Jakiś czas siedziała sfrustrowana w ciemności, bijąc się z myślami.

Czy powinna po prostu odpuścić sobie nocne spotkanie ze strażnikami Harfy Wiatrów? W końcu chciała jedynie wiedzieć, kim naprawdę była, chciała w końcu czuć się kimś więcej niż latoroślą bez korzeni. Wojna Słyszących Barwy właściwie niespecjalnie ją interesowała.

Nie mogąc doszukać się żadnego sensu w wyczynie Janina, przypominała sobie ich wcześniejsze rozmowy. Powtarzała się w nich informacja o radykalnych środkach, do których uciekali się Ciemni Słyszący. Czy mogła uznać jego teorie spiskowe za urojenia właśnie teraz, kiedy poznała pierwszą strażniczkę Harfy Wiatrów?

W końcu postanowiła stawić się o umówionej porze przy Porte Mage. Teraz kroczyła właśnie po bruku ulicy, a wraz z nią niepokój i zwątpienie. Oraz Kapitan Nemo.

Brama Magów znajdowała się w ruinach jednego z domów, jak wyjaśnił

monsieur Cornee, kiedy spytała go o drogę. Teraz wyłoniła się tuż przed nią. Po prawej stronie wznosiły się rozpadające się schody donikąd, a z muru po lewej patrzyły na Sarę ciemne otwory okienne, jak puste oczodoły w czaszce. Ostatnią latarnię Sara minęła już dawno. W półmroku z trudem rozeznawała drogę na nierównym podłożu.

Nagle jej czworonożny towarzysz zaczął warczeć.

Zadrzała. Znow zaczęła się zastanawiać, czy przyjscie w to miejsce było dobrym pomysłem. Co też ten mały szczekacz odkrył? Na pewno kolejnego natrętnego rywala, uspokoiła się i ruszyła dalej.

Kapitan Nemo nie przestawał warczeć. Patrzył w górę, ale Sara nic nie mogła dostrzec w zupełnych ciemnościach. Brama miejska była tuż przed nią. Widziała zarysy okrągłego łuku wypełnionego czernią. W nim, wedle słów monsieur Corneego, miały znajdować się małe drzwi.

Nagle po prawej stronie Sary na górze rozbłysło światło. Zauważyła je jedynie kątem oka. Jej łaciaty giermek ujadał jak najęty. Kiedy podniosła wzrok, widok zmroził jej krew w żyłach.

Na końcu schodów, które wydawały się prowadzić donikąd, stała odziana w czerń postać z latarnią w ręku.

„Mężczyzna, którego widziałam dziś rano!” – przemknęło Sarze przez myśl. Przerazona zatoczyła się do tyłu i oparła o mur. Oślepią strachem nie od razu dostrzegła różnicę – nieznajomy, który zaniepokoił ją rano, był dużo bardziej krępy od tej postaci.

Migoczące światło podkreślało niesamowity charakter tego cienia. Był wielki i owinięty długą peleryną. Na głowie miał frygijską czapkę, jaką jakobini nosili podczas rewolucji francuskiej, a twarz skrywała mu wykonana na wenecki wzór maska Murzyna.

„W Dolinę Piekieł skieruj krok, w Czarnego Księcia twarz w niej spójrz”.

Sara zadrzała. Po raz kolejny miała wrażenie, że znalazła się na scenie jakiegoś dziwaczного teatru.

Ciemny odźwierny rzucił coś na ulicę, w stronę miasteczka. Kapitan Nemo natychmiast przestał ujadać i pobiegł w ślad za pociskiem – prawdopodobnie jakimś smakołykiem. Na miejscu pozostała tylko rozczarowana młoda dama.

- Zdrajca!

- Sara d'Albis? - zapytał Czarny Książę. Sądząc po głębokim, przyjaznym głosie, był mężczyzną.

Sara zebrała się w sobie, odwróciła się w stronę środka uliczki i odparła: - Tak. A z kim mam przyjemność? I o co chodzi z tą całą absurdalną maskaradą?

- Przysłała mnie pierwsza strażniczka. Mam cię stąd zabrać, siostró.

- Madame Le.

- Ciii! Żadnych nazwisk! - przerwał jej wysłannik i pospieszył w dół splekanych schodów. Poruszał się niezwykle lekko, musiał więc być dużo młodszy od madame Le Mouel.

- Moje pojawienie się musiało cię niezwykle przerazić. Proszę o wybaczenie - powiedział nieznajomy, kiedy zbliżył się do Sary.

- Czy to pan śledził mnie dziś wcześniej?

Dwoje szaroniebieskich oczu patrzyło pytająco zza maski.

- Nie. Jesteś pewna, że ktoś cię śledził?

Przyznała niechętnie.

- Tylko takie przecucie.

- Przecucia to kompas naszej duszy. Lepiej będzie, jeśli stąd znikniemy. - Wyciągnął dłoń z latarnią w stronę bramy. - Chodź, zaprowadzę cię do samochodu.

Sara spojrzała tęsknie w stronę małego psa, który delektował się otrzymaną od nieznajomego łapówką, a potem podążyła za światłem.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, z kim mam przyjemność, monsieur. - Poufałe „ty” nie przechodziło jej przez gardło tak łatwo jak Czarnemu Księciu.

- Kinnor - odpowiedział lakonicznie.

- Czy *kinnór* to nie harfa po hebrajsku?

- Zgadza się.

- Król Dawid był podobno mistrzem gry na tym instrumencie.

- A żydowski Talmud twierdzi, że zawiesił *kinnór* nad swoim łóżem. Kiedy w nocy wiał północny wiatr, z instrumentu dobywały się harmoniczne dźwięki.

- A więc to też była harfa eolska! - odparła zdumiona Sara. - Ale po co ta cała tajemniczość? Czy to z powodu Ciemnych Słyszących?

Skinął głową.

- Nasze prawdziwe nazwiska i twarze zna tylko pierwsza strażniczka. Jej imię zakonne brzmi zresztą Nével.

Kinnor otworzył drzwi pod kamiennym łukiem i przepuścił Sarę przodem. Kilka kroków za Porte Mage wyszli na tę samą asfaltowaną ulicę, którą

przywiozła ich wczoraj rozklekotana taksówka Uzbeka. U wylotu drogi stał bez świateł van. Na siedzeniu pasażera Sara dostrzegła sylwetkę madame Le Mouel.

- Proszę wejść - powiedział Kinnor, wskazując na samochód ręką, w której trzymał latarnię.

Otworzyła tylne drzwi.

- Dokąd jedziemy?

- Tego nie mogę powiedzieć.

- Val d'Enfer?

- Skąd? - Czarnemu Księżciu ze zdziwienia odebrało oddech.

Z samochodu dobiegł rozbawiony głos madame Le Mouel.

- Wszystko w porządku, Kinnor. Nasza nowa siostra wie o bractwie więcej niż niektórzy z nas.

A więc i Kinnor musiał uznać, że wszystko w porządku. Bez dalszych komentarzy usiadł za kierownicą. Sara zajęła miejsce za nim. Pierwsza strażniczka odwróciła się, przywitała ją uprzejmie, a potem, pokazując na czarną nylonową torebkę, zapytała:

- Masz przy sobie komórkę?

- Tak.

- Wyłącz, proszę, wszystko, co pozwoliłoby cię namierzyć.

Niepokój Sary zwiększył się. W ciszy sama sobie wydała się idiotką, bo przytargała ze sobą z Węgier aż do Francji komórkę Niekrasowa. Jeśli Słyszący Barwy naprawdę potrafili wysledzić sygnały takich urzędzeń, to.

- A teraz załóż, proszę, to - pierwsza strażniczka przerwała niewesołe rozmyślenia Sary. Podała jej maskę z zaklejonymi otworami na oczy.

- Czemu to ma niby służyć? - zapytała Sara podejrzliwie.

- Ochronie nas wszystkich. Możesz wiedzieć, że zbieramy się w Dolinie Piekieł, ale dokładne położenie naszego sanktuarium powinno pozostać tajemnicą aż do chwili, kiedy całe bractwo przyjmie cię w nasze szeregi.

Sara niechętnie założyła maskę Murzyna. Od tej chwili widziała jedynie dźwięki. Kiedy Kinnor zapalił silnik i ruszył, przed oczyma jej duszy rozwinął się brudnoniebieski dywan flokati.

Po drodze dowiedziała się, że pozostali Strażnicy Harfy Wiatrów znają twarz jedynie madame Le Mouel. Nazywali ją jednak zakonnym imieniem Nével. Tożsamość pozostałych Strażników objęta była tajemnicą, aby ustrzec się przed

zdradą w rodzaju tej, jaką zgotował im swego czasu Richelieu.

Według szacunków Sary nie minęło nawet piętnaście minut, kiedy samochód zjechał z drogi. Krótką chwilę jechał wolno po nierównej ziemi. Bogata wyobraźnia podpowiadała przerażające scenariusze, w których występowały na przykład trujące grzyby. Szczególnie niemiłym wyobrażeniem było to, że wpadła właśnie w pułapkę Ciemnych i już niedługo zostanie porzucona w odludnym miejscu z podciętym gardłem.

Potem van stanął.

Serce Sary zaczęło bić jak szalone. Sparaliżowana strachem siedziała na tylnym siedzeniu i obserwowała barwy dźwięków. Drzwi kierowcy otworzyły się – brunatny – Kinnor wysiadł – pomarańczowy – otworzył jej drzwi – ponownie brunatny – i złapał ją za głowę. Czerń.

– To nie będzie nam już potrzebne – powiedział swoim ciepłym głosem w kolorze ochry i nagle Sara znowu mogła widzieć, ponieważ zerwał taśmę z otworów na oczy w masce.

– Lepiej będzie, jeśli pozostali bracia i siostry nie będą widzieli twojej twarzy – wyjaśniła Nével. – Przygotowaliśmy też pelerynę, która ukryje twoją sylwetkę. Jakie imię chciałabyś przyjąć?

– Ja?... Och. – Sara była zbyt zaskoczona, żeby wymyślić na poczekaniu odpowiedni pseudonim.

– Przepraszam, siostrze. Na pewno jesteś bardzo zdezorientowana. Co powiesz na Kitharę? To greckie określenie harfy

– Może być – odpowiedziała Sara jak marudne dziecko. Imię tak naprawdę bardzo jej się podobało.

Nével skinęła głową zadowolona.

– Chodź więc.

Obie kobiety wysiadły. Kinnor wyjął z bagażnika dwie długie peleryny, które zarzucił im na ramiona. Ta, którą dostała Florence Le Mouel, wyróżniała się jedynie złotą lirą wyszytą nad sercem. Na końcu Sara musiała założyć czapkę z okrągłym, opadającym do przodu końcem. W odróżnieniu od towarzyszy, ona dostała białą.

– W ten sposób wszyscy poznają, że jesteś neofitką – wyjaśniła pierwsza strażniczka, kiedy pomagała Sarze wsunąć niesforne włosy pod nakrycie głowy.

W tym samym czasie zapłonęła też latarnia Kinnora. Przykrył samochód,

który zaparkował w porośniętej krzakami niecce, siatką maskującą i stanął na czele ich grupki. Około pół kilometra szli wąską ścieżką pośród wapiennych skał wznoszącej się stromo wzdłuż krawędzi Doliny Piekieł.

Po drodze Sara uświadomiła sobie, że przez zapomnienie zostawiła na tylnym siedzeniu samochodu swoją torbę. Najchętniej wróciłaby po nią, nie odważyła się jednak zawracać pierwszej strażniczce głowy takimi drobiazgami.

Ostatni odcinek przeszli na przełaj i dotarli do wejścia do pieczary. Znajdowało się ono pośród wiecznie zielonych drzew, a Sara dostrzegła je wyłącznie dlatego, że niską szczelinę odgrodzono od gałęzi siatką. Dwie postaci koloru nocy, do złudzenia podobne do Kinnora, stały na straży. Obie trzymały w dłoniach broń automatyczną. Jeden skierował snop światła latarki na pierwszą strażniczkę.

Dłoń Nével wysunęła się z fałd peleryny, a jej palce wykonały w powietrzu szybki taniec. Sara nie była w stanie nadażyć za skomplikowaną choreografią, domyśliła się jednak, że był to tajemny znak rozpoznawczy strażników. W każdym razie wartownicy byli zadowoleni z przedstawienia. Powitali pierwszą strażniczkę z uprzejmym szacunkiem, jaki należy się sędziwej matce. Jej towarzysze także zostali pozdrowieni.

W końcu Kinnor wszedł z latarnią do pieczary. Za nim Sara. Nével zamykała pochód. Wejście było tak niskie, że musieli się pochylić. W ciszy wszyscy troje przeszli wąskim tunelem, przecinającym skały zębatą rysą. Ani chropowate skały, ani nierówne podłoże korytarza nie wskazywały na to, że prowadzi on do miejsca spotkań.

Po około dwudziestu metrach przejście rozszerzyło się. Kinnor przeszedł jeszcze kilka kroków w świetle latarni, a potem nagle skręcił ostro w lewo i zniknął w kolejnej szczelinie, której Sara nie zauważyła, ponieważ była ukryta za występem skały. Musiała się spieszyć, żeby nie stracić Kinnora z oczu, światło szybko niknęło bowiem w tym wąskim korytarzu.

Przejście, jak ustaliła Sara już po drugiej stronie, było zamykane za pomocą mechanicznego urządzenia. „Drzwi” wyciosano z przypominającego stelę odłamu skały, który – przynajmniej na pozór – wykonany był z tego samego jasnego kamienia, z jakiego zbudowane były także ściany. Najwyraźniej wiele wysiłku włożono w to, aby ukryć je tak dobrze, jak to tylko możliwe.

Sara podążyła za Kinnorem przez mały przedsionek. Za okrągłym łukiem po drugiej stronie roztaczał się widok oświetlonej pochodniami wielkiej sali. Do jej

uszu dobiegały ciche szepty. Zawahała się.

Za nią odezwał się jedwabisty głos pierwszej strażniczki.

- Śmiało, Kitharo! Twoi nowi bracia i siostry czekają.

Sara wzięła głęboki wdech - i przeszła pod łukiem.

Przed nią rozciągało się zadziwiająco duże pomieszczenie zbudowane na planie czworokąta o nieskazitelnie gładkich ścianach z białego wapienia. Miało około dziesięciu metrów wysokości i tyle samo szerokości, a jego długość Sara oceniała na trzy razy tyle. Od razu pomyślała o kryjówkach, w których zbierali się pierwsi chrześcijanie - katakumbach Rzymu czy wykutych w skale kościołach Kapadocji. Nie było tu jednak krzyży, poza tym symbolika sanktuarium w Dolinie Piekieł była inna niż ta, którą знаła z chrześcijańskich kościołów.

Trzy albo cztery kroki od niej stały dwa siedziska o niskich oparciach, jedno tuż za drugim. Ich bogate zdobienia pasowałyby dobrze też do pokojów gościnnych „Bautezara”. Wzdłuż obu dłuższych ścian sali ustawiono kolejne rzedy krzeseł, tym razem o wysokich poręczach, a na nich siedziało około dwóch tuzinów spowitych w czerń postaci. Niektóre miejsca były wolne.

Wolną przestrzeń w centrum sali wypełniał ciemnoniebieski dywan i trzy ustawione na planie trójkąta równoramienne ciężkie świeczniki barwy złota i wysokości człowieka. Czubek tej piramidy wskazywał na przeciwległą ścianę sali. Zdobila ją ciemnoniebieska flaga z białą harfą eolską, którą kunsztownie wygięte rogi upodabniały do liry. Przed nią stały trzy puste barokowe trony. Po lewej stronie znajdował się stół, na którym znajdował się papier, kałamarz i pióro - najwyraźniej miejsce dla protokolanta. Obok Sara odkryła jeszcze małą harfę, która wyglądała trochę jak irlandzka *dairseach*.

Kinnor zaprowadził Sarę do miejsca dla neofitów, czyli przedniego pojedynczego krzesła. Szmer w kamiennej sali osłabł. Nével, pierwsza strażniczka, usiadła na środkowym tronie. Kinnor zajął miejsce przy pulpicie sekretarza. W tym samym czasie ktoś zapalił trzy świece i opadł na trzeci fotel.

Sara zauważyła ruch za plecami. Kiedy obróciła lekko głowę, zobaczyła, że krzesło za nią także zostało zajęte przez zamaskowanego strażnika o szerokich ramionach. To odkrycie bynajmniej jej nie uspokoiło. Czy miał on za zadanie przeszkodzić jej w ucieczce?

W sali zapadła cisza.

Sara zamknęła oczy za maską. Dar *audition colorée* malował jej

kruczoczarne zagruntowanie, na którym zobaczyła sznur pastelowo czerwonych plamek: bicie zdenerwowanego serca. Miała wrażenie, że śni, i pod peleryną uszczypnęła się w grzbiet dłoni. Nie, to nie był sen.

Cisza trwała dłużej, niż się spodziewała. Potem jednak Nével zabrała głos.

- Witajcie, siostry i bracia, Stróże Harfy Wiatrów, Strażnicy Historii Słyszających Barwy.

Sara mimowolnie zadrżała, kiedy pozostałe głosy odpowiedziały:

- Witaj, siostró Nével.

- Minęło wiele pokoleń - ciągnęła pierwsza strażniczka - od czasów ostatniego mistrza harfy, mistrza dźwięków równego Jubalowi - w naszych księgach zapisano jego imię.

- Tak, strzeżemy go - odparł chór.

- Kiedy Franciszek Liszt żegnał się z nami w tym miejscu, zapowiedział czas ciszy. Wtedy sądziliśmy, że używa metafor. Powiedział, że Łabędzie zamilkną, a Orły wzrastać będą w siłę. W tej ciemnej epoce muzyka nie będzie tym, czym on chciał ją widzieć - środkiem wewnętrznego odnowienia ludzkości, będzie natomiast środkiem do celu, będzie wykorzystywana do manipulacji albo służyła wzbogaceniu się jednostek. Zapisaliśmy tę przepowiednię.

- Tak, strzeżemy jej - ponownie potwierdzili zebrani.

- Jednakże mistrz harfy dodał nam też nadziei. Nadał naszemu credo - *post tenebras lux* - nowe, szersze znaczenie, obiecując, że po ciemności Orłów do muzyki powróci światło Łabędzi. A potem nakazał nam: „Pamiętajcie o znaku - Nével uroczystym gestem wskazała na dywan - abyście rozpoznali tego, kto przyjdzie po mnie i zwróci wam światło”. Tak właśnie zostało to zapisane.

- Tak, tego właśnie strzeżemy - poświadczył chór.

A Sara zamarła. Wcześniej nie zwracała większej uwagi na błękitny chodnik na środkowej osi pomieszczenia, teraz jednak zauważyła na nim symbol, który z jej perspektywy tylko nieznacznie wybijał się z tła.

Dokładny wizerunek jej naszyjnika.

- ...Kitharo, pokaż nam, proszę, twój klejnot.

Głos pierwszej strażniczki przeniknął opornie do świadomości Sary - musiała przyzwyczać się do swojego nowego imienia. Kiedy zauważyła, że wszystkie głowy zwracają się w jej stronę, zadrżała.

- Pokaż im sygnet, siostró - nalegała łagodnie pierwsza strażniczka.

Sara zaczęła gorączkowo manipulować przy zapięciu naszyjnika pod

peleryną. Kiedy w końcu udało jej się go rozpiąć, pokazała wszystkim migoczącą pamiątkę rodzinną.

Po błyszczących smoliście maskach nie było znać najmniejszej emocji, spod nich jednak dobyło się kilka okrzyków zadziwienia.

- Kitharo, bądź tak dobra i puść go wkoło - poprosiła Nével.

Sara podniosła się i podała naszyjnik pierwszemu strażnikowi po lewej. Dziwnie się czuła, obserwując sygnet, który tak długo ukrywała przed światem, wystawiony nagle na spojrzenie tyłu oczu i dotyk tyłu dłoni. Kiedy wszyscy obejrzeliby już sygnet „FL” i zwrócili go w końcu Sarze, głos ponownie zabrała Nével.

- Czy rozumiesz znaczenie klejnotu, Kitharo?

Sara zmarszczyła czoło pod maską.

- Znaczenie? To przecież inicjały mojego przodka, Franciszka Liszta.

Kilka osób na sali roześmiało się cicho. Pierwsza strażniczka nakazała im milczenie, a potem zwróciła się do neofitki i kontynuowała:

- To oczywiście prawda. Ale to tylko powierzchowna interpretacja. Czy nigdy nie słyszałaś, że po niemiecku, w języku, którym mówił Franciszek Liszt, słowa „Słyszący Barwy”, czyli *Farben-Lau-scher*, także zaczynają się od liter „F” i „L”?

To pytanie uderzyło Sarę z siłą kowalskiego młota.

- N-nie... - wydukała.

Nével rozłożyła ręce.

- A to przecież takie proste, prawda? Czasami sygnet oznacza monogram Franciszka Liszta, ale kiedy go obrócisz, ukaże ci się jako Słyszący Barwy. Sądzę, że nadeszła właściwa chwila, żebyś opowiedziała o sobie naszym braciom i siostram. Nie musisz wymieniać swojego nazwiska, imienia ani zawodu, ale powiedz, proszę, jak weszłaś w posiadanie tego klejnotu i jak przyprowadził cię on do nas.

Sara posłusznie, choć z początku dość niechętnie, spełniła prośbę. Opowiedziała o swoim dzieciństwie, o przedwczesnej śmierci matki, dziedzictwie, poszukiwaniu przodka, koncercie w Weimarze i odysei tropem róży wiatrów. „Murzyn” siedzący po prawej stronie Nével wtrącał krytyczne pytania, czym początkowo zdeprymował Sarę. Kiedy straciła wątek, głos zabrał strażnik siedzący za nią i przypomniał jedną z poprzednich wypowiedzi neofitki.

Najwyraźniej olbrzym za plecami nie miał powstrzymać jej w razie ucieczki, ale służył jako *advocatus Dei*, orędownik wspierający podczas przyjęcia do bractwa. Natomiast temu pierwszemu przypisano rolę *advocatus diaboli* – miał za zadanie dosłownie dzielić każdy włos na czworo, żeby znaleźć przekonujące argumenty przeciwko inicjacji nowej członkini.

- Nasz ryt nakazuje gruntowne rozpatrzenie wszystkich za i przeciw, zanim przyjmemy kogoś do naszego kręgu - wyjaśniła przyjaźnie pierwsza strażniczka. Wyczuła niepewność po drugiej stronie pomieszczenia.

Tak więc Sara ciągnęła dalej. Stopniowo rozluźniała się coraz bardziej, tym bardziej że „advokat diabła” przerywał jej coraz rzadziej. Ponadto Słyszący często wydawali z siebie westchnienia zaskoczenia, zwłaszcza kiedy cytowała tajemne wiadomości od Liszta, które mogła poznać jedynie za pośrednictwem daru *audition colorée*.

- Sądzę, że w świadectwie naszej siostry wyraźnie pobrzmiewa dźwięk prawdy - podsumowała na koniec Nével. - Poza tym nosi ona znak ostatniego wielkiego mistrza Łabędzi. Po trzecie zaś, prawidłowo odgadła liczbę Harfy Wiatrów. Wnoszę więc o przyjęcie Kithary do związku Słyszących Barwy. Jeśli ktoś chciałby zgłosić sprzeciw, niech odezwie się teraz albo zamilknie na zawsze.

Wszyscy milczeli. Kinnor zapisał coś w protokole.

Pierwsza strażniczka skinęła głową i ponownie zwróciła się do Sary

- Każde przymierze zawierają dwie strony. Zyskałaś teraz nasze nieograniczone zaufanie, chcielibyśmy zatem, abyś ty również zaufała nam. Pozwól, że opowiem ci pewną historię.

Tak jak części symfonii oddzielone są od siebie pauzą, tak i Nével zastygła na chwilę w milczeniu. W sali słychać było jedynie trzask i syk pochodni.

- Według legendy - zaczęła po chwili - my, Strażnicy Harfy Wiatrów, od zarania dziejów jesteśmy kronikarzami Słyszących Barwy

Są zakonem w zakonie, dodała, albo też, dla większej precyzji, odrębnym stopniem wtajemniczenia otwartym wyłącznie dla Słyszących, którzy dysponują szczególnym rodzajem muzykalności oraz darem obserwacji. Ich zadania są ściśle określone, ich rola zawsze pasywna. Strażnikom nigdy nie wolno ingerować w światowe wydarzenia. Są jak harfa Eola, która nie podlega ludzkiej woli, ale słucha jedynie sił przyrody. Tej metaforze zawdzięczają też nazwę zgromadzenia.

Przez wiele stuleci Les Baux de Provence służyło im za siedzibę. Tutaj mieściły się rezydencje pierwszych strażników i strażniczek. Val d'Enfer była zarówno ostoją, jak i centrum wiedzy. Aż do dziś opowiada się tu historie o wiedźmach, duchach i wrózkach, które żyją jakoby w pieczarach Doliny Piekieł.

- My, Słyszący Barwy, ponosimy częściowo odpowiedzialność za powstanie tych legend, a one przez wiele pokoleń chroniły nas przed wzrokiem ciekawskich - wyjaśniła Nével niemalże figlarnym tonem.

Potem zaczęła mówić o wydarzeniach, których Sara i Oleg Janin częściowo sami się domyślili. Purpurowe Nuty zawdzięczały swoją nazwę kardynałowi Richelieu. On sam należał zresztą do tajnego stowarzyszenia, które określało się mianem Krzyża Zmierzchu. Pragnienia tego związku pod pewnymi względami były zbieżne z celami radykałów wśród synów Jubala. Intryga kardynała Richelieu doprowadziła w 1632 roku do złamania kodeksu Słyszących Barwy

Kardynał odkrył istnienie stowarzyszenia i zapragnął posiadać Dźwięki Władzy. Udało mu się skaptować osobę z najbliższego otoczenia mistrza harfy. Richelieu obiecał mu bogactwo i wpływy, jeżeli zapisze dla niego Naukę Dźwięków w formie nut. Kiedy już je zdobył, zapomniał o swojej obietnicy. Rozkazał oblężenie zamku i zburzenie go rękami mieszkańców miasta.

Na skutek jego spisku rozpętała się wojna Słyszących Barwy, w toku której wielki mistrz oraz większa część jego najbliższych współpracowników została zamordowana. Bractwo rozpadło się na dwie części - Łabędzi oraz Orłów. Richelieu także poniósł klęskę. Nie dysponował specjalną odmianą *audition colorée*, a bez niej Dźwięki Władzy nie miały dla niego najmniejszej wartości. Po jego śmierci zawiązany przezeń spisek popadł w zapomnienie.

Jednakże Strażnicy Harfy Wiatrów nadal zapisywali wszystko, tak jak robili to przez wieki.

Ich księgi ukryte są w tajemnym miejscu, w Ostoi, tłumaczyła dalej Nével. Oni, kronikarze, zabezpieczają przyszłość przez to, że chronią najczystsza formę przeszłości - niezafałszowane kroniki. Ostatni mistrz równy Jubalowi - Franciszek Liszt - zobowiązał ponadto zakon do strzeżenia tajemnicy Szkarłatnej Partytury.

To okazało się o wiele trudniejsze od tradycyjnych zadań zgromadzenia,

ponieważ nawet pierwszy strażnik nie znał miejsca, w którym ukryto Naukę Dźwięków Jubala. Liszt nie mógł albo nie chciał powierzać tej wiedzy strażnikom. W ciągu trzech ostatnich dekad jego życia na ich czele stał Zabbecha. Kiedy nalegał on na to, aby mistrz zdradził mu miejsce ukrycia Nut, ten zwykł odpowiadać mu równie uprzejmie, co wymijająco: „Pozostaną tam, gdzie są, drzewo pośród wielu drzew lasu”.

Liszta prześladowali Ciemni, którzy w końcu doprowadzili go do desperacji. Śmierć zbierała wokół niego obfite żniwo. Wielu spośród jego najbliższych przyjaciół zmarło. W grudniu 1859 roku odszedł jego syn Daniel, we wrześniu 1862 jego córka Blandine Ollivier, a w lutym 1866 jego własna matka.

W roku 1881 Orły przeszły do frontalnego natarcia, ciągnęła Nével dramatycznym głosem. Liszt w ogrodach książęcych w Weimarze przeżył poważny w skutkach upadek. Tak przynajmniej brzmi oficjalna wersja podawana przez historyków i biografów. Nigdy już nie wrócił do pełni formy, od tego epizodu zaczęło się zniedołężnienie, które pięć lat później doprowadziło do jego śmierci. W żadnej książce nie wspomniano jednak, kto zepchnął mistrza, nie wiadomo też, dlaczego skazał Królową Dźwięków na zapomnienie w jakimś lochu.

Nével opowiadała to bez cienia zarzutu w głosie. Kronikarze nie wydają wyroków. Obserwują i zapisują - z dystansu. Sara jednakże potrafiła zrozumieć, że jej przodek walczył z rezygnacją, albo też zrobił się nieufny. Nie potrafił zapobiec morderstwu cara Aleksandra II, a w kilka tygodni później sam nieomal padł ofiarą zamachu. Jednego jednakże nie pojmowała.

- Dlaczego się nie bronił? - zapytała nagle. Wśród strażników nastąpiło poruszenie. Protokół nie przewidywał możliwości przerywania pierwszej strażniczce.

Nével natomiast, jak się wydawało, taka żądza wiedzy przypadła nawet do gustu. Odpowiedziała uprzejmie:

- Och, doskonale umiał posługiwać się swoim darem w celu ochrony siebie samego i swoich towarzyszy. Cóż innego pozwoliłoby mu mimo rozlicznych intryg dożyć wieku prawie siedemdziesięciu pięciu lat? Kiedyś - podczas paryskiej premiery jego *Graner Messe* w katedrze Saint-Eustache - grą na organach zatrzymał cały oddział żołnierzy. Był to jednak akt obrony koniecznej. Zasadniczo sprzeciwiał się bowiem manipulacji i przemocy w każdej postaci.

Sara nigdy nie słyszała o tym zajściu.

- Skoro Orły zadały mu tyle bólu, dlaczego po prostu nie pozbył się brzemienia swojego urzędu?

- Ponieważ to byłoby sprzeczne z zasadami odpowiedzialności i obowiązku. Mistrz harfy, tak jak i pierwszy strażnik harfy wiatrów, zawsze był tarczą ochronną dla bractwa. Wiedział, że dopóki przyjmuje na siebie ciosy przeciwnika, dopóty inni będą mogli w spokoju zajmować się swoimi zadaniami.

- Czy dlatego właśnie stworzył trop róży wiatrów? Jako królewski szlak prowadzący do miejsca ukrycia Purpurowych Nut?

- Jesteśmy o tym przekonani - odpowiedziała Nével.

- Tak, jesteśmy - przyznał chór.

Pierwsza strażniczka dodała:

- Musiał wyjść z założenia, że Królową Dźwięków weźmie ze sobą do grobu, gdyż nie pojawi się na czas mistrz równy Jubalowi, któremu mógłby przekazać urząd. Widzący, jak zwykł powtarzać, znajdzie Naukę Dźwięków, a ona znajdzie jego. Ty, siostrze Kitharo, udowodniłaś, że jesteś tą obiecaną widzącą.

- Tak, udowodniłaś - potwierdzili jak jeden mąż strażnicy.

Sara natomiast chciała by zamienić się w kornika i ukryć się głęboko w drewnianym krześle, na którym siedziała przed zebranymi.

Nével podniosła się, a kiedy także reszta sali - w tym, mimowolnie, też i neofitka - podążyła za jej przykładem, zaintonowała uroczyście:

- Pytam cię zatem, czy ty, Kitharo Widząca, pragniesz od tej chwili aż do śmierci należeć do związku Jasnych Słyszących Barwy? Czy ślubujesz strzec tajemnic Białych i oddać za nie własne życie? I czy przysięgasz zachować ideały Łabędzi i wykorzystywać potęgę dźwięków wyłącznie dla dobra ludzkości? Odpowiedz mądrze, odpowiedz szczerze.

Wszystkie murzyńskie twarze zwróciły się w stronę Sary.

Ta przełknęła ślinę. Była zaskoczona. Przysięga brzmiała tak poważnie. Tak ostatecznie. I co właściwie stanie się, jeżeli odmówi przystąpienia do związku Jasnych Słyszących Barwy?

Czy w ogóle chciała odmówić? Odkąd w młodości ujawnił się jej dar, często czuła się obca wśród ludzi, niemal jak przybysz z innej planety. Synestetyk nie jest taki jak inni. Niektórzy widzieli w niej nawet potwora, któremu należałoby wybić z głowy zwyrodnienie. Jednakże jej męczeństwo zaczęło się dużo wcześniej. Jej matka nie potrafiła zapewnić bezpieczeństwa dziewczynce, która

umyślnie sama się kaleczyła. Żadne dziecko nie zniesie bycia wyrzutkiem we własnym domu.

Tutaj jednak znalazła ludzi, którzy ją rozumieli, wspólnotę ludzi słyszących kolory, którzy mogli jej pomóc odnaleźć korzenie.

- Odpowiedz mądrze, odpowiedz szczerze - powtórzyła Nével. Jej głos nie był nagły, dało się w nim jednak usłyszeć delikatny nacisk, jak u zatroskanej matki.

Sara zaczerpnęła tchu i powiedziała:

- Tak!

- Niech się stanie - rozbrzmiało w kamiennej Sali. Potem Strażnicy Harfy Wiatrów zaczęli klaskać i przestali dopiero, kiedy Nével rozłożyła ramiona, dając znak, że chce ponownie zabrać głos.

- Widzisz, jak strażnicy cieszą się z twojego przyjęcia do związku. Poza dokumentem inicjacji, który brat Kinnor za chwilę przygotuje, brakuje ci, droga siostrzo Kitharo, do pełnego członkostwa w naszej wspólnocie jeszcze jednego: znaku rozpoznawczego. Wolno ci teraz przejść przez piramidę światła i podejść do mnie.

Pierwszy krok nie przyszedł Sarze łatwo. Bardzo starała się wyglądać godnie, kiedy szła między szpalerem Słyszących Barwy, przechodziła po długim dywanie ze znakiem „FL”, a potem między świecznikami. Po dotarciu na czubek tej symbolicznej piramidy musiała zdecydować, z której strony ominie trzecią świecę. Jako że była leworęczna, skrzyła w lewo, dokonując nieświadomie lepszego wyboru, gdyż z punktu widzenia pierwszej strażniczki wyglądało to tak, jakby wybrała drogę prawa.

- Patrz teraz uważnie na moje ręce - nakazała Nével nowej siostrze, kiedy ta przed nią stanęła, a po chwili dodała:

- Kinnor podkreśli znak dźwiękami, żebyś mogła go łatwiej zapamiętać. Normalnie używa się go w milczeniu.

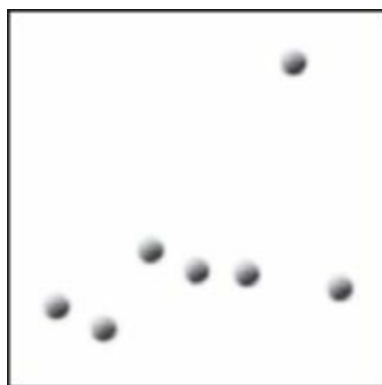
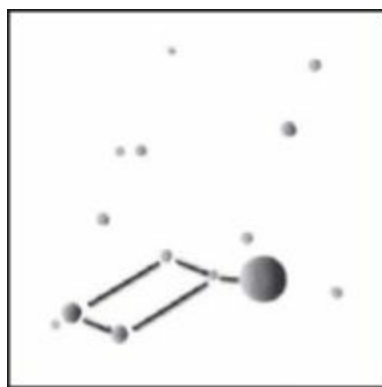
Sara poczuła swędzenie pod maską. Otwory na oczy ograniczały jej pole widzenia. Najchętniej zerwałaby ją z twarzy. Zanim mogła poddać się tej pokusie, Nével wyciągnęła spod peleryny dłoń i wykonała szybką sekwencję ruchów.

Na pierwszy rzut oka był to ten sam układ, który jej palce odtańczyły przed wejściem do pieczary. Wyglądało to tak, jakby grała na napowietrznej klawiaturze. Niektóre palce uderzały w niewidoczne klawisze na górze, inne

grały nieco niżej. W tym samym czasie Kinnor wygrał na harfie *staccato* dźwięków. Niektóre rozbrzmiały głośniej, inne bardzo cicho, tworząc w ten sposób plamy różnych rozmiarów na ekranie wyobraźni nowej Słyszącej Barwy.

To, co wydawało się zupełnie chaotyczne, w rzeczywistości podążało za ściśle ustalonym wzorem, a Sara - co zaparło jej dech w piersiach - dobrze знаła obraz, który jej dar *audition colorée* uczynił jeszcze wyraźniejszym. Przez jej umysł przewinęła się fala skojarzeń - ujrzała w wyobraźni żelazne drzwi na taras w domu madame Le Mouel, muzy na dachu Teatru Królewskiego w Kopenhadze, mapę nieba Tychona Brahego w kościele Wszystkich Świętych na wyspie Ven. Ostatnie ogniwo łańcucha pamięci było wspomnieniem sprzed dwóch tygodni.

Ciałem Sary targnęły dreszcze. Narastało w niej mroczne przeczucie. Zamknęła oczy, ale w ten sposób echo różnych, a przecież tak podobnych obrazów, tylko przybrało na sile. Kolejno przed jej oczyma przesuwwały się stopione ze sobą wspomnienia oraz pierwotny obraz, który ujrzała w Weimarze, kiedy wybierała numer komórki Olega Janina:



- Dobrze się czujesz? - zapytała zatroskana pierwsza strażniczka. Sara otworzyła oczy.

- Znam ten znak. To gwiazdozbiór Lutni, czyli *Lyra*.

Nével skinęła głową z aprobatą.

- Znowu udało ci się mnie zadziwić, Kitharo. Mówiłaś nam, co prawda, że twój ojciec był astrofizykiem i mówił ci o gwiazdach, ale tego się nie.

- Nie, to nie tak - przerwała Sara pierwszej strażniczce w podnieceniu. - Kiedy wybierałam numer na komórkę Olega Janina, ostatnie siedem cyfr ukazało mi dokładnie ten sam obraz. Już w Weimarze wydał mi się znajomy, ale nie wpadłam wtedy na to, że to stary gwiazdozbiór *Lyrae*. Mój telefon wygrał wszystkie dźwięki w równych odstępach, co zniekształciło trochę konstelację. Poza tym nie była ona kompletna.

- Ale były tam wszystkie główne gwiazdy? - zapytała Nével zaniepokojona.

- Oczywiście! Nawet Wega, ta najjaśniejsza - zapewniła Sara.

- Dobry Boże! - pierwsza strażniczka przyłożyła dłoń do gardła i zachwiała się. Przez salę przeszła fala szeptów. Kinnor natychmiast znalazł się przy niej, żeby ją podtrzymać. Bezradnie pokręciła głową.

- Kitharo, lira to najstarszy i objęty największą tajemnicą znak rozpoznawczy Słyszących Barwy. Nawet Richelieu się o nim nie dowiedział, co swego czasu ocaliło życie wielu spośród nas. Niemożliwe, żeby poznał go profesor muzyki.

- Czy to znaczy, że? - Podejrzenie tak okropnej zdrady sprawiło, że Sara nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Nével skinęła głową. Mówiła z wielkim wysiłkiem.

- Czy wiesz, skąd pochodzi nazwa tej gwiazdy? Słowo *Wega* pochodzi z arabskiego, a oznacza mniej więcej tyle, co spadający sęp albo, według innych tłumaczeń - orzeł.

- Nie! - wyszeptała przerażona Sara.

- O tak! Obawiałam się, że nieświadomie doprowadziłaś do nas naszego największego wroga. Wszyscy jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie - Nével zwróciła się w stronę sekretarza, już miała coś powiedzieć, ale nagle złapała się za pierś.

- Gdzie masz leki? - wyrzucił z siebie Kinnor. Jego głos zdradzał, jak wielkimi obawami napawało go zasłabnięcie Nével.

Pokręciła głową.

- W torebce. A ta jest w samochodzie. - Roześmiała się ochryple.

- Musisz natychmiast wszystkich stąd zabrać, Kinnor! Ciemni mogli nas śledzić. Użyj drugiego wyjścia i. - Stłumiony krzyk bólu nie pozwolił jej

dokończyć.

Kinnor rzucił w stronę sali kilka imion i poleceń.

Słyszący Barwy zareagowali szybko i spokojnie. Wyglądało to prawie tak, jakby na tego typu przypadki mieli gotowy plan, który teraz właśnie skrupulatnie wprowadzali w życie. Sara stała jak sparaliżowana ze strachu. Bez ruchu obserwowała ewakuację. Kilka zamaskowanych postaci zrywało kilim ze ściany za tronami. Ktoś uruchomił ukryty mechanizm, który otworzył w skale drzwi podobne do obrotowej steli przy głównym wejściu, wyraźnie jednak mniejsze.

Sara była za bardzo oszołomiona, żeby się do czegokolwiek przydać. Wyrwała się z otępienia dopiero, kiedy pod Nével ugięły się nogi. Podbiegła do niej szybko i pomogła Kinnorowi ułożyć strażniczkę na podłodze.

- Musimy cię najpierw stąd zabrać - powiedział Kinnor.

- Bzdury! - powiedziała Nével przez zaciśnięte zęby. - Zablokuję tylko tajne przejście. Pierwsza strażniczka wychodzi ostatnia.

Najwyraźniej sekretarz znał siłę jej uporu, podniósł się bowiem i krzyknął:

- Alix, zorganizuj ewakuację, ja muszę zająć się Nével.

- Tak zrobię, braciszku - odpowiedział z tłumu jakiś kobiecy głos.

Kinnor energicznymi gestami dawał znaki pozostałym towarzyszom, żeby natychmiast opuścili salę. Kiedy pierwsi strażnicy zniknęli w ciasnym przejściu, ponownie zwrócił się do Nével.

- To nie statek, a ty nie jesteś jego kapitanem, żeby wychodzić na końcu. Zachowaj rozsądek, Florence!

- Żadnych imion! - wychrypiała Nével.

- Proszę, posłuchaj mnie, siostro. Nie wiemy nawet, czy Ciemni naprawdę nas odkryli. - Zamilkł. Jakby dla ukarania go za kłamstwo, w sali rozległ się nagle odległy terkot. Który natychmiast zamilkł.

Dźwięk ten wprawdzie zginął prawie wśród podnieconych szeptów Słyszących Barwy, Sarze zrobiło się jednak zimno. Czy właśnie słyszała strzały?

- Słyszysz? Orły wylądowały - jęknęła Nével.

Kinnor pokręcił głową w rozpacz.

- Tym szybciej musimy cię stąd wydostać. Pilnie potrzebujesz pomocy lekarskiej.

Nével jak na złość uniosła się na przedramionach i wysyczała:

- No, to weź się łaskawie do roboty, Kinnor! Jesteś najlepszym, jakiego znam.

Bez sił opadła ponownie, z trudem nabrała powietrza i powiedziała

zadziwiająco miękko do najmłodszej siostry:

- A ty, Kitharo, uciekaj, proszę! Ja należę do przeszłości, ale w tobie jest nasza przyszłość.

Sara poznała wprawdzie surową madame Le Mouel przed zaledwie kilkoma godzinami, ale czuła się tak, jakby po raz kolejny opuszczała własną umierającą matkę. Uparcie pokręciła głową.

- Zostaję z tobą.

- Dobry Boże! Jesteś tak samo beznadziejna jak ja! - wysapała Nével. W następnej chwili ponownie złapała się za pierś.

Kinnor rozluźnił pelerynę na szyi strażniczki i szepnął do Sary.

- To nie wygląda dobrze. Musimy zabrać ją stąd tak szybko, jak to tylko możliwe. Zostań z nią. Zaraz wrócę.

Podbiegł do ściany i zgarnął kilim. Strażnicy cały czas po kolei przeciskali się przez wąskie drzwi ewakuacyjne. W sali wciąż była ich ponad połowa. Kiedy Kinnor ciągnął dywan w stronę tronów, Sara usłyszała kolejną serię strzałów, która pozostawiła przed oczyma jej duszy krwistoczerwone pręgi. Wydawały się bliższe niż wcześniej. Prawdopodobnie walka toczyła się już w głównym tunelu.

- Wpadną tu lada moment - powiedział Kinnor. Szybko rozłożył kilim obok pierwszej strażniczki. Nével tymczasem przestała stawiać opór. Straciła przytomność.

Trwożny wzrok Sary podążył ku łukowi drzwi po drugiej stronie sali. Do jej wyczulonych uszu dobiegł odgłos powłóczenia nogami.

I rzeczywiście! Do przedsionka chwiejnie wtoczyła się czarna postać w murzyńskiej masce. Z licznych dziur w jej pelerynie sączyła się krew. Człowiek ten doszedł aż do przejścia, krzyknął: „Zdrada!” i przewrócił się.

- Pomóż mi położyć ją na dywanie - usłyszała Sara głos sekretarza. Z trudem oderwała wzrok od podziurawionego kulami wartownika. Chwyciła nieprzytomną strażniczkę za nogi, Kinnor złapał ją pod ramionami. Na jego znak przenieśli Nével na materię.

I wtedy rozbrzmiała potężna eksplozja.

Tuż potem przez tunel przebiegł smok, miażdżąc wszystko na swej drodze. Kiedy wdarł się do sali, wydawało się, że pieczara rozpadnie się na dwoje. Języki płomieni sięgały aż do środka pomieszczenia, liżąc zarem powalonego wartownika, krzesła, dywan i świece. Gorący oddech jaszczura wystarczył, żeby

przypalić Sarze włosy. Następnie dotarła do niej fala uderzeniowa. Żwir, odłamki skał, kurz i fragmenty mebli zatańczyły w powietrzu. Nie było nic widać.

- Musimy dostać się do drzwi! - ryknął Kinnor.

Sara dotknęła językiem własnych ust, poczuła słony smak krwi i łez. Była ranna, ze strachu trzęsły się pod nią kolana i zupełnie straciła orientację, udało jej się jednak zachować spokój. Nigdy więcej nie straci kontroli! Podjęte niegdyś postanowienie wciąż było aktualne. Zgarnęła materiał przy stopach pierwszej strażniczki, podniosła go i na oślep ruszyła śladem Kinnora, który prowadził prowizoryczne nosze.

Udało im się przejść zaledwie kilka krótkich kroków, kiedy w sanktuarium rozległa się kolejna seria strzałów. Sara zagryzła zęby, żeby tym szybciej dostarczyć ładunek do zbawczych drzwi. Nagle jednak Kinnor stanął; Sara o mały włos potknęłaby się o nieprzytomną strażniczkę. Przerażona spojrzała na Słyszącego. Czyżby go trafili?

W powoli opadającej chmurze kurzu zobaczyła, że stoi wyprostowany. Nie dostrzegła żadnych ran. Nie poruszał się jednak, patrzył tylko tępo ponad ciałem pierwszej strażniczki.

- Czas zaintonować łabędzi śpiew - odezwał się nagle głęboki głos gdzieś z boku.

Sara obróciła głowę i zamarła. Zobaczyła krępą postać w ciemnym rynsztunku bojowym. W jej rękach tkwił krótki pistolet maszynowy, którego lufa zwrócona była w stronę Kinnora. Zamiast murzyńskiej maski na głowie napastnika tkwił hełm z odblaskowym wizjerem. Przysadzista sylwetka nasunęła Sarze nieprzyjemne skojarzenia z mężczyzną w czarnym płaszczu, którego zauważyła rano w Les Baux.

- Zabijesz brata? - Kinnor zapytał nieznajomego zadziwiająco spokojnie.

Ten chrząknął.

- Łabędzie służą Orłom najwyżej za pokarm, ale nie mogą mienić się ich braćmi. Zjem cię na śniadanie - Ciemny Słyszący Barwy uniósł broń.

Sara wstrzymała oddech. W każdej chwili spodziewała się śmiertelnej serii.

Nagle z chmury kurzu za Ciemnym wyrósł cień. Na twarzy miał murzyńską maskę i wirował jak w tańcu. W dłoniach trzymał coś, co wyglądało jak mieniący się metalicznie w świetle płomieni kij. Nagle na podłodze zaskrzypiał kamyk.

Orzeł zareagował instynktownie jak dziki drapieżnik. W jednej chwili obrócił

się, ściągając jednocześnie spust broni. Z uzi wyleciała krótka seria kul. A ciężki świecznik trafił intruza pod hełmem. Sarze wydawało się, że usłyszała trzask.

- To tylko forpoczta. Zaraz zaroi się tu od Ciemnych - Sara z zaskoczeniem stwierdziła, że głos, który dobiegł się zza maski należał do kobiety.

- Alix? - wyrwało się Kinnorowi. - Myślałem, że dawno już wyszłaś.

Roześmiała się.

- Jak to? Poleciałeś mi przecież zorganizować.

- Dobrze, dobrze - przerwał jej. - Pomóż Kitharze wyciągnąć stąd Nével. Ja zatrzymam przez ten czas Ciemnych.

- Chyba postradałeś zmysły, sam jeden przeciwko.

- Nie sprzeciwiaj się, siostró! Potężni Słyszący Barwy nie używają broni palnej. To chyba tylko najemnicy Niekrasowa. Z nimi poradzę sobie bez trudu. Idź już!

Alix zmieniła Kinnora u wezglowia noszy

- Nie masz broni. Jak zamierzasz ich zatrzymać? - zapytała Sara zaniepokojona.

- Czymś silniejszym od prochu i ołowiu. Jak nazwał to ten Ciemny? Łabędią pieśnią.

Sara zauważyła, że Alix pociągnęła za drugi koniec dywanu i ze swojej strony uniosła w górę stopy nieprzytomnej strażniczki. Nével była ciężka. Posuwały się do przodu małymi kroczkami.

Wkrótce w chmurze kurzu rozległ się ciepły, głęboki męski głos. Dla Sary jego tembr miał kolor i strukturę żółtego piaskowca. Mimo wszystko melodia, którą wyśpiewywał, wydała jej się równie obca i magiczna, jak dźwięki wydobywające się z pudełka Tiomkina w kopenhaskim Tivoli. Zaskoczona odwróciła się w stronę Kinnora. Stał między buchającymi płomieniami na szeroko rozstawionych nogach i wypełniał całą salę Dźwiękami Władzy.

Nagle z tumanu wyłoniły się inne postaci. Miały mundury bojowe i pistolety maszynowe tak jak ich zabity brat. Sara zadrżała. Sceneria była iście upiorna: ogień, skradające się zjawy i śpiewający „Murzyn”. Przez straszną chwilę spodziewała się śmiertelnego gradu pocisków, który nagle przerwałby łabędzi śpiew, potem jednak zauważyła, że Kinnor owładnął już wolą Orłów. Omamił ich jak szczurołap dzieci z Hameln.

- Nie przeniesiemy tędy Nével. Musimy to obejść - stęknęła nagle Alix.

Najwyraźniej była odporna na Dźwięki Władzy.

Sara odwróciła się i spojrzała w dwoje zielonych oczu. Potem zauważyła przeszkodę, przeraźliwie wysoką hałdę kamieni, którą prawdopodobnie wybuch oberwał ze stropu jaskini. Oznaczało to, że muszą strasznie nadłożyć drogi. Na czoło Sary wystąpił pot, kiedy Alix ponownie wprowadziła ją do sali.

Niespodziewanie głos Kinnora przybrał na sile, stał się bardziej nagły. Sara w przerażeniu otworzyła szeroko oczy, kiedy zaczęła rozumieć, jaki krył się w nim rozkaz.

Ciemni Słyszący Barwy poruszyli się. Kinnor ciągnął swój śpiew. Tamci przygotowali broń do strzału. Towarzysz Nével wciąż jednak śpiewał.

Następnie Orły zwróciły się przeciwko sobie i zaczęły strzelać.

Ze strachu Sara wypuściła z rąk swoją część materii. W szoku spoglądała na walczących, którzy kosili się nawzajem seriami strzałów. Wymiana ognia zamarła po kilku sekundach. Wtedy zamilkł też Kinnor.

Zapadła upiorna cisza.

- Pomóż mi, Kitharo! - dobiegł z milczącej ciemności głos Alix.

Oszołomiona Sara zamrugła oczyma i schyliła się po rogi tkaniny. Dwa, trzy niepewne kroki później Kinnor stanął koło niej i też chwycił za krawędź gobelinu.

- Dobrze pomyślane, braciszku - pochwaliła go Alix.

- To da nam tylko chwilę oddechu. Ktokolwiek tam dowodzi, szybko zmieni taktykę - odparł Kinnor. Jak się okazało, miał rację.

Na chwilę przed tym, jak cała czwórka dotarła do zbawczego tunelu, wybuchły dwa kolejne ładunki.

Tym razem wydawało się, że zadrżał cały masyw skalny. W pomieszczeniu ponownie rozgorzał ogień, a chwilę później posypał się grad strzałów. Fala uderzeniowa cisnęła opiekunami Nével jak kukłami. Rozległ się huk, potem ze stropu odpadły kolejne ciężkie kamienie. Tak, to sama grota grzmiała, jakby miała się za chwilę zawalić.

Sara zakaszlała, splunęła, prawie nie mogła oddychać. Z trudem dźwignęła się na nogi. Dokąd teraz? W szalejącym piekle mogła łatwo stracić orientację. Naraz jednak coś usłyszała. Głos Kinnora.

- Kitharo? Tędy, do tunelu! Chodź!

Chwiejnie ruszyła w tamtą stronę. Czy to światło? Poczowała nową nadzieję. Tak, to światło! Teraz musiała tylko.

Nagle usłyszała nad sobą straszliwy trzask i instynktownie podniosła ramiona w obronnym geście. Zbyt późno jednak. Poczowała twarde uderzenie w tył głowy. Fala ciemnego omdlenia zalała jej świadomość. Załamały się pod nią kolana. Rozpaczliwie próbowała zachować przytomność, starała się wstać. Zaraz posypały się na nią jednak kolejne odłamki, trafiając ją w prawy bark i ramię. Krzyknęła z bólu i przerażenia.

W pewnym momencie poczuła się tak, jakby eksplodowała jej czaszka. Poddawała się. Upadła twarzą w żwir. Miała wrażenie, że coś w niej pękło, rozlewając po każdym zakamarku udreżonego ciała gorącą, trującą i żrącą breję. Przez krótką, potworną chwilę miała wrażenie, że rozpuszcza się od środka. Potem nie czuła już zupełnie nic.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

*...nie można żadnej rzeczy kochać ni nienawidzić, jeśli się jej wprzód nie
poznało.*

Leonardo da Vinci

Rozdział 27.

Les Baux de Provence, 30 stycznia 2005, 8:14

Cichy, jakby anielski głos rozbrzmiewał w pokoju. Śpiewał pieśń w zupełnie obcych słowach. Któż pozna mowę istot niebieskich? Co najwyżej święci i prorocy, ale nie ona, nasłuchująca w łóżku, nie.

Młoda kobieta gwałtownie otworzyła oczy

Ujrzała pobielony wapnem sufit, podzielony w poprzek pokrzywionymi belkami z czarnobrzązowego drewna. Kącikiem oczu dostrzegła lśniący chromem stojak, na którym wisiał przezroczysty foliowy worek. Przejrzysta ciecz kapała z niego do rurki, która biegła dalej w dół aż do krawędzi jej pola widzenia. Więcej na razie nie było widać.

Słodki jak ambrozja śpiew ponownie wypełnił jej uszy. Jednakże towarzysząca mu muzyka brzmiała dziwnie głucho i nienaturalnie, zupełnie jakby orkiestra grała w blaszanej puszcze.

Naraz w tejże tulei męski głos wybił się nad wszystkie inne. Oficjalnie i obojętnie – za to w pełni zrozumiale – opowiadał o kraju, który miał jakoby znajdować się pomiędzy niebem i piekłem. Wczoraj, donosił pozbawiony emocji głos, w kilku zamachach zginęło jedenaście osób, a cztery zostały ranne. Jako że dziś miały odbyć się pierwsze wolne wybory parlamentarne w Iraku, przed zachodem słońca spodziewano się jeszcze większego rozlewu krwi.

Heroldowi nagle przerwano, jakby ktoś zatrzasnął wieko puszek. Anioł znowu zaczął śpiewać, tym razem bez akompaniamentu.

Dla słuchaczki, która właśnie się ocknęła, te wrażenia akustyczne brzmiały obco i trochę dziwnie. Wydawało jej się, że jest w prowansalskim dworku, ale od kiedy mieszkają w nim anioły? Próbowwała unieść głowę, żeby ustalić, kto śpiewa, jednak już przy najmniejszym napięciu mięśni karku targnął ją ból isticie piekielny i krzyknęła.

Wszyscy wiedzą, że anioły najchętniej unoszą się lekko w powietrzu, w razie potrzeby potrafią też pikować, jednak młoda kobieta usłyszała nagle lekkie, szybko zbliżające się kroki. Coś dwukrotnie zaskrzypiało i wkrótce nad leżącą pojawiło się oblicze kiepsko odpowiadające obrazowi anioła, który Sara przechowywała w najgłębszych zakamarkach swojej wyobraźni. Było jednak niezwykle urocze i bez wątpienia kobiece, z piegami, zadartym nosem, zielonymi oczyma i burzą rudoblond loków. Wysłanniczka bogów miała najwyżej dwadzieścia pięć lat.

- Bogu niech będą dzięki! Obudziła się! - wykrzyknęła rozradowana, ukazując krzywy ząb w dolnej szczęce. Okrzyk ten wyraźnie wskazywał, że uważa to za zasługę wyższej instancji.

Znów rozległy się kroki, nieco cięższe od stąpania piegowatego anioła, i na tle pobielonego belkowanego sufitu pojawiła się inna twarz. Młoda kobieta, która nie mogła poruszyć głową, natychmiast przyporządkowała ją do kategorii „męskich”. Jeśli ona też należała do anioła, oznaczało to konieczność zrewidowania poglądu, który przypisuje aniołom wieczną młodość. Ta osoba nie była co prawda stara, wyglądała jednak na prawie czterdzieści lat. Oblicze zdradzało oznaki wieku - zmarszczki na czole i w kącikach oczu - których prawdziwy anioł nie miałby, nawet gdyby żył milion lat. Poza tym ta twarz wydawała się przygnębiona i zmęczona. Dlatego najprawdopodobniej był to po prostu zwyczajny człowiek.

Jak na takiego wyglądał całkiem znośnie. Nie szpeciło go w zasadzie nic, może poza nieco garbatym nosem. Płowe włosy miał gęste, choć nieco zbyt krótkie, żeby dało się określić je mianem długich. Szarobłękitne oczy promieniowały energią, zdradzały też jednak troskę. A duże usta mówiły zrozumiale.

- Szybko, Mario, przynieś coś do picia!

Kobieca twarz zniknęła z pola widzenia.

Mężczyzna położył palce na policzku leżącej, potem na jej czole, i powiedział:

- Wydaje się, że gorączka ustąpiła. Jak się czujesz?

Młoda kobieta przemyślała dokładnie pytanie, ponieważ napełniło ją ono poczuciem niepewności. Jak nazywał się ten mężczyzna, który tak poufale się do niej zwracał? Gdzie była? Kim była?

Maria wróciła z osobliwą filiżanką, która wyglądała raczej na mały dzbanek.

Mężczyzna o szarobłękitnych oczach przyłożył młodej kobiecie do ust dzióbek i ostrożnie podał jej wody.

- Lepiej? - zapytał, kiedy opróżniła już połowę naczynia.

Skinęła głową. Tylko raz. Znow krzyknęła z piekielnego bólu.

- Odniosłaś kilka ran, w tym kilka dość głębokich. Poza tym masz też liczne stłuczenia. Po prawej stronie oberwałaś najgorzej: dwa złamane żebra, poza tym obojczyk i obie kości przedramienia. Do tego dochodzi uraz czaszkowo-mózgowy. Zanim cię tutaj przywiozłem, zostałaś dokładnie zbadana w szpitalu. Twoje obrażenia są ciężkie, ale jeżeli będziesz stosować się do zaleceń lekarza, wkrótce znowu staniesz na nogi.

- Kim... kim jesteś? - wyjąkała młoda kobieta. Już ruch szczęki sprawiał jej prawie nieznośną mękę.

- Nie rozpoznajesz mojego głosu? - odpowiedział.

- N-nie.

- Jestem lekarzem.

Z jakiegoś powodu miała wrażenie, że powinna wyczytać z tej deklaracji więcej niż tylko jego zawód. Ponieważ jednak mimo najlepszych chęci nic nie przychodziło jej do głowy, jęknęła:

- I?

Pochylił się do niej i wyszeptał:

- Jestem Kinnor.

Teraz rozumiała jeszcze mniej.

- Cz-czy to... pseudonim?

Jego twarz spochmurniała.

- Pamiętasz, co się z tobą stało?

Przemyślała to gruntownie, mimo że przez to ból głowy jeszcze się nasilił. Po chwili odparła:

- Nie.

Skinął głową. Był to poważny, pełen zrozumienia gest. Wymamrotał pod nosem coś o ciężkim wstrząśnieniu mózgu i amnezji wstecznej, po czym wyprostował się i ponownie zwrócił się do pacjentki.

- Masz rację. W rzeczywistości nazywam się Krystian Jurek. To polskie nazwisko, pochodzę z Warszawy. Mój drogi przyjaciel, który był Żydem, skłonił mnie do przyjęcia imienia Kinnor. Ale dość już na mój temat. Ty jesteś dużo ważniejsza ode mnie. Możesz powiedzieć mi, jak ty się nazywasz?

Patrzyła na niego przerażona. Uczucie niepewności stało się niemożliwe do zniesienia. Jej własne imię? Naraz poczuła nagłą potrzebę, by wymiotować. Pokój zdawał się wirować, najpierw powoli, wkrótce jednak tempo stało się zupełnie wariackie. Lekarz, który nazwał się Kinnorem, zamienił się w figurę na karuzeli, która obracała się razem z nią i od której szybko się oddalała, jakby znikwała w głębi ciemnego tunelu. A im dalej odsuwał się mężczyzna, tym bardziej narastała otaczająca ją ciemność.

Na końcu była już tylko czerń i wielki spokój.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA==

Rozdział 28.

Paryż, 13 marca 2005, 12:04

Nazwanie sali konferencyjnej w pokojach zarządu paryskiej siedziby Musilizera mianem dźwiękoszczelnej byłoby określeniem lekceważącym. Wyposażona ona była w cały szereg urządzeń, których możliwości wykraczały daleko ponad zwykły repertuar środków zabezpieczających przed działaniami szpiegów przemysłowych i ich przyrządów. Oczywiście nie było w niej ani jednego okna, które mogłoby przenosić drgania głosów i od którego można by odbić promień lasera - pomieszczenie znajdowało się głęboko w sercu budynku. Otoczone było ponadto gęstą miedzianą siatką zamykającą je w klatce Faradaya, której zewnętrzna powłoka neutralizowała energię pól elektromagnetycznych. Podłoga, sufit i wszystkie ściany pokryte były ołowianą izolacją zatrzymującą nawet promienie Roentgena. Ponadto silny nadajnik zakłócający wyciszał wszystkie sygnały radiowe, które choćby zbliżyły się do pomieszczenia. Całe to wyposażenie miało jeden cel: ochronę tajemnic Ciemnych Słyszących Barwy.

Przy owalnym stole siedziało ośmiu mężczyzn. Żaden z nich nie miał mniej niż pięćdziesiąt lat, a patrząc na najstarszego, odnosiło się wrażenie, że powinien być umrzeć całe wieki temu. Siergiej Niekrasow, bo o nim mowa, przywitawszy współbraci, przeszedł do-pierwszego punktu porządku obrad.

- Wciąż ani śladu po niej?

Po jego prawej stronie siedział Oleg Janin. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, kiedy odpowiedział:

- Nikt z naszych braci od czasu operacji „Łabędzi Śpiew” nie słyszał ani nie widział Sary d’Albis. Jakby się pod ziemię zapadła.

- Zakładam, że kiedy usuniecie gruz z jaskini Strażników Harfy Wiatrów, znajdziecie jej kości.

Janin pokręcił głową.

- Wybuch narobił za dużo hałasu, to znaczy, metaforycznie rzecz ujmując. Po okolicy wciąż kręcą się reporterzy i poszukiwacze skarbów. Ostatnio salą zgromadzeń kronikarzy zainteresowali się też archeologowie. Do tego policja regularnie patroluje okolicę, żeby zabezpieczyć miejsce aż do zakończenia dochodzenia. Gdyby ktoś odkopał teraz wewnątrz jaskini, przekonalibyśmy się, co, czy też raczej - kto jeszcze w niej siedzi. Poza, oczywiście, naszymi martwymi braćmi. Aż do tej chwili musimy pozostać w stanie najwyższej gotowości, bo jeśli Sara d'Albis przeżyła „Łabędzi Śpiew”, to może jeszcze pokrzyżować nasz wielki plan.

- Naprawdę tak pan uważa? To przecież tylko niczego nieświadoma kobieta - zwrócił uwagę inny siedzący przy stole mężczyzna. Miał azjatyckie rysy twarzy, nazywał się Chen Wang i oficjalnie reprezentował Musilizera w Hongkongu i na całym Dalekim Wschodzie.

- Kobieta, która zbyt dużo wie o Orłach - wyjaśnił Niekrasow, patrząc na niego z wyrzutem.

- Naszym zamiarem było pozyskanie dziedziczki testamentu Liszta oraz zdobycie Nauki Dźwięków Jubala. Chcąc zdobyć zaufanie Sary, musiałem zdradzić jej pewne szczegóły dotyczące naszego bractwa. Każdy z tu obecnych zaaprobował ten sposób postępowania - przypomniał Janin pozostałym zebranych.

Niekrasow pokręcił śnieżnobiałą głową.

- Nie chciałbym panu przeszkadzać, Oleg, ale o dziewczynie powinniśmy zapomnieć. Jasne, gdyby dziecię zaprowadziło pana do Purpurowych Nut, odnieśliśmy z tego wielką korzyść. Bądźmy jednak szczerzy: Sara d'Albis nigdy panu naprawdę nie ufała, a do tego, mimo bardzo jasnych gróźb, odrzuciła wszystkie nasze oferty. A potem dokonuje czegoś, co nam nie udało się od czasu wielkiej schizmy: znajduje Strażników Harfy Wiatrów. To pana własne słowa, Olegu: ta Florence Le Mouel przejrzała pana na wylot, tak pan powiedział. Tak przecież było, czyż nie?

- Byliśmy o włos od wpadki - przyznał Janin niechętnie.

- Cieszę się, że jednak w porę zaciągnął pan hamulec bezpieczeństwa. Musieliśmy uderzyć, szybko i bezlitośnie, inaczej zdradzilibyśmy samych siebie i nasze cele. Dla mnie ta dziewczyna i wszyscy ci strażnicy mogą zgnić w piekle.

- Starzec pozwolił sobie na uśmiech, tak bardzo spodobała mu się dwuznaczność

własnych słów w odniesieniu do Val d'Enfer.

- Proszę, z łaski swojej, wyrażać się o Sarze z większą dozą szacunku. Była w końcu mistrzynią dźwięków - wysyczał czerwony na twarzy Janin.

Niekrasow zachichotał.

- Żeby to właśnie było powodem pańskiego oburzenia! Proszę się uspokoić, bracie. Wszyscy tutaj rozumiemy pańskie rozterki. Jednakże wzburzenie zaprowadzi nas donikąd. Plan B wymaga od nas pełnego poświęcenia. W końcu mamy zamiar ruszyć świat z posad. W tym akurat pan nie powinien pozwolić sobie na najmniejszą słabość.

Janin posłał starcowi gniewne spojrzenie. Potem jednak niespodziewanie się rozluźnił i odpowiedział, już w dobrym humorze:

- Ma pan rację. Przejdźmy do kolejnego punktu obrad.

Niekrasow skinął głową.

- Tak, porozmawiajmy o naszym niezniszczalnym przyjacielu. Wciąż dycha. Najwyraźniej wylizał się po zapaleniu krtani i tracheotomii. W każdym razie nasz informator oraz oficjalne wiadomości donoszą zgodnie, że znowu ma się dobrze. Dziś wypuszczono go z kliniki Gemelli. Z biuletynów lekarskich emanuje ostrożna nadzieja na utrzymanie dobrego stanu jego zdrowia.

- Jak zwykle - bąknął Janin. - Wkrótce umrze.

Na pomarszczonej twarzy Niekrasowa zagościł uśmiech. Odpowiedział swoim cichym głosem, zawsze brzmiącym trochę jak szelest pergaminu:

- Ależ oczywiście. Kiedy pan w towarzystwie pięknej dziewczyny studiował historię świata, ja poczyniłem niezbędne przygotowania. Daję staremu grzybowi dwadzieścia dni. A potem świat zatańczy tak, jak my mu zagramy.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

Spośród wszystkich sztuk muzyka jest jedyną, która potrafi tak przesiać uczucia przez swoje olśniewające sito, ażeby, opłukanym z ekscesów ducha i serca, pozwolić im błyszczeć jak perłom w blasku pierwotnej czystości.

Franciszek Liszt

Rozdział 29.

Okolice Les Baux de Provence, 16 marca 2005, 06:50

Gdyby po spokojnie przespanej nocy zapytać kogoś, jak się czuje, zazwyczaj odpowiedziałby, że jak nowo narodzony. Tego ranka Sara odczuwała to głębiej niż kiedykolwiek wcześniej. Obudziła się jako nowy człowiek.

Zaczęło się tak jak kilkakrotnie wcześniej przez ostatnie dni: Krystian przywitał nowy dzień grą na pianinie, pierwszy akord zabrzmiał dokładnie ze wschodem słońca. Drzwi do pokoju gościnnego, który służył teraz jako sala chorych, były lekko uchylone. Dzięki temu melodia dotarła do jej ucha. Otworzyła oczy

Przez parę taktów nasłuchiwała z narastającym zadziwieniem. Znała tę melodię. Nie było to jedynie niejasne odczucie, że gdzieś ją kiedyś usłyszała. Nie, ona sama często wygrywała te nuty. Było to ciche zaproszenie do krainy marzeń, nokturn Fryderyka Chopina. Krystian wykonywał z pasją *Nokturn cis-moll*. Sara zrozumiała także, że tego kompozytora ceniła wyżej niż wielu innych. W hotelu „Bautezar” grała ten sam utwór w dniu, kiedy utraciła pamięć.

Naraz wszystko zaczęło powracać, powalił ją wodospad wspomnień. I w końcu wszystkie obrazy z minionego tygodnia ułożyły się w jedną całość i nabrały sensu.

Niczym pisklę, które dopiero co wykluło się z jaja, przesunęła wzrokiem po pokoju pod belkowanym sklepieniem. To właśnie tutaj obudziła się jako *tabula rasa*, wymazany umysł. A ponieważ przez pierwsze siedem dni nie mogła opuszczać tego pomieszczenia i nie potrafiła przypomnieć sobie szczegółów z poprzedniego życia, stał się on dla niej małym wszechświatem. Składały się nań pobielone wapnem ściany, podłogi z palonej cegły, bukiet kolorowych suszonych kwiatów, regał z czterema półkami i dokładnie osiemdziesięcioma

czterema książkami, bujany fotel z sośniny koloru miodu, zasłony w słoneczniki, drugi fotel przy oknie oraz rustykalne drewniane łóżko.

Z sąsiedniego pokoju dobiegała mistrzowska sekwencja dźwięków. Uśmiechnęła się błogo, co często robiła, kiedy słuchała gry Krystiana. Czasami jego delikatne ręce zdawały się bardziej pieścić klawisze, niż w nie uderzać, a znowu kiedy indziej potrafiły spadać na nie z tak nieposkromioną siłą, jakby pianista chciał rozbić czarny instrument na drzazgi.

Kiedy półtora tygodnia po przebudzeniu usłyszała jego grę po raz pierwszy, twarz spłynęła jej łzami. Błaszana orkiestra z radia nie mogła mierzyć się z tą muzyką. Szybkie pasáže, to wzmagające się, to znów słabnące, tworzyły przed wewnętrznymi oczami Sary lazuruwe fale, które rozchodziły się po wszystkich członkach jej ciała. Stwierdziła ze zdziwieniem, że poruszały się nawet jej palce, jakby chciały podczas gry akompaniować Krystianowi. Teraz wiedziała już, skąd ten odruch. Sama była pianistką. Całkiem niezłą nawet.

Uśmiechnęła się mimowolnie, kiedy ponownie przyszło jej do głowy, że prywatny koncert Krystiana nie był jedyną niespodzianką dziesiątej doby jej nowego życia. Tego dnia otworzył też drzwi do domu i zawołał coś, czego nie zrozumiała. Nagle do pokoju wpadł mały piesek. Miał czarno-białe łaty, krzywe nogi i nie był wiele większy niż dobrze odkarmiony kot. Jego pomarszczony, błyszczący od wilgoci nos wycelowany był dokładnie w Sarę, kiedy zbliżał się do niej podekscytowany, machając ogonem. A kiedy zobaczyła jego oboje uszu - czarne podniesione, białe opadnięte - wyszeptała imię małego łazęgi, który najwyraźniej wciąż pamiętał jej zapach.

Sara spojrzała na łóżko i uśmiechnęła się. Ostrożnie wyciągnęła stopy spod brzuszka Kapitana Nemo, który ostatnio uznał pilnowanie jej podczas snu za swój najważniejszy obowiązek. Podniósł głowę i spojrział na nią wyczekująco, nadstawiając ucha. Sara przytknęła palec wskazujący do swoich ust. Jak gdyby rozumiejąc, co próbuje mu przez to powiedzieć, pies zrezygnował z codziennego obszczekania na dzień dobry. Zamiast tego obserwował ją czujnie, jak wyślizgnęła się z łóżka i przemknęła w stronę wyjścia. Stare zawiasy zaskrzypiały, kiedy uchylała drzwi na tyle, żeby się przez nie przecisnąć. Krystian grał dalej, zdawał się całkowicie pogrążony w czarodziejskim świecie harmonii.

Sąsiedni pokój był wiejską kuchnią mieszkalną z kominkiem, podłogą

z palonej cegły i belkami w suficie. Na ścianach rozwieszono barwną kolekcję starych instrumentów muzycznych i sprzętu rolniczego oraz kilka uroczych obrazów autorstwa właścicielki

- Maria była niezależną artystką i całkiem nieźle żyła ze sprzedaży własnych dzieł.

W pomieszczeniu tym, gdzie przygotowywano i jedzono posiłki, był także stary telewizor, jednak Sara w ciągu ostatnich dni bardzo rzadko oglądała jego migoczący obraz, głównie w porze wiadomości. Tym częściej skrzeczało małe radyjko, którego blaszany dźwięk Maria nieraz wykorzystywała do ćwiczenia polskich piosenek.

Wprawdzie jej dźwięczące trele wciąż rozbrzmiewały w kolorowym świecie dźwięków Sary anielską czystością, ale było coś ponadto, co uważała za jeszcze wspanialsze: ciepły, piaskowy głos Krystiana. Nie musiał nawet śpiewać. Wystarczyło jego jedno słowo, żeby wprowadzić jej serce w dzikie *staccato*.

Boso przemknęła na swoje stałe miejsce, zarzucony grubymi poduszkami wiklinowy fotel, z którego roztaczał się widok ponad tarasem na ogród. Opadła nań, zamknęła oczy i spijała dźwięki, barwy i kształty nokturnu. Każdy ton obmywał jej potrzaskaną pamięć z kolejnego fragmentu zapomnienia.

Później za każdym razem tak właśnie, a nie inaczej, opisywała nawiązanie kontaktu ze swoim poprzednim życiem, chociaż wyśmiewali to neurologowie, psychologowie i wszyscy inni specjaliści od mózgu. W każdym razie Krystian podarował jej coś, czego przez wiele tygodni pragnęła najbardziej. W tej chwili opadła z niej wszelka niewiara we własne możliwości.

Wiedziała, że pokochała go czystą i prawdziwą miłością.

Początkowo prawie nie była tego świadoma. W pewnej chwili zauważyła, jak wielką przyjemność sprawia jej jego dotyk podczas porannych oględzin. To, że działo się to w warunkach, których żadną miarą nie dało się określić mianem romantycznych, nie miało żadnego znaczenia. Kiedy raz zmieniał jej przeciwzakrzepowe rajstopy uciskowe, po plecach przebiegł jej błogi dreszcz. Podobnie, kiedy prosił ją o zdjęcie bluzki, nie czuła żadnego wstydu. Nie odważyła się określić tego dziwnego stanu mianem miłości. Aż do dnia, kiedy pojawił się Kapitan Nemo.

Sara cieszyła się jak mała dziewczynka, przepęłniało ją uczucie szczęścia, które, jak wszystko w tym czasie, miało posmak nowości. Nie myśląc o złamanych żebrach, zeskoczyła z łóżka, zarzuciła Krystianowi na szyję obie

ręce, tę w gipsie i tę zdrową, i pocałowała go w usta. I kiedy jej wargi dotykały jego ciepłych, zmysłowo dużych ust, powróciło do niej wspomnienie, które przypomniało jej o konieczności zachowania ostrożności wobec mężczyzn. Czyż bowiem nie właśnie jeden z nich, także muzyk, złamał niegdyś serce ukochanej osobie?

Zmieszana chciała odsunąć się od Krystiana, on jednak nie pozwolił. Trzymał ją mocno, oddając pocałunek, przez maleńką nieskończoność, kiedy Sara zapomniała i o czasie, i o przestrzeni. Wszystkie jej wątpliwości rozpadły się w proch, porwane na cztery wiatry burzą uczuć. Chciałaby, żeby Krystian całował ją tak i głaskał wiecznie, chciała czuć się bezpiecznie w jego ramionach, zawsze już czuć jego ciepło i wdychać jego zapach.

Wtedy jednak Kapitan Nemo zaczął szczebrać, a chwilę później ktoś głośno odchrząknął: siostra Krystiana. Ciało, na pozór zrosnięte ze sobą, rozdzieliły się. Oczy wstydliwie poszukiwały mysich dziur w ceglanej podłodze.

- Jestem nie w porę - stwierdziła Maria.

„Lub też wręcz przeciwnie” - pomyślała Sara. Nie wiedziała, co w nią wstąpiło.

- Chciała tylko podziękować za Kapitana Nemo - wyjaśnił Krystian półgłosem, wskazując przy tym na psa, jakby to on był wszystkiemu winien.

- Tak to właśnie wyglądało - odparła Maria. Naraz na jej twarzy pojawił się wyraz zaciekawienia. - Nemo? Tak jak ten kapitan z Verne'a? To przypadek, Krystianie?

Brązowe oczy małego łazęgi przenosiły się z jednego rozmówcy na drugiego, jak gdyby rozumiał każde słowo.

- Nie. To ja go tak nazwałam. Jego imię oznacza „Nikt” - odpowiedziała Sara. Wzrok miała utkwiony w Krystianie. - Spotkałam go tej nocy, kiedy poznałam Czarnego Księcia Kinnora.

Później gospodyni wzięła Sarę na stronę i powiedziała.

- Przepraszam, że wam przeszkodziłam. Muszę jednak poprosić cię, Saro, żebyś nie bawiła się uczuciami Krystiana. Po śmierci Ewy prawie się rozsypał. Po raz drugi nie zniesie takiego bólu. Jeśli go skrzywdzisz, zabiję cię.

Sara już wcześniej słyszała o żonie Krystiana. To z jej powodu jak opętany studiował medycynę, to dla niej potem poświęcił się onkologii i przez kilka bezsennych lat prowadził badania farmakologiczne. Ewa jednak umarła. Na

białaczkę.

Płomienne groźby Marii, choć w zamierzeniu miały być jedynie dramatyczną metaforą, zaniepokoiły Sarę. Nie obawiała się, co prawda, o życie, ale o tożsamość już jak najbardziej tak. Za każdym razem, kiedy Krystian spoglądał na nią tęsknie swoimi szaroniebieskimi oczyma, nasuwało się jej pytanie, czy rzeczywiście opiekował się osobą, którą zwykł nazywać Kitharą, czy też w rzeczywistości chciał stworzyć nową Ewę.

Od tej pory jednak jej imię miało nie być już tylko pustym dźwiękiem. Dopiero teraz poczuła się kochana dla samej siebie, w chwili kiedy poczuła się kompletną istotą, a nie jedynie powłoką pozbawioną treści. Nie była drugą Ewą, nazywała się.

- Sara d'Albis.

Krystian podniósł wzrok znad klawiatury i odwrócił się do niej, dopiero kiedy usłyszał jej głos. Uśmiechnął się. Bez zdziwienia, raczej z głęboką mądrością.

- I? Jesteś zadowolona?

Zadowolona? Nie, to nie było właściwe słowo. W ciągu ostatnich tygodni razem z Krystianem pozbierali zbyt wiele odłamków jej pamięci, żeby mogła nazwać tak swój obecny stan. Wiedziała, że opłakiwał wciąż Nével - pierwsza strażniczka Harfy Wiatrów zmarła na zawał serca po ataku bombowym Orłów jeszcze w Val d'Enfer - wiedziała też o dwóch wartownikach, których znaleziono zastrzelonych, a także o pięciu innych Jasnych Słyszających Barwy, którzy po śmierci zjednoczyli się ze swoimi ciemnymi braćmi, pogrzebani razem z nimi pod gruzami jaskini. Wobec tak wielu strat nie można było być zadowolonym. Ponieważ jednak Sara nauczyła się dużo od Krystiana, cierpliwego nauczyciela, potrafiła teraz rozpoznać swoje prawdziwe przeznaczenie. Rola, jaką wyznaczył jej los, nie była błaża. Tyle wiedziała na pewno.

Pokręciła głową.

- Jestem smutna.

Krystian podniósł się z taboretu i objął ją. Nie musiał już zwracać szczególnej uwagi na złamane żebra ani na gips. Dla Sary były już tylko nieprzyjemnymi cieniami przeszłości. Trzymał ją więc tak mocno, jak nikt nigdy przedtem, szepcząc jej przy tym do ucha.

- Opuścisz mnie, prawda?

Sara próbowała powstrzymać łzy. Daremnie. Była zbyt wzburzona, żeby ze spokojem stawić czoła nieuniknionemu. Wspomnienia powróciły do niej zbyt

gwałtownie, brzemień jej przeznaczenia okazało się zbyt ciężkie, a ból z powodu utraty dopiero co odnalezionej miłości zbyt wielki. Wyszepiała jednak:

- Nie mogę tu zostać i udawać, że nic się nie stało. Gdyby chodziło tylko o moje własne pochodzenie. - Pokręciła głową w rozpacz. - Muszę odnaleźć Purpurowe Nuty. Nie możesz pójść ze mną?

Uniósł prawy kącik ust w grymasie, który Sara nauczyła się już rozumieć jako wyraz zakłopotania.

- Naprawdę muszę odpowiadać na to pytanie?

Nie. Nie musiał. W ciągu ostatnich tygodni cierpliwie przedstawiał jej nowy sposób widzenia świat i rolę, jaką odgrywali Słyszący

Barwy. Tłumaczył jej także kodeks Strażników Harfy Wiatrów. Wyrecytowała z neoficką gorliwością:

- Kronikarze nie wydają wyroków i nigdy nie biorą aktywnego udziału w wydarzeniach. Obserwują i zapisują - z dystansu.

Skinął głową.

- Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Florence Le Mouel zawczasu wyznaczyła następcę i kształciła go przez wiele lat. Był nim właśnie Krystian Jurek, czy też raczej Kinnor. Po brutalnym ataku Ciemnych nie mógł opuścić miejsca, gdzie był potrzebny. Jego pierwszym obowiązkiem była ochrona tysiącletniej wiedzy Słyszących Barwy. Nie wolno mu było poddać się osobistym uczuciom.

- Prawie żałuję, że zapytałem monsieur Corneego - stwierdził Krystian. Nie potrafił już dłużej znieść milczenia Sary.

Odchyliła do tyłu głowę i spojrzała na niego pytająco.

- *Nokturn cis-moll* - wyjaśnił. - Odkąd Kapitan Nemo przywrócił ci część pamięci, dalej szukałem innych kluczowych wspomnień, możliwie bliskich tego nieszczęsnego wydarzenia. Wczoraj jeszcze raz poszedłem do „Bautezara” i nagle właściciel powiedział mi coś nowego. Stwierdził, że w dniu, kiedy zniknąłeś, grałeś na pianinie w restauracji urzekająco piękny utwór. Nie potrafił jednak podać mi tytułu. Bitą godzinę wygrywałem cały mój repertuar na rozstrojonym instrumencie, zanim stwierdził, że słyszał właśnie to, najbardziej naszą ze wszystkich kompozycji Chopina.

- Dlaczego nokturn jest nasz? - spytała Sara zdziwiona.

- Nasz, czyli Słyszących Barwy. Chopin wplótł weń potężne dźwięki. Raz

nawet ocalił życie mojemu mentorowi.

- O tym mi nigdy nie mówiłeś.

- Gdybym wiedział, że ten utwór może ci pomóc, na pewno bym to zrobił.

Słyszałaś kiedyś o Władysławie Szpilmanie?

- Pewnie. Był członkiem legendarnego Kwintetu Warszawskiego. Roman Polański nakręcił o nim film, *Pianistę*. - Oczy Sary rozszerzyły się. - To znaczy?

Krystian przytaknął.

- Już jako mały chłopak zachwyciałem się Władkiem. Dla nas, Polaków, był kimś w rodzaju Cole'a Portera, George'a Gershwina i Paula McCartneya w jednej osobie.

- Ja znam go tylko z interpretacji muzyki klasycznej.

- To jeden z najbardziej wszechstronnych pianistów, którzy kiedykolwiek stąpali po ziemi. Niewielu jednak wie, że był też muzycznym wnukiem Franciszka Liszta. Szpilman studiował u jego uczniów. A ja sam bardzo wiele się od niego nauczyłem. Poznaliśmy się w Akademii im. Fryderyka Chopina, w której studiował na długo przede mną.

- A więc to prawda, że grając *Nokturn cis-moll*, skłonił niemieckiego oficera Wehrmachtu do tego, żeby mu pomógł, zamiast wydać?

- Tak właśnie mi to opowiedział.

Sara oparła policzek o pierś Krystiana. W myślach kłębiły jej się setki pytań. Pierwsze, które wypowiedziała, cicho, w nabożnym prawie skupieniu, brzmiało:

- Czy Władysław Szpilman był tym żydowskim przyjacielem, któremu zawdzięczasz swoje zakonne imię?

- Tak.

- Był więc Jasnym Słyszającym?

Krystian pogładził dłonią jej włosy i odpowiedział tajemniczo.

- A jak sądzisz?

- Słyszałam, jak grasz. I, co być może ważniejsze: widziałam, jak interpretujesz nasze utwory. Jeżeli to on przekazał ci tę umiejętność, to nie tylko sam dużo nauczył się od swojego dziadka-nauczyciela, ale też wiele udostępnił innym. Czy istnieje lepsza definicja Jasnego Słyszającego?

- Masz rację. Nie ma. Liszt zawsze widział w muzyce uniwersalny język ludzkości, a my, Strażnicy Harfy Wiatrów, zrobiliśmy bardzo dużo, żeby wykształcić tę postawę w następnych pokoleniach. Wspieramy takie instytucje jak weimarska akademia muzyczna, Hochschule für Musik Franz Liszt, czy też

Europejskie Centrum Liszta w Londynie. Pomagamy wielu obiecującym młodym artystom. Nie szczędzimy na to pieniędzy. Bractwo od dawna posiada majątek, a ten mimo schizmy wciąż jest bardzo duży

- A więc Strażnicy nie zawsze pozostają na uboczu?

- Z kłamstw nie można zbudować świątyni prawdy. Dlatego właśnie zawsze staraliśmy się utrzymać pamięć o tym, co wydarzyło się naprawdę. Pod tym względem przyznaję ci rację: przekazać potomnym pamięć o przeszłości znaczy tworzyć przyszłość. Zaniechanie tego oznaczałoby wystawić ją na zniszczenie.

- To brzmi prawie jak z elementarza dla przyszłych Strażników Harfy Wiatrów. Nie nauczyłeś się tego aby od Nével?

- Jak najbardziej. A ona od swojego poprzednika.

Sara westchnęła.

- Ja, niestety, ostatnio miałam mniej szczęścia do towarzyszy.

- Chodzi ci o Olega Janina?

- Oczywiście. Musiałam być ślepa! - Parsknęła z pogardą. Z perspektywy czasu podwójna gra Janina wydała jej się wymyślnym przedstawieniem, którego jedynym celem było zdobycie nad nią władzy. Zamordował perkusistę Weimarskiej Orkiestry Państwowej, żeby wprowadzić na scenę wroga w postaci Walerija Tiomkina, potem jeszcze wzmocnił tę iluzję za pomocą operetkowej próby nocnego porwania, a następnie za każdym razem kiedy zaczynała w niego wątpić, podkreślał niebezpieczeństwo: poprzez włamanie do hotelu „Russischer Hof”, szmirowatą komedię na weimarskim dworcu głównym oraz - szczyt podłości - morderstwo własnego brata zakonnego w kopenhaskim Tivoli.

Tiomkin zapytał przed śmiercią zaskoczony: „*nonemy?*”. Krystian władał rosyjskim, Sara dowiedziała się więc, że nie chodziło mu bynajmniej o Pokemony, okropne kieszonkowe potwory. Ostatnie słowa Tiomkina znaczyły po prostu: „Dlaczego?”

Sara też zaczęła zadawać sobie to pytanie. Nie znajdowała niczego na swoje usprawiedliwienie, może poza ludzką skłonnością do przyjmowania za dobrą monetę najdziwniejszych nawet wydarzeń, kiedy tylko zaczną przytrafiać się jej samej. Znaków ostrzegawczych widziała dość dużo - zimne opanowanie, z jakim Janin wytarł ostrze o nogawkę martwego perkusisty, jego to grubiańskie, to usprawiedliwiające wypowiedzi w reakcji na jej pogardliwe wzmianki o Ciemnych Słyszących, przerażenie, kiedy w budapeszteńskiej kawiarni

„Farger” wspomniała o pierwszym strażniku Harfy Wiatrów, a także zaskakująca wolta po odwiedzinach u harfistki Florence Le Mouel.

- Dlaczego tak zależało mu, żebym opuściła Les Baux de Provence?

Krystian zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem.

Pociągnęła go na wygodną sofę przed kominkiem, posadziła go na niej, przytuliła się do niego i opowiedziała po raz kolejny historię swojej pełnej przygód podróży. Tym razem nie spieszyła się i wspomniała też o szczegółach, które pominęła w Jaskini Strażników. Opowieść zakończyła na faksie, który Janin wręczył jej wieczorem w dniu ataku, żeby skłonić ją do powrotu do Weimaru.

- A kilka godzin później próbował mnie zabić - stwierdziła bezradnie. Oparła się plecami o tors Krystiana. Dzięki temu poczuła, że wzruszył ramionami.

- Często nawet demony przybierają ludzkie kształty. Dlatego tak trudno je rozpoznać. Jesteś cudowna, Kitharo, masz czarującą naturę, każdego oczarujesz swoją grą i spędziłaś z nim dostatecznie dużo czasu, żeby wzbudzić w nim coś w rodzaju sympatii, albo przynajmniej litości.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście.

- Nie, to znaczy, to że ci się podobam i jestem... czarująca.

- No. - odchrząknął i mimo że nie widziała jego twarzy, miała wrażenie, że słyszy wręcz, jak prawy kącik ust unosi się w stronę ucha.

- Powiem to tak - prawdziwe piękno człowieka leży w jego wnętrzu.

Sara otworzyła szeroko oczy i zaczęła mu wymyślać z oburzeniem:

- Ty draniu! Jak w ogóle możesz mówić coś takiego swojej dziewczynie? - Nie do końca udało jej się powstrzymać się od uśmiechu, kiedy odwracała się do niego, klękała nad nim i okładała go pięściami.

Kapitan Nemo zaczął szczekać, choć raczej bez przekonania. Prawdopodobnie nie umiał dobrze oszacować powagi sytuacji, a być może przypominał sobie własne niegroźne harce ze szczenięcych czasów. Jego głośny protest przeszedł jednak w dźwięczny pisk, kiedy oboje walczący uspokoili się, objęli się ciasno ramionami i - tak wyglądało to przynajmniej z jego punktu widzenia - zaczęli wpychać sobie nawzajem jedzenie do ust. Oparł pysk na łapach, wyczekując końca karmienia.

Które nastąpiło szybciej, niż się spodziewał, nagle bowiem do pokoju wpadła

Maria z ramionami wzniesionymi do góry i dłońmi pochłapanymi kolorową farbą oraz z okrzykiem:

- O Boże!

Cokolwiek miała na myśli, spowodowała nagły koniec karmienia na sofie. Para natychmiast przyjęła pozę, jakiej ludzie wydając komendę „siad!”, spodziewają się po psach.

Maria wzniosła oczy ku niebu, wykonała kilka zabawnych ćwiczeń na rozciągnięcie mięśni twarzy i jęknęła:

- Macie dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki? Dopiero będzie heca, kiedy znowu wejdę wam w paradę.

===fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA===

*Wśród zwalonych wieży murów
w szumie wiatru ciche łkanie,
choć już strun brakuje na nie
harfie ciągle pełnej bólu...
W ludzkim wraku żyje serce
i, choć sił mu już brakuje,
czasem jeszcze wyśpiewuje
w nocy pieśni smutne wielce¹⁴.*

Justinus Kerner, *Harfa Eola w ruinach*, 1839

Rozdział 30.

Les Baux de Provence, 16 marca 2005, 23:55

Kiedy Sara opuszczała Les Baux de Provence, było ciemno, teraz, kiedy wracała, panowała podobna ciemność. Tak jak owej zimnej styczniowej nocy przeszła u boku Kinnora przez Porte Mage. Dokładnie tak samo jak wtedy, po uliczkach miasteczka hulał mistral – tym razem nieco tylko cieplejszy. A Kapitan Nemo też powrócił do drużyny; nie mógł darować sobie odwiedzin w swoim starym rewirze.

Mały łązega kroczył z podniesionym nosem na przedzie, wywarkując jednoznaczne ostrzeżenia w stronę każdego ulicznego kundla w polu widzenia. Dwunożna reszta stada szła za nim, prowadząc ręczny wózek, którego miękkie opony toczyły się po szorstkim asfalcie prawie bezgłośnie.

Inaczej niż przed sześcioma tygodniami, tym razem Krystian i Sara nie mieli ani masek, ani czarnych peleryn. Można by wziąć ich w zasadzie za zwykłych nocnych spacerowiczów albo za zakochaną parę, gdyby nie wieźli na wózku sporego instrumentu. Z dwoma ramionami, między którymi naciągnięte były struny, przypominał on lirę, jednak w odróżnieniu od niej dysponował też ciężką podstawką.

– Twoja harfa wiatrów wygląda zupełnie inaczej – szepnęła Sara, kiedy wspinali się na Rue Porte Mage.

– Inaczej niż co? – odparł Krystian cicho.

- Niż pudło Nével.

- Ach! Niech cię nie zwiedzie wygląd zewnętrzny. Czytałaś kiedyś *Musiques Eoliennes* pióra Christine Armengaud? Bardzo ciekawa książka o muzyce harf eolskich.

- Nie. Przed przyjazdem do Les Baux interesowałam się raczej innymi instrumentami. Dlaczego pytasz?

- Píše ona: „Podczas tańca silnego wiatru, harfa eolska odkrywa swoją zamaskowaną twarz”.

- Czyżby madame Armengaud straszyła czasem w Val d’Enfer jako Czarna Księżniczka?

- Samo się nasuwa, prawda? Ten poetycki opis należy rozumieć jednak raczej tak, że instrumenty noszące miano harfy eolskiej poza tą nazwą bardzo niewiele mają wspólnego z harfą. Większość przypomina cytry, ta tutaj wygląda zupełnie jak lira. Poza tym ich dźwięk zależy nie tyle od długości strun, co od ich naprężenia. Ten instrument ma jeszcze kilka osobliwych cech, ale to trzeba usłyszeć samemu. Mam nadzieję, że wkrótce tego doświadczysz.

- Ile takich specjalnych harf eolskich ma bractwo?

- Nie więcej niż pół tuzina. Poza egzemplarzem w domu Nével przechowujemy je razem z księgami w innej pieczarze. Harfa pierwszej strażniczki służyć miała wyłącznie znalezieniu ciebie. Tę tutaj kazał wykonać Franciszek Liszt, żeby wybraniec – to znowu ty – mógł się zbliżyć o kolejny krok do Purpurowych Nut.

- A dlaczego musimy ciągnąć ją przez Les Baux de Provence o tej nieboskiej godzinie?

- No, dlaczego? – Krystian zniżył głos, nadając mu dramatyczną barwę. – „Mocniej zaszumiał nocny wiatr... i pojedyncze tony harfy Eola odezwały się jak dalekie dźwięki organów. Spłoszone poderwało się ptactwo nocne i krążyło skrzecząc nad gąszczem zarośli¹⁵”.

Kapitan Nemo zaskomlał przerażony.

- Idziemy płoszyć ptaki?

- Bzdury. To E. T. A. Hoffman, a ty nie rozumiesz metafory.

- Powiedz mi po prostu, dlaczego mamy zakłócać ludziom sen graniem na harfie o północy?

- Bo o tej godzinie przesady są najsilniejsze.

Sara spojrzała na niego z konsternacją.

- Co proszę?

Uśmiechnął się, ukazując zęby

- Z pewnością pamiętasz, co Nével mówiła o legendach, które chroniły Strażników Harfy Wiatrów przed ludzką ciekawością. Jest też opowieść o śpiewie mistralu o północy. Przysłowie ludowe głosi: „wiatr nocny, gdy pieśń zaczyna, ofiarę bierze i z nóg ścina”. Rozumie się samo przez się, że chodzi tutaj o ofiary z ludzi, przede wszystkim dziewice, które raz powalone, nigdy już nie wstają na nogi.

- To chore.

Kapitan Nemo rozszczękał się, na pozór na znak zgody, w rzeczywistości jednak po to, żeby spłoszyć długonogiego kundla.

Krystian roześmiał się cicho.

- Nie ja wymyślałem te historie.

- Żyjemy w XXI wieku. Kto jeszcze wierzy w te bajki?

- Inne pytanie: jaka gazeta odważyłaby się, w tych tak nowoczesnych i racjonalnych czasach, zrezygnować z horoskopu?

- *Touche*. Mimo wszystko wciąż nie rozumiem, czemu nie możemy ustawić harfy w jakimś zacisznym miejscu.

- To bardzo proste. Dlatego że twój prapraprapradziadek wybrał sobie bardzo konkretny kącik. Jego *audition colorée*, tak jak i twoje, bardziej reagowało na brzmienie instrumentu niż na wysokość dźwięku.

- I gdzie miałyby znajdować się to miejsce?

- Przypomnij sobie ostatnią zagadkę: „Intrygę Purpurowych Nut ukaże twoim oczom Crux”.

- *Crux*? To znaczy, że nie chodziło mu o symboliczny krzyż cierpienia, ale o prawdziwy krzyż? Nie mów mi tylko, że musimy teraz wciągnąć to na dach kaplicy białych pokutników.

- Skąd wiesz?

- Nie, nie mówisz poważnie!

- Żartowałem tylko - przerwał jej z szelmowskim uśmiechem.

- Rozwiązanie zagadki jest dużo prostsze, niż myślisz. Zaczekaj chwilę.

Tymczasem dotarli do Grande Rue Frederic Mistral i skierowali się z stronę ruin. Sara zaczęła już się domyślać, gdzie miały rozbrzmieć dźwięki harfy. Jej

przypuszczenia miały się potwierdzić.

Przyświecała Krystianowi halogenową latarką, a on poprowadził wózek pomiędzy zniszczone domy, dokładnie pod renesansowe okno, które - poza otaczającymi je szczątkami murów - pozostało ostatnim świadkiem budynku, w którym prawdopodobnie mieszkali kiedyś hugenoci. To, co zostało z budowli, samo w sobie było małym dziełem sztuki: otoczone pilastrami, z belkowaniem na górze i z krzyżem okiennym w pozbawionych szyb ramach, którego nie sposób było przeoczyć.

Sara jęknęła.

- Stałam tutaj z Olegiem Janinem, czytaliśmy ten napis setki razy: *Post Tenebras Lux, Post Tenebras Lux*. Powinnam była, skoro już przetłumaczyłam łacińskie motto, sprawdzić też, co oznacza słowo *crux*. Tym bardziej, że tutaj krzyż znajduje się dokładnie pod inskrypcją.

Krystian z widocznym trudem powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Zawsze, kiedy wymienia się nazwisko Liszta, cały świat popada w nabożną cześć, a przecież był z niego też niezgorszy szelma. Kiedyś wspólnie z Chopinem zorganizowali wieczorek muzyczny. Liszt nalegał, aby grać w całkowitej ciemności. Kiedy skończył utwór, oczarowana publika zaczęła bić brawo. Kiedy zapalono światło, przy fortepianie siedział nie on, a jego przyjaciel - po kryjomu zamienili się miejscami z Chopinem.

- Mogę to sobie wyobrazić - mruknęła Sara. Nie była w nastroju na anegdoty. Za bardzo się denerwowała.

Pierwszy strażnik miał dostatecznie dużo taktu, żeby nie trzymać jej dłużej w napięciu. Podnieśli harfę z wózka i ustawili ją na gzymsie okiennym, a Krystian zabezpieczył ją dodatkowo za pomocą liny. Potem szepnął:

- Odejdźmy na bok, żeby wiatr mógł swobodnie wiać przez harfę - a potem wziął ją za rękę i odciągnął od okna.

Wkrótce struny zaczęły drgać i ruiny wypełniły się typowym dla harf eolskich zaśpiewem, który raz przybierał na sile, raz słabnął. Sara zamknęła oczy. Zaczęła nasłuchiwać. A potem ujrzała to po raz pierwszy. Obraz, zbyt ulotny, aby zachować go w pamięci. Ze wzburzenia ścisnęła dłoń Krystiana.

- Widzisz coś? - zapytał szeptem.

- Czeka! - rzuciła i znów wkroczyła do królestwa dźwięcznych barw.

Z każdym mocniejszym powiewem mistralu zjawisko stawało się

wyraźniejsze, kiedy jednak wiatr słabł, robiło się przezroczyście, żeby po chwili zupełnie zniknąć. Wyglądało to tak, jakby obraz oddychał, i Sara musiała długo czekać, zanim wiatr północny zagrał na harfie z odpowiednim natężeniem i dostatecznie długo.

- Widzę drzewo - wyszeptała Sara. - Zielone i... tak, pod nim heraldyczna, błękitna krokiew. wygląda jak dach.

Wiatr ponownie osłabł, a obraz zniknął.

Jeszcze kilka razy pozwoliła mistralowi odmalować tę wizję przed swoimi oczyma, mając nadzieję, że zauważy jakieś dodatkowe elementy, ale za każdym razem widziała jedynie drzewo z wskazującą w górę krowią.

- Nie powinniśmy wystawiać przesądności mieszkańców na próbę - odezwał się w pewnej chwili skupiony głos Krystiana.

Sara otworzyła oczy i westchnęła.

- I tak nic już więcej nie zobaczę. Symbol jest tak przygnębiająco prosty. Drzewo i krokiew - co to ma być w ogóle za wskazówka? To może znaczyć... wszystko.

Pokręcił poważnie głową.

- Nie, jeśli zna się historię Franciszka Liszta i Jasnych Słyszających Barwy.

Kiedy Sara zaczęła domagać się wyjaśnień, Krystian poprosił ją o cierpliwość. Chciał najpierw wrócić do kryjówki, gdzie będą mogli o wszystkim spokojnie porozmawiać. Po drodze nie zamienili ze sobą niemal ani słowa. Obojgu ciążyła świadomość, że wkrótce będą musieli się pożegnać. Sara jakąś częścią swojej istoty pragnęła, by nowa zagadka Liszta pozostała ciągle nierozwiązana. Wtedy mogłaby zostać tutaj, z Krystianem.

Dom, w którym mieszkała Maria, stał niedaleko wejścia do starej kopalni, których pełno było w pobliżu Les Baux de Provence. Wcześniej w okolicy tej wydobywano nazwany właśnie na cześć tej miejscowości boksyt, najważniejszy surowiec w produkcji aluminium. Już od dawna minerał ten pozyskiwany był taniej w innych miejscach, toteż natura ponownie objęła w posiadanie opuszczone szyby. W wielu z trudem jedynie dawało się dostrzec, jaką rolę pełniły w przeszłości. A kilka zajęli Strażnicy Harfy Wiatrów.

Maria jeszcze nie spała, kiedy jej brat i Sara powrócili z nocnego wypadu do ruin pod *Post Tenebras Lux*. Krystian zaparkował vana w szopie i eskortowani przez kapitana Nemo we trójkę przenieśli harfę eolską do ukrytej między

drzewami sztolni. Było to jedynie tymczasowe schronienie, ponieważ właściwa Ostoja najcenniejszych skarbów Jasnych Słyszących Barwy znajdowała się w innej jaskini, głęboko w sercu ziemi.

Jakiś czas później wszyscy troje usiedli w jadalni dworku, chcąc rozwikłać zagadkę najnowszej dźwiękowej wiadomości. Co prawda dochodziła już druga, ale wszyscy byli zbyt podekscytowani, żeby myśleć o spaniu. Jako że Maria także należała do Strażników Harfy Wiatrów – jej zakonne imię brzmiało Alix – Krystian nalegał, by była obecna. Usiadła więc w wiklinowym fotelu, a pozostała dwójka na sofie naprzeciwko. Ponadto dołączył do nich też mały łązega

- Kapitanowi Nemo spodobała się ostatnio rola przyzwoitki.

Sara ponownie *en detail* opisała swoje wrażenia wizualne podczas „zaśpiewu północnego wiatru”, a potem przytuliła się do Krystiana i powiedziała.

- Teraz wasza kolej. Mnie drzewo i krokiew zupełnie nic nie mówią.

- Za to mnie owszem – odparła Maria, zaskakując tym nawet własnego brata.

- Drzewo z białą krokwią to herb Saint-Cricq, miejscowości leżącej u stóp Pirenejów, jakieś trzysta osiemdziesiąt kilometrów na zachód stąd. Miałam tam kiedyś wystawę.

- Saint-Cricq – wyszeptała Sara. Brzmienie tej nazwy poruszyło w niej struny, które nie miały już zamiaru zamilknąć.

- Co sądzisz o propozycji Marii, Kitharo? – usłyszała pytanie Krystiana. Brzmiało to tak, jakby nauczyciel sprawdzał wiedzę uczennicy.

- Mam przecucie, że to podstęp i Liszt chce wystawić nas na próbę.

- Bardzo dobrze. Ja także. A skąd takie wrażenie?

- Ponieważ nazwa Saint-Cricq w kontekście biografii Franciszka Liszta ma jeszcze jedno znaczenie. Jego pierwsza wielka miłość nazywała się Caroline de Saint-Cricq. Poznał ją. Kiedy to było dokładnie?

- Według naszych zapisków około roku 1828.

- Właśnie! Wtedy spotkał ją w Paryżu, gdzie uczył ją gry na pianinie. Oboje mieli dopiero po siedemnaście lat i zakochali się w sobie na śmierć. Ojcu Caroliny bynajmniej nie spodobał się flirt córki z mieszczańskim-muzykantem. Dlatego postarał się o lepszą partię dla niej, co wpędziło Liszta w głęboką depresję.

- Bardzo dobrze, Kitharo! Odkąd tutaj jesteś, wiele się nauczyłaś. A więc? Czy płomienna miłość okazała się jedynie młodzieńczą fascynacją?

Sara potrząsnęła głową.

- Odwiedzał ją nawet długo po ślubie.

- Dokładnie tak. Według naszych kronik pojechał nawet w tym celu we francuskie Pireneje. Spotkali się w Pau 8 października 1844 roku.

Sara wyprostowała się i obróciła się w jego stronę zaskoczona.

- Jesteś pewien, że to nie było 9 listopada?

- Mój brat może ci opowiedzieć, co Liszt jadł każdego dnia swojego życia - powiedziała Maria z wyrzutem.

- Przesada. Gdyby tak było, wiedziałbym też, kiedy i gdzie ukrył Purpurowe Nuty. A nie wiem. Niestety Sara znów przytuliła się do niego. Jego „niestety” brzmiało jak skrót od zwrotu: „Niestety, muszę więc pozwolić ci odejść, żebyś to ty mogła odnaleźć Naukę Dźwięków Jubala”. Czy po niecałych siedmiu tygodniach mogła żywić do tego mężczyzny uczucie równie głębokie co Liszt do Caroline de Saint-Cricq?

- O czym myślisz? - zapytał. Jego oddech łaskotał ją w ucho.

- Dziadek. To znaczy, Liszt, kochał Caroline całe życie. Z tego, co pamiętam, jej nazwisko widnieje nawet w jego testamencie.

- Sara zmarła.

- Założę się, że zastanawiasz się właśnie, jak to możliwe, skoro oficjalne biografie wspominają zaledwie o przelotnym romansie, prawda? - spróbował odgadnąć Krystian.

- Oczywiście! Nie znasz przypadkiem jego ostatniej woli na pamięć?

- Próbujesz mnie przyłapać na niewiedzy?

- Tak właśnie myślałam - klepnęła go w udo i, podpierając się, wstała z półleżącej, półsiedzącej pozycji i poszła do swojego pokoju.

- Dokąd ci się tak spieszy? - zawołał za nią.

- Po moją przenośną bibliotekę - komputer był jedną z niewielu rzeczy, których nie straciła po ataku Ciemnych, nie zabrała go przecież wtedy z samochodu Krystiana. Pozostawioną w hotelu walizkę monsieur Cornee przekazał policji. Oficjalnie słynna pianistka Sara d'Albis uznana została za zaginioną. Krystian spalił nawet ubrania, które miała na sobie w sanktuarium, znalazł w nich bowiem nadajnik i elektroniczne pluskwy, które prawdopodobnie doprowadziły Orły aż do jaskini Łabędzi.

Kiedy Sara powróciła do pokoju z laptopem, odczuła nagle zawrót głowy. Zachwiała się jak pijana, gdyż wszystko dookoła zaczęło gwałtownie wirować.

Krystian i Maria natychmiast poderwali się i podbiegli, żeby ją podtrzymać. Kapitan Nemo zaskomłał.

- Co to miało być? - wymamrotała Sara, potrząsając głową, kiedy prowadzili ją na sofę.

- Może wstałaś zbyt szybko i krew odpłynęła ci do nóg? - wysunęła domysł Maria.

- Nie - nie zgodził się Krystian, ponownie wchodząc w rolę lekarza - wtedy zawroty głowy przyszłyby wcześniej. Wygląda mi to raczej na zasłabnięcie.

- Masz rację. Przez ostatnie tygodnie w dużej mierze odzyskała możliwość poruszania się, ale wciąż brakuje jej wytrzymałości.

- Pomijając już nie do końca znane skutki ciężkiego *commotio cerebri*...

- Hej, specjaliści, też tutaj jestem! - weszła im ostro w słowo Sara. Złościła ją jednak bardziej własna słabość niż ich fachowy żargon.

- Chciał powiedzieć, że twoje wstrząśnienie mózgu było dość poważne - wyjaśniła Maria pojednawczo.

- Tak, tak, dobrze. Możemy kontynuować?

- Już późno, a ty potrzebujesz spokoju - powiedział Krystian z troską.

- Ale najpierw muszę coś sprawdzić.

- Na to mamy czas, Saro. Nawet jeżeli rozwiązesz zagadkę już dzisiaj, wypuszczę cię stąd najwcześniej za dwa tygodnie.

Najchętniej rzuciłaby mu się na szyję za to lekarskie zalecenie. Dwa tygodnie! Jeszcze czternaście dni, żeby nacieszyć się miłością!

„Nie!” - przywołała się do porządku i pokręciła markotnie głową. Są ważniejsze rzeczy od osobistego szczęścia. Na to zawsze będzie jeszcze czas. Jak dobrze pójdzie.

Przekornie ustawiła na udzie laptopa i włączyła go. Krystian z westchnieniem opadł na miejsce obok niej, Kapitan Nemo zajął stanowisko po drugiej stronie, a Maria przycupnęła na dywanie u jej stóp.

Kilka minut później Sara znalazła wśród listów Liszta to, czego szukała. W roku 1860, trzydzieści dwa lata po paryskim romansie, muzyk napisał do księżnej Caroline von Sayn-Wittgeinstein, swojej nowej towarzyszki życia, zastanawiający list:

„Jeden z moich klejnotów, wprawionych w pierścień, wysłano madame Caroline d'Artigaux, *de domo countess de St. Cricq* (do Pau, we Francji)”.

Sara przyłożyła rękę do piersi, nie po to jednak żeby uciszyć bijące jak szalone

serce, ale dlatego że musiała dotknąć łańcuszka. Sygnet

„Fl” znajdował się dokładnie tam, gdzie był przez ostatnie dziesięć lat. Pokazała list Krystianowi. Ten przeczytał go na głos Marii.

Sara miała wrażenie, że oto znalazła kolejny element wielkiej układanki. Mruknęła pod nosem:

- Na odwrocie wisiorka jest poprawiony szew lutowniczy. Zawsze podejrzewałam, że to pozostałość po oderwaniu od pierścienia.

Krystian wskazał na komputer.

- Masz tu też testament Liszta?

Skinęła głową.

- Otwórz go, proszę. Chciałbym coś ci pokazać.

W ciągu kilku sekund dokument pojawił się na ekranie.

Krystian wziął laptopa, szybko przewiął tekst i odłożył go znowu na jej kolana.

- Na samej górze ekranu. Pierwsza Carolyne to księżna Sayn-Wittgenstein, a tożsamość drugiej Liszt określa w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości:

„Na koniec proszę jeszcze Carolyne, żeby w moim imieniu wysłała jeden z moich talizmanów, oprawiony w pierścień, do pani Caroline d'Artigaux, *de domo* komtesy St. Cricq (do Pau we Francji)”

Sara walczyła rozpaczliwie o oddech, czuła się tak, jakby tonęła. Pamiętała wprawdzie, że w testamencie Liszta wspomniano hrabinę St. Cricq, zapomniała jednak, co było przedmiotem spadku. W głowie Sary kłębiły się myśli, od których zrobiło jej się słabo. Dlaczego Liszt złożył ten obowiązek akurat na barki księżnej Carolyne von Sayn-Wittgenstein? Aż do pięćdziesiątego roku życia walczył z wszystkimi możliwymi tego świata - nawet z „przedstawicielem Boga na ziemi” - żeby móc ją poślubić. Mimo kilku przygód miłosnych pozostał z nią aż do końca, Inaczej postąpił z Marie d'Agoult, matką trojga jego dzieci. Musiał przecież liczyć się z zazdrością swej towarzyszki życia! Dlaczego pisze jej o tym klejnocie, a nawet osobiście prosi ją, żeby wysłała go do jego młodzieńczej miłości?

Sara spojrzała na Krystiana.

- Czy Carolyne von Sayn-Wittgenstein była wtajemniczona? Czy była Słyszącą Barwy?

- Nigdy otwarcie nie przyznał tego strażnikom. Ale Lina Ramann, której podyktował kilka epizodów z własnego życia, pisała o księżnej jako o jedynej osobie na ziemi, która wiedziała wszystko o mistrzu, znała wszystkie niejawne powiązania i posiadała klucz do wielu niezrozumiałych wydarzeń z jego życia. Czy to wystarczy ci za odpowiedź?

- Tak sędzę - wyszeptała Sara. Schowała zmarznięte dłonie pod uda. Według niej, prawowitej dziedziczki wzmiankowanego klejnotu, przedstawione fakty dawały się wiarygodnie wyjaśnić tylko w jeden sposób:

- Romans siedemnastoletniego nauczyciela z uczennicą był brzemienny w skutki. Nieprzewidziane skutki. Dlatego ojciec Caroline tak szybko oddalił ją od niego i niezwłocznie wydał córkę za odpowiedniego partnera. Jednakże pozostali połączeni na całe życie. Cóż bowiem może zespolić dwoje ludzi mocniej niż wspólne dziecko? A księżna Sayn-Wittgenstein o tym wiedziała.

- Wow! - wyrwało się Marii.

Kapitan Nemo zaszczekał na znak zgody.

Krystian powoli klaskał w dłonie.

- Wiedziałaś o tym? - zapytała Sara.

Pokręcił głową.

- Liszt powiedział nam wprawdzie, że przekazał swój dar słyszenia barw młodszemu pokoleniu, nie podał jednak żadnych nazwisk. Stwierdził tylko, że ta zdolność jest słabsza u jego dzieci niż u niego. Jednak z powodu Ciemnych lękał się o ich życie i miał nadzieję, że ich umiejętności wzocnią się w kolejnych generacjach.

Sara przypomniała sobie o faksie, za pomocą którego Janin chciał odprawić ją z Les Baux.

- Czy Strażnicy Harfy Wiatrów wiedzieli o Ilonie Hohnel?

- Tak. Rzeczywiście jest córką Liszta. Urodziła się jednak 6 sierpnia 1882 roku, a więc dopiero po tym, jak stworzył różę wiatrów i po tym, kiedy nasz ówczesny pierwszy strażnik, Zabbecha, dowiedział się o jego utalentowanym dziecku, od samego mistrza zresztą. Jeśli chcesz dokładnie poznać swoje drzewo genealogiczne, zapomnij o Ilonie Hohnel.

- Drzewo? - Sara spojrzała na Krystiana szeroko otwartymi oczyma. - To znaczy, że obraz, który ukazała mi harfa eolska, ma z tym coś wspólnego?

- Tak sędzę.

- Ale dopiero herb Saint-Cricq sprowadził nas na właściwy trop - dorzuciła Maria.

- Oczywiście. Wystarczy zastanowić się nad życiem Liszta, żeby przekonać się, że był prawdziwym mistrzem dwuznaczności.

Sara przygryzała dolną wargę.

- A o co chodzi z błękitną krokwią? Czy to też może być jakaś ukryta wskazówka?

Rodzeństwo wymieniło między sobą wymowne spojrzenia i skinęło, jakby ich głowy łączyła niewidzialna machineria.

Sara jęknęła.

- Moglibyście wtajemniczyć mnie w swój szyfr?

- Pamiętaj, co Nével opowiedziała ci o łańcuszku? - Krystian rzucił jej koło ratunkowe. - „FL” to nie tylko monogram Franciszka Liszta, ale też elegancki skrót niemieckiego określenia *Farben-Lau-scher*, czyli Słyszący Barwy. Po niemiecku te dwie litery można też jednak rozumieć jako aluzję do *Freimaurer-Loge*, loży wolnomularskiej.

- Wolnomularze? - wyszeptała Sara, patrząc tępo przed siebie.

Krystian skinął głową.

- Zakładam, że Oleg Janin powiedział ci, że Liszt był masonem?

- Oczywiście. Przedstawił to w dość niekorzystnym świetle.

- Prawdopodobnie chciał zrobić z twojego przodka nawiedzonego mistyka albo szkodliwego dla społeczeństwa konspiratora.

- Coś takiego, tak. Szczerze mówiąc, moja opinia o wolnomularzach była podobna.

- Takie uprzedzenia są bardzo powszechne - stwierdził Krystian z wyrozumiałym uśmiechem i wyjaśnił, że na przestrzeni dziejów wolnomularzom zawsze zarzucano ponadnarodowe spiski, nawet w epoce nowożytnej, kiedy narodowi socjaliści zrównali ich ze znieawidzonym „światowym żydostwem”. W rzeczywistości jednak zarówno rewolucja, jak i demagogia oraz intrygi stały w sprzeczności z masońskimi zasadami.

- Poza tym nie istniało w ogóle coś takiego jak jedna masoneria. Różne systemy i loże różnią się bardzo między sobą - dodała Maria.

Krystian potwierdził jej słowa, dorzucił jednak, że tajemniczość, którą okryte były rytuały świątyn - „łóż” albo „warsztatów” - zawsze wzbudzała podejrzenia

totalitarnych reżimów. Do tego wiele masońskich symboli i rytów odwoływało się do tradycji kabalistycznych, hermetycznych i alchemicznych, co wystarczyło Kościołowi katolickiemu, by określić masonów mianem czcicieli szatana, czarownic i magów.

Teraz wiadomo jednak, dodał Krystian, że większość masońskich rytuałów wywodzi się od zwyczajów średniowiecznych budowniczych katedr. Od nich wzięła się też rzemieślnicza symbolika, na przykład „praca w surowym kamieniu”, oznaczająca samodoskonalenie człowieka w duchu humanizmu.

Tak jak masoni nie mieli wiele wspólnego z ogólnoświatowymi spiskami, tak samo Słyszający Barwy nie byli masonami. Wszyscy oni, włącznie z Lisztem, wykorzystywali po prostu tajne, doskonale zorganizowane struktury wolnomularskie, tak samo jak wcześniej struktury zakonów rycerskich. W ten sposób czasami oba stowarzyszenia mieszały się między sobą.

- Ośmioramienne krzyże, róże wiatrów. - wymamrotała Sara.

Krystian skinął głową.

- Liszta interesowało to tylko marginalnie. Bardziej przemawiało do niego to, co stanowiło istotę masonerii: wolność, równość i braterstwo, ideały, które przyciągały do loży wielu świątłych ludzi, zarówno przed, jak i po rewolucji francuskiej. Mógł czuć się też blisko związany z wolnomularzami, ponieważ przypisywali oni duże znaczenie pracy dla wspólnego dobra - jego rozliczne koncerty dobroczynne dowodzą przecież wyraźnie, jak bardzo leżało mu na sercu wspieranie potrzebujących. Ponadto za jego czasów świątynie masońskie stanowiły centra kulturowe. Kiedy Liszt dawał w którejs z nich koncert, robił to nie tylko z pobudek ideowych, ale też ze względów praktycznych.

- Oleg Janin przedstawił to zupełnie inaczej.

- Tak też sądziłem, dlatego też teraz ci to wszystko opowiadam. Prawdopodobnie opisał ci Liszta jako wilka w owczej skórze, o katolickim runie i masońskiej paszczęce.

- Tak, choć wyraził to nieco subtelniej.

Krystian westchnął.

- Kitharo, jestem kronikarzem i nie wolno mi ani oczerniać, ani gloryfikować wolnomularzy. Masoneria bardzo przyczyniła się do rozprzestrzenienia w społeczeństwie ideałów tolerancji. Weźmy cho-by należących do niej kompozytorów - Liszta, Mozarta, Meyerbera, Lortzinga, Hummela, Haydna, Pucciniego i wielu, wielu innych. Nie byli spiskowcami, ale po prostu ludźmi,

którzy dawali innym radość poprzez muzykę.

- Brzmi to prawie tak, jakby wszyscy byli aniołami.

Pokręcił głową.

- Każdy kij ma dwa końce. To jasne, że w masońskiej historii są też ciemne karty, na przykład podporządkowanie idei wspólnoty narodów świata nacjonalizmowi w Republice Weimarskiej czy też to, że niektóre loże zabiegały o względy narodowych socjalistów, chcąc uniknąć prześladowań.

- „Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień”.

- Otóż to. Przerażają mnie powieściopisarze, reżyserowie i samozwańcy fachowcy, którzy wypierają się jakiegokolwiek nietolerancji, a demonizują masonów. W najlepszym przypadku grzeszą głupotą, powtarzając po prostu najpotworniejsze kłamstwa archaicznego systemu ucisku.

- Dziękuję za lekcję, mistrzu Yoda.

- Nie ma za co, młody Padawanie.

Maria przewróciła oczyma, a Kapitan Nemo ziewnął.

- Zresztą - podjął znowu Krystian - mój mały wykład miał tylko przybliżyć ci wskazówki odnoszące się do wiadomości z harfy eolskiej, zwłaszcza te, które dotyczą błękitnej krokwi.

- To znaczy. Oczywiście, ten sam kształt, jako węgielnica w połączeniu z cyrklem stanowi chyba najbardziej znany wolnomularski symbol.

- Właśnie. Węgielnica jest symbolem prawa i obowiązku. Pewna zastanawiająca cecha zwróciła jednak moją uwagę, odstępstwo, by tak rzec, od normy. Czy któraś z was też to zauważyła?

Krystian spojrzał wyczekująco na obie kobiety.

- Nie znoszę, kiedy tak się zachowuje - jęknęła Maria.

Sara skinęła zgodnie.

- Zrozumiały.

Krystian wykrzywił usta.

- A to przecież takie proste. Węgielnica w obrazie z harfy eolskiej przedstawiona jest w odwrotnej pozycji. W masońskim symbolu z cyrklem jej koniec wskazuje na dół, a tutaj w górę. Sama powiedziałaś, że wygląda jak dach.

Sara uchu nerwowo podrapała kapitana Nemo w jego oklapnięte ucho.

- A to oznacza?

- Dach zabezpiecza przed dokuczliwością pogody. Ochrania. Nie zdziwiłbym

się, gdyby okazało się, że mistrz Liszt znów wysłał ci wieloznaczną wiadomość, Kitharo. Nie zastanawia cię, że ani historycy, ani biografowie nie wspominają słowem o wspólnym dziecku Liszta i Caroline de Saint-Cricq?

- Może po prostu nigdy go nie mieli - marudziła Maria.

- Albo zabrano je matce wkrótce po porodzie - powiedziała Sara. Serce znowu zabiło jej szybciej. W końcu zaczęło do niej docierać, co Krystian miał na myśli.

Ten skinął głową.

- Prawdopodobnie młodego bastarda oddano pod opiekę rodziców zastępczych, a jego ojczym mógł należeć do masonerii. Tak więc węgielnica zmieniła się w masoński dach chroniący zaczątki rodu, z którego w przyszłości mieli wyjść nowi Słyszący Barwy.

Sara chwyciła Krystiana za rękę. Nagle znowu zakręciło się jej w głowie, jednak raczej z uwagi na ciężar usłyszanych właśnie informacji niż z powodu skutków wstrząśnienia mózgu.

- Brzmi wiarygodnie - orzekła Maria. - Czy to znaczy, że jak tylko Kithara dojdzie do siebie, zacznie przemierzać Pireneje w poszukiwaniu śladów po babci Caroline i jej dziecku?

- Nie - oznajmiła Sara zdecydowanie. - To za daleko na południe. Zefir wieje z zachodu.

- Kto?

- Szósty znak akronimu N+BALZAC oznacza miejsce, w którym Franz i Caroline zapalali do siebie miłością. W którym ich dziecko zostało poczęte. W którym prawdopodobnie także dorastało.

I w którym mieści się jaskinia lwa - lub raczej orle gniazdo.

Sara patrzyła długo w smutne oczy Krystiana, a potem dodała:

- Muszę jak najprędzej lecieć do Paryża.

Rozdział 31.

Okolice Les Baux de Provence, 27 marca 2005, 10:48

Chrześcijaństwo świętowało zmartwychwstanie, a przedstawiciel Boga na ziemi walczył o kolejne dni życia. Była Wielka Niedziela, Sara siedziała na wiklinowym fotelu w dworku Marii, głaskała sennego Kapitana Nemo i intensywnie wpatrywała się w telewizor transmitujący na żywo program z Rzymu. Na pozór mogła uchodzić za pobożną katoliczkę, w głębi serca potwornie się jednak bała.

Bała się o papieża Jana Pawła II, który w oknie swojego gabinetu wyglądał jak ujęty w przepiękne ramy kłębek cierpienia i po raz pierwszy w czasie swojego pontyfikatu musiał udzielić tradycyjnego błogosławieństwa *urbi et orbi* - miastu i światu - w milczeniu.

Bała się też własnego strachu, ponieważ Karol Wojtyła, rodak Krystiana, zasługiwał na podziw za niezłomność, z którą tak długo opierał się chorobie Parkinsona oraz różnorodnym innym dolegliwościom.

Najbardziej przestraszyła się jednak na widok ujęcia całego Placu Świętego Piotra, nie wierzyła bowiem w to, że wszyscy ci ludzie zebrali się tam z czystej pobożności. Jak wielu przybyło tam gnanych żądzą sensacji i pragnieniem ujrzenia tego starego uparciucha w chwili słabości?

A jak wielu zostało zmuszonych do przybycia?

Tak, najbardziej wytrąciła ją z równowagi muzyka. Oglądając wysyłany na wszystkie strony świata - zgodnie z ramionami róży wiatrów - reportaż z Watykanu, co chwila wyłapywała Dźwięki Władzy. „Przybywajcie!” - wabiło z Placu Świętego Piotra. „Przybywajcie!” - rozbrzmiewało w Ameryce. „Przybywajcie!” - także z Australii, Azji, Afryki.

- Krystian, Maria, chodźcie szybko! - krzyknęła Sara podniecona.

Przybiegli z przeciwległych stron dworku, żeby usiąść z nią przed telewizorem.

- Słyszycie? - spytała po chwili pilnego nasłuchiwania.

Maria obdarzyła ją podejrzliwym spojrzeniem.

Krystian natomiast potwierdził. Poruszywszy głową w górę i w dół, wymamrotał.

- Masz rację. Coś tam jest, ale nie mogę dobrze zrozumieć.

Rodzeństwo Jurek należeli do Słyszących Barwy. Jednak ich *audition colorée* nie mogło równać się z potęgą zdolności Sary

- W muzykę wpleciono wezwanie - wyjaśniła zatem. - „Przybywajcie!”

Rosyłąją to na cały świat i odtwarzają wszędzie, gdzie odprawiane są msze.

- Ale po co? Jutro już po Wielkanocy - zdziwiła się Maria.

- To może być preparacja - powiedział Krystian.

- Preparacja? - powtórzyła zirytowana Sara.

- Tak określamy wiadomość, która ujawnia się w dwóch fazach. Pierwsza przygotowuje tylko odbiorcę do wykonania konkretnej akcji - w tym przypadku podróży do Rzymu. W fazie drugiej zostanie wydane polecenie wykonania spreparowanego wcześniej rozkazu.

Sara poczuła, jak wszystkie włosy na jej skórze stają na baczność.

- Spotkałam się już z tym - wyszeptwała. - Kiedy Tiomkin na weimarskim dworcu rozkazywał mojemu ochroniarzowi, usłyszałam podobny przekaz z jego radia: „Słuchaj i czekaj. Kiedy się odezwę, wypełnisz moje polecenie”. Wciąż mam dreszcze, kiedy o tym myślę.

- Ta melodia należy do najstarszego repertuaru Słyszących Barwy - stwierdził Krystian. - Jej zaletą jest uniwersalność zastosowania: spreparowani zostają niezauważenie unieszkodliwieni i szybko wprowadzają w życie właściwe instrukcje, które można już wydać w praktycznie dowolnej formie.

- W Tivoli Tiomkin, perkusista, użył tych samych Dźwięków Władzy, Janin okazał się na nie jednak odporny.

- Im potężniejszy Słyszący, tym mniejsza jego wrażliwość na manipulacje za pomocą melodii. Obawiam się, że ten rzekomy profesor muzyki stoi w hierarchii Orłów całkiem wysoko.

Sara zamknęła oczy i szepnęła:

- Gdybym nie doprowadziła go do was, Nével wciąż by żyła.

Krystian złapał ją za rękę.

- Nie ponosisz żadnej winy, Kitharo. Byłaś zupełnie nieświadoma. Ładunki

podłożył kto inny, a mianowicie Słyszący Barwy, którzy wiedzieli, że zabijają w ten sposób ludzi, i pragnęli tego.

Rozsądek Sary poparł go w całej pełni, jej serce jednakże broniło się przed głosem rozumu. Od czasu kiedy poznała szczegóły śmierci Nével, czuła się winna.

- Kitharo - powiedział Krystian cichym, ale stanowczym głosem.

Zamknęła oczy, jakby w ten sposób mogła uciszyć wyrzuty sumienia. Kiedy znów na niego spojrzała, zapytała znużona:

- Tak?

- Obawiam się, że nie będziesz miała czasu, żeby w pełni wyleczyć obrażenia. Zew, który odkryłaś, może być wyłącznie dziełem Orłów. Coś planują. Coś dużego.

Wskazał na telewizor.

- Widzisz, jak wiele osób już teraz zebrało się na Placu Świętego Piotra. Wyobraź sobie, co się stanie, kiedy papież umrze, a Ciemni wprowadzą w życie fazę drugą preparacji i wydadzą rozkaz. Musilizer zaopatruje w muzykę pół świata - lotniska, dworce, hale fabryczne, gabinety lekarskie, tysiące wind i supermarketów. Nawet kościoły

- Ale co chcą przez to osiągnąć? Masowy szturm na Rzym?

Krystian pokręcił głową.

- Nie ma powodu sądzić, że wezwanie do Rzymu, które właśnie odkryłaś, jest jedynym ich komunikatem. Już dawno mogli wyemitować inne Dźwięki Władzy, rozkazy o katastrofalnych.

- O mój Boże! - wyrwało się Sarze. Przypomniało jej się coś.

- Co? - zapytali jednocześnie Krystian i Maria.

Sara spojrzała na obydwójce szeroko otwartymi oczyma.

- Janin w hotelu „Russischer Hof” w Weimarze powiedział mi, że do uleczenia świata potrzeba czegoś więcej niż kilku symfonii. Cały czas starał się przekonać mnie do sposobu myślenia Ciemnych Słyszących Barwy, twierdził, że czasami trzeba podpalić świat, wywołać istną apokalipsę, żeby ocalić ludzkość przed klęską. Ciemni musieliby jedynie zmanipulować dostatecznie wiele osób, osiągnąć masę krytyczną, zapoczątkowując reakcję łańcuchową niewyobrażalnych rozmiarów. - Pokręciła głową. - Nie rozumiem. Naprawdę chcą to zrobić.

- I dysponują odpowiednią mocą - dodała Maria poważnie.

- W odróżnieniu od Strażników Harfy Wiatrów - powiedział Krystian.

Sara spojrzała na niego z irytacją.

- Ale przecież w jaskini zmusiłeś siepaczy Niekrasowa, żeby się pozabijali.

- Tak. Ponieważ byli albo najemnikami, albo Słyszającymi niskiej rangi.

W pojedynku z mistrzem harfy i jego adeptami nie miałbym szans. Spójrzmy prawdzie w oczy: nawet gdybyśmy my, strażnicy, złamali swój kodeks, nie bylibyśmy w stanie powstrzymać Ciemnych.

- Udałoby się to z Purpurowymi Nutami - sprzeciwiła mu się Maria.

- Tak, ale najpierw trzeba by je znaleźć. - Krystian zaskoczył nagle wszystkich, klękając przed Sarą i ujmując jej dłonie. - Znam tylko jedną osobę, która jest do tego zdolna i potrafi pokrzyżować tę nową intrygę - ciebie, Kitharo.

Sara przełknęła ślinę. Poczowała się taka mała, taka nieważna.

Krystian delikatnie ścisnął jej dłonie.

- Jeżeli Ciemni naprawdę chcą wykorzystać cyrk medialny, który rozpęta się po śmierci papieża, to właśnie zawisł nad nami miecz Damoklesa. Stan zdrowia Jana Pawła dramatycznie się ostatnimi czasy pogorszył. Nikt nie wie, jak długo jeszcze pożyje.

- Jest uparty, a Polacy słyną z żywotności.

Jej riposta była jednak jedynie ostatnią próbą buntu. Próbowwała się roześmiać mimo łez.

Pokręcił głową z wyrazem bólu na twarzy. Surowo, jak należałoby się spodziewać po pierwszym strażniku Harfy Wiatrów w poważnych sytuacjach, odpowiedział:

- Ja mam związane ręce. Ty, Kitharo, jesteś naszą ostatnią nadzieją. Nie wolno nam zmitrężyć nawet dnia dłużej.

===fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA===

ZEFIR (ZACHÓD)

PARYŻ

Franciszek Liszt (...) koncertuje, roztaczając czar nieomal bajkowy (...). Słuchając Liszta (...) zapomina się o trudzie gry, fortepian znika, odsłaniając muzykę (...). Mimo swojego geniuszu, a może właśnie z jego powodu, Liszt napotkał tutaj w Paryżu przeciwników. Ta jego cecha w oczach wielu stanowi potworny występki, na który nie ma kary zbyt surowej. »Talent można jeszcze wybaczyć, ale wobec geniuszu postępuje się z najwyższą bezwzględnością« - tak wypowiedział się kiedyś świętej pamięci lord Byron, do którego nasz Liszt jest niezwykle podobny.

Heinrich Heine, 1841

Moja kariera muzyczna na pewno zdążyłaby jeszcze rozkwitnąć, gdyby tylko dane mi było żyć sto czterdzieści lat.

Hector Berlioz

Rozdział 32.

Paryż, 29 marca 2005, 10:32

Sara czuła się tak, jakby ostatnie czterdzieści osiem godzin spędziła w *train a grande vitesse*, pociągu kolei dużych prędkości. Już przygotowania do podróży zakończyła w ekspresowym tempie, a do Paryża przewiózł ją lotem błyskawicy właśnie TGV – dwa dni po szokujących rewelacjach Wielkiej Niedzieli.

Podróż z Marsylii trwała zaledwie trzy godziny. Nawet nie zauważyła, kiedy pociąg wjechał na paryski dworzec Gare de Lyon. Myślami wciąż pozostawała przy Krystianie. Co teraz robił? Jak się czuł? Czy o niej myślał? Sama w każdym razie już za nim tęskniła, mimo że pożegnali się tak niedawno. Czy kiedyś go jeszcze zobaczy?

Gniewnie odsunęła od siebie wątpliwości. Prawda, jej misja należała do bardzo niebezpiecznych. Jeśli Orły dowiedzą się, że wciąż żyje, zbiorą się w stado i rozpoczną bezlitosne polowanie. Być może jednak za kilka dni nie będzie już musiała łamać sobie głowy przyszłością.

Zeszłej nocy znowu przypomniały jej się złowieszcze telefoniczne rozmowy z Niekrasowem. Ciemni obrali sobie za motto spisku akurat tytuł jednego z utworów Liszta – *Od kołyski do grobu*. Mistrz harfy, robiąc aluzję do urodzin Hansa Christiana Andersena 2 kwietnia 1805, przestrzegał ją: „Nie zapomnij tej daty! Kiedy za dwa miesiące będą fetować małego Hansa Christiana w kołysce, dla kogoś innego otworzy się grób. Jego śmierć poruszy cały świat”.

Wspomnienie tej rozmowy sprawiło, że Sarę przeszył dreszcz. Jeśli wierzyć Niekrasowowi, papieżowi Janowi Pawłowi II zostały tylko cztery dni życia.

A potem? Prawdopodobnie do Rzymu ściągną setki tysięcy ludzi w szczerym zamiarze oddania ostatniego hołdu zmarłemu. Ilu z nich w rzeczywistości będzie jednak podążało za wezwaniem Słyszących Barwy – „Przybywajcie”? Co w ogóle można zrobić, żeby pokrzyżować plany Ciemnych? Telefoniczne ostrzeżenie

Gwardii Szwajcarskiej przed zamachem na Ojca Świętego byłoby idiotyzmem. Krystian mówił, że centrala telefoniczna Stolicy Apostolskiej przyjmowała codziennie dziesiątki tego rodzaju zgłoszeń.

Cztery dni! Sara powstrzymała drżenie. Jak ma znaleźć przez ten czas Szkarłatną Partyturę? Jak ma udaremnić plany Ciemnych, nie ujawniając się im przy tym i nie wystawiając na strzał? Siedem tygodni temu myśl o tej iście herkulesowej pracy wystarczyła, żeby ją sparaliżować. Teraz już wyzbyła się naiwności, z jaką dała się nabrać na kamuflaż Olega Janina. W ciągu ostatnich trzech tygodni Krystian nauczył ją, jak pozostawać niewidzialną:

„Nigdy nie płać kartą kredytową, używaj różnych nazwisk i nie podawaj ich lekkomyślnie – komputery to gaduły. Często zmieniaj wygląd. Mów różnymi dialektami i językami. Często zmieniaj miejsce zamieszkania, najlepiej codziennie. Regularnie sprawdzaj, czy w twoich rzeczach nie ma pluskiew i nadajników. Jeśli coś kupujesz, oderwij RFID, etykiety z chipami – zdradzą twoją tożsamość, zostawiając ślad dla psów Niekrasowa. Nie korzystaj z telefonów! Jeśli koniecznie musisz dzwonić, kup komórkę z nową kartą prepaid i numerem seryjnym. Zawsze obserwuj otoczenie. Zawsze! Jeśli coś wyda ci się dziwne, natychmiast znikaj. Patrz przed siebie albo w dół – kamery z reguły umieszczone będą nad tobą. Nie ufaj nikomu! Ciemni Słyszący Barwy też potrafią przyjaźnie się uśmiechać”.

Listę tych zasad można było rozbudowywać w nieskończoność. Sara czuła się jak Jamie Bond, kobieca wersja agenta 007. Miała paszporty na trzy różne nazwiska, paczki banknotów, różne karty do nowej komórki i różne inne czapki-niewidki.

W tej chwili była jednak tylko siedzącą w przedziale kolejowym wystraszoną młodą kobietą. Miała krótkie blond włosy i okularary przeciwsłoneczne. Ubrana była w pomarańczową bluzę, ciemnoniebieski płaszcz przeciwdeszczowy i w sportowe buty. Duży plecak sprawiał, że można ją było wziąć za studentkę, która po feriach wielkanocnych wraca na Sorbonę. W pewnym sensie Sara rzeczywiście wracała zresztą do domu, miała w końcu w Paryżu cudowne mieszkanie w starej kamienicy przy Quai d'Orleans na Ile de la Cite, wyspie na Sekwanie w samym centrum miasta.

Pierwsze kroki skierowała na Rue Cadet 16. Tutaj, w 9. dzielnicy, na północ od Luwru, mieściła się siedziba Grand Orient de France, najliczniejszej wielkiej

łóży francuskiego wolnomularstwa. W torbie na laptopa miała list polecający od niejakiego doktora Krystiana Jurka. Zaadresowany był do tutejszego wielkiego mistrza, profesora Henriego Perrota.

Dla bezpieczeństwa z dworca do siedziby łóży dojechała publicznymi środkami transportu. Ostatni fragment zatłoczonej Rue du Faubourg Montmartre pokonała pieszo. Sama Rue Cadet była jedną z tych uroczych uliczek z pięknie odnowionymi domami z czasów *Belle Epoque*, których tyle znajduje się w centralnych dzielnicach tętniącej życiem metropolii. Mniej więcej w połowie drogi w kierunku Rue la Fayette znalazła numer 16. Był to ładny budynek z kolorowymi oknami z ołowiowego szkła i secesyjnymi ozdobami, których wiek Sara oceniła na mniej więcej sto lat. Kiedy nacisnęła ciężki, mosiężny przycisk, dłoń jej zadrżała.

Nad dzwonkiem znajdowała się wypolerowana do połysku siatka, z której po chwili dobiegł trzask, poprzedzając wysoki, ale niewątpliwie męski głos, który spytał:

- Tak, słucham?

- Dzień dobry. Nazywam się Kithara Vitez. Jestem umówiona z profesorem Perrotem.

Usłyszała szelest, potem: „Proszę zaczekać!” i w końcu kolejny trzask.

Mniej więcej trzy minuty później rozległo się brzęczenie. Sara z impetem naparła na drzwi, które nie stawiały jednak zbyt zacieklego oporu. Z rozpędu wpadła na klatkę schodową o podłodze z czarno-białego lastriko i z czerwonym dywanem, który leżał na niej jak długi jęczor. Prowadził on w górę po pięciu albo sześciu stopniach, a następnie zniknął w ciemnej paszczy, z której krzywo sterczał pojedynczy ząb. W rzeczywistości ząb ów był wątłym człowieczkiem w podeszłym wieku. Staruszek miał wąsy, okulary i surowe spojrzenie.

- Proszę za mną! - krzyknął w dół schodów, a zabrzmiało to jak rozkaz, któremu lepiej było się nie sprzeciwiać.

Od Krystiana wiedziała, że wkracza do świata mężczyzn. W społeczności wolnomularskiej kobiety rzadko otrzymywały aktywne role, wiodąc w przygotowanych specjalnie dla nich niszach żywot raczej roślinny. Wielka Łoża Londynu, którą wolnomularze traktowali jako wzór, nawet te rezerwy uważała za anomalię. Koedukacyjność jednej i tej samej świątyni także uchodziła za złamanie zasad, mimo że praktykowano to powszechnie. Kobiety uchodziły po prostu za zbyt gadatliwe, żeby dochować wierności „arkanom” - obowiązku

utrzymania w tajemnicy prac i rozmów wewnątrz loży – a poza tym rozpraszały tylko uwagę mężczyzn. Tak przynajmniej uważano w lożach o bardziej tradycyjnych poglądach, choć było to raczej niezgodne z duchem czasów.

Pomna tego Sara pokonała pięć czy sześć stopni dzielących ją od spoglądającego ostro mężczyzny w pozie wprawdzie nie uniżonej, ale też nie wyzywającej. Pragnąc też uniknąć sytuacji, w której jej uśmiech zostałby mylnie odczytany jako „rozpraszający” erotyczny sygnał, ograniczyła go do minimum przy ponownej prezentacji.

– Profesor Perrot już na panią czeka. Sprzęt turystyczny może pani zostawić przy drzwiach – odparł Bezimienny z kamiennym wyrazem twarzy i wskazał na ciemną paszczę.

Sara zostawiła plecak w sieni, zabrała torbę z laptopem i poszła za sztywnym portierem w głąb ciemnego korytarza prowadzącego do wnętrza świątyni. Przy trzecich drzwiach mężczyzna zapukał, z wysuniętym podbródkiem poczekał na jakiś sygnał w alfabecie Morse’a, który Sara raczej wyczuła, niż usłyszała, a następnie wprowadził ją do zalanego światłem biura wielkiego mistrza.

Wnętrze także zdobiły wymyślne secesyjne formy. Lampy, meble, ramy obrazów, stiuki – wszystko to falowało pełnymi łukami w soczystych barwach. Wiosenne słońce wpadało przez trzy wąskie, wysokie okna, jakby chciało zdusić stęchliznę jeszcze w zarodku. Nawet ciężkie biurko z mahoni, mosiądzu i zielonej skóry, za którym Perrot oczekiwał gościa, dzięki nachylnym krawędziom i wygiętym nogom sprawiało dziwnie organiczne wrażenie, zupełnie jakby za chwilę miało uciec.

Nie uczyniło tego jednak. Wielki mistrz okrążył mebel i wyciągnął ku Sarze dużą dłoń, zdobną w ciężki złoty pierścień. Sara oceniała korpulentnego wolnomularza na niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Jednakże, jakby chcąc zadać kłam zewnętrznym pozorom, był on ruchliwy jak trzylatek. Nosił jasnoszary garnitur, białą koszulę oraz ozdobiony orientальnymi wzorami krawat w kolorze szlachetnego bordeaux. W prawą klapę jego marynarki wpięta była złota szpilka z cyrklem i węgielnicą. Z szerokiej twarzy profesora promieniowało wewnętrzne opanowanie. Jedynie olbrzymie okulary w czarnych oprawkach, pamiętające zapewne lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia, wydawały się tutaj nie na miejscu.

– Witam serdecznie, madame Vitez – przywitał gościa.

Sara miała wrażenie, że jego dłoń wprost ją pochłania ją, podobnie jak jego serdeczność. Ten mężczyzna był całkowitym przeciwieństwem swojego zasuszonego towarzysza. Kiedy tamten zapytał, czego madame Vitez życzy sobie do picia i odebrał od niej żakiet, natychmiast został odprawiony. Perrot posadził Sarę w fotelu, który od razu skojarzył jej się z mięsożernymi roślinami. Sam natomiast zajął miejsce po drugiej stronie, w czymś, co wyglądało jak klon muchołówki. Między nimi znajdował się stół, który najtrafniej można by określić mianem okrągłego, a którego metalowe części wyglądały, jakby jeszcze nie całkiem zastygły.

- Ma pan ciekawie wyposażone biuro - powiedziała Sara, miała bowiem wrażenie, że powinna sprawiać wrażenie niegroźnej.

Perrot zdjął okulary i zaczął gwałtownie wycierać je w chusteczkę higieniczną. Rozpromienił się.

- Podoba się pani? Same secesyjne oryginały.
- Doprawdy! Sprawia tak... dynamiczne wrażenie.
- Prawda? Jak mogę pani pomóc, madame Vitez? Jak się to w ogóle wymawia, po francusku czy po hiszpańsku? Mam na myśli pani niezwykle nazwisko.
- Pozostawię to panu do wyboru, profesorze Perrot.
- Ależ proszę zwracać się do mnie Henri. Przyjaciele Krystiana są też moimi przyjaciółmi!

- W takim razie mi proszę mówić Kitharo. Zna pan bliżej doktora Jurka?
- Z wykształcenia jestem lekarzem. Odkąd wzięłem na siebie więcej obowiązków w GOfD. Przepraszam, oczywiście chciałem powiedzieć Grand Orient de France. Na czym stanąłem?

- Chyba chciał mi pan opowiedzieć, jak poznał pan doktora Jurka.
- Ach tak! Oczywiście. A zatem, pierwszy raz poznaliśmy się na kongresie lekarskim w Lyonie, gdzie nasza rozmowa w pewnej chwili zesłała na wolnomularstwo. Krystian zaskoczył mnie tym, że wprawdzie sam nie jest jednym z braci, ale posiada niezwykle rozległą wiedzę na temat masonerii. Interesuje się zwłaszcza muzykami, którzy należeli do wolnomularstwa. Ja sam w ostatnich latach przeprowadziłem rozległe studia w tej dziedzinie i Krystian stał się dla mnie obfitym źródłem, z którego dane mi było zaczerpnąć łyk wartościowych informacji.

- Tak - potwierdziła Sara z odmierzoną starannie uśmiechem.

- Krystian to naprawdę chodząca encyklopedia.

- A do tego nieufnie podchodząca do wszelkich osiągnięć współczesnego świata. Proszę sobie wyobrazić, że wszystkie e-maile, które mi wysyła, są szyfrowane, certyfikowane i wysyłane z anonimowego konta. Stwierdził kiedyś, że amerykańska NSA podsłuchuje wszystko i wszystkich. Dlatego też nigdy nie podpisuje się swoim prawdziwym nazwiskiem, tylko jako *Aeolus*. Zabawne, nieprawdaż?

Rozbawiona Sara skinęła głową.

- Tak, to cały Krystian!

- A jak wy się poznaliście?

- Byłam ranna, a on mnie uratował.

- Brzmi dramatycznie.

- Było dramatycznie. Henri, mam ze sobą list polecający od Krystiana. Mam się nim wylegitymować.

Wyjęła kopertę z torby na laptopa i podała ją wielkiemu mistrzowi.

Perrot przelotnie tylko rzucił okiem na list, zupełnie jakby obawiał się, że czytając go uważniej, obrazi nieufnością swojego gościa. Na koniec stwierdził:

- Krystian był tak miły i ostrzegł mnie. Powiedział, że zechce mi pani zadać niezwykle pytania o Franciszka Liszta. Dlatego też przygotowałem się na nasze dzisiejsze spotkanie. Co dokładnie chciałaby pani wiedzieć?

- Prowadzę badania nad potomkami Liszta. Jako że przez długi czas mieszkał w Paryżu, a poza tym był masonem, przychodzę z tym do pana. Czy w archiwum Wielkiej Łoży istnieją jakieś dokumenty na temat dzieci, pochodzące od innej matki niż hrabina d'Agoult? A może zostawił w jakiejś paryskiej świątyni dokument, instrument muzyczny albo inny przedmiot, który wciąż jeszcze znajduje się w waszym posiadaniu?

Perrot przybrał naraz pozę, jakby połknął kij. Plecy wyprostowały mu się od potylicy aż po kość ogonową. Oczy wbił tępo w Sarę. Nadał policzki, przez chwilę wstrzymywał oddech, a następnie gwałtownie wypuścił powietrze.

- *Oh la la* - powiedział następnie. - To ci dopiero frontalny atak.

- Czy mogę to traktować jako odpowiedź twierdzącą?

- To nie takie proste. Załóżmy, że tak. Jak może mi pani udowodnić, że ma pani prawo do tych informacji?

Teraz Sara była zaskoczona. Udowodnić?

- Czy list od Krystiana panu nie wystarczy?

- Niestety nie, Kitharo. W tym przypadku nie chodzi już o przyjacielską przysługę, ale o moją rolę wielkiego mistrza Grand Orient de France.

W ten sposób pośrednio udzielił już odpowiedzi na jej pytanie. Czego jednak oczekiwał? Naraz Sara zdała sobie sprawę, że jej lewa dłoń mechanicznie chwyciła za łańcuszek, i poczuła, że ma klucz do otwarcia skarbca o nazwie Grand Orient. Wyjęła spod bluzy sygnet „FL” i wyciągnęła go tak daleko w stronę monsieur Perrota, jak tylko pozwalała na to długość złotego łańcuszka.

- Czy to wystarczy za dowód?

Perrot zbladł i zaczął kręcić głową z niedowierzaniem.

- Nigdy bym nie uwierzył.

Nagle zamilkł.

- Tak? - zapytała Sara przeciągle.

- Niestety, nie wystarczy - odparł zmieszany. - Ten ambigram to dopiero początek.

Sara jęknęła bezgłośnie.

- Początek? Czego?

- Potrzebne mi generalne upoważnienie. Wielkie Słowo, można tak powiedzieć.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Ależ oczywiście. - Machnął ręką. - Proszę mi wybaczyć masońską terminologię. Wielkie Słowo Hiram to według nas najtajniejsze ze wszystkich słów. W nim zawiera się cała wiedza i cała potęga, na której nasz legendarny wielki mistrz Hiram oparł wolnomularską tradycję.

- Hiram?

- Zbudował świątynię króla Salomona.

- Rozumiem.

- A potem go zamordowano.

- Tragedia!

- Nie tak jednak brzemienne w skutki jak utrata Wielkiego Słowa. Zamiast niego my, wolnomularze, stosujemy boskie imię - Jehowa - którego używał on i Salomon.

- Zdradzacie to każdemu, kto was odwiedza?

Perrot wzruszył ciężko ramionami.

- Jeżeli zapyta, to tak. Dziś nie jest to już żadną tajemnicą. Cofnijmy się jednak w przeszłość - za pomocą łańcuszka wyznaczyła mnie pani niejako na reprezentanta Wielkiego Słowa i ujawniła się przede mną jako wtajemniczona. Potrzebuję jednak dowodu na pani przynależność wewnętrzną.

- Wewnętrzną? - Sara trochę zgłupiała od rozmów o Wielkich Słowach, reprezentantach i.

- Chwileczkę! - wyrwało się jej nagle. - Ma pan kartkę i ołówek?

To wielki mistrz mógł zaoferować jej od razu.

Szybkimi ruchami naszkicowała na papierze obraz z harfy eolskiej - drzewo, a pod nim węgielnicę z czubkiem skierowanym ku górze - i pokazała go Perrotowi.

Kiedy oglądał połączony symbol, na jego twarz wypłynął wyraz zdumienia. Można by pomyśleć, że właśnie odkrył zaginione Wielkie Słowo Hirama.

- Zdałam? - spytała Sara.

Perrot skinął głową.

- Zdała pani. Proszę chwilę poczekać.

Uwolnił się z objęć mięsożernej rośliny i opuścił biuro.

Po chwili wrócił z tacą z napojami, o które prosiła, i oznajmił:

- Będzie się pani musiała uzbroić w odrobinę cierpliwości. Ten akurat... depozyt znajduje się poza warsztatem, u notariusza. W załączonych instrukcjach znajdowało się ostrzeżenie, że ktoś mógłby spróbować odebrać nam dokumenty siłą. Brat Yannick załatwi tę sprawę najszybciej jak to możliwe.

Wielki Mistrz zabrał się tymczasem do wypełniania obowiązków gospodarza i zaproponował Sarze herbatę. Jego gadatliwość została wchłonięta przez lotne piaski niezrozumiałych wydarzeń. Prawdopodobnie usiłował ukryć przed gościem zdenerwowanie.

W jej głowie pobrzmiwały ostrzeżenia Krystiana: „Nie ufaj nikomu! Ciemni Słyszący Barwy też potrafią przyjaźnie się uśmiechać”. A może ten uprzejmy *bon vivant* był współnikiem Niekrasowa i chciał ją teraz przetrzymać do czasu, aż dotrą tu jego siepacze? „Bzdury!” - złażała się w duchu. Zapewne Perrotowi odjęło mowę, dlatego że przeżył coś, czego nigdy się nie spodziewał.

Po kilku minutach obustronnego oczekiwania, w trakcie którego żadne nie znalazło odpowiednich słów, wielki mistrz podjął opowieść o oddanym pod jego opiekę filozoficzno-filantropijno-progresywnym związku o liberalnych poglądach

politycznych, którego nazwa brzmiała Grand Orient de France. Ku zaskoczeniu Sary okazało się, że w oczach Wielkiej Łoży Londynu był on równie nieortodoksyjny jak warsztaty kobiece.

W końcu ktoś zapukał do drzwi. Perrot w odpowiedzi zastukał w swój dziwny sposób o szklany blat prawie okrągłego stolika.

Sara chwyciła się kurczowo płatków muchołówki.

W tym momencie do pokoju wszedł znajomy ponurak, dzierżąc w dłoni zapieczętowaną aktówkę. Przekazał ją wielkiemu mistrzowi, i zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Sara odetchnęła.

- Proszę wybaczyć mi okoliczności - powiedział Perrot. - Takie rzeczy, co prawda, zdarzają się, ale bynajmniej nie codziennie. Zazwyczaj loże nie świadczą braciom tego rodzaju usług, a jedynie kontaktują ze sobą zainteresowanych, którzy potem sami załatwiają swoje sprawy. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o szczególnych warunkach, którymi depozytariusz opatrzył wydanie tych dokumentów, pomyślałem, że na zawsze pozostaną one pod naszą opieką. Jednakże, jak zwykle, stuletni sen królowny dobiegł właśnie końca.

Wyraźnie poruszony przekazał Sarze akta.

Ta najpierw obejrzała ze wszystkich stron teczkę. Co jest w środku? Może imiona i nazwiska dzieci Liszta i jego młodzieńczej miłości, Caroline? Wyraźnie stara, zapieczętowana ze wszystkich stron aktówka wykonana była z czarnego kartonu. Zamykała ją czerwona nić. W miejscu, w którym oba jej końce zbiegały się i zostały związane, widniała czerwona pieczęć. Sarę przeszedł dreszcz podniecenia, kiedy na zastygłym wosku dostrzegła dobrze sobie znany monogram „FL”.

Perrot wydobyl z biurka nożyce, które następnie podał gościowi. Stał za Sarą i z ciekawością zaglądał jej przez ramię. Puściła płazem jego niedyskrecję, zebrała się w sobie jak sztangista przed decydującym o wszystkim występie, zdecydowanym ruchem rozcięła nici i otworzyła kopertę.

Początkowo jej zawartość wywołała w niej jedynie zdziwienie, potem też dziwne poczucie, że gdzieś już to widziała.

- Utwór Hectora Berlioza? - rozbrzmiał za nią zadziwiony głos Perrota.

Powoli, z oczyma utkwionymi w rozrzucone beładnie nuty, pokręciła głową.

- Tego z całą pewnością nie napisał Berlioz.

- Ale... tak tu jest napisane. - Perrot zamachał dłonią obok ucha Sary. - *Le*

Chant Sacre Hectora Berlioza.

Co do tego miał rację. Na pierwszy rzut oka ten pożółkły egzemplarz *Pieśni Świętej* naprawdę wyszedł z pod pióra Berlioza. Zadedykowany niejkiej Sophie Sax manuskrypt pochodził z roku 1844, tak przynajmniej wynikało z datowania. Jednakże tego rodzaju leksykalne błędne ogniki nie zwiodły Sary.

- Czy Berlioz był wolnomularzem?

- Nie.

- Tak też myślałam.

- Obawiam się, że nie nadażam.

Liszt oddał swoje dziecko pod opiekę wolnomularza - taką przynajmniej teorię stworzyła Sara razem z Krystianem i Marią. O tym nie wspomniała jednak Perrotowi nawet słowem, przeciągnęła natomiast lekko palcami po nutach i wyjaśniła:

- Znam to pismo. W weimarskim Archiwum Goethego i Schillera czytałam mnóstwo napisanych nim dokumentów. Liszta zawsze ogromnie bawiło przerabianie kompozycji kolegów po fachu, od Alabieffa do Zichy'ego. Beethoven, Wagner, Mozart czy Verdi - żadne nazwisko nie było dla niego zbyt święte.

- Liszt? Mówi pani, że to wyszło spod jego pióra?

- Tego jestem pewna. Zastanawiające. - Sara wyjęła z aktówki pierwszą kartę, żeby bliżej przyjrzeć się partyturze.

- Tak, ze wszech miar - potwierdził Perrot, błędnie interpretując jej myśli.

Wskazała na wskazówki instrumentacji pierwszej pięciolinii.

- Nie, chodzi mi o to tutaj. To utwór na saksofon. Liszt pisał na fortepian, chór, organy, fisharmonię, orkiestrę kameralną i całkiem duże zespoły muzyczne, ale nigdy nie napisał nic wyłącznie na saksofon.

- Adolphe Sax był jednak bliskim przyjacielem Berlioza, a w końcu to jego nazwisko widnieje tu na górze.

Sara obróciła głowę.

- Adolphe?

Perrot skinął głową.

- Wynalazca saksofonu. Belg. Utalentowany twórca instrumentów dętych, a w późniejszym okresie dyrektor orkiestry scenicznej Opery Paryskiej. Tak naprawdę nazywał się Antoine Joseph Sax, ale cały Paryż mówił na niego

Adolphe. Należał do loży Les Vrais Amis de l'Union.

Wzrok Sary zwrócił się, jak ściągnięty magnesem, ku dedykacji na samej górze arkusza.

„Dédiées à Madame Sophie Sax”

- A więc Sax był wolnomularzem... - wyszeptała do siebie.

- Ależ oczywiście. Jesteśmy szczególnie dumni z obecności tego brata wśród sław ducha.

Sara zupełnie przestała już słuchać wielkiego mistrza. W jej umyśle tworzyły się skojarzenia: Drugie imię Saksa brzmiało Joseph, zaś pierwsze jej matki - Joséphine. Dziadek Sary używał imienia Adolphe, a jej pradziad - Antoine. W tym wszystkim odbijała się jedna osoba: Antoine Joseph Sax, zwany Adolphe.

- Czy madame Sophie Sax była jego żoną, czy może... córką? - Sara wstrzymała oddech. „Tak tylko poprowadzi cię instrument mistrza od AS tam przez N+BALZAC, gdzie wszystko się ziszcza”. W tej chwili wiadomość z weimarskiej premiery objawiła się jej zupełnie nowe znaczenie. Czyżby litery „AS” miały oznaczać inicjał Adolpha Saksa? Czyżby początkiem tropu róży wiatrów miało tak naprawdę być oddane pod jego opiekę dziecko?

Perrot podrapał się w brodę.

- Musiałbym to sprawdzić.

Sara westchnęła zawiedziona.

- To znaczy, że może pan znaleźć tę informację?

- Nic nie obiecuję. Do rejestru członków często wpisywano też informacje o rodzinach braci. Poza tym w warsztacie przechowuje się też protokoły, listy, umowy, księgi kasowe i wiele innych dokumentów. Smutny fakt, że warsztat brata Adolphe'a dziś już nie istnieje, może okazać się dla pani korzystny. Zazwyczaj przy rozwiązywaniu warsztatu tego rodzaju pisemne dokumenty przekazywane są do wielkiej loży. Musimy więc tylko zajrzeć do archiwum.

- Naprawdę pozwoli mi pan szperać w zapiskach loży?

Perrot roześmiał się półgębkiem.

- Kitharo, ma pani zupełnie fałszywy obraz wolnomularzy. Zawsze przedstawiano nas jako tajne stowarzyszenie, ale większa część tego, czym się zajmujemy, nie ma nic wspólnego z ezoteryką. Jedynie praca - pani zapewne określiłaby ją jako pewne rytuały wykonywane podczas naszych zamkniętych zebrań - jest ukryte przed osobami postronnymi. To dotyczy oczywiście protokołów z tych spotkań. Wszystko jednak, co dzieje się poza arkanami,

dostępne jest dla badaczy i do wglądu dla publiczności. Z naszej biblioteki wypożycza się ponad trzy tysiące ksiąg rocznie. Proszę za mną, przedstawię panią naszemu archiwście, bratu Philippe'owi Ariotowi.

Siedziba Wielkiej Loży Grand Orient de France została podzielona zgodnie ze starą zasadą znaną z archeologii i geologii – im starsze dokumenty, tym głębiej się znajdują. Na samym dole, w piwnicy, mieściło się archiwum. Strzegł go wysoki i szczupły mężczyzna w podeszłym wieku, w okularach z grubego szkła i szarej kurtce z dzianiny. W opinii Sary przedstawiał on sobą obraz wyrosłego w ciemnościach grzyba. Stał z głową pochyloną lekko do przodu, był łysy, blady i roztaczał wokół aromatyczną woń fajkowego tytoniu, czosnku oraz innych ingrediencji, trudniejszych nieco w identyfikacji. Wizyta damy w tym podziemnym sanktuarium mężczyzn niezmiernie go ucieszyła.

- Może pan pokazać madame Vitez wszystko to, co pokazałby pan szacownemu profesorowi literatury z Academie Française – poinstruował Perrot swego współbrata.

Ten uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jest o wiele za ładna na mola książkowego. Że też takiemu staremu kretowi jak ja dane było jeszcze ujrzeć coś takiego! – Ariot pokręcił głową z błogim uśmiechem na twarzy.

Perrot odchrząknął i szepnął w stronę Sary:

- Brat Philippe już dość długo pracuje pod ziemią.

Nie potrafiła powstrzymać rozbawienia.

- Proszę mi wybaczyć szczerłość, ale i tak bardziej przypadł mi do gustu od skostniałego brata Yannicka.

Ariot klasnął w dłonie.

- Ha! Słyszałem. I podoba mi się to. W pełni się z panią zgadzam, nadobna niewiasto.

Perrot jęknął cicho.

Sara położyła mu dłoń na przedramieniu.

- Monsieur Ariot i ja dogadamy się bez problemu. Na razie dziękuję, Henri.

Archiwista ostentacyjnie uniósł brwi, jak gdyby zastanawiał się, skąd ta kobieta ma czelność zwracać się do wielkiego mistrza po imieniu. Nagle na biurku zadzwonił telefon.

Wyraźnie rozgniewany, że mu się przeszkadza, Ariot podniósł słuchawkę

i burknął: „Halo?”. Przez chwilę słuchał, potem przykrył dłonią mikrofon i szepnął:

- To brat Yannick. Wydaje się poruszony.

Słuchawkę przejął więc wielki mistrz. W trakcie rozmowy twarz zszarzała mu i stężała, jakby kamieniał. W końcu odłożył słuchawkę.

- Wszystko w porządku? - spytała Sara.

- Nie wiem. Niezwykły zbieg okoliczności - wymamrotał Perrot. - Do mojego asystenta przed chwilą zadzwonił brat, który wcześniej często odwiedzał naszą lożę. Interesował się tym samym co pani.

Sarze momentalnie zaschło w ustach.

- Ma pan na myśli. Franciszka Liszta?

Perrot skinął głową.

- Tak. Brat Siergiej poświęcił mu znaczną część swojej pracy w loży. W przeszłości podczas naszych zebrań wygłaszał liczne wykłady na temat Liszta.

- Nie mówi pan chyba o Siergieju Niekrasowie, szefie Musilizera i członku licznych tajnych stowarzyszeń? - przerwała przerażona Sara.

- Od dziesięcioleci należy do jednej z miejscowych łóż. O innych socjetach ani bractwach nic mi jednak nie wiadomo - odparł wyraźnie zirytowany Perrot.

- Mnie za to tak. Najwyraźniej nie przepuści żadnej okazji, by rozszerzać swoje wpływy we wszystkich możliwych kierunkach. Czego chciał?

Henri Perrot zawahał się, potem jednak odparł:

- Brat Siergiej pytał, czy nie znaleźliśmy w archiwum czegoś nowego o Liszcie.

- Żartuje pan!

- Wcześniej dzwonił co tydzień.

- Co tydzień? - wtrącił Ariot i przewrócił oczyma. - Prawie codziennie! Wciąż go dobrze pamiętam. Stary natręt z niego.

- Niepokoi mnie jednak - dodał Perrot po namyśle - to, co właśnie oznajmił mojemu sekretarzowi. Przypadkowo obito mu się o uszy, że brat Yannick odebrał dziś od notariusza depozyt zawierający dokumenty warsztatu Adolphe'a Saksa, którego, jak mówił, protektorem był Hector Berlioz, pozostający z kolei w bliskiej przyjaźni z Franciszkiem Lisztem. Powiedział, że jego dusza starego naukowca nie daje mu spokoju, postanowił więc wysłać do loży swoich dwóch przyjaciół, którzy mają przejrzeć dla niego znalezisko.

Sara poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Przypadkowo?

Twarz wielkiego mistrza wyrażała, jak bardzo i jego zaniepokoił ten rozwój wydarzeń.

- Rozumiem pani wątpliwości. Wszystko to brzmi tak, jakby Siergiej Niekrasow miał w biurze notariusza szpiega.

- Powiedziałabym raczej, że to akurat jest zupełnie jasne. Rozumie pan, że mamy tutaj do czynienia z sytuacją, przed którą ostrzegał Franciszek Liszt. Musimy koniecznie spławić kompanów Niekrasowa.

- Obawiam się, że na to nie mogę sobie pozwolić, Kitharo. Brat Siergiej jest niezwykle wpływowy, żeby nie powiedzieć - potężny. Poza tym regularnie wpłaca duże sumy na nasze projekty społeczne. Kogoś takiego niełatwo odesłać z kwitkiem. Wzbudziłoby to zresztą jego podejrzliwość. Ma pani dokumenty. Proszę odejść i wrócić kiedy indziej.

- A jeśli dwaj przyjaciele Niekrasowa zwiną z archiwum akurat te akta, których szukam?

- Nie jesteśmy biblioteką publiczną. Nawet brat Siergiej nie może tak po prostu zabrać czegoś z naszego archiwum. To surowo zabronione.

Sara uśmiechnęła się gorzko.

- Zabijanie ludzi obwarowane jest jeszcze surowszym zakazem. A jednak wasz ceniony brat dopuścił się właśnie czegoś takiego. Ze mną, póki co, mu się nie udało. Kiedy przybędą jego ludzie?

Pewność siebie wielkiego mistrza ustąpiła miejsca nerwowemu rozkojarzeniu.

- Nie wiem. Może za pół godziny. A może prędzej. - Zadrżał, kiedy Sara położyła dłoń na jego ramieniu.

Powiedziała z całą mocą, na jaką było ją stać:

- Henri, musi pan mi pomóc. Niekrasow może i jest wolnomularzem, ale pasożytuje jedynie na tym światowym bractwie. Krystian Jurek może dostarczyć panu dowodów na to, że Niekrasow jest wielokrotnym mordercą. Nie zawahałby się też przed wyrządzeniem krzywdy panu.

Perrot przełknął ślinę.

- I co, według pani, powinienem teraz zrobić?

- Proszę zatrzymać ludzi Niekrasowa tak długo, jak to tylko możliwe. I pod

żadnym pozorem proszę nie mówić im o mnie ani o nutach, które mi pan przekazał. Czy w razie czego mogę się tu gdzieś ukryć?

- Tym ja się zajmę - odpowiedział Ariot zamiast wyraźnie skonsternowanego wielkiego mistrza.

Perrot odzyskał rezon i skinął głową.

- Życzę pani dużo szczęścia, Kitharo - potem odwrócił się i opuścił podziemia.

Ariot pospiesznie uporządkował zarzucony książkami i stosami papierzysk szary stół i zapytał:

- Czym mogę służyć, madame?

Sara pokrótce powtórzyła mu, czego szuka. Archiwista tymczasem wyciągnął skądś skrzypiące krzesło na kółkach i kazał jej na nim usiąść. Zakończyła wyjaśnienia słowami:

- W tym kontekście interesuje mnie też Adolphe Sax.

- Dokumentów z jego warsztatu będzie dość dużo. Jaki okres ma pani na myśli?

Sarze przyszedł do głowy romans nauczyciela fortepianu z młodą hrabiną Caroline de Saint-Cricq i odpowiedziała:

- Lata 1828 i 1829.

- Szczerze wątpię.

Ściągnęła brwi.

- Dlaczego?

- Ponieważ nasz wielki muzyk miał wtedy zaledwie czternaście, piętnaście lat i mieszkał jeszcze z rodzicami w belgijskim mieście Dinant. Do Paryża przeprowadził się dopiero w roku 1842, wtedy też został wpisany do rejestru członków tutejszej loży

- Zdziwiał mnie pan, monsieur Ariot.

Puścił do niej oko.

- Czemu? Jeśli ktoś tak długo jak ja pracuje pod ziemią, zaczyna bardzo cenić sobie światło. Brat Adolphe to w tej kopalni błyszczący jasno klejnot. Dlatego też jestem niezgorzej obeznany z nim i dokumentami jego loży.

Sara ściągnęła usta. Wiedziała od Krystiana, że Franciszek Liszt został przyjęty do bractwa Jasnych Słyszających Barwy w 1841, a w rok później przystąpił do frankfurckiej loży masońskiej Zur Einigkeit. A to oznaczało, że - jeżeli Sophie rzeczywiście była jego córką i Adolphe Sax naprawdę ją adoptował

- wychowywać musiał ją kto inny. A ten ktoś prawdopodobnie nie był wolnomularzem.

Świadomość, że dwóch kilerów zbliża się właśnie do siedziby loży, nie ułatwiała jej bynajmniej myślenia. Najchętniej poderwałaby się z miejsca i rzuciła do ucieczki. Żeby się uspokoić, położyła dłoń na czarnej w teczce, w której znajdował się rękopis *Le Chant Sacre*, i próbowała przenieść się do świata uczuć Liszta. Dla niego, ojca, niewiele było rzeczy bardziej świętych od radosnych i niewinnych głosów własnych dzieci, w których pragnął istnieć po własnej śmierci. W jakim przedziale czasowym powinna szukać? Pozostały jej zaledwie minuty.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- 1844.

Ariot spojrział na nią, zmarszczywszy czoło, potem uśmiechnął się i uklonił.

- Sługa pokorny.

Następnie zniknął między regałami.

Chwilę później powrócił z dwoma kartonami, postawił je z hałasem na stole przed Sarą i powiedział:

- Smacznego.

- Mógłby mi pan pomóc, Philippe? - poprosiła Sara, posyłając mu spojrzenie, które bez wątpienia utwierdziłoby przeciwników przyjmowania kobiet do loży w ich poglądach. Stary kret uśmiechnął się jedynie, a kiedy wyjaśniła mu, czego szuka, oboje zabrali się za przeglądanie materiałów.

Już po kilku minutach nadzieja Sary przerodziła się w zwątpienie, kiedy w dokumentach nie znalazła choćby jednej użytecznej wzmianki o Adolphe Saksie. Czas upływał nieubłaganie. Ariot zaproponował, żeby sprawdzili dokumenty z innego okresu, ale przed tym wzbraniała się jednak intuicja Sary

Nagle przypomniała sobie o dziwactwie, któremu Liszt hołdował w osobistej korespondencji: skracał imiona, używając jedynie ich początkowych liter.

Ponownie oboje przeszukali zawartość kartonów, szeleszcząc pożółkłymi kartkami, przeglądali je w szaleńczym tempie - i nagle znaleźli ukrytych bohaterów tego dramatu.

W rzeczy samej, wszystkie najważniejsze osoby w pismach występowały wyłącznie pod postacią inicjałów: „F. L.” oznaczało na przykład Franciszka Liszta, „A. S.” Adolphe’a Saksa, zaś „S. S.” stosowane było zamiennie dla Sophie

Saint-Cricq i Sophie Sax. Jedynie w kilku przypadkach występowały pełne imiona i nazwiska, ich roli nie dawało się jednak przy pobieżnej lekturze odkryć bez znajomości całego kontekstu.

Po dobrych dwudziestu minutach Sara i archiwista mieli przed sobą rząd fotokopii. Rozłożyli je przed sobą na stole niczym wydobyte z ruin odłamki, które mieli zamiar złożyć w kosztowne naczynie. Sara marzyła o tym przez całe życie. W końcu wiedziała, kim naprawdę jest: prapraprawnuczką Sophie Sax, nieślubnego dziecka Franciszka Liszta i Caroline de Saint-Cricq.

Najwyraźniej loża służyła za łącznik dla obu wpływowych masonów, Liszta i Saksa: przyjęła pod swoją opiekę czternastoletnią dziewczynę imieniem Sophie Saint-Cricq i zaledwie kilka godzin później przekazała ją w ręce ojczyma, już jako Sophie Sax. Aby dziecko mogło zniknąć z pola widzenia Ciemnych Słyszających, wiele mechanizmów musiało zadziałać jednocześnie. Sara i Ariot w ten sposób zrekonstruowali przebieg wydarzeń:

Do pomyślnego przebiegu planu wydatnie przyczynił się pewien wysoki rangą urzędnik – również będący członkiem wolnomularstwa. W księgach wpisał Sophie jako oddaną do adopcji bednarzowi Emilowi Mallard i jego małżonce Konstancji. Rodzina ta wkrótce potem wsiadła na pokład statku, który płynął do Quebecu we francuskiej Kanadzie. Chciała tam rozpocząć nowe życie, ale z ich planów nic nie wyszło, bo parowiec zatonął na Atlantyku. Sophie również zginęła w katastrofie.

W rzeczywistości jednak córka Liszta nigdy nie została oddana Mallardom, antydatowano jedynie sfałszowane dokumenty adopcyjne: Emil i Konstancja pozostali bezdzietni.

W liście do ówczesnego przewodniczącego loży Liszt wyraził swoje uczucia wobec Antoine'a Josepha Saksa:

„wielu miłych braci było moimi prawdziwymi przyjaciółmi. Długu, który zaciągnąłem zwłaszcza u A. S., mojego drogiego towarzysza, nie spłacę nigdy. Jemu i Wam dziękuję, że to dziecko, którego dobro leży mi na sercu bardziej niż cokolwiek innego, zostanie otoczone opieką, której ja sam nie byłbym w stanie mu udzielić.

F. L.”

Zadziwiająca, pomyślała Sara. Cały świat wiedział o przyjaźni między Hectorem Berliozem a Lisztem. Więzy, które łączyły Saksa z francuskim kompozytorem i krytykiem muzycznym, także nie były tajemnicą. Nikomu nie

przyszło jednak do głowy, żeby domknąć trójkąt: Liszt musiał poznać przyszłego ojca swojego dziecka przez Berlioza.

Nie, to nie do końca się zgadzało. Teraz także Ciemni zwrócili uwagę na trójkę Liszt-Sax-Berlioz. Może Siergiej Niekrasow od dawna chciał spenetrować gąszcz powiązań między tymi trzema muzykami i dlatego właśnie umieścił szpiegów u zasiedziały w mieście notariuszy. Aż do teraz nie wpadł jednak na trop tajemnicy córki Liszta. W żadnym dokumencie nie napisano jasno, gdzie Sophie spędziła wczesne dzieciństwo.

Myśli Sary urwały się raptownie, kiedy usłyszała stłumione głosy. Brzmiało to tak, jakby u szczytu piwnicznych schodów toczyła się gwałtowna kłótnia. Spojrzała pytająco w twarz Ariota. W następnej chwili zadzwonił telefon.

Archiwista podniósł słuchawkę, posłuchał, odburknął coś, odłożył i powiedział z poważną miną:

- Przybyli.

- Siepacze Niekrasowa?

Skinął głową.

- O mój Boże! - szepnęła. Zupełnie straciła rachubę czasu. W wyobraźni ujrzała obrazy z Val d'Enfer: jaskinia, wybuchy, krzyki, pierwsza strażniczka Harfy Wiatrów walcząca o życie.

- Madame! - Ariot potrząsnął jej ramieniem.

Spojrzała w osłupieniu na archiwistę.

- Za mną, szybko! - zakomenderował.

Pospiesznie zebrała ułożone na stole fotokopie na jeden stosik, wepchnęła je do torby na laptopa i podążyła za Ariotem w półmrok.

W ostatniej chwili, bo kiedy jeszcze prowadził ją przez „kopalnię”, drzwi do archiwum stanęły otworem.

- Złożę na was skargę bratu Siergiejowi. To nie jest zapowiedziana normalnie wizyta, to napaść! - w pomieszczeniu rozległ się głos Henriego Perrota. W uszach Sary brzmiał on jak ostrzeżenie skierowane do niej.

Ktoś się roześmiał.

- Skoro tak pan na to patrzy. My chcemy jedynie rzucić okiem na dokumenty, które pański sekretarz wcześniej przyniósł od notariusza.

- Jesteście panowie wolnomularzami?

- No, jasne - w archiwum znów rozbrzmiał śmiech.

- A znak rozpoznawczy? Dlaczego mi go nie okazujecie?

Przez chwilę panowała cisza. Ariot przyciągnął Sarę do siebie i wyszeptał jej do ucha:

- Proszę iść tą alejką. Na końcu znajdzie pani drzwi. Za czerwoną książką leży klucz. Schodami wyjdzie pani na zewnątrz. A teraz prędko, biegiem!

- Dziękuję - odparła Sara, uścisnęła dłoń starca i ruszyła we wskazanym kierunku.

- Domyśliłem się, że nie jesteście braćmi. Być może mówi wam coś słowo *arkanum*. Żaden element życia naszej loży, który objęty jest tym terminem, nie jest przeznaczony dla oczu profanów. Ponieważ my sami nie wiemy jeszcze, czy w rzeczonych dokumentach zawarte są tego rodzaju tajemnice, nie mogę wam ich, niestety, pokazać.

- To przecież tylko wymówki. Gdzie jest właściwie pański archiwista? Monsieur Niekrasow powiedział nam.

Kiedy Sara dotarła w końcu do drzwi, które opisał jej Ariot, nie była już w stanie rozumieć dochodzących z przodu piwnicy głosów.

Nerwowo rozglądała się w poszukiwaniu czerwonej książki. W półmroku wszystkie grzbiety wydawały się szare. Zdjęła kilka foliałów z regału, za żadnym z nich nie znalazła jednak klucza. Nagle jedna z książek wysunęła się z jej dłoni i upadła z hukiem na podłogę. Sara zamarła.

- Kto to? - zapytał głośno ogar Niekrasowa.

- No, jak to kto? Oczywiście, że ja. Tutejszy archiwista.

Głos Ariota rozbrzmiał gdzieś między regałami. Stary kret wybrał odpowiedni moment, żeby wejść na scenę.

- Proszę zaczekać, idę do pana - krzyknął Słyszący Barwy

- Szkoda zachodu - odpowiedział Ariot.

- Zostanie pan tam, gdzie pan jest! - tym razem nieznajomy rozkazał.

Sara wpadła w panikę. W rozpaczy szarpnęła za klamkę, próbując bez klucza otworzyć tylne wyjście i - patrzcie państwo! - okazało się, że nie były zamknięte. Otworzyły się z metalicznym skrzypieniem, które odmalowało przed oczyma jej duszy pomarańczowo-żółtą, postrzępioną linię.

Z archiwum dobiegł gwar ożywionych głosów. Sara precyzyjnie przesuwała się przez drzwi, przełączyła antyczny kontakt i wbiegła po brudnych, stromych kamiennych schodach. Słyszała zbliżające się szybko kroki. Wspinaczka

zakończyła się przed zamkniętymi drzwiami.

Zaczęła rozglądać się rozpaczliwie w półmroku.

- Proszę zaczekać! - krzyknął Słyszący za nią. Wchodził po schodach ostrożnie, jakby bał się, że ktoś do niego strzeli.

Sarze ze strachu zmiękły kolana, szukała jednak nadal. I nagle w ciemności nad drzwiami odnalazła hak, na którym wisiał duży klucz.

===fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA===

Był urodzonym rewolucjonistą i gdyby to się dało pogodzić z szacunkiem należnym jego wspaniałej osobowości — można by także powiedzieć, że był urodzonym libertynem i cyganem. Jego niezwykła kariera oraz rozwój duchowy sprawiły, że był to najbardziej niezależny i najswobodniejszy spośród muzyków romantycznych.

Albert Einstein

Rozdział 33.

Paryż, 29 marca 2005, 15:48

Sara wciąż jeszcze drżała. Rozum powtarzał jej: „Na razie nic ci nie grozi”, emocje jednak ciągle szalały. Ledwie udało jej się umknąć z siedziby łoży i zamknąć za sobą drzwi tuż przed nosem prześladowcy. Miała nadzieję, że Perrot i inni wolnomularze byli bezpieczni. Miała też nadzieję, że zachowali milczenie. Gdyby Niekrasow dowiedział się kiedykolwiek, że Sara d’Albis wciąż żyje, natychmiast rozpocząłby polowanie.

Uciekając zaszyła się na kilka godzin w kawiarni, żeby nabrać dość odwagi, która pozwoliłaby jej ponownie wyjść na ulicę. Pod gołym niebem strach przed siepaczami Niekrasowa nagle powrócił. Dlatego też wyszukała sobie przy Rue Geoffroy Marie, zaledwie kilka minut marszu od siedziby Grand Orient de France, skromny hotelik i w jeszcze skromniejszym pokoiku – w braku odpowiedniej alternatywy – legła na łóżku z otwartym laptopem i ocalonymi z masońskiego archiwum dokumentami.

Fotokopie zupełnie pochłonęły jej uwagę, tak że trwożne drżenie ustępowało stopniowo miejsca radosnemu podnieceniu. Czowała, że znajduje się o krok od prawdy o Sophie Sax.

Gdzie córka Liszta spędziła wczesne dzieciństwo? Właściwe przekazanie dziewczynki nowemu opiekunowi nastąpiło pod osłoną nocy i w zupełnej tajemnicy. Sax pisał do mistrza łoży, prosząc, aby ten „kazał odebrać pamiątnik małej S. z Rue de Saint-Guillaume 29”. Nazwa ulicy zaintrygowała Sarę. Zaczęła przeszukiwać swoją przenośną bibliotekę i *voilà*: pod tym paryskim adresem mieszkał nie kto inny jak Anna Liszt, matka kompozytora.

Sarze nagle jakby łuski spadły z oczu. Sześć lat młodsza przyrodnia siostra Sophie, Blandine oraz Cosima Francesca i Daniel Heinrich – dzieci Marie d’Agoult, pierwszej towarzyszki życia Liszta – też przez pewien czas mieszkały u babci. Sarą owładnęło dziwne uczucie nieważkości. Czowała się tak, jakby całe swoje życie przeżyła jako gąsienica, żeby potem przez dziesięć lat się przepoczwarzać i teraz w końcu opuścić kokon jako przepiękny motyl. Jednakże na krawędzi mentalnego pola widzenia dostrzegła cień, ciemną niepewność dotyczącą tego, co czeka ją teraz.

Do niedawna myślałaby wyłącznie o własnej karierze, jednakże bańka mydlana jej poprzedniego życia prysła w jaskini w Val d’Enfer. Natomiast incydent z siedzibie wielkiej łoży ukazywał aż nazbyt jasno, że dla Sary d’Albis czas beztroski dobiegł końca. Gdyby odważyła się po prostu powstać z martwych, Ciemni zrobiliby wszystko, by jej krwią zmyć hańbę swoich dotychczasowych porażek.

Sięgnęła po czarną aktówkę, którą otrzymała od Henriego Perrota. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że *Le Chant Sacre* zawiera następną wskazówkę od Liszta. Chcąc rozwikłać kolejną zagadkę na szlaku róży wiatrów, musiała dać nuty dobremu saksofoniście – akurat przyszła jej na myśl odpowiednia osoba.

Zamknęła teczkę i zaczęła czytać partyturę. Utwór wydał jej się dziwnie znajomy. Mogłaby jednak przysiąc, że nigdy nie widziała tego utworu Hectora Berlioza na saksofon. Skąd więc to uczucie?

Kiedy jeszcze intensywniej zgłębiała nuty, muzyka ożyła w jej głowie. Mentalne solo brzmiało dla niej, zgodnie z tym, do czego była przyzwyczajona, raczej jak fortepian niż saksofon. Jednocześnie przed jej wewnętrznymi oczyma pojawiły się znajome barwy i kształty. A to z kolei pozwoliło jej dokonać zaskakującego odkrycia.

Pojedyncze pasáže tego utworu były prawie identyczne jak *Grande fantaisie symphonique sur „Devoirs de la vie” de Louis Henri Christian Hoelty* Liszta, która miała swoją prapremierę 13 stycznia w Weimarze. Tutaj znajdowały się jedynie fragmenty, wyraźnie wcześniejsze od tamtej dużo bardziej rozbudowanej kompozycji, którą znaleziono w bibliotece księżnej Anny Amalii. Podświadomie Sara wyczuwała jednak, że przegapiła coś ważnego.

Przekazując swoje dźwiękowe wiadomości, Liszt wykazywał upodobanie do

ekstrawaganckiego instrumentarium. Drogę do *Rewolucji*, popiersia jego córki w ogrodzie domu Hasego, wskazał *flûte d'amour*, „flet miłości”. Ależ oczywiście! Porwana impulsem Sara odwróciła ostatni arkusz z nutami. Serce wygrywało jej tremolo. Była tam! Wskazówka napisana własną ręką Liszta.

„Aby dać w pełni rozkwitnąć temu utworowi, należy grać go na saksofonie rewolucyjnym (altowym) w kościele Róży Wiatrów”.

Rewolucja! To słowo jak refren ciągle powracało podczas poszukiwań Szkarłatnej Partytury, zupełnie jakby Liszt, tworząc trop róży wiatrów, pragnął wyrazić swój wewnętrzny sprzeciw wobec sklerotycznego *ancien régime*“u, zaprzeczeniu wolności, równości i braterstwa. Sara była przekonana, że wzmianka o „saksofonie rewolucyjnym” wskazywała na rok 1848.

Wszystko pasowało. Dzięki wpływowym poplecznikom, takim jak Hector Berlioz lub Adolphe Sax, Liszt mógł przybyć do Paryża. W 1844, w tym samym roku, kiedy powstała oryginalna *Le Chant Sacré* Berlioza, po raz pierwszy zaprezentowano też publicznie „głos Saksa” - saksofon. Dwa lata później Adolphe wystąpił o patent na „saksofon basowy w stroju C”.

W tym punkcie wyczerpały się zasoby przenośnej biblioteki Sary Musiała opuścić swoje schronienie, chociażby jako wirtualna postać w cyberprzestrzeni. Dostęp do Internetu zawdzięczała bezprzewodowej sieci u sąsiadów. Tej porady również udzielił jej Krystian.: „Większość ludzi jest albo za głupia, albo za leniwa, żeby zabezpieczyć sygnał przed pasożytami; w miastach na prawie każdej ulicy znajdziesz sieć WLAN, przez którą możesz wejść do Internetu”. Miał rację. Paryż był rajem dla nielegalnych surferów.

Sara szukała instrumentów zbudowanych w roku tak zwanej „rewolucji lutowej”, która wybuchła 24 lutego 1848. Ku własnemu za - skoczeniu w ciągu paru sekund trafiła na dobry trop, czy też mówiąc dokładniej - jedyny w interesującym ją okresie, który znalazła.

Na stronie internetowej o aerofonach opisywano instrument, który Sax zbudował w 1848. Był to saksofon altowy w stroju Es, a zatem dokładnie pasujący do utworu. Z radosnego podniecenia serce Sary zabiło szybciej. Istniało nawet zdjęcie dzieła, w odcieniu sepia. Z zapartym tchem przeczytała opis.

Na stronie znajdowała się informacja, że instrument ten należał swego czasu do potomków słynnego bankiera Mayera Amschela Rothschilda i zaginął podczas drugiej wojny światowej. W okupowanej przez Niemcy Francji pewien Niemiec

nazwiskiem Boetticher, uznany specjalista w zakresie muzyki Schuberta, brał z ramienia Sonderstab Musik znaczący udział w rabowaniu kolekcji instrumentów, należących do Żydów. Wszedł przy tym także w posiadanie wspomnianego saksofonu. Tu wątek się urywał.

Sara mniej więcej przez godzinę przeszukiwała wszystkie internetowe bazy danych, mając nadzieję, że znajdzie coś więcej na temat „rewolucyjnego saksofonu”. Daremnie jednak. Pozostało jej już tylko jedno wyjście, ostatnia deska ratunku. Podłączyła słuchawki i mikrofon, po czym uruchomiła program telefoniczny, który Krystian zainstalował w jej laptopie.

To, co miało się teraz wydarzyć, według słów pierwszego strażnika Harfy Wiatrów, spędzało sen z powiek wszystkim stróżom prawa. Dla Sary było to jedynie częściowo zrozumiałe. Jej laptop łączył się z serwerem, który modyfikował połączenie przychodzące, przekazując je dalej z nowym, anonimowym adresem IP do innego komputera, który następnie powtarzał cały proces. W pewnym momencie któryś z nich łączył się z komputerem Krystiana, a utworzone w ten sposób połączenie pozwalało na rozmowę głosową zaszyfowaną tak mocno, że nawet superkomputery, których używała obecnie National Security Agency, potrzebowałyby kilku milionów lat na deszyfrację.

Sara zastała Krystiana u Marii, gdzie ciągle się ukrywał. Jego zatroskany głos zabrzmiał w słuchawkach tak wyraźnie, jakby stał tuż obok niej. Posługiwali się przy tym – to także była jedna z jego zasad pozostawania nieuchwytnym – jednokrotnych pseudonimów, które Sara po wykorzystaniu natychmiast wykreślała z otrzymanej od niego listy

- Witaj, Kataryniarzu, tu twoja muza. Jak się masz?

- Tęsknię za tobą.

- I ja za tobą też! Jak tam twoja siostra i Kapitan Nemo?

- Dobrze. Ten mały nicpoń gania właśnie w ogrodzie myszy. Proszę, nie zrozum mnie źle, Muzo, ale co się stało, że tak szybko się odzywasz?

Wyjaśniła mu, kończąc pytaniem:

- Czy możesz pomóc mi z tym saksofonem? Powiedziałeś przecież, że. Zgromadzenie Kataryniarzy obserwowało pewne miejsca i przedmioty, jak na przykład organy z aniołem w prospekcie, który bardzo przypominał naczelnego kataryniarza.

Przez chwilę na linii panowała cisza. Potem w słuchawce rozbrzmiał śmiech

Krystiana.

- Powiedziałam coś nie tak? - zapytała Sara naburmuszona.

- Nie, nie, wszystko dobrze. Odrobinę przesadzasz, ale zrozumiałem.

Zadzwoń do mnie znowu za godzinę. Przez ten czas Kataryniarz będzie pracowicie kręcił korbką.

Sześćdziesiąt minut później Sara ponownie nawiązała połączenie.

- Tutaj znowu Polihymnia. Dowiedziałeś się czegoś, Apollinie?

Skreśliła z listy dwa kolejne pseudonimy.

- Tak - odpowiedział Krystian. - Nasz ojciec Zeus rzeczywiście zalecił nam swego czasu pieczęć nad instrumentem, o którym wspominasz. Jednak straciliśmy go z oczu, kiedy naziści odebrali go właścicielowi.

- Och nie! A zatem zaginął na zawsze?

- Pozwól mi dokończyć. Polihymnio. Odnaleźliśmy go. Masz coś do pisania?

- Tak, Apollinie.

- Musisz nauczyć się tego na pamięć, kartkę spalić, a popiół.

- Taaak! - jęknęła Sara. Była bystrą uczennicą.

- A więc - powiedział Krystian - aktualnym jego właścicielem jest człowiek nazwiskiem François Galpin...

Krótko po osiemnastej Sara za pomocą programu komputerowego zmieniła IMEI - International Mobile Equipment Identification - komórki, włożyła nową kartą SIM i wybrała podany jej przez Krystiana numer.

- Galpin - odezwał się ochryply i zmęczony głos kobiety. Sara oszacowała, że jej rozmówczyni przekroczyła już pięćdziesiątkę.

- Nazywam się Kithara Vitez. Czy mogę rozmawiać z panem Galpinem?

- O czym?

- O pewnym instrumencie muzycznym, dziele Adolphe'a Saksa.

- Ach, chodzi o ten saksofon. Co z nim?

- O to właśnie chciałam zapytać pana Galpina.

- Musi się pani zadowolić rozmową ze mną. Nazywam się Leslie Mason. Jestem jego córką. Mój ojciec zmarł w zeszłym miesiącu. Instrument znajduje się w aktualnym katalogu Christie's. Zostanie wystawiony na aukcji 13 kwietnia w Avenue Matignon.

Sara opadła na łóżko i złapała się za głowę. Czuła się tak, jakby uderzyła ją kula używana do wyburzeń. Czy będzie musiała czekać dwa tygodnie, a potem szastać milionami, żeby pokonać innych licytatorów? Nie do pomyślenia! Dzień 2

kwietnia był coraz bliżej.

- Halo? Jest pani tam jeszcze? - zapytała madame Mason.

- Tak. Jestem po prostu nieco... rozczarowana.

- Nie wiem, czy przyszło to już pani do głowy, młoda panno, ale nie zdradziła mi pani jeszcze, co chciała pani właściwie osiągnąć, dzwoniąc do mnie.

Kobieta po drugiej stronie stała się nagle bardzo energiczna.

Sara zbyła milczeniem to, że jej młodzieńczo brzmiący głos został zaklasyfikowany jako należący do młodej niezamężnej dziewczyny i odpowiedziała oficjalnym tonem:

- Prowadzimy badania związane z synestezją. Mówi to pani coś?

- Nie mam zamiaru bawić się w spirytyzm.

Sara zaczerpnęła tchu i opowiedziała o eksperymencie neuropsychologicznym, który umożliwiłby wielki postęp naukowy, gdyby tylko na godzinę albo dwie ten niezwykle instrument mógł się dostać w wysoce wykwalifikowane dłonie.

Na to madame Mason zareagowała nieco zadziwiająco:

- Oczywiście, nie zamierzam przeszkadzać w badaniach naukowych. W tych okolicznościach mogłabym ewentualnie zrobić wyjątek.

- Słucham? - zdumiała się Sara.

- Za mało panią znam, żeby po prostu dać pani ten saksofon, ale mój świętej pamięci mąż był wielkim orędownikiem postępu naukowego. Jeśli chodzi więc o szczytny cel, nie będę się sprzeciwiała pani zamiarom. Oczywiście, pozwoli mi pani na obserwowanie eksperymentu.

Sara była zdezorientowana.

- Ale przed chwilą powiedziała pani, że instrument znajduje się już w domu aukcyjnym Christie's.

Madame Mason roześmiała się.

- Ach, ta dzisiejsza młodzież, w ogóle nie słuchacie, co się do was mówi. Powiedziałam, że saksofon znajduje się w ich katalogu. Ale jeszcze go im nie przekazałam. Proszę opowiedzieć mi więcej o pani pracy. Wtedy będę się mogła zastanowić. Gdzie ma odbyć się ten - jak to pani nazwała? Eksperymentalny koncert?

- Tego sama jeszcze nie wiem.

- Takimi odpowiedziami niewiele pani tu wskóra - odparła madame Mason.

Sara zagryzła usta. Gdzie? Nad tym wcale się jeszcze nie zastanawiała.

- Nie tylko ja jestem zaangażowana w te badania - zaczęła improwizować. -

Część muzyczną przygotuje saksofonista Francuskiej Orkiestry Narodowej.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

- Chociaż to brzmi rozsądnie. A gdzie?

Sara jęknęła w myślach.

- Powiedziano mi, że miejsce to nosi nazwę „kościół Róży Wiatrów”. Mówi to pani coś może?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała niezwłocznie madame Mason. - Od trzydziestu lat mieszkam w Paryżu i przez cały ten czas chodzę na msze do katedry Saint-Eustache.

- Saint-Eustache - powtórzyła Sara jak echo. Tysiące postrzępionych wątków połączyło się naraz w jedno. Kościół ten znała doskonale, kiedyś nawet w nim była. Stał w dzielnicy Les Halles, niedaleko od hotelu, gdzie obecnie się zatrzymywała. Studiując biografię Liszta, wielokrotnie natykała się na jego nazwę. Ostatnio Florence Le Mouel, alias Nével, pierwsza strażniczka Harfy Wiatrów, opowiedziała jej o dziwnych wydarzeniach podczas premiery *Graner Messe* w tej właśnie świątyni.

Madame Mason wyciągnęła własne wnioski ze zdumionego milczenia Sary i zganiła ją:

- Musi pani być nie stąd, jeżeli nie zna pani tego słynnego kościoła.

- Nie, znam go - Sara próbowała ocalić tyle, ile się dało - nigdy wcześniej nie słyszałam jednak sformułowania „kościół Róży Wiatrów”.

- Przypuszczam, że należy pani do tych młodych ludzi, którzy spędzają całe swoje życie w cyberprzestrzeni? Oczywiście, nikt nie mówi o Saint-Eustache w ten sposób, ale założę się, że w Internecie bez trudu znajdzie pani informacje, które wyjaśnią, dlaczego od razu zgadłam, o jaki kościół pani chodziło.

- Sprawdzę to - obiecała Sara ze skruchą.

Głos po drugiej stronie niespodziewanie przeszedł na cichsze tony.

- Zamiar urządzenia w świątyni Pana eksperymentu z udziałem muzyka Opery Narodowej jest więcej niż zacny. Dostanie pani ode mnie instrument. Na godzinę. Jedną. Najlepiej od razu go wezmę, spotkamy się na miejscu.

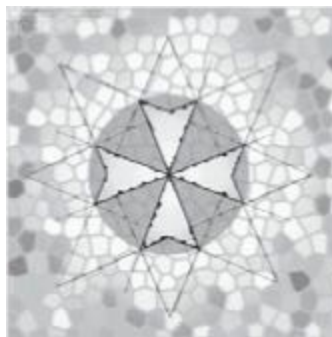
Mimo że czas naglił, Sara poświęciła jeszcze pół godziny na rozmowę z madame Mason, rozmówczyni uznała bowiem za stosowne opowiedzieć

mademoiselle historię swojego życia. Przynajmniej rzuciła przez to nieco światła na los zaginionego saksofonu.

Madame Leslie L. Mason powiedziała, że urodziła się jako Babete Laurene Galpin. Na studia wyjechała do Stanów, tam zakochała się w Henrym L. Masonie, za którego wkrótce później wyszła. Później oboje powrócili do Paryża, a on został szefem Banque Rotschild. Nieprzypadkowo zresztą, wcześniej bowiem tej szacownej instytucji przewodził jej ojciec. Kilka lat później Henry'emu pękło serce, kiedy dowiedział się o nacjonalizacji renomowanego banku. Od tamtego czasu była wdową. Teraz, osiągnąwszy podeszły wiek, zmarł też jej drogi ojciec, zostawiając jej jako jedynej spadkobierczyni pokaźny majątek. Jako że Henry - świeć Panie nad jego duszą - nauczył ją podstaw myślenia ekonomicznego, postanowiła spieniężyć kosztownie drogą mieszkanie ojca - niech Pan ma go w swojej opiece - razem z olbrzymią kolekcją instrumentów muzycznych, a dochody zainwestować w obligacje.

W pewnym sensie więc „saksofon rewolucyjny”, powrócił w ręce Rotschildów. Jako że jego pierwotny właściciel tymczasem zmarł, przekazano go ojcu madame Mason, który przez małżeństwo spowinowacił się z rodziną bankierów. Sara mogła teraz zrozumieć, dlaczego Strażnicy Harfy Wiatrów na jakiś czas stracili instrument z oczu.

Samotność ciążyła madame Mason, Sarze natomiast, kiedy odłożyła w końcu słuchawkę, dłonie drżały z podniecenia. Ledwo zakończyła rozmowę, natychmiast połączyła się z Internetem. Szybko znalazła stronę parafii Saint-Eustache. Logo, które z niej wyzierało, dosłownie przerzuciło ją w przeszłość.



Był to ten sam układ linii, który Janin nakreślił w weimarskiej restauracji „Anno 1900”, przekształcając krzyż joannitów - krzyż maltański - w ośmioramienną gwiazdę. Sara nie miała już wątpliwości, że znalazła „kościół Róży Wiatrów”.

Tymczasem minęła siódma. Do pokoju zaglądały ciepłe promienie wieczornego słońca. Sara przeczytała na stronie parafii, że o 18:00 w kościele odprawiono ostatnią mszę, a podwoje świątyni właśnie przed chwilą zostały zamknięte. Ponownie sięgnęła po komórkę i wybrała numer Saint-Eustache.

Odebrał wikary imieniem Yves Tabaries. Sara opowiedziała mu o niezwyklej eksperymentcie, w którym chciała użyć kościoła jako rezonatora do solowej gry na saksofonie. Ksiądz okazał się przyzwyczajony do pozasakralnego wykorzystania świątyni. O przedsięwzięciu wyraził się w gruncie rzeczy dość pochlebnie, a potem zapytał:

- Kiedy chciałaby pani przyjść?

- Tak szybko jak to możliwe.

- W tygodniu otwieramy o dziewiątej. O 12:30 jest suma. Przypuszczam, że podczas eksperymentu potrzebna jest cisza?

- Tak, jeśli byłoby to możliwe.

- W takim razie proszę przyjść o ósmej.

Skłonienie madame Mason do skrócenia snu o dwie godziny wymagało od Sary zaangażowania całej sztuki perswazji - kobieta wiodła niezwykle uporządkowane życie, a do tego uważała, że sen służy utrzymaniu urody. Dużo poważniejszych trudności Sara spodziewała się jednak ze strony Noëla Pétaina, saksofonisty, którego wytypowała do udziału w „eksperymentcie”. Co prawda, nawet po wieloletnim głębokim śnie nie zbliżyłby się nawet do tego, co zwykle uważa się za piękne, był bowiem czarnym jak heban, pulchnym i łysiejącym czterdziestolatkiem z wrodzonym uśmiechem oraz potężną wadą wzroku, która zmuszała go do noszenia olbrzymich szkieł. Muzyk cierpiał przy tym na chorobę zawodową artystów, pracujących często do późna w nocy - rzadko wstawał przed południem.

Sara miała więc powody obawiać się, że w środowy poranek będzie na niego daremnie wyczekiwać. Prawdopodobieństwo, że zaśpi, było duże. Co innego niepokoiło ją jednak jeszcze bardziej.

Musiała postąpić wbrew zalecanym przez Krystiana zasadom dyskrecji. Oczywiście, mogła wyciągnąć z jakiegoś lokalu pierwszego lepszego jazzowego saksofonistę i skłonić go, by dał koncert w Saint-Eustache, to jednak wiązałoby się z ryzykiem jeszcze trudniejszym do określenia niż w przypadku zaufania Noëlowi. Zupełnie nie umiała wyobrazić go sobie w roli Ciemnego Słyszającego

Barwy. On po prostu nie mógł należeć do Orłów.

Znali się od sześciu lat. Bardzo oszczędnie szafowała słowem „przyjaciel”, Noël był jednak uroczym facetem, który wiedział o jej *audition colorée* i w towarzystwie którego nigdy nie czuła się skrępowana ani zagrożona. Kilkakrotnie wyjeżdżała gdzieś z nim i z Héliene, co okazywało się zazwyczaj bardzo praktycznym rozwiązaniem, bo Noël stanowił niezawodną ochronę przed różnymi natrętnymi podrywaczami, a sam nie próbował zająć ich miejsca (był gejem).

Spojrzała na zegarek i mimowolnie uśmiechnęła się pod nosem. Do godziny duchów pozostała minuta. W tygodniu o tej właśnie porze najłatwiej można się było dodzwonić do saksofonisty. Wybrała numer. Po drugiej stronie odezwał się bynajmniej nie ciotowaty głos:

- Pétain.

- Sara z tej strony - odpowiedziała.

Potem usłyszała brzęk szkła. Przekleństwo. Okrzyk bólu, kolejne przekleństwo i - poza szelestami, skrobaniem i innymi dźwiękami - przez chwilę nic więcej nie było słyhać. Potem ponownie odezwał się bas Noëla.

- Z zaświatów to jeszcze do mnie nie dzwonili.

- Nie gadaj bzdur, Noël, na razie ciągle żyję.

- W gazetach piszą co innego.

- Same kaczki dziennikarskie.

- Ze strachu skaleczyłem się w stopę.

- Ależ nie trzeba było, kochany.

- Upadł mi w kuchni kieliszek z koniakiem. Saro, dlaczego pozwalasz całemu światu myśleć, że nie żyjesz?

Opowiedziała mu historię, która, oparta wprawdzie na faktach, dzięki selektywnemu doborowi tychże zabrzmiała jak dobrze znana opowieść o pogrózkach szaleńca.

- Ten cholerny stalker - zaklął Noël. - A ja sądziłem, mała, że dał ci w końcu spokój.

- Właśnie po to postanowiłam na jakiś czas zniknąć ze świata. Obiecuj mi, że nikomu nie piśniesz słowem o moim zmartwychwstaniu.

Kiedy złożył uroczystą przysięgę, zrobiła coś, za co znienawidziła samą siebie: wykorzystwała łatwowiernego Noëla jako królika doświadczalnego.

Użyła do tego tych samych Dźwięków Władzy, które w Wielką Niedzielę

usłyszała w telewizji. Zadziwiająco łatwo przyszło jej wydobyć subtelny rozkaz z usłyszanych utworów. Następnie wpisała go w loop generator, program muzyczny, za pomocą którego mogła komponować własne utwory na różne syntetyczne instrumenty, wykorzystując do tego też nagrane przez siebie dźwięki. Na subtelny rozkaz „Przybywajcie!” nałożyła próbkę *Le Chant Sacre*. Efekt końcowy po krótkim wyjaśnieniu puściła Noëlowi z komputera i zapytała z fałszywą niewinnością:

- Myślisz, że mógłbyś zagrać to dla mnie w Saint-Eustache? Będę czekać na ciebie jutro rano przed kościołem.

- O której? - z komórki dobiegła skwapliwa odpowiedź.

- O ósmej. Wiem, że to dla ciebie dość wcześnie, ale.

- Nie ma problemu - przerwał jej.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

*To, czego brak nam jest,
Tu nam się stanie;
Co niewysłowione jest,
Był ziści ten.*¹⁶

Johann Wolfgang von Goethe, *Faust*, część II, akt piąty

Rozdział 34.

Rzym, 29 marca 2005, 21:30

Pod kopułą kościoła Santa Maria del Rosario panowała ciemna, zwodnicza cisza. Nie zakłócali jej żadni odwiedzający. Nie rozjaśniał jej chór sióstr z okolicznego klasztoru. Nie było to jednak dostojne milczenie, którego można spodziewać się w takim miejscu, ale bezgłośnie wyczekiwanie, właściwe dla niektórych zwierząt, które potrafią, pozostając niewidoczne, czyhać na swoją ofiarę. Pełen grozy nastrój nie należał jednak do licznych osobliwości właściwych różnym rzymskim budynkom. Nie, istniał jedynie w umyśle klęczącego przed ołtarzem mężczyzny. Kościół, w którym poza nim nie było nikogo, służył tylko za pudło rezonansowe, bezgłośnie wtórujące modlącemu się kardynałowi.

Clemens Benedikt Sibelius przeżywał właśnie głęboki kryzys wiary. Patrząc na krzyż, wątpił, czy Bóg, który spogląda na niego tak pełnym bólu wzrokiem, w ogóle go słucha. Czyż bowiem nie cierpiał on, widząc to, co rozgrywało się przed jego oczyma, na wzrost powierzchownej religijności, która w rzeczywistości była właściwie zbiorowym upojeniem sakralnymi wydarzeniami, na rozwój happeningowej wiary, która przestaje wywierać jakikolwiek wpływ na codzienne życie katolików. Czy Pan rozumiał swojego sługę, pragnącego zreformować Świętą Matkę Kościół? Czy aprobował jego metody?

Sibelius przez większą część sześćdziesięciu ośmiu lat swojego życia był wzorowym, jak sądził, sługą Bożym. Urodził się w Fuldzie w Hesji, od pobożnych rodziców otrzymał imiona dwóch papieży, chodził do szkoły przyklasztornej. Był predestynowany do kariery w kurii. Dysponował odwagą, zapałem i wolą

dokonania koniecznych zmian. Miał też konieczną władzę. Dzięki Ciemnym Słyszającym Barwy.

Kardynał Sibelius w pełni zgadzał się z Olegiem Janinem: świat potrzebował nowego porządku, zbyt długo panował w nim bowiem liberalny chaos, gdzie wszystko było dozwolone, wszystko było akceptowalne. W rzeczywistości panowała nie wolność, ale chciwość, amoralność i wszelka bezbożność. Dopiero kiedy on, kardynał Clemens Benedikt Sibelius, otrzyma tytuł *Pontifex Maximus*, Święta Matka Kościół ponownie rozkwitnie jako drzewo, pod którym ludzkość zbierze się w pokojową, miłą Panu wspólnotę.

Dni Jana Pawła II są już policzone. Wkrótce odejdzie, w ciągu tygodnia, miesiąca, najpóźniej roku. Ten boży pielgrzym nieświadomie uTOROWAŁ drogę dla nowego porządku, czyniąc z kościoła katolickiego *must-have* dla mediów - kiedy papież chrząkał, świat nadstawiał uszu. Jego ostatnie tchnienie zostanie najprawdopodobniej nagrane na CD.

A potem konklawe, zgromadzenie kardynałów zamkniętych w Kaplicy Sykstyńskiej, wybierze nowego przywódcę. Z dała od świata. Odpowiadając jedynie przed Bogiem i własnym sumieniem. Oleg Janin obiecał, że nikt nie zauważy Dźwięków Władzy. Wszyscy jednak zrozumieją rozkaz, który im wydasz, Clemensie Benedykcie Sibeliusie: „Obierzcie mnie swoim królem”.

Sibelius przez chwilę miał wrażenie, że czuje wzniosłą atmosferę miejsca. Tutaj, na Monte Mario, w dawniejszych czasach odbywały się triumfy zwycięskich wodzów, którzy przejeżdżali wśród wiwatujących tłumów ludu rzymskiego. Niektórzy z nich zostawali potem cesarzami i najwyższymi kapłanami imperium!

Plan był jasny, wszystko było przygotowane. Kardynał Sibelius nie rozumiał wprawdzie, dlaczego Janin wezwał go na rozmowę do tego kościoła; leżał on dobre półtora kilometra na północ od Watykanu. Prawdopodobnie chciał po prostu zapytać, czy poszukiwania przeklętych Purpurowych Nut Franciszka Liszta w sąsiednim klasztorze przyniosły nowe rezultaty. Zupełnie jakby on, Clemens, nie dręczył już tym sióstr do znudzenia! Za każdym razem bez efektu, może poza tyradami matki przełożonej.

Sibelius wzdrygnął się, zauważywszy kątem oka ciemną postać obok siebie. Odwrócił głowę.

- Janin! - sapnął. - Nie słyszałem, jak pan przyszedł.

Oleg Janin ubrany był w prostą sutannę zwykłego księdza. Sibelius potępiał tę maskaradę. Brodatą twarz Rosjanina oświetlało tylko światło kilku świec wotywnych. Z jego ust dobywały się nieharmoniczne gwizdy. Kardynał zadrżał, wcześniej nie słyszał bowiem ani tej melodii, ani kroków Słyszącego.

- To tylko mały trik, który ma panu przypomnieć o skuteczności naszych metod - powiedział Janin z uśmiechem. Jego niemiecki brzmiał jak odgłos walącego się stosu drewna.

- To nie było konieczne. Przestraszył mnie pan. Po co to nieplanowane spotkanie?

- Czy raz jeszcze przeszukano klasztor?

- Tak. Wszystko po staremu. Nic nie znaleziono.

- Obawiam się, że to nie oznacza dla pana nic dobrego, Wasza Eminencjo.

Sibelius poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Dla mnie? Czemu? Proszę zrozumieć, że Santa Maria del Rosario od dawna nie należy już do oratorian. Kiedy wprowadził się tutaj zakon kobiety, wszystko stanęło na głowie. Jeśli te Purpurowe Nuty kiedykolwiek.

- Proszę się uspokoić - przerwał Janin zdenerwowanemu kardynałowi swoim zwodniczo ojcowskim tonem. - Moja uwaga odnosiła się do naszego planu. Rada Orłów postanowiła, że czas przystąpić do dzieła. Czekanie dobiegło końca. Kiedy umrze głowa kościoła katolickiego, cały świat będzie patrzył na Rzym. Niewykorzystanie dla naszych celów takiego medialnego spektaklu byłoby grzechem śmiertelnym. W ciągu kilku godzin będziemy wtedy mogli osiągnąć masę krytyczną potrzebną do uwolnienia narodów świata.

- Uwolnienia? - ciałem Sibeliusa targnął dreszcz. - Czy nie planowaliśmy, że podczas konklawe.

- Tutaj nic się nie zmienia. Jedynie rozszerzamy nasz plan: zaorzemy pole, na którym później wyrosną pańskie nasiona. Wojtyłę będą nieśli do grobu przy dźwiękach naszej muzyki, a cały świat będzie słuchał.

Kardynał pokręcił głową.

- Tak się nie da. Przebieg ceremonii pogrzebowej został już ustalony w najdrobniejszych szczegółach.

- Ale pan pełni przecież w Watykanie rolę ministra bez teki, czy jak to się nazywa w waszym napuszonym języku. Dlatego właśnie zwróciliśmy się do pana - jest pan tu szarą eminencją.

Uśmiechnął się, jakby spodobała mu się dwuznaczność własnych słów.

Sibelius nie miał najmniejszej ochoty na tego typu żarty, poczuł jednak, że jego wątpliwości znajdują potwierdzenie. Czyżby postawił na niewłaściwego konia? Z energią przeszedł do kontrataku:

- Ceremonia pogrzebowa to część tradycji Świętej Matki Kościoła. Zmiana najdrobniejszego szczegółu zakończy się podniesieniem larum w kurii.

Janin uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Kto mówi tutaj o zmianie jednego szczegółu? Wywalimy po prostu na śmietnik całą ceremonię i ustalimy nową.

- Niemożliwe - sapnął Sibelius.

- Słowo „niemożliwe” nie występuje w słowniku Orłów. Jeżeli taka będzie ostatnia wola zmarłego, kuria będzie musiała się dostosować.

Kardynałowi zakręciło się w głowie.

- Ostatnia wola Ojca Świętego? - wyszeptał.

Z twarzy Janina zniknął ojcowski wyraz, ustępując miejsca zniecierpliwieniu.

- Tak trudno to zrozumieć? Jest pan bardzo bliski papieżowi, w praktyce nie odstępuję go pan na krok. Proszę w jego imieniu sporządzić testament i zamienić go z oryginałem. Proszę napisać, że Jan Paweł II nie życzy sobie na własnym pogrzebie żadnej pompatycznej uroczystości, a jedynie prostego requiem.

- Ale to papież mediów! Zawsze lubił show. Ten nagły zwrot ku prostocie może wzbudzić podejrzenia.

W ciemnych oczach Janina rozgorzał niebezpieczny ogień. Na ten widok Sibeliusa przeszły dreszcze.

- Czy wciąż jeszcze stoi pan po stronie Ciemnych, Eminencjo, czy też może powinienem przypomnieć panu kilka faktów? Wiążąc się z nami, odziedziczył pan spadek pochodzący z czasów kardynała Richelieu. Takiego sojuszu się nie da się łatwo zerwać.

Sibelius pojął, w jak niebezpiecznym znalazł się położeniu. Odpowiedział pojednawczo:

- Zapewniam pana, że wciąż jestem tak samo wcześniej przekonany o konieczności zapewnienia światu nowego porządku. Mamy ten sam cel. Nie podoba mi się tylko nagłe rozszerzanie planów i dobór środków.

- A czy sądzi pan, że mnie się podoba? Pewien niesmak jest nieunikniony przy

tak wielkich zamiarach. Obaj będziemy musieli z tym żyć. Równa, szeroka droga okazała się ślepą uliczką, chyba że uda się panu mnie jeszcze zaskoczyć i przyniesie mi pan Szkarłatną Partyturę.

Kardynał chrząknął.

- Nie jestem pańskim kamerdynerem, panie Janin. Skoro nie jest pan w stanie utrzymać porządku we własnych szeregach, jak chce pan niby zbudować na nowo cały świat? Czy w końcu znalazł pan tę osobę, po której tak wiele się pan spodziewał?

- Nie żyje. A przynajmniej zaginęła.

- Tak, ale to już nie mój problem - Sibelius miał nadzieję, że udało mu pokonać Janina jego własną bronią i zakończyć rozmowę na ten nieprzyjemny temat, nie docenił jednak jego uporu.

- To jak będzie, Eminencjo? Proszę się zadeklarować. Czy robi pan to, o co tak uprzejmie proszę?

Nieprzejednanie Rosjanina po raz kolejny sprawiło, że Niemiec zadrżał. Mimo to pokręcił jednak głową.

- Nie zamierzam zdradzać mojego Kościoła. Chcę go uleczyć. To, czego pan wymaga, jest wykluczone.

Przez dwa lub trzy uderzenia serca dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Nagle Janin zaczął nucić jakąś melodię, która brzmiała równie dziwnie i obco jak ta, którą poprzednio gwizdał.

Kardynał zmarszczył czoło. Co to miało znaczyć? Czy ten przeklęty Rosjanin bawił się jego kosztem? A może poddał się i miał zamiar umknąć z podwiniętym ogonem, a melodia miała na powrót uczynić go niewidzialnym. Sibelius poczuł, jak przyspiesza mu puls. Był górą. Byle tylko nie poddać się teraz w pojedynku spojrzeń.

Nagle kardynał stracił wątek myśli, natomiast Oleg Janin zaczął się przeobrażać na jego oczach. Nieprzerwanie nucił dalej, a jego skóra zrobiła się smoliście czarna. Włosy wyrastały mu z niewiarygodną prędkością, wyczyniając przy tym dzikie tańce, jakby były obdarzone własnym życiem. Cała jego postać rozlewała się we wszystkie możliwe strony, jakby wewnątrz Rosjanina załągł się olbrzymi owad, który rozsadzał teraz za mały już pancerz. Sibelius widział kłębowisko pazurów, kończyn, śliny - i świecących na czerwono oczu.

Krzyknął tak, jak nigdy w życiu nie krzyczał. Wył, jakby ukazał mu się sam diabeł.

- A więc - w jego uszach rozbrzmiał władczy głos, w którego twardym akcencie rozpoznał Olega Janina. - Możemy wciąż na ciebie liczyć?

- Tak - jęknął kardynał, błagalnie wyciągając przed siebie ręce.

- Tak, tak, tak, tak. Ale proszę, odstęp ode mnie, księżę ciemności!

W kościele rozbrzmiał śmiech.

- Zbyt wielki to dla mnie zaszczyt, bracie. Obaj jesteśmy tylko częściami wielkiego planu. A teraz słuchaj mnie uważnie. Czeka cię wiele pracy, a zostało nam tylko kilka godzin.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Rozdział 35.

Paryż, 30 marca 2005, 7:51

Zgodnie z oczekiwaniami jako pierwsza zjawiała się miłująca porządek madame Mason. Przybyła z Rue Rambuteau, od strony stacji metra Les Halles, nie piechotą oczywiście, ale luksusowym wehikułem, a ściślej – wielką amerykańską limuzyną. Jako że nie dało się dojechać bezpośrednio w umówione miejsce pod kościołem, nie wchodząc w konflikt z prawem, samochód zatrzymał się więc u wylotu Rue de Turbigo. Sara obserwowała całą scenę z Place Rene Cassin, na którym królowała oryginalna rzeźba: olbrzymia, wtulona w dłoń, łyśa kamienna głowa.

Szofer w ciemnym uniformie otworzył tylne drzwi pojazdu i pomógł wdowie po bankierze wysiąść. Następnie obszedł samochód dookoła i z sąsiedniego siedzenia podniósł czarny futerał. Bez wątpienia w nim właśnie znajdował się cenny instrument, dzieło mistrza Adolphe’a Saksa. Madame Mason tymczasem udała się już w stronę kościoła.

Poruszała się z ostrożnością, jakiej należy spodziewać się po ludziach w jej wieku. Idąc podpierała się lśniąca laską z czerwonego drewna – prawdopodobnie z cedru. Wydawało się jednak, że to akcesorium nie jest jej wcale potrzebne. Prawdopodobnie miało przydawać jej po prostu godności.

A tej madame Mason miała pod dostatkiem, nie tylko z powodu wieku. Cała jej postawa promieniała wielkodusznością i elegancją. Sara po rozmowie telefonicznej wyobrażała sobie, że starsza pani to typowa kobieta-dragon – postawna, wzbudzająca szacunek i ostra w obejściu, która waha się między surowością a uporem. Tynczasem spotkała małą staruszkę, zaskakująco podobną do angielskiej królowej.

Zaczynało się to już od ubrania – nosiła kostium w kolorze mięty. Kapelusz i prostopadłościenna torebka miały ten sam kolor, nie brakowało też rękawiczek, z których królowa słynęła. Podobieństwo obejmowała także fryzurę

i twarz, nawet uprzejmy uśmiech mógłby zdobić oblicze członka rodu Windsorów.

Sara wyszła naprzeciw starszej pani i powitała ją uprzejmym:

- Dzień dobry, musi pani być madame Mason -, Wasza Wysokość " dodała jedynie w duchu.

- A pani jest mademoiselle Vitez. Witam panią serdecznie - odparła wdowa.

Sara odebrała saksofon od szofera, na co ten wrócił, aby prawidłowo zaparkować limuzynę i oczekiwać na powrót madame. Kolejne minuty upłynęły na niezobowiązujących pogawędkach, dyscyplinie, w której Sara dysponowała całkiem sporym doświadczeniem.

Punktualnie o ósmej w polu widzenia pojawił się Yves Tabaries, wikary, do którego Sara dzwoniła poprzedniego wieczora. Ubrany był w czarną sutannę, miał niewiele ponad trzydzieści lat, blond włosy, lekką nadwagę, niewyróżniającą się niczym twarz, cichy głos i niezwykle łagodny sposób bycia. Prawdziwy duchowny. Mimo wszystko jednak słowo *pere* - „ojcze” - nie przeszło Sarze przez usta. Dawno już odcięła się od kościoła katolickiego.

- Mam wrażenie, że już gdzieś panią widziałem. Czy to możliwe? - zapytał Tabaries.

Sara zamarła, odparła jednak nonszalancko:

- Kto wie. Może spotkałam już pana we śnie.

Tabaries nie odważył się drażnić dalej tego tematu.

Madame Mason spojrzała na swój wysadzany brylantami zegarek.

- Już minuta po ósmej. Gdzie ten muzyk? Zakochał się może we własnym odbiciu podczas porannej toalety?

Sara musiała stłumić uśmiech, gdyż akurat tego w przypadku Noëla Pétaina nie dało się wykluczyć - chociaż zupełnie na to nie wyglądał.

- Nie jest aż tak próżny jak Narcyz - wzięła kolegę w obronę.

Starsza pani pokręciła głową.

- Proszę mi nic nie wmawiać, mademoiselle Vitez. Muzycy nie są próżni, oni są czystą próżnością.

- Proszę zaczekać, aż pozna pani monsieur Pétaina. Dawał wczoraj w teatrze na Polach Elizejskich koncert, który skończył się dość późno.

- Ale o dziewiątej koniec - przypomniała madame.

- Tego jestem w pełni świadoma - odparła Sara. Miała nieprzyjemne

wrażenie, że znowu jest w Budapeszcie. W kościele NMP też musiała walczyć z czasem. Gdzie też podziewał się Noël? Czyżby Dźwięki Władzy zawiodły w jego przypadku? To oznaczałoby przecież.

Nagle na placu rozległ się głęboki bulgot. Wszystkie głowy obróciły się na wschód. Sara odetchnęła z ulgą. Znała ten jedyny w swoim rodzaju dźwięk, tłuste krople w ciemnych, głębokich barwach, które przed oczyma jej duszy potrafił stworzyć wyłącznie silnik harleya davidsona. Szybko podbiegła kilka kroków w stronę, skąd dobiegał. Miała rację: Noël jechał przez Rue de Turbigo, rozparty głęboko na siedzisku, w czarnym kombinezonie. Nie zadając sobie trudu, żeby zbyt ściśle trzymać się przepisów ruchu drogowego, zatrzymał się tuż przed madame Mason.

Sara kątem oczu obserwowała starszą panią. Madame Mason była wyraźnie skonsternowana. Zupełnie czego innego spodziewała się po członku Orchestre National de France. Mniej skóry. Mniej nitów na ubraniu. Dużo mniej czerni. Więcej powagi.

Ledwo Noël Pétain zdjął hełm i ciemne okulary, a ukazał zebrany swój uśmiech, białe zęby oraz tak działającą na kobiety wrodzoną uprzejmość w wersji jeszcze bardziej podkreślonej.

Podszedł do wdowy, z rozmachem sięgnął po jej dłoń, złożył na niej pocałunek i powiedział:

- Oto wstało słońce! Pani musi być madame Mason. Taka gracia, wdzięk i elegancja - nikt inny nie potrafiłby roztaczać wokół siebie podobnej aury.

Sara nie potrafiła już dłużej powstrzymać uśmiechu.

Wdowa tymczasem zapomniała już zupełnie o irytacji wywoła - nej spóźnieniem oryginalnego artysty. Uśmiechała się jak młoda dziewczyna, kokietowała go odrobinę swoim wiekiem, mimochodem wspomniała o odmładzających efektach regularnego uprawiania sportu i dobrego odżywiania się, nie omieszkała też dodać, że paryscy projektanci mody w iście magiczny sposób potrafią ukrywać drobne niedostatki kobiecej figury. Wikary tymczasem otworzył kościół.

Kiedy muzyk już mniej wylewnie przywitał się też z resztą towarzystwa, *pere* Tabaries wprowadził odwiedzających do kościoła poświęconego świętemu męczennikowi Eustachemu.

Sara wyjęła nuty opracowanej przez Liszta wersji *Pieśni Świętej* i przekazała je koledze.

- Obchodź się z tym tylko ostrożnie, Noëlu. To oryginał.

- Bez obaw, nie oślinię. Gdzie mam się zainstalować? W chórze?

Sara przesunęła wzrokiem po drugim co do wielkości, paryskim kościele, który ustępował rozmiarami tylko katedrze Notre Dame. Saint-Eustache słynął nie tylko z ogromnych organów, ale również z wspaniałej akustyki. Regularnie odbywały się w nim koncerty, tak jak za życia Liszta. Gdzie Noël powinien więc wydobyć dźwięki z „rewolucyjnego saksofonu”? Chór nasuwał się sam z siebie. Sara znów pomyślała o budapeszteńskim kościele Macieja.

- Obejrzyjmy najpierw organy.

Weszli do katedry wejściem za ołtarzem głównym, więc ruszyli najpierw ambitem na zachód, żeby południową częścią nawy poprzecznej dostać się do nawy głównej. Na kolorowe witraże i inne uroki bazyliki Sara zwracała uwagę jedynie po to, by znaleźć kolejne wskazówki: wizerunki orłów, łabędzi, róży wiatrów, liry. Nic takiego jednak nie dostrzegła. Aż do chwili, w której stanęła w zachodnim wejściu na chór, w miejscu, gdzie nawa główna i poprzeczna zbiegały się pod kątem prostym.

Sara najpierw podniosła wzrok w stronę wniesionego wysoko prospektu organowego, nad którym - znowu - tkwiła figura anioła. Ten cherubin jednak nie był w najmniejszym stopniu podobny do Franciszka Liszta.

W dłoni trzymał za to harfę.

- Mistrz harfy tutaj grał - wymamrotała Sara. Jej wzrok podążył do stołu gry, który - rzecz niezwykła - nie stał na emporze, lecz na podłodze, tak żeby organista mógł grać na tym samym poziomie co pozostali muzycy.

- Przepraszam, nie zrozumiałem - powiedział Noël.

Wskazała na stół gry.

- Stań tam. Myślę, że to właściwe miejsce.

Madame Mason miała zadowoloną minę. Cała ta sytuacja z pewnością wydawała się jej niezwykle eksperymentalna. Zwróciła się do wikarego.

- Znajdzie się dla mnie krzesło, pere Tabaries?

Duchowny spojrział z irytacją w stronę ławek, w których było kilka setek wolnych miejsc.

- Ja też bym prosiła - dodała Sara.

Kiedy Tabaries zajmował się siedzeniami, Noël rozstawił pulpit na nuty i zaczął przygotowywać się do koncertu. Monsieur Galpin utrzymał instrument

w dobrym stanie. Saksofon wykonany był z mosiądzu, ale błyszczał jak czyste złoto. Sara uruchomiła komputer, podłączyła mikrofon i rozpoczęła roztaczanie aury profesjonalizmu.

Kiedy Noël po raz pierwszy zadał w saksofon, po plecach przeszedł jej błogi dreszcz. Jej dotychczasowe wyobrażenie o instrumencie opierało się na czarnobiałym zdjęciu i zbiorze suchych liczb, które znalazła w Internecie: „Klapy: 13, długość słupa powietrza: 105 cm.” Usłyszeć go to jednak zupełnie coś innego. Niskie rejestry terkotały żółtawą czerwienią jak mały, zadowolony smok, wysokie natomiast piszczały jasnozielono, jakby ktoś ścisnął mocno ogon leniwca.

Noël zagrał kilka pasaży, skinął głową i rzekł:

- Jestem gotowy

- Ach, jakie to interesujące! - zawołała radośnie madame Mason, chwytając siedzącego koło niej, zaskoczonego cokolwiek księdza za rękę.

Z braku czerwonej lampki i znaku „Cisza! Nagranie!”, Sara położyła palec na ustach. Wdowa skuliła się, zrobiła szelmowską minę i zamilkła. A Noël zaczął grać.

Sara zamknęła oczy. Melodię słyszała już w duchu, kiedy czytała nuty. Wiedziała więc, że niektóre fragmenty będą takie same jak w *Fantazji* Liszta. Zdziwiła się jednak, kiedy „saksofon rewolucyjny” ukazał jej ukrytą w dźwiękach wiadomość.

Składała się ona z dwóch zespolonych ze sobą liter: „F” i „L”.

Był to ten sam wirujący sygnet, który widziała w Niemieckim Teatrze Narodowym w Weimarze. Nasycony i wyraźny, w spektrum barw między trawiastą zielenią i oranżem zachodu słońca, falujący lekko na krawędziach - takim właśnie malował go saksofon na ekranie jej wyobraźni. Nie było nic innego, żadnego migotania, najmniejszego znaku ukrytej wiadomości, którą można byłoby wydobyć, zmieniając dźwięki *Le Chant Sacre*. Sara była kompletnie zaskoczona.

- Wszystko w porządku, mała? - Noël sprowadził ją z powrotem do kościoła Saint-Eustache. Zeszłej nocy powiedziała mu, że chce usłyszeć jego grę, bo spodziewa się szczególnych synestetycznych doznań.

Sara zamrugała.

- Tak. Coś zobaczyłam.

Pere Tabaries przeżegnał się.

Madame Mason huknęła laską w posadzkę i krzyknęła:

- Cudownie! Niech żyje nauka!

- I co? - dopytał Noël.

Sara zawahała się. Nie była w stanie sobie wyobrazić, żeby madame Mason albo delikatny wikary Tabaries należeli do Ciemnych Słyszających Barwy, ale zdążyła już przekonać się, do jakich środków bractwo to ucieka się, żeby manipulować ludźmi. Dlatego zdecydowała się na wymijającą odpowiedź.

- Kształt.

- Okrągły czy kanciasty? - zapytała madame Mason ożywiona wyraźną chęcią przyczynienia się do postępu naukowego.

- I jedno, i drugie - odpowiedziała Sara. Czas działał na jej niekorzyść, musiała zaryzykować. - W tej sytuacji interesowałoby mnie, czy komuś z was mówią coś litery „FL”.

W chórze nastąpiła wymiana poirytowanych spojrzeń.

- Czy to też część eksperymentu? - zapytała wdowa.

- Oczywiście. Synestezja to bardzo słabo zbadane zjawisko, a wasza odpowiedź będzie miała znaczący wpływ na wynik eksperymentu.

Hebanowe czoło Noëla pobruździły głębokie zmarszczki.

- Skrót „fl” ma wiele znaczeń - powiedział naraz pere Tabaries. Pierwszy strach zupełnie mu minął, kiedy okazało się, że wizja Sary ma zupełnie naturalne wyjaśnienie.

- Floren - powiedziała wdowa, a w tonie jej głosu dało się usłyszeć, jak wielką przyjemność sprawiła jej okazja do popisania się wiedzą na temat monet. - Zwany też guldenem. Był kiedyś szeroko rozpowszechnionym środkiem płatniczym. W Holandii wyparło go dopiero euro.

- Holandia - powtórzyła Sara z namysłem, zastanawiając się nad kolejną stacją na tropie róży wiatrów. Kierunek by się zgadzał.

- Pasuje też do Flamandów, mieszkańców Flandrii - stwierdził Noël, żeby pokazać, że zna się też na czymś poza grą na saksofonie.

- Może być i tak, że skrót oznacza Flandrię, obszar między Skaldą a Morzem Północnym - skontrowała starsza pani.

- Jest pani wcieleniem erudycji, madame Mason - odparł Noël, a Sara wiedziała, że wywiesza w ten sposób białą flagę. Jego horyzont intelektualny był mocno ograniczony.

- Ma to jednak jeszcze jedno znaczenie - dodał *pere* Tabaries z taką powagą, jakby właśnie miał wyjaśnić zebranym tajemnicę Trójcy Świętej. Momentalnie uwaga wszystkich skupiła się na nim. - Po łacinie słowo *flamen* oznacza „trębacza”. Określano nim też kapłanów składających ofiary bogom.

Noël wydał z siebie pisk zadowolenia. Jako saksofoniście to wyjaśnienie podobało mu się oczywiście najbardziej.

Sara była już jednakże nieomal pewna, że kolejna stacja mieści się w Holandii. Ale gdzie dokładnie? Może powinna podążyć za wskazówką duchownego i zająć się starym znaczeniem słowa *flamen*. Możliwe, że kolejna miejscowość na tropie róży wiatrów także wpisywała się w religijno-historyczny kontekst. Zwyczaje, rytuały, a nawet część doktryny rzymskiego politeizmu przeniknęły przecież do kościoła rzymskokatolickiego.

- Proszę mi powiedzieć - zwróciła się do wikarego - czy w kościele Saint-Eustache znajdują się może stare dokumenty z roku 1844?

Ten opuścił miejsce przy boku madame Mason, podszedł do niej i zaczął uważnie się jej przyglądać.

- Mógłbym przysiąc, że gdzieś już panią widziałem.

Czuła się jak sarna na celowniku myśliwego. Jej widok nie dawał duchownemu spokoju.

- Proszę, monsieur Tabaries, to bardzo ważne pytanie.

- Nie rozumiem, co nasze księgi metrykalne mają wspólnego z pani eksperymentem.

- Metrykalne?

- Spis chrztów, ślubów, pogrzebów. Wie pani - wszystkiego, co odnotowujemy w parafii.

- Czy mogłabym rzucić okiem na księgi z roku 1844?

- Mamy kilka różnych ksiąg - ślubów, chrztów, bierzmowań...

- Interesują mnie wszystkie dokumenty z tego roku.

- Dlaczego?

- Pomogłoby to odtworzyć historię powstania utworu, który monsieur Pétain właśnie nam zagrał. Jest on, mówiąc językiem muzyków, trójkątem, którego trzy boki połączyły Berlioza, Saksa i Liszta. Zakładam, że stało się to mniej więcej w roku 1844.

Zaś 8 października tego właśnie roku Liszt wyjechał w Pireneje, do Pau, aby

odwiedzić Caroline de Saint-Cricq, ciągnęła dalej w myślach Sara. Możliwe, że początkowo *Le Chant Sacre* nie miała być kamieniem milowym na szlaku róży wiatrów, a jedynie dźwięcznym dodatkiem do sygnetu „FL”, który to „talizman” Liszt zapisał w testamencie Caroline de Saint-Cricq, chcąc zapewne uchronić swoje dziecko przed wzrokiem Ciemnych Słyszących Barwy. Swoje autorstwo utworu mógł jednak ukryć pod nazwiskiem Berlioza i bezpiecznie ofiarować je Sophie, rzekomej córce Adolphe’a Saksa.

Pere Tabaries wydawał się niepokieszony.

- Chętnie pokazałbym pani nasze księgi parafialne, ale niestety nie mogę.

Sara rozważała przez chwilę, czy jest sens mówić wikaremu o niebezpieczeństwie, które zawiśnie nad światem po zgonie papieża. Nie powstrzymałaby się nawet przed włamaniem do kościoła, jeżeli to miałyby ją zbliżyć do Szkarłatnej Partytury. Nagle jej myśli gwałtownie się urwały. Czyż jeszcze nie tak dawno ten właśnie pogląd, że cel uświęca środki, najbardziej potępiała u Olega Janina?

Westchnęła i powiedziała, posyłając wikaremu starannie odmierzone spojrzenie:

- Czy nie mógłby zrobić pan dla mnie wyjątku, *pere Tabaries*?

Wikary odchrząknął w zakłopotaniu.

- Nie chodzi tutaj o to, co chcę, madame Vitez. Te księgi od dawna przechowuje się nie w naszej parafii, lecz w archiwum arcybiskupstwa. Mogę jednak zadzwonić tam, nie pytając o zgodę księdza Forestiera. Może nawet jeszcze dziś udzieli pani dostępu.

- Dzięki panu jestem ocalona, Yves! - wyrwał się Sarze serdeczny okrzyk. Naprawdę kamień spadł jej z serca.

Wikary poczerwieniał na twarzy i westchnął:

- Chciałbym, żeby tak było.

Następnie Sara podziękowała madame Mason za pomoc, zapewniła ją też, że oddała ludzkości wielką przysługę i zostawiła ją pod opieką szarmanckiego saksofonisty.

Noël tymczasem wyczyścił i schował historyczny instrument do futerału. Kiedy Sara objęła go, chcąc pocałować go na do widzenia, wyszeptała mu do ucha:

- Mogłabym spać dziś u ciebie?

Spojrzał na nią z zaskoczeniem:

- Aż tak źle z tym stalkerem?

- Okropnie.

Noël roześmiał się.

- Nie ma problemu, mała. Jeśli nie będzie mnie w domu, zadzwoń na portiernię. Powiem madame Triberis, żeby wpuściła cię do środka. Do zobaczenia.

Ucałował ją w oba policzki, a następnie podniósł futerał z saksofonem, zaoferował wdowie ramię w rękawie z czarnej skóry i, kiedy ruszali, powiedział:

- Wreszcie jesteśmy sami, różo paryska. Sprawiała mi pani dziś wielką radość, pozwalając mi grać na swoim instrumencie. Ten saksofon jest boski. Czy wolno mi będzie zaprosić panią na śniadanie?

Starsza pani zachichotała.

- Jest pan czarujący, monsieur Pétain. Nie mam nic przeciwko filiżance gorącej czekolady, jeżeli tylko nie będę musiała siadać na pański piekielny wehikuł.

- Cudownie! Znam uroczą kawiarenkę przy Rue...

Oboje wyszli już poza zasięg słuchu i wkrótce potem zniknęli w głębi bazyliki. Sara w pośpiechu składała sprzęt. W końcu *pere* Tabaries zabrał ją do biura, z którego zadzwonił do swoich zwierzchników w *Achidioecesis Parisiensis*, archidiecezji paryskiej.

Rozmówca po drugiej stronie był jego przyjacielem albo znajomym, w przeciwnym razie delikatny wikariusz na pewno nie zacząłby rozmowy tak zdecydowanym tonem, a już na pewno nie zwracałby się do nikogo po imieniu. Po chwili zaczął być nawet natarczywy, tłumacząc jakiemuś Lambertowi, że „madame Vitez, badaczka” nie może czekać aż do dnia sądu ostatecznego. Zależy jej na czasie. Lambert jednak, jak się wydawało, miał własną definicję słowa „pilny”, nie dało się więc przewidzieć, jak zakończy się ta rozmowa.

Sara z westchnieniem opadła na krzesło przy biurku naprzeciwko i zabrała się za kartkowanie aktualnego wydania dziennika „Le Monde”...

Ksiądz tymczasem słuchał głosu w słuchawce, rzucił kilkakrotnie „tak” i podziękował.

.a ona zamarła, ponieważ z najważniejszej francuskiej gazety spoglądała na nią jej własna twarz. Patrzyła na zajmujące całą stronę ogłoszenie Musilizera, którego większą część stanowiło zdjęcie Sary Ponizej, wielkimi literami,

widniało pytanie:

„CZY KTOŚ WIDZIAŁ TĘ KOBIETĘ?”

Pod zdjęciem, które pochodziło z materiałów jej agencji PR, zamieszczono krótki tekst:

„Znaną i cenioną pianistkę Sarę d’Albis ostatni raz widziano 27 stycznia 2005 roku w okolicy Les Baux de Provence. Od tamtej pory uchodzi za zaginioną. Najnowsze wyniki prowadzonego przez policję śledztwa pozwalają jednak mieć nadzieję, że wciąż żyje. W związku z tym Musilizer SARL wyznacza nagrodę w wysokości

1 000 000 euro

za informacje mogące pomóc w ustaleniu miejsca jej pobytu. Nagroda ta zostanie także wypłacona w przypadku potwierdzonych informacji o jej śmierci, przed czym niech nas jednak Bóg strzeże”.

Był to zwykły list gończy. Albo też zaproszenie do polowania z nagonką, w którym ofiarą miała być ona, Sara d’Albis, a nagrodą za jej schwytanie – żywej lub martwej – milion euro. Dopiero głośne odłożenie słuchawki wyrwało ją z oszołomienia. Pospiesznie przykryła anons inną stroną gazety i posłała księdzu spojrzenie przyłapanego na gorącym uczynku dziecka. „Masz inną fryzurę, przefarbowałaś włosy, opanuj się, uważaj, żebyś tylko nie wstała i nie wybiegła z pokoju”.

– Wszystko w porządku? – zapytał duchowny.

– Tak – odparła prawie bezgłośnie. Nerwowo złożyła gazetę, przejechała po niej dłonią, potem złożyła ją w poręczny pakiecik i wrzuciła do kosza.

– W jak najlepszym. Co udało się panu wskórać?

Wzrok wikarego spoczął na chwilę na koszu na śmieci, a potem ksiądz spojrzał na zegarek.

– Uda mi się jeszcze akurat podwieźć panią na Rue Saint-Vincent. Chyba że woli pani iść piechotą?

– Nie! – krzyknęła Sara, opanowała się jednak zaraz i dodała już ciszej: – Nie, chętnie pojedę z panem.

Piętnaście minut później siedziała w czytelnicy paryskiego arcybiskupstwa. *Pere* Tabaries postanowił osobiście przekazać ją zaprzyjaźnionemu bratu Lambertowi Taine’owi pracującemu w archiwach diecezji. Po raz ostatni zapytał ją, czy aby na pewno nigdzie jej wcześniej nie widział. Zaprzeczyła tak zdecydowanie, jak tylko umiała, pożegnała się z nim, a on odszedł, powiewając

szatą.

Przez kilka minut spokojnie pracowała w pomieszczeniu oświetlonym promieniami słonecznymi, które wpadały przez duże okna. Pozostałe siedem miejsc było jeszcze puste. Ojciec Taine wyszukał dla niej wielkie foliały wypełnione rejestrami określonych wydarzeń z życia parafian Saint-Eustache. Uporządkowane były chronologicznie, tak że każdy tom obejmował pięć lub więcej lat. Życie parafian od kołyski po grób dostarczało całej masy danych - były to informacje o zawodzie, tytułach i szczególnych zaszczytach. Prawdopodobnie ówczesny proboszcz z dużą swobodą dobierał szczegóły, które należało zawrzeć w księgach parafialnych.

Niestety wszystkie wpisy sporządzono po łacinie. Dlatego Sara skupiła się początkowo na nazwiskach: Sax, Liszt, Berlioz. Kiedy trafiała na imiona takie jak „Sophie” albo „Adolphe”, próbowała odcyfrować wpisy z pomocą swojej niezłej znajomości włoskiego. Nie znalazła jednak nic na tyle obiecującego, żeby poprosić archiwistę o pomoc w tłumaczeniu.

Zaczęła się zastanawiać, czy szukanie w księgach parafialnych naprawdę było takim dobrym pomysłem. A może powinna wrócić raz jeszcze do kościoła Saint-Eustache, w którym Liszt święcił tak wspaniałe triumfy i poniósł tak dotkliwie porażki?

„*Missasolemnis!*” - wyszeptała. Nagle przypomniało jej się, co Nével mówiła jej w jaskini Strażników Harfy Wiatrów, a co ona sama potwierdziła potem za pomocą znalezionych w Internecie informacji. Kiedy 15 marca 1866 roku po raz pierwszy wykonywano w Paryżu *Graner Messe* Liszta, w kościele miały miejsce rzeczy doprawdy dziwne.

Na koncert dobroczynny w Saint-Eustache ściągnęło cztery tysiące słuchaczy. Podczas występu gadano jak w teatrze, dobroczyńcy parafii z żonami chodzili dookoła, stukając w tace na ofiary. Oddział żołnierzy zamienił fragment nawy w plac defilad, ćwicząc w trakcie występu musztrę i zakłócając brzmienie sakralnych dźwięków uderzeniami w werble. Według doniesień biografów, przed koncertem Liszt osobiście zagrał na organach *Marsz Weselny* Feliksa Mendelssohna Bartholdy'ego ze *Snu nocy letniej* Szekspira. Kościół Saint-Eustache zamienił się w dom wariatów. A prasa obwiniła o wszystko wykonywane dzieło. Na *Missa solemnis* nie zostawiono suchej nitki. 20 marca 1884 roku - prawie dokładnie dwadzieścia lat później - ponownie wykonano ją

w tym samym miejscu. Tym razem odniosła wielki sukces.

- Znalazła pani coś? - lekko nosowy głos przywołał Sarę na powrót do teraźniejszości. Był to monsieur Taine, archiwista. Postawił obok niej tacę. - Pani herbata, madame Vitez.

- Dziękuję serdecznie, to bardzo miłe z pana strony. Czy mogłabym rzucić okiem na rok 1866?

- Ale to prawie dwadzieścia lat później.

- Wiem - uśmiechnęła się.

Zebrał księgi metrykalne i westchnął:

- Zaraz wrócę.

Tymczasem zajęto wszystkie miejsca w czytelni. Sara znów pomyślała o liście gończym z „Le Monde”. Czuła się tak, jakby na jej głowie znajdowała się nakręcana małopka, która bez ustanku waliła w bębenek, a wszyscy ludzie cały czas się na nią gapili. Ostrożnie zerknęła na sąsiednie stoły. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Potem wrócił archiwista z księgami, o które go prosiła, i poszukiwania rozpoczęły się na nowo. Sara przedzierała się przez zapiski. Rejestr zgonów składał się z dwóch części. Nowsza, tak jak pozostałe księgi metrykalne, oprawiona była w brązową skórę. Jednakże tom pierwszy otrzymała jedynie w formie kopii. Ostatni wpis w nim pochodził z 12 stycznia 1866 roku, co było niezwykle, ponieważ pozostałe księgi kronikarz zawsze starał się kończyć równo z końcem roku. Ten rejestr zajmował też mniej stron od pozostałych. Część druga rozpoczynała się 19 marca informacją o Vincencie Blancu, z zawodu kapeluszniku, który w wieku czterdziestu czterech lat pożegnał się z tym światem.

W pierwszej chwili Sara rozważała niepoważną możliwość, że w ciągu dwóch miesięcy między końcem pierwszej a początkiem drugiej księgi śmierć omijała parafię szerokim łukiem. Potem jednak na wyklejce oryginalnego tomu znalazła notatkę, której wcześniej nie zauważyła.

„Paryż, 18 marca 1866

Dziś, trzy dni po oburzająco burzliwym koncercie, odkryłem zaginięcie rejestru zgonów od dnia 1 stycznia 1860 roku. W Saint-Eustache kłębili się członkowie wszystkich warstw społecznych, a nastrój był tak egzaltowany, jak nigdy podczas mszy. Można obawiać się, że jakieś diabelskie nasienie przemknęło przez kościół i nas okradło. Policji zaś zupełnie to nie interesuje.

Istny skandal! W niniejszej księdze zapisywane będą dokumenty datowane od tego świętokradztwa. Informacje dotyczące brakującego okresu będzie trzeba zdobyć z innych źródeł.

Curé Père Auguste Lacroix”

Sara zamknęła foliały, podeszła do telefonu, zadzwoniła do monsieur Taine’a i pokrótce nakreśliła mu swój problem. Poprosił ją o minutę cierpliwości.

Z minuty zrobił się prawie kwadrans. Następnie archiwista otworzył drzwi do czytelnicy, skinął na Sarę i zaprosił ją do swojego biura.

- Proszę wybaczyć, że musiała pani czekać, madame, jednak trafiła pani na skomplikowany przypadek. Musiałem najpierw sprawdzić akta i zadzwonić do jednego z braci, będącego już w stanie spoczynku.

- Brzmi dramatycznie.

Taine uśmiechnął się w zakłopotaniu.

- Cóż, powiedzmy, że jeszcze znośnie. Skradziony rejestr zgonów odnaleziono po drugiej wojnie światowej. Na aukcji w Londynie nabył go pewien obywatel francuski. Paryskie biskupstwo starało się o jego zwrot, niestety daremnie. Nakazem sądowym uzyskaliśmy przynajmniej kopię, którą pani teraz oglądała.

- Brakuje w niej przynajmniej jednej strony.

- Podobnie jak i w oryginale, tak przynajmniej twierdzi nabywca. Według naszych dokumentów paryskie arcybiskupstwo w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat cztery razy występowało z prośbą o kopię brakujących stron i za każdym razem udzielano nam informacji, że zaginęły.

- Chętnie przekonałabym się jednak o tym osobiście. Jak mogę skontaktować się z właścicielem oryginału?

- Proszę zwrócić się do jego firmy. Ten człowiek to prawdziwy fenomen. Musi mieć ponad sto lat. Prawdopodobnie nie chciał odchodzić z tego świata, nie uporządkowawszy przedtem swoich spraw majątkowych, w każdym razie przepisał metrykę zgonów na przedsiębiorstwo, któremu prezesuje chyba od zawsze. Nazywa się Siergiej Niekrasow, a jego firma to Musilizer.

Mocy ujarznienia publiczności, podźwignięcia jej, poniesienia i rzucenia nie znajdziecie w takim stopniu u żadnego innego artysty z wyjątkiem Paganiniego (...). To już nie jest gra na fortepianie, tego czy innego rodzaju, to wyraz nieustraszonego charakteru, któremu do panowania i zwyciężania los, miast niebezpiecznych narzędzi, udzielił pokoju sztuki.

Robert Schumann o Franciszku Liszcie

Rozdział 36.

Paryż, 31 marca 2005, 16:21

Od chwili kiedy księgi parafialne zostały utracone, Liszt przeżył jeszcze dwadzieścia lat. Jeżeli zawarta była w nich wskazówka na tropie róży wiatrów, dlaczego nie postarał się, żeby czymś ją zastąpić? Czyżby mistrz harfy po prostu popełnił błąd? A może Ciemni Słyszący Barwy utrzymali kradzież metryk w tajemnicy? Policji to nie interesowało, jak gniewnie zauważył ksiądz Auguste Lacroix. A może stróży prawa omamiono Dźwiękami Władzy?

Sara była w rozterce. Gonila za ułudą? Z drugiej strony, dlaczego ktoś miałby ukrywać kościelny dokument, jeżeli byłby dla niego bezwartościowy i w żaden sposób go nie obciążał? A może Orły znalazły w nim wskazówkę, domniemaną czy prawdziwą, dotyczącą miejsca ukrycia Purpurowych Nut, nie potrafiły jej jednak rozszyfrować. Tak, to musi być to.

Pozostawało tylko pytanie, czy foliał rzeczywiście zaginął. Może znajdował się gdzieś w skarbcu Musilizera. Wystarczyło tylko złożyć wizytę w firmie i trochę się rozejrzeć.

Sara dokładnie wszystko rozważyła. Nie miała innego wyboru. Musiała spróbować. Podróż do Holandii z nadzieją, że poszczęści jej się i po prostu trafi na dalszy ciąg tropu róży wiatrów, byłaby beznadziejna i nierozsądna. Po wizycie w archiwum arcybiskupstwa rozmawiała z Krystianem, wykreśliła dwa kolejne określenia z listy jednorazowych pseudonimów i usłyszała, że zwariowała. Martwił się o nią. To zrozumiałe. Sam też jednak nie miał lepszego pomysłu.

Resztę poprzedniego dnia Sara poświęciła na przygotowania do zamachu.

Najpierw poszła do sklepu przy Lafayette, gdzie kupiła sobie iPoda, maleńki mlecznobiały odtwarzacz MP3, a do niego jeszcze mniejszy przenośny głośniczek. Do koszyka powędrował też poręczny aparat cyfrowy. Kiedy przy kasie wręczała sprzedawczyni plik banknotów, ta spojrzała na nią tak, jakby próbowała zapłacić pieniędzmi z „Monopoly”.

W dziale kosmetycznym Sara nabyła następnie horrendalnie drogą czarną perukę, a później szary płaszcz i czapkę przypominającą oklapnięty balon na uwięzi. W skład ekwipunku weszło też kilka innych akcesoriów.

Późne popołudnie spędziła na obserwacji położonej w La Defense, dzielnicy handlowej i finansowej, siedziby Musilizera. Chciała wyczuć rytm pracy firmy. Kiedy można było bez przeszkód poruszać się w foyer? Kiedy pracownicy wychodzili z firmy? Kiedy zaczynała się nocna zmiana ochrony?

Do mieszkania Noëla, przestronnego loftu w 16. dzielnicy, wróciła dopiero po zapadnięciu zmroku. Saksofonisty nie było jeszcze w domu. Bez przeszkód mogła zatem zabrać się do pracy nad nowym utworem muzycznym, który stworzyła w loop generatorze i w końcu przegrała na odtwarzacz MP3. Później sprawdzała, jak wygląda w różnych ubraniach. Chodziło jej o znalezienie możliwie prostego, nierzucającego się w oczy stroju, jeśli już bowiem ma wkraczać do jaskini lwa, najlepiej zrobić to w kostiumie szarej myszki.

Kiedy Noël wrócił kilka minut po północy i zobaczył, jak w pełnym przebraniu wychodzi z łazienki, w pierwszej chwili wziął ją z włamywaczkę i zamierzał zaatakować pokrowcem na instrument. Na szczęście miała dość czasu, żeby go powstrzymać. Wyjaśnienie mu, dlaczego paraduje w tak niezwykłym stroju, zajęło jej jednak nieco więcej czasu - rosyjski stalker znów został kozłem ofiarnym.

Teraz, jakieś szesnaście godzin później, w długim, o wiele za ciepłym „mysim futrze” szła Avenue Pablo Picasso. Noël podwiózł ją na harleyu na La Defense, gdzie wysadził ją w bezpiecznej odległości od centrali Musilizera. Chciała przynajmniej jego uchronić przed uważnym wzrokiem Orłów.

Z opuszczoną głową Sara szła pod drzewami, które zaczynały już się zielenić, prosto w stronę trzyskrzydłowego wieżowca. Większą część głowy udało jej się ukryć - górę pod splecioną w warkocz peruką i baloniastą czapką, oczy pod ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi, resztę twarzy pod warstwą makijażu. Starannie wybrała moment wejścia do budynku. Wkrótce biura opustoszeją, co

zmniejszy ryzyko zdemaskowania. Szklane drzwi otworzyły się przed Sarą. Weszła do środka.

Przechodząc miarowym krokiem hol wejściowy, w myślach powtarzała lekcje, których udzielił jej Krystian. Pochyliła głowę, żeby przy późniejszym badaniu nagrań z kamer bezpieczeństwa nie dało się rozpoznać jej twarzy. Kącikami oczu obserwowała otoczenie.

Hol siedziby Musilizera wyłożony był połyskliwym brązowym granitem. Barwa ta natychmiast nasunęła Sarze skojarzenia z bagnem, z którego mętnych wód tu i ówdzie wyrastają rośliny. Po przeciwnej stronie widziała drzwi do sześciu wind. Przed nimi z grzędawiska wynurzała się okrągła wyspa. Jeden z dwóch zamieszkujących ją mężczyzn uśmiechał się do zbliżającego się gościa. Kiedy Sara wylądowała już na jej brzegu, powitał ją w imieniu firmy i zapytał:

- W czym mogę pomóc, madame?

Sara otworzyła usta i pokazała na nie palcem wskazującym, a następnie przesunęła wierzchem dłoni po własnej krtani, po czym wskazała na mlecznobiały odtwarzacz MP3. Miała nadzieję, że ochroniarze zrozumieją, że nie może mówić. Następnie kciukiem wcisnęła przycisk odtwarzania, uruchamiając przygotowaną wcześniej „wiadomość”.

Z miniaturowego głośnika dobył się dźwięk pasterskiej fujarki, upajający jak gra zaklinacza węży. Sara z zapartym tchem obserwowała przez ciemne szkła okularów reakcję ochroniarzy. Jeżeli choć jeden z nich był Słyszącym Barwy i dysponował najmarniejszym darem, przejrzy jej fortel, a ona zawiedzie na całej linii.

Mężczyźni wymienili tylko zakłopotane spojrzenia, dalej słuchali jednak gry. Sara miała nadzieję, że nauczeni uprzejmości recepcjoniści okażą więcej cierpliwości wobec osoby niepełnosprawnej niż zdrowej i, jak się okazało, najwyraźniej miała rację.

„Słuchaj i czekaj. Kiedy się odezwę, wypełnisz moje polecenie”.

Była to ta sama podprogowa wiadomość, którą Walerij Tiomkin wydobył ze swojego czarnego głośniczka w Weimarze i w Kopenhadze. Czy jednak dźwięczne *mixtum compositum* odniesie ten sam skutek? Dłoń, w której trzymała odtwarzacz, zadrżała. W każdej chwili ktoś może pojawić się w holu i nabrać podejrzeń albo nawet rozpoznać Dźwięki Władzy. Nerwowo spojrzała w stronę wind, sześciu ust, które za chwilę zaczną wypluwać z siebie setki ludzi. Dlaczego ochroniarze nic nie robią?

Nagle zdała sobie sprawę, że to ona musi wykazać inicjatywę. Po preparacji w postaci pierwszego podprogowego rozkazu nastąpić musiało polecenie wydane „w praktycznie dowolnej formie”, jak wyjaśniał jej Krystian. Oczy obu nasłuchujących z kamienną miną strażników nie wydawały się bardziej szkliste niż wcześniej.

- Słyszycie mnie? - zapytała Sara, czując się jak hipnotyzerka w Variete.

- Tak, słyszymy cię - odpowiedzieli unisono.

Niewiarygodne! Naprawdę udało jej się zrekonstruować z pamięci

Dźwięki Władzy, mimo że ta podprogowa wiadomość była nieco bardziej złożona niż proste „Przybywajcie!”, za sprawą którego biedny Noël zamienił się w rannego ptaszka.

- Szukam książki albo historycznego dokumentu wielkiej wagi i pilnie strzeżonego. Monsieur Niekrasow zakupił go dla Musilizera pół wieku temu. Ty - mówiąc to Sara wskazała władczo na mężczyznę, który stał za kontuarem dokładnie naprzeciw niej - powiesz mi natychmiast, gdzie trzymane są tego rodzaju skarby i kto może mi do nich wskazać drogę, a kiedy cię o to poproszę, zaprowadzisz mnie do tej osoby. Kiedy tu wrócisz, zrobi ci się niedobrze. A ty - przy tych słowach jej palec wskazujący przeniósł się ku drugiemu strażnikowi - zostaniesz tutaj cały czas. Gdyby ktoś spytał o twojego kolegę, powiesz mu, że dostał rozstroju żołądka i zaraz wróci. Kiedy później wyjdę z budynku, wy dwaj nie będziecie mnie wcale pamiętali. A teraz obudźcie się!

Mężczyźni mrugnęli i spojrzeli w zadziwieniu najpierw na siebie nawzajem, a potem na Sarę.

Uśmiechnęła się słodko.

- Dzień dobry, messieurs. Nazywam się Sirene. Szukam książki albo historycznego dokumentu wielkiej wagi i pilnie strzeżonego, który wasz szef, monsieur Niekrasow, zakupił dla Musilizera pół wieku temu. Kto mógłby pokazać mi ten dokument?

- Na takie rzeczy mamy przygotowany specjalny sejf na drugim piętrze podziemi, madame Sirene. Nasz główny archiwista, monsieur Clement Beauharnais, chętnie pani pomoże.

- Proszę mnie zatem do niego zabrać.

- Z przyjemnością. Proszę za mną, madame Sirene.

Ochroniarz otworzył drzwiczki w okrągłym kontuarze, żeby pójść przodem.

Poprowadził gościa w stronę wind i nacisnął przycisk „w górę”.

Sara umierała ze strachu. Co też ją napadło, żeby tak po prostu wkroczyć do kwatery głównej Niekrasowa?

Drzwi otworzyły się tuż przed nią i spojrzała w znudzoną twarz mężczyzny. O mały włos zaczęłaby krzyczeć ze strachu. Znała go, zdarzało im się nawet wspólnie koncertować. Był skrzypkiem, członkiem Orchestre National de France. Kolegą Noëla Pétaina.

- Przepraszam - powiedział muzyk, nie patrząc na nią nawet, i przecisnął się obok.

Na szarą myszkę w ogóle nie zwrócił uwagi. Patrzyła zdziwiona, jak idzie do stanowiska ochrony, wypisuje się z listy i.

- Proszę przodem - powiedział strażnik, wskazując wyciągniętą ręką wewnątrz windy Sara odzyskała panowanie nad sobą i szybko weszła do środka.

Jej towarzysz włożył do zamka w panelu sterowniczym jeden z swoich rozlicznych kluczy i wcisnął przycisk oznaczony „-2”. Pojechali w dół.

Dwa piętra niżej weszli do nędznego przedsionka z dwójgiem stalowych drzwi. Jeśli wierzyć napisom, jedne prowadziły do garażu, drugie do archiwum. Przez nie właśnie ochroniarz przeprowadził gościa, aby przekazać go naczelnikowi tego działu, którego skromne biuro znajdowało się na początku długiego, pomalowanego na nieprzyjemnie żółty kolor korytarza, tuż obok zegara kontrolnego i tablicy z kartami do rejestrowania czasu. Sara razem z towarzyszem wpadli na głównego archiwistę, który właśnie wychodził z pomieszczenia.

Był to wysoki i chudy mężczyzna o falujących włosach, w których pojawiały się już pierwsze nitki siwizny, niezwykle małej głowie, ostrym nosie i nonszalancko długim, czarnym jak futerko kreta garniturze. Do lewej kłapy wpięta była tabliczka z nazwiskiem „C. Beauharnais”. Kiedy zauważył obcych w swoim królestwie, jego twarz przyjęła marsowy wyraz.

- Co to ma znaczyć, Armand? Wie pan przecież, że osoby spoza firmy nie mają czego szukać tutaj na dole.

Strażnik wskazał na stojącą obok kobietę i wyjaśnił:

- To madame Sirene. Szuka książki albo historycznego dokumentu wielkiej wagi i pilnie strzeżonego, który nasz szef, monsieur Niekrasow, zakupił dla Musilizera pół wieku temu. Pokaże jej pan ten dokument.

Archiwista poczerwieniał jak burak i zaskrzeczał:

- Zupełnie panu odbiło?

Sara znów wcisnęła przycisk iPoda, z którego raz jeszcze dobyło się podprogowe zakłęcie.

Głowa Beauharnais'go obróciła się w jej stronę.

- Co też pani robi? Proszę to natychmiast wyłączyć.

- Chciałam, żeby posłuchał pan dźwięków fletu - odpowiedziała Sara uprzejmie, nie wyłączając urządzenia.

- Jest niema - gorliwie zapewnił strażnik Armand.

Beauharnais przeszył go wzrokiem na wylot.

- Nawet jeżeli tę wizytę zatwierdził ktoś na górze, powinniście byli do mnie zadzwonić, żebym odebrał madame Sirene z recepcji.

To będzie miało dla pana nieprzyjemne skutki, Armand. Pana miejsce jest na górze za monitorami.

- I tam też zaraz wrócę. A potem będę rzygał.

Archiwista przeciągnął dłoń przez przypominające wełnę stalową włosy, pokręcił z niedowierzaniem głową i szepnął:

- Powariowali, wszyscy powariowali.

Nagle zamknął usta i spojrzał tępo przed siebie.

Sara tymczasem przeraziła się nie na żarty. Człowiek na stanowisku Beauharnais'go mógłby być Słyszającym Barwy. Mógł też zostać uodporniony na działanie podprogowych komunikatów.

- Słyszysz mnie, Clemencie Beauharnais? - upewniła się.

- Tak, słyszę - odparł.

Zwróciła się w stronę ochroniarza.

- Nie będzie mi już pan potrzebny.

Armand odwrócił się i pomaszerował korytarzem, żeby zwymiotować w foyer.

Sara natomiast zaczęła wydawać polecenia archiwście. Tak naprawdę powtórzyła instrukcje wydane wcześniej strażnikom, dodała do nich raczej ogólne polecenie zachowania lojalności, za to bardzo dokładnie opisała obiekt swoich poszukiwań - „księga zgonów parafii Saint-Eustache albo pojedyncze strony z wpisami z początku 1866 roku” - i nakazała Beauharnais'emu się obudzić.

Ten zamrugał, odzyskując przytomność, i potarł oczy

Uśmiechnęła się do niego.

- Jak się pan czuje, monsieur Beauharnais?

Odwzajemnił uśmiech.

- Fantastycznie, madame Sirene. W czym mogę pomóc?

Jeszcze raz wyrecytowała swoją mantrę i zapytała:

- Wie pan o tej księdze?

- Tak. Byłem przy tym, kiedy monsieur Niekrasow wkładał ją do nowego sejf.

- Nowego... sejf? - Sara przeczuwała najgorsze. - Proszę go dla mnie otworzyć i pokazać mi książkę.

- Jestem niepokieszony, że muszę panią rozczarować, madame Sirene, ale kombinację znają wyłącznie messieurs Janin i Niekrasow.

Sarze zrobiło się słabo. Kolana zmiękły jej jak świeczki w piekarniku. Poszukując oparcia, zrzuciła z tablicy kilka kart do pomiaru czasu.

- Potrzebuje pani czegoś? - spytał Beauharnais.

Pokręciła głową, odpowiedziała jednak:

- Tak. Księgi parafialnej. Proszę zaprowadzić mnie do sejf.

- Z najwyższą przyjemnością. Proszę za mną.

Beuharnais prowadził ją dalej korytarzem. Tu i tam z sąsiednich pokoi dochodziły głosy albo śmiechy. Kilka drzwi było ledwie uchylonych. Sara pociała się w swym „mysim futrze”. Jeśli ktoś wyjdzie teraz na korytarz, na pewno ją zauważy i będzie się zastanawiał, dlaczego naczelny archiwista wbrew zaleceniom oprowadza po tym zakazanym terenie zupełnie obcą osobę. Zacisnęła dłoń na odtwarzaczu MP3.

Beauharnais zaprosił ją do cichego korytarzyka i zatrzymał się w końcu przed ostatnimi drzwiami. Zabezpieczone były zamkiem kodowym. Otwierając je, najpierw przesunął kartę magnetyczną przez czytnik, a potem wpisał kombinację cyfr.

Sara znalazła się w pokoju o nagich ścianach, który miał mniej więcej trzy na cztery metry. Znajdowały się w nim stalowe regały pełne segregatorów i pudełek z dokumentami, a także cztery sejfy. Archiwista pokazał jej ten, który stał po lewej stronie, tuż przy ścianie. Była to czarna skrzynka, błyszcząca jak lakier fortepianowy, na oko raczej staromodna. Najwyraźniej leciwy wielki mistrz Orłów preferował klasyczne rozwiązania.

- Kiedy monsieur Niekrasow złożył księgę w sejfie? - zapytała Sara.

- Mniej więcej przed rokiem.

A zatem wtedy, kiedy Oleg Janin zaczął ją prześladować.

- Nie widzę zamka. Czy otwiera się go tylko pokrętle, czy są też jakieś inne mechanizmy zabezpieczające?

- Nie ma, wystarczy siedmiocyfrowa kombinacja.

- Powiedział pan - siedmiocyfrowa?

- Zgadza się, madame Sirene. Wnętrze tej szafy pancерnej jest nowocześniejsze, niż sugerowałby to wygląd zewnętrzny. Ma elektroniczny zamek kodowy, który tylko wygląda na prosty mechanizm. Każda niewłaściwa kombinacja sprawia, że na możliwość wpisania kolejnej trzeba czekać coraz dłużej. Po trzech błędnych próbach trzeba odczekać godzinę, po czterech - cały dzień.

Sara utraciła wszelką nadzieję. Nie miała nawet ochoty wyobrazić sobie, ile miliardów i bilionów kombinacji da się ułożyć z siedmiu cyfr.

„Lira to najstarszy i objęty największą tajemnicą znak rozpoznawczy Słyszących Barwy”.

Słowa Nével, pierwszej strażniczki Harfy Wiatrów, przysły do niej tak nagle, że aż podskoczyła. I natychmiast jej umysł powiązał to z innym wspomnieniem - „Jako w górze, tak i na dole”. Pierwsza zasada alchemiczna Hermesa Trismegistosa, której prawie obsesyjnie trzymały się całe pokolenia mistyków. Najwyraźniej Słyszący w rodzaju Olega Janina także, inaczej nie wybrałyby sobie takiego akurat numeru telefonu, który przy wybieraniu tworzyłby synestetyczny obraz gwiazdozbioru *Lyrae*.

W Sarę na powrót wstąpiła energia.

- Jak obsługuje się ten zamek, monsieur Beauharnais?

- Proszę ustawić pokrętle na zero, przekręcić w stronę zawiasów do pierwszej liczby, potem w lewo, przy wybieraniu kolejnej znowu w prawo, i tak dalej aż do siedmiu. Na koniec proszę przesunąć zasuwę w prawo i pociągnąć drzwi.

Sara ustawiła pokrętle w pozycji wyjściowej i wybrała ostatnie siedem cyfr numeru telefonu Janina. Potem zabrała się za zasuwę, która jednak opierała się zawzięcie próbom wyciągnięcia i wypchnięcia.

- Zacięło się - sapnęła w napięciu.

- Nie, wybrała pani złą kombinację.

Wypuściła niesforny zamek. Liczby na pokrętle były wypisane blisko jak na miarce centymetrowej. Może pomyliła się przy wyborze? Spróbowała kolejny raz - z tym samym skutkiem.

- Cholera! - wyszczała. - To by jednak było jednak zbyt łatwe.

- Słucham, madame Sirené?

Posłała naczelnemu archiwście wściekłe spojrzenie, chociaż nie ponosił winy za jej porażkę. Nagle przyszedł jej do głowy pomysł.

- Macie tu na dole dostęp do Internetu?

- Tak, w moim biurze.

- Chodźmy - Sara weszła mu w słowo, spiesząc już ku drzwiom.

Kilka sekund później siedziała w ponurym pokoju, którego jedyny barwny element stanowiła fotografia pyzatej żony monsieur Beauharnais'go i obu jego równie pyzatyh córek.

Szybko jak hackerka weszła do sieci i zaczęła szukać informacji o gwiazdozbiorze Lutni, zwanym po łacinie *Lyrae*. Klasyczne nazwy trzech ze składających się nań obiektów gwiazdnych - Wega, Sheliak i Sulafat - jeszcze pamiętała, wpisała je więc razem z nazwą gwiazdozbioru. Na tym skończyła się wprawdzie jej wiedza dotycząca instrumentu Orfeusza, więcej nie było jednak, jak się okazało, potrzebne. Już na pierwszym ekranie znalazła to, czego szukała - oznaczenia astronomiczne gwiazd.

Zazwyczaj ciała niebieskie oznacza się literami greckiego alfabetu, pierwsza gwiazda - tutaj Wega, „Orzeł” - stała więc w pozycji alfa, drugiej przypisano literę beta, trzeciej gamma, i tak dalej. Nazwę mogły uzupełniać inne znaki. W przypadku gwiazdozbioru Lutni astronomowie przypisali numery gwiazdom od alfa do eta: *3 a Lyr (Wega)*, *10 â Lyr (Sheliak)*, *14 ã Lyr (Sulafat)* aż do ósmego obiektu *20 ç Lyr (Aladfar)*.

Sara z zadowoleniem patrzyła na zapisany na kartce ciąg liczb:

3 - 10 - 14 - 12 - 45 - 67 - 20

- Nadaje się na kombinację do sejfu? - zapytała Beauharnais'go, który obserwował jej starania z obojętnym wyrazem twarzy.

- Jak najbardziej - potwierdził.

Sara wyczyściła cache przeglądarki, pamięć podręczną, w której zapisywane były odwiedzane ostatnio strony, a także historię przeglądania. Nagle usłyszała

dochodzące z biura głosy.

- Ktoś idzie? - spytała.

- Moje współpracownice wychodzą do domu - odpowiedział Beauharnais mechanicznie.

Podeszła do drzwi i nasłuchiwała, aż znowu nastąpiła cisza. W końcu kazała archiwście raz jeszcze zaprowadzić się do pomieszczenia z sejfem.

Po raz kolejny ustawiła pokrętło na zero i zaczęła obracać. Kiedy wprowadziła już całą sekwencję, przesunęła zasuwę w prawo. Tym razem zamek otworzył się gładko.

- Gratuluję - powiedział Beauharnais z miną nie zdradzającą żadnych uczuć.

Otworzyła drzwi. Skarbiec podzielony był na kilka półek, na których leżały połówki teczek, segregatory, kilka szkatuł i stosik wyraźnie starych książek. Sara najchętniej zabrałaby ze sobą całą zawartość skrytki, na to nie mogła sobie jednak pozwolić - przychodząc tutaj i tak postawiła wszystko na jedną kartę. Ryzyko, że zostanie odkryta, wzrastało z każdą chwilą. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że pewna szara myszka nazwiskiem d'Albis odwiedziła gniazdo Orłów i coś podwędziła. Sięgnęła po oprawiony w brązową skórę foliał, którego wielkość i stan wydał jej się znajomy.

- Bingo! - wyszeptała. Rzeczywiście był to skradziony w 1866 roku rejestr zgonów parafii Saint-Eustache. W podnieceniu przekartkowała go aż do końca wpisów i wydała z siebie triumfujące „Tak!”. Wbrew temu, co twierdził Niekrasow, nie brakowało śmierci po 12 stycznia tamtego roku. Księga była kompletna.

Szybko przeniosła ją - wciąż pod obojętnym wzrokiem archiwisty - na dobrze oświetlony stolik. Zamiast zrobić szybko zdjęcie rewersowi i awersowi strony, po czym ulotnić się, zaczęła łapczywie pochłaniać starannie naniesione wpisy. Nagle palec, którym wodziła po stronie, zamarł.

- Anna Maria Liszt, *de domo* Lager? - wyszeptała skonsternowana.

Czemu nie sprawdziła tego wcześniej? Matka Franciszka Liszta zmarła 6 lutego 1866 roku. Pogrzeb odbył się już w dwa dni później - dokładnie pięć tygodni przed dziwnym koncertem w Saint-Eustache. Teraz widziała to zapisane wyraźnie czarnobrązowym atramentem na połówkowym papierze. Anna odeszła z tego świata w domu mieszczącym się przy Rue Saint-Guillaume 29. Znajdował się on, podobnie jak i miejsce ostatniego spoczynku zmarłej, na południe od Sekwany, parafia Saint-Eustache obejmowała natomiast tereny na

północ od rzeki. Wzmianka o śmierci Anny w rejestrach obcej parafii wydała się Sarze równie niezwykła, co dopisek w metryce:

„A od Ps 68, 10 (VUL) rozbrzmiały wszystkie dzwony”.

Monsieur Beauharnais odchrząknął:

- Czy mogę w czymś jeszcze służyć, madame Sirene?

Musiła zebrać się w sobie, zanim mogła odpowiedzieć:

- Jeszcze tylko chwila, prawie skończyłam.

Szybko wyjęła z torby aparat fotograficzny i zrobiła kilka zdjęć obu stron kartki. Niektóre z fleszem, inne bez. Wpis dotyczący Anny Liszt na wszelki wypadek sfotografowała też z bliska. Potem zamknęła księgę, odłożyła ją do sejfu, dokładnie w to samo miejsce, gdzie ją znalazła, i znów zwróciła się do archiwisty.

- Proszę zabezpieczyć skarbiec jak należy, monsieur Beauharnais.

Ten zamknął drzwi, zaciągnął rygiel na swoje miejsce, przekręcił pokrętko w lewo, aż wykonało pełny obrót, i wyjaśnił:

- To wymazało kombinację.

- Doskonale - pochwaliła go Sara. - A teraz zrobimy co trzeba: zaprowadzi mnie pan do recepcji w holu. I, proszę pamiętać - nie ma mnie tutaj, nigdy mnie tutaj nie było i nigdy nie będzie. Całe popołudnie spędził pan sam w towarzystwie fotografii rodzinnej.

- Tak, madame Sirene.

Beauharnais przeprowadził ją przez korytarz w stronę wind. W przedsionku ktoś ustawił jeden na drugim trzy duże pojemniki z aluminium. Górny był jeszcze otwarty, prawdopodobnie dopiero go zapełniano. Na podłodze leżało kilka bębnow kabli. Drzwi do podziemnego garażu stały otworem. Sara zajrzała do środka i ujrzała potężnego mężczyznę w liberii. Olbrzym pchał wózek inwalidzki, na którym siedział pomarszczony staruszek o śnieżnobiałych włosach. Kierowali się w stronę srebrnego rolls-royce'a.

Sara wcisnęła się we wnękę drzwi do windy i wyszeptała:

- Kim jest ten starzec?

- To monsieur Niekrasow - odpowiedział Beauharnais donośnie.

Zadrzała.

- Jest tam kto? - dobyło się z podziemnego garażu. Potężny głos z całą pewnością należał do młodego szofera, który mógł być również ochroniarzem

szefa firmy Sara próbowała zrobić się niewidzialna. Wcisnęła się tak mocno w drzwi windy, że prawie stopiła się z nimi w jedno.

W przeciwieństwie do Beauharnais'go. Ten wystąpił nawet krok do przodu i zawołał do szofera:

- To ja, Clement!

- Ach! - odpowiedział tamten. - Nadgodziny?

- Całe popołudnie spędziłem sam w towarzystwie fotografii rodzinnej.

Sara najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Początkowo z podziemnego garażu nie nadchodziła żadna odpowiedź. Potem usłyszała aż nazbyt dobrze jej znany szeleszczący głos.

- To zabrzmiało dziwnie. Można by sądzić. Szybko, André, przesuń mnie do tej kolumny i sprawdź, czy wszystko jest w porządku.

Sara miała wrażenie, że pod jej stopami otwiera się piekło. Co mogła zrobić? Ochroniarz wielkiego mistrza na pewno był uodporniony na Dźwięki Władzy.

- Proszę zaczekać chwilę, Clement - krzyknął olbrzym.

- Z miłą chęcią - odpowiedział Beauharnais.

Sara zamknęła oczy. Głos w jej głowie powiedział: „Całkiem ładnie to wymyśliłaś, ale było to trochę naiwne”. Pospiesznie rozejrzała się dookoła. Gdyby rzeczywiście była szarą myszką, w jaką próbowała się wcielić, mogłaby ukryć się w jakiejś dziurze! Nagle skupiła rozbiegany wzrok w jednym miejscu. „Tak! To może się udać”.

Wcisnęła archiwiszcę w ręce swoją baloniastą czapkę i wyszeptała mu do ucha:

- Proszę mu powiedzieć, że przed chwilą pożegnał pan kobietę, która w tej właśnie chwili kieruje się do biura Siergieja Niekrasowa. Teraz goni ją pan, bo zostawiła na dole swoją czapkę. A ja staję się od teraz dla pana niewidzialna.

Beauharnais spojrzał na nią tępym wzrokiem.

- Gdzie pani nagle zniknęła? Nie widzę pani.

Sara nie wiedziała, czy miał tylko szczególnie dziwaczne poczucie humoru, czy też Dźwięki Władzy rzeczywiście sprowadziły na niego wybiórczą ślepotę.

Kroki zbliżały się.

Zręcznie przemknęła do aluminiowych pojemników, wskoczyła do górnego, skuliła się wśród kabli i cicho zamknęła nad sobą pokrywę. Ani o sekundę wcześniej, chwilę później usłyszała bowiem głos ochroniarza.

- Wszystko w porządku, Clement? Sprawia pan dziwne wrażenie.

- Wszystko w jak najlepszym porządku, André.

Zapadła cisza. Sara potrafiła sobie doskonale wyobrazić, jak szofer Niekrasowa mierzy właśnie wzrokiem archiwistę. Stłumiła chęć otwarcia pokrywy ciasnego pojemnika i wyjrzenia na zewnątrz.

- Co trzyma pan w ręku? - zapytał nagle ochroniarz.

- To czapka. Madame Sirene zostawiła ją u mnie w biurze. Właśnie poszła do biura Siergieja Niekrasowa, a ja ją gonię.

- Nie powiedział pan przed chwilą, że całe popołudnie spędził pan sam w towarzystwie fotografii rodzinnej?

- Zgadza się, André.

- Chwila! Ta dama nazywa się Sirene?

- Wymówiła to nieco inaczej, ale mam dokładnie to samo skojarzenie, André.

Od razu pomyślałem o morskiej nimfie wabiącej marynarzy śpiewem.

- Albo o stworzeniu z ciałem ptaka i głową kobiety, które sprowadzało na marynarzy śmierć. Czy była umówiona?

- Nie. Nigdy jej też tu nie było i nigdy nie będzie.

Sara skrzywiła się w swoim ukryciu. Sytuacja na zewnątrz rozwijała się bardzo niepomyślnie. Nie doceniła Dźwięków Mocy i ich kaprysów. Jak gdyby szczęście chciało zadrwić z niej po raz ostatni, na zewnątrz rozbrzmiał właśnie dzwonek oznaczający przyjazd windy. Drzwi otwarły się. Gdyby przyjechała kilka ledwie sekund wcześniej.

- A więc madame Sirene jedzie teraz na piętro, gdzie są biura zarządu? - upewnił się ochroniarz. Wyzbył się strachu, jednak wciąż nie potrafił ukryć podejrzliwości w głosie.

- Tak - odpowiedź Beauharnais'go zagłuszył hałas zamykających się drzwi windy.

- Kazała panu to powiedzieć? - zapytał André.

- Niby jak? Nigdy jej tu nie było i nigdy jej tu nie będzie.

- Psiakrew! - wyrwało się ochroniarzowi.

Zapadła przygniatająca cisza. Sara miała wrażenie, że czuje podejrzliwy wzrok odzianego w liberię olbrzyma omiatający przedsiónek. Potem usłyszała kroki. Zacisnęła powieki. Przez myśl przemknęło jej, że zauważył, że ktoś zamknął skrzynkę. Za chwilę wieko otworzy się i.

W rzeczy samej, otworzyło się.

Sara chciała krzyczeć, ale ze strachu nie mogła wydobyć z siebie głosu. W jasnej szczelinie nad sobą zobaczyła najpierw kciuk, potem całą dłoń, ramię.

- André? - zaszeleścił nagle zniecierpliwiony głos Niekrasowa.

- Jestem - odpowiedział wezwany. Pokrywa opadła, w skrzyni znów zapanowała ciemność. Sara usłyszała ciężkie kroki, które tym razem oddalały się od niej.

- Możemy już jechać, czy mamy jakiś problem? - zapytał wielki mistrz. Musiał samodzielnie obrócić wózek inwalidzki w stronę przedsionka.

- Niestety, chyba mamy, monsieur Niekrasow. Wygląda na to, że w budynku jest agentka, która właśnie kieruje się w stronę pańskiego biura. Zmanipulowała Clementa.

Brzmienie głosu ochroniarza pozwalało przypuszczać, że stoi już w drzwiach do podziemnego garażu.

Wielki mistrz odpowiedział niezwłocznie.

- A zatem do góry, André! W żadnym wypadku nie możemy pozwolić jej uciec.

- Już idę.

Beauharnais'mu olbrzym polecił zaś: - Proszę nie ruszać się z miejsca.

Sara słyszała, jak wchodzi do windy

Odczekała jeszcze chwilę, potem ostrożnie uchyliła pokrywę i wyjrzała przez wąską szczelinę. Archiwista był sam. Apatycznie spoglądał w pustkę. Tak cicho, jak tylko umiała, wyslizgnęła się ze skrzyni. Beauharnais zwrócił się w jej stronę. Oczy miał szkliste, jak u niewidomego.

Nagle w garażu rozległ się szeleszczący głos Niekrasowa:

- Clement, podejdź, proszę, do mnie, chłopcze. Chciałbym cię o coś zapytać.

Archiwista nie spuszczał wzroku z Sary. Ona zadrzała. Czy tak miał wyglądać jej koniec? Czyja moc okaże się silniejsza - poskładanych przez nią melodii Słyszających Barwy, czy słowa mistrza harfy?

Beauharnais odwrócił się do niej i bez słowa wyszedł z przedsionka.

Odetchnęła z ulgą, przemknęła w stronę wind i wcisnęła przycisk „do góry”. Przez otwarte drzwi do garażu nie widziała wprawdzie ani Niekrasowa, ani Beauharnais'go, jednak ich głosy wydawały się dobiegać z bardzo bliska.

- Słuchaj mnie bardzo uważnie - polecił mistrz harfy i zaczął wygwizdywać jakąś dziwną melodię.

Sara zamarła. Niekrasow wykorzystywał Dźwięki Władzy do złamania

zaklęcia, którym owładnęła duszą archiwisty. Ponownie wcisnęła się we wnękę windy. Miała wrażenie, że płonie w środku. „Przyjeżdżajże!”, błagała po cichu. „Otwórz się”.

Nagle pieśń mistrza harfy urwała się, a pergaminowy głos zapytał:

- Słyszysz mnie, Clement?

- Tak, słyszę - odpowiedział archiwista.

- Czy agentka zagwizdała ci jakąś melodię albo coś zaśpiewała?

- Nie, monsieur Niekrasow.

Sarze zmiękły kolana.

- A może zagrała coś na jakimś instrumencie?

- Nie.

- Użyła.

Nagle rozbrzmiał dzwonek windy i drzwi otworzyły się. Sara tak mocno się o nie oparła, że o mały włos wpadłaby jak długa do kabiny.

- Jest tam kto? - spytał ostro Niekrasow.

- Nie ma jej tu, nie było jej i nigdy nie będzie.

- Szybko, zabierz mnie do wind!

- Chętnie, monsieur Niekrasow.

Sara tymczasem wcisnęła przycisk jazdy na parter i właśnie waliła w kolejny, aby zamknąć swoją kapsułę ratunkową. Drżąca, oparła się o ścianę windy i patrzyła w stronę garażu. W drzwiach pojawił się wózek inwalidzki Niekrasowa. Widziała tylko jego nogi do kolan i dwie pokryte plamami, pomarszczone dłonie na poręczach. Na lewej tkwił złoty sygnet. Potem śluza zamknęła się i winda opuściła podziemne królestwo.

Sara zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

Zdała sobie sprawę, że dojechała na miejsce, kiedy na parterze otworzyły się drzwi windy. Powitał ją szary gwar. Ludzie dziesiątkami wychodzili z wind. Na kilka gorączkowych sekund zastygła z zapartym tchem. „I po wszystkim” - pomyślała.

Nikt jednak nie zwracał uwagi na kobietę w nieciekawym płaszczu przeciwdeszczowym, uwagę zebranych absorbował kto inny:

o recepcję opierał się kredowo blady Armand, ochroniarz. Oddychał ciężko, wsparty na ramionach swoich kolegów. Stali w zielonożółtej kałuży wymiocin.

Wychodzący z biura pracownicy Musilizera odegrali spektakl odrazy: z obrzydzeniem omijali śmierdzącą plamę szerokim łukiem, jednocześnie jednak

pilnowali, żeby nie stracić ani na chwilę z oczu cierpiącego kolegi.

Nagle rozległ się alarm przeciwpożarowy.

Sara drgnęła. Prawdopodobnie uruchomił go ochroniarz, dotarłszy do pomieszczeń zarządu. Szepty w holu przybrały na sile. Eskalacja wydarzeń nie spotkała się jednak z właściwą reakcją gapiów. Sara przecisnęła się przez faustowski tłum w stronę wyjścia. Nikt nie patrzył na szarą myszkę. Poza kamerami bezpieczeństwa.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

Błędem, który popełniłem, była zgodana występ w tak pożałowania godnych warunkach.

Franciszek Liszt

Rozdział 37.

Paryż, 31 marca 2005, 18:34

Sara poczuła się trochę bezpieczniej dopiero kiedy zamknęły się za nią drzwi do mieszkania Noëla Pétaina. Po drodze do swojego schronienia miała wrażenie, że umiera tysiąc razy. Czy mogła w ogóle zostać u niego jeszcze jedną noc, narażając go w ten sposób na niebezpieczeństwo? W braku alternatywy zdecydowała się podjąć to ryzyko.

Zdjawszy szary płaszcz i pozbywszy się peruki, opadła na wielką sofę z czarnej skóry, na której przez kilka minut leżała jak martwa. Niewiele brakowało, a wpadłaby w łapy mordercy Florence Le Mouel i tylu innych osób. Tiomkin groził jej już „nieprzyjemnymi rzeczami”. Z trudem powstrzymała się, żeby nie zacząć ich sobie wyobrażać. W aluminiowej skrzyni czuła się jak w trumnie. Z perspektywy cała wyprawa wydała jej się niedorzeczna. Idiotyczne kwestie archiwisty, którego mózg zupełnie zgłupiał od różnych manipulacji. Kiedy Niekrasow domyśli się, kto spletał mu takiego figła?

Uspokoiwszy się nieco, przegrała zdjęcia na laptopa. Większość była doskonałej jakości. Starannie przejrzała raz jeszcze obie strony foliału, ale jedynym szczegółem, który zwracał jej uwagę, pozostała wzmianka o śmierci i pochówku Anny Liszt. Sarę ogarnęło przeczucie, że odkryła wskazówkę, której nie potrafi odczytać.

Przywołała na ekran zbliżenie zdjęcia. Nagle poczuła na plecach dreszcz. Czy odniesienie do Pisma Świętego zostało dopisane później? Ożywiona przywołała na pomoc inne źródła, chcąc osadzić tak lakonicznie opisane w księdze metrykalnej wydarzenia w kontekście.

Na początku lutego 1866 roku Liszt, przebywający wtedy w Rzymie, otrzymał wiadomość od swojego zięcia Emila Olliviera (którego żona, córka Liszta, Blandine, zmarła już w roku 1862). Młody wdowiec donosił, że Anna

zachorowała na poważne zapalenie płuc. Jeszcze w połowie stycznia pisał, że cieszy się ona „doskonałym zdrowiem”. Liszt niezwłocznie wyruszył do Paryża, zanim jednak udało mu się tam dotrzeć, otrzymał telegram. Pisano w nim, że jego matka już umarła, a pogrzeb odbędzie się 8 lutego. Jako że nie był w stanie przybyć na czas do francuskiej stolicy, Liszt z ciężkim sercem postanowił, że przyjedzie dopiero na planowaną paryską premierę *Missa solemnis*. Na mszę w intencji zmarłej odprawioną w kościele pod wezwaniem św. Tomasza z Akwinu dotarła jedynie garstka żałobników, a jeszcze mniejsza ich liczba pożegnała Annę Liszt na Cimetiere du Montparnasse.

Czy to Ciemni ją zabili? Sara pokręciła głową. Sto czterdzieści lat temu łatwiej było chyba umrzeć na zapalenie płuc niż dziś. Ale tak szybko?

Odsunęła od siebie paraliżujące myśli i zmusiła się do skupienia na kolejnej wskazówce: „A od Ps 68, 10 (VUL) rozbrzmiały wszystkie dzwony”.

„Zastanawiające sformułowanie” – pomyślała. Psalmi były pieśniami pochwalnymi śpiewanymi z towarzyszeniem instrumentów muzycznych. Czy ksiądz nie powinien raczej napisać, że dzwony grały do psalmu, a nie odwrotnie?

Sara podeszła do regału z książkami Noëla. Pośród różnych powieści, albumów, partytur i książek poświęconych muzykom jazzowym, znalazła Pismo Święte w przekładzie Louisa Segonda. Wzięła Biblię i otworzyła na Psalmie 68. Treść wiersza 10 wprawiła ją jednak w jeszcze większe zadziwienie:

„Tu as repandu, o Dieu, la pluie de ta bienveillance pour fortifier le people qui t'appartient quand il etait epuise ”.

– „Zesłałeś, Boże, obfity deszcz, swe wyczerpane dziedzictwo Ty orzeźwiłeś”¹⁷? – wyszeptała Sara tępo. Ponownie spojrzała na zdjęcie z księgi parafialnej.

Zmarszczywszy czoło, patrzyła na zadziwiający dopisek za fragmentem Biblii. „VUL”. Co miały oznaczać te trzy litery? Po kilku bezowocnych próbach wygrzebania czegokolwiek z przenośnej biblioteki, postanowiła podjąć ryzyko, które prawdopodobnie bardzo nie spodobałoby się Krystianowi. Włożyła do telefonu nową kartę SIM, ponownie zmieniła jego numer seryjny i zadzwoniła do Yves’a Tabaries’a, wikarego parafii Saint-Eustache. Miała szczęście, podobnie jak dwa dni temu. W słuchawce znowu odezwał się jego miękki głos.

– Kithara Vitez.

– Cóż za niespodzianka! Dobry wieczór, madame d’Albis! – odpowiedział

Tabaries ironizując.

Brzmienie własnego nazwiska nigdy wcześniej nie przeraziło Sary tak bardzo. Miała wrażenie, że lada chwila zamieni się w słup soli. „Ach... bardzo mi przykro” – było wszystkim, co zdołała z siebie wydobyć.

- Dlatego że mnie pani okłamała, czy też dlatego że przeszedł mi koło nosa milion euro?

- Nie wydał mnie pan? – w Sarę wstąpiła nadzieja.

- Nie. Musilizer zarabia na manipulacji ludźmi, a to mi się nie podoba. Nie wyobrażam sobie, żeby ci ludzie poszukiwali pani z dobrego serca. Cała ta kampania ogłoszeniowa stanowi dla mnie zagadkę.

- Kampania?

- Widziałem pani zdjęcie również w dwóch innych gazetach. Nic dziwnego, że wydała mi się pani tak znajoma.

Sara postanowiła odkryć karty, przynajmniej niektóre.

- Próbowano mnie zamordować, monsieur Tabaries, a ludzie z Musilizera byli w to zamieszani. Dlatego postanowiłam się ukryć.

- Czy to kolejne kłamstwo?

- Nie. Na to sprawy zaszły za daleko.

Przez kilka sekund słyszała jedynie oddech Tabaries'a. Potem powiedział:

- Czemu zawdzięczam pani telefon, madame. Vitez?

Sara odetchnęła, podziękowała serdecznie wikaremu i przedstawiła swój problem.

Ledwo skończyła, kiedy Tabaries odpowiedział:

- „VUL” to powszechnie stosowany skrót na Wulgatę, łaciński przekład Biblii.

W większości współczesnych wydań Biblii wers ten znajduje się w Psalmie 69, a nie w 68.

Z komórki dobiegł szelest, jakby ksiądz poszedł gdzieś ze swoim telefonem.

- Ktoś po prostu dopisał sobie psalm? – zdziwiła się Sara.

- Nie – Tabaries jęknął, jakby odsuwał coś ciężkiego. – Wulgatę zawdzięczamy świętemu Hieronimowi, jednemu z Ojców Kościoła. Sporządzając numerację psalmów, posiłkował się greckim przekładem, *Septuagintą*. W odróżnieniu od większości współczesnych przekładów, Psalm 9 i 10 oraz 114 i 115 są tam połączone, a 116 i 147 rozbite na dwa. Wszystkich psalmów jest więc nadal sto pięćdziesiąt, jednakże nie zgadza się numeracja między psalmami 10 i 146. W przekładzie Louisa Segonda musi więc pani znaleźć Psalm 69, wers

10. Proszę zaczekać, znalazłem. W Wulgacie tekst ten brzmi: „*Quoniam zelus domus tuae comedit me...*”

- Chwila, chwila, chwila - przerwała Sara duchownemu. - Nie rozumiem łaciny. Mógłby pan przełożyć dla mnie ten fragment?

- Nie ma sprawy, wystarczy jednak, że zajrzy pani do Louisa Segonda. Na nekrolog dla pani zmarłej nada się jednak jedynie pierwsza połowa wersu: „Bo gorliwość o dom Twój mnie pożera.”

- „*Car la zele de ta maison me devore...*” - przeczytała cicho cały wers. - „Bo gorliwość o dom Twój mnie pożera i spadły na mnie obelgi uwłaczających Tobie”.

Czyżby Liszt miał na myśli po prostu Ciemnych Słyszących Barwy? Tego nie dało się już stwierdzić, skupiła się więc raczej na słowach wikarego.

- *Zeles, zelus.* - powiedziała do siebie.

- Nasze francuskie określenie na gorliwość i pilność pochodzi od łacińskiego *zelus* - zauważył Tabaries. - Zapewne słyszała pani o zelotach, radykalnych „gorliwych”, którzy w pierwszym stuleciu zamienili ludziom w Palestynie życie w piekło, zarówno Rzymianom, jak i własnym rodakom, którym zarzucali życie niezgodne z zasadami judaizmu. Zeloci uważali się za jedynych obrońców bożego prawa.

- Gorliwi buntujący się przeciwko panującej władzy. - zamyśliła się Sara.

- Może powie mi pani po prostu, czego pani szuka? Może mógłbym wtedy pomóc - zaproponował Tabaries.

„Nie ufaj nikomu!” - rozbrzmiały w jej głowie słowa Krystiana. A kolejne - już jej własne - pouczyły: „Podejrzliwość można się udławić”. Westchnęła.

- Szukam związku między tym fragmentem Biblii i muzyką.

- Muzyką? - powtórzył wikary z namysłem i dodał ożywiony.

- Proszę chwilę zaczekać, coś mi właśnie przyszło do głowy! Wie pani zapewne, że w kościele Saint-Eustache cały czas odbywają się koncerty.

Sara wstała z krzesła i nadstawiła ucha.

- Tak. I?

- Ostatnio rozmawiałem z pewnym muzykiem. Pokazał mi kopie pewnej partytury, to był jakiś utwór Mozarta. Na kopii odbito stempel w kształcie liry.

- Liry? - weszła mu w słowo Sara.

- Tak. Co w tym takiego dziwnego?

- Nic, proszę mówić dalej.

- W każdym razie, wokół tego instrumentu widniał napis po łacinie „*Zelus pro Domo Dei*”.

- Domyślam się, że to oznacza „gorliwość o dom boży”?

- Dokładnie tak. Prawdopodobnie w nawiązaniu do interesującego panią fragmentu Biblii. Chodziło chyba o nazwę jednego katolickiego konserwatorium.

- Gdzie mieści się ta uczelnia?

- Proszę zaczekać. O, już mam. W Amsterdamie.

==fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA==

APARCIAS (PÓŁNOCNY ZACHÓD)

AMSTERDAM

Kościół Katolicki, zajęty jedynie mamrotaniem martwych formuł i utrzymywaniem przy życiu własnej słabowitości, znający jedynie zakaz i klątwę w miejsce błogosławieństwa i podnoszenia na duchu, pozbawiony wszelkiego współczucia dla tej głębokiej tęsknoty, która trawi młode pokolenie, nie rozumiejący ani sztuki, ani nauki, nie mogący nic i niczego nie oferujący dla zaspokojenia tego bolesnego pragnienia, tego głodu sprawiedliwości, wolności, miłości – Kościół Katolicki (...) całkowicie wyzbył się tak szacunku, jak i miłości współczesnych.

Franciszek Liszt, *O roli artysty*, 1835

*Jak wiecie, w sercu noszę głęboki smutek, który tu i tam musi też przebijać
spod nut.*

Franciszek Liszt

Rozdział 38.

Paryż, 1 kwietnia 2005, 11:30

Lista złamanych zasad robiła się coraz dłuższa. Państwowy egzamin na dyplomowanego szpiega Sara prawdopodobnie oblałaby z kretesem. Cały czas ukrywała się w mieszkaniu Noëla. Saksofonista wyjechał do Strasburga o, jak podkreślił kilkakrotnie, „nieboskiej godzinie”. Stwierdził, że to gościnny występ i wróci dopiero pojutrze. Sara mogła zostać u niego, jak długo chciała.

I tak już dostatecznie nadużyła jego gościnności. „Często zmieniaj miejsce pobytu, najlepiej codziennie”. W myślach cały czas słyszała słowa Krystiana, brakowało jej jednak odwagi, żeby ruszyć do miasta, po którym krążyły Orły. Dlatego cały czas siedziała w miejscu. I patrzyła na komórkę.

Czekała na telefon od Hanny Landnal, tej samej chudej jak szczapa felietonistki, obok której miała wątpliwą przyjemność siedzieć w Niemieckim Teatrze Narodowym w Weimarze. Landnal przebywała obecnie w Amsterdamie.

Sara zdobyła całkowitą pewność, że trop róży wiatrów prowadzi właśnie tam. Kolejna stacja ukazała się jej już po rozmowie z *pere* Tabaries'em. Gdzie jednak dokładnie ukryta była kolejna wskazówka? I jak mogła zobaczyć ją za sprawą swego *audition colorée*? Na razie nie miała najmniejszego pomysłu.

Z pomocą przyszła jej przenośna biblioteka. Wśród korespondencji Franciszka Liszta odnalazła jedną wypowiedź z 11 listopada 1863 roku, w której kompozytor skarżył się, że wiele instytucji traktuje go ciągle jako wirtuoza, nie docenia jednak jego pracy kompozytorskiej. Potem jednak wspomniał o pewnym wyjątku:

„po wyjeździe z Niemiec znalazłem tylko jedno towarzystwo muzyczne, które mogę określić mianem chlubnego wyjątku, a mianowicie stowarzyszenie *Zelus pro Domo Dei* z Amsterdamu, które, na dowód uznania po wykonaniu

mojej *Graner Messe* sprzed tygodnia, wysłało mi dyplom honorowego członka razem z utrzymanym w bardzo odpowiednim tonie listem. U góry dyplomu widnieje napis: »Roomsche Katholiek Kerkmusiek Collegie«, a samo towarzystwo powstało w roku 1691”.

Ten list powstał mniej więcej dwa i pół roku przed tragicznym koncertem w kościele Saint-Eustache, a więc w okresie, kiedy – według ustaleń Sary – Liszt zaczął planować stworzenie tropu róży wiatrów. Po raz kolejny pojawiała się też nazwa *Missa solemnis, Graner Messe*. Przypadek? A może Liszt znowu zamienił religijne dzieło w klucz, jeden z ośmiu, które mają otworzyć pielgrzymowi róży wiatrów drzwi, za którymi ukryte są Purpurowe Nuty?

Sara wróciła do poszukiwań w Internecie. Niestety, okazało się, że kolegium muzyczne *Zelus pro Domo Dei* już nie istnieje. Mimo wszystko dalej szukała informacji i natrafiła dzięki temu na stronę amsterdamskiej Stichting Toonkunst-Bibliotheek, która przejęła zbiory konserwatorium. W sieci znajdowały się nawet skany partytur, na których rzeczywiście widniał błękitny stempel, o którym wspominał Tabaries. Miał owalny kształt, a zamieszczona w nim lira spoczywała na podstawie – dokładnie tak jak harfa eolska, na której Krystian wyczarował herb Saint-Cricq. Sara nie potrzebowała już dalszych punktów zaczepienia. „A od »Zelus pro Domo Dei« rozbrzmiały wszystkie dzwony” – tak brzmiała częściowo przetłumaczona wzmianka w rejestrze zgonów parafii Saint-Eustache. Teraz dziwaczny szyk zdania zaczynał nabierać sensu. To towarzystwo muzyczne mogło zagrać *Mszę* na dzwonach, prawdopodobnie na karylionie, którego dzwony zazwyczaj umieszczone są w wieży i – przynajmniej za czasów Liszta – wprawiane w ruch pociągnięciami lin. Tego typu instrumentów jest w Holandii, jak Sara przekonała się ku własnemu ubolewaniu, bardzo dużo. Na wypróbowanie ich wszystkich życia by nie starczyło.

Kiedy zastanawiała się nad szybszym sposobem, pomyślała o Hannie Landnal. Każda solistka, która pragnęła przetrwać w świecie muzyki, musiała pozostawać w dobrych stosunkach z wpływowymi krytykami i znać na pamięć ich dane kontaktowe.

Sara znów zmieniła identyfikator komórki, tak żeby psy gończe Niekrasowa nie mogły powiązać Tabaries’a z niemiecką felietonistką. Potem wybrała jej numer. Tym razem nie mogła się ukrywać. Prawdziwa tożsamość była jej głównym atutem. Nawet jeśli łamała w ten sposób kolejną z zasad, których

nauczył ją Krystian.

Kiedy dziennikarka odebrała telefon, Sara powiedziała po niemiecku:

- Tutaj Sara d'Albis. Ma pani dla mnie chwilę, pani Landnal?

- Co to za głupi żart? - odparła rozzłoszczona felietonistka.

- To naprawdę ja. W Weimarze 13 stycznia spytała mnie pani, czy spotkamy się ponownie na *Przebudzeniu wiosny* w Amsterdamie. Dlatego dzwonię.

- Niech mnie kule biją, to naprawdę pani! Cały świat pani szuka. Musilizer zamieścił ogłoszenia w każdej większej europejskiej gazecie, żeby panią znaleźć, a pani dzwoni do mnie? Dlaczego?

- Chciała pani przeprowadzić ze mną wywiad. Mogę obiecać coś lepszego - historię na wyłączność. Opowiem pani dokładnie o zamachu na moje życie, a do tego zaprezentuję niewiarygodną teorię spiskową.

- Zamach na życie? Teoria spiskowa? Czy próbuje się pani na mnie zemścić? Chce mnie pani nabić w butelkę i napawać się potem moją kompromitacją przed całym światem?

- Nie. Na pewno nie ukrywałabym się, gdybym nie miała poważnych powodów.

Landnal roześmiała się w ten swój niezrównanie suchy sposób.

- Ach, kochanie, gdyby pani wiedziała, co też są w stanie wymyślić pani koleżanki, żeby zwrócić na siebie uwagę świata! Anna Netrebko filmuje się nago w wannie i mówi, że to wideo promocyjne;

Vanessa Mae zmienia się w aniołka i pozuje z białymi skrzydłami, w srebrzystych slipach i staniku z własnych dłoni, a.

- Nie jestem taka jak one i wie pani to doskonale - Sara przerwała tę listę bezguścia.

- To prawda - Hanna Landnal zamilkła na chwilę. Następnie zapytała: - Co chce pani za wyłączność?

- Niewielką przysługę i kilka dni zupełnego milczenia na temat naszej rozmowy.

- Może trochę konkretniej? Namawia mnie pani w końcu na popełnienie czynu karalnego - dziennikarka wydawała się raczej pełna nadziei niż przerażona.

- Proszę przez dwa tygodnie nie wspominać nikomu o tej rozmowie. Zaś co do przysługi: chciałabym, żeby pojechała pani na Prinsengracht 587 i znalazła dla mnie partyturę do *Graner Messe* Liszta. To będzie prawdopodobnie wydanie

drukowane z odręcznymi poprawkami. Nuty powinny pochodzić ze zbiorów katolickiego konserwatorium o nazwie *Zelus pro Domo Dei*.

- To pestka. I za to tylko podaruje mi pani nagrodę Pulitzera?

Cięty dowcip Chudej Hanny zaczął nawet przypadać Sarze do gustu - pod warunkiem oczywiście, że nie był skierowany przeciwko niej.

- Jeszcze jedna drobnostka. Potrzebne mi nagranie *Mszy*, w stereo i wykonane najlepszym mikrofonem, jaki pani ma. Najlepiej na wczoraj.

- Oho! A z którego kościoła?

- Nie wiem. *Zelus pro Domo Dei* założył w XVII wieku ojciec Aegidius Glabbais, siódmy pastor w kościele Mojżesza i Aarona. Często jeździła pani do Amsterdamu, nie wie pani może przypadkiem, czy nie ma tam karylionu?

- Wielkie dzięki za przypomnienie mi mojego matuzalemowego wieku. Co karylion ma wspólnego z *Mszą*?

- W przypadku *Missa solemnis* ma on zastąpić orkiestrę.

- Proszę się przyznać: to ukryta kamera, pani jest przynętą, a ja ofiarą!

- Nie, mówię poważnie. Wszystko pani zrozumie, kiedy opowiem moją historię.

- W Mozes en Aaronkerk bywałam już kilkakrotnie. To kościół katolicki w środku starej żydowskiej dzielnicy - stąd też nazwa. Odbywa się tam wiele imprez ekumenicznych. W kościele nie ma jednak dzwonów, na których dałoby się coś zagrać.

- Tego się obawiałam.

- A może karylion w Zuidertoren?

- Nic mi to nie mówi - odpowiedziała Sara, kazała jednak przeliterować sobie nazwę i natychmiast zaczęła poszukiwania w Internecie.

- Ma mniej więcej trzysta pięćdziesiąt lat i gra w każdy czwartek. Napisałam nawet kiedyś artykuł o miejskim karylionie. Pytałam go, czy praca sprawia mu radość.

- Za to mogłabym rzucić się pani na szyję, pani Landnal - Sara znalazła tymczasem stronę internetową, która wyglądała niezwykle obiecująco. Karylion z Zuidertoren zbudowano w 1656 roku, początkowo z dwustoma trzydziestoma dzwonami. Potem doczekał się nawet rozszerzenia do trzech oktaw. W roku 1995 odnowiono go według starych planów. Mógł więc zachować swoje pierwotne brzmienie z czasów Liszta. Tak przynajmniej sądziła Sara.

- Rzucić mi się na szyję? - spytała Landnal rozbawiona. - Cóż to za niezwykle słowa z pani strony! Czy to może być początek cudownej przyjaźni?

- Nie przesadzajmy. Moja prośba może brzmieć dla pani dziwnie, ale stawką jest śmierć i życie.

Słyszając te słowa, Hanna Landnal, mimo zwykłej gadatliwości, na dłuższą chwilę zamilkła. Następnie obiecała, że zrobi co w jej mocy i oddzwoni nazajutrz.

Po raz pierwszy odezwała się mniej więcej dwanaście godzin później. Rzeczywiście odnalazła wydaną drukiem *Missa solemnis* z oszałamiającą liczbą odręcznych poprawek. Sara ubłagała swoją nową sojuszniczkę, żeby wysłała skompresowaną i zaszyfrowaną cyfrową kopię partytury na jej tajny adres e-mail. Parę minut później miała ją w skrzynce odbiorczej komputera.

Sara oddała się gorączkowej lekturze nut. Szybko zrozumiała, jaką strategię obrał Liszt, kiedy wprowadzał swoje „poprawki”. W pierwszych czterech częściach jego ingerencje były czysto kosmetyczne i miały stanowić kamuflaż, terapię zajęciową dla historyków muzyki. Następnie jednak, w *Benedictus*, w fascynująco subtelny sposób przepisał na nowo wzruszające głosy śpiewaków. Jego przeróbki wyglądały na drugie podejście, nową wersję, która była bardzo podobna do oryginału, jednakże przed „widzącym” odkrywała zupełnie nowy obraz.

Za pomocą programu nutowego Sara wydobyła z partytury partię chóru, aby ułatwić jej wykonanie amsterdamskiemu karylioniście, i niezwłocznie wysłała wynik swojej pracy do Hanny Landnal. Poinstruowała ją też telefonicznie.

- Odezwę się - obiecała chuda Hanna.

Na co Sara cały czas czekała.

Tymczasem zrobiła się za trzynaście dwunasta. Kiedy pianistka próbowała zahipnotyzować wzrokiem leżącą na stole komórkę, ta zbudziła się nagle do życia. Domagała się uwagi jednocześnie za pomocą wibracji i dźwięku dzwonka, który zaryczał jak syrena. Sara chwyciła telefon.

- Tak?

- Zamawiała pani puszkę z konserwowanym dźwiękiem dzwonnicy kościoła Zuider? - Hanna Landnal szybko przyswoiła sobie konspiracyjny ton.

- Proszę wysłać - powiedziała Sara podniecona.

- Zrobione. Na tym kończy się moja część umowy, prawda?

- Jeżeli nie wystąpią żadne komplikacje, to tak.

- Rzecz w tym, żebym nie musiała już więcej przekonywać Quasimoda, żeby zagrał dla mnie na swoich dzwonach. Kosztowało mnie to sporo wysiłku i sześć skrzynek jego ulubionego wina.

- Jestem pani dozgonnie wdzięczna.

- Mam nadzieję. Tymczasem do zobaczenia.

Sara przygotowała już wszystko do odsłuchania nagrania. Musiała teraz tylko włożyć słuchawki, odczytać e-mail z Amsterdamu i odtworzyć załączony plik muzyczny. Niecierpliwie odchyliła się w krześle, zamknęła oczy i zaczęła nasłuchiwać.

Osoba nieposiadająca specjalnych talentów na początku nie usłyszałaby prawdopodobnie nic. Umiejętności Sary daleko wykraczały jednak poza to, co zwykle się uważać za normę. Jej czuły słuch wyłapywał nie tylko najmniejsze niuanse brzmienia, potrafił też stworzyć dźwiękowy obraz pomieszczenia, w którym zostało wykonane nagranie. Dlatego też, zanim jeszcze rozbrzmiały dzwony, odniosła wrażenie, że znajduje się w wieży kościoła Zuider. Doskonalej jakości mikrofony zadziwiająco naturalnie uchwyciły atmosferę - szum wiatru, cichy śpiew drżących sznurów pomiędzy manualami a dzwonami, gruchanie gołębi.

Potem jednak rozległa się muzyka. Sarze wydawało się, że widzi, jak karylionista bije pięściami w klawiaturę, aby dostarczyć dzwonom niezbędną siłę. Każde uderzenie zostawiało na ekranie jej duszy tłustą plamę, która powoli znikwała, w miarę jak dźwięk przebrzmiewał. Współgrające ze sobą dźwięki stworzyły wzór przypominający trochę pismo klinowe, dużo grubiej ciosany niż delikatne kontury, które wyrysowała Weimarska Orkiestra Państwowa albo wspaniałe organy w budapeszteńskim kościele Macieja, równie jednak łatwe do odczytania. Tak, Franciszek Liszt po raz kolejny stworzył z dźwięków ponury poemat.

NIECHAJ SIĘ NAWET ORŁY ODZIEJĄ W PURPURE
BY Z RĄK MYCH JUBALOWĄ WYRWAĆ PARTYTURĘ
NIECH W DÓŁ O ZIEMIĘ CISNĄ TIARĘ TRÓJKORONNĄ
CHCĄC W DŁONIE WŁASNE UJĄĆ WŁADZĘ UTRACONĄ
RĘCZĘ ŻE ICH ZAMIARY TRUD DAREMNY STRAWI
AŻ ŁABĘDŹ KREW Z KRWI MOJEJ W ŚWIECIE SIĘ POJAWI

GDYM USKRZYDLONY ŚMIERCI WYCZEKIWAĆ MOGĘ KONIEC Z DNIAМИ GDY WZBUDZAŁ KRZYŻ W MEJ DUSZY TRWOGE

Sześć minut po rozpoczęciu wygrywanego na dzwonach *Benedictus* Sara czuła się jak odratowana w ostatniej chwili topielica, tak bardzo wyczerpało ją odczytanie wiadomości. Jęknęła. Dlaczego jej prapraprapradziadek nie mógłby ten jeden raz napisać po prostu: „Jedź z A do B, tam znajdziesz tabliczkę z następną wiadomością”. Zamiast tego po raz kolejny uszczęśliwił ją jedynie zagadkowymi aluzjami.

Kiedy minęła chwila buntu przeciwko kolejnemu wyzwaniu, Sara zaczęła się zastanawiać.

- Co my tu mamy? - wyszeptała.

Znowu msza. Za to dzieło katolickie konserwatorium przyznało mistrzowi dyplom. Akurat w nim Liszt dał wyraz swej wewnętrznej niechęci do instytucjonalnej pobożności kościoła, pisząc w ostatnim wersie, że skończyły się dni, kiedy krzyż wzbudzał w nim trwogę. Tak krytyczne podejście, z tego co Sara pamiętała, nie było dla niego niczym niezwykłym, chociaż w późniejszych latach życia, kiedy został księdzem, zaczął wykazywać nieco większą powściągliwość.

„Niechaj nawet się Orły odzieją w purpurę. Niech w dół o ziemię cisną tiarę trójkoronną”. Z tego fragmentu bez trudu dało się wywnioskować, że wpływy Ciemnych Słyszających Barwy sięgały aż do Watykanu, ponieważ potrójna korona, tiara, aż do czasów papieża Pawła VI stanowiła symbol zwierzchności władzy duchowej nad świecką, a w herbie Stolicy Apostolskiej występowała aż do dziś. Natomiast sformułowanie „otrzymać tiarę” oznaczało wprowadzenie na urząd nowego papieża.

Czyżby już za czasów Liszta Orły próbowały „cisnąć tiarą o ziemię”? Sara sądziła, że było to możliwe, w końcu jeszcze za jego życia, w 1870 roku, doszło do likwidacji państwa kościelnego. Okrojenie świeckiej władzy papieża w tak radykalny sposób było równoznaczne z przewrotem, chociaż nie powstał w jego wyniku żaden nowy porządek świata.

Westchnęła. Próby rozszyfrowania szeroko rozgałęzionej siatki Ciemnych wydały się jej coraz bardziej beznadziejne, chęć stawienia im czoła zaś coraz bardziej wariacka. Liszt, jak pokazywały kolejne wersy wiadomości, dzielnie opierał się tak silnym przeciwnikom. „Jubalowa partytura” miała dostać się tylko

„Łabędziowi, krwi z jego krwi”.

„To o mnie chodzi” - pomyślała Sara i ogarnięta duchową aurą tekstu, wyszeptała: „*Quo vadis?*” - „Dokąd idziesz?”.

Do oderwania ostatniego z płatków róży wiatrów potrzebowała tylko jednego genialnego pomysłu. Pozostał już tylko jeden wiatr

- *Corus*, wiejący z północnego wschodu. Sara przywołała w myślach liczne opisy podróży Liszta. Gdzie go też nie było! Które z licznych miejsc, w których się zatrzymywał, leżały na północny wschód od Weimaru? Berlin? Może wyprawa w poszukiwaniu skarbów w końcu prowadziła z powrotem do Niemiec. Jednak Liszt, przy całym swoim węgierskim patriotyzmie, był kosmopolitą. Czy nie powinna raczej spojrzeć na tę kwestię z większej perspektywy?

- Petersburg? - wyszeptała. Za czasów Liszta carski dwór był jak magnes, który przyciągał najlepszych muzyków i wielbicieli sztuk. Jego, ubóstwianego wirtuoza i kompozytora-wizjonera, też często tam podejmowano.

Pokręciła głową. Spekulacje w niczym jej nie pomogą. Potrzebowała konkretnego, na którym mogłaby zbudować teorię. Po raz kolejny zagłębiła się w ukrytej w grze dzwonów wiadomości. Może powinna zinterpretować ironię, z jaką Liszt traktował pobożność, jako wskazówkę. Przypomniała sobie, że w podziemiach archiwum weimarskiej biblioteki księżnej Anny Amalii znalazła książkę z osobistych zbiorów kompozytora - *De Limitation de Jesus-Christ* Thomasa a Kempis - z osobistą dedykacją papieża Piusa IX.

Conte Giovanni Maria Mastai-Feretti, jak brzmiał świecki tytuł i nazwisko ówczesnej głowy Kościoła, był wielkim wielbicielem Franciszka Liszta. Unieważnił on małżeństwo z księżną Carolyne von Sayn-Wittgenstein, chcąc utorować mistrzowi drogę do ołtarza. Mówiono też, że jedynie osobista interwencja Ojca Świętego umożliwiła Lisztowi, członkowi artystycznej bohemy, otrzymanie niższych święceń kapłańskich. Geniusz muzyczny okazał swą wdzięczność, dedykując papieżowi hymn i tytułując jedną ze swoich pieśni pochwalnych *Pio IX*. Katalogi dzieł nie podawały dokładnej daty skomponowania utworu, określały jednak jego powstanie w przybliżeniu na rok 1863 - co przypadałoby dokładnie na okres, kiedy Liszt tworzył trop róży wiatrów.

To rozumowanie okazało się kluczem do sukcesu i, razem z poprzednim pomysłem Sary, żeby zainteresować się podrózkami przodka, szybko naprowadziło ją na bardzo obiecujący ślad. W Internecie trafiła na krzykliwy artykuł o zrabowanych dziełach sztuki. Chodziło w nim o dobra kultury, które

w czasie drugiej wojny światowej i później zostały wywiezione z Niemiec do Związku Radzieckiego.

„Wśród zrabowanych dzieł znajduje się też mały gabinecik z drzewa piniowego i brązu z kunsztownymi intarsjami. Była w nim ukryta partytura hymnu papieskiego *Pio IX* Franciszka Liszta. Kompozytor osobiście podarował nuty Antonowi Rubinsteinowi w Petersburgu, kiedy odwiedzał założone tam w 1862 roku Cesarskie Konserwatorium. Potem kupił je berliński handlarz. Armia Czerwona wywiozła je z powrotem do ZSRR i dziś można je podziwiać w petersburskim Ermitażu.”

- Rubinstein? - wyszeptała Sara.

Anton Rubinstein był, tak jak Liszt, pianistą i kompozytorem. Czy on też należał do Jasnych Słyszących Barwy? W przenośnej bibliotece znalazła kilka ciekawych informacji.

Już w wieku lat dziewięciu - w 1839 roku - Rosjanin spotyka po raz pierwszy uwielbianego wirtuoza Liszta, a potem zostaje jego uczniem. Starszy muzyk podejmuje młodszego w weimarskim Altenburgu. Liszt określał młodego pianistę familiarnym pseudonimem Van II, skrótem od Ludwig van Beethoven II. 9 stycznia 1872

Liszt listownie dziękuje za puszkę kawioru, którą przysłała mu madame Rubinstein. W późniejszych latach Rubinstein rekomenduje Lisztowi jedną ze swoich uczennic, Verę Timanoff.

„Pytanie, czy przekazała mu tylko braterskie pozdrowienia” - zastanawiała się Sara. Prawie przestała już wątpić w to, że Rubinstein należał do najbliższego kręgu współpracowników Liszta.

- Muszę dostać się do Ermitażu i obejrzeć nuty *Hymnu papieskiego* - postanowiła. Ale jak? Przeczytała gdzieś, że zbiory petersburskiego muzeum obejmują około trzy miliony eksponatów, z czego większość pleśnieje w magazynach i archiwach, gdyż wiecznie brakuje pieniędzy. Raczej niemożliwe będzie powtórzenie w carskim pałacu numeru z centrali Musilizera. Ermitaż był po prostu zbyt duży a poza tym Sara nie mówiła po rosyjsku. Rozważała przez chwilę, jak mogłaby skorzystać z oficjalnych kanałów, unikając jednocześnie trybów postkomunistycznej biurokracji.

- Lepiej już zająć się kwadraturą koła, to łatwiejsze - jęknęła i sięgnęła po komórkę.

- Halo? - odezwała się po chwili Hanna Landnal.

- To znowu ja, największa fanka Quasimoda.

- Co? Proszę tylko nie mówić, że jakość dźwięku była za niska.

- Nie, nie, wszystko było dobrze. Jeszcze raz serdecznie dziękuję. Jedno pytanie: jakie ma pani kontakty w Petersburgu, a konkretnie w Ermitażu?

- Nie jest to mój najmocniejszy punkt, ale pisałam kiedyś artykuł o żelaznej damie muzeum, dyrektorce Elenie Belli Łoginowej.

- A o kim pani nie pisała?

- Ze świata kultury? Nikt nie przychodzi mi do głowy

- Miałabym jeszcze jedną maleńką prośbę. Pomogłoby mi to bardzo doprowadzić do końca pewną sprawę, o której pani mówiłam. Znowu to samo - potrzebna mi kopia pewnej partytury. Tym razem chodzi o hymn *Pio IX* Liszta. Nuty znajdują się w petersburskim Ermitażu, możliwe że w małym gabinecie z drzewa piniowego i brązu z ozdobami. Cały zestaw został zrabowany podczas wojny

- A nie próbowała pani zająć się kwadraturą koła?

Sara zamarła zdumiona.

- Jest pani tam jeszcze? - zapytała Landnal.

- Tak. Ach. Czemu zdobycie kopii partytury jest takie trudne?

- W zasadzie to nie jest. Ale zrabowane dzieła sztuki to w Rosji temat tabu. Jeżeli chce pani cokolwiek w tej sprawie osiągnąć, musi się pani zwrócić do dyrektorki. Myślę, że nie zaszkodzi, jeżeli spróbuję pomóc. Postarać się umówić panią?

- Byłoby wspaniale!

- Załatwione. A kiedy?

- Proszę chwilę poczekać. - Sara odłożyła komórkę i weszła na stronę internetowego biura podróży. Jako miejsce odlotu wpisała „Paryż”, a jako miasto docelowe „St. Petersburg”. Kilka sekund później powiedziała do słuchawki:

- Jutro by mi pasowało. Im szybciej, tym lepiej.

CORUS (PÓŁNOCNY WSCHÓD)

ST. PETERSBURG

W roku 1842 Liszt przybył do Petersburga. Z ciekawością poszedłem na jego pierwszy koncert (w Sali Towarzystwa Arystokratycznego) (...). Na podium stały dwa fortepiany, dwa taborety i nic więcej, żadnej orkiestry, nie było też widać żadnych nut (...). Już przy pierwszych dźwiękach pojęliśmy, że uchwycone tutaj zostało prawdziwe przeznaczenie fortepianu! (...) że siła poezji całkowicie podporządkowywała się materialnemu instrumentowi. Bezbarwność i brak cech szczególnych, które cechowały fortepian, stały się – pod palcami tak wielkiego wirtuoza – jego najwyższą zaletą: biały papier, czyste płótno, na którym maluje wedle własnej woli, w artystycznej zgodności z poetyczną naturą muzyki (...) czar iluzji tak wielkiej, że dźwięk fortepianu cały zniknął (...). Makrokosmos orkiestry Rossiniego, zastąpiony w całości mikrokosmosem fortepianu Liszta! Wielka tajemnica sztuki, w której instrument nie znaczy nic, a duch znaczy wszystko!

Aleksander N. Serow, 1842, o Franciszku Liszcie

(...) *techniczne cuda, które przedstawiał, wydawały się zaiste wykraczać poza ludzkie możliwości.*

Wendelin Weifeheimer, 1886, o Franciszku Liszcie

Rozdział 39.

St. Petersburg, 2 kwietnia 2005, 9:50

Kiedy Sara przybywała do Petersburga, zawsze ogarniało ją uczucie, że jest jedynie statystką zabłąkaną wśród scenicznych dekoracji, w których wystawiane jest liczące sobie ponad sto lat przedstawienie. Pałace, pałacyki i zbyt kosztowne rezydencje dawały świadectwo epoki, kiedy szlachectwo rzeczywiście zobowiązywało. Pyszne dekoracje nadgryzione były jednak zębem czasu. Sara widziała wszędzie wysiłki zmierzające do przywrócenia scenerii dawnego blasku, jednak w wielu miejscach wystarczyło jedynie odwrócić głowę, żeby dostrzec łuszczące się fasady, zapuszczone bramy i rozpadające się mury. Mimo to osoby dysponujące wyobraźnią zdolną oczyścić budynki z wieloletniej warstwy brudu mogły wciąż podziwiać dawny przepych w kolorowych szybach klatek schodowych, ornamentach, reliefach, oryginalnych wieżyczkach, wszystkich tych wytworach upadłej monarchii administracyjnej, w której pozór był wszystkim, a prawdziwa istota znaczyła niewiele.

Teraz, kiedy Sara kroczyła Newskim Prospektem, wszystkie te odczucia powracały do niej na nowo. Był wprawdzie 2 kwietnia, dwusetna rocznica urodzin Hansa Christiana Andersena, a więc wyznaczona przez Niekrasowa data, kiedy miała wypełnić się ponura przepowiednia, ją jednak ogarnęło swoiste uczucie melancholijnej radości. Znowu tu wróciła. Wśród tutejszych dekoracji czuła się prawie jak petersburżanka, jak postać z XIX-wiecznej literatury, na przykład Lizawietę Iwanownę z *Damy pikowej* Puszkina.

Podczas tournée zazwyczaj brakowało jej czasu na wizyty w galeriach i zwiedzanie zabytków. Dlatego też nigdy nie była w Ermitażu, choć wielokrotnie zdarzało jej się podziwiać z zewnątrz Pałac Zimowy. Teraz miało się to zmienić.

Z „Angleterre” wyruszyła na piechotę, gdyż od muzeum dzieliło ją zaledwie

kilka minut spaceru. Wcześniej kilkakrotnie zatrzymywała się w tym wykwintnym hotelu, jednak wczoraj nikt na recepcji nie dostrzegł podobieństwa rudowłosej Kanadyjki Kitty Gerard do znanej pianistki Sary d'Albis. Pięciogwiazdkowy hotel wybrała z konieczności, na petersburskim lotnisku Pulkovo wylądowała bowiem dopiero krótko przed dziesiątą - za późno na długie poszukiwania skromnego, nierzucającego się w oczy pensjonatu - i dlatego, że jej serce trzepotało jak jęczyczek piszczalki organowej.

Formalności wjazdowe były ciężką próbą dla jej talentu aktorskiego. Nie chodziło o to, że wiza wystawiona została w ostatniej chwili przez ambasadę rosyjską w Paryżu. Na skraj załamania nerwowego doprowadził ją paszport. Według słów Krystiana fałszywa była tylko jej tożsamość, zaś dokumenty, dzięki rozległym kontaktom Strażników Harfy Wiatrów, były autentyczne. Nie uspokajało jej to jednak wcale, kiedy stała w długiej kolejce, czekając na odprawę, a potem w kolejnej, do rozmowy z strażnikiem granicznym, który jak sądziła, patrzył na nią niezwykle krytycznie.

- W jakim celu przyjechała pani do naszego kraju? - zapytał mundurowy z uśmiechem, który po prostu nie mógł być autentyczny.

„Żeby uniemożliwić światowy spisak. Żeby rozbić stowarzyszenie Ciemnych Słyszających Barwy. Po to, żeby użyć daru synestezji do rozszyfrowania ostatniej zagadki na tropie róży wiatrów i znaleźć Szkarłatną Partyturę”. Wyobrażała sobie wszystkie te odpowiedzi i możliwe reakcje, zdecydowała się jednak na:

- Chcę trochę pozwiedzać.

Przekonała w ten sposób urzędnika, żeby wstawił jej stempelek do paszportu.

Pałac Zimowy znajdował się nad Newą. Aby tam dojść, Sara musiała przejść Newskim Prospektem. Na tej właśnie wspaniałej ulicy w dniu 13 marca 1881 roku (według kalendarza gregoriańskiego) wybuchła bomba, która pozbawiła życia cara Aleksandra II. Franciszek Liszt wiedział o zamachu dużo wcześniej, jednakże jego zawarta w dźwiękach wiadomość najwyraźniej nigdy nie dotarła do adresata. Sara rozmyślała o tym, czując pod stopami asfalt bulwaru.

Wkrótce dotarła na Plac Dworcowy, wielki plac przed zamkiem, na którego środku Mikołaj I, dziadek zatomizowanego cara, wznosił Kolumnę Aleksandra. Po drugiej stronie pięćdziesięciometrowego granitowego monumentu rozciągał się Pałac Zimowy ze swoimi śnieżnobiałymi kolumnami i seledynowymi fasadami.

Należał do rozległego kompleksu pałacowego, którego najpiękniejszy element, Mały Ermitaż, wzniesiono w drugiej połowie XVIII stulecia dla carycy Katarzyny Wielkiej.

Muzeum otwierano dopiero o wpół do jedenastej, ale przed wejściem czekała już długa kolejka zwiedzających. Sara usłyszała pojedyncze pełne złości słowa, kiedy po prostu minęła czekających. Po pewnych problemach ze strażnikami udało jej się dotrzeć punktualnie do biura dyrektorki.

Elena Bella Łoginowa sama otworzyła gościowi drzwi. Miała mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu i metr szerokości. Wiele kobiet uznałoby te wymiary za wielce niekorzystne, ale Łoginowej nie przeszkadzały wcale nosić popielatego kostiumu z obcisłą kamizelką i wąsko skrojoną spódnicą. Do tego wybrała buty, które nadałyby się do górskiej wędrowki o średnim stopniu trudności. Czarne, spięte mocno z tyłu włosy, przypominające szynion, prawdopodobnie były farbowane - kobieta surowo patrząca na Sarę miała pięćdziesiąt kilka lat.

Sara była gościem w obcym kraju, nie chciała więc popełnić gafy i z uśmiechem wyciągnęła w stronę Łoginowej rękę. Najwyraźniej to był już jej pierwszy błąd, ponieważ strażniczka trzech milionów dzieł sztuki nie odwzajemniła gestu, tylko ruchem ręki zaprosiła ją do wnętrza biura.

Parkiet zaskrzypiał pod ciężarem Sary, kiedy ta przeszła przez próg. Ponadto poczuła się prawie jak w kopenhaskim Det Kongelige Teater, tak wielkie wydało jej się to pomieszczenie. I tak bardzo barokowe: złote stiuki i kryształowe żyrandole na suficie, zdobione antyki po kątach, na podłodze wytarty perski dywan, a na ścianach bez wątpienia autentyczne obrazy olejne świadczyły może niekoniecznie o wyrobionym guście, ale na pewno o tym, że muzeum musi coś zrobić z olbrzymią ilością dzieł sztuki.

Wyciągnięta ręka dyrektorki, wskazująca w głąb sali, pozwalała spodziewać się powitania w rodzaju „To moje królestwo”, ale Łoginowa odezwała się doskonałą francuszczyzną:

- Proszę wejść, madame d'Albis. A może nalega pani na to, żebym nazywała panią Gerard?

Sara zeszywniała.

Łoginowa uśmiechnęła się lekko protekcyjnie.

- Naprawdę pani sądziła, że mnie pani nabierze?

- Nie rozumiem.

- Pani zdjęcie przez dwa dni ukazywało się w „Smienie”, a wczoraj było nawet w „St. Petersburg Times”.

- To. - Sara zatrzęsała się, jakby właśnie dostała pięścią w brzuch. Robiła jednak dobrą minę do złej gry:

- A ja myślałam, że wystarczy zmienić trochę wygląd, żeby wyrwać się z całego tego jarmarku i pozwiedzać Petersburg jak zwykła turystka.

- Przebranie udało się pani doskonale. Ja jednak liczyłam się z tym, że zechce mnie pani odwiedzić. Nie spodziewałam się tylko, że osoba, którą zapowiedziała mi madame Landnal, okaże się właśnie panią, tą wielką pianistką.

Sara zrozumiała, że dyrektorka nie darzy wielkim szacunkiem znanych osobistości. Jednakże wyraźny brak zaskoczenia Łoginowej wydał się jej dużo gorszy od jakichkolwiek uprzedzeń.

- Co miała pani na myśli, mówiąc, że liczyła się pani z moimi odwiedzinami?

Łoginowa spojrzała na zegarek:

- Mam nadzieję, że nie będę musiała tego tłumaczyć. Przejdźmy najpierw do pani prośby.

Sara najchętniej odwróciłaby się na pięcie i wyszła. Powstrzymywało ją przed tym jednak pewne niejasne przeczucie.

- Ma pani *Hymn papieski*?

- Leży tutaj - dyrektorka wskazała na potężny mebel, na którym Napoleon mógł grywać w karty podczas najazdu na Rosję. Następnie zaproponowała w końcu Sarze, żeby usiadła na krześle, które dla odmiany sprawiało bardzo niepozorne wrażenie. Stało tuż przed biurkiem.

Kiedy obie dotarły już na drugą stronę biura i zajęły miejsca, Sara zaczęła pożerać wzrokiem oprawiony w jasnobrązową skórę tom.

- Mogę zobaczyć, madame Łoginowa?

Dyrektorka usiadła za biurkiem, położyła dłonie na obiekcie pożądania pianistki i powiedziała:

- Najpierw chciałabym dowiedzieć się, jaki jest powód pani prośby. Czy przysyła panią ktoś z Niemiec? Czy Republika Federalna chce ponownie wysunąć jakieś roszczenia?

Sara spojrzała na nią zirytowana.

- Przepraszam, chyba nie do końca rozumiem.

- Proszę już nie udawać. Zawsze chodzi o to samo. „Zrabowane dzieła

sztuki” – tak to się w Niemczech nazywa, prawda?

- Jestem obywatelką Francji.

- Która przyjechała tutaj po nuty Niemca.

- Franciszek Liszt był Węgrem.

- Proszę nie zmieniać tematu.

- Poza tym jestem jego potomkinią w szóstym pokoleniu. Przyjechałam tutaj z pobudek osobistych, sądzę bowiem, że w tym egzemplarzu papieskiego hymnu *Pio IX* znajdują się odręczne poprawki kompozytora, które mnie bardzo interesują.

Granitowa fasada surowej miny Łoginowej ukruszyła się po raz pierwszy. Dyrektorka sprawiała wrażenie zadziwionej.

- Skąd pani to wie? Co prawda digitalizujemy nasze zbiory i upubliczniamy je w Internecie, ale odkąd partytura znalazła się w naszym posiadaniu, nie opublikowaliśmy ani jednego jej zdjęcia.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Z kilku. Po pierwsze, takie muzykalia jak te nuty w ogóle nie powinny się u nas znaleźć – od tego są inne muzea. Uważamy jednak, że stanowią całość z gabinetem, w którym zostały odnalezione.

- A po drugie?

- W książce znajduje się osobista dedykacja, którą Franciszek Liszt napisał dla naszego wielkiego kompozytora Antona Grigoriewicza Rubinsteina. Liszt prosi w niej, żeby ten po śmierci przekazał partyturę na rzecz zbiorów Ermitażu.

- Muzeum istniało już wtedy? Myślałam, że mieściła się tu rezydencja carów.

- Zgadza się. Kiedy Mikołaj I Pawłowicz otworzył w 1852 roku Nowy Ermitaż, cesarska rezydencja i muzeum długo istniały obok siebie.

- Czy Mikołaj Pawłowicz nie był ojcem cara Aleksandra II, którego zamordowano na Newskim Prospekcie?

- To prawda. Aleksander Nikołajewicz też tutaj mieszkał, w skromnych pokojach dokładnie naprzeciwko Admiralicji. Jego syn, Aleksander III Aleksandrowicz, rezydował następnie w Pałacu Aniczkowa.

- Ach! To niezwykle ciekawe.

Łoginowa zmierzyła rozmówczynię takim wzrokiem, jakby ta powiedziała właśnie straszną bzdurę. W annałach Petersburga z całą pewnością znalazłoby się coś ciekawszego od historii o latorośli cesarskiego rodu, która w wieku

trzydziestu sześciu lat usamodzielniała się w końcu i znalazła własne mieszkanie.

Sara jednak rzeczywiście uważała te ciekawostki historyczne za w najwyższym stopniu warte uwagi. Spisek Ciemnych Słyszących – tyle mogła założyć – wyłączył z gry mianowanego przez Liszta opiekuna ostatniej wiadomości na tropie róży wiatrów, torując drogę następcy, który nie musiał poświęcać tyle uwagi zbiorom muzeum Ermitażu. Który mógł nawet pozwolić im na wykradzenie nut z Petersburga. Już w Paryżu Orły odkryły plany Liszta i prawie udało im się je pokrzyżować. Kto spodziewałby się jednak, że wiatry historii ponownie przywieją *Hymn papieski* nad Nową?

– Nie rozumiem pani zachwytu – stwierdziła dyrektorka.

– Po prostu w osobie Aleksandra III na rosyjskim tronie zasiadł władca, którego autokratyzm rozпалиł gniew ludu. Jego zdolny syn Mikołaj zamienił go potem w pożar, który objął prawie cały świat.

– Mówi pani o rewolucji październikowej?

– Raczej o tym, co przyszło po niej – nowym komunistycznym porządku, który doprowadził do śmierci milionów niewinnych osób.

– Czy poświęcam swój wolny dzień, by dyskutować z kapitalistką o *Manifeście komunistycznym*?

– Nie. Po prostu głośno myślę. Proszę o wybaczenie. Czy teraz mogę rzucić okiem na partyturę?

Łoginowa zawahała się. Następnie wzięła głęboki oddech, rozdymając i tak już obszerny biust, i powiedziała:

– Niech będzie, na rzut oka mogę się zgodzić. Ale nie więcej.

– Co?

– Słyszała mnie pani. Gabcinek razem z tymi nutami jest częścią spuścizny kulturowej narodu rosyjskiego. Jak długo Republika Federalna będzie zgłaszała do niego pretensje, zatrzymam go w zamknięciu. Przez ten kraj straciliśmy miliony ludzi i ponieśliśmy niemożliwe do oszacowania straty – w majątku oraz dziełach sztuki. Mamy prawo do rekompensaty.

Sara westchnęła.

– Chcę tylko pięciu minut. Proszę pozwolić mi po prostu spokojnie przeczytać partyturę.

– To długi rzut okiem.

– Czy według pani ja, potomkini twórcy tego dzieła, nie mam prawa nawet do

tego?

Łoginowa sapnęła.

- Dobrze więc - przesunęła tom na drugą stronę biurka. Nie grzeszyła wzrostem, musiała więc wstać i pochylić się daleko do przodu, żeby Sara mogła dosięgnąć książki przez olbrzymi mebel. - Ale nigdzie się nie wybieram. Tak tylko mówię, żeby nie wpadła pani na żaden głupi pomysł i nie spróbowała zrobić pamiątkowego zdjęcia.

- Dziękuję - powiedziała Sara i chwyciła cienką książeczkę.

Łoginowa wyciągnęła z aktówki gazetę i zaczęła udawać, że czyta.

Między oprawionymi w skórę okładkami znajdowało się tylko kilka kartek. Liszt najwyraźniej kazał je specjalnie oprawić dla swojego przyjaciela Rubinsteina. Partytura była wydana drukiem i niedatowana. Kompozytor wprowadził jedynie nieliczne odręczne poprawki. Zadziwiające! Jeżeli była w tym zawarta wiadomość, oznaczało to, że w dużej mierze istniała już w oryginalnej wersji. Na czystej kartce za wyklejką widniała napisana niespokojnym pismem Liszta dedykacja po francusku:

„Vanowi II

mojej bratniej duszy i drogiemu przyjacielowi

Z okazji uroczystego otwarcia petersburskiego konserwatorium ofiaruję Ci tę jedyną w swoim rodzaju wersję mojego *Pio IX - Hymnu papieskiego*. Niech pewnego dnia Twój liczni uczniowie z dumą i godnością noszą stworzony przez Ciebie tytuł Wolnego Artysty Tak właśnie rzucasz naszą włóczęgę daleko w przyszłość. Niech zdolni instrumentalisci, pieśniarze i kompozytorzy wyrastają pod Twoją opieką nie tylko na szacownych członków społeczeństwa, ale też za pomocą uniwersalnego języka ludzkości, muzyki, dadzą światu zrozumienie. Strzeż mojego prezentu aż po ostatni dzień Twojego życia. Potem chciałbym, aby znalazł się on w zbiorach muzeum Ermitażu, aby oświecał też przyszłe pokolenia.

Twój F. Liszt

St. Petersburg, 8 września 1862”

Sara z trudem nabrała powietrza, tak była podniecona. Widziała czarno na białym, że hymn powstał cały rok wcześniej niż przypuszczali historycy muzyki. „Strzeż mojego prezentu aż po ostatni dzień Twojego życia”. Czy dało się jaśniej wyrazić, że w nutach zawarte było coś niezwykle cennego? Dedykacja stanowiła dla Sary zupełnie jasną wskazówkę, że obaj muzycy należeli do związku Jasnych

Słyszających Barwy. Z bijącym mocno sercem oddała się studiowaniu partytury.

Pio IX - Hymn papieski był dziełem na organy, nie na orkiestrę. Współczesne nagrania koncertowe były krótsze niż pięć minut. Utwór był też niezwykle prosty, dla Sary stanowił zaledwie przekąskę, którą jej pamięć muzyczna wchłonęła za jednym zamachem.

Czytając nuty, próbowała przypomnieć sobie dźwięk organów w budapeszteńskim kościele Macieja. Jej *audition colorée* zareagowało na wyobrażone dźwięki. Jako barwy i kształty o różnych fakturach widziała nawet muzykę, którą słyszała w snach. Tutaj jednak dostrzegała jedynie płaty mgły, aluzję do czegoś, co dawało się raczej wyczuć, niż ujrzeć. Prawdopodobnie do ukazania zawartej w nutach wiadomości potrzebny był specjalny instrument. Ale jaki?

Ponieważ pięciominutowy termin prawie już minął, Sara skupiła się na zapamiętaniu partytury. Kiedy była już pewna, że wbiła sobie do głowy każdą nutę, zamknęła oczy i po raz kolejny odtworzyła w wyobraźni utwór w przyspieszonym tempie. Zanim skończyła, usłyszała, jak Łoginowa ostentacyjnie szeleści gazetą. Uniosła powieki.

- Czas minął - stwierdziła dyrektorka muzeum.

Sara gorączkowo rozmyślała. Może wiadomość ujawnia się wtedy, gdy utwór wygra zegar z pozytywką albo jakiś inny instrument, który czekał teraz w Ermitażu na swój wielki występ. A może powinna zwrócić się w stronę egzotyki i spróbować na przykład zbudowanego ongiś dla Liszta połączenia fortepianu i fisharmonii? Aerofoniczna część tego monstrum, z manualami, pedałami i rejestrami, została wykonana w paryskich warsztatach Alexandre Pere & Fils, a część fortepianową stworzył Pierre Erard; Hector Berlioz polecił Lisztowi tych rzemieślników.

Sara nagle przeżyła olśnienie. Jak brzmiał początkowy wers ostatniej strofy najnowszej wiadomości? „Gdym uskrzydłony, śmierci wyczekiwać mogę”.

- To gra słów - wyszeptała z uśmiechem.

- W żadnym razie. Naprawdę skończył się pani czas - Łoginowa z uporem trwała przy swoim.

Sara już wcześniej często dziwiła się, jak Liszt określał w swoich listach berlińskiego budowniczego fortepianów, Carla Bechsteina.

Nazywał go swym „uskrzydającym”. Tym, kim dla dzisiejszych producentów

sprzętu sportowego jest Michael Schumacher albo Steffi Graf, Liszt był dla XIX-wiecznych twórców fortepianów. Wysyłali mu swoje instrumenty i przystrajali się blaskiem jego nazwiska. Carl Bechstein jednakże był dla niego kimś więcej. „Uskrzydlający”. „Jeszcze jeden obraz z kalejdoskopu mistrza dwuznaczności” – pomyślała Sara.

Zanim w roku 1853 powstała fabryka C. Bechstein, wielu organizatorów koncertu miało z Lisztem prawdziwe utrapienie. Nieprzypadkowo Clara Schumann nazwała go „niszczycielem fortepianów”. Nierzadko podczas gwałtownej gry w ramach jakiegoś występu dosłownie dewastował instrumenty: maltretował mechanikę, zrywał struny, czasami nawet łamał drewniany korpus, który nie wytrzymał napięcia. Roztropni organizatorzy zwykli zatem ustawiać mu na scenie co najmniej dwa instrumenty. Bechstein od początku pracował z żeliwnymi ramami, ogromnie zwiększając żywotność fortepianów koncertowych. Nie chodziło mu jednak tylko o wytrzymałość, lecz także o polepszenie dźwięku i wygody gry.

Należący do awangardy nowej muzyki Liszt zażyczył sobie instrumentu, który byłby w stanie zastąpić całą orkiestrę. Siedem pełnych oktaw na klawiaturze było dla niego czymś więcej niż tylko technicznym szczegółem – rzeczywiście wykorzystywał je w swoich kompozycjach. Niektórzy wirtuozi tego instrumentu nazywali *sostenuto*, środkowy pedał, mianem „pedału Liszta”. Kompozytor wyobrażał sobie dźwięki utopijne, a Bechstein – w ramach ówczesnych możliwości technicznych – sprawił, że stały się one możliwe. Raz do roku doradca handlowy muzyka wysyłał do Weimaru nowy instrument.

Dłonie Sary zacisnęły się na poręczach krzesła. Najchętniej zaczęłyby dyszeć jak pies świętego Huberta, kiedy złapie trop. Musiała poszukać starego fortepianu Bechsteina.

Na biurku Łoginowej zadzwonił telefon. Przeszywający dźwięk dzwonka otrzeźwił Sarę i wyrwał ją z zamyślenia. Naraz przypomniała sobie ponownie słowa, którymi przywitała ją dyrektorka: „Liczyłam się z tym, że zechce mnie pani odwiedzić”. Najwyższy czas zniknąć.

- *Da* - usłyszała Łoginową. Kilkakrotnie powtórzyła ona rosyjskie słowo oznaczające potwierdzenie. Następnie wyrzuciła z siebie zupełnie niezrozumiały potok słów i w końcu odłożyła słuchawkę. Potem znowu przeszła na francuski.

- Na zewnątrz ktoś czeka, madame d'Albis.

Sara podniosła się.

- Tak, jeszcze raz dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić swój cenny czas, madame Łoginowa. Na koniec mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy w Ermitażu jest może jakiś stary fortepian Bechsteina?

- Skąd ten pomysł?

- Wielu rosyjskich pianistów i kompozytorów przez półwiecze grywało, uczyło się i komponowało na bechsteinach. W Petersburgu musi być jeszcze kilka tych instrumentów.

- No, coś takiego! Ale na tym się nie znam. Może pani sprawdzić w mieszkaniu Nikołaja Andriejewicza Rimskiego-Korsakowa. Powinna tam pani znaleźć jakieś stare pianino.

- Gdzie to jest?

- Na Prospekcie Zagorodnym. O numer domu proszę zapytać w informacji turystycznej.

Sara skinęła głową.

- Dziękuję. Nie będę więc dłużej zatrzymywała pani gościa.

Łoginowa uśmiechnęła się wyniośle.

- Zle mnie pani zrozumiała. Profesor Janin nie przyszedł tu do mnie. To z panią chciałby porozmawiać.

Nazwisko Janina usłyszane tutaj, teraz i tak niespodziewanie kompletnie wytrąciło Sarę z równowagi. Opadła ponownie na krzesło i jęknęła:

- Nie umawiałam się z tym panem i nie mam zamiaru z nim rozmawiać.

Łoginowa ruszyła w stronę drugiego końca gabinetu i odparła bez zastanowienia:

- Tego niestety nie da się uniknąć. Stoi już przed drzwiami.

Sara poderwała się i zaczęła rozglądać się w panice dookoła.

- Jest stąd tylne wyjście?

- Nie - dyrektorka była już tylko kilka metrów od drzwi i powiedziała, jakby miała oczy z tyłu głowy: - A okna są zabezpieczone alarmem.

Sara ze strachu przytuliła się do biurka i krzyknęła: - Proszę, nie!

Na to jednak było za późno. Elena Łoginowa otworzyła już drzwi. Uśmiechała się tak, jak ani razu nie uśmiechnęła się w obecności Sary, tak, jak uśmiecha się człowiek na widok starego przyjaciela.

I zupełnie, jakby chciała doprowadzić ogarniętą strachem zakładniczkę do ostateczności, przywitała gościa po angielsku.

- Witaj, kochany. Miło cię widzieć. Wejdz, proszę.

Sara usłyszała skrzypienie desek, które anonsowały wcześniej jej przyjście.

Potem go zobaczyła. I sapnęła:

- Pan?!

- Cieszę się, że udało mi się w końcu panią złapać - powiedział mężczyzna spod drzwi, także po angielsku. Akcent miał twardszy niż Łoginowa.

Sara potrząsnęła głową, wskazała na młodego mężczyznę i powiedziała do dyrektorki:

- To nie jest Oleg Janin. Miałam wątpliwą przyjemność poznać go w Niemczech. Ten tutaj to oszust.

Na twarz jej oraz wspomnianego mężczyzny wypłynął wesoły uśmiezek. Łoginowa wyjaśniła:

- Nie mam pojęcia, skąd pomysł, że profesor ma na imię Oleg, ale tego zdolnego naukowca znam jeszcze z czasów, kiedy studiował historię sztuki i odbywał u mnie praktyki. Ile to będzie, Osip?

- Ponad dziesięć lat, Eleno Łoginowa.

Sara cały czas kręciła głową. Stał przed nią mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, ten sam, który zaczepił ją wtedy w Niemieckim Teatrze Narodowym w Weimarze. Czarnowłosy, błękitnooki i przystojny Rosjanin, którego wówczas wzięła za upartego łowcę autografów. To znaczy - do momentu kiedy na odwrocie otrzymanego odeń zdjęcia nie znalazła ostrzeżenia: „Grozi Pani wielkie niebezpieczeństwo! Ale może będę mógł pomóc”.

Tymczasem profesor przeszedł przez gabinet i wyciągnął do Sary rękę w powitalnym geście.

- Nazywam się Osip Janin. Proszę zwrócić uwagę: Osip, nie Oleg.

- Osip? - powtórzyła Sara oszołomiona.

- To oznacza „niech przyda Bóg”. W pani kraju nazywano by mnie Joseph.

- Jest pan spokrewniony z Olegiem Janinem? - zapytała Sara nieufnie.

Skinął poważnie głową, odpowiedział jednak:

- Nie. Nie jestem spokrewniony.

A po długiej chwili zamyślenia dodał:

- Choć był on kiedyś moim ojcem.

Uważam, że poprawienie jego błędów, tam gdzie to możliwe, przyniesie korzyści...

Franciszek Liszt

Rozdział 40.

St. Petersburg, 2 kwietnia 2005, 11:12

Sara czuła się jak w potrzasku. Osip Janin w żaden sposób nie groził jej wprawdzie ani nie szantażował, oszołomiona wyszła z nim jednak z Ermitażu, przeszła przez plac zamkowy i dała się zaciągnąć do kawiarni na Newskim Prospekcie. Rezygnacja z obrony, a nawet prób ucieczki, wynikała z przekonania, że jeśli będzie się opierać, zostanie zapewne wysadzona w powietrze – czy co też Rosjanie robią z *personae non gratae*.

Teraz siedzieli przy stoliku i próbowali zwalczyć własny niepokój. „Literaturnoje Kafe” ozdobiły stare meble i ryciny. Osip Janin wyjaśnił jej, że to ulubione miejsce spotkań artystów, zupełnie jakby miało to w jakikolwiek sposób pocieszyć porwaną pianistkę – w tym miejscu zdecydowały się losy Czajkowskiego, tutaj Puszkין wypił ostatnią filiżankę herbaty, a potem stanął do śmiertelnego pojedynku.

– Czego pan ode mnie chce? – odważyła się w końcu zapytać Sara. Nawet nie próbowała ukryć agresji w głosie.

– Nie ufa mi pani, prawda?

Pokręciła głową zadziwiona.

– Pański ojciec zwał mi na głowę całą górę. Próbował mnie zabić. Jak mogłabym panu ufać!

– Czy to było w Les Baux de Provence?

– Ha! A więc wie pan o tym!

– Czytałem ogłoszenie Musilizera w „Smienie”.

To zupełnie wytrąciło Sarę z równowagi. Jej gniew osłabł na chwilę. Rosjanin wykazał się przytomnością umysłu i wykorzystał tę właśnie lukę.

– Co opowiedział pani o sobie Oleg Janin?

– Że jest historykiem muzyki z Moskwy i prowadzi badania nad pewnym

tajnym stowarzyszeniem.

Rosjanin skinął głową.

- Nie po raz pierwszy to robi.

- Co?

- Używa mojej tożsamości. To ja jestem tym profesorem, za którego się podawał.

- To dlaczego czyhał pan na mnie w Petersburgu?

- To bardzo proste. *Mamuszka* - moja mama - zachorowała. Normalnie zajmuje się nią sąsiadka, w tym przypadku jednak powinność spadła na syna. Urodziłem się w Petersburgu.

- A pracuje pan w Moskwie?

Wzruszył ramionami.

- Prezydent Federacji Rosyjskiej, Władimir Władimirowicz Putin, też pochodzi stąd i pracuje w Moskwie.

Sara posłała mu gniewne spojrzenie.

- Jeżeli próbował mnie pan rozbawić, to nie udało się panu. Załóżmy na chwilę, że panu wierzę. Co łączy pana z Olegiem Janinem?

- To mój ojczym. Mój ojciec zniknął, jeszcze zanim się urodziłem. Dlatego urodziłem się jako Osip Baranow.

- Nie mówi pan chyba, że słynna rosyjska skrzypaczka Ludmiła Baranowa to pańska matka! - wyrwało się Sarze.

Skinął głową.

- Słyszę daleko poza granicami Rosji, wśród wielbicieli muzyki klasycznej była prawie tak dobrze znana jak moskiewski Balet Bolszoi. Gazety pisały, że otaczała ją „aura prawie mistyczna” - prawdopodobnie dlatego, że widziała dźwięki.

- Była synestetyczką?

- Tak. Tak samo jak ja. I jak pani, madame d'Albis. A potem rzuciła się w ramiona Olega Janina.

- Tak jak ja.

- Nie. Inaczej. On był wtedy uznanym dyrygentem. Karajanem wschodu. Wzięli ślub. Adoptował mnie - stąd moje nazwisko. Przenieśliśmy się do Paryża. Ojczym wiecznie podróżował. Kiedy jednak wracał do domu, znajdował czas również i dla mnie. Dziś sądzę, że bardziej interesował się moimi

umiejętnościami słyszenia kolorów niż mną jako takim. Próbował doskonalić moją synestezję za pomocą męczących ćwiczeń i ciągle wygrywał mi te same dziwne melodie, głównie na flecie. Z *mamuszką* postępował tak samo. Musieliśmy tłumaczyć mu potem, co widzieliśmy i co czuliśmy, kiedy grał. Miałem wrażenie, że moje odpowiedzi raczej rozczarowywały go, niż cieszyły. A potem nagle zaczął nas opuszczać. Coraz rzadziej pojawiał się w domu. W końcu zostawił moją matkę dla innej kobiety. Podobno była śpiewaczką operową.

- Wydaje się, że wykorzystywanie innych osób jest głęboko zakorzenione w jego naturze. Wrócił pan wtedy do Petersburga?

- Tak - burknął Osip Janin.

Sara przygryzała dolną wargę.

- Ile ma pan lat?

- Trzydzieści dziewięć.

- Wygląda pan młodziej.

- Dziękuję.

- A kiedy wrócił pan do Rosji?

- W 1976. Skończyłem wtedy dziesięć lat.

- A więc na długo przed polityczną odwilżą w Związku Radzieckim. Pańska matka poznała wygodę Zachodu i razem z dzieckiem porzuciła wolny kraj, aby wrócić za żelazną kurtynę? Naprawdę uważa pan, że mu uwierzę?

- Proszę nie absolutyzować tej zachodniej wolności - odpowiedział Rosjanin ponuro.

- Jeśli chce pan, żebym uwierzyła w tę historię, musi mnie pan przekonać.

- Oczywiście - Osip Janin zniżył głos. - Mieliśmy dobry powód, żeby opuścić Paryż: krótko po tym, jak ojczym porzucił mnie jak zużytą lalkę, znalazłem pod podłogą naszego mieszkania tajną skrytkę. Znajdowały się w niej różne dokumenty. Wziąłem je do pokoju i czytałem pod kołdrą przy latarce. Były tam informacje o Franciszku Liszcie, jego darze *audition colorée* i o podzielonym związku Słyszących Barwy, którego ciemny odłam na całym świecie polował na Jasnych. Na jednej z kartek widniały nazwiska domniemanych potomków Liszta. Była wśród nich też moja mama. Ja miałem dopiero dziewięć lat i chociaż *mamuszka* zawsze mówiła, że byłem rozgarniętym chłopcem, brakowało mi jednak doświadczenia, żeby zrozumieć, o co chodziło z tym tajnym bractwem i innymi sprawami. Fascynowało mnie po prostu to, co zakazane, i aura

tajemniczości.

Sara pokręciła głową ze wzburzeniem.

- Nie mieści mi się to w głowie! Janin przywłaszczył sobie nie tylko pańską tożsamość, ale też historię! Opowiedział mi, że to on znalazł dokumenty swojego ojca i w ten sposób odkrył istnienie stowarzyszenia.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ten człowiek nie cofnie się przed niczym. Kiedy spytałem go w swojej naiwności o Słyszących Barwy, powiedział, że bym, jeśli mi życie miłe, jak najszybciej zapomniał tę nazwę. Moja mama usłyszała tę rozmowę i wzięła go na spytki. Wtedy zagroził także jej. Mówił, że jeśli zdradzi komukolwiek choćby nazwę stowarzyszenia, będzie z nami kiepsko. Niedługo potem wypadła z okna.

- Co? Chce mi pan powiedzieć, że Janin ją...?

- Tak. Ale sam nie brudził sobie rąk, zatrudnił tylko jakiegoś typa spod ciemnej gwiazdy. W każdym razie *mamuszka* cierpi od tego czasu na porażenie poprzeczne. Oznaczało to też koniec jej kariery.

Sara obserwowała zasmuconą twarz Rosjanina. Czy potrafiłby tylko udawać te emocje?

- Czego właściwie chciał pan ode mnie w Weimarze?

- Ostrzec panią przed Olegiem Janinem. Sądziłem, że napisałem to pani dość wyraźnie. Odkąd przeczytałem pod kołdrą zakazane dokumenty, nigdy nie przestałem poszukiwać śladów Słyszących Barwy. W ten sposób dowiedziałem się, że mój ojciec należał do przestępczego stowarzyszenia, w hierarchii którego musiał stać dość wysoko. W pewnym momencie przeczytałem o pani. Sara d'Albis potomkinią Liszta, tak pisali w gazetach. Podawali też, że jest pani synestetyczką. Od razu wiedziałem, że może spotkać panią to samo, co moją mamę i mnie.

- Dlaczego nie napisał pan do mnie? To znaczy, jako Osip Janin.

- Pisałem. Wielokrotnie. Ale pani agenci prawdopodobnie dostali polecenie, by ignorować wszystkie listy podpisane nazwiskiem Janin.

Skinęła głową.

- Zgadza się, dokładnie tak było.

- Dlatego właśnie przyjechałem do Weimaru. Nie przechwalając się zbytnio, cieszę się dobrą reputacją w kręgach zawodowych. Zdobycie biletów na premierę nie było więc żadnym problemem. Próba ostrzeżenia pani spaliła

jednak na panewce, abstrahując od zdjęcia z autografem – potraktowała mnie pani jak uciążliwego fana.

Sara zgrzytnęła zębami.

- Tego wieczora byłam trochę skołowana. Nie trzeba było tak łatwo się poddawać.

Roześmiał się bez cienia radości.

- A myśli pani, że się poddałem? Udało mi się dowiedzieć, że zatrzymała się pani w hotelu „Russischer Hof”, na tym się jednak skończyło. Już do królowej angielskiej łatwiej by się było dostać. Wiadomości, które zostawiałem w recepcji, pozostawały bez odpowiedzi. Próbowałem się do pani dodzwonić, ale nie udawało mi się.

- To był pan? A ja sądziłam, że to pana ojczym był tak natarczywy. Nic dziwnego, że cały czas dziwnie na mnie patrzył, kiedy o tym wspominałam.

- Na pewno zastanawiał się, kto poza nim próbował się do pani dobić.

Sara była w rozterce. W rozmowach ze starszym Janinem zawsze czuła podejrzliwość, historia młodego natomiast ją uspokoiła. Postanowiła zaryzykować.

- Mister Janin.

- Proszę mówić mi Osip. Po tym, co zrobił pani mój ojczym, nigdy nie nabierze pani do mnie zaufania, mówiąc mi po nazwisku.

- A mogę mówić też Joseph? – imię wymówiła z francuska.

- Oczywiście. A pozwoli mi pani mówić do siebie po prostu Sara?

Nie czuła się z tym do końca dobrze, nie chcąc jednak odmówić, odpowiedziała:

- Proszę bardzo. Proszę jednak nie spodziewać się po tym zbyt wiele.

Skinął głową z rozwagą.

- Proszę się nie martwić. Nienawidzę Olega Janina co najmniej tak mocno, jak pani. Jednak w przeciwieństwie do pani, ja go znam. Proszę posłuchać mojej rady – wmieszała się pani w coś, co sprawia, że jest pani dla niego czymś w rodzaju uciążliwego komara, którego pragnie się pozbyć. Prawda?

Sara zadrżała.

- Skąd pan wie?

- Pamięta pani, że wysłała mi pani z Weimaru e-mail? – Osip spojrział w sufit, najwyraźniej po to, żeby dokładnie przypomnieć sobie słowa. – W wiadomości pisała pani: „Niestety, nie będzie mi pan mógł pomóc w badaniach nad

Franciszkiem Lisztem i Słyszzącymi Barwy. Proszę też o zrozumienie dla tego, że w przyszłości również pragnę sama kroczyć śladami mojego przodka”.

- Zgadza się! Zgubiłam wizytówkę Janina, więc wyszukałam pański adres ze strony uniwersytetu.

- Co obojgu nam wyszło na zdrowie. Po otrzymaniu tej wiadomości skontaktowałam się z paroma osobami i poprosiłam ich, żeby informowali mnie, jeżeli dostaną niezwykle pytania dotyczące Franciszka Liszta.

- Wśród nich była też Elena Bella Łoginowa?

Skinął głową.

- W dokumentach mojego ojca Ermitaż wymieniony był jako jedno z miejsc, gdzie Ciemni Słyszący Barwy mieli nadzieję schwytać Poszukującego Jasnych.

Serce Sary zatrzymało się na chwilę.

- A to by znaczyło, że Janin mógł wysłać tutaj szpiega, żeby na mnie czekał.

- Spodziewałaby się pani tego?

- Niedobrze mi.

- Moja oferta z Weimaru wciąż jest aktualna. Czy pozwoli pani sobie pomóc?

Sara zmierzyła Janina wzrokiem. Następnie westchnęła. Mogła mu przecież choć trochę zaufać.

- Wie pan może, gdzie tutaj w Petersburgu mogę znaleźć fortepian koncertowy z fabryki C. Bechsteina z XIX wieku?

- Zapewne w konserwatorium Rimskiego-Korsakowa.

Nadstawiła uszu.

- Bywałam już w wielkiej sali koncertowej tej akademii. Wcześniej nazywała się inaczej, prawda?

- Zgadza się. Założono ją jako Konserwatorium Petersburskie.

Serce Sary zaczęło bić w radosnym podnieceniu.

- To całkiem blisko, prawda?

Skinął głową.

- Nie dalej niż pół godziny na piechotę. Przy Placu Teatralnym, dokładnie naprzeciwko Teatru Marińskiego.

- A pozwolą mi zagrać na fortepianie Bechsteina?

- Teraz? - pokręcił głową. - Z całą pewnością nie.

Wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza, dotykając odtwarzacza MP3, który tak dobrze posłużył jej w centrali Musilizera. Na twarz wypłynął jej złowieszczy

uśmieszek.

- Zaprowadzi mnie pan tam mimo wszystko?

Petersburskie Państwowe Konserwatorium im. Mikołaja Rimskiego-Korsakowa było zbyt duże, żeby kiedykolwiek mogła zapanować w nim cisza. Nawet w weekendy, kiedy nie było lekcji, w akademii odbywały się rozmaite uroczystości, spotkania kół naukowych, dawało się też usłyszeć dobiegające z niezliczonych pracowni ćwiczenia studentów, maltretujących instrumenty i własne głosy. Osip Janin wiedział o tym z własnego doświadczenia, w końcu wygłosił już kilka gościnnych wykładów przy Teatralnej Płozczadzi 3.

Ledwo on i Sara weszli do budynku, drogę zastąpił im nieogolony dozorca ze wzbudzającymi strach obcęgami w rękach. Twierdził, że zna twarze każdego z tysiąca czterystu pięćdziesięciu studentów i oczywiście też sześćdziesięciu dziewięciu wykładowców, ale nie kojarzy żadnego z intruzów.

Osip pokazał mu legitymację Uniwersytetu Moskiewskiego, ale nawet to nie udobruchało postawnego sześćdziesięciolatka. Oparł obcęgę o ramię i zaczął narzekać, że ostatnimi czasy do szkoły ciągle wkradali się jacyś turyści, którzy myszkowali po pomieszczeniach. Więcej na to nie pozwoli.

Kiedy jednak Sara zapoznała go z zawartością swojego odtwarzacza MP3, mrukliwy pies obronny Instytutu natychmiast spotulniał. Dał im nawet klucz do małej salki koncertowej na pierwszym piętrze, gdzie znajdował się fortepian Bechsteina.

- Co to była za muzyka? - zapytał skonsternowany Osip, kiedy zostali już sami i wchodzili po szerokich schodach.

- Pański ojczym nazywał ją Dźwiękami Władzy. Mówił, że Słyszący Barwy od zarania dziejów wykorzystują je do narzucania swojej woli ludziom. Wyłącznie dla ich własnego dobra, oczywiście.

- Czy dozorca widzi to w ten sam sposób?

- Nie musi pan wzbudzać we mnie wyrzutów sumienia, i bez tego czuję się koszmarnie. Jeżeli jednak nie zacznę walczyć z Ciemnymi ich własną bronią, nigdy nie wygram.

Zwężyła oczy w szparki.

- Bracia Jubala są podobno w mniejszym lub większym stopniu odporni na Dźwięki Władzy.

Westchnął.

- Pani nieufność naprawdę potrafi wytrącić z równowagi, wie pani?

Oczywiście, że coś poczułem. Coś kuszącego, co kazało mi słuchać pani poleceń.

- Potrafił pan się jednak oprzeć.

- Oczywiście. Nie jestem przecież jakimś węzłem, żeby słuchać zaklinacza.

Kiedy oboje weszli w korytarz, tak szeroki, że bardziej przypominał promenadę, Sara zmierzyła kątem oka profesora. Czy też był Orłem? Wydawał się w każdym razie autentycznie niewinny.

- Może to synestezja pana chroni. To mógł być też powód, dla którego Oleg Janin tak się panem zainteresował.

- *Mamuszka* i ja byliśmy dla niego tylko środkiem do osiągnięcia celu, czymś, co się wykorzystuje, a potem wyrzuca. Pewnego dnia za to zapłaci.

- Chce się pan zemścić za to, co zrobił panu i pańskiej matce?

Osip pokręcił głową.

- Domagam się jedynie sprawiedliwości.

Wskazał na dwuskrzydłowe drzwi: - Za nimi musi mieścić się sala koncertowa, o której mówił dozorca.

W szerokich korytarzach akademii muzycznej rozbrzmiewały bez troskie dźwięki klarnetów i skrzypiec, obojów i wiolonczel, grzmiące fortepiany oraz ćwiczenia młodych śpiewaków i śpiewaczek, którzy posyłali swe głosy w głębokie doliny lub na zawrotne wysokości. Wszystko to mieszało się z zapachem taniej pasty do podłogi. Sara, idąc obok Osipa, dosłownie chłoneła tę dobrze sobie znaną atmosferę. Z melancholią przypominała sobie własne lata studenckie w paryskim Conservatoire National de Musique. Wtedy muzyka oczyściła jej duszę z trucizny samozniszczenia.

Kiedy Osip obracał klucz w zamku sali koncertowej, Sara zrozumiała, co Franciszek Liszt miał na myśli, kiedy pisał dedykację dla Rubinsteina: „Za pomocą uniwersalnego języka ludzkości, muzyki, dadzą światu zrozumienie”. Nigdy nie potrafiła wyrazić tego słowami, ale było to również jej najgłębsze życzenie. Nie chciała jedynie zapewniać ludziom rozrywki, pragnęła swoją sztuką rozbić skorupę nienawiści, niezgody i zazdrości, wydobywając to najczystsze z ludzkich uczuć: miłość. Miłość nie potrzebowała władzy politycznej ani religijnej, grózb, ale potrafiła też doskonale obyć się bez podprogowych manipulacji. Właśnie dlatego Liszt kroczył ścieżką światła. Ścieżką miłości. A Sara, jeszcze zanim weszła do sali, wiedziała, że też podąży tą drogą.

- Oto i fortepian - powiedział Osip, wskazując w głąb pomieszczenia.

Sara tak była oszołomiona swoją wizją, że przez jakiś czas stała tylko bez ruchu i nie reagowała na nic. Stopniowo zaczęła jednak dostrzegać instrument. Kiedy w końcu w pełni przyjęła jego istnienie do wiadomości, to, z czego zdała sobie sprawę, poruszyło ją tym bardziej.

Przestąpiła próg, żeby tym dokładniej przyjrzeć się fortepianowi. W sali mogło zmieścić się osiemdziesiąt, sto osób. Wystrój ujmował prostotą - ściany i wysoki sufit były bielone wapnem, na podłodze ułożono w jodełkę dębowy parkiet. Fortepian sprawiał zupełnie odmienne wrażenie. Był jasny, miał trzy metry długości i, dzięki zawijasom, giętym nogom i niezliczonym ozdobom, roztaczał aurę luksusu. Sara przesunęła dłonią po gładkim lakierze, obchodząc olbrzymi instrument dookoła i chłonąc każdy szczegół.

- Dlaczego to musi być koniecznie bechstein? - zapytał Osip, który obserwował ją przez chwilę.

- Z powodu jego brzmienia. Mam w głowie melodię, która zdradzi mi swoją tajemnicę tylko na bechsteinie.

- Czy steinway by nie wystarczył?

Pokręciła głową:

- Tym, czym dla Liszta-wirtuoza były fortepiany Pierre'a Erarda, tym dla Liszta-kompozytora były instrumenty Carla Bechsteina. Jestem przekonana, że niektóre z jego utworów były dosłownie stworzone na ten instrument. W muzeum Uniwersytetu Kansas stoi bechstein, na którym Liszt grał w Londynie roku swojej śmierci. Kiedy porównano go z nowoczesnym steinwayem, okazało się ku zaskoczeniu wszystkich, że ma dużo czystsze brzmienie.

Osip usiadł na krześle i obiema dłońmi wskazał zapraszająco na fortepian.

- Wzbudziła pani moją ciekawość. Posłuchajmy więc.

Sara postawiła torbę z laptopem na podłodze, otworzyła wieko klawiatury i uniosła w górę wielką pokrywę, żeby dźwięk mógł swobodnie rozbrzmiewać nad strunami. Następnie usiadła na taborecie, obniżyła go odrobinę i ostrożnie położyła dłonie na klawiszach.

Zamknęła oczy, żeby przypomnieć sobie przeczytaną w Ermitażu partyturę i przygotować czyste płótno dla daru *audition colorée*. Następnie zaczęła grać.

Lisztowi po raz kolejny udało się ją zaskoczyć. Dzięki przeróbkom

z mrocznego dzieła organowego stworzył lekki i melancholijny utwór na pianino. Dosłownie czuła, jak przenikają ją cudowne harmonie, które następnie koniuszkami palców przekazywała klawiszom. Nie przerwała nawet, kiedy przed jej oczyma tworzyła się ósma wiadomość róży wiatrów. Przeciwnie, zaczęła grać z jeszcze większym wyczuciem i siłą.

SŁYSZĄCYCH BARWY BRACTWO NA DWIE CZĘŚCI PEKŁO
KIEDY POD PURPURATA UGIĘŁO SIĘ RĘKĄ
ORZEŁ WZLECIAŁ POD NIEBO I DO ROSJI BIEŻY
GDZIE NA DWORZE CESARSKIM MA BEZPIECZNE LEŻE
CAR WŁASNĄ PIERSIĄ KARMI ŻMIJĘ JADOWITĄ
ZA JEJ SPRAWĄ ŚWIAT SPŁONIE KRWIĄ SPŁYNIE OBFITĄ
KRWI ŁABĘDZIEJ POTOMSTWO SCHWYCI I ZADUSI
ŁABĘDŹ DO PATRYMONIUM UMKNAĆ SZYBKO MUSI
TAM DAR MU CENNY WYKRAŚĆ ZARAZ ZECHCE ORZEŁ
JANINĘ MU PODSUNIE NIECH GO UPOKORZY
MIMO STRACHU TO WE MNIE POZNACIE ZWYCIĘZCĘ
BRZEK MONETY ZE ZŁOTA SPROWADZI ICH KLĘSKĘ

Kiedy przebrzmiał ostatni akord, głowa Sary opadła w dół. Czuła się jak w transie. Później nigdy nie będzie potrafiła wyjaśnić, czy to zamyślenie spowodowały na nią Dźwięki Władzy, czy też po prostu tak wstrząsnęło ją objawienie. Wprawdzie wiadomość, jak i wszystkie poprzednie, miała formę zagadki, była jednak zupełnie czytelna dla Sary.

Franciszek Liszt, który otwarcie określał się już mianem Łabędzia, schronił się przed wrogami w patrymonium. Musiał mieć na myśli *Patrimonium Petri*. Z nielicznymi wyjątkami, ta „ojcowizna Piotrowa” została okrojona do granic Watykanu właśnie w tym czasie, kiedy Liszt przebywał w Rzymie.

„Watykan!” Tam właśnie kończył się trop róży wiatrów.

Sara zadrżała, biorąc głęboki wdech. W odróżnieniu od poprzednich wiadomości, mistrz harfy tym razem wyrażał się dużo jaśniej. Najwyraźniej frakcja Orłów, którą porównał do jadowitego węża, po wielkiej schizmie Słyszających znalazła schronienie na dworze cara - władca nie podejrzewał nawet, że karmił na własnej piersi żmiję. Od tych rewelacji bardziej poruszyło Sarę jednak nazwisko, które List wplótł w swoją wiadomość

„Janina”. Miała wykraść mu dar, nawet go „upokorzyć”. Sarze jakby spadły łuski z oczu. Gdy czytała o tej młodej Rosjance, aż do tej pory nie zwróciła uwagi

na to, że nazywa się bardzo podobnie jak zdrajca Janin. Teraz zaś to, co pamiętała i to, co rozumiała, połączyło się w jedno, tworząc niewiarygodny przekaz.

Oldze Janinie - zwanej „kozacką hrabiną” - udało się to, o czym inne kobiety w czasach Liszta mogły jedynie marzyć: pojechała do Rzymu i uwiodła dojrzałego, wciąż jednak jeszcze uwielbianego boga fortepianu. Historia miłosna godna powieści Borysa Pasternaka.

Mimo że skończyła zaledwie dziewiętnaście lat, Janina miała już pewne doświadczenia z mężczyznami. W wieku lat piętnastu wydano ją za mąż, porzuciła jednak małżonka tuż po nocy poślubnej. Dla Ciemnych stanowiła broń idealną, albowiem ich przeciwnik, Franciszek Liszt, miał dwie wielkie słabości - kobiety i luksus.

Jasny mistrz harfy właściwie nigdy nie dążył do bogactwa. Chętnie korzystał jednak z tego wszystkiego, co udostępniali mu zamożni współcześni, często też u nich gościł. Nawet skromny klasztor zamienił szybko na światowy przepych, który jego protektor, kardynał Hohenlohe, udostępnił mu w Villi d'Este. Przez jakiś czas Liszt mieszkał nawet w Castel Gandolfo, letniej rezydencji papieży.

Świadoma tego Janina wynajmuje eleganckie mieszkanie i zamawia nowe stroje u paryskiego projektanta Wortha. Jej zaloty nie pozostały bez wpływu na Liszta, choć ten poczuł prawdopodobnie pismo nosem i powiedział jej przy pierwszym spotkaniu: „Nigdy nie rozmawiaj ze mną o miłości. Mnie nie wolno kochać”. Co ważne: był wtedy w związku z księżną von Sayn-Wittgenstein, którą zamierzał poślubić, i przebywał w Rzymie, żeby przyjąć święcenia (jako abbego nie obowiązywał go celibat).

Pełna temperamentu Rosjanka wykazuje się jednak przebiegłością i cierpliwością. Zręcznie wykorzystuje słabości Liszta. Jego, rozpieszczonego hołdami mas, dręczy teraz samotność w klasztorze oratorian Madonna del Rosario. Zalecono mu dłuższą kontemplację na Monte Mario, wtedy jeszcze poza granicami Wiecznego Miasta. Olga wiedziała, że mistrz będzie pragnął czyjejs uwagi, że wyjałowi go to i osłabi. Dokładnie tak się stało.

W odpowiednim czasie zjawiała się u jego drzwi w przebraniu pomocnicy ogrodnika z koszem kwiatów. Ogarnięty radością, wpuścił ją. Tak zaczął się krótki i gwałtowny romans.

Po upojeniu namiętnością przychodzi kac żalu. Z całą pewnością do

patrimonium Petri przywiódł Liszta nie tylko lęk przed Orłami, ale też rozmaite przemyślenia na temat własnej roli w boskim planie, chęć poślubienia Carolyne von Sayn-Wittgenstein i pragnienie reformy muzyki – miał przecież szanse, by otrzymać tytuł generalnego dyrektora muzyki kościelnej. W ten sposób mógłby wskazać ludzkości nową drogę do humanizmu, zrozumienia prawdy, piękna i czystości, a jednocześnie zyskać dla Jasnych wpływ na olbrzymią dziedzinę życia muzycznego, ponieważ jego muzyka rozbrzmiewałaby w każdym kościele katolickim na świecie. Miało się jednak stać inaczej.

Liszt oświadcza Oldze Janinie, że nie chce jej więcej widzieć. Na to ona grozi, że zabije i siebie, i jego. Sięga po buteleczkę z trucizną – jak okazało się później, był to po prostu silny środek nasenny. Liszt opiera się jej zalotom przez tydzień, a potem znowu pada do jej stóp.

Nie na długo jednak. Olga ma najwyraźniej dużo większy talent w łóżku niż przy fortepianie. Kiedy prezentuje publicznie swój artyzm i kompromituje się, Liszt surowo gani ją przy wszystkich. Dziewczyna traci panowanie nad sobą. Wybiega z pokoju i ostrzega, że oboje ich zastrzeli. Do tego, co prawda, nie doszło, jednakże była to tylko pozorna kapitulacja. Wkrótce zmija miała wstrzyknąć inny jad.

Rosjanka sporządza dwa listy, których upublicznienie wywołuje skandal w Rzymie. Liszt wciąż jednak chce poślubić księżną Carolyne von Sayn-Wittgenstein w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin. Ślub jest już przygotowany. Siedem godzin przed nim do Watykanu przybywa posłaniec z Rosji, przynosząc „obciążające materiały” dotyczące rodziny Carolyne. Wesele nie dochodzi do skutku. W łeb biorą też plany reformatorskie generalnego dyrektora muzyki kościelnej *in spe*.

Elementy układanki rozrzucone w wielu różnych biografjach Liszta ułożyły się przed Sarą w jedną całość właśnie w chwili, kiedy z zamkniętymi oczyma siedziała za fortepianem. A ostatnia wiadomość od przodka była spoiwem, które pozwoliło ukazać przebiegłą intrygę Orłów.

Ognistą Rosjankę zwerbowali Ciemni, żeby pogrążyć Liszta. Za sprawą tej intrygi Liszt musiał porzucić nie tylko marzenia o ślubie i plany reform. Janina miała, jak pisał, ukraść mu też jego „dar”. W pierwszej chwili Sara pomyślała o Szkarłatnej Partyturze, jednakże w tym przypadku kompozytor na pewno użyłby innego sformułowania, czego dowodziła pierwsza wiadomość z Weimaru. Te słowa mogły oznaczać tylko jedno.

Olga Janina chciała mieć z nim dziecko, które dysponowałoby jego umiejętnościami, potrafiłoby odnaleźć Purpurowe Nuty, zrozumieć je i wykorzystać. A kiedy zaszła w ciążę, próbowała go zabić.

Sara rozumiała to wszystko w czasie zaledwie trzech-czterech uderzeń serca. Stwierdziła oszołomiona, że oprócz niej i Osipa Janina w sali koncertowej jest też ktoś inny. Z sąsiednich pracowni wyszła gromadka studentów, którzy klaskali teraz w zachwyceniu.

- *Da capo*, madame d'Albis - wołał młody mężczyzna z fryzurą godną Beethovena. - *Da capo, da capo!* - przyłączyły się inne głosy Sara czuła tylko lodowaty strach. Tu, w Petersburgu, gdzie czekali na nią Ciemni Słyszący, wykrzykiwano na głos jej nazwisko. Poderwała się z miejsca, złapała torbę i wybiegła z budynku.

Osip dogonił ją dopiero na Placu Teatralnym, bo rzucił jeszcze zaskoczonym studentom kilka chaotycznych wyjaśnień, zanim za nią pobiegł.

- Dobrze się pani czuje, Saro?

Nie zwalniając tempa, w którym przemierzała plac, parsknęła:

- Odkąd wyjechałam z Les Baux, staram się pozostać niewidoczna, a tutaj dostaję owacje na stojąco od studentów wykrzykujących moje nazwisko. Czuję się, jakbym była już martwa.

- Proszę się uspokoić. To miasto to mój dom. Zaraz coś wymyślę, aby to odkręcić. Gdzie pani mieszka?

- W „Angleterre”.

- Dobry Boże! To miejsce do pani pasuje, ale rozsądkiem się pani nie wykazała, jeśli chce pani znać moje zdanie. W takim razie czemu nie w „Astorii” albo w „Newskim Pałacu”?

Sara zatrzymała się gwałtownie i posłała mu wściekłe spojrzenie:

- Nie było już miejsc.

Między nimi przebiegł młody brodaty mężczyzna, recytujący coś melancholijnym tonem i wymachujący przy tym teatralnie rękami. Sara spojrzała na niego zirytowana.

- To tutaj norma. Chociaż w ostatnim czasie trochę się poprawiło - wyjaśnił Osip lekceważąco.

Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

- Co?

- No, ludzie idący i recytujący wiersze.

Ponownie spojrzała za tamtym mężczyzną. Pokręciła głową.

- Dlatego właśnie tak lubię przyjeżdżać do Petersburga - wyjaśnił Osip z uśmiechem zamyślenia. - Dostojewski twierdził, że to „miasto półobłąkanych”. Tutaj wszystko jest trochę... inne. Jeśli ktoś ma lekkiego fioła albo fizyczny defekt, tutaj będzie uchodził za normalnego. Sława traktowana jest natomiast jako coś nieprzystojnego.

- Ach, to dlatego moja prawdziwa tożsamość nie zrobiła najmniejszego wrażenia na madame Łoginowej?

Skinął głową.

- Tak, to prawdziwa petersburżanka: wykształcona, z dystansem i doskonale obeznana w najmniej sensownych rzeczach.

- Słucham?

Osip wskazał w stronę wędrownego recytatora.

- Tego typu kolekcjonowanie szklanych paciorków ma tutaj długą tradycję: każda wiedza, byle tylko do niczego nieprzydatna, otaczana jest czcią. Czy będzie to znajomość starokoptyjskiego, czy szczegóły z życia pisarza Konstantina Waginowa, czy imiona kotów Tołstoja.

- Nie wiedziałam nawet, że miał koty

- Ja też nie. Czy w hotelu jest też pani bagaż?

Sara oderwała w końcu wzrok od recytatora i ruszyła dalej.

- Tak. Najwyższy czas posprzątać pokój i. - przygryzła dolną wargę.

- I?

- Ach, nic.

- Czy w *Hymnie papieskim* były jakieś informacje o Słyszących Barwy?

- Nie mogę panu powiedzieć.

- Nie chce pani. Ponieważ wciąż mi pani nie ufa.

- I tak muszę jak najszybciej wyjechać z Petersburga. Najlepiej będzie, jeśli pojedę prosto na lotnisko.

Osip wskazał dłonią w prawo.

- Do „Angleterre” tędy.

Spiorunowała go wzrokiem, skrzyła jednak.

- Zaprowadzę panią na Pulkowo i zaczekam, aż znajdzie pani w powietrzu.

Sara znów się zatrzymała i spojrzała badawczo na swojego towarzysza. Osip

sprawił wrażenie, że naprawdę chce jej dobra. Westchnęła.

- Proszę nie mieć mi tego za złe, ale.
- Nie mam. Do hotelu też z panią pójde.

Podjęli wędrówkę w umiarkowanym tempie. Po chwili Sara zapytała.

- Czy w akcie ślubu pańskiej matki wpisano nazwisko Olega?
- Oczywiście. Oficjalnie cały czas nazywa się Ludmiła Janina.

Sarę przeszedł dreszcz.

- A więc w Rosji nazwisko żony tworzy się dodając „a” do nazwiska męża?
- Można tak powiedzieć. Czemu?

- Jedna z licznych kochanek Liszta nazywała się bardzo podobnie.

Prawdopodobnie była nawet w ciąży z mistrzem. W literaturze występuje jako „kozacka hrabina”, ale naprawdę nazywała się Olga Janina.

- To nie tylko brzmi podobnie jak Oleg. Olga to żeńska forma tego imienia.

Znaczy „święta” albo „święty”. Na zachodzie brzmiałoby „Helge” i „Helga”.

Sara gwałtownie odchyliła głowę do tyłu.

- Dobry Boże!
- Nie mogłaby pani choć raz wyrażać się jasno, Saro?
- Właśnie przyszło mi do głowy, że pański ojczym może być ze mną spokrewniony.

- Myślałem, że już pani o tym wiedziała.

Sara pisnęła.

- Co? Dlaczego nic mi pan nie powiedział?
- Myślałem, że to pani nic nie mówi i unika rozmów na ten temat.
- A więc porozmawiajmy, Joseph. Co wie pan na temat drzewa genealogicznego pańskiego ojczyma?

- Olga Janina miała tylko jedno dziecko, dokładniej mówiąc: syna. Jeżeli jego ojcem był Franciszek Liszt, to Oleg Janin jest jego bezpośrednim potomkiem.

- Wyczytał to pan pod kołdrą przy świetle latarki?

- Nie, dowiedziałem się z zupełnie normalnych badań genealogicznych. Do tej pory nie wiedziałem tylko, kto był ojcem dziecka Olgi.

- Czy ma pan dla mnie więcej tego typu niespodzianek?

- Sam jestem porządnie zdziwiony. Co jeszcze chciałaby pani wiedzieć?

- Jeśli pański ojczym był takim słynny dyrygentem, to zastanawia mnie, dlaczego nic o nim nie słyszałam. Występował pod pseudonimem?

- Oczywiście. Proszę o wybaczenie, dla mnie zawsze był po prostu Olegiem

Janinem, dlatego też na śmierć zapomniałem, żeby o tym wspomnieć. Świat sztuki znał go jako Anatola Akunina.

Sara przestraszyła się tak, że potknęła się i o mały włos upadłaby na bruk, gdyby Osip nie złapał jej na czas za rękę. Kolana jej zmiękły. Szybko złapał ją też drugą ręką.

- Co się dzieje, Saro? Zbladła pani.

- T-to imię - wydobyła z siebie. - Anatol Akunin. W rzeczach mojej mamy znalazłam kilka wycinków z gazet. We wszystkich pojawiało się nazwisko Anatola Akunina. Dlatego sędzę, że... to mój ojciec.

Pozostałą część drogi do hotelu przebyli bez słowa. Sara nie widziała nic wokół siebie, nie słyszała też hałasu samochodów. Była oszołomiona.

Jeśli Oleg Janin i słynny dyrygent Anatol Akunin byli tą samą osobą. Po raz kolejny pokręciła głową. Broniła się przed doprowadzeniem myśli do końca. Ale czyż ten stary oszust, ten fałszywy profesor muzyki, nie mówił do niej wielokrotnie „moje dziecko”? Czyżby te słowa wymknęły mu się raz czy drugi, dlatego że były szczere? Czy mogły wyrażać jego ojcowskie uczucia do niej? A jeśli tak - dlaczego próbował ją potem zabić?

Osip też sprawiał wrażenie wykończonego, chociaż jemu ta wiadomość się raczej spodobała. W pewnym momencie powiedział nawet:

- Kiedy dziś rano wstawałem z łóżka, nie mogłem nawet podejrzewać, że do wieczora będę miał tak słynną przyrodną siostrę.

- Nie mam żadnych dowodów na to, że Janin rzeczywiście jest moim ojcem - zastrzegła Sara natychmiast.

- Mimo wszystko uważam jednak, że nie powinniśmy traktować się jak nieznajomi. Może przejdziemy na „ty”?

W tej chwili było to Sarze zupełnie obojętne, nie chciała jednak urazić Osipa, odparła więc:

- Może być.

Znowu na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Dopiero kiedy ukazał się im czteropiętrowy gmach hotelu naprzeciwko soboru św. Izaaka, Osip odzyskał mowę.

Wskazał na główne wejście:

- Widzisz te dwa radiowozy?

Kiwnęła głową.

- Myślisz, że to z mojego powodu?

- Lepiej skorzystajmy z bocznego wyjścia.

Chwilę później niepozornymi drzwiczkami weszli do „Angleterre”. Przed nimi rozpościerała się długa, wysoka na co najmniej dwa piętra galeria z palmami w donicach, figurami gipsowymi, stolikami i krzeselkami.

- Tylko spokojnie! - szepnął Osip u boku Sary.

Spacerowym krokiem przeszli przez korytarz kończący się w głównym holu, rozległym pomieszczeniu na planie prostokąta, którego wielkie kryształowe żyrandole odbijały się w czarno-białej granitowej podłodze. Windy znajdowały się po drugiej stronie foyer. A na jego środku stał na lekko rozstawionych nogach milicjant w wielkiej czapce z daszkiem, ze wzrokiem skierowanym na główne wejście i rękami splecionymi za plecami.

Sara była sparaliżowana ze strachu. Czyżby szukała jej też petersburska milicja? Usłyszała obok siebie szept towarzysza:

- Weź mnie pod rękę.

- Co też pan sobie wyobraża! - syknęła rozgniewana, całkowicie zapominając, że zgodziła się być z przyrodnim bratem na „ty”.

- Jeśli szukają ciebie, nie będą zwracali uwagi na parę. A teraz szybko! - polecił Osip.

Niechętnie podała mu ramię.

Weszli w foyer. Kiedy szli w stronę wind, Osip pilnował, żeby cały czas znajdować się między nią a milicjantem. Był trochę od niej wyższy, więc mógł ją zasłonić niemal w całości. Opowiadał jej coś po rosyjsku wesołym głosem, a kiedy się śmiał, dołączała do niego. „Znowu teatr” - pomyślała Sara, odetchnęła jednak z ulgą, kiedy znaleźli się w końcu w windzie.

- Pierwsze piętro - szepnęła.

Wcisnął klawisz. Drzwi zasunęły się, winda ruszyła w górę, a kiedy się zatrzymała, Sara znów zadrżała.

Przed jej pokojem stało trzech milicjantów pogrążonych w ożywionej rozmowie. Jeden zaczął odwracać się w stronę windy Osip zareagował natychmiast. Zasłonił swoją towarzyszkę, wcisnął przycisk innego piętra i natychmiast kolejny, żeby od razu zamknąć drzwi.

Przez dwie, trzy koszmarnie długie sekundy nic się nie działo. Sara myślała, że zaraz umrze. Czy policjanci ją rozpoznali? W końcu winda znowu ruszyła.

- Czemu tu są, Joseph? Co to ma znaczyć? - szeptała zdenerwowana.

- Na pewno nic dobrego. Albo ktoś włamał się do twojego pokoju, albo szuka cię milicja. Najlepiej będzie, jeśli szybko to wyjaśnimy.

Kiedy winda zatrzymała się na drugim piętrze, Sara wstrzymała oddech. Drzwi otworzyły się. Nie było widać żadnego milicjanta.

Osip pociągnął ją w korytarz.

- Masz komórkę?

- Tak.

- Dobrze. Dzwonić z telefonu hotelowego to zbyt ryzykowne. Natychmiast zorientowaliby się, że jesteś w budynku. Lepiej użyj własnego. Zadzwoń do „Angleterre” i powiedz w recepcji, że przenosisz się do prywatnego mieszkania, a po rzeczy przyślesz taksówkę. Jeśli wbrew naszym przewidywaniom wszystko będzie w najlepszym porządku, grzecznie ci odmówią, tłumacząc, że w ten sposób każdy, kto znajdzie na ulicy portfel, może włamać się do pokoju hotelowego. Jeżeli po prostu ktoś się do ciebie włamał, delikatnie cię o tym poinformują. Jeżeli zaś milicja jest w zмовie z Ciemnymi, zrobią wszystko, żeby zwabić cię w pułapkę.

Sarę zemdliło.

- Chyba będę rzygać.

- Lepiej zaczekaj z tym, aż wyjdziemy na zewnątrz.

Poprowadził ją do klatki schodowej, którą zeszli na parter, a potem wyprowadził bocznym wejściem na ulicę. Na świeżym powietrzu Sara od razu poczuła się lepiej. Komórkę wyjęła jednak dopiero wtedy, kiedy przeszli kilka bloków w stronę Newskiego Prospektu.

Wybrała numer telefoniczny, który zapisano na karcie otwierającej pokój, przedstawiła się jako Kitty Gerard i poprosiła o połączenie z recepcją. Musiała czekać niezwykle długo, aż odezwała się jakaś kobieta. Sara powiedziała to, co ustaliła wcześniej z Osipem. Znowu musiała czekać.

Potem usłyszała w słuchawce męski, basowy głos:

- Mistress Gerard?

- Przy telefonie.

- Chciała się pani wymeldować, nie wracając do hotelu?

- Tak właśnie. Po bagaż przyślę taksówkę.

- Jeżeli pani nowy adres jest w Petersburgu, chętnie przywieziemy pani

bagaze za darmo.

- Dziękuję, ale to nie będzie potrzebne. Kierowca zapłaci też za mnie rachunek.

- Jak pani sobie życzy. W takim razie proszę dać też kierowcy podpisane upoważnienie. Życzymy pani miłego pobytu w Petersburgu.

Sara przełknęła ślinę.

- Dobrze. Dziękuję bardzo i *adieu*.

Wcisnęła czerwony przycisk w telefonie, spojrzała zatroskana na Osipa i powiedziała.

- Wiedzą. Ciemni wiedzą, że tu jestem.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

Rozdział 41.

St. Petersburg, 2 kwietnia 2005, 23:42

Sara miała złe przeczucia, kiedy Osip zabrał ją akurat na Nabrzeże Robespierre'a, ulicę, która ciągnęła się wzdłuż Newy. Jej patron w czasie rewolucji francuskiej wprowadził *terreur*, niezwykle krwawe rządy strachu. Za jego rządów gilotyny były ciągle zajęte. Kazał ścinać nawet króla Ludwika XVI. Dlaczego Ludmiła Baranowa nie mogła mieszkać przy ulicy Matki Teresy?

Jeśli wierzyć słowom Osipa, taki adres dużo lepiej pasowałby do jej charakteru. Po tym, jak wypadła z paryskiego okna, jej rozbudzona już wcześniej religijność przerodziła się w coś na kształt psychozy. Skrzypaczka, przed którą niegdyś otworem stały wszystkie znaczące sale koncertowe, zupełnie odwróciła się od świata i zamieszkała w olbrzymim mieszkaniu w starej kamienicy jak w klasztornej celi. Syn, kiedy ją odwiedzał, zatrzymywał się u niej. Miejsca było pod dostatkiem.

A teraz także Sara miała spędzić tutaj przynajmniej najbliższą noc. Osip nie umiał wymyślić lepszego rozwiązania. Stanowczo odradził jej wyjazd na lotnisko. Ciemni mogli nie dysponować wpływami wystarczającymi do kontroli całego aparatu państwowego Rosji, ale w takim węźle komunikacyjnym jak lotnisko Pulkovo na pewno mieli swoich agentów wśród pograniczników. Korupcja urzędników była w Rosji tak samo powszechna jak gaszenie pragnienia wódką.

Chcąc z całą pewnością wykluczyć, że wysledzą ich Ciemni, wiele godzin wałęsali się po okolicy, wstąpili też do kilku dziwacznych i modnych akurat lokali, które potem wszystkie bez wyjątku opuszczali tylnym wyjściem. Teraz Sarę bolały nogi i słała się ze zmęczenia. Dzień zbliżał się już ku końcowi, ale oni wciąż wędrowali. Sara obserwowała w zamyśleniu tańczące na rzece światła miasta.

- To ten z przodu - odezwał się nagle obok niej Osip. Wskazywał na pięknie

odrestaurowany budynek z lat siedemdziesiątych XIX wieku. Ermitaż znajdował się około trzech kilometrów na zachód stąd.

Przeszli przez ulicę i po chwili weszli do zbyt wysokiej kamienicy. Ludmiła Baranowa mieszkała na wysokim parterze po lewej stronie. Kiedy Osip zamknął drzwi, krzyknął coś po rosyjsku. Sara spojrzała na niego pytająco.

- Ostrzegam ją tylko, że mam gościa. Aktualnie jestem sam, widok kobiety przy mnie mógłby ją zaszokować.

„To się jeszcze może źle skończyć!” - pomyślała Sara i stwierdziła:

- Na pewno jest dumna z syna.

Ten uśmiechnął się dwuznacznie.

- Powiedziałbym, że jako tako. W tym mieście staranne wykształcenie nie jest niczym niezwykłym. Tutaj nikt nie przechwala się, że należy do inteligencji. Obycie w wielkim świecie zaś dla petersburskiego snoba zupełnie nie jest *comme il faut*, czyli.

- W dobrym tonie. Jestem Francuzką, pamiętasz?

- Przepraszam. Tak to jest, kiedy ciągle mówi się po angielsku.

- Nie ma sprawy. Chciałabym poznać w końcu twoją *mamuszkę*.

- Oczywiście. Zechcesz najpierw zdjąć wierzchnie odzienie?

Wyszukana uprzejmość Osipa przypadła Sarze do gustu. Odłożyła torebkę, zdjęła żakiet i powiesiła go na wieszaku. Potem przeprowadził ją korytarzem, z którego wychodziło się do różnych pokoi. Z jednego z nich dochodziły głosy i muzyka kościelna, jakby w środku grało radio albo telewizor. Brzmiało to jak transmisja mszy a w pobożne dźwięki wpleciono podprogowy rozkaz: „Przybywajcie! Przybywajcie!”.

Sara zadrżała. A zatem wezwanie Słyszących Barwy wciąż rozbrzmiewało.

Osip zatrzymał się przy trzecich drzwiach po lewej i powtórzył swoje ostrzeżenie po rosyjsku. Odpowiedział mu wysoki, miękki, lekko nosowy głos. Uśmiechnął się do Sary zachęcająco.

- Idź. *Mamuszka* chce cię poznać.

Sara już dawno nie czuła się tak skrępowana jak teraz. Nieśmiało jak mała dziewczynka przeszła przez próg i natychmiast znowu się zatrzymała. Bojaźliwie omiotła wzrokiem duży pokój, wyglądający zupełnie jak królestwo rosyjskiego arystokraty, który wyemigrował do Paryża. Słowa „duży pokój” mówiły zbyt mało. Ludmiła Baranowa stworzyła tutaj raczej kopię raj,

z którego została wypędzona. Disneylandz czasów Belle Epoque.

Był to wysoki salon o stiukowym suficie, z drogimi dywanami na podłodze, obitymi adamaszkiem szezlongiem i krzesłami, różnymi lampami, wśród których znajdował się też kryształowy żyrandol i stojąca lampa ze złotymi chwościami, a także bogatą kolekcją ikon na ścianach. Wszystkie chyba miejsca na wypolerowanych na wysoki połysk szafkach i stołach zajmowały figury świętych, w większości wykonane z porcelany, znalazło się jednak także kilka z drewna, metalu i kryształu. Na prawej ścianie pokoju migotał ekran olbrzymiego telewizora. A jakieś dwa i pół metra przed nim na wózku inwalidzkim siedziała Ludmiła Baranowa.

Sara znała byłą skrzypaczkę wyłącznie ze zdjęć. Widniała na nich młoda, przepiękna kobieta. Maleńka postać na wózku była natomiast stara. Osip mówił, że miała sześćdziesiąt siedem lat.

- Wejdz, proszę, moje dziecko - odezwała się matka Osipa po francusku i skinęła kościstą, pokrytą starczymi plamami dłonią. Ubrana była w bordowy, połyskujący jedwabście szlafrok, a szyję owinęła grubym szalem.

- Powiedziałem jej, że jesteś z Francji - szepnął, wziął Sarę pod rękę i wprowadził do salonu.

Sara grzecznie powitała wielką damę skrzypiec. Trudno było jej nie zerkać co chwila na ekran telewizora, gdzie pokazywano właśnie olbrzymi tłum ludzi na Placu Świętego Piotra.

- Mój syn dawno nie przyprowadził już do domu żadnej kobiety. Ostatnia nazywała się chyba Claire i jeździła z nim na sankach

- Ludmiła Baranowa z bólem skinęła głową.

Osip podniósł oczy.

- *Mamuszka*, to było jeszcze w Paryżu, co najmniej trzydzieści lat temu.

- Wspomnienie szczęśliwszych dni może rozświetlić nawet ten ciemny padół łez - westchnęła i w rozkojarzeniu wskazała dłonią na telewizor - zwłaszcza w tak smutnej chwili jak ta.

Osip zmarszczył czoło.

- Jak to? Papież znowu choruje?

Twarz Baranowej wyrażała zmartwienie. Kręcąc głową, odpowiedziała:

- Żeby tylko to. Nie, ten dzielny człowiek udał się już w ostatnią podróż. Ach, gdybym tylko mogła być teraz z wszystkimi tymi ludźmi na Placu Świętego Piotra i pomodlić się za spokój jego duszy!

Po plecach Sary przebiegł lodowaty dreszcz.

- Czy to znaczy...?

Ludmiła Baranowa przygnębiona skinęła głową.

- Tak. Papież umarł.

Na placu Świętego Piotra zebrały się tysiące wiernych i ciekawskich, którzy zapalali świece dla Jana Pawła II, śpiewali i czuwali, jakby mogli w ten sposób przedłużyć nić jego życia. Ta zaś zerwała się ostatecznie o 21:37 czasu rzymskiego. Tradycyjnie wkrótce po tym rozdzwoniły się dzwony Wiecznego Miasta. Z powodu dwugodzinnej różnicy czasu wiadomość dotarła do Petersburga krótko przed północą. Kiedy w Watykanie ludzie krzyczeli: „*Santo subito!*”, domagając się natychmiastowej beatyfikacji swego ukochanego papieża, Sara próbowała uporządkować chaos we własnej głowie.

Czy papież umarł z przyczyn naturalnych? Pragnęła w to wierzyć. Nie potrafiła jednak wyrzucić z pamięci słów Siergieja Niekrasowa: „Kiedy za dwa miesiące będą fetować małego Hansa Christiana w kołysce, dla kogoś innego otworzy się grób. Jego śmierć poruszy cały świat”.

I świat rzeczywiście został poruszony. Nawet Ludmiła Baranowa, która była przecież prawosławna, łkała, jakby umarł jej własny syn.

A może mroczna zapowiedź Niekrasowa miała oznaczać dużo więcej? Czy myślał wtedy o podprogowym przekazie „Przybywajcie!”, który wprawi w ruch olbrzymie masy ludzkie, każąc im wziąć udział w pożegnaniu arcybiskupa? A może mówił o ruchach ludzkich, które zgodnie z wolą Ciemnych mają rozpocząć się już po pogrzebie?

- Jak mogę wyjechać z Rosji, tak żeby nie wpaść w łapy Orłów? - spytała Sara. Rozłożyła się wygodnie na szeszlunku, kiedy Osipowi udało się w końcu położyć matkę do łóżka. Usiadł na jednym ze zgrabnych krzeseł, a prawą nogę oparł na ławce.

- Najlepiej łądem. Sam nigdy nie przejechałem tej trasy samochodem, ale do granicy fińskiej jest mniej niż sto pięćdziesiąt kilometrów, a stamtąd do Helsinek może sto dwadzieścia. W nocy na granicy nie ma dużego ruchu, a kilku celników możesz z pewnością skłonić, aby tańczyli tak, jak im zagrasz.

- To byłoby możliwe. Gdzie mogę tutaj dostać samochód?

- Załatwię ci to. Mam w mieście przyjaciół.

- Dziękuję, Joseph. Nie pożałujesz tego.

- Nie powiesz mi, gdzie jedziesz?

Sara powiodła wzrokiem po jego zatroskanej twarzy. Wydawało się, że naprawdę troszczy się o jej dobro. Nie zdobyła się jednak na to, żeby po raz kolejny lekkomyślnie obdarzyć kogoś zaufaniem. Zamiast tego ziewnęła demonstracyjnie i stwierdziła:

- Już późno. Pójdę już spać.

Oczywiście Sara nie zaznała spokoju. Ostatnie wydarzenia za bardzo nią wstrząsnęły. Czy rzeczywiście była córką Olega Janina, ogarniętego manią wielkości członka tajnego stowarzyszenia, który uzurpował sobie prawo, by zorganizować świat od nowa? Czy Ciemni zamordowali papieża, aby wprowadzić w życie swój plan? Jeśli tak naprawdę było, to zawiodła. Powinna była szybciej rozwiązać osiem zagadek róży wiatrów. Ile czasu pozostało jej, aby zapobiec jeszcze gorszemu nieszczęściu?

Te i inne pytania domagały się jej uwagi tak głośno, jak kamienie w bębnie pralki automatycznej, nie pozwalając jej zasnąć. Jęknęła, wygrzebała się spod puchu kołdry i włączyła nocną lampkę. Przez kilka chwil z ponurą miną wpatrywała się we własne odbicie w drzwiach szafki naprzeciwko łóżka. Ubrana była w woniejącą naftaliną, wykrochmaloną koszulę nocną, model „mamuszka” - długą do kostek, zapinaną pod szyję, upiornie białą i ozdobioną na biuście haftowanymi kwiatami. Osip znalazł ją bieliźniarce swojej matki i oznajmił z bezczelnym uśmiechem, że będzie w stanie się bez niej obyć.

Sara była o tym w pełni przekonana.

Włączyła laptopa, połączyła się z Internetem i weszła na kilka serwisów informacyjnych. Komputer co minutę wyrzucał z siebie nowe wiadomości na temat śmierci papieża. Po chwili wiedziała już, że egzekwie - ceremonia pochówku w kościele katolickim - poprzedzone będą co najmniej dziewięciodniową żałobą. „Mało czasu” - szepnęła. Nagle usłyszała hałas.

Tak naprawdę była to cała symfonia dźwięków, z których każdy wystarczyłby, żeby przyprawić ją o gęsią skórkę. W preludium usłyszała skrzypnięcie drzwi do mieszkania. Potem szorstki trzask pękającego drewna. Następnie zabrzączał łańcuch, który zabezpieczał wejście - zdjęto go bardzo ostrożnie - a na koniec do uszu Sary dobiegło skrzypienie starych desek. Miała wrażenie, że niezwykle czuły słuch pozwolił jej rozróżnić w przedpokoju dwie różne osoby, i przez głowę przemknęła jej ponura myśl: „Ciemni wrócili. Teraz

dokończą to, co nie wyszło im w Dolinie Piekieł”.

Pospiesznie wyłączyła nocną lampkę i zamknęła komputer. Pokoje gościnne mieściły się w tylnej części mieszkania, gdzie korytarz rozgałęział się w kształcie wielkiej litery „T” – możliwe, że intruzi nie zauważyli światła w jej sypialni. Wsunęła stopy w kapcie i w koszuli nocnej przemknęła ku drzwiom.

Kiedy zastanawiała się jeszcze, jak obrócić skrzypiącą gałkę u drzwi, nie zdradzając swojej obecności, od strony wejścia dobiegł trzask. Najwyraźniej włamywacze stwierdzili, że w starym mieszkaniu nie da się poruszać bezgłośnie, ruszyli więc naprzód szybko i bez ceregieli.

Sara natychmiast wyskoczyła na korytarz. W rozwidleniu korytarza po dywanie błądziły czerwone światełka. Trzeba ostrzec Osipa i jego matkę.

Nagle na swych ustach poczuła czyjąś rękę. Sara przeraziła się prawie na śmierć.

- To ja, Joseph - szepnął jej do ucha Osip i objął ją od tyłu w pół, bo ze strachu mogły ugiąć się pod nią nogi. - Dokładnie tak samo zaczęło się to wtedy w Paryżu. Musisz natychmiast uciekać! Wyjdź drzwiami dla służby. Ja obudzę *mamuszkę* i. - więcej nie zdążył powiedzieć, nagle rozbrzmiał bowiem wysoki głos Ludmiły Baranowej.

- Już się was nie boję. Chodźcie, Anioły Ciemności! - krzyczała po francusku, jakby wiedząc doskonale, kto włamał się do jej *refugium*.

Intruzi natychmiast zareagowali. Ich szybkie, nieostrożne kroki dało się zapewne słyszeć w całym domu: jęk desek podłogi.

Sara i Osip widzieli tylko drżące punkty celowników na ścianie, jako że sypialnia kobiety znajdowała się tuż obok salonu, przed tym, co kiedyś było skrzydłem gospodarczym i służbowym.

.łomot kroków.

Ludmiła powtórzyła swoje wyzwanie po angielsku.

.pękanie drewna.

Przeszła na rosyjski.

Rozległo się kilka następujących po sobie stłumionych dźwięków, które Sara znała aż za dobrze - strzelano przez tłumik.

Ludmiła krzyknęła.

Osip chciał biec do niej, pomóc matce, Sara przytrzymała go jednak z całych sił, stanęła na palcach i syknęła mu do ucha:

- Stój, Joseph! Krzyknęła, żeby ściągnąć na siebie ich uwagę. Żeby ocalić

syna. Chcesz zmarnować jej ofiarę?

Czuła, jak jego opór słabnie, i dodała:

- Zabierz nas stąd!

Osip wydał z siebie stłumiony jęk, obrócił się i pociągnął ją za sobą.

W sypialni Ludmiły zapadła cisza.

Wyjście dla służby znajdowało się na końcu korytarza. Osip cicho odsunął zasuwę i otworzył drzwi. W ostatniej chwili, albowiem intruzi zorientowali się już, jakie popełnili głupstwo, i zaczęli przeszukiwać pozostałe pokoje. Osip wepchnął Sarę w klatkę schodową, która zbudowana była z nieco mniejszym rozmachem niż wejście dla państwa. Przez okno do środka wpadało światło z ulicy. Sara zauważyła w dłoni Osipa błyszczące ostrze.

Ostrożnie zamknął drzwi do mieszkania i szepnął:

- Na dół!

Na palcach przemknęli po schodach. Sarze wydawało się jednak, że każdy stopień krzyczy pod jej ciężarem.

- Masz samochód? - zapytała cicho.

- Nie. Pożyczymy od sąsiadów.

W końcu zeszli na dół. Osip uchylił drzwi i szepnął:

- Tego się obawiałem.

- Co?

- Na zewnątrz stoi samochód, ktoś jest w środku. Prawdopodobnie ma pilnować, żeby nikt nie uciekł. Zaczekaj, zaraz wracam.

Zanim Sara mogła cokolwiek powiedzieć, Osip zniknął na zewnątrz.

Patrzyła za nim przez szparę w drzwiach. Skulony przemknął ku stojącemu przed głównym wejściem samochodowi morderców i zabrał się za opony. Kiedy w trzech z nich zrobił nożem myśliwskim trzy małe dziury, podkraść się do pamiętającej chyba zagładę dinozaurów łady zaparkowanej dokładnie przed tylnym wyjściem. Niewiarygodnie szybko otworzył drzwi starego gruchota i wgramolił się do środka.

Sara słyszała, jak ktoś szarpie za nią drzwi. W każdej chwili mogła zostać odkryta. Nie miała wyjścia, musiała uciekać. Z pochyloną głową wybiegła na ulicę, obiegła dookoła ładę i zastukała w drzwi pasażera. W środku Osip podniósł wzrok znad swojej „pracy”, zamarł na okamgnienie i wpuścił ją do środka.

- Łada chwila wyjdą! - szepnęła Sara.

Zaczął znowu dłużyć pod deską rozdzielczą.

- Zaraz skończę.

- A jeśli nie zaskoczy?

- Dimitrij Wasilijew utrzymuje swój samochód w doskonałym stanie.

- Ten gruchot mi na to nie wygląda.

Rozbłysły błękitne iskry i łąda zapaliła. W samą porę, ledwie bowiem Osip ujął kierownicę i wrzucił bieg, z domu wybiegli zabójcy. Gruchot ruszył z piskiem opon.

- Głowa w dół! - krzyknął Osip.

Przez wnętrze wehikułu przetańczyły czerwone kropki. Wkrótce potem kilka pocisków wbiło się w blachę. Pękła tylna szyba.

- *Gospodin* Wasilijew nie będzie zadowolony - zgrzytnął zębami Osip i skręcił ostro w lewo. Tylna koła łądy wpadły w poślizg, a samochód obrócił się wokół własnej osi.

- Co to miało być? - krzyknęła Sara.

- Skręcam w Czernyszewskiego.

Motor zawył, a leciwy samochód popędził dalej.

Kilka strasznych sekund później Osip powiedział:

- Możesz już podnieść głowę.

Wyprostowała się i spojrzała do tyłu przez przestrzeloną szybę. Samochód zabójców właśnie wyłaniał się zza rogu.

- Zdołamy ich zgubić?

- O to zupełnie się nie martw. Trzy opony zaraz spadną im z felg.

Obok stacji metra o koszmarnie długiej nazwie pisanej cyrylicą Osip znowu skręcił w lewo.

Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- Nie po raz pierwszy to robisz, prawda?

- Prawda. Kiedy byłem młodszy, przeżyłem dość niespokojny okres.

- Niespokojny? - powtórzyła.

- Sądzę, że miał to być swego rodzaju protest przeciwko temu, co zrobił nam ojczym. - głos Osipa załamał się.

Sara domyślała się, przez co właśnie przechodził. Jego matka nie żyła albo właśnie umierała.

- Niezmiernie mi przykro, Joseph. - zamilkła. Łada ponownie skręciła w lewo.

- Powiedz, nie chcesz wrócić do siebie do domu?

- Nie. Zostawimy samochód w parku Pałacu Taurydzkiego i pójdziemy pieszo.

- Przypominam ci, że masz na sobie piżamę, a ja koszulę nocną.

- Nie jest mi zimno.

- Nie o to mi chodzi, Joseph. Mogą nas aresztować za obrazę moralności publicznej.

- Nie w Petersburgu. Zapomniałaś już? To miasto półobłąkanych.

- A jeśli siepacze Niekrasowa wrócą?

- Wątpliwe. Narobili już dość hałasu, żeby obudzić cały dom. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś z sąsiadów dawno już zadzwonił na milicję.

- A ta pracuje dla Niekrasowa.

- Nie musisz ze mną wracać, Saro. Ja w każdym razie nie zostawię *mamuszki*.

Przełknęła ślinę. Osip nie podejrzewał nawet, jak bardzo zaboląły ją jego słowa. Przez lata robiła sobie wyrzuty, bo czuła się winna śmierci własnej matki. Pokręciła głową.

- Zbyt często już uciekałam, Joseph. Dodaj gazu! Może twoja *mamuszka* jeszcze żyje.

W czasie kiedy świat oplakiwał Jana Pawła II, tragiczny koniec słynnej niegdyś skrzypaczki Ludmiły Baranowej zwrócił uwagę tylko nielicznych. Zmarła ona z ran prawie dokładnie cztery godziny po śmierci papieża. Jej klatkę piersiową przeszły przynajmniej sześć kul.

Jej syn pozwolił łzom płynąć swobodnie, obserwowany przez mały krąg sąsiadów. Ukląkł obok zakrwawionego łóżka zmarłej, chwycił jej martwą dłoń, skarżył się na niesprawiedliwość tego świata i odnowił stare przyrzeczenie zemsty na Olegu Janinie.

Sara cierpiała wprawdzie razem z nim, zachowała jednak tyle przytomności umysłu, żeby się ubrać i zapakować komputer. Siepacze Niekrasowa przegapili go, ukrytego pod pierzyną, albo też zupełnie zignorowali. W końcu przyniosła też ubranie Osipowi. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy

- Chcę tylko powiedzieć, że zrozumiem, jeżeli mnie teraz znienawidzisz.

Sąsiedzi prawdopodobnie w większości nie zrozumieli jej słów, jednak

wszystkie oczy powędrowały w napięciu ku Osipowi.

Ten wziął od niej pakunek i rękawem koszuli otarł łzy z oczu.

- Ciebie miałbym nienawidzić? Skąd ci to przyszło do głowy?

Pełniący straż przy zmarłej sąsiedzi mruknęli na znak zgody lub niezrozumienia.

Sara wzniosła ręce w górę.

- Wiesz dobrze, Joseph. Te bestie przyszły tu po to, żeby mnie zabić. Gdybym z tobą nie poszła, twoja *mamuszka* wciąż by żyła.

W pomieszczeniu rozbrzmiało kilka ochów i achów.

- Jesteś pewna? Mój ojczym ostrzegł mnie kiedyś, żebym trzymał się z daleka od jego spraw, jeżeli miłe mi życie moje i mojej mamy. Mimo to zrobiłem wszystko, żeby się z tobą spotkać i ci pomóc.

Sara milczała. Co miała na to powiedzieć?

Jakaś kobieta w nocnej koszuli w kratę i rozpinanym swetrze powiedziała coś po rosyjsku.

- Zastanawia się, dlaczego milicja nie przyjeżdża - przetłumaczył Osip.

- Też się dziwię - odpowiedziała Sara.

Westchnął.

- Jeżeli milicjanci wiedzą, że ich mocodawcy będą załatwiać gdzieś swoje ciemne sprawy, to radiowóz przyjeżdża zazwyczaj dopiero po dłuższym czasie.

Parę osób skinęło głowami.

Osip podniósł się i pocałował matkę w czoło. Kule oszczędziły twarz Ludmiły Baranowej. Wyglądała, jakby tylko spała i śniła o własnym synu, którego życie ocalała dzięki odwadze i przebiegłości. Ten zaś obrócił się, już opanowany, i powiedział:

- *Mamuszka* nie umarła po to, żeby zwyciężyło kłamstwo, ale po to, żeby zatriumfowała prawda. Jadę z tobą, Saro.

Jeszcze godzinę temu nie zgodziłaby się na towarzystwo jego, adoptowanego syna Olega Janina. Teraz jednak wszystkie podejrzenia zniknęły. „Cóż za cena za odrobinę zaufania!” - pomyślała i skinęła głową.

On przysunął swoje usta blisko do jej ucha i szepnął:

- Czy teraz dowiem się, dokąd prowadzi nasza podróż?

Stała na palcach i wyszeptała tylko jedno słowo:

- Rzym.

REPRYZA

RZYM

(...) Muzyka (...) ma ludzi uszlachetniać, pocieszać, oczyszczać oraz chwalić i wywyższać boskość. Aby to osiągnąć, niezbędne jest stworzenie nowej muzyki. Muzyka ta, którą w braku lepszego określenia nazwijmy musique humanitaire, być ma podniosła, silna i skuteczna.

Franciszek Liszt, O przyszłej muzyce kościelnej, 1834

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA==

Wszystkie święte prawa i granice zostały zatarte, nastał czas przesadnego podniecenia, któremu nic już nie wystarcza, które nasyciło się już wszystkim i od teraz rozważa już jedynie skrajne środki mające ponownie rozbudzić wrażliwość.

Ludwig Rellstab, 1842

Rozdział 42.

Rzym, 6 kwietnia 2005, 17:38

Wieczne Miasto dosłownie roilo się od ludzi. A przecież datę pogrzebu papieża ustalono na 8 kwietnia, a więc dopiero za dwa dni. „Nie, już za dwa dni” – poprawiła się Sara, tłukąc się w towarzystwie Osipa pełnym ludzi autobusem linii 44 przez Rzym. Skąd ten pośpiech? Nie tylko ta jedna niedorzeczność zajmowała jej uwagę. Im więcej szczegółów dotyczących ceremonii pogrzebowej wychodziło na jaw, tym częściej zastanawiała się, czy aby za wszystkie sznurki nie pociągali w ukryciu Ciemni Słyszący Barwy

Zacząło się to już w sposobie, w jaki postępowano z doczesnymi szczątkami zmarłego. Poprzedników Jana Pawła II, zgodnie z powszechnie stosowaną praktyką, balsamowano. Początkowo zakładano więc, że taki sam los spotka po śmierci ostatniego papieża. Potem jednak nagle porzucono ten pomysł. Jak głosił komunikat z Watykanu, zwłoki mają być jedynie „przygotowane” do publicznej prezentacji. Czy chciano może, żeby procesy rozkładu zatarły ślady nienaturalnej śmierci? W świadectwie zgonu Karola Wojtyły jako przyczynę śmierci podano „wstrząs septyczny” w połączeniu z „nieodwracalną zapaścią sercowo-naczyniową”. A zatem człowiek otoczony najlepszą opieką lekarską na świecie zmarł na ostre zatrucie krwi.

Także w przypadku egzekwii wprowadzono „uproszczenia”, które wywołały w Sarze podejrzenie, że chciano po prostu jak najszybciej pozbyć się zmarłego. Jej nieufność wzbudziły przede wszystkim zmiany w programie muzycznym. Zgodnie z życzeniem zmarłego przewidziano jedynie proste *requiem*. Nie musiała nawet słyszeć wplecionych weń Dźwięków Władzy, żeby przejrzeć plan Ciemnych.

Kiedy na placu Świętego Piotra zbierze się trzysta tysięcy żałobników, kiedy setki milionów na całym świecie zasiądzie przed telewizorami i kiedy w końcu chór zaintonuje swoje *Requiem aeternam dona ei, Domine* - „wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie” - wtedy to się wydarzy. Nie wiedziała wprawdzie jeszcze, czy rozkaz zostanie wpleciony bezpośrednio w melodię, czy też zostanie wprowadzony jako niedostrzegalna świadomie sekwencja dźwięków w elektroakustyczny sygnał, ale wynik tego przekazu będzie w obu przypadkach identyczny. Oleg Janin mówił jej o krytycznej masie ludzi, których umysły muszą zostać zapłodnione jakąś ideą, żeby wywołać obejmującą cały świat lawinę, reakcję łańcuchową o niemożliwych do przewidzenia rozmiarach. Żeby podpalić świat. Ładunek podłożono już dawno temu, zaś 8 kwietnia 2005 stary porządek świata zawali się w gigantycznej eksplozji.

Sara przybyła do Rzymu, żeby temu właśnie zapobiec. Po morderstwie Ludmiły Baranowej wprowadziła Osipa we wszystko; z jej punktu widzenia on też był teraz Jasnym Słyszącym Barwy. Następnie rozpoczęli odyseję przez Europę: przyjaciel Osipa z młodzieńczego niespokojnego okresu pożyczył im samochód, którym pokonali pierwszy etap podróży, do granicy rosyjsko-fińskiej. Tam Sara po raz kolejny użyła swojego odtwarzacza MP3, aby uniknąć komplikacji przy opuszczaniu kraju. Drogę do Helsinek przebyli następnie ciężarówką.

Według Sary fińska stolica leżała i tak zbyt blisko Petersburga. Dlatego ponownie zmieniła paszport i kolor włosów - znowu wybrała czarny - i razem z Osipem wsiadła na frachtowiec płynący do Sztokholmu. Ze Szwecji przelecieli potem do włoskiego Mediolanu, a stamtąd pociągiem ruszyli do Rzymu. W towarzystwie mniej więcej miliona współpasażerów - tak przynajmniej wydawało się Sarze. Wkrótce potem miała się dowiedzieć, że pomyliła się w szacunkach. W rzeczywistości w stronę Wiecznego Miasta ciągnęły ponad cztery miliony żałobników.

„Przybywajcie! Przybywajcie!”

- Mam nadzieję, że twojemu znajomemu udało się coś wskórać - powiedział Osip. Miał na myśli Andréę Filippa Sarta, multimilionera, organizatora gigantycznych imprez i wielkiego wielbiciela Sary d'Albis. Gdyby Sara kiwnęła palcem, ten pięćdziesięciodwuletni wdowiec natychmiast poszedłby z nią do ołtarza. Innymi słowy: Sarto był na jej rozkazy.

Poza tym dysponował doskonałymi kontaktami w Watykanie. Spektakl medialny na srebrny jubileusz pontyfikatu 16 października 2003 był właśnie jego dziełem. Zadzwoiła do niego z Helsinek i poprosiła o pomoc.

- Musisz umówić mnie z wicepapieżem, Andréa.

Roześmiał się.

- Z kim?

- Wiesz, że mojemu włoskiemu daleko do doskonałości. Chodzi mi o osobę, która pełni urząd w zastępstwie papieża, o człowieka, który pochowa Jana Pawła i przygotowuje konklawe.

- Ach, mówisz o kamerlingu! Szczerze wątpię, czy w tej chwili znajdzie dla ciebie czas. A jego asystenci są teraz prawdopodobnie tak samo zajęci.

- To sprawa życia i śmierci, Andréa! Dowiedziałam się o zamachu.

- Ale Ojciec Święty już nie żyje.

- Ale nie na niego! Chodzi mi o uroczystość żałobną.

- Zamach bombowy?

- Czy mówi ci coś termin „subliminale”?

- Tak, chodzi o podprogową manipulację za pomocą odbieranych nieświadomie bodźców. Wierzysz w takie hokus-pokus?

- Mogę ci nawet udowodnić, że to działa. Chcą wykorzystać muzykę podczas pogrzebu papieża. Jeśli mi nie pomożesz, stanie się coś złego.

- Nie nabijasz się aby ze mnie, moja najśliczniejsza?

- Nigdy jeszcze nie byłam tak poważna, Andréa. Przez telefon nic więcej nie mogę już powiedzieć. Ale za dwa, trzy dni przyjadę z przyjacielem.

- Chcesz za niego wyjść?

- W tej chwili naprawdę mam inne zmartwienia, Andréa. Pomożesz mi?

- Zrobię co w mojej mocy. Kiedy będziecie w mieście, oczywiście zamieszkacie u mnie. Poza tym i tak na każdym łóżku w Rzymie będą teraz spały co najmniej dwie osoby, a wcale bym się nie ucieszył, gdybyś ty dzieliła swoje z tym facetem.

Sara wyjrzała przez okno autobusu. W Rzymie obowiązywał stan wyjątkowy. Zobaczyła grupę zakonnic w habitach brązowych jak czekolada i drugą, złożoną z młodych ludzi, którzy taszczyli ze sobą śpiwory i inne bagaże. Każdy na swój sposób przygotowywał się do wielkiego wydarzenia. Ona też. Czy to jednak wystarczy? Za kilka minut dowiedzą się, co Andréa wskórał w Stolicy

Apostolskiej. Ponownie zwróciła się w stronę Osipa.

- Andréa Sarto nie zna znaczenia słowa „niemożliwe”. Jakoś nas wprowadzi do Watykanu.

Autobus przejechał po Ponte Palatino nad Tybrem. Wjechali na Zatybrze.

Osip zerknął na plan miasta, który kupili na dworcu. Wskazał przed siebie:

- Przed nami Janikulum. Wysiadamy.

Mówił o jednym z tych siedmiu pagórków, na których według legendy założono miasto Rzym. Ponadto, według pewnej katolickiej tradycji apostoł Piotr oddał życie na krzyżu właśnie na wzgórzu Janikulum.

Willa Andréi Filippa Sarta stała na południowo-zachodnim zboczu zielonego, wznoszącego się na dwadzieścia metrów w górę, acz niespecjalnie potężnego wzniesienia. Milioner zaproponował gościom, że pośle po nich na Termini - dworzec główny - rolls-roy-ce'a, Sara jednak wolała raczej schronić się w tłumie pielgrzymów, żeby nie narażać na szwank swojej misji. W tej nowo odnalezionej prostocie wytrwała aż do chwili, kiedy znaleźli się u celu podróży: zadzwoniła do drzwi dla dostawców i uśmiechnęła się do umieszczonego na wysokości twarzy oka kamery.

Po drugiej stronie odezwał się, co niezwykle, kamerdyner Sarta. Na imię miał Mario i legitymował się dyplomem z londyńskiej szkoły kamerdynerów. Sara nie musiała nawet podawać swojego nazwiska, furtka otworzyła się sama z cichym szumem. Z głośnika rozległ się głos służącego, który brzmiał jak prosto z Oksfordu.

- Proszę podejść bliżej, madame d'Albis. Wysłać po panią samochód?

- To nie będzie potrzebne, Mario. Nie mamy dużo bagaży.

- Jak pani sobie życzy, madame. Jestem zaszczycony, że mogę powitać panią w domu.

Zielone światło na domofonie zgasło.

Osip podniósł brwi.

- Samochód?

- Andréa uwielbia jeździć po parku w elektrycznych golfach. Specjalnie zabiera je do Modeny, żeby przemalować je na czerwono, tak jak ferrari.

- Ale poza tym wszyscy zdrowi?

- Gdzie? U Andréi Fillippa Sarta? Nigdy w życiu! Chodź, przedstawię ci go.

Idąc drogą, przeszli przez park, który otaczał cały budynek. Po chwili ich oczom ukazała się Villa Sarto. Był to reprezentacyjny, utrzymany

w renesansowym stylu pałacyk na planie kwadratu. Wyglądał imponująco.

- Tak to można żyć - westchnął Osip.

- Niestety, zbliżamy się z boku. Jeśli pierwszy raz widzi się willę od frontu, z portykiem i białymi kolumnami z kararyjskiego marmuru, nie można oprzeć się wrażeniu, że w środku rezyduje Jupiter we własnej osobie.

- Ja takie wrażenie odnoszę już teraz.

Po chwili przy bocznym wejściu spotkali Maria. Krępy kamerdyner ubrany był w liberię, od szyi w dół wyglądał więc jak żywcem przeniesiony z angielskich rezydencji, głowę miał jednak wybitnie włoską: czarne, kręcone, pociągnięte pomadą włosy, podkręcone wąsy i ogniste ciemne oczy.

- Witam serdecznie w Villa Sarto, madame d'Albis - powitał Sarę i gestami nakazał lokajowi, żeby odebrał bagaż od jej tragarza. Chcąc uniknąć nieporozumienia, przedstawiła swojego towarzysza pełnym tytułem.

- To profesor Osip Janin z Uniwersytetu Łomonosowa w Moskwie. Jeśli chodzi o tajemnicę dotyczącą naszej wizyty, do niego odnoszą się te same wskazówki, które signore Sarto na pewno sformułował już w odniesieniu do mnie.

Mario jedynie drgnieniem prawej brwi dał znać, że przesunął towarzysza Sary z działu „służba” do kategorii „państwo”. Wyszukanym gestem zaprosił ich do środka i powiedział:

- Jako że korzystamy z wejścia dla dostawców, pozwolę sobie pójść przodem. Signore Sarto już na państwa czeka.

Kamerdyner przeprowadził gości wąskim korytarzem do wysokiego holu, gdzie poprosił ich o minutę cierpliwości. Nie musieli zresztą czekać na gospodarza ani chwili dłużej. Podszedł on do Sary, wyciągając ku niej w geście powitania swoje zadbane dłonie.

Andréa Filippo Sarto wyglądał jak Marcello Mastroianni za swoich najlepszych lat: miał bujne, zaczesane na lewą stronę włosy, szerokie i pełne usta oraz, mimo uśmiechu, melancholijne wejrzenie. Ponieważ co rano poddawał swoje ciało intensywnym ćwiczeniom, o czym Sara wiedziała, nie miał ani grama zbędnego tłuszczu. Szyte na miarę czarne spodnie i marynarka w kolorze koniaku leżały na nim doskonale. Do tego dobrał sportową koszulkę polo, także czarną, oraz pantofle z krokodylej skóry w tym samym kolorze.

- Saro, moja najśliczniejsza. Twój widok sprawia, że w moim domu wschodzi

słońce – zaszczębiotał ochryplym od papierosów, brzmiącym trochę jak fagot głosem. Wziął ją za obie ręce i na każdej złożył pocałunek. Dopiero potem ją objął.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Nie staraj się tak, Andréa. Wiem, że wyglądam okropnie.

– Kobiety zawsze przesadzają. Jeśli chcesz, natychmiast poślę po fryzjera, który doprowadzi twoją głowę do porządku.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Moje włosy na razie zostaną takie, jakie są.

Sara wskazała na swojego towarzysza, przedstawiła go gospodarzowi i poprosiła, żeby ze względu na Osipa przejść na angielski.

Sarto powiedział, że to żaden problem dla organizatora koncertów, który codziennie ma do czynienia ze światowymi gwiazdami, a Sara zauważyła, jak intensywnie przypatruje się przy tym Rosjaninowi, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywołają jego słowa. Zrezygnowała z prób wyjaśnienia mu, że w Petersburgu sukces kojarzy się raczej z kiepskim smakiem, konformizmem i zaściankowością. Czyżby obaj mężczyźni zaczęli traktować się jak rywale?

Kiedy pierwsze starcie nie dało rozstrzygającego wyniku, Sarto stwierdził pojednawczo:

– Macie za sobą długą i bez wątpienia ciężką podróż. Jak mogę pomóc wam odpocząć? Czy Mario ma przygotować kąpiel? A może rozgrzać saunę? Oczywiście mój masażysta także jest do waszej dyspozycji.

– Może później. Najpierw chciałabym się dowiedzieć, co udało ci się załatwić w naszej sprawie. Wiesz, o co.

Skinął głową na znak, że rozumie, i zaprowadził gości do salonu, przy którym ten w mieszkaniu Ludmiły Baranowej wyglądał jak schowek na miotły. Przez rząd oszklonych drzwi widać było taras, a za nim park. Ciepłe światło wieczornego słońca połyskiwało w strugach wody z fontanny. Sara i Osip usiedli w bielutkich fotelach z najdelikatniejszej skóry i poprosili o bezalkoholowe napoje.

Kiedy wszystkie usługowe duchy opuściły w końcu salon, Sara ponownie spytała o ich sprawę.

– Dałaś mi twarde orzech do zgryzienia – wyjaśnił Sarto. – Najpierw zła wiadomość: kardynał Somalo i jego trzech asystentów nie dopuści do siebie nawet mnie.

- Kto?

- Eduardo Martinez Somalo, kardynał kamerling.

- Ach! Powiedziałaś mu o zagrożeniu?

- Jemu nie, powiedziałem za to kardynałowi sekretarzowi stanu.

Kiedy Ojciec Święty żył, pełnił on rolę - jak to ujęłaś? - wicepapieża.

Rozmowa z nim była krótka i niezbyt obiecująca. Powiedział: „Codziennie dostajemy pogróżki od szaleńców i dziwaków, od fanatyków islamskich i najrozmaitszych innych fundamentalistów. Gwardia Szwajcarska i rzymska policja mają wszystko pod kontrolą”.

Sara pociągnęła ze szklanki potężny łyk lodowej herbaty.

- A ta dobra wiadomość?

- Na hasło „muzyka” zostałem skierowany do kardynała-prefek-ta, z którym miałem już okazję współpracować przy okazji licznych koncertów muzyki kościelnej i zawsze doskonale się dogadywaliśmy. Podlega mu Papieski Instytut Muzyki Sakralnej „Sistina”. Ważniejsze jest jednak to, że był bardzo blisko Ojca Świętego i powinien mieć znaczny wpływ w kurii.

Sara i Osip wymienili spojrzenia.

- To brzmi bardzo obiecująco. Gdzie tkwi haczyk? - zapytał Rosjanin.

Sarto wzruszył ramionami.

- O żadnym nie wiem. Ustaliłem z purpuratem termin. Będzie was oczekiwał jutro o ósmej trzydzieści rano w prefekturze w Pałacu Apostolskim.

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

[Muzyka instrumentalna] jest tą spośród wszystkich sztuk, która pozwala na wyrażenie uczuć, nie dając im jednak prostej interpretacji. (...) Pozwala świecić i błyszczeć pasjom w ich najczystszej formie...

Franciszek Liszt

Rozdział 43.

Rzym, 7 kwietnia 2005, 8:10

Był piękny, słoneczny wiosenny poranek, o wiele zbyt radosny na zajmowanie się ciemnymi machinacjami. Do zupełnie normalnego drogowego szaleństwa, które ogarnia Rzym w godzinach szczytu, dołączyła rzeka pielgrzymów płynąca nieprzerwanie do Wiecznego Miasta. Do Watykanu było jednak blisko, wystarczyło przejechać na drugą stronę Janikulum. Szofer Sarta nie miał więc najmniejszych problemów, żeby punktualnie wjechać limuzyną w Via delle Fornaci przy południowym krańcu placu Świętego Piotra. Wysiedli, dzięki przepustce z odpowiednimi stemplami i podpisami, przed Palazzo del Sant'Uffizio, była siedzibą Świętej Inkwizycji, niepozornym na pierwszy rzut oka pałacykiem, w którym kardynał-prefekt Joseph Ratzinger czuwał nad czystością nauki wiary

Resztę drogi Sara i Osip pokonali na piechotę. Przeszli pod kolumnadą Berniniego, wychodząc w ten sposób na plac Świętego Piotra. Gigantyczny owal z wielkim obeliskiem pośrodku tętnił życiem. W przededniu uroczystości pogrzebowych zwożono tu i ustawiano wszystko, co się dało - bariery, krzeselka, tablice informacyjne, posterunki straży.

- Nie ma przejścia - powiedział gwardzista szwajcarski przed kolejną barierką, tym razem drewnianym płotem.

Sara pokazała strażnikowi faks z nagłówkiem od prefekta Domu Papieskiego. Kiedy młody Szwajcar czytał pismo uwierzytelniające, uśmiechnęła się ukradkiem. Papiescy gwardziści ze swoimi radosnymi strojami w błękitno-czerwono-złote paski w barwach Medyceuszy, pumpami i halabardami wyglądali jak z obrazów Rafaela. Barwna ochrona Watykanu kojarzyła się Sarze raczej z folklorem niż z formacją wojskową.

- W porządku. Proszę iść do Brązowych Drzwi i pokazać zaproszenie halabardziście - powiedział mężczyzna, pokazując na miejsce przy końcu kolumnady po prawej stronie od Bazyliki świętego Piotra. Potem przepuścił Sarę i Osipa.

Chwilę później dotarli przed Portone di Bronzo i po raz kolejny przedstawili swoją legitymację. Gwardzista szwajcarski wszedł do szarobłękitnej budki wartowniczej i zadzwonił gdzieś. W końcu powiedział odwiedzającym, że wkrótce przyjdzie po nich sekretarz kardynała.

Tak też się stało. Po około pięciu minutach pojawił się drobny i blady młody duchowny. Ubrany był w czarną sutannę, a na szyi zawieszony miał drewniany krzyż prawie tak duży, jak on sam. Przedstawił się jako ojciec Giuseppe Pinzani i poprosił gości, żeby za nim poszli.

Tętno Sary przyspieszyło. Bywała już w Bazylice świętego Piotra i w Muzeum Watykańskim, nigdy nie miała jednak okazji zobaczyć od środka papieskiej rezydencji. Na Osipie też chyba wywarło to wrażenie. Oboje szli za młodym duchownym jak dwójka zadziwionych dzieci.

Sara miała prawie wrażenie *deja vu*, kiedy ojciec Pinzani wspomniał mimochodem, że właśnie wchodził po schodach Piusa IX - nazwano je zatem na cześć mecenasa Liszta, który w końcu dopuścił do tego, że marzenia kompozytora prysły jak bańka mydlana. Tymi stopniami dotarli na dziedziniec świętego Damazego. Na drugim piętrze mieściły się pomieszczenia Prefetto della Casa Pontifica.

Stamtąd przeszli szerokim korytarzem, w którym wzrok przyciągały wiszące na ścianach obrazy, a drogę blokowały rzeźby. Przez małe okna wpadała tylko odrobina światła, co podczas gorącego lata na pewno pozwalało utrzymać znośne temperatury, teraz jednak, kiedy na zewnątrz kwitła wiosna, sprawiało dość ponure wrażenie.

- No, to jesteśmy. Proszę chwilę poczekać - powiedział ojciec Pinzani, kiedy stanęli przed okropnie wysokimi drzwiami w zewnętrznym załomie korytarza. Następnie otworzył je i zniknął w środku.

Sara i Osip spojrzeli po sobie w napięciu.

- Teraz się okaże - szepnęła.

Wkrótce drzwi otwarto ponownie.

- Jego Eminencja oczekuje - powiedział sekretarz i z uśmiechem zaprosił

oboje do środka.

Po przejściu przez zaskakująco nowoczesnie wyposażone biuro dotarli do gabinetu purpurata. Był to duży pokój z oknami po obu stronach i regałami przy pozostałych ścianach, z ciężkimi dębowymi meblami, jasnym parkietem i przepyszny komplet foteli obitych brunatną skórą. Ze złotych ram spoglądały poważne bądź uduchowione twarze książąt kościoła. Gospodarz natomiast sprawiał niezwykle miłe wrażenie.

Odepchnął się od biurka, przejechał kawałek na masywnym skórzanym fotelu na kółkach i podniósł się, żeby powitać gości. Potężne ciało kardynała opinała czarna sutanna, wyraźnie szyta na miarę. Przysługującą mu purpurę dawało się dostrzec tylko w kilku miejscach - na obszyciach i krajach szaty z mory, guzikach oraz ich oblamowaniach. Do tego na biurku leżała czerwona piuska, jakby właśnie przed chwilą jej właściciel gładził się po siwych włosach i zapomniał nałożyć ją potem. Mimo uśmiechu Sarze wydawało się, że w mięsistej twarzy kardynała dostrzega surowy rys. „Nic dziwnego w tych czasach” - pomyślała.

- Dzień dobry. Dziękuję za punktualne przybycie, madame d'Albis - kardynał najpierw powitał żeńską część delegacji. - Pani reputacja panią wyprzedza. Już od dawna chciałem panią poznać.

Sara także się uśmiechnęła.

- Jest pan bardzo miły, eminencjo. - przerażona otworzyła szeroko oczy. - Proszę o wybaczenie. Znowu zapomniałam, jak się pan nazywa.

Machnął ręką.

- Ależ nie szkodzi. Nazywam się Clemens Benedikt Sibelius.

Najlepiej skojarzyć to sobie z papieżami, na cześć których zostałem nazwany.

Kiwnęła głową.

- Zapamiętam.

Pokazując na Osipa, dodała:

- A to Osip Janin, profesor historii muzyki na moskiewskim uniwersytecie Łomonosowa. Niestety nie mówi po włosku. Moglibyśmy przejść na angielski?

- *No problem* - odparł Sibelius i uściśnął Osipowi dłoń, przypatrując mu się dokładnie. Wyglądało to prawie tak, jakby nie zamierzał w ogóle wypuszczać Rosjanina z rąk.

Sara zmieniła temat.

- Proszę mi wybaczyć głupie pytanie, ale czym dokładnie zajmuje się prefektura domu papieskiego?

Kardynał w końcu puścił Osipa i odpowiedział szarmancko:

- Nie ma głupich pytań, madame, są tylko głupie odpowiedzi. Do zadań Prefetto della Casa Pontifica należy zarówno zapewnienie sprawnej pracy domu papieskiego, jak i obowiązki dawnej kongregacji ceremonii, a więc kwestie etykiety, porządku audiencji i przygotowania ceremonii takich jak kanonizacje, święcenia kapłańskie i biskupie, uroczyste msze papieskie, *et caetera, et caetera*.

- Czy prefekt odpowiada też za muzyczną część tych uroczystości?

- Nie w sensie artystycznym, a już na pewno nie wtedy, kiedy chodzi o ceremonie ściśle liturgiczne. Widzę jednak, że zaszło pewne nieporozumienie. Pełnię tutaj tylko rolę podnajemcy, ponieważ moje różnorakie obowiązki pokrywają się z tymi, które należą do prefekta domu papieskiego. Kongregacji zasadniczo przewodzi jednak biskup, a ja mam zaszczyt należeć do kolegium kardynałów.

- Och, proszę mi wybaczyć. Nie chciałam eminencji... zdegradować.

Roześmiał się.

- Proszę się nie niepokoić, madame d'Albis. Rozeznanie się we wszystkich instytucjach powiązanych ze Stolicą Apostolską to sztuka, która przerasta nawet większość członków kurii. Proszę jednak usiąść, żebyśmy mogli porozmawiać o niepokojącej kwestii, o której wspomniał signor Sarto. Chcielibyście się czegoś napić?

Sara i Osip opadli w czarne fotele i poprosili o herbatę, na co ojciec Pinzani oddalił się.

Kardynał Sibelius zajął miejsce naprzeciwko nich. Przybrał teraz poważny i zamyślony wyraz twarzy. Przez chwilę Sara miała nieprzyjemne wrażenie, że uporczywie się jej przygląda. Potem na jego pomarszczone oblicze powrócił uśmiech, a on sam powiedział:

- A zatem co dokładnie was do mnie sprowadza?

Sara wiedziała, że do niczego nie dojdzie, jeżeli będzie używała niedomówień i aluzji, dlatego dokładnie opisała plany Ciemnych Słyszących Barwy. Im dłużej mówiła, tym bardziej poruszony wydawał się kardynał.

- I wszystko to odkryła pani sama? - zapytał w końcu.

- Właściwie tak.

Z surową miną kardynał popił łyk kawy i spojrzał w filiżankę jak w ciemną wyrocznię. Kiedy nie dobyło się z niej nic poza odrobiną pary, zapytał:

- I czego dokładnie oczekuje pani ode mnie?

- Dwóch rzeczy: po pierwsze muszę znaleźć Purpurowe Nuty Ukryte są gdzieś w Watykanie.

- „Gdzieś” to niezbyt dokładne określenie.

- Rzeczywiście. Zakładam, że Nauka Dźwięków Jubala znajduje się w watykańskim tajnym archiwum.

Skinął poważnie głową.

- To jakiś początek. Ma pani pojęcie, jak rozległe są te archiwa?

- Jeżeli wasza ekscelencja przydzieli nam archiwistę, na pewno pójdzie nam dużo szybciej.

- Najpierw chciałbym usłyszeć, jak brzmi drugi punkt na waszej liście życzeń.

- Proszę zmienić program muzyczny jutrzejszej ceremonii. Najlepiej będzie zupełnie zrezygnować z chóru i orkiestry.

- Ha! - wyrwało się Sibeliusowi. - To, czego pani żąda, jest niemożliwe. Poza tym część muzyczna egzekwii właśnie została uproszczona - ograniczyliśmy się do skromnego *requiem*.

- Dlatego właśnie przypuszczam, że zawarte w nim są podprogowe polecenia, za pomocą których Ciemni chcą zapoczątkować reakcję łańcuchową. Proszę nałożyć chórowi knebel.

Pokręcił gniewnie głową.

- Sądzę, że nie jest pani sobie nawet w stanie wyobrazić, czego pani ode mnie żąda, córko. Równie dobrze mogłaby pani kazać supertankowcowi, żeby w pełnym pędzie wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

- Wiem tylko jedno: jeżeli statek przynajmniej nie spróbuje, utonie.

- To pani tak twierdzi, madame d'Albis. Proszę nie brać mi tego za złe, podziwiam pani kunszt, ale powszechnie wiadomo, że muzycy bywają ekscentryczni i wymyślają sobie dziwne rzeczy, żeby tylko zyskać odrobinę *publicity*. Signor Sarto wspomniał, że może pani udowodnić prawdziwość pani słów.

- W każdej chwili.

- To dobrze. W oczekiwaniu na naszą rozmowę poprosiłem o pomoc brata,

który lepiej potrafi dostrzec różnicę między cudem a szarlatanerią. Powinien być tu lada chwila. Jeżeli chciałaby się pani teraz wycofać, teraz byłby właściwy moment, w przeciwnym razie.

- Im bardziej krytyczny sędzia, tym trudniejszy do podważenia wyrok - przerwała Sara kardynałowi. Jego próby zbagatelizowania całej sprawy zaczynały działać jej na nerwy. - Czy znajdzie się tu może fortepian koncertowy albo pianino?

Kardynał roześmiał się po raz kolejny.

- Pałac Apostolski ma pięćdziesiąt pięć tysięcy metrów kwadratowych i tysiąc czterysta pomieszczeń. Sądzę, że bez problemu znajdziemy tu pianino.

Mniej więcej dziesięć minut później Sara i Osip w towarzystwie kardynała Sibeliusa i jego sekretarza weszli do salonu muzycznego znajdującego się w bezpośrednim sąsiedztwie wieży Borgii. Zapo wiedziany krytyczny słuchacz spóźniał się i telefonicznie poprosił, żeby spotkali się już na miejscu. Sara wykorzystywała ten czas na zapoznanie się z instrumentem.

Po kilku minutach przybył w końcu ekspert w dziedzinie szarlatanerii. Kiedy przeproszał purpurata za spóźnienie, Sara przyglądała mu się nieufnie. Miał na sobie czarną sutannę prałata. Mimowolnie przypomniała sobie słowa z ostatniej wiadomości: „Słyszących Barwy bractwo na dwie części pękło, kiedy pod purpurata ugięło się ręką”.

Przybysz nie był, co prawda, kardynałem, ale wcale nie poprawiało to jego wizerunku w oczach Sary, tym bardziej że jego wygląd zupełnie nie przystawał do wyobrażeń o dobrym pasterzu, który najchętniej przygarnąłby do serca wszystkie swoje owieczki jednocześnie. Jego okrutny wyraz twarzy i byczy kark kojarzyły się raczej z bulterierem. Jasnorude włosy miał przystrzyżone na zapałkę, mierzył sobie mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, był postawny i poruszał się jak zapaśnik tuż przed skokiem na przeciwnika. Jego potężne łąpska wyglądały tak, jakby regularnie używał ich do duszenia szarlatanów i heretyków. Z całą pewnością pracował dla Inkwizycji.

- Proszę poznać monsignore Hestera McAteera - powiedział kardynał po angielsku, prowadząc ciężarowca do siedzącej przy fortepianie Sary.

- Monsignore McAteer pracuje w Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych jako *promotor fidei*.

Sara podniosła się z taboretu przed pianinem i wyciągnęła dłoń w stronę krępego prałata.

- Sara d'Albis. Przepraszam, kim jest *promotor fidei*?

- Kimś, kto pluje w zupę oszustom - odpowiedział McAteer głosem, który brzmiał jak warczenie bulteriera. Jego małe, wodniste oczka sprawiały wrażenie, jakby już zaczął szukać sposobów na zdemaskowanie szarlatanki, tak intensywnie się w nią bowiem wpatrywał. Nie wypuścił też dłoni Sary.

„Pewnie uważa się za chodzący wykrywacz kłamstw” - pomyślała i zapytała:

- Jest pan Szkotem?

- Irlandczykiem.

- Kocham szmaragdową wyspę!

- Doprawdy!

Mężczyzna nie wydawał się specjalnie rozmowny. Sara odwróciła się do kardynała, błagając go wzrokiem o pomoc.

Sibelius uśmiechnął się pojednawczo i powiedział, nawiązując do zakresu obowiązków swojego rzeczoznawcy.

- Niektórzy określają ludzi pokroju monsignore McAteera mianem cudotwórców, ale oczywiście oni sami nie czynią cudów, nadają im jedynie gwarancję autentyczności. Poza tym tytuł *promotor fidei* oznacza promotora wiary. W procesie kanonizacyjnym przyjmuje na siebie rolę *advocatus diaboli*, co oznacza.

- Adwokata diabła. Przypadkowo znam ten termin - wyjaśniła Sara. Właśnie udało jej się oswobodzić dłoń.

McAteer uznał najwyraźniej wyjaśnienia prefekta za zbyt teoretyczne, dodał bowiem:

- Specjalizuję się w demaskowaniu fałszywych cudów.

- Często się to zdarza?

- Chce pani wiedzieć, co naprawdę o tym myślę?

- Bardzo proszę.

- Cudów nie ma.

- Ach!

Skinął głową z kamiennym wyrazem twarzy.

- Pytanie brzmi jedynie, czy uda się zdemaskować oszustów. Jeśli nie, zostają ogłoszeni świętymi. Ja jednak mam dość wysoką skuteczność.

„Chce cię tylko zastraszyć” - pomyślała Sara i spojrzała na Osipa. Najwyraźniej tylko on spośród zebranych stał po jej stronie.

Sibelius stwierdził z niejaką surowością:

- Chciałbym tylko podkreślić, że monsignore McAteer wyraził właśnie swoją osobistą opinię, którą można zrozumieć, jeżeli weźmie się pod uwagę, że są to słowa człowieka, który w swoim życiu zdemaskował więcej szarlatanów niż jakikolwiek inny *promotor fidei* wcześniej. Oficjalnie obowiązuje stanowisko kongregacji odpowiedzialnej za procesy kanonizacyjne, w świetle którego *advocatus diaboli* oddziela jedynie ziarna od plew.

McAteer odburknął:

- Możemy zaczynać, eminencjo? Mam jeszcze jednego stygmatyka do przygwożdżenia na dziś.

- Tak, zaczynajmy. Potrzebuje pani jeszcze czegoś, madame d'Albis?

Pokręciła głową.

- Nie, proszę po prostu usiąść i się zrelaksować. Zagram wam teraz pewną melodię. Słyszący Barwy nazywają to Dźwiękami Władzy. Nie zajmie to długo, a po chwili poczujecie przemożną potrzebę, żeby opuścić to pomieszczenie.

- Ha! - roześmiał się monsignore McAteer i rozsiadł się z szeroko rozstawionymi nogami na krześle obok fortepianu. Kardynał usiadł nieco ostrożniej, jak ktoś kto liczy się z wystającymi z poduszki gwoździami. Jego sekretarz natomiast wydawał się znudzony.

Sara zaimprovizowała idylliczną fantazję w stylu Debussy'ego, usypiając jednocześnie słuchaczy odprężającymi harmoniami. Po kilku taktach dodała do granej lewą ręką melodii hipnotyzujące dźwięki, które usłyszała na dworcu w Weimarze.

Kiedy grała, coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że zapamiętała nie tylko każdy dźwięk podprogowej wiadomości, ale też istotę potężnej melodii. Dzięki temu potrafiła nie tylko przenieść uwodzicielską moc na pianino, ale nawet ją zwielokrotnić. „Jesteś w niebezpieczeństwie - uciekaj!” Podświadomy rozkaz coraz częściej rozbrzmiewał między sielankowymi akordami i pasażami. I odnosił skutek.

Najpierw zbladł młody ksiądz. Potem zachmurzyła się i tak już ponura twarz McAteera. Chwilę później w postawie obydwóch dało się już dostrzec wyraźne napięcie. Sibelius początkowo sceptycznie przypatrywał się tym zmianom, ale wkrótce również na jego twarzy pojawił się strach. Tylko Osip pozostawał względnie spokojny. Patrzył wprawdzie z troską na sceptyków, nie sprawiał

jednak wrażenia, że w każdej chwili gotów jest rzucić się do panicznej ucieczki.

A dokładnie to właśnie zrobili wszyscy trzej duchowni: nagle poderwali się z miejsc i popędzili do wyjścia. McAteer i Sibelius ruszyli o sekundę wcześniej niż młody ksiądz, zablokowali mu więc swoimi masywnymi ciałami drogę. Obaj ważyli mniej więcej po tyle samo, ale Irlandczyk, zanim przyjął święcenia, grał chyba w rugby. W każdym razie wykluczył kardynała z wyścigu dobrze wymierzonym ciosem w bok. Sibelius potknął się i runął na parkiet.

W ten sposób w żywym murze powstała wyrwa, w którą teraz rzucił się drobny ksiądz. Z ręką wyciągniętą w stronę klamki wyskoczył do przodu żwawo jak wydra. Jeszcze kilka kroków i osiągnie cel jako pierwszy.

Jednak McAteer nie byłby bulterierem, gdyby nie wiedział, jak gryzie się przeciwników po łydkach. Ze zwierzęcym rykiem zamachnął się ręką jak kosą, łapiąc sam kraniec umykającej już sutanny. Reszta nie sprawiła mu najmniejszych problemów. Odrzucił Pinzaniego na bok, jakby ten był szmacianą lalką, i dopadł do drzwi jako zwycięzca. Młody ksiądz i kardynał, nie bacząc na hierarchię kurii, przeszli za nim, kaszląc i utykając.

Osip odwrócił powoli głowę, przenosząc wzrok z gonitwy na pianistkę.

- Co to miało być?

Sara uśmiechnęła się zjadliwie i odpowiedziała:

- Dowód na potęgę dźwięków.

Szalony, tak, po trzykroć szalony i ograniczony jest każdy grubiański tłum, którego pragnienia nigdy nie sięgają wewnętrznego poznania rzeczy, ale który dąży jedynie do tego, aby spać i się paść, który niczego nie czuje, niczego nie widzi, prze jedynie do przodu (...). Odwagi! Nadziei! Nowy gatunek ludzki powstanie i zwycięży.

Franciszek Liszt

Rozdział 44.

Rzym, 7 kwietnia 2005, 9:24

- Dostaniecie archiwistę - obiecał gościom kardynał Sibelius, kiedy on i monsignore McAteer, obaj wyraźnie poturbowani, powrócili do muzycznego salonu. *Pater* Pinzani przeprosił, ale uznał, że musi natychmiast iść do spowiedzi. Sarę i Osipa zaskoczyło jedynie, kogo Sibelius przydzielił im do pomocy.

- McAteer? - powtórzyła z irytacją nazwisko. - A myślałam, że on musi dziś zająć się jeszcze sfalszowanymi ranami Ukrzyżowanego?

Odpowiedź kardynała była szybka i stanowcza:

- Na to jest czas. W końcu świętych ogłasza się dla wieczności. Monsignore McAteer zna się na tajnym archiwum Watykanu lepiej niż niejeden zatrudniony w nim archiwista.

Irlandczyk skinął głową.

- Żeby zostać ogłoszonym świętym, trzeba najpierw umrzeć. Większa część kandydatów rozpada się w proch na długo przed początkiem procesu. Do prześwietlenia ich rzekomych cudów potrzebuję czegoś pisanego.

O tego typu dokument chodziło też w rozmowie, którą Sara i Osip przeprowadzili z krępyim promotorem wiary po drodze do tajnych archiwów Watykanu. Przechodzili właśnie przez wewnętrzny dziedziniec, kiedy McAteer poruszył kluczową kwestię.

- Ta Purpurowa Pieśń.

- Purpurowe Nuty. Nazywa się je też Nauką Dźwięków Jubala - przerwał mu Osip.

- Może być i tak. Wiecie, jak możemy je znaleźć?

Sara czuła, jak zasycha jej w gardle. Nieświadomie sięgnęła do wisiora pod pulowerem.

- Niedokładnie.

McAteer stanął jak wryty.

- Co?

- Nie wiem nawet, jak wyglądają sygnatury w tajnym archiwum - zaczęła się bronić.

Irlandczyk złożył ręce, nawiązał na chwilę kontakt wzrokowy i mentalny ze swoim najwyższym zwierzchnikiem, po czym jęknął:

- Dobra kobieto, w tym archiwum jest mniej więcej czterdzieści pięć kilometrów akt. Już sam katalog zajmuje trzydzieści pięć tysięcy tomów, a nie jest bynajmniej kompletny. Poza tym nie ma czegoś takiego jak jeden system sygnatur, jest ich cała masa. A pani mi teraz mówi, że „nie wie pani dokładnie”, gdzie w tej górze papierów szukać pani Purpurowej Symfonii?

- Purpurowych Nut - zauważył Osip.

McAteer pogardliwym gestem nakazał mu milczenie.

Sara wzięła głęboki oddech. Tak blisko celu nie pozwoli, żeby zniechęciło ją kilka tysięcy metrów akt.

- Jest może spis chronologiczny? Możemy ograniczyć poszukiwania do okresu życia Franciszka Liszta, wystarczą lata między rokiem 1840 a 1886.

Monsignore sapnął.

- Oczywiście jest, ale tym sposobem ograniczymy czterdzieści pięć kilometrów do może czterech albo pięciu. Poza tym nawet akredytowani naukowcy mają dostęp najdalej do roku 1922, a więc do końca pontyfikatu papieża Benedykta XV

- Właśnie po to, żeby poradzić sobie z tego rodzaju przeszkodami, chciałam mieć przy sobie tak kompetentnego i dysponującego takimi uprawnieniami człowieka jak pan.

I tak już małe oczka monsignore zwięzły się w szparki.

- Próbuje mi się pani podlizać?

- Nigdy bym się nie odważyła.

- I radzę przy tym pozostać. Hester McAteer nie da się przekupić. Ani słodkim słówkom, ani pięknym oczom.

- Dziękuję za komplement.

Irlandczyk poczerwieniał i odchrząknął.

- A teraz proszę o szczerłość. Jak w ogóle doszła pani do wniosku, że ta Purpurowa. - spojrzał pytająca Osipa.

- Purpurowe Nuty - odpowiedział ten.

- Tak, te Purpurowe Nuty. Dlaczego zakłada pani, że ta Czerwona Ballada jest właśnie tutaj?

- Doszłam tu po wskazówkach.

- A czy nie było w nich nic na temat miejsca, gdzie można ją znaleźć? Jakiś numer albo nazwisko, nazwa?

- N+BALZAC - odpowiedziała Sara spontanicznie.

- N plus Balzac? - powtórzył tak, jakby musiał osobiście poznać smak tego wyrażenia. Potem westchnął. - No, to spróbujmy.

Pomieszczenie miało na oko osiem na sześć metrów i mniej więcej w trzech czwartych znajdowało się pod ziemią. Odrobina światła słonecznego wpadała tylko przez kilka wąskich, znajdujących się tuż przy suficie okien. Było jednym z kilku podobnych pokoi, gdzie umieszczono tysiące metrów akt, a Sara nie łudziła się nawet, że dane jej będzie choćby zobaczyć prawdziwe rozmiary tej przelanej na papier historii kościoła, a co dopiero ją przejrzeć. Jak to kiedyś Liszt powiedział pierwszemu strażnikowi Harfy Wiatrów? „Pozostaną tam, gdzie są, drzewo wśród wielu drzew lasu”. Tak, tajne archiwa Watykanu były doskonałą kryjówką dla dokumentu, który prawdopodobnie liczył sobie zaledwie kilka stron.

Osip siedział pochylony nad jednym z trzydziestu pięciu tysięcy katalogów i potrząsał głową.

- Tak niczego nie osiągniemy. Albo N+BALZAC to ślepa uliczka, albo musimy szukać w jakimś innym katalogu, nie w muzykaliach.

McAteer wydał z siebie chrapliwy odgłos.

- Równie dobrze moglibyście szukać na niebie konkretnej gwiazdy, nie znając nawet jej nazwy Sara westchnęła.

- On ma rację, Joseph. Wypróbowaliśmy wszystkie wiatry od przodu i od tyłu, jako liczby i litery, ale kompletnie niczego nie znaleźliśmy.

- Może musimy przestawić litery, żeby znaleźć właściwą sygnaturę?

Sara zmarszczyła czoło.

Wskazał na kartkę, na której Sara zanotowała swoje słowo kluczowe:

- Chodzi mi o permutację, metodę kabalistów. Brali słowa z Tory i przestawiając litery, próbowali odkryć ich ukryte znaczenie.

- Zaczekaj! - przerwała mu. - Właśnie sobie przypomniałam, że Oleg Janin niestrudzenie przypominał mi o tym, że Liszt należał do masonerii, chcąc przekonać mnie o jego fałszywym charakterze. A jeden... dobry znajomy opowiadał mi niedawno, że symbole i rytuały wolnomularskie wywodzą się częściowo z tradycji kabalistycznych. Możliwe, że masz rację.

- Nie chciałbym psuć zabawy - zrzędził McAteer - ale zastanawialiście się, ile może być kombinacji z ośmiu znaków z N+BALZAC? Nie jestem matematykiem, ale szybciej moglibyśmy znaleźć to, czego szukamy, gdybyśmy czytali te czterdzieści pięć kilometrów akt strona po stronie.

- Coś w tym jest.

Sara zamknęła oczy, żeby móc się lepiej skoncentrować. Nie mieściło jej się w głowie, że Liszt mógł na samym końcu wpuścić ich w ślepią uliczkę. Musiała istnieć jakaś wskazówka. Była tam. Po prostu jej nie widziała.

Przywołała w wyobraźni wszystkie osiem wiadomości. Rozsądnym wydawało się założenie, że wskazówka dotycząca miejsca ukrycia Szkarłatnej Partytury mieści się na końcu tropu róż wiatrów.

- „Mimo strachu to we mnie ujrzyście zwycięzcę, brzęk monety ze złota sprowadzi ich klęskę” - wyszeptała końcowe słowa ostatniego przekazu.

- Mogłaby pani mówić głośniej? - poprosił McAteer.

Otworzyła powieki.

- Jeżeli się nie mylę, Watykan dysponuje też zbiorem monet?

Irlandczyk przytaknął.

- Dipartimento del Gabinetto Numismatico. Został włączony do Watykańskiej Biblioteki Apostolskiej. Czy teraz zechce pani sprawdzać napisy na wszystkich monetach w poszukiwaniu ośmiu znaków szyfru?

Pokręciła głową. Miała ochotę rwać sobie włosy z głowy. Czuła, że jest na dobrym tropie, ale brakowało jej kluczowej idei.

- Z samych wiadomości nic już nie wyciągnę - zamyśliła się. Palec wędrował jej po ośmiu skrótach od nazw kierunków świata.

- A z innych pism, na które natknęłaś się w trakcie poszukiwań? - spytał Osip.

Sara podniosła wzrok znad kartki. Rozchyliła usta, wydobył się z nich jednak

tylko gorący oddech. Potem jednak nagle serce zaczęło bić jej szybciej. Otworzyła szeroko oczy.

- *Balzante!*

- W podrygach? - przetłumaczył McAteer

- To wskazówka dotycząca wykonania utworu - wyjaśniła podniecona. - To było napisane na samym początku partytury Franciszka Liszta, której prapremiera miała miejsce w Weimarze 13 stycznia: *balzante*. W podrygach, w podskokach. Kiedy to zobaczyłam, bardzo się zdziwiłam. Liszt znany jest ze swoich emotywnych wskazówek, ale tego słowa nie widziałam nigdy u żadnego kompozytora.

- No i?

- To też skrót ze starych nazw wiatrów.

- Nie chcę marudzić - zaczął Osip - ale to tylko po części prawda. Znak plus.

- Nie, pasuje wręcz doskonale - Sara weszła mu w słowo. - Niektóre wiatry miały u Greków więcej niż jedną nazwę, stąd więc *Caecias* i *Corns* dla północnego wschodu i *Eurus* dla wiatru wschodniego. Zazwyczaj skracano go zresztą do krzyżyka. Spróbujmy jeszcze raz, tym razem z *balzante*.

Raz jeszcze przekartkowali katalogi. Szukali nowego hasła od przodu i od tyłu, jako litery i cyfry. Jednak żaden wpis, który odnaleźli z jego pomocą, nie był na tyle obiecujący, żeby nawet wyciągać akta.

- Nauki Dźwięków nie wpisano raczej jako „Purpurowej Partytury” - zauważył Osip.

- To możemy chyba przyjąć - zgodził się z nim McAteer. - Gdzie proponujecie zacząć poszukiwania? Co powiecie na *Wpływ »Bullae maiores« na śpiew gregoriański między XI a XIV stuleciem?*

- To niespecjalnie pomocne - warknęła Sara.

Irlandczyk rozłożył tylko ręce.

- Chciałem pomóc.

- Czy zdarzają się sygnatury dłuższe o jeden albo dwa znaki?

- Z pewnością. Czemu?

- Nie mogę zapomnieć końcowego wersu z ostatniej wiadomości: „Brzęk monety ze złota sprowadzi ich klęskę”. Może oznacza to, że powinnam brzęknąć którąś z monet.

Osip skinął głową.

- Na przykład podrzucając ją w górę? Możliwe, że twój dar *audition colorée*

coś by ci wtedy pokazał. Pytanie tylko, którą weźmiemy. Na pewno są tu ich tysiące.

McAteer parsknął:

- Na to możesz własną d... dziupłę postawić.

Sara, zatopiona w myślach, patrzyła na kartkę, na której widniało teraz także słowo *balzante*. W zamyśleniu przygryzała dolną wargę, a jej lewa dłoń manipulowała bezwiednie przy ukrytym pod cienką wełną wisiorku.

- Floren! - wyrwało jej się nagle.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią, nic nie rozumiejąc.

- Sygnet „FL” - wyjaśniła w podnieceniu, pospiesznie odpinając wisiorek. - „FL” to skrót od florena, znanego szerzej jako gulden. Cały czas nosiłam go na szyi. To musi być gulden. Prawdopodobnie jakiś niezwykły egzemplarz.

McAteer skinął głową.

- To da się ustalić.

Znowu minęło zaledwie kilka minut, w trakcie których monsignore McAteer przyprowadził gości do Watykańskiej Biblioteki i ściągnął doświadczonego pracownika wydziału numizmatycznego: niskiego, korpulentnego franciszkanina, który przy Irlandczyku wyglądał jak otyły Dawid przy Goliacie.

- Szukacie więc monety, ale nie wiecie jakiej? - stwierdzenie to bardzo rozbawiło mnicha. - Monsignore, mamy tu prawie czterysta tysięcy monet i medalionów.

- To będzie gulden, floren albo forint - doprecyzowała Sara.

Zakonnik przewrócił oczyma, ale kiedy McAteer posłał mu surowe spojrzenie, natychmiast zabrał się do pracy. Szczęśliwie epoka cyfrowa na dobre już zagościła nawet w Watykańskiej Bibliotece Apostolskiej. Przeszukanie bazy danych zaowocowało krótką, ale bardzo obiecującą listą wyników. Na miejscu czwartym widniało oznaczenie monety, które Sara przeczytała z najwyższym zadziwieniem.

8 guldenów = 20 franków

- Guldeny i franki? - wyszeptała i zaczęła czytać opis. Była to złota moneta. Jako miejsce pochodzenia podano Austro-Węgry. Na awersie widniał portret cesarza Franciszka Józefa I z wieńcem laurowym. Z tyłu, oprócz innych elementów, była korona. Tyle wskazówek wystarczyło Sarze, wciąż miała bowiem w pamięci czwarty etap pielgrzymki tropem róży wiatrów, która

zaprowadziła ją wtedy do węgierskiego Budapesztu. Stuknęła palcem w hasło katalogowe.

- To ta.

- Proszę przynieść nam monetę, bracie Domenico - powiedział McAteer nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Wkrótce potem Sara trzymała ośmioguldenówkę w - gruntownie uprzednio odłuszczonej - dłoniach. Zakonnik patrzył na nią tak, jakby obawiał się, że w każdej chwili czmychnie z jego skarbem. Kiedy podrzuciła złotą monetę w górę, wydał z siebie wysoki pisk. Sara natychmiast złapała eksponat, bo przy podrzucaniu nie trafiła go dobrze paznokciem. McAteer przycisnął mnicha swoimi wielkimi łapskami do krzesła, żeby nie przeszkadzał w eksperymencie.

Sara wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Podejście drugie.

Potem znowu podrzuciła monetę.

Tym razem wyszło jej lepiej. Rozległ się głęboki, jasny dźwięk, a przed jej oczyma pojawiła się zielonożółta ósemka. Dla pewności powtórzyła rzut, ale rezultat się nie zmienił.

Oddała monetę drżącemu mnichowi.

- To wszystko? - zapytał ten z niedowierzaniem.

Sara skinęła głową.

- To wszystko - po czym, zwrócona w stronę Osipa i monsignore, dodała - a teraz wracajmy do archiwum po Purpurowe Nuty

Osiem. W Les Baux de Provence Sara widziała tę samą dokładnie cyfrę. Na koniec wszystko składało się w jedną całość jak fragmenty rozbitej wazy. McAteer podstawił pod litery słowa *balzante* liczby oznaczające pozycję każdej litery w alfabecie, a więc „2” zamiast „b”, „1” zamiast „a” i tak dalej. Ósemkę dodał na końcu. Do wyniku dołożył separator, tworząc w ten sposób sygnaturę akt z archiwum, i otworzył katalog muzykaliów z lat 1845-1880. Sara, wstrzymując oddech, obserwowała, jak jego potężny palec wskazujący przemieszcza się wzdłuż listy - i nagle zatrzymuje się.

- Znalazł pan coś? - zapytała równocześnie z Osipem.

- Istnieje dokument o takiej sygnaturze - odpowiedział McAteer.

- Mogę zerknąć? - Sara była zbyt podniecona, żeby czekać na reakcję monsignore. Złapała po prostu wielki katalog i sama przeczytała wpis.

„Balzac, N.

La Notte, Paris, 1862, 1881”

- N. Balzac - wyszeptała. - To musi być to!

Osip zmarszczył czoło.

- A daty? Przecież niektóre z wiadomości Liszta powstały po 1862 roku.

McAteer wskazał na dopisek.

- To w każdym razie wpisano po 1880 roku. Możliwe, że wcześniej był tu inny wpis.

Sara skinęła głową.

- To możliwe. Róża wiatrów zaczyna się od utworu, który został pierwotnie skomponowany w 1866, ale ostateczną wersję uzyskał dopiero w 1880. A kończy się na partyturze z Ermitażu datowanej na 1862. Poszukiwania Szkarłatnej Partytury można było zacząć dopiero wtedy, kiedy stworzony został cały trop.

- *La Notte*? To chyba jeden z utworów Liszta, prawda? - zapytał Osip.

- I to nie byle jaki. Liszt chciał, żeby tę elegię grano na jego pogrzebie, ale Cosima, jego córka, nie spełniła tego życzenia. *La Notte* wykonano po raz pierwszy dopiero w 1916 roku, a więc trzydzieści lat po śmierci kompozytora.

- Myślisz, że jego kuzyn, ten prawnik, zablokował próby wcześniejszego wystawienia?

- Możliwe. Mogło być też tak, że wiedział o tej partyturze i chciał ukryć związek z prawdziwym kompozytorem elegii. Sprawdźmy może, co też kryje w sobie *La Notte*.

Nie musieli długo czekać, aż archiwista wydobędzie z przepastnych głębin Archivio Segreto Vaticano niepozorną czarną teczkę i położy ją na stoliku przed Sarą.

Owładnęło ją radosne uczucie. Osip przysunął jej krzesło, przeczuł bowiem, że może go za chwilę potrzebować. Usiadła. Historyk muzyki i monsignore stanęli po obu jej stronach. Kiedy się już pozbierała, otworzyła teczkę.

Wewnątrz było tylko kilka kartek. Na samej górze rzeczywiście znajdowała się partytura - kameralna wersja *La Notte*. Jej podtytuł brzmiał *Kołysanka w grobie*. „Jak to doskonale pasuje!” - pomyślała Sara. „Ten, kogo ukołyszą do snu, w końcu się obudzi”. A potem znalazła wyraźnie starsze nuty, których tytuł dla niewtajemniczonych musiał wyglądać bardzo zagadkowo.

Théorie de Sons de Youbal

- *Pour un pipeau de David* -

Już pobieżny rzut oka na zapis nutowy wystarczył, aby po plecach Sary przebiegł dreszcz. Na delikatnym pergaminie, nie na papierze, zapisana była, jak wynikało z napisu po francusku, Nauka Dźwięków Jubala. A poniżej: „Na fujarkę Dawida”. A więc kluczem do Królowej Dźwięków była nie wielogłosowa orkiestra, ale prosty pasterski instrument. Spod brązowego arkusza wyglądał róg następnej strony.

Do świadomości Sary dobiegł skądś głos „cudotwórcy” McAteera. Padło nazwisko Sibeliusa. Irlandczyk informował kardynała o nadspodziewanie szybkim powodzeniu poszukiwań.

Jednocześnie Osip dotknął róg leżącej na górze kartki kciukiem i palcem wskazującym i wyjaśnił:

- To welin, zwany też pergaminem dziewiczym. Robiło się go ze skór nienarodzonych jagniąt i cieląt. Na coś takiego mogli sobie pozwolić tylko bardzo bogaci ludzie.

Sara skinęła głową w zamyśleniu.

- Tak. Na przykład kardynał Richelieu.

Następnie przystąpiła do lektury Purpurowych Nut.

Jej oczy wędrowały po ręcznie pisanych, kaligraficznie kanciastych nutach, przenosząc je do trwałego schowka w jej pamięci. Szło to całkiem szybko, ponieważ nie była to *sensu stricto* partytura, a więc zapis wielu głosów jednego utworu.

Głos był tylko jeden.

Królowa Dźwięków przerastała swoją prostotą wszystko. Mimo to dosłownie wciągnęła Sarę, niczym malstrom, któremu nie sposób się było oprzeć. Zrobiło jej się słabo. Czuała się tak, jakby rozrywano ją na kawałki i składano z powrotem. Jedną, dwie pełne emocji sekundy stała zamroczona, próbując bronić się przed poczuciem metamorfozy, potem jednak mu się poddała. Odłożyła na bok pierwszą stronę, pochłonęła łapczywie drugą.

I to był koniec.

W dwojakim znaczeniu tego słowa. Po pierwsze: to był ostatni arkusz. Jak cała wiedza na temat Dźwięków Władzy mogła zawierać się w tak oszczędnej, prostej, łatwej, archaicznej melodii? A po drugie: wtedy do akcji wkroczył monsignore Hester McAteer. Chwycił po prostu nuty, zamknął teczkę i włożył ją

sobie pod pachę.

Sara spojrzała zaskoczona na Irlandczyka.

- A co to ma znaczyć?

Uśmiechnął się krzywo.

- Proszę mi wybaczyć, madame d'Albis, ale Jego Eminencja kardynał Sibelius polecił mi zabezpieczyć Purpurowe Nuty. Mówił, że chce najpierw zobaczyć te diabelskie sztuczki na własne oczy

Rozgniewana Sara kroczyła za irlandzkim bulterierem korytarzami i schodami z powrotem do biura Clemensa Benedikta Sibeliusa. Osip bezskutecznie próbował ją uspokoić. Sara nie posiadała się ze złości.

Kiedy cała trójka weszła do sekretariatu kardynała, ojciec Pinzani podskoczył, jakby ugryzła go właśnie tarantula, chwycił za drewniany krzyż na swojej piersi, powstrzymał się jednak przed zasłonięciem się nim przed Sarą jak przed wampirzycą. McAteer zupełnie go zignorował, zastukał raz w drzwi gabinetu, otworzył je bez dalszej zwłoki i wpadł do biura jak berserk¹⁸. On też widocznie kipiał z gniewu.

- Wasza Eminencjo, to, czego eminencja ode mnie wymaga, wychodzi daleko poza ramy „przysługi”, o którą mnie poprosił. Ta kobieta to istna furia. Niewiele brakowało, a rzuciłaby mi się do gardła!

Irlandczyk mówił wprawdzie po włosku, Sara doskonale rozumiała jednak każde słowo z jego skargi. W otoczeniu Osipa i ojca Pinzaniego wpadła do biura tuż za monsignore.

Sibelius stał za swoim potężnym dębowym biurkiem, przy uchu trzymał słuchawkę i zareagował jak ksiądz, którego przyłapano, kiedy wychodził z sex-shopu. Pospiesznie wymamrotał coś do telefonu i rozłączył się. Po chwili odzyskał godność i znowu wszedł w rolę surowego spowiednika.

- Monsignore McAteer, na co pan sobie pozwala? Nie może pan tutaj tak po prostu wchodzić bez zapowiedzi.

- Zapukałem - bronił się grzesznik, podając kardynałowi czarną teczkę. - To ten Purpurowy Chorał, który eminencja koniecznie chciał zobaczyć.

- Purpurowe Nuty - poprawił z tyłu Osip.

Sibelius odetchnął głęboko, a potem powiedział już spokojniejszym tonem:

- Proszę mi pokazać.

McAteer położył teczkę na biurku. Sara, Osip i ojciec Pinzani podeszli bliżej i wyglądali zza szerokich pleców Irlandczyka. Kardynał otworzył teczkę.

- *La Notte?* - szepnął, zerknąwszy na górny arkusz nutowy.

- Instrumentalna pieśń żałobna Franciszka Liszta - wyjaśniła Sara. Prześlizgnęła się obok monsignore i stała teraz dokładnie naprzeciwko kardynała z obiema rękami opartymi o biurko. - Na pergaminach pod nią zapisano Szkarłatną Partyturę.

Chcąc to potwierdzić, Sibelius przesunął utwór Liszta na bok. Jego mina zdradzała, jak bardzo był zaskoczony.

- Jest tak prosta - wymamrotał. Kiedy odkładał na bok drugi arkusz wellinu, odkrył trzeci, tym razem z papieru, którego Sara wcześniej nie zdążyła przeczytać. Od razu wybałuszyła oczy, próbując przeczytać odwrócone do góry nogami linijki.

„Strzeż się, ty, który odnajdziesz tę pieśń! Będzie ona zgubą dla każdego, kto zechce wykorzystać ją dla szerzenia zła, i znakiem zwycięstwa dla prawych. Używaj jej mądrze, do rozwoju ludzkości.

Otwórz ich serca, ale nie odbieraj im wolnej woli. Każdy bowiem, kto tak czyni, grzeszy przeciw boskiemu dziełu stworzenia i nie ujdzie kary.

FL

Piątek, 12 stycznia 1883

Venezia la bella: Palazzo Vendramin”

Wprawdzie kardynał Sibelius nie musiał czytać napisanego po niemiecku testamentu Słyszącego Barwy Franciszka Liszta do góry nogami, jednak odczytanie koślawego pisma kompozytora zajęło mu nieco więcej czasu niż Sarze. Wykorzystała tę przewagę, żeby zastanowić się nad datą i miejscem sporządzenia tego prawdziwego „łabędziego śpiewu”.

Liszt miał podejrzenia, a być może nawet pewność, że wielu spośród jego towarzyszy i przyjaciół zostało zamordowanych przez Ciemnych. To przekonanie mogło go skłonić, że zastąpił wcześniejszą wiadomość tą, o „zgubie i zwycięstwie” - mógł bez trudu ją stworzyć, a później już do niej nie wracać. Kto wie, zastanawiała się Sara, ile razy przerabiał trop róży wiatrów, zanim uznał, że ta niezwykła muzyczna mapa skarbów spełnia nareszcie jego wymagania.

W każdym razie róża wiatrów była czymś dużo większym niż tylko wskazówką, czego dowodziła kartka leżąca przed surową twarzą Sibeliusa. Była manifestem, deklaracją zasad, w którą Liszt wpisał nową etykę Słyszących

Barwy. Nie mieli już manipulować ludzkością, ale wykorzystać swoją tajną wiedzę do tego, żeby raz na zawsze skończyć z rządami dyktatorów i władzą dogmatów. Ostatni prawdziwy mistrz harfy chciał podnieść muzykę do rangi uniwersalnego języka sztuki, który otworzy wszystkie narody na to co szlachetne i czyste, estetyczne i piękne, który skłoni je do odwrócenia się od wszystkiego, co ciemne, i zwrócenia ku temu, co jasne.

Nagle na biurku kardynała zadzwonił telefon.

Ten zbyt późno zauważył wytężony wzrok Sary i zamknął teczkę. Przez jedną czy dwie sekundy wszyscy patrzyli na telefon. Kiedy dzwonek odezwał się po raz trzeci i sekretarz ruszył do siebie, żeby odebrać, Sibelius podniósł słuchawkę.

- Proszę o wybaczenie.

Odwrócił się plecami do gości. Lewą dłonią zasłonił mikrofon i rozmawiał cicho. Do uszu Sary co chwila dolatywało niemieckie: „Tak... dobrze!”, więcej nie potrafiła zrozumieć. Potem Sibelius odłożył słuchawkę i odwrócił się powoli. Przez kilka sekund patrzył tępym wzrokiem na biurko, gdzie ciągle leżała czarna teczka ze Szkarłatną Partyturą. Twarz miał jak skamieniałą.

W kolejnej sekundzie powrócił do życia, uśmiechnął się do Sary i powiedział:

- Muszę omówić coś z moimi braćmi. Jeżeli nie przeszkadza to pani, proszę tutaj poczekać.

Sara pokręciła głową.

- W porządku.

Kardynał zabrał teczkę i opuścił pokój. Kiedy ciężkie, obite drzwi do biura zatrzasnęły się za nim, usłyszeli, jak zamyka je na zamek.

- Zamknął nas tutaj? - szepnęła Sara.

Osip skinął głową. Podszedł do drzwi, nacisnął ostrożnie klamkę i pociągnął do siebie. Nic się nie stało.

- Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba - mruknął.

Sara zadrżała. Czy to mogło znaczyć? Odwróciła się do biurka i zaczęła przyglądać się zwięzionymi oczyma telefonowi.

- Zwróciłeś uwagę, jak przestraszyliśmy kardynała, kiedy wpadliśmy mu do biura?

- Nie dało się tego przegapić. Na pewno rozmawiał o nas. Jak brzmiał pierwszy wers ostatniej wiadomości?

- „Słyszających Barwy bractwo na dwie części pękło, kiedy pod purpurata ugięło się ręką”.

- Sibelius jest w końcu purpuratem.

Osip przeszedł za biurko i zaczął przyglądać się klawiszom dużego aparatu.

Sara przysunęła się do niego.

- Czego szukasz?

- Przycisku ponownego wyboru numeru. Możliwe, że to kardynał dzwonił do swojego tajemniczego rozmówcy.

Wskazała jeden z przycisków.

- A ten?

Podniósł słuchawkę, podał jej i powiedział:

- Ty znasz włoski. Ja nie.

Następnie wcisnął klawisz.

Sara nasłuchiwała. Po krótkiej chwili ciszy usłyszała typową dla wybierania wieloczęstotliwościowego szybką sekwencję dźwięków. Po drugiej stronie zadzwoniło. Po trzecim sygnale podniesiono słuchawkę.

- *Pronto?* - głęboki głos, męski.

- Tu biuro kardynała Sibeliusa. Proszę mi powiedzieć, z kim rozmawiam? - spytała Sara po włosku.

Klik! Rozmówca odłożył słuchawkę.

Podniosła wzrok znad aparatu i spojrzała na Osipa.

- Najwyraźniej facet nie rozmawia z byle kim. Odłożył słu... - zamilkła, bo właśnie otworzyły się drzwi biura.

Do pomieszczenia wpadło dwóch mężczyzn ubranych w sutanny. Obaj mieli na twarzach maski gazowe. Pierwszy celował z pistoletu w głowę Sary i mówił do Osipa po angielsku z silnym francuskim akcentem:

- Jeden fałszywy ruch, a ona zginie.

Drugi „ksiądz” trzymał w rękach aparaturę, która najbardziej przypominała designerską gaśnicę. Była to butla z polerowanej stali szlachetnej, z zaworem odcinającym i błyszczącym węzłem kończącym się długą dyszą. Kiedy zaczął dobywać się z niego syk, człowiek w sutannie pomachał nim w lewo i w prawo przed Sarą i Osipem.

- Chcą nas zagazować! - krzyknęła i naciągnęła pulower na nos i usta. Osip podążył za jej przykładem.

- Tylko zaśniecie - odpowiedział mężczyzna z pistoletem. - Zachowajcie spokój i równomiernie wdychajcie środek usypiający.

Sarze już zrobiło się słabo. Zachwiała się i złapała mocno Osipa. Złość narastała w niej jak gęsta, żrąca breja. Jednak zamiast wściekłego protestu z jej ust dobył się tylko niezrozumiały bełkot.

Mężczyźni w sutannach roześmiali się, a dźwięk ten w uszach Sary zabrzmiał niezwykle głucho. Wydawał się oddalać, a jednocześnie narastać. Czarne postaci rozpływały się przed jej oczyma.

- Joseph! - jęknęła. Chwyliła rękaw jego kurtki i spojrzała mu w twarz, jakby mogła w ten sposób zwalczyć działanie gazu. Potem przed jej oczyma zapadła ciemność, a ona straciła przytomność.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

*To nie wyzwolenie i rozwój jednostki stanowią tajemnicę i nakaz naszych czasów. Tym, czego one potrzebują, czego pragną, tym, co stworzą, jest —
terror.*

Tomasz Mann, *Czarodziejska Góra*¹⁹

Rozdział 45.

Rzym, 7 kwietnia 2005, 16:51

Mężczyźni w sutannach nie kłamali. Sara wciąż żyła. Kiedy się obudziła, przeraziła ją cisza. Była człowiekiem dźwięków. Muzykę odbierała nie tylko słuchem, ale chłonęła ją wszystkimi zmysłami. Teraz jednak w jej duszy panowała jedynie otchłanna czerń.

Przemożny strach wypełził z najgłębszych zakamarków jej świadomości. Podniosła się raptownie i wciągnęła łapczywie powietrze. Było jej niedobrze. Nie dość, żeby po prostu zwymiotować, wystarczająco jednak, żeby jeszcze bardziej obrzydzić jej chwilę przebudzenia w mroku. Poza tym huczało jej pod czaszką. Gdzie w ogóle była?

Wokół niej panował mrok. Było chłodno. Ktoś okazał miłosierdzie i przykrył ją kocem. Sara rękami zbadała najbliższe otoczenie. Po lewej stronie znalazła mur. Wielkie, kwadratowe, zimne bloki kamienia. Jak w lochu.

Już pamiętała. Sibelius, ta fałszywa żmija, wciągnął ją i Osipa w pułapkę, zdradził ich.

Ukradł im Purpurowe Nuty!

Królowa Dźwięków. Była zupełnie inna, niż Sara się spodziewała. Ale jak melodia stara jak sama ludzkość mogłaby być czymś innym niż prostą pieśnią pasterską? Zdziwiająca było tylko jedno: Sara ją znała.

„No, prawie” – poprawiła się. Może nie znała całego utworu, ale kilka lat temu z wypiekami na twarzy przeczytała artykuł o rzekomo „najstarszej melodii świata” i pamiętała puszczane w telewizji fragmenty. W gazecie powoływano się na profesora muzyki Andora Izsaka, kierownika Europejskiego Centrum Muzyki Żydowskiej w niemieckim Hanowerze, Węgra z pochodzenia, który studiował w weimarskiej Akademii Muzycznej imienia Franciszka Liszta.

Sara pokręciła głową, umysł zaczynał płać jej figle. Dochodziła powoli do wniosku, że nie ma czegoś takiego jak przypadek, że wszystko jest ze sobą powiązane. Świat był jedną wielką symfonią, którą wygrywała jeszcze większa orkiestra – niektórzy muzycy wprowadzali niestety dysonanse. Jeżeli wierzyć węgierskiemu profesorowi z Hanoweru, to najstarsza melodia ludzkości przetrwała w liczącym przeszło trzy tysiące czterysta lat żydowskim wyznaniu aż do czasów współczesnych. Nazywała się ona *Szema Jisrael*. Tytuł – „Słuchaj, Izraelu” – był równie prosty, jak sama melodia. W synagogach rozbrzmiewała ona zawsze, kiedy zaczynało śpiewać pierwszy psalm.

No i ten niezwykły fakt z życia Franciszka Liszta, przypomniała sobie teraz Sara. Ten tak rzekomo pobożny katolik odwiedził podobno synagogę w Budapeszcie i sam zagrał na organach w tej świątyni – wtedy trzecich co do wielkości w Europie. Czy usłyszał tam też *Szema Jisrael*? A może to właśnie zagrał?

W sposób, którego nie dało się opisać słowami, Sara czuła się po lekturze *Purpurowych Nut* odmieniona. W pierwszej chwili sądziła, że to żart wielkiego mistrza dwuznaczności, teraz jednak powoli zaczynała rozumieć. Nauka *Dźwięków Jubala* nie była ogromnym dziełem, które ujawnia neofitom swoje tajemnice w skomplikowanych polifoniach.

Ona była kluczem.

Sara odrzuciła na bok wełniany koc i podniosła się z pryczy, ponieważ zrobiło jej się nagle gorąco. Miała wrażenie, że to, co nagle zrozumiała, za chwilę ją przerośnie. Królowa *Dźwięków* otwierała przed Widzącymi jedynie drzwi. Ni mniej, ni więcej. Sara skinęła głową. To musiało być to.

Dlatego właśnie, kiedy czytała *Szkarłatną Partyturę*, miała wrażenie, że się zmienia. I dlatego w kosmosie neuronów, w którym zamknięty był jej duch, kilka konstelacji zostało przesuniętych, niczym zapadki w skomplikowanym zamku. Dopiero teraz zaczynała rozumieć, czym naprawdę były *Dźwięki Władzy*, jak wpływały na świadomość, czy też raczej podświadomość ludzi. Było to prawie takie doznanie, jakby otworzyło się przed nią pianino i w krótkim czasie mogła zagrać najcudowniejsze melodie świata. Nagle jej myśli urwały się, ponieważ właśnie coś zobaczyła, nie było to jednak kolejne objawienie, ale... drzwi do celi?

Znajdowały się tuż przed nią i wyposażone były w zakratowane okienko

zabezpieczone niezbyt solidnie umocowaną kłapką. Ktoś za nimi włączył światło, które wpadało teraz przez szpary do jej więzienia. Usłyszała kroki i brzęk. To były prawdziwe klucze, takie które spina się w pęk. Jeden włożono do zamka i przekręcono. Drzwi otworzyły się.

Za nimi, jakby wtłoczeni w świetlisty prostokąt, stali dwaj mężczyźni. Sara podniosła rękę, aby osłonić przywykłe do ciemności źrenice.

- Dzień dobry, madame d'Albis. Mam nadzieję, że wypoczęła pani. Widzi pani, nie było tak źle - powiedział jeden ze strażników. Nie mówił już wprawdzie po angielsku, tylko perfekcyjną francuszczyzną, ale Sara od razu rozpoznała jego głos. To był mężczyzna z butlą gazu.

- Gdzie mój towarzysz? - zapytała, wciąż spoglądając przez rozłożone palce.

- Spi jeszcze. Wydaje się, że jest mniej odporny niż pani. Przyszliśmy, żeby przedstawić pani kogoś, kto już od dawna pragnie panią poznać. Do tej pory jednak bardzo się pani przed tym broniła.

Obaj się roześmiali.

Kompan tego, który mówił, wszedł do celi i chwycił Sarę za ramię. Zbliżył swoje usta tak blisko do jej uszu, że poczuła jego cuchnący cebulą oddech.

- Jeżeli będzie się pani opierać, to związę panią.

Najwyraźniej polecono im, żeby obchodzili się z więźniami delikatnie, pod warunkiem że będą chętni do współpracy. Sara nie miała ochoty być obmacywana przez śmierdzącego faceta, nawet się więc nie poruszyła.

- Idziemy! - powiedział ten drugi.

Wypchnięto ją z lochu na korytarz, który przypominał jej piwnicę na wina. Sklepienie sprawiało wrażenie starego. Czy wciąż jeszcze była w Watykanie? Obaj strażnicy pozbyli się już sutann i włożyli buty wojskowe, szerokie spodnie i golfy - wszystko czarne. Sara spojrzała na siebie i stwierdziła z ulgą, że miała na sobie całe ubranie. Ukradkiem namacała łokciem boczną kieszeń. Nie wyczuła niczego. Odebrano jej zatem odtwarzacz MP3 z Dźwiękami Władzy.

Po chwili weszli zdeptanymi schodami na górę. U szczytu znajdował się krużganek, który z czterech stron otaczał częściowo brukowany, częściowo pokryty zielenią wewnętrzny dziedziniec. Po lewej stronie była sklepiona brama wjazdowa. Sarę popchnięto w prawo. Idąc minęła kilkoro drzwi o wysokich progach, skręciła raz w lewo i na końcu korytarza zobaczyła kolejne ciężkie drzwi. „Pewnie kolejne wyjście z palazzo” - pomyślała i przez dwa-trzy kroki igrała z myślą, żeby wyrwać się, pobiec do furtki i.

- No, to jesteście - powiedział ten strażnik, któremu śmierdziało z ust, i ostrym szarpnięciem za rękę uświadomił jej, jak ograniczoną miała swobodę ruchu. Stanęli przed drzwiami z rampą. Mężczyzna, który wcześniej poczęstował ich środkiem usypiającym, zastukał, a kiedy z wewnątrz dobiegło słabe: „Wejść!”, otworzył drzwi.

- Podejdź bliżej! - usłyszała Sara z wewnątrz szeleszczący głos i natychmiast dostała gęsiej skórki. Niechętnie przeszła po rampie i weszła razem ze strażnikami do dużego pomieszczenia, które wyglądało jak pokój konferencyjny jakiegoś renesansowego księcia: długi stół, wokół niego dwadzieścia kilka wysokich krzeseł, bombastyczny kominek, gdzie żarzyły się na czerwono duże polana, kamienna podłoga, sufit z malowanymi kasetonów, nieciekawe portrety, gobeliny, trzy ciężkie skrzynie, dwie zbroje rycerskie i stojący zegar, który dostojnie tykał. Gdyby powitał ją arystokrata w pończochach, Sara wcale by się nie zdziwiła, ale zamiast tego czekał na nią siwy starzec na wózku inwalidzkim.

- Wejdz, proszę, Saro! - powtórzył i skinął ręką. Wyglądało to tak, jakby wbudowano w nią służący wyłącznie do tego mechanizm.

Ostrożnie zbliżyła się do starca. Nie wyglądał wprawdzie jak diabeł wcielony, jednak patrząc na niego, odczuwała strach. Był żywą mumią: kłębkim nieszczęścia przykutym do wózka, słabym, zasuszonym, z mętными ciemnymi oczyma. Nigdy wcześniej nie widziała też tylu zmarszczek na twarzy jednego człowieka.

- Nie bój się. Mamy zawieszenie broni - wyjaśnił gospodarz.

- Dlaczego miałabym panu wierzyć, Niekrasow? Już raz próbował mnie pan zabić - odparła zimno.

Zrobił ruch ręką, jakby chciał zrzucić ze stołu natrętą ropuchę.

- Wtedy okoliczności były mało sprzyjające. Przez swoje dociekania naraziłaś Bractwo z Aar na pewne niebezpieczeństwo, a jednocześnie nie wykazywałaś najmniejszej chęci współpracy. Teraz jednak wszystko wygląda inaczej.

Sara ponownie stanęła.

- Dlatego że zamordowaliście papieża?

Niekrasow zachichotał.

- Uparciuch był z tego Wojtyły. Jego dusza nie chciała przyjąć do wiadomości, że ciało od dawna nie nadaje się już do życia. Jego czas minął. Tak samo jak i mój wkrótce dobiegnie końca. - Wskazał na rząd krzeseł wzdłuż stołu. - Usiądź

jednak. Chcę z tobą porozmawiać.

Usiadła na krześle oddalonym od starca o co najmniej trzy metry. Kątem oka zauważyła postać i pomyślała początkowo, że to jeden ze strażników zajmuje miejsce obok swojego wielkiego mistrza, okazało się jednak, że był to zupełnie ktoś inny.

- Pan? - krzyknęła Sara i zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że przewróciło się za nią na podłogę. Obaj najemnicy natychmiast stanęli za nią i złapali ją za ramiona.

Niekrasow zachichotał.

- To się nazywa temperament! Stopniowo zaczynam rozumieć, dlaczego nawet Oleg Janin nie potrafił poskromić tej kobiety.

Wspomniany Janin usiadł obok starca po drugiej stronie stołu i skinął jej głową.

- Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu.

Najchętniej podskoczyłaby i wydrapała mu oczy, na to jednak nie pozwoliliby obaj strażnicy, którzy znowu posadzili ją na krześle i cały czas mocno trzymali. Pozostał jej więc tylko atak słowny.

- Zdrajca! Zamordowałeś własnego brata, pozwoliłeś umrzeć Strażnikom Harfy Wiatrów i własnej byłej żonie, a do tego bezczelnie wykorzystałeś moje zaufanie, żeby zdobyć coś, na czym zależało twojej szajce!

Janin skinął głową.

- Zgadza się. A ty ciągle idealizujesz świat. Sibelius powiedział mi, że kreujesz się na zbawczynię ludzkości w związku z jutrzejszą uroczystością pogrzebową, a pomaga ci w tym mój drogi pan syn.

- Przyrodni syn.

- Adoptowałem go i nosi moje nazwisko.

Sara wzięła głęboki oddech, chcąc zadać w końcu pytanie, które dręczyło ją od czasu pobytu w Petersburgu, wtedy jednak wtrącił się Niekrasow.

- Bardzo zabawnie słuchać was obojga, ale czasu mamy bardzo mało, moi drodzy. Radość z ponownego spotkania nie powinna przyćmiewać nam właściwego powodu, dla którego się tu zebraliśmy.

- Tak. Sama chętnie bym go poznała - powiedziała Sara wojowniczo.

Starzec roześmiał się jowialnie.

- W ciągu ostatnich kilku tygodni spisałaś się wspaniale. Tylko mistrzyni dźwięków równa Jubalowi mogła znaleźć Szkarłatną Partyturę. Zostałaś

wybrana. Z twoją pomocą Bractwo z Aar będzie mogło urzeczywistnić utopię, na której mu tak zależy, i łagodnie przeprowadzić ludzkość do nowego świata.

- To znaczy, za pomocą prania mózgów, subtelnego wpływania na ludzi albo jakiejś innej manipulacji? Nie, dziękuję.

Janin pokręcił głową.

- Saro, czy możesz zaprzeczyć, że ludzkość stanęła na rozdrożu i kopie sobie własny grób? Rabunkowa eksploatacja środowiska, katastrofa klimatyczna, narastająca brutalność, koncentracja na popędach, stawianie samego siebie w roli Boga, upadek wartości, żądza materialnych zysków - wszystko to prowadzi do zguby.

- Której wy chcecie zapobiec? - parsknęła Sara.

- A ty możesz odegrać w tym olbrzymią rolę, tak, być może, nawet na nowo zjednoczyć Słyszących Barwy i poprowadzić nas jako jedyna mistrzyni harfy

- Dziękuję za ofertę, ale mam inne plany.

- Karierę pianistki? - uśmiechnął się z politowaniem.

- Nie. Powstrzymanie was.

- Nie masz na to ani sił, ani czasu. Za kilka godzin przez plac Świętego Piotra przeniosą trumnę z ciałem Jana Pawła II, a kiedy chór zaintonuje *introit* do *requiem*, w historii ludzkości rozpocznie się nowa epoka. Nowy porządek. Stań po naszej stronie, Saro.

Pokręciła głową.

- Może i uda wam się rozpętać chaos, ale ostatecznie żaden porządek oparty na przemocy i zniewoleniu nie może być trwały. Liszt wiedział o tym. Uważał, że wolna wola człowieka jest niezbywalnym darem Bożym, który musimy pielęgnować, zamiast zamieniać ją w puste hasło.

Janin pochylił się nad stołem ze złożonymi rękami i zaczął przypatrywać się Sarze.

- Zastanów się dobrze, co mówisz, moje dziecko. To nasza ostatnia propozycja. Jeżeli dalej będziesz się nam opierała, pozostanie nam tylko oczyszczenie świata w ogniu. Jutro na placu Świętego Piotra zbiorą się najważniejsi przywódcy polityczni i religijni tego świata. Wiele osób usłuchało naszego wezwania i przybyło do Rzymu. A do setek milionów *requiem* dotrze za sprawą telewizji. Dawno już zaczęliśmy sączyć im w podświadomość nasze polecenia za pośrednictwem muzyki w kościołach, windach, supermarketach, na

lotniskach, podczas spotów reklamowych, festynów, wydarzeń sportowych i kampanii wyborczych. Wiesz bardzo dobrze, jak działamy i jaki efekt mogą mieć nasze Dźwięki Władzy. Kiedy rozbrzmi śpiew otwierający *requiem*, w głowach ludzi przestawi się wyłącznik: najpierw zabiją elity polityczne tego świata, a potem rozpętają burzę, przy której nawet ostatnia wojna światowa będzie tylko lekkim wiatrem.

Niekrasow zaczął klaskać.

- Bardzo obrazowo pan to przedstawił, drogi bracie - i, zwracając się do Sary, dodał: - A więc? Pragniesz wielkiego powstania narodów? Mamy wypalić stary porządek świata jak ściernisko, żeby na żyznych popiołach wyhodować nowy ład? A może wolisz łagodny kurs? Jeśli tak, musisz przyłączyć się do nas teraz.

Sara z trudem przełknęła ślinę. Doskonale pamiętała reakcję Niekrasowa na swoją ostatnią odmowę. Mimo tego nie potrafiła zdobyć się na udawanie, że nawróciła się na „prawdziwą wiarę”.

- Muszę się zastanowić - odparła wymijająco.

Obaj starcy przy stole spojrzeli po sobie pytająco. Sara mogła wyobrazić sobie, co działo się w ich głowach.

Niekrasow spojrzał na stojący zegar.

- Za pół godziny będzie szósta. Powiedz nam, co zdecydowałaś o... powiedzmy, ósmej. I pomyśl o ludziach, których życie spoczywa teraz w twoich rękach. Przyjechali do Rzymu jak owieczki na rzeź. - Zachichotał. - Teraz brakuje nam tylko pieśni dla zmarłych.

===fOxhv8R9KgR6h7lKTPuNcA===

Liszt powiedział mi, że ludzi, którzy od początku nic nie rozumieją, niczego nie potrafi też nauczyć.

Alexander Siloti, 1884, o Franciszku Liszcie

Rozdział 46.

Rzym, 7 kwietnia 2005, 18:17

Sara siedziała po turecku na pryczy w ciemnej celi. Była bezradna. Co mogła zrobić? Czy Niekrasow porzuci swój diabelski plan, jeżeli fałszywie przyobieca mu lojalność? Przeczucie mówiło jej, że wielki mistrz Ciemnych Słyszających Barwy nie da się tak łatwo nabrać. Prawdopodobnie zażądałby od niej jakiegoś dowodu nawrócenia. Być może praktycznego użycia możliwości, które otworzyły przed nią Purpurowe Nuty. Albo.

Usłyszała stukanie dodrzwi. Nadstawiła uszu. Czyżby czas na zastanowienie dobiegł końca? Mogłaby przysiąc, że wróciła do lochu najwyżej kilka minut temu. Drzwi otworzyły się, odsłaniając świetlisty prostokąt, w którym tym razem pojawiła się jedna sylwetka, postać wysokiego, szczupłego mężczyzny.

- Masz ochotę wyjść ze mną gdzieś dziś wieczorem? - zapytał cień głosem Osipa.

Poderwała się z pryczy i rzuciła mu się na szyję.

Naraz przeszedł ją zimny dreszcz. Czyżby Janin miał więcej szczęścia z adoptowanym synem? Może udało mu się przeciągnąć go na swoją stronę, być może nawet za pomocą Dźwięków Władzy?

Uwolniła się z objęć swojego wybawiciela i cofnęła się o krok.

- Jak się uwolniłeś, Joseph?

Wzruszył ramionami.

- Udałem, że śpię.

- To wszystko?

- Nie. Najwyraźniej nasz strażnik przestraszył się, że gaz wyrządził mi poważną krzywdę. Sprowadził towarzysza, żeby mnie zbadać. Wtedy ich pokonałem.

- Pokonałeś? Jak? Długopisem?

- Gdybym miał długopis, poszłoby dużo łatwiej. - Wyciągnął zza pleców pistolet i pokazał go jej. - Nie, jeden z nich podszedł z tą spluwą zbyt blisko. Odebrałem mu ją, a reszta poszła już jak z płatka. Leżą w mojej celi z guzami na głowach.

- Uczą was tego na moskiewskich uniwersytetach?

- Nie, na petersburskich ulicach. Mówiłem ci już, że mój okres burzy i naporu był rzeczywiście dość niespokojny. Idziemy już, czy mam złożyć ci przysięgę na wierność?

Zawahała się. Jeżeli Osip został zmanipulowany, to sam wierzył w szczerść swoich słów.

Chwycił jej rękę i włożył do niej pistolet.

- Teraz zadowolona?

Spojrzała zde gustowana na czarny pistolet. Nie podobał jej się, a poza tym był nadspodziewanie ciężki. Westchnęła. Musiała mu zaufać, nie miała innego wyboru. Schowała broń do kieszeni kurtki i powiedziała:

- Chodźmy.

- Wiesz, jak trafić do wyjścia?

- Tak sądzę. Wydaje mi się, że jesteśmy w piwnicy jakiegoś pałacyku. Kilka minut temu byłam na górze, gdzie Siergiej Niekrasow i twój ojczym złożyli mi niemoralną propozycję.

- Tak?

- Opowiem ci później. Chodź!

Sara powiodła Osipa do schodów, którymi wcześniej prowadzili ją strażnicy. Chwilę potem dotarli do krużganku pałacyku. Stojąca na najwyższym stopniu Sara wyjrzała za załom muru.

- Ani żywej duszy.

- Na pewno mają kamery - rzekł Osip.

- Więc zostaje nam tylko jedno: wziąć się w garść i naprzód.

Opisała mu drogę do wyjścia. Postanowili przebiec ją jednym susem. Osip stwierdził, że mając pistolet, bez trudu poradzi sobie z zamkiem w drzwiach.

- Liczę do trzech - szepnęła Sara.

- Dlaczego?

- Bo tak to się robi.

- Wszystko jasne - lewą ręką chwycił jej prawą dłoń, a Sara zaczęła liczyć: -

Raz, dwa, trzy

Natychmiast wybiegli na zewnątrz, najpierw w prawo, a po chwili skręcili w lewo. Drzwi na wolność były tuż, tuż, dosłownie wychodziły im na spotkanie.

...kiedy nagle wytoczył się przed nich Siergiej Niekrasow na wózku, jakby wyjechał prosto ze ściany. Ze zręcznością, o którą nikt by go nie podejrzewał, obrócił swój wehikuł o dziewięćdziesiąt stopni, wycelował w Sarę pistolet i krzyknął:

- Stać, bo strzelam!

Zahamowali i ślizgając się zatrzymali się kilka kroków od niego. Sara tęsknie spojrzała ku drzwiom. Jeszcze dziesięć, dwanaście metrów.

- Wiedziałem, że mają kamery - warknął Osip.

Starzec zachichotał. Chcąc, żeby jego ociekająca pogardą odpowiedź została lepiej zrozumiana, przeszedł na angielski.

- Kamery? Dla was przygotowaliśmy coś lepszego. Macie w ubraniach chipy RFID, a w całym domu są sensory. Wiedziałem o każdym waszym kroku. Brat Janin zaraz tu będzie. Nie będzie, jak sądzę, zadowolony, że znowu zakłóćcie mu przygotowania do naszego wielkiego dnia.

- Niech przychodzi. Będę go mógł udusić - zgrzytnął zębami Osip.

Pistolet przesunął się w jego stronę.

- A może odwrotnie? - powiedział Niekrasow. - Sądzę, że twoja przyjaciółka nie chciałaby cię widzieć z dziurą w brzuchu.

- Nie! - wyrwało się Sarze.

Starzec roześmiał się z satysfakcją.

- Sama skróciłaś teraz czas, który ci dano, moja droga. Teraz pytam cię po raz ostatni: czy porzucisz opór i zechcesz z nami współpracować? Dobrze się zastanów nad odpowiedzią. Zgoda leży w interesie całej ludzkości, odmowa zaś oznaczać będzie śmierć. I zaczniemy od twojego przystojnego przyjaciela.

Sara ukryła ręce w kieszeniach kurtki. Serce podchodziło jej aż do gardła. Lubiła Osipa. W ciągu ostatnich kilku dni zaczęła się nawet zastanawiać, czy mogliby zostać parą, gdyby nie spotkała wcześniej Krystiana. Nie mogła poświęcić go dla sprawy, tak jak Oleg postąpił wcześniej z Tiomkinem. Z drugiej strony - czy Niekrasow jej uwierzy? Sądziła, że byłby w stanie i tak zamordować przybranego syna jednego ze swoich braci, wyłącznie po to żeby okazać zdecydowanie. Nie, musiała ocalić Osipa w inny sposób.

- Jeżeli spadnie mu choćby włos z głowy, nigdy nie poznacie tajemnicy

Szkarłatnej Partytury. - To był strzał w ciemno, miała jednak nadzieję, że Niekrasow nie był mistrzem dźwięków równym Jubalowi. Nauka Dźwięków nie zdradziłaby swoich tajemnic przeciętnemu synestetykowi, jakim był na przykład Osip.

I rzeczywiście, lufa pistoletu Niekrasowa opadła. Z zadowoleniem skinął głową.

- A zatem udało ci się rozgryźć Królową Dźwięków.

W Sarę wstąpiła nadzieja.

- Powiedziałabym raczej, że to ona mnie rozgryzła.

Starzec ponownie przytaknął. Jego przyjazna do tej chwili twarz stężała.

- Moja droga, a czy nie przyszło ci do głowy, że pluję na tą twoją Szkarłatną

Partyturę?

Sara zadrżała.

- Co?

- Tak. Nic mnie nie obchodzą te nuty. Nasza *ultima ratio* dawno już okazała się lepszym rozwiązaniem. Jutro wypalimy to pole, na którego żyznych popiołach zasadzimy nowe królestwo pokoju.

Ponownie podniósł broń. Wycelował w Osipa. W *palazzo* rozbrzmiał strzał. Gdzieś do lotu poderwało się stadko gołębi. Potem nastąpiły dwa kolejne strzały. A Siergiej Niekrasow osunął się na wózku.

Osip patrzył szeroko rozwartymi oczyma. Pospiesznie obmacał swoją pierś i, nie mogąc znaleźć dziury, z której tryskałaby krew, zwrócił się do Sary. Zauważył ją u niej. Z nadpalonymi, wydartymi na zewnątrz włóknami wyrwa ziała w jej lewej kieszeni.

Dłużej nie potrafiła już nad sobą panować, nie chciała już też grać silnej i rzuciła się ze szlochem w ramiona Osipa.

- Nie miałam już wyboru, musiałam go zastrzelić. Inaczej by cię zabił.

Głaskał ją po głowie i przemawiał uspokajająco.

- Tak. Nie mogłaś inaczej. I dziękuję ci za to. Gdybyś zwlekała choćby sekundę dłużej, to ja leżałbym teraz martwy. A teraz chodź. Ktoś na pewno usłyszał strzały.

Mimo że jego argumenty doskonale do niej przemawiały, nie była w stanie zmusić się do przejścia obok zakrwawionego Niekrasowa. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Osip musiał dosłownie przepchnąć ją obok niego. Kiedy zostawili

już trupa za sobą, ruszyli szybciej do wyjścia.

Kiedy dotarli do drzwi, Osip nacisnął klamkę.

- Zamknięte. Tak jak myślałem. Saro, daj pistolet.

Wyciągnęła go z przestrelonej kieszeni i podała Osipowi.

- Odsuń się - powiedział, a potem wycelował w zamek i strzelił. Pociągnął za klamkę. Drzwi poruszyły się.

- Stać albo zabiję was oboje! - rozległ się rozkazujący głos od strony wewnętrznego dziedzińca.

Obrócili głowy.

W ich stronę korytarzem szedł Oleg Janin z czterema mężczyznami w ciemnych strojach. Dwóch z nich miało na czołach guzy, wszyscy trzymali w rękach broń automatyczną z celownikami laserowymi - czerwone punkty tańczyły po twarzach uciekinierów. Tylko Janin ograniczył się do pistoletu.

- Broń na ziemię i kopnąć ją w naszą stronę - polecił.

Osip zawahał się.

Sara domyślała się, co się z nim dzieje. Myślał chyba o swojej *mamuszce*, którą zamordowali Ciemni, i zastanawiał się, jakie ma szanse, żeby zemścić się tu i teraz.

- Rób, co każe - szepnęła mu. - Mają przewagę liczebną.

Osip przyklęknął, położył pistolet na ziemi i odsunął go stopą na bok.

- Bardzo dobrze, synu - powiedział Janin zadowolony.

Sara wskazała na zwłoki na wózku.

- Pański wielki mistrz nie żyje, Janin. Dlaczego się pan nie podda? Czy pan i pańscy bracia chcecie budować utopię bez przywódcy?

- Bez przywódcy? - powtórzył Janin rozbawiony. - Dlaczego niby bez przywódcy? Niekrasow był wszystkim, czym się dało: mistrzem wolnomularskim, ostatnim członkiem wewnętrznego kręgu bractwa, które samo określało się mianem Krzyża Zmierzchu, stał też na czele Musilizera. Jednakże w Bractwie z Aar zawsze grał drugie skrzypce. Z powodu niezwykłych kontaktów i zdolności, które miał, uczyniłem go moim reprezentantem. Tak - Janin roześmiał się, zadowolony z siebie - to ja jestem mistrzem dźwięków.

Sara spoglądała na niego z niedowierzaniem. Było jej słabo. Prawą ręką szukała dłoni Osipa.

Prawdziwy wielki mistrz Ciemnych Słyszących Barwy strząsnął z siebie pogodę ducha, tak jak inni ludzie pozbywają się niewygodnego przebrania,

ukazał jednak nie pysk potwora, ale raczej zatroskaną minę.

- Prawdopodobnie brat Niekrasow już o to pytał, ale ja i tak dam ci drugą szansę, Saro. Posiadasz niezwykły dar. Czy zechcesz wykorzystać go i pomóc mi oczyścić ludzkość?

- Manipulując i okłamując ludzi? - pokręciła głową. - Nie. To tylko uczyni ich pustymi. Ja chcę wypełnić ich muzyką.

- Manipulacje i kłamstwa czynią ludzi pustymi? - powtórzył w zamyśleniu. - Nie myślisz chyba o własnej matce?

Serce Sary zamarło na chwilę.

- Słucham?

Skinął głową.

- Zapytaj własnego serca. Jestem pewien, że ono od dawna zna już odpowiedź. Josephine d'Albis była wyjątkowa. Od śmierci Liszta Bractwo z Aar szukało jego licznego potomstwa, w jej przypadku byliśmy jednak pewni, że w jej żyłach płynie krew ostatniego mistrza dźwięków równego Jubalowi. W niej w końcu mogły połączyć się dwie gałęzie drzewa genealogicznego Liszta, przywracając światu jego dar, jego szczególną odmianę *audition colorée*.

- Pozwalając odnaleźć Purpurowe Nuty?

- Pozwalając je zrozumieć.

Sara skinęła głową. Miała wrażenie, że jej napojone goryczą serce wygląda jak suszona śliwka.

- A więc bractwo podsunęło jej odpowiedniego partnera, światowej sławy dyrygenta Anatola Akunina. I to byłeś ty! Ty uwiodłeś moją matkę, tak jak kiedyś twoja prababka, Olga Janina, uwiodła Liszta. A kiedy dojrzywało w niej już potomstwo Ciemnych, złamałeś jej serce.

- To Josephine uciekła ode mnie. Ledwo cię potem odnaleźliśmy.

Sara, nie bacząc na uzbrojonych w broń automatyczną żołnierzy, stanęła tuż przed Janinem i oparła ręce na biodrach. Gotowało się w niej. A nawet więcej: kipiała w niej cała frustracja, cała wściekłość nieszczęśliwego dzieciństwa, jakby pękła w niej jakaś tama.

- Tak? - trysnęła mu jadem prosto w twarz. - Teraz więc okazuje się, że to ona jest winna twojej zdrady, tak? Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego Josephine d'Albis i Ludmiła Baranowa od ciebie uciekły? Wysysasz ludzi z ludzi życie, aż nic już nie zostaje. Wszystko, co możesz im dać, to śmierć. Bądź

przeklęty, ojciec. Bądź przeklęty od Boga i od całego świata. Jesteś.

- Milcz! - krzyknął i zasłonił się wyciągniętą ręką, jakby rzeczywiście bał się klątwy córki.

Sara zamilkła. Zużyła całą siłę. Pozostały jej tylko spływające po twarzy łzy. Nie poczuła nawet, jak Osip stanął za nią i objął ją opiekuńczo.

Oleg Janin odwrócił się do uzbrojonych ludzi i syknął:

- Odstawcie ich z powrotem do piwnicy. Musimy się spieszyć. Zbliża się godzina Słyszających Barwy.

===f0xhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

Potomność rozliczy artystę nie z zamiarów, ale z tego, co udało mu się wyrazić.

Franciszek Liszt

Rozdział 47.

Rzym, 7 kwietnia 2005, 18:46

Zniesiono segregację płciową. Dwa oskubane przedtem przez Osipa Orły wrzuciły Sarę razem z jej przyrodnim bratem do pierwszej lepszej celi. Ciemnym wyraźnie się spieszyło.

Po drodze do piwnicy *palazzo* Sara odzyskała kontrolę nad sobą. Na policzkach wciąż lśniły jej łzy, jednak w jej umyśle dojrzywał już plan – czy też raczej desperacki zamiar. Zanim zamknięto drzwi do celi, zaczęła śpiewać.

Z jej gardła dobyła się niezwykła sekwencja dźwięków, bardziej obca niż chińska opera dla europejskiego ucha, a jednocześnie bliższa niż matczyna kołysanka.

Obaj strażnicy zamarli. Potem uśmiechnęli się szeroko. Jeden odwrócił się w stronę więźniów i powiedział pobłaźliwie:

- Nie trudź się. To na nas nie działa. Też jesteśmy Słyszającymi Barwy.

Sara śpiewała jednak dalej. Tak, zaczęła nawet wkładać w to więcej siły. Drzwi do celi zamknęły się z hukiem.

- Zatkaj uszy i zacznij nucić cokolwiek – szepnęła do Osipa, a potem podbiegła do okienka w drzwiach i uwolniła Pieśń Władzy. Klapka za kratą zamknęła się. A Sara śpiewała dalej. Kroki zaczęły się oddalać. Nie poddawała się jednak. Przed celą zapadła cisza.

Nagle kroki powróciły. W zamku przekrecono klucz. Drzwi otworzyły się. Obaj strażnicy patrzyli na Sarę szklistymi oczyma.

Wystąpiła dwa kroki naprzód. Nie spróbowali jej zatrzymać. Sara zaczęła domyślać się, dlaczego władza była tak groźnym narkotykiem. Podeszła do tego ze strażników, który mniej śmierdział, i spytała:

- Kogo widzisz przed sobą?

- Mistrzynię harfy – odparł.

Uśmiechnęła się zadowolona i cofnęła o krok.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Chciałabym, żebyście teraz wypełniali moje polecenia. Zrozumieliście?

- Tak, mistrzyni - odparli.

- Ty! - wskazała na tego, który śmierdział cebulą. - Powiedz mi, jak można niepostrzeżenie wymknąć się z *palazzo*.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem, jak w transie, powiedział:

- Teraz jest odpowiedni moment, mistrzyni, zbliża się bowiem godzina Słyszących Barwy. Wszyscy są zajęci ostatnimi przygotowaniami. Nikt nie pilnuje wewnętrznego dziedzińca pałacu. Za kilka minut przyjedzie tam ciężarówka. Ma przewieźć urządzenia do Watykanu. Będą wykorzystane przy jutrzejszej transmisji *requiem*. Ukryjcie się w ładowni, mistrzyni, jak tylko go załadują.

W ten sposób dowiedzieli się też, że są ciągle w Pałacu Apostolskim. Sara skinęła zadowolona.

- A teraz rozbierzcie się. Bieliznę możecie zatrzymać.

Strażnicy natychmiast zaczęli zdejmować ubrania.

- A co to ma znaczyć? - szepnął Osip?

- Słyszałeś przecież, co Niekrasow mówił o chipach radiowych. Jeżeli wyjdziemy stąd teraz, wywołamy alarm. Dlatego przebierzemy się.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Jak ci się to udało? Myślałem, że ci tutaj są odporni na Dźwięki Władzy?

- Nie odporni. Po prostu mniej wrażliwi. Wystawiłam przeciwko nim najsilniejszą broń, jakiej może użyć Słyszący Barwy: Królową Dźwięków.

- Purpurowe Nuty?

- Dokładniej rzecz biorąc, nową melodię, którą stworzyłam za sprawą Nauki Dźwięków.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- Ale to były tylko nuty. Jak udało ci się je rozgryźć?

- Nie rozgryzałam ich, otworzyłam się na nie.

Pokazała na obnażonych strażników.

- Już skończyli. Teraz nasza kolej.

Sara poleciła strażnikom usnąć w celi i nie wychodzić z piwnicy przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Potem zamknęła drzwi do lochu, nie

ryglując ich jednak, i wzięła podane przez Osipa ubrania. Patrzył na nią bardzo dziwnie.

Nagle objął ją i dotknął jej wargami swoich. Nie był to pocałunek przyjaźni, był też jednak inny od tych, którymi obdarzał ją Krystian. Po kilku sekundach Osip przestał ją całować, wciąż jednak trzymał ją mocno w ramionach.

- Fuj! - spojrzała na niego skonsternowana. - Co to miało być? Socjalistyczne pozdrowienie?

Roześmiał się zakłopotany.

- Nie, podziękowanie.

- Za co?

- Kilka minut temu ocaliłaś mi życie, nie pamiętasz?

Pokręciła głową.

- Jak mogłabym zapomnieć? Zabiłam człowieka.

- Lepiej jego niż mnie. Działałaś w obronie koniecznej, siostrzyczko.

Ściągnęła brwi. Po raz pierwszy ją tak nazwał. Na moment poczuła niezwykłą więź. Zaczęła się zastanawiać, czy dowody sympatii, które dawał jej Osip, miały jeszcze inne przyczyny, poza wdzięcznością i braterską miłością. W pewnej chwili zaczęła uznawać jego niezdarność w stosunku do kobiet za uroczą i dochodziła powoli do wniosku, że jego obecność nie studziła bynajmniej jej uczuć.

Gniewnie strząsnęła z siebie oszołomienie, wyswobodziła się z jego objęć i poleciła mu ostro:

- Odwróć się.

- Czemu? Jesteśmy przecież rodzeństwem.

- Przyrodnim. Odwróć się!

Uśłuchał.

Zwróceni do siebie plecami pozbyli się ubrań.

- Majtki też? - zapytał.

- Jeśli jesteś pewien, że nic tam nie wsadzili, to możesz je zostawić.

- A więc lepiej wystąpię w stroju adamowym.

Przebrali się w mgnieniu oka. Sara kategorycznie wzdragała się przed zabraniami ze sobą broni obu Słyszających Barwy: tego dnia przelano już dość krwi. Naleganie Osipa odniosło jednak przynajmniej taki skutek, że zabrali amunicję. Kiedy wyjmował z pistoletów magazynki, przyglądała mu się. W czarnym stroju wyglądał całkiem znośnie, ona za to tonęła w swoim

mundurze.

- Cuchną cebulą - poskarżyła się.

Osip wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie narzekaj. Musimy się spieszyć, bo spóźnimy się na autobus.

Na wewnętrzny dziedziniec dotarli akurat na czas. Ze schodów do piwnicy spojrzeli na podjazd. Pod łukiem bramy stała jasnoszara ciężarówka. Właśnie wyskoczyły z niej dwie ubrane na czarno postaci i zatrzasnęły drzwi. Oleg Janin powiedział coś do nich. Sara nie rozumiała słów, jednakże obaj Słyszący Barwy skinęli gorliwie głowami. Dopiero na koniec głos Janina przybrał na sile.

- A teraz tempo. Czas goni!

Obaj oddalili się szybkim krokiem. Janin otworzył drzwi pasażera i wsiadł.

- To nasza szansa - szepnął Osip. - Pochyl się i trzymaj blisko mnie.

A potem puścił się biegiem.

Sara z trudem za nim nadążała, pośpiech był jednak jak najbardziej wskazany, kierowca wysiadał bowiem właśnie, żeby otworzyć bramę. Ukryci za ciężarówką dotarli pod sklepiony wyjazd. Ryk silnika i skrzypienie bramy wystarczały, żeby przytłumić odgłos otwieranych tylnych drzwi. Szybko wślizgnęli się do ładowni.

- Mam nadzieję, że to nie żadna z tych nowoczesnych japońskich zabawek, w której czujniki rejestrują każde pierdnięcie - szepnął Osip, kiedy Sara przepychała się obok niego.

Pokręciła głową.

- To francuski samochód.

Kiedy ciężarówka ruszyła, Osip zamknął drzwi.

Po kilku metrach samochód znów się zatrzymał. Sara usłyszała, jak ktoś wysiada, i wstrzymała oddech. Czyżby się jednak pomyliła? Chwyciła dłoń Osipa. Oboje nasłuchiwali.

Nagle tuż za nimi rozległo się skrzypienie bramy. Sara odetchnęła. Oczywiście! Kierowca robił też za portiera. Drzwi samochodu zatrzasnęły się ponownie i ruszyli dalej.

Wkrótce odgłosy ruchu drogowego przybrały na sile. Najwyraźniej jechali teraz jedną z głównych ulic. Niestety, okna ciężarówki zaklejono białą folią. Wpadało przez nią wprawdzie trochę światła, ale mimo że Sara zbliżyła twarz do szyby i osłoniła ją dłońmi, nie widziała nic poza kilkoma rozmytymi smugami.

Nie było najmniejszych szans, by dowiedzieć się, gdzie znajdował się pałacyk Ciemnych Słyszących.

Kiedy odwróciła się od okna, zobaczyła, że jej przyrodni brat grzebie przy jednej z trzech umieszczonych w samochodzie aluminiowych skrzyń. Przykucnęła obok niego i szepnęła:

- Już je wcześniej widziałam, jedną nawet od środka. W piwnicy paryskiej centrali Musilizera.

- Kiedy zaczarowałaś archiwistę?

- Można tak to nazwać. Co planujesz?

- No a co? Sprawdzić, co jest w środku. Cholera!

- Co jest?

- Skrzynie zabezpieczono specjalnym zamkiem. Gołymi rękami nie uda mi się. - zamilkł, gdyż samochód nagle się zatrzymał.

Całkiem niedaleko przeszedł chór. Prawdopodobnie młodzi ludzie, którzy zaintonowali pieśń ku czci swojego papy, swojego papieża. Wkrótce potem samochód ruszył w dalszą drogę.

Takie *stop-and-go* powtarzało się coraz częściej. Wkrótce samochód zatrzymał się, jak się wydawało, na dobre.

- Korki - szepnął Osip.

Sara skinęła głową.

- Nasz drogi pan ojciec wezwał masy, które teraz blokują mu drogę. Proponuję wysiąść, zanim przyjdzie mu do głowy, żeby jakoś inaczej przewieźć te skrzynie do Watykanu.

Ciężarówka znowu podjechała kawałek. Podczas kolejnego postoju z zewnątrz dobiegły rozgniewane włosa. Ktoś narzekał na szalonego kierowcę. Ten, najwyraźniej podpity, dał się ponieść złości i zaczął walić w blachę pojazdu. W całym samochodzie huczało. Sara czuła się jak w stalowym bębnie.

- Teraz albo nigdy! - szepnął Osip, złapał ją za rękę, otworzył tylne drzwi i wyskoczył z Sarą na ulicę. Po cichu zamknął za sobą ładownię. W ostatniej chwili, bo ciężarówka z nieszczęsnymi skrzyniami pojechała zaraz dalej.

Na placach i ulicach Rzymu panował chaos. Wciąż jeszcze chaos spokojny, jednak już na dwanaście godzin przed początkiem uroczystości żałobnych plac Świętego Piotra i drogi dojazdowe do Citta del Vaticano były zupełnie nieprzejezdne. Na wszystkich rogach obozowali ludzie ze śpiworami i bez, chcąc zdobyć jedno z trzystu tysięcy miejsc przed Bazyliką świętego Piotra. Dla

pozostałych milionów na innych placach zainstalowano wielkie telebimy. Sara i Osip z trudem posuwali się do przodu.

- Tracimy zbyt dużo czasu - jęknęła.

- Gdybym był aniołem, przeniósłbym cię po niebie - westchnął jej brat.

Zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. Czyżby Osip tymczasem zamienił się w Romea?

- Przyznaj się, podglądałeś, jak się przebierałam?

Uśmiechnął się, odsłaniając zęby.

- Tylko raz. I tylko na krótko.

Przewróciła oczami.

- Faceci! *A propos*, trzeba zadzwonić do Andréi. Musimy znaleźć telefon.

Osip odsunął na bok natrętnego żalobnika i pokazał przed siebie.

- Tam jest budka.

- Masz drobne albo kartę telefoniczną?

Poszperał w kieszeniach nie swoich spodni i wyciągnął kilka monet.

Chwilę później Sara usłyszała w słuchawce głos organizatora koncertów, Andréi Filippa Sarta.

- Saro, najślicznieszka moja, martwiłem się. Wciąż jesteś w Watykanie?

- Nie, wyrzucili mnie stamtąd. Ale chcę znowu dostać się do środka.

- Obawiam się, że nie nadażam.

- Kardynał Sibelius to zdrajca. Wydał nas spiskowcom. Musimy znaleźć inny kontakt, najlepiej jak najwyżej, i to dość szybko.

- Zobaczę, co mogę zrobić.

- Nie zawieź nas, Andréa. To bardzo ważne. Ach, i jeszcze jedno - załatw nam jakieś nowe ubrania. Cuchnę jak spleśniały sos cebulowy.

Jego Ekscelencja arcybiskup Giuliano Ascoltato był najbardziej wpływowym prałatem kurii, którego Sarto był w stanie szybko sobie zjednać. Zastępował kardynała sekretarza stanu, który za życia papieża był drugą osobą w hierarchii kościelnej. Lub też, pół żartem, pół serio - Ascoltato był zastępcą zastępcy przedstawiciela Boga na ziemi. Stał więc całkiem wysoko.

Sara i Osip dotarli do Watykanu na piechotę - najpierw przepychając się własnymi łokciami, a potem z pomocą zorganizowanej przez Sarta eskorty policyjnej. W końcu przy Brązowych Drzwiach milioner wyszedł im naprzeciw we własnej osobie: zamienił bezpieczeństwo otoczonej murem Villi Sarto na

gwar rzymskich ulic, żeby wesprzeć swoją ukochaną i jej przyrodniego brata podczas szturmowania Pałacu Apostolskiego.

Teraz rodzeństwo wraz ze swoim rzecznikiem siedziało w imponującym biurze na trzecim piętrze pałacu papieskiego, zaledwie dwa piętra pod prywatnymi pokojami zmarłego papieża. Sara tymczasem przebrała się w podkreślającą figurę czerwoną suknię z surowego jedwabiu, która jak na jej gust była nieco za krótka, za to doskonale odpowiadała Sartowi. Teraz kreśliła właśnie po angielsku skrócony, ale wciąż wywierający silne wrażenie zarys najgorszego scenariusza. Po drugiej stronie mahoniowego biurka tkwił arcybiskup Ascoltato i wyglądał jak modliszka. Jego ascetyczna sylwetka i ostre rysy chudej twarzy wzbudzały jeszcze większy szacunek niż biuro.

Biskup, co zrozumiałe, zareagował na opowieść Sary o spisku i porwaniu ze sceptycyzmem, a nawet z gniewem.

- Sibelius zdrajcą? - pokręcił głową. - W to nie uwierzę. A reszta? Proszę wybaczyć, łaskawa pani, ale to brzmi jak kiepski thriller.

Sara westchnęła.

- Mogę Jego Ekscelencji pokazać, jak silne jest działanie Dźwięków Władzy.

Ascoltato zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, przy czym Sara zauważyła z gniewem, że wyjątkowo dużo uwagi poświęcił jej nogom. Zawstydzona zaciągnęła kraj sukienki na kolana. W końcu arcybiskup skinął głową.

- Dobrze więc. Jednak powołam się na Stary Testament: każdy wyrok musi oprzeć się „na słowie dwóch albo trzech świadków”²⁰. Muszę wezwać kompetentnego doradcę.

Sarę spodziewała się najgorszego.

Zastępca szefa rządu papieskiego zadzwonił. Kiedy odłożył słuchawkę, złożył dłonie na brzuchu i uśmiechnął się.

- Mamy szczęście. Monsignore Hester McAteer jest jeszcze w pałacu.

Sarze odjęło na chwilę mowę. Potem zgłosiła gwałtowny sprzeciw. Irlandczyk sam może być zamieszany w spisek, trzeba trzymać go jak najdalej od całej sprawy. Biskup odsłonił jednak pełen garnitur zębów i odparł:

- To niemożliwe. Znam promotora wiary. Cieszy się opinią nieprzekupnego. Proszę się zastanowić: czy zaatakował on panią osobiście?

Spojrzała błagalnie na Osipa, który podniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Wyciąga do ciebie rękę, przyjmij ją”.

Po krótkim namyśle przyznała:

- Po namyśle odnoszę wrażenie, że McAteer atakował raczej Sibeliusa, przynajmniej słownie. I przez sposób, w jaki wpadł do jego biura. Może być tak, że kardynał chciał się go pozbyć, żeby siepacze Janina mogli swobodnie działać.

Osadzona na długiej szyi głowa Ascoltaty zakołysała się ciężko tam i z powrotem. Po raz pierwszy w jego uśmiechu pojawiło się coś ujmującego.

- Tak też będzie. Proszę mi zaufać.

Co jej pozostało? Westchnęła i zgodziła się ponownie użyć Dźwięków Władzy w obecności monsignore.

Chwilę później pojawił się McAteer. On także był zdziwiony, że tak szybko spotyka się ponownie z pianistką i jej rosyjskim towarzyszem. Rzeczywiście powiedział, że po dziwacznej rozmowie w gabinecie kardynał Sibelius podziękował mu za pomoc i natychmiast go odesłał. Sara obserwowała twarz Irlandczyka jak igłę wariografu. Mimo gburowatości i opryskliwości wydawało się jednak, że w głębi serca jest szczerym człowiekiem. Postanowiła przyznać mu kredyt zaufania.

Żeby przyspieszyć całą sprawę, znowu postanowiła jako medium użyć własnego głosu, potraktowała jednak słuchaczy nieco łaskawiej niż poprzednio. Kazała tylko wykonać arcybiskupowi kilka cyrkowych numerów. Najpierw przyszedł jej do głowy typowy numer hipnotyzerów - na przykład ktoś z publiczności siada na taborecie i pieje jak kogut, w końcu uznała jednak, że nie będzie to odpowiednie dla człowieka w sutannie i kazała mu udawać kruka.

- Nie pojmuję - powiedział potem Ascoltato, kręcąc głową.

- W porównaniu do tego, co zamierzają Ciemni Słyszący Barwy, był to tylko głupi żart. Oni są w stanie rozpętać gniew mas. Jeśli wszystko pójdzie po myśli Olega Janina, na placu Świętego Piotra rozgorzeje jutro płomień, od którego zapali się cały świat.

- *Santo cielo!* Jutro na Piazza San Pietro zbierze się ponad dwustu dyplomatów i przywódców państwowych, a poza tym całe kolegium kardynałów. Jeśli coś im się stanie, będzie to równe dekapitacji świata polityki i religii.

- I o to właśnie tutaj chodzi - powiedziała Sara. Czowała, że w końcu znalazła sojusznika.

- Jak możemy temu zapobiec? - zapytał arcybiskup.

- Proszę zmienić przebieg ceremonii pogrzebowej.

- Tak - zgodził się z nią McAteer.

Osip i Andréa skinęli głowami.

- Niemożliwe - powiedział Ascoltato.

Sara najchętniej zaczęłaby krzyczeć.

- Nie uwierzy pan, jak często słyszę ostatnio to słowo. Sądziłam, że kościół zajmuje się cudami. Proszę jakiś uczyń.

McAteer wybuchnął urywanym śmiechem.

Ascoltato posłał mu karcące spojrzenie, a potem zwrócił się ponownie do Sary.

- Nie chodzi tu o cuda, córko, ale o egzekwie, czyli ceremonię pogrzebową świętej matki kościoła. Cuda, owszem, ale zmiana tradycji?

Pokręcił głową.

- Ale powiedziano mi, że papieski mistrz ceremonii, arcybiskup Piero Marini, zaledwie w połowie tygodnia ogłosił nowy przebieg uroczystości.

- Tak, zgadza się, ale tego rodzaju zmiana wymaga długich rozważań. Nowa ceremonia, cechująca się szlachetną prostotą i pięknem, odpowiada duchowi drugiego soboru watykańskiego. Jej przebieg został opisany w zaaprobowanej przez papieża siedem lat temu księdze *Ordo Exsequiarum Romani Pontificis*.

- Siedem lat temu? - zdumiała się Sara.

- Przepraszam, Wasza Eminencjo - do rozmowy włączył się nagle Sarto. - Czy to prawda, że ujawniono to dopiero po śmierci papieża?

- Tak, to prawda.

- A więc wskazówki te mogły zostać niedawno sfalszowane, przynajmniej w części? - odważyła się zapytać Sara.

Biskup wił się jak piskorz.

- Teoretycznie tak. Ale to byłoby... świętokradztwo.

„Zręcznie szyta ta twoja intryga, ojczy” - pomyślała Sara, zachowała jednak tę myśl dla siebie. Odparła z pobłażliwym uśmiechem:

- Proszę mi wierzyć, są osoby, które nie cofnęłyby się przed takim świętokradztwem. Proszę zmienić program.

- Zmienić program? - głos Ascoltaty załamał się. Biskup zrobił się kredowobiały. Zaczął kręcić bezradnie głową. - To, czego pani wymaga, jest niemożliwe. Uroczystości dawno się już rozpoczęły.

Rozdział 48.

Rzym, 8 kwietnia 2005, 10:00

Punktualnie o dziesiątej bicie w dzwony ogłosiło początek uroczystości pogrzebowych papieża Jana Pawła II. Ponad cztery miliony ludzi uczestniczyły w mszy żałobnej na ulicach Rzymu. Plac Świętego Piotra i ulice wokół Watykanu były wypełnione po brzegi.

„Przybywajcie! Przybywajcie!”

Sara stała za firanką na trzecim piętrze watykańskiego pałacu w biurach papieskiego sekretariatu stanu i z kamienną miną oglądała przebieg ceremonii. Dziwnym trafem przypomniał jej się fragment *Małej syreny* Hansa Christiana Andersena:

„Ach, jakże przysłuchiwała się tym opowiadaniom najmłodsza siostra! Kiedy potem wieczorem stała przy otwartym oknie i patrzyła w ciemnobłękitną wodę, myślała o wielkim mieście, o ruchu i gwarze, i wtedy wydawało jej się, że aż tutaj dolatuje odgłos kościelnych dzwonów”²¹.

I patrząc przy dźwięku dzwonów na Piazza San Pietro, przypomniała sobie smutny koniec baśni. Biskup Ascoltato powiedział wczoraj, że uroczystości rozpoczęły się jeszcze przed publiczną mszą żałobną. W skład egzekwii wchodziła też ceremonia odprawiona jeszcze wczesnym rankiem w Bazylice świętego Piotra. Jednym z elementów nowego programu był akt „zasłonięcia twarzy”. Mistrz ceremonii i osobisty sekretarz papieża zakryli twarz zmarłego białą jedwabną chustą. Ten symboliczny gest miał dla Sary zupełnie niezamierzone znaczenie: „Proszę, Ojczyce Święty, nie patrz na to, co teraz zrobimy”.

Następnie prostą trumnę z orzechowego drzewa wyniesiono na plac Świętego Piotra. Większość żałobników nie wiedziała, że zwłoki chroniły także umieszczone wewnątrz trumny cynkowa i cyprysowa, niczym trzykrotnie zamknięty skarbiec.

Chór zaintonował *introit*.

Napięcie Sary wzmogło się do nieznośnych rozmiarów. Czyżby znowu się spóźniła? Janin, kiedy mówił o godzinie Słyszących Barwy, miał na myśli dokładnie ten moment. W głowach widzów przestawi się wyłącznik, a potem w historii ludzkości zacznie się nowa epoka.

Z zapartym tchem obserwowała, jak prałaci kładą na wieku trumny wielką ewangelię i jak wiatr przerzuca jej strony. Na chybił trafił. Dokładnie tak jak zwykł grywać na harfie eolskiej.

Jej wzrok powędrował ku miejscom honorowym. Papieża nawet po śmierci otaczali purpuraci. Brakowało Sibeliusa. Za kardynałami siedzieli po jednej stronie połyskujący fioletem biskupi, a po drugiej ubrani na czarno oficjalni goście: sekretarz generalny ONZ Kofi Annan, prezydent USA George W. Bush, brytyjski premier Tony Blair, prezydent Francji Jacques Chirac, z Niemiec kanclerz Gerhard Schroder i prezydent Horst Kohler oraz wielu, wielu innych, w tym też liczni patriarchowie innych wyznań. Sara wyobraziła sobie, jak zebrane na placu Świętego Piotra tłumy tratują ochroniarzy i rozszarpują przywódców „starego porządku”.

Nic takiego jednak się nie działo.

Stopniowo zaczęła się trochę uspokajać. O spisku Ciemnych wiedziała tylko niewielka grupa osób, a arcybiskup Ascoltato prosił, żeby tak pozostało. Z tego powodu biuro, z którego obserwowali, jak kardynał-dziekan Joseph Ratzinger odprawia mszę żałobną, było nadzwyczajnie puste, jeżeli wziąć pod uwagę, że za pozostałymi oknami, a nawet na dachach okolicznych budynków tłoczyli się liczni duchowni, zakonnice i inni ciekawscy. Osip stał po prawej stronie Sary, a monsignore McAteer pilnował jej lewej flanki.

Poza tym obecni byli też komendant Gwardii Szwajcarskiej i odpowiedzialny za środki bezpieczeństwa komisarz nadzwyczajny, którzy za pomocą krótkofalówek, komórek i innych środków łączności pozostawali w ciągłym kontakcie z dowódcami oddziałów liczącego ponad piętnaście tysięcy ludzi personelu ochrony.

- Signora d'Albis? - odezwał się po włosku komendant papieskiej ochrony.

Zwróciła się do Szwajcara, ciemnowłosego mężczyzny, który mógłby z powodzeniem udawać Włocha.

- Tak?

- Przyszedł meldunek od dowódcy jednostki specjalnej karabinierów. Znaleźli *palazzo* tajnego stowarzyszenia i weszli do środka. Tak jak pani sądziła, budynek jest własnością spółki-córki Musilizer SARL. Ptaszki wyfrunęły już jednak z gniazda.

- Ani śladu Olega Janina?

- Niestety.

- Dowiedzieliście się, czy Musilizer ma jeszcze jakieś nieruchomości w Rzymie lub w okolicach?

- Do tej pory niczego nie znaleźliśmy.

Skinęła głową.

- Dziękuję, komendancie.

To była na razie jedyna szansa schwytania przywódców Bractwa z Aar.

- Możliwe, że mamy telefon Janina - powiedział nagle Osip.

Spojrzała na niego pytająco.

- Co?

- No, Sibelius wydał nas przecież Orłom przez telefon.

McAteer pokręcił głową.

- Już o tym pomyślałem. Kardynał wyczyścił pamięć aparatu, a w jego biurze też nie możemy znaleźć nic, co doprowadziłoby nas do Słyszących.

- Chwileczkę! - przerwała mu Sara. - Możliwe, że znam ten numer.

- Została pani też również jasnowidzącą? - mruknął Irlandczyk.

- Nie. Mam jednak słuch absolutny: mogę podać dokładną wysokość każdego dźwięku, który usłyszę. Dysponuję też niezłą pamięcią do melodii. Kiedy wcisnęłam przycisk ponownego wyboru numeru na telefonie Sibeliusa, usłyszałam sekwencję tonów. Z tego da się odtworzyć numer, prawda?

Komisarz nadzwyczajny przysłuchiwał się temu i powiedział teraz:

- Oczywiście! A jeśli kardynał dzwonił do przywódcy bractwa nie na komórkę, ale na numer stacjonarny, to zdobędziemy nawet adres.

Pół godziny później Sara i Osip biegli przez Ogrody Watykańskie do papieskiego heliportu. Do końca uroczystości żałobnych na placu Świętego Piotra pozostało jeszcze mnóstwo czasu. Policja zrekonstruowała numer z podanych przez Sarę dźwięków i ustaliła pasujący do niego adres: róg Via Annia i Via dei Querceti. Przypuszczalna kryjówka Olega Janina znajdowała się tuż przy Koloseum.

To, co teraz wprowadzono w życie, było jedną z najtrudniejszych operacji w historii jednostki karabinierów. W mgnieniu oka sprowadzono na miejsce zespół przeznaczony do ochrony przybyłych na uroczystości polityków. Już samo to było karkołomnym przedsięwzięciem. Wprawdzie na ulicach nie było ani jednego samochodu, ale z powodu zebranych tłumów pojazdom policyjnym ledwo udało się dotrzeć na miejsce. Plan zakładał otoczenie okolic domniemanej kryjówki Janina i zmuszenie jego oraz innych Słyszących do poddania się, nawet przemocą, jeśli zajdzie taka potrzeba.

W końcu Sara i Osip dotarli do zachodniego rogu parku, gdzie czekał na nich policyjny śmigłowiec. Gdy zapięli pasy i założyli hełmy, maszyna poderwała się do lotu. Na dole wszystkie przejścia były zablokowane, ale drogą powietrzną błyskawicznie dotarli na miejsce.

Kiedy pojawiła się pod nimi wielka arena Koloseum, Osip szturchnął przyrodnią siostrę w bok.

- Pamiętasz jeszcze, co powiedziałem ci wczoraj?

Roześmiała się słabo.

- Że gdybyś był aniołem, przeniósłbyś mnie po niebie.

Rozłożył ramiona i powiedział:

- *Voilà!*

Sara chwyciła jego lewą rękę i mocno ją uścisnęła. Jego ciepło dodało jej odwagi.

- Dziękuję, poprawiłeś mi humor.

Helikopter wylądował w górnej części Parco Ninfeo di Nerone, terenów zielonych na południe od Koloseum. Pilot powiedział, że od obiektu docelowego dzieli ich około dwieście metrów w linii prostej.

Kiedy Sara i Osip wysiedli ze śmigłowca, przywitali ich karabinierzy, którzy poprowadzili ich do wschodniej części parku. Tam, w granatowej ciężarówce, której nie było widać z kryjówki Janina, znajdowało się ruchome centrum dowodzenia. Wokoło trwała gorączkowa krzątanina. Policjant zniknął w środku, żeby zameldować przybycie cywilów. Trzy lub cztery minuty później wyszedł z dowódcą oddziału antyterrorystów.

Commandante Massimo Carotta był szczupłym mężczyzną, który najwyraźniej bardzo dbał o utrzymanie srogiego wyglądu. Tak jak jego ludzie nosił czarny mundur bojowy, a głowę miał ogoloną prawie do gołej skóry.

Wydawał się wysoce niezadowolony z przybycia Sary

- Mówiąc szczerze, signora d'Albis, nie rozumiem, czego tu pani w ogóle szuka.

- Był pan w stanie sprawdzić, kto jest w budynku? - zapytała Sara, jakby nie dosłyszała, co powiedział. Ze względu na Osipa mówiła po angielsku.

Komendant odpowiedział w tym samym języku.

- Tak. Miała pani rację. To naprawdę ten Rosjanin. Jest chyba sam. Grozi, że wysadzi się w powietrze. Właśnie ewakuujemy całą dzielnicę.

Sara skinęła głową.

- Znam Janina. Stosuje strategię spalonej ziemi i nie oszczędza nikogo. Nawet siebie samego, obawiam się. Dlatego tu jestem. Jest moim ojcem.

- Och! Nie wiedziałem.

- Chciałabym z nim porozmawiać.

Carotta spojrzał na nią ostro. Potem powiedział:

- No, dobrze. To mogłoby bardzo pomóc. Dam pani megafon.

- Nie. Muszę wejść do środka i tam z nim pomówić.

- Na to nie mogę się zgodzić.

Osip skinął głową.

- On ma rację, Saro. To zbyt niebezpieczne. Mój ojczym jest nieobliczalny.

- Ojczym? - mruknął komendant. - Co to ma być, zjazd rodzinny?

- Coś w tym stylu - odparła Sara. - A teraz proszę mnie do niego zabrać.

Dom, gdzie ukrył się Oleg Janin, z dwóch stron przylegał do ulic

- Via Annia i Via dei Querceti - a z pozostałych dwóch otoczony był dużym ogrodem. „Sympatyczny pałacyk - pomyślała Sara - ale jak dla człowieka, który sięga po władzę nad światem, prawie uwłaczający”.

Jej ojciec od razu zgodził się na rozmowę, kiedy odezwała się do niego z ulicy za pomocą megafonu. Wcześniej policjanci zainstalowali jej elektroniczne pluskwy, tym razem jednak za jej zgodą - pod kołnierzem kurtki umieścili wysoko wydajny mikrofon, a do pleców przyczepili nadajnik.

Sara weszła do budynku głównym wejściem. Janin zdalnie otworzył zamek cyfrowy. Głośno zamknęła za sobą drzwi - i zaraz cichutko otworzyła je znowu, zostawiając tylko małą szparkę. A potem stanęła na środku holu, żeby zorientować się w rozkładzie pomieszczenia.

Wielki owal wyłożono marmurem w czarne i białe romby. Pradawna symbolika wolnomularska. Trzy piętra wyżej skrzył się wielki żyrandol. Sara

przeszła pod łukiem po swojej prawej stronie i weszła na schody. „Jestem w sypialni, na samej górze” – krzyknął do niej ojciec przez otwarte okno.

Kiedy wspięła się nieco już skromniejszymi schodami na najwyższe piętro, zobaczyła salon sypialny. Oba skrzydła drzwi stały otworem, zupełnie jakby Janin nie bał się niczego i nikogo.

Weszła i rozejrzała się wkoło. Tak, rzeczywiście znajdowała się w sypialni. Była ona tak bogato wyposażona, że spodobałaby się nawet najbardziej wybrednym księżętom: meble, dywany, rzeźby i obrazy pierwszej klasy, choć jak na gust Sary, nieco zbyt pretensjonalne. Prawą stronę pokoju zajmowało olbrzymie łóżko z baldachimem. Po lewej stronie stały regały z książkami i kilka tapicerowanych mebli. Janin siedział w ciężkim fotelu, dostatecznie daleko od okna, żeby nie wystawiać się na strzał policyjnych snajperów. Obok niego stał okrągły stolik, na którym leżały Purpurowe Nuty

- Wiedziałem, że moja córka mnie znajdzie – powiedział.

Sara zatrzymała się mniej więcej cztery kroki od niego i mierzyła go wzrokiem, mężczyznę, któremu zawdzięczała swoje istnienie. W dłoni trzymał czarny przedmiot, który wyglądał jak pilot do magnetowidu.

- A jaka wyrocznia ci to zdradziła? – odparła. Starła się, żeby jej głos nie brzmiał zbyt agresywnie.

Jego pierś zadrżała od cichego śmiechu.

- Znalazłaś Szkarłatną Partyturę. Jak więc ja, twój ojciec, miałbym się przed tobą ukryć? Z czystej ciekawości – jak ci się to udało?

- Telefon kardynała Sibeliusa ma wybieranie wieloczęstotliwościowe. Dźwięki przyprowadziły mnie do ciebie.

Uśmiechnął się cicho.

- Oczywiście. My, Słyszący Barwy, zawsze wykorzystywaliśmy dźwięki do urzeczywistnienia naszych zamiarów. Przyszłaś, żeby skłonić mnie do zmiany decyzji, prawda?

Skinęła głową.

- Twój wielki plan zawiódł. Nie podpalisz świata. Chciałabym, żebyś odpowiedział za swoje zbrodnie przed sądem.

- Masz broń?

- Nie.

Przez chwilę mierzyli się wzajemnie spojrzeniami, a potem Janin skinął

głową.

- Znam cię lepiej, niż sądzisz, moje dziecko. Mówisz prawdę. Od teraz możesz uważać się za mojego zakładnika.

Przełknęła ślinę.

- Naprawdę masz bombę?

Janin roześmiał się.

- Będę się powtarzał, ale trudno: my, Słyszący Barwy zawsze wykorzystywaliśmy dźwięki do urzeczywistnienia naszych zamiarów. Mam coś dużo lepszego niż bombę.

Podniósł pilota i nacisnął jeden klawisz.

Sarze zaparło dech. Natężyła słuch, nic jednak nie zobaczyła ani nie usłyszała.

- Co włączyłeś?

- Organy infradźwiękowe.

- Co?

- Działają na sprężone powietrze. To dzieło naszych naukowców z Marsylii. Ludzkie ucho nie słyszy tych dźwięków, ale ustawione na pełną moc mogą zabijać nawet w promieniu ośmiu kilometrów. Na razie grają cichutko: siedem oscylacji na sekundę solidnie przetrzepie żołądki, serca i płuca karabinierów. Skutek będzie porównywalny do choroby morskiej: na kilka godzin robi im się strasznie niedobrze. Jeśli będziesz grzeczna, poprzestanę na tej małej demonstracji mojej mocy Sara miała wielką nadzieję, że komendant Carotta wszystko usłyszał i zrozumiał, oraz że zdążył wyprowadzić swoich ludzi w bezpieczne miejsce. Od tej chwili musiała improwizować.

- Antyterrorysty ustawili w Koloseum rakiety. Można odpalić je też z centrum dowodzenia, a to znajduje się dalej niż osiem kilometrów stąd.

Wyraz samozadowolenia zniknął z twarzy Janina.

- Blefujesz.

- Nie. Koniec gry, ojczy. Chodź ze mną, to przynajmniej nie zostaniesz rozerwany na strzępy przez rakiety.

Nie powiedział nic. Najwyraźniej modyfikował właśnie swoje plany. Nie mogła dać mu teraz szansy, aby wymyślił nową strategię. Pokazując na stolik z arkuszami pergaminu, zapytała:

- Po co to wszystko?

Skrzywił się gniewnie.

- Czy naprawdę muszę ci to jeszcze raz objaśniać?

- A więc naprawdę wierzysz w ten nowy początek świata?

- Tak.

- I co? Czy Nauka Dźwięków Jubala ujawniła ci drogę do utopii Słyszających Barwy?

Janin pokręcił głową.

- Nie potrafiłem przeczytać jej tak jak ty. Jest, jak jest: ty jesteś mistrzynią dźwięków równą Jubalowi, nie ja. Dowodem tego jest to, co zrobiłaś moim braciom *wpalazzo*. Nawet Słyszący Barwy nie oprze się twojej mocy. Wygrałaś, a ja przegrałem.

Po krótkiej pauzie dodał:

- Przynajmniej dziś.

Jego wzrok spoczął znowu na czarnym pilocie.

Sara zadrżała. „Strategia spalonej ziemi nie jest wcale typowo rosyjskim wynalazkiem”. To były przecież jego własne słowa. Domyślała się, co dzieje się właśnie w jego psychopatycznym umyśle.

- Zabijesz tysiące niewinnych ludzi? Nie dotykaj pilota! - krzyknęła raczej z chęci ostrzeżenia słuchających antyterrorystów niż w nadziei, że przemówi mu do rozsądku.

Roześmiał się.

- Świat dawno już stracił swoją niewinność, moje dziecko. Tylko zmarli są bez winy.

Znowu spojrział na pilota. Jego kciuki poruszyły się. I zamarły niezdecydowane nad małymi klawiszami.

Sara zaintonowała czarującą pieśń. Głośno i mocno. Dźwięki Władzy dobywały się wprost z jej duszy, z głębin, w których tak długo pozostawały ukryte. Musiała powstrzymać tego szaleńca przed odebraniem życia wszystkim w promieniu ośmiu kilometrów - ale nie mogła przedobrzyć. Dlatego w melodię wplatała gorączkowo jedynie prosty rozkaz: „Pozwól im żyć!”.

Janin podniósł wzrok znad aparatury. Wyglądał raczej na rozgniewanego niż zahipnotyzowanego, sprawiał wrażenie kogoś, komu przeszkadza się podczas liczenia w pamięci. Na jego usta wypłynął uśmiezek. Prawdopodobnie nikt nigdy nie odważył się użyć przeciwko niemu Dźwięków Władzy, wiedząc dobrze, że nie miałby najmniejszych szans z mistrzem harfy.

„Pozwól im żyć!” – powtarzała Sara. Raz za razem. Twarz jej ojca stężała. Miała wrażenie, że patrzy w twarz trupa. Nie przestawała jednak. Po policzkach spływały jej łzy. Wyśpiewywała determinację.

Nagle dłoń, w której Janin trzymał pilota, opadła jak sparaliżowana na jego kolano. Sara, zaskoczona gwałtownym ruchem, umilkła.

– Pozwól im żyć! – błagała.

Posłał jej wymęczony uśmiech.

– Nie można ci się przeciwstawić, moje dziecko. – Jego pierś podniosła się od ciężkiego westchnienia, a potem dodał: – Ale dlaczego nie poprosiłaś o łaskę dla mnie i dla siebie?

I nacisnął przycisk.

Po plecach Sary przebiegł zimny dreszcz. Czy jej ojciec rozbroił dźwiękową bombę? W ogóle nie podobał jej się zrezygnowany ton głosu, z jakim się odezwał. Z całą stanowczością, na jaką było ją stać, powtórzyła:

– Chodź ze mną, ojcze, i oddaj się w ręce policji. A może mam cię do tego zmusić?

Uśmiechnął się smutno i rzekł:

– Już za późno, moja gołąbeczko. A moja maszyna jest odporna na twój śpiew.

Pokazał na pilota. Zrobił to już wcześniej, tym razem jednak Sara dostrzegła licznik z czerwonymi cyframi. Odliczały sekundy.

„50, 49, 48.”

Odwróciła się i wybiegła przez drzwi na schody.

„42, 41, 40.”

Bardziej potykając się, niż biegnąc, pokonywała kolejne stopnie. Jedno piętro, potem kolejne.

„21, 20, 19.”

Wreszcie dobiegła do zwieńczonego łukiem wejścia na schody. Przeskakując kilka stopni na raz, zeskoczyła na dół.

„3, 2, 1.”

Nagle poczuła pod stopami falowanie, zupełnie jakby cała podłoga holu zrobiona była z gumy, która teraz wybrzuszała się i opadała. W czarnobiałym marmurze pojawiały się coraz dłuższe rysy, jak cienkie, karbowane dżdżownice. Schody zaczęły się chwiać. Jedna z infradźwiękowych piszczałek musiała być ustawiona na częstotliwość drgań własnych budynku i wprawiała go w coraz

silniejsze kołysanie. Kiedy Sara schodziła z ostatniego stopnia, usłyszała nad sobą huk.

Spojrzała w górę. Wielki żyrandol urwał się z sufitu i spadał na nią. Skoczyła do wyjścia. Na brzuchu prześlizgnęła się po podłodze. Usłyszała za sobą łomot. Obok niej przeleciały kryształowe szrapnele. Cały budynek drżał i trzeszczał jak żywa, wijąca się z bólu istota.

Dotarła do wciąż otwartych drzwi wejściowych. Szybko zerwała się na nogi i wybiegła na ulicę, nie zatrzymała się jednak i pobiegła dalej w prawo, do parku, który wydawał się jej oazą pośród chaosu i zniszczenia. Jeszcze zanim udało jej się osiągnąć cel, budynek, który został za jej plecami, zawalił się jak domek z kart.

===fOxhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

CODA

LES BAUX DE PROVANCE

Niezłomnie wierzymy w sztukę, jak w Boga i ludzkość, która w niej znajduje głos i środek wzniosłego wyrazu. Wierzymy w niekończący się postęp (...) z całą mocą nadziei i miłości!

Franciszek Liszt

===f0xhv8R9KgR6h71KTPuNcA===

Epilog

Les Baux de Provence, 11 kwietnia 2005, 11:35

Kapitan Nemo w podnieceniu merdał ogonem. Brązowe oczy dosłownie wychodziły mu na wierzch z radości, kiedy latał dookoła Sary i co chwila patrzył na nią wyczekująco. Ona zaś zachowywała się raczej powściągliwie. A może ostrożnie? Sama nie wiedziała dobrze, co czeka na nią na końcu drogi.

Brak prowansalskiej miejscowości Les Baux des Provence był tak samo nierówny jak przed wiekami. Wydawało się, że czas zatrzymał się tu w miejscu. A jednak to właśnie tutaj wydarzył się tak ważny fragment historii, tak wiele się zmieniło. Także dla niej, nowej mistrzyni dźwięków, równej Jubalowi.

Czasami zdarza się, że świat zatrzymuje się na chwilę, a ludzie tego nawet nie dostrzegają. Sara, idąc przez Rue de Lorme Cite Haute, rozmyślała o wydarzeniach ostatnich kilku dni.

Papież Jan Paweł II spoczął w krypcie Bazyliki świętego Piotra. Jego pogrzeb odbył się bez żadnych wartych uwagi zakłóceń. Media donosiły jedynie o podejrzanym obiekcie latającym, który wywołał krótkotrwały niepokój. Nie byli to jednak terroryści, zagrażający niebu nad Watykanem. Ani Ciemni Słyszący Barwy. W tym czasie większość gości powróciła spokojnie do swoich domów.

Sara nie mogła już zmienić przebiegu ceremonii, jednak na jej polecenie sprawdzono dokładnie urządzenia służące do transmisji dźwięków. Znalaziono przy tym maszyny, które miały wprowadzić do nagrania subtelny przekaz. Podłączone były nie tylko do głośników na placu Świętego Piotra, ale też do nadajników radiowych i telewizyjnych. Bez tych akustycznych katalizatorów zmienione dźwięki *requiem* nie wywarły wpływu na słuchaczy – poza łzami, które wywołały na licznych twarzach.

Olega Janina nie opłakiwał zaś nikt. Sara zdobyła się jedynie na trudne do jednoznacznej oceny uczucie żalu, kiedy doniesiono jej o odnalezieniu jego

przysypanego gruzami i zwęglonego ciała. Szkarłatna Partytura też padła ofiarą płomieni. Straż pożarna podała jako przyczynę pożaru zniszczoną podczas zawalania się domu instalację gazową. Sara, poza kilkoma zadrapaniami, wyszła z całej historii bez szwanku, tylko ogromnie zakurzona.

Kapitan Nemo warknął, kiedy uliczny kundel odważył się zanadto zbliżyć do jego pani. Sara uspokoiła go. Z miejsca, w którym się znajdowała, widziała „jaskółcze gniazdo”, dom Florence le Mouel, strażniczki Harfy Wiatrów, znanej wtajemniczonym pod swoim zakonnym imieniem Nével. Kiedy Sara wchodziła po ocienionych sosnami schodach, Kapitan Nemo cały czas siedł obok niej. Przeszli razem pod łukiem bramy prowadzącej na maleńki wewnętrzny dziedziniec i Sara poczuła się tak, jakby wracała do domu.

Dębowe drzwi, w których tkwiły stalowe łebki gwoździ, nie były zamknięte.

- Waruj, Kapitanie Nemo. Daj znać, jeżeli ktoś będzie chciał wejść lub wyjść - poleciła Sara psu. Ten usiadł na najwyższym stopniu i zaszczekał kilka razy na znak zgody. Weszła do środka nie dzwoniąc. To miała być niespodzianka.

W zapełnionych instrumentami muzycznymi pokojach i grotach panowała cisza. Przeszła kilka razy w tę i z powrotem, nie spotkała jednak nikogo. Maria powiedziała jej wyraźnie: „Idź do domu Nével. Tam go znajdziesz”.

Sara weszła więc na taras na dachu, ten sam wietrzny punkt obserwacyjny, gdzie pierwsza strażniczka sprawdzała jej reakcję na grę harfy eolskiej. I kiedy spojrzała przez zakratowane drzwi zdobne motywami lir, zobaczyła go.

Krystian stał przy balustradzie i patrzył na Val d'Enfer, Dolinę Piekieł.

Serce Sary zaczęło bić szybciej. Wciąż nie wiedziała, czego się spodziewać. Pożegnanie z Osipem w Rzymie nie przyszło jej łatwo. Gdyby jej życie przebiegło choć trochę inaczej, byłaby z nim teraz w Rosji. Czy będzie żałować wyboru? Czy na koniec znowu zostanie sama, jak na początku tej odysei?

Ostrożnie otworzyła drzwi.

Krystian odwrócił się do niej. Jego szaroniebieskie oczy syciły się jej widokiem jak niespodziewanym zapachem - na chwilę się rozszerzyły, a potem wróciły do normy. Jego twarz natomiast pozostała dla Sary zagadką. Czy było na niej zdziwienie? Niedowierzanie? Potem jednak poruszyły się jego usta. Bezgłośnie wypowiedział jej imię. Nie, nie Sara. Kithara.

Od razu zrozumiała, że dokonała właściwego wyboru. On musiał dojść do tego samego wniosku, przestał bowiem wzbraniać się przed okazaniem uczuć.

Pobiegli do siebie i rzucili się sobie w objęcia.

- Kitharo - szepnął jej do ucha. Od jego ciepłego oddechu po plecach przebiegł jej dreszcz. - Kitharo, wróciłaś.

- Ach, Krystianie - odpowiedziała, pełna niewyobrażalnego szczęścia. - A dokąd miałabym pójść?

- Nie wiem. Jesteś młoda, piękna, a na świecie jest tylu mężczyzn.

- Dobry Boże! - przerwała mu - Rzeczywiście. I jeden prawie wkradł się w moje łaski. Ale i tak mogłam myśleć tylko o tobie.

Odchylił się do tyłu, nie wypuszczając jej z objęć.

- Czy jest Słyszającym Barwy?

Roześmiała się.

- Teraz tak. Jednym z Łabędzi. To mój przyrodni brat, adoptowany syn Olega Janina.

- Och! Więc nie muszę ci urządzać sceny zazdrości?

- Nie. Zachowaj lepiej siły na przyjemniejsze rzeczy.

Pocałowała go i był to zupełnie inny pocałunek niż ten, którym obdarzył ją Osip w piwnicy *palazzo* Ciemnych Słyszących Barwy

W pewnym momencie - czas stracił dla Sary znaczenie - stali przytuleni do siebie przy balustradzie i razem patrzyli na Val d'Enfer. Spokojnie, jakby opowiadała starą legendę, zdała mu relację ze swoich przygód. Potem zamilkli i pozwalali, żeby wiatr wiał im w twarz.

- A więc Szkarłatna Partytura przepadła na zawsze - powiedział po chwili Krystian.

Sara nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie. Jest jeszcze jedna kopia.

Spojrzał na nią zadziwiony.

- Tak?

Stuknęła się w skroń.

- O, tutaj, dobrze ukryta. I wiesz co?

- Powiedz.

- Nauka Dźwięków Jubala nie była skarbcem wiedzy i mądrości, który spodziewali się znaleźć Janin i jego Ciemni Słyszący.

- Ale?

Przyłożyła palec do czoła.

- Te skarby są tu. Królowa Dźwięków to tylko klucz, który pozwolił mi

otworzyć drzwi i patrzeć na potęgę muzyki w całym jej blasku. Wcześniej udawało mi się co jakiś czas zajrzeć do środka przez dziurkę od klucza, kiedy oczarowywałam ludzi grą na fortepianie, wtedy jednak nie byłam tego świadoma.

- A przekażesz kiedyś ten klucz dalej, tak jak zrobił twój przodek, Franciszek Liszt?

- Możliwe - odpowiedziała kokieteryjnie, tuląc policzek do jego piersi. - Może razem poszukamy następnego mistrza dźwięków równego Jubalowi.

Pogładził delikatnie jej rozwiane włosy

- Ograniczymy się do szukania, czy może masz na myśli coś więcej?

Odchyliła głowę i spojrzała na niego:

- Czy to były oświadczenia?

Krystian uśmiechnął się krzywo.

- No, powiedziałbym, że coś w tym stylu.

Sara zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go długo i namiętnie. Kiedy się już nim nasyciła, oparła policzek o jego pierś i westchnęła.

- A więc teraz zaczyna się kolejny trop róży wiatrów. Tym jednak pójdziemy razem, ty i ja.

- I przyszły mistrz.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- A skąd wiesz, że to będzie chłopiec?

===fOxhv8R9KgR6h7IKTPuNcA==

POSŁOWIE AUTORA

Musiąłem być pilny; każdy, kto będzie równie pilny, zdoła także zajść tak daleko.

Jan Sebastian Bach

„W swoich wewnętrznych skłonnościach, w czynach i losach zawsze niezwykły i osobny, artysta ten nieodmiennie zachęca do pisania i filozofowania”, jak pisze Hermann Kretzschmar w swoim dziele *Allgemeine Deutsche Biographie* o Franciszku Liszcie. Dodaje też, że ta niezwykła osobowość muzyczna stawia przed dziejopisarzami „problemy psychologiczne i historyczne, do rozwiązania których dostępne środki nie zawsze w pełni wystarczają”.

Coś w tym jest. Istnieje ponad sto biografii Liszta i nie mam nawet zamiaru udawać, że przeczytałem je wszystkie. Mimo to przy pisaniu tej powieści wykorzystałem ponad sześćset źródeł. Ta książka pod względem ogromu badań okazała się najbardziej wymagającym dziełem w mojej dotychczasowej karierze. Nie żałuję włożonego w nią wysiłku.

W swojej pracy *Wirbel um Franz Liszt*²² Karl Hoede i Reinhold Mueller stwierdzają: „Życie Liszta obfitowało w błędy i rozczarowania: przyjmował je równie spokojnie, co bezprecedensowe sukcesy i zaszczyty, które w takiej ilości przypadły w udziale tylko nielicznym śmiertelnikom. Na trudności i ludzką wrogość wydawał się wewnętrznie uodporniony. Tam, gdzie w sztuce trzeba było walczyć, zwyciężał. Tam, gdzie widział, że los opowiada się przeciw niemu, rezygnował, nie tracąc jednak nadziei. Skąd brał siłę do takiej wielkości? (.) Człowiekiem był! I nic, co ludzkie, nie było mu obce”. Ta wytrwałość sprawia, że Liszt jest dla mnie postacią wyjątkową.

Czy pisarz mógłby oprzeć się takiej biografii? Mnie się to w każdym razie nie udało, a im głębiej zanurzałem się w życie Liszta, tym bardziej docierało do mnie, że moja powieść przypominać będzie gwiazdozbiór. Składa się bowiem z gwiazd, którymi są fakty, oraz łączących je linii istniejących wyłącznie w wyobraźni. Niektóre zaś z tych faktów są tak zadziwiające, że można wziąć je

za wytwór mojej bujnej fantazji. Należą do nich na przykład niezwykle wydarzenia towarzyszące paryskiej premierze *Missa solemnis* Liszta w katedrze Saint-Eustache, sensacyjne odnalezienie fletu Jacoba Dennera w okolicach Norymbergi, róże wiatrów na dziedzińcu weimarskiego zamku, w hotelu „Russischer Hof” oraz w zarysach Stjerneborgu na wyspie Ven. Do tej samej kategorii zalicza się również anioł z twarzą Franciszka Liszta w prospekcie organowym budapeszteńskiego kościoła Macieja; czarny Baltazar w Les Baux de Provence, niedawne odnalezienie domniemanej córki Liszta, Ilony Hohnel *de domo* Kovatsits, w Weimarze, a także podejrzany obiekt latający, który wywołał krótkotrwały niepokój podczas pogrzebu papieża Jana Pawła II. Wydaje mi się teraz, że lista faktów, na których oparłem swą powieść, jest dużo dłuższa niż ta, która zawierałaby moje wymysły.

Należy do nich też dar Sary, mimo że w tym przypadku akurat nieco podkoloryzowałem. *Status quo* wygląda tak: naukowcy zbadali jedynie obrzeża puszczy zwanej synestezją. W tej dżungli może kryć się jeszcze wiele sekretów. Profesor Lutz Jancke, jeden z najważniejszych autorytetów w tej dziedzinie, powiedział mi, że jeszcze nie spotkał się z przypadkiem, kiedy nie wysokość dźwięku, ale jego barwa odpowiadałaby za doznania synestetyka. Niewykluczone jednak, że istnieją takie odmiany *audition colorée*.

Casus rosyjskiego malarza Wasilija Kandinskiego wydaje się to potwierdzać. Poza tym, że dysponował darem synestezji, był też dobrym wiolonczelistą. Wiadomo, że na jego obrazie z 1911 *Impresja III (Koncert)* różnym instrumentom muzycznym przyporządkowane są rozmaite kolory: jego własny, wiolonczela, była błękitna, tuba czerwona, a fagot fioletowy. Tym właśnie inspirowałem się, opisując percepcję Sary d’Albis.

Wymienienie z nazwiska wszystkich, którzy przyczynili się do powstania tej książki, jest prawie niemożliwe. Najbardziej dziękuję Karin, mojej żonie, której wszechstronne wsparcie było dla mnie cenniejsze od złota. Podziękowania należą się wielu, jednak chciałbym tutaj wymienić – nie według zasług, ale w kolejności alfabetycznej – szczególnie kilka osób. Są to:

Dr Frank P Bar, kierownik działu kolekcji historycznych instrumentów muzycznych Germańskiego Muzeum Narodowego w Norymberdze i autor niezliczonych dzieł poświęconych instrumentom muzycznym, który pomógł mi wysledzić flet Dennera. Maestro Giordano Bellincampi, generalny dyrektor muzyczny Duńskiej Opery Narodowej w Aarhus, który wystąpił gościnnie

w części „Boreasz”. ^ Maximilian Freyaldenhoven, przełożony recepcji (Front Office Manager) weimarskiego hotelu „Russischer Hof, który otworzył mi drzwi zamknięte dla innych gości. Dr Roland Martin Hanke, dyrektor Niemieckiego Muzeum Wolnomularstwa w Beyreuth i jego asystent Peter Nemeyer, którzy pokazali mi dokumenty dotyczące masońskiego oblicza Franciszka Liszta. -£|r Dr Ulrike von Hase-Schmundt, historyk sztuki i prawniczka Karla Augusta von Hasego, która udostępniła mi zdjęcia i inne informacje dotyczące starego domu von Hasego w Jenie. Roman i Andréa Hocke pomogli mi raz jeszcze tchnąć życie w część włoską i watykańską. -0 Profesor Konrad Hünteler, który udzielił mi informacji dotyczących fletu Dennera i zgodził się bym zaprezentował w tej powieści próbkę tego, czego może dokonać z tym niezwykłym instrumentem. Profesor Andor Izsak, dyrektor Europejskiego Centrum Muzyki Żydowskiej, dziękuję mu za pomoc w poszukiwaniu najstarszej melodii świata. ^ Profesor doktor Lutz Jancke z Instytutu Neuropsychologii Uniwersytetu w Zurychu utorował mi drogę do mózgu, jaką do tej pory dane było kroczyć tylko nielicznym. Reżyser muzyczna Kerstin Klaholz i referentka prasowa Lusann Leine pozwoliły mi zajrzeć za kulisy pracy Niemieckiego Teatru Narodowego i Orkiestry Państwowej. Pani Dagmar Kloth, pełnomocniczka do spraw kultury hotelu „Russischer Hof”, odbyła ze mną podróż po historii kultury w Weimarze i roli, jaką odegrał w niej hotel „Russischer Hof”. Pani Evelyn Liepsch z Archiwum Goethego i Schillera wspierała mnie w badaniach spuścizny po Franciszku Liszcie. Dr Wolf-Ekkehard Lonig pomagał przy przekładach z łaciny ^ a Rita Muller z rosyjskiego. ^ Stephan Marki, dyrektor generalny Niemieckiego Teatru Narodowego i Orkiestry Państwowej w Weimarze zgodził się wystąpić w mojej powieści. Dzięki prof... dr. Karlowi-Wilhelmowi Niebuhrowi z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Friedricha Schillera w Jenie trafiłem na ślad domu Karla Augusta von Hasego. Office du Tourisme des Baux de Provence, a zwłaszcza Claire Novi, wspierali mnie podczas mojej wędrówki śladami czarnego księcia Baltazara. ^ Reinhard Platzer ofiarował mi zaskakujący wgląd w świat masonerii i wielokrotnie wspierał mnie znajomością francuskiego. Pani Sylvia Schlutius z C. Bechstein Pianofortefabrik AG wyjaśniła mi powiązania między techniką kompozycji a budową fortepianów na przykładzie Franciszka Liszta. ^ Gerhard Schlecht pożyczył mi swój stuczterdziestoletni atlas Stielera, skąd pochodziła mapa Europy, za którą

pierwsza wiadomość Liszta spała swoim wiekowym snem. Profesor André Schmidt, przewodniczący Towarzystwa imienia Franciszka Liszta w Weimarze oprowadził mnie po Altenburgu, opowiadając wiele interesujących szczegółów z życia muzyka. Jac van Steen, generalny dyrektor muzyczny i główny dyrygent Orkiestry Państwowej w Weimarze, także gotów był wystąpić w pierwszym rozdziale jako gość specjalny. Flecistka Elizabeth Sulser smakuje, widzi i maluje utwory muzyczne - także rozmowa z nią pozwoliła tchnąć życie w moją Sarę.

Im wszystkim dziękuję z całego serca. Gdyby nie ich ochocza pomoc, ta powieść nigdy nie powstałaby w takim kształcie.

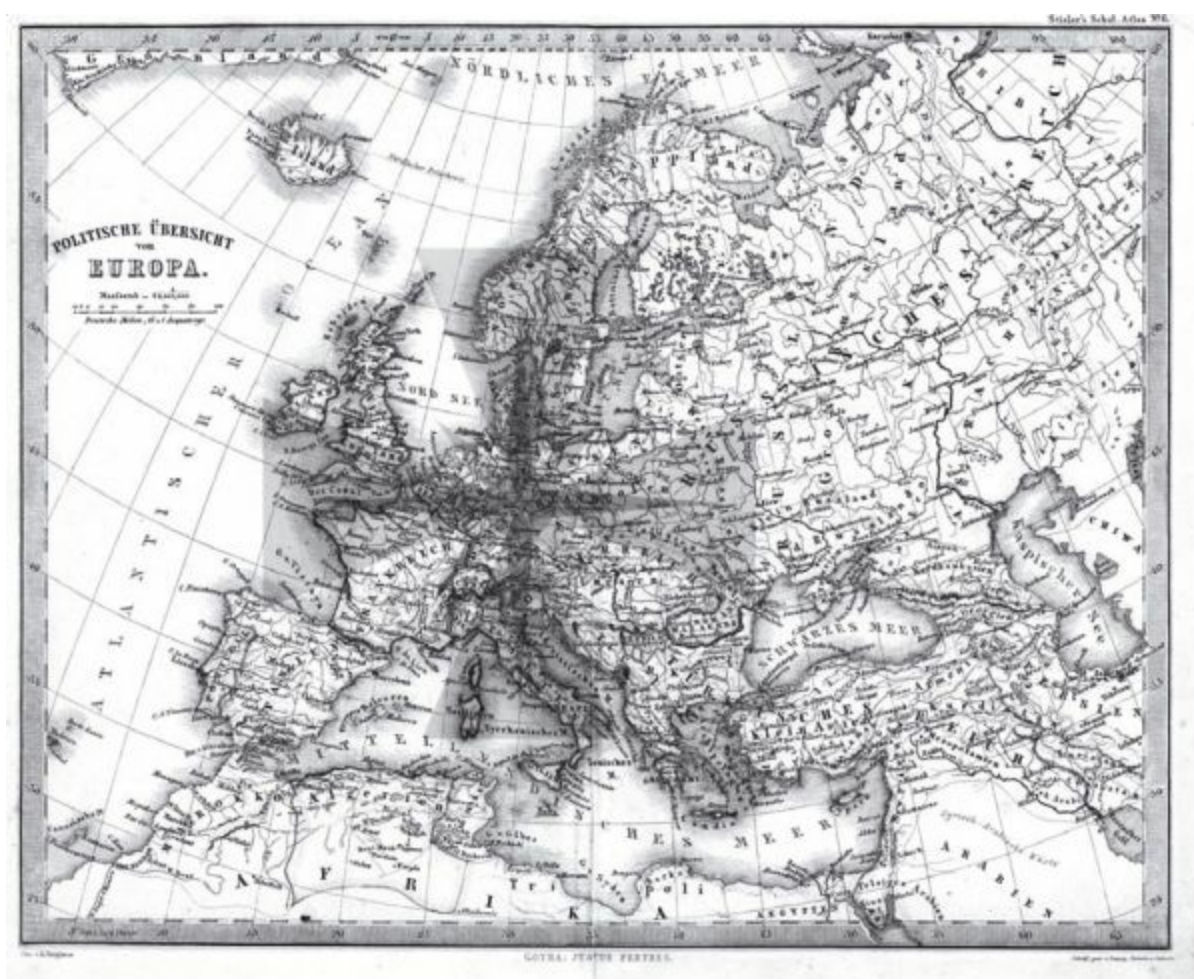
Na koniec pozostaje pytanie, jak wielką moc ma w rzeczywistości muzyka. Gdyby nie wywierała na nas żadnego wpływu, to nie powstawałoby tyle kosztownych muzycznych spotów reklamowych, w jej takt nie maszerowałyby tylu żołnierzy ani tylu możliwych tego świata nie wykorzystywałoby jej do swoich celów. Dlaczego ciągle eksploatuje się muzykę? Ponieważ odwołuje się ona przede wszystkim do emocji, a nie do rozsądku. Jest jak narkotyk, który można rozprowadzać przez eter, a obecności którego nie da się wykazać we krwi. Totalitarne reżimy wysoko cenią te jej właściwości.

Fryderyk Wielki osobiście udzielał wskazówek swoim nadwornym kapelmistrzom, Napoleon widział się w roli twórcy oper propagandowych, a Józef Stalin zapewnił sobie usługi kompozytorów, „inżynierów ludzkich dusz”, żeby urzeczywistnić swoją wizję nowego człowieka. Narodowi socjaliści udoskonalili tę „sztukę”. Nigdy wcześniej w historii ludzkości nie wykorzystywano muzyki do tego stopnia, jak za czasów Hitlera i jego obdarzonego artystycznym zmysłem ministra propagandy Goebbelsa. Naziści widzieli w niej uosobienie niemieckiej wysokiej kultury i istotę niemczyzny. Rzekomą konieczność obrony tej kultury podawali nawet jako jeden z powodów rozpętania drugiej wojny światowej. Nigdy wcześniej w Niemczech nie komponowano, nie muzykowano i nie śpiewano tak przesadnie, jak w czasach Trzeciej Rzeszy. Nawet tacy koryfeusze jak Herbert von Karajan, Karl Böhm i Richard Strauss ochoczo występowali w roli orędowników narodowosocjalistycznej polityki kulturowej. W związku z tym samo nasuwa się powiedzenie: pokaż mi, jak traktujesz muzykę, a powiem ci, kim jesteś.

Zamiarem autora tej książki było też zachęcenie do tego, żeby podczas korzystania z jednego z najwspanialszych atrybutów człowieczeństwa nie zapominać o samodzielnym myśleniu. Fatalnie skończyłoby się, gdyby

pozostawić to komuś innemu. Kto wie, może ktoś kiedyś rzeczywiście trafi na trop róży wiatrów. Nie jest to bynajmniej wykluczone, wszak w czerwcu 2005 roku, wkrótce po zakończeniu naszej opowieści, odnaleziono arię Bacha, która jedynie cudem ocalała z pożaru w bibliotece księżnej Anny Amalii. Co jeszcze ciekawsze: podczas przygotowania do wystawy poświęconej hrabiemu Franzowi von Pocciemu, autorowi książek dla młodzieży, w Bawarskiej Bibliotece Państwowej w Monachium odnaleziono uznawaną dotychczas za zaginioną pieśń Franciszka Liszta. Została ona publicznie wykonana 11 czerwca 2007 roku. Czy ktoś przyjrzał się już dokładnie nutom?

Ralf Isau, lato 2007



===f0xhv8R9KgR6h7IKTPuNcA===

[1](#) Państwo. Księga IV, tłum. W. Witwicki, s. 174, Warszawa 1994.

[2](#) Biblia Tysiąclecia, Rdz 4,21.

[3](#) „Te wiersze adresowane są do nielicznych” [w:] *Harmoniepoetiques et religieuses*, Paris, 1838-1840.

[4](#) Przekład Bartłomieja Szymkowskiego.

[5](#) Przekład Tomasza Horaka.

[6](#) Świątynia wzniesiona ku czci mitycznego króla Aten Erechteusza (przyp. red.).

[7](#) Przekład Franciszka Mirandoli.

[8](#) Przekład Franciszka Mirandoli.

[9](#) Przekład Cecylii Niewiadomskiej.

[10](#) Według Biblii Tysiąclecia.

[11](#) Chordofon – każdy strunowy instrument muzyczny (przyp. red.).

[12](#) Przekład Andrzeja Lama.

[13](#) Przekład Bartłomieja Szymkowskiego.

[14](#) Przekład Bartłomieja Szymkowskiego.

[15](#) E. T. A. Hoffman, *Kota Mruczysława poglądy na życie*, tłum. Edyta Sicińska.

[16](#) Przekład Feliksa Konopki.

[17](#) Według Biblii Tysiąclecia.

[18](#) Nieznający strachu wojownik nordycki (przyp. red.).

[19](#) Przekład Józefa Kramsztyka.

[20](#) Pwt 19,15 według Biblii Tysiąclecia.

[21](#) Przekład Franciszka Mirandoli.

[22](#) *Zamieszanie wokół Franciszka Liszta*, niewydane po polsku.